Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
literatura.net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

Emil Zola

NANA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rougon-Macquartowie
Historia naturalna i społeczna rodziny za Drugiego Cesarstwa

Tytuł oryginału LES ROUGON-MACQUART
Histoire naturelle et sociale d'une famille sous le Second Empire
«NANA»

I

O godzinie dziewiątej sala teatru „Varietes” była jeszcze pusta. Na balkonie i w rzędach parterowych czekało kilka osób zagubionych wśród ciemnoczerwonych pluszowych foteli, w słabym blasku na pół przyćmionego świecznika. Cień otulał wielką czerwoną plamę kurtyny. Ze sceny nie dochodził żaden odgłos, rampa była wygaszona, pulpity orkiestry poskładane. Tylko w górze, na trzeciej galerii, dokoła rotundy plafonu, gdzie na płaskorzeźbach nagie kobiety i dzieci wzbijały się w niebo zazielenione od gazowego światła, wśród wrzawy słychać było nawoływania i śmiechy. Na tle szerokich zaokrąglonych wnęk, obramowanych złotem, piętrzyły się głowy w kapturkach i czapkach. Chwilami ukazywała się zaaferowana bileterka prowadząc przed sobą jakichś państwa; siadali, on we fraku, ona szczupła i wcięta w talii, o powłóczystym spojrzeniu.

Dwóch młodych ludzi zjawiło się na parterze. Stali rozglądając się.

— A nie mówiłem, Hektorze — zawołał starszy, wysoki, z czarnymi wąsikami — przyszliśmy za wcześnie. Mogłeś spokojnie pozwolić mi dokończyć cygara.

— Ach, panie Fauchery — rzekła do niego poufale przechodząca bileterka — to rozpocznie się dopiero za jakieś pół godziny.

— Dlaczego więc zapowiadają na dziewiątą? — mruknął Hektor; na jego pociągłej, chudej twarzy znać było irytację. — Klarysa, która występuje w tej sztuce, przysięgała mi jeszcze dziś rano, że zaczną punktualnie o dziewiątej.

Na chwilkę zamilkli. Podnosząc głowy w górę, badali loże zatopione w cieniu. Lecz zielony papier, którym były wytapetowane, jeszcze je zaciemniał. Na dole pod balkonem loże parterowe były pogrążone w mroku. W lożach pierwszego piętra siedziała tylko jedna gruba pani, rozparta na pluszowej poręczy. Po prawej i lewej stronie, między wysokimi kolumnami, loże prosceniowe, ozdobione lambrekinami o długich frędzlach, były puste. Zamazywały się kształty biało-złotej sali w odcieniu delikatnej zieleni. Zdawało się. że drobne płomyki wielkiego kryształowego świecznika zasypywały ją pyłem.

— Czy dostałeś bilety do loży prosceniowej dla Lucy? — spytał Hektor.

— Owszem — odrzekł dziennikarz — ale nie było to takie proste. Ach! Lucy na pewno nie przyjdzie za wcześnie! — Stłumił lekkie ziewnięcie. Po chwili milczenia odezwał się: — Udało ci się, bo skoro nie widziałeś jeszcze żadnej premiery... *Jasnowłosa Wenus* będzie wydarzeniem sezonu. Mówi się o niej od pół roku. Ach! mój drogi, co za muzyka! Co za szyk!... Bordenave zna się na rzeczy i dlatego chował to na okres Wystawy Światowej.

Hektor słuchał uważnie.

— A znasz Nanę, nową gwiazdę, która ma grać Wenus? — zapytał.

— Masz ci los! Znów się zaczyna! — wybuchnął Fauchery gestykulując. — Od rana zanudzają mnie Naną. A czy Nana to, a czy Nana owo, i tak ze dwadzieścia razy! Cóż ja o niej wiem? Czyż znam wszystkie dziewki paryskie?... Nana to wynalazek Bordenave'a. To już musi być coś odpowiedniego! — Uspokoił się, lecz drażniła go pustka sali, przyćmiony blask świecznika, kościelne skupienie przerywane szeptami i trzaskaniem drzwi. — Dość tego! — rzekł raptem. — Co za nuda! Chodźmy... Może na dole znajdziemy Bordenave'a. Dowiemy się od niego jakichś szczegółów.

Na dole, w wielkim marmurowym westybulu, gdzie sprawdzano bilety, zaczynała się zjawiać publiczność. Trzy otwarte bramy ukazywały pulsujące życie bulwarów, rojnych i rozjarzonych w tę piękną noc kwietniową. Turkot powozów urywał się nagle, drzwiczki zamykały się z hałasem i ludzie wchodzili grupkami. Zatrzymywali się przed kontrolerem, potem wstępowali na schody, gdzie kobiety zwalniały kroku, kołysząc się w talii. W jaskrawym świetle gazowym, na wyblakłej nagości tej sali, którą licha dekoracja empirowa przekształcała w

tekturowy perystyl świątyni, rzucały się w oczy wielkie żółte afisze z imieniem Nany wypisanym grubymi czarnymi literami. Panowie przystawali na chwilkę w przejściu, by je przeczytać, lub też pochłonięci rozmową zagradzali drzwi. W innej części westybulu tęgi mężczyzna o szerokiej ogolonej twarzy opryskliwie odpowiadał osobom, które uparcie żądały miejsc.

— To Bordenave — rzekł Fauchery.

Dyrektor zauważył dziennikarza na schodach.

— Ładne rzeczy! — krzyknął z daleka. — To tak pan napisał... Dziś rano otwieram „Figaro", szukam i... nic.

— Niechże pan poczeka! — odrzekł Fauchery. — Muszę przecież poznać pańską Nanę, zanim o niej napiszę... Niczego zresztą nie obiecywałem.

I chcąc zmienić temat rozmowy przedstawił swego kuzyna, pana Hektora de la Faloise, młodego człowieka, który właśnie przybył do Paryża, by dokończyć swej edukacji. Dyrektor jednym spojrzeniem oszacował młodzieńca, a Hektor, wzruszony, przypatrywał mu się uważnie. Więc to jest ten Bordenave, wystawca kobiet, które traktuje jak dozorca skazańców: to ten reklamiarz, co krzyczy, pluje i klepie się po udach, cynik o mentalności żandarma! Hektor uznał, że należy powiedzieć coś uprzejmego.

— Pański teatr... — zaczął słodkim głosem. Bordenave przerwał mu spokojnie, lecz rubasznie, jak człowiek, który lubi jasne sytuacje:

— Niech pan raczej powie: mój burdel.

Na to Fauchery zaśmiał się z aprobatą, podczas gdy la Faloise, z komplementem uwięzłym w gardle, czuł się urażony, lecz usiłował wywołać wrażenie, że i on gustuje w tym słowie. Dyrektor rzucił się, by uścisnąć dłoń pewnemu krytykowi teatralnemu, którego felieton miał duże znaczenie. Gdy wrócił, la Faloise już ochłonął. Bał się, że skoro będzie za bardzo zmieszany, potraktują go jak prowincjusza.

— Mówiono mi — zaczął na nowo, chcąc koniecznie coś powiedzieć — że Nana ma cudny głos.

— Ona? — krzyknął dyrektor wzruszając ramionami. — Toż to istna wrona! Młody człowiek dorzucił spiesznie:

— No, ale znakomita aktorka.

— Cóż znowu!... Niezdara! Nie wie, co począć z rękami i nogami. La Faloise zarumienił się lekko. Nic już nie rozumiał.

— Za nic na świecie nie opuściłbym dzisiejszej premiery — wyjąkał. — Wiedziałem, że pański teatr...

— Powiedz pan: mój burdel — przerwał znowu Bordenave z uporem człowieka przekonanego o swej racji.

Tymczasem Fauchery z całym spokojem patrzał na wchodzące kobiety. Gdy zobaczył, że kuzyn stoi z otwartymi ustami i nie wie, czy ma się śmiać, czy obrazić, przyszedł mu z pomocą.

— Zróbże tę przyjemność panu Bordenave, nazywaj jego teatr, tak jak tego żąda, skoro go to bawi... A pan, mój drogi, niech nas pan nie nabiera. Skoro pańska Nana nie śpiewa ani nie gra, będzie pan miał po prostu klapę, czego się zresztą obawiam.

— Klapę! Klapę! — krzyknął dyrektor, którego twarz stawała się purpurowa. — Czy kobieta musi umieć grać i śpiewać? Ach, mój mały, głupi jesteś... Dalibóg! Nana ma coś innego, coś, co starczy za wszystko. Już ja to wywąchałem, w tym tkwi jej siła, a jeśli tak nie jest, to mój nos — diabła wart... Zobaczysz, zobaczysz, wystarczy, że się pokaże, a cała sala wywiesi języki. — Entuzjastycznym gestem podniósł swe grube dłonie, które drżały mu lekko, a wyładowawszy się w krzyku zniżył głos i mruczał do siebie: — O, tak. ona zajdzie daleko, ach, do krocset, daleko... Co za ciało, och! co za ciało!

Ponieważ Fauchery wypytywał go dalej, Bordenave zgodził się opowiedzieć nawet pewne szczegóły, z dosadnością wyrażeń żenującą dla Hektora de la Faloise. Poznał Nanę i chciał ją

lansować. Właśnie szukał obsady dla roli Wenus. Nie zaprzątał sobie długo głowy kobietą, wolał od razu zaprezentować ją publiczności i ciągnąć zyski. Ale miał w swej budzie złośnicę, którą wzburzyło przybycie tej okazałej dziewczyny. Jego gwiazda, Róża Mignon, subtelna aktorka i zachwycająca śpiewaczka, domyślając się rywalki, z wściekłością groziła codziennie, że go porzuci. A co za ceregiele były z ustalaniem tekstu afisza! W końcu zdecydował się drukować nazwiska obu aktorek jednakowymi literami. Nie ma u niego żadnych kaprysów. Skoro tylko któraś z tych kobietek, jak je nazywał, Simona czy Klarysa, miała muchy w nosie, dawał jej kopniaka w tyłek. Inaczej nie dałby sobie rady. Sprzedawał te ladacznice i wiedział, co są warte!

— Patrzcie! — rzekł przerywając sobie — Mignon ze Steinerem. Zawsze razem. Wiecie, Steiner zaczyna mieć Róży powyżej uszu; toteż mąż jej nie odstępuje go na krok bojąc się, że zwieje.

Gazowa rampa, płonąca na gzymsie teatru, rzucała na trotuar falę ostrego światła. Dwa drzewka odcinały się wyraźnie jaskrawą zielenią; bielił się jakiś słup tak silnie oświetlony, że z daleka można było czytać afisze jak za dnia. A dalej, w gęstym mroku bulwaru, jarzyły się lampy, kreśląc niewyraźny obraz ruchliwego tłumu. Wiele osób nie wchodziło od razu. Rozmawiali na dworze, kończąc cygara, w świetle rampy, które powlekało ich bladością i rysowało na asfalcie krótkie, czarne cienie.

Mignon, chłop rosły i barczysty, z kwadratową głową jarmarcznego Herkulesa, torował sobie przejście w tłoku, ciągnąc u swego ramienia malutkiego Steinera z pokaźnym już brzuszkiem i okrągłą twarzą okoloną pierścieniem siwiejącej brody.

— No i co — rzekł Bordenave do bankiera — spotkał ją pan wczoraj w moim gabinecie?

— Ach, to była ona! — krzyknął Steiner. — Domyślałem się. Ale wychodziłem w chwili, kiedy wchodziła, więc widziałem ją tylko przelotnie.

Mignon słuchał ze spuszczonymi powiekami, kręcąc nerwowo na palcu wielki diament. Zrozumiał, że chodzi o Nanę. A gdy Bordenave nakreślił portret debiutantki w ten sposób, że rozpalił ognie w oczach bankiera, Mignon wtrącił:

— Niech drogi pan da spokój, to ladacznica! Publiczność sama ją przepędzi... Steinerku, pan wie, że moja żona oczekuje go w swej garderobie.

Chciał go zabrać. Ale Steiner nie miał ochoty rozstawać się z Bordenave'em. Przed nimi, przy kontroli, tłoczyła się kolejka, rosła wrzawa, imię Nany dźwięczało w śpiewnym rytmie dwóch zgłosek. Mężczyźni sylabizowali je głośno stając przed afiszami lub rzucali je mimochodem w tonie pytania. A kobiety, zaniepokojone i uśmiechnięte, powtarzały je po cichu z wyrazem zaskoczenia. Nikt nie znał Nany. Skąd się wzięła? Krążyły historyjki i żarty szeptane od ucha do ucha. Pieszczotliwie brzmiało to imię, imionko, którego poufały ton pasował do wszystkich ust. Wystarczyło je tak wymówić, a tłum rozweselał się i swawolił. Gorączkowa ciekawość podniecała ludzi, ciekawość typowo paryska, gwałtowna jak atak nagłego szału. Chciano zobaczyć Nanę. Jakiejś damie oderwano falbanę od sukni, jakiś pan zgubił kapelusz.

— Ach! Za wiele ode mnie żądacie! — krzyknął Bordenave, którego około dwudziestu mężczyzn osaczyło pytaniami. — Zaraz ją zobaczycie... Zwiewam, jestem tam potrzebny.

Zniknął zachwycony, że udało mu się podniecić publiczność. Mignon wzruszał ramionami przypominając Steinerowi, że Róża czeka na niego, bo chce mu pokazać swój kostium z pierwszego aktu.

— Popatrz! Lucy wysiada z powozu — rzekł la Faloise do kuzyna. Istotnie była to Lucy Stewart, niełądna kobietka lat około czterdziestu, o zbyt długiej szyi, mizernej i pociągłej twarzy, ustach grubych, lecz tak żywych i wdzięcznych, że dodawały jej wiele uroku. Przyprowadziła Karolinę Hèquet i jej matkę. Karolina — chłodna piękność, jej matka — bardzo godna, z miną nadętą.

— Chodź z nami, zarezerwowałam miejsce dla ciebie — powiedziała.

— Jeszcze czego! Żebym nic nie zobaczył — odrzekł Fauchery. — Mam fotel, wolę siedzieć na dole.

Lucy rozgniewała się. Czyżby nie miał odwagi z nią się pokazywać? Ale, nagle uspokojona, przeskoczyła na inny temat.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że znasz Nanę?

— Nanę? Nigdy jej nie widziałem.

— Naprawdę?... Przysięgano mi, że z nią spałeś.

Stojący przed nimi Mignon z palcem na ustach dawał znak, żeby zamilkli. Na pytanie Lucy wskazał przechodzącego młodego człowieka:

— To facet Nany — szepnął.

Wszyscy spojrzeli na niego. Wydawał się sympatyczny. Fauchery rozpoznał w nim Dagueneta, który przejadł z kobietami trzysta tysięcy franków. a teraz kręcił się na giełdzie, by móc od czasu do czasu fundować im bukiety i obiady. Lucy stwierdziła, że ma piękne oczy.

— Ach, Blanka! — krzyknęła. — To ona mi powiedziała, że spałeś z Naną.

Blanka de Sivry, tęga blondyna o pełnej, ładnej twarzy, przyszła w towarzystwie szczupłego mężczyzny bardzo starannie ubranego i niezmiernie wytwornego.

— Hrabia Ksawery de Vandeuvres — szepnął Fauchery do ucha la Faloise'a.

Hrabia wymienił z dziennikarzem uścisk dłoni, a tymczasem Blanka i Lucy prowadziły ożywioną rozmowę. Zagradzały przejście swymi falbaniastymi sukniami, niebieską i różową. Imię Nany wracało na ich wargi tak krzykliwie, że wszyscy je słyszeli. Hrabia de Vandeuvres zaprowadził Blankę na salę. Lecz teraz imię Nany jak echo dźwięczało w czterech rogach westybulu w tonacji już nieco wyższej, w atmosferze pożądania wzmożonego oczekiwaniem. Kiedy się wreszcie zacznie? Mężczyźni wyciągali zegarki, spóźnialscy wyskakiwali z powozów, zanim się jeszcze zatrzymały, grupy ludzi opuszczały trotuar, gdzie spacerowicze przechodzili powoli przez opustoszałą smugę gazowego światła, wyciągając szyje, by zobaczyć, co się dzieje wewnątrz teatru. Jakiś urwis, który przechodził gwiżdżąc, stanął przed afiszem w drzwiach, krzyknął głosem pijackim:

„Hej, Nana!", i poszedł dalej, kołysząc się i powłócząc trepami. Zerwał się śmiech. Wytworni panowie powtarzali: „Nana, hej, Nana!" Popychano się, wybuchła sprzeczka przy kontroli biletów, wzmagał się zgiełk, różne głosy wzywały Nanę, żądały Nany. Był to typowy dla tłumów wybuch głupoty i brutalnej zmysłowości.

Wśród tej wrzawy odezwał się dzwonek. Aż do bulwaru dotarły głosy:

„Już po dzwonku, już po dzwonku!", publiczność zaczęła się tłoczyć i przeciskać, mnożyli się kontrolerzy. Mignon, zaniepokojony, złapał znowu Steinera, który jednak nie poszedł obejrzeć kostiumu Róży. Na pierwszy odgłos dzwonka la Faloise przedostał się przez tłum, ciągnąc za sobą Fauchery'ego, by nie spóźnić się na uwerturę. Ten pośpiech publiczności zirytował Lucy Stewart. Co za chamstwo tak potrącać kobiety. Szła na samym końcu z Karoliną Hèquet i jej matką. Westybul opustoszał. W głębi szumiało życie bulwaru.

— Tak się pchają, jakby te sztuki były zawsze zabawne! — powtarzała Lucy Stewart idąc po schodach.

Na widowni Fauchery i la Faloise stojąc przed swymi fotelami znowu się rozglądali. Sala była teraz olśniewająca. Długie płomienie gazowe jarzyły się w wielkim kryształowym świeczniku. Ulewa żółtego i różowego światła spływała od sklepienia do parteru. Ciemnoczerwony aksamit foteli mienił się jak mora, na ścianach błyszczały złocenia, których blask łagodziły bladozielone ornamenty umieszczone pod zbyt jaskrawymi malowidłami plafonu. Raptowny przypływ światła rampy ogarnął kurtynę ognistą falą. Ciężka, purpurowa draperia, bogata jak w baśniowym pałacu, kontrastowała ze zniszczoną ramą, na której spod złoceń wyzierał gips. Było już gorąco. Przy pulpitach orkiestra stroiła instrumenty. Wśród rosnącego gwaru rozlegały się delikatne trele fletu, stłumione westchnienia rogu, śpiewne głosy skrzypiec. Widzowie rozmawiając popychali się i spieszyli do swych miejsc. W kuluarach tłok był tak wielki, że nieprzerwana fala ludzi z trudem mieściła się w drzwiach. Suknie i fryzury, przeplatane czernią fraków i surdutów, defilowały wśród nawoływań i szelestu tkanin. Stop-

niowo jednak zapełniały się rzędy foteli. Raz po raz błysnęła jakaś jasna toaleta, to znów klejnot wpięty w kok pochylonej głowy o subtelnym profilu, a w loży skrawek śnieżnobiałego ramienia. Kobiety wachlowały się spokojnie, omdlewająco, śledząc wzrokiem napór tłumu. Na parterze młodzi panowie w białych rękawiczkach i głęboko wyciętych kamizelkach, z kwiatami gardenii w butonierkach, nastawiali lornetki czubkami palców.

Tymczasem dwaj kuzyni szukali znajomych twarzy. Mignon i Steiner siedzieli obok siebie w loży parterowej, opierając ręce na pluszowej poręczy. W loży prosceniowej na parterze widać było tylko Blankę Sivry. Lecz uwagę Hektora przykuł przede wszystkim Daguenet, który siedział w fotelu parterowym dwa rzędy przed nim. Obok Daguenета młodziutki, najwyżej siedemnastoletni chłopiec o wyglądzie gimnazisty szeroko otwierał piękne oczy cherubina. Patrząc na niego Fauchery uśmiechnął się.

— Cóż to za dama siedzi na balkonie? — spytał nagle la Faloise. — Ta z panienką w niebieskiej sukni.

Pokazywał tęgą kobietę mocno ściśniętą gorsetem. Włosy tej osiwiałej blondynki były farbowane na żółty kolor, a jej urożowana twarz nadymała się dziecinnym grymasem.

— To Gaga — rzekł Fauchery. Zdawało mu się, że kuzyn osłupiał, więc dodał: — Nie znasz Gagi? Robiła furorę w pierwszych latach panowania Ludwika Filipa. Teraz wszędzie wlecze ze sobą córkę.

La Faloise nawet nie spojrzał na dziewczynę. Gaga zrobiła na nim silne wrażenie, nie spuszczał z niej wzroku. Uważał, że jest jeszcze bardzo ładna, ale nie śmiał tego powiedzieć.

Dyrygent podnosił już pałeczkę, orkiestra rozpoczynała uwerturę, lecz ludzie ciągle jeszcze napływali, wrzawa rosła. Tę stałą publiczność premierową łączyła zażyłość, witano się uśmiechami. Bywalcy premier swobodnie i poufale wymieniali ukłony nie zdejmując kapeluszy. Spotykał się tu cały Paryż: literatura, finansjera, artyści, wielu dziennikarzy, kilku pisarzy, giełdziarze; dziewcząt lekkich obyczajów więcej niż kobiet statecznych. Było to dziwnie mieszane towarzystwo, obfitujące we wszelkie talenty, ale i zarażone zepsuciem. Twarze zdradzały jednakowe znużenie i rozgorączkowanie. Fauchery pokazywał podnieconemu kuzynowi loże dziennikarzy i grup literackich, potem wymienił nazwiska krytyków teatralnych; jeden z nich mizerny, zasuszony, miał wąskie, złośliwe usta; inny, grubas o dobrodusznym wyglądzie, tulił się do ramienia swej młodziutkiej sąsiadki i obejmował ją czułym, ojcowskim spojrzeniem.

Widząc jednak, że la Faloise kłania się osobom zajmującym jedną z lóż na wprost sceny, spytał zdumiony:

— Jak to? Ty znasz hrabiego Muffat de Beuville?

— Ach! I od jak dawna! — odrzekł Hektor. — Muffatowie mieli posiadłość w naszym sąsiedztwie. Często u nich bywam... Hrabia jest tu w towarzystwie żony i teścia, markiza de Chouard.

Rad, że wprawił kuzyna w zdumienie, i pochlebiając swej próżności, zaczął opowiadać bliższe szczegóły: markiz jest radcą Stanu, hrabia został ostatnio mianowany szambelanem cesarzowej. Fauchery wziął do ręki lornetkę i przyglądał się hrabinie. Była to pulchna brunetka o białej karnacji i pięknych czarnych oczach.

— Przedstawisz mnie w antrakcie — rzekł wreszcie. — Spotykałem już hrabiego, ale chciałbym bywać u nich na wtorkowych przyjęciach. „Cicho!" — wołano energicznie z górnych galerii. Lecz choć rozpoczęto już uwerturę, publiczność ciągle jeszcze napływała. Spóźnialscy zmuszali całe rzędy widzów do wstawania, drzwi lóż trzaskały, z kuluarów dobiegały odgłosy kłótni. Na sali zgiełk przypominał ćwierkanie chmary wróbli o zmierzchu. W tym zamęcie kotłowały się głowy i ramiona. Jedni starali się usiąść wygodnie, inni z uporem stali, by jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie. Z ciemnej głębi parteru ktoś zawołał: „Siadać, siadać!" Przez salę przebiegł dreszcz: nareszcie poznają tę słynną Nanę, o której Paryż mówi od tygodnia.

Powoli rozmowy przycichały, choć jeszcze raz po raz ktoś podnosił głos. W przytłumiony, zamierający szmer sali wpadły żwawe tony orkiestry. Grano walca. W jego szelmowskim rytmie było coś z łobuzerskiego śmiechu. Publiczność, podniecona dźwiękami, już się uśmiechała, w pierwszych rzędach parteru klaka wściekle waliła w dłonie. Kurtyna szła w górę.

— Spójrz! — rzekł rozgadany la Faloise. — Lucy jest w towarzystwie jakiegoś pana.

Patrzał na balkonową lożę prosceniową po prawej stronie. Karolina i Lucy zajmowały tam przednie miejsca. Z głębi wyzierała pełna godności twarz matki Karoliny tudzież profil wysokiego młodzieńca o pięknej blond czuprynie, w nienagannym stroju.

— Popatrz! — powtarzał la Faloise natarczywie. — Jest z nią jakiś pan. Fauchery skierował ku loży prosceniowej lornetkę, lecz natychmiast się odwrócił.

— Och! To Labordette — mruknął obojętnie, jakby obecność tego pana była rzeczą oczywistą i bez żadnego znaczenia.

Z tyłu wołano: „Spokój!" Musieli zamilknąć. Sala znieruchomiała. Od parteru po amfiteatr wznosiło się morze głów wyciągniętych w oczekiwaniu. Pierwszy akt *Jasnowłosej Wenus* rozgrywał się na Olimpie. Był to Olimp tekturowy, z chmurami zamiast kulis i tronem Jowisza po prawej stronie. Najpierw Irys i Ganimed z udziałem sług niebiańskich śpiewali chórem, rozstawiając siedzenia przed naradą bogów. I tym razem tylko klaka biła rytmiczne brawa; publiczność czekała jakby trochę zdezorientowana. La Faloise oklaskiwał jedną z kobietek Bordenave'a, Klarysę Besnus, która grała rolę Irys w bladoniebieskiej szacie z wielką, siedmiokolorową szarfą przewiązaną w talii.

— Czy wiesz, że ona zdejmuje koszulę, kiedy wkłada ten strój? — rzekł do kuzyna tak, by słyszano go dokoła. — Przymierzaliśmy dziś rano. Koszula wyłaziła jej z dekoltu.

Lekki dreszcz poruszył salę. Weszła Róża Mignon jako Diana. Drobna czarnula, jak urwis paryski urocza, a zarazem brzydka, nie miała wzrostu ani twarzy odpowiednich do tej roli. Ale było coś czarującego w tych kpinach z postaci Diany. Występ rozpoczęła od bezdennie głupiej piosenki, w której skarżyła się na Marsa, że porzucił ją dla Wenus. Śpiewała tę melodię z wstydliwą powściągliwością, ale w tekście było tak wiele sprośnych dwuznaczników, że publiczność się rozpaliła. Mąż Róży i Steiner uśmiechali się życzliwie. A kiedy zjawił się ulubieniec publiczności Prullière w roli generała, kabaretowego Marsa, z ogromnym pióropuszem i szablą sięgającą mu do ramienia, sala buchnęła śmiechem. Mars miał już dosyć Diany, za bardzo zadzierała nosa. A Diana przysięgała, że będzie go miała na oku i że się zemści. Duet kończył się błazeńską piosenką tyrolską, którą Prullière śpiewał pociesznie głosem podrażnionego kocura. Był zabawny w roli próżnego, uszczęśliwionego amanta. Jego pyszałkowate spojrzenia wzbudzały głośny śmiech kobiet w lożach.

Potem publiczność znowu ochłodła, bo następne sceny okazały się nudne. Jedynie stary Bosc, jako głupawy Jowisz przytłoczony ogromną koroną, rozweselił na chwilę publiczność, gdyż miał sprzeczkę małżeńską z Junoną na tle rozliczenia z kucharką. Ale niewiele brakowało, by zepsuła wszystko defilada bogów, Neptuna, Plutona, Minerwy i innych. Niecierpliwiono się, wzrastał powoli niepokojący szmer, spektakl przestawał interesować widzów, którzy rozglądali się po sali. Lucy śmiała się z Labordette'em; hrabia de Vandeuvres łakomie spoglądał na tęgie ramiona Blanki, a Fauchery kątem oka zerkał na Muffatów. Hrabia był bardzo poważny, jakby niczego nie rozumiał, hrabina, uśmiechając się tajemniczo, patrzała zadumana i rozmarzona. Nagle pośród ogólnej nudy klaka zatrzeszczała jak regularny ogień plutonu. Wszyscy zwrócili się ku scenie. Czyżby nareszcie Nana? Jak długo kazała na siebie czekać!

Irys i Ganimed wprowadzili delegację śmiertelnych: szacownych mieszczan. Byli to zdradzeni mężowie. Przybyli przedstawić najwyższemu z bogów skargę na Wenus, która nadmiarem żarów miłosnych rozpalała ich żony. Bardzo zabawny był chór, jego żałosny i naiwny śpiew przeplatały chwile wymownego milczenia. „Chór rogaczy, chór rogaczy" — krzyczano na sali i domagano się bisów. Głowy chórzystów były komiczne, uważano, że mają twarze

odpowiednie do swych ról, zwłaszcza jeden grubas jak księżyc w pełni. Tymczasem zjawił się rozwścieczony Wulkan, pytając o żonę, która zwiała trzy dni temu. Chór znowu zaczął śpiewać zanosząc błagalne modły do Wulkana, boga rogaczy. Wulkana grał komik Fontan, oryginalny w swej wulgarności. Jako wielki kowal pocieszne kołysał się w biodrach; miał rudą, płomienną perukę i gołe ramiona z tatuażem w kształcie serc przebitych strzałami. Jakaś kobieta wyrwała się bardzo głośno: „Ach, jakiż on brzydki!", a inne śmiały się przyklaskując.

Następna scena wlokła się bez końca. Jowisz przeciągał naradę bogów, chcąc przedstawić prośbę zdradzonych mężów. A Nany ciągle jeszcze nie było! Czyżby ją chowano na sam koniec przedstawienia? Tak długie wyczekiwanie zirytowało wreszcie publiczność, która znowu zaczęła szemrać.

— Jakoś niedobrze — powiedział do Steinera rozpromieniony Mignon. — Będzie ładny wpadunek, zobaczy pan!

W tej chwili rozstąpiły się chmury i ukazała się Wenus. Bardzo wysoka i jak na swoje osiemnaście lat bardzo tęga, w białej tunice bogini, z długimi rudymi włosami rozpuszczonymi na ramiona. Nana spokojna i pewna siebie zstąpiła ku rampie, śmiejąc się do publiczności. Zaczęła śpiewać swoją popisową melodię:

Gdy Wenus błąka się z wieczora...

Ale już od drugiego wiersza publiczność zamieniała z sobą spojrzenia. Czyż to miał być żart, czy też jakiś zakład Bordenave'a? Nigdy nie słyszano równie prymitywnego i fałszywego głosu. Dyrektor trafnie ją określił; istotnie śpiewała jak wrona. Nie umiała nawet się ruszać na scenie, wyrzucała ręce naprzód, kołysząc całym ciałem w sposób wulgarny i bez wdzięku. Na parterze i na tańszych miejscach dały się słyszeć gwizdy oraz różne „ochy" i „achy", gdy raptem jakiś młodziutki, nieopierzony kogucik odezwał się z foteli parterowych dobitnym głosem:

— Bajeczna!

Wszyscy spojrzeli na niego. Był to cherubinek, jasnowłosy gimnazjalista, który na widok Nany wytrzeszczał piękne oczy, a twarz mu płonęła. Gdy poczuł zwrócone ku sobie spojrzenia, spąsowiał ze wstydu. Jego sąsiad, Daguenet, przyglądał mu się uśmiechnięty, publiczność, jakby rozbrojona, śmiała się i już nie myślała o gwizdaniu. Młodzieńcy w białych rękawiczkach, także oczarowani sylwetką Nany, rozpływali się w zachwytach i klaskali.

— Tak, tak! Świetnie! Brawo!

Nana zareagowała śmiechem na śmiech sali. Nastrój robił się coraz weselszy. Ta piękna dziewczyna była jednak zabawna, śmiech drążył w jej bródce rozkoszny dołeczek. Wcale nie zmieszana, swobodna, nawiązująca bezpośredni kontakt z publicznością, mrugnięciem oka zdawała się mówić, że nie ma za grosz talentu, ale cóż to szkodzi, skoro ma coś innego. Zwróciła się do dyrygenta z gestem oznaczającym: „Zaczynamy, mój drogi!", i rozpoczęła drugi kuplet:

Gdy Wenus przechodzi o północy...

Śpiewała ciągle tym swoim cierpkim głosem, lecz teraz tak już dobrze wiedziała, jak połechtać publiczność, że chwilami wywoływała dreszczyk na sali. Śmiały się przy tym serdecznie jej czerwone usteczka i wielkie, jasnoniebieskie oczy. Przy bardziej ognistych zwrotkach jej różowe nozdrza rozdymały się, a policzki płonęły. I wciąż kołysała się w biodrach — jedyne, co umiała. Ale nie widziano w tym już nic brzydkiego, przeciwnie, mężczyźni ją nawet lornetowali. Pod koniec kupletu zabrakło jej zupełnie głosu; skoro zorientowała się, że dalej nie da rady, wygięła się w biodrach, których krągłość zarysowała się pod cienką tuniką, i przechylona w tali, wypinając pierś, uniosła ramiona. Wybuchły oklaski. Ona, bez namysłu

odwróciwszy się, schodziła ze sceny, a jej rozsypane rude włosy wyglądały jak złote runo. Sala zatrzęsła się od oklasków.

Koniec aktu był mniej porywający. Wulkan chciał spoliczkować Wenus. Bogowie naradzali się i zdecydowali, że zanim dadzą satysfakcję zdradzonym mężom, zrobią wywiad na Ziemi. Wtedy właśnie Diana, która podsłuchała czułą rozmowę Wenery z Marsem, przysięgła, że podczas podróży nie spuści ich z oka. Następowała scena, w której dwunastoletnia dziewczynka w roli Miłości, dłubiąc w nosie, odpowiadała na wszystkie pytania tonem beksy: „Tak, mamo... Nie, mamo...” Potem Jowisz, srogi jak rozgniewany nauczyciel, zamykał Miłość w ciemnym gabinecie, każąc jej dwadzieścia razy odmieniać słowo „kocham”. Bardziej spodobała się partia finałowa, świetnie wykonana przez chór i orkiestrę. Lecz gdy opadła kurtyna, klaka daremnie usiłowała wywołać artystów. Wszyscy już wstali i kierowali się ku drzwiom.

Dreptano, popychano się w ścisku pomiędzy rzędami foteli, dzieląc się wrażeniami. Powtarzało się jedno zdanie: „To jest idiotyczne.”

Jakiś krytyk twierdził, że należałoby gruntownie się po tym przejechać. Zresztą nie chodziło wcale o sztukę, gdyż rozmawiano przede wszystkim o Nanie. Fauchery i la Faloise, wyszedłszy z pierwszych rzędów, spotkali się w kuluarach na parterze ze Steinerem i Mignonem. Duszno było w tej wąskiej i ciasnej kiszce, która wyglądała jak oświetlony gazowymi lampami korytarz w kopalni. Na chwilę przystanęli u stóp schodów po prawej stronie, osłonięci poręczą. Publiczność z tańszych miejsc schodziła stukając ciężkim obuwiem, jednocześnie przelewała się fala czarnych fraków, a bileterka robiła, co mogła, by przed naporem tłumu osłonić krzesło, na którym spiętrzyła okrycia.

— Ależ ja ją znam! — krzyczał Steiner spostrzegłszy Fauchery'ego. — Na pewno ją gdzieś widziałem... Zdaje mi się, że w Kasynie, skąd musiano ją wynieść, tak była pijana.

— Dokładnie już nie pamiętam — powiedział dziennikarz — ale podobnie jak pan na pewno ją gdzieś spotkałem... — Zniżył głos i dodał śmiejąc się: — Może u Tricony.

— No, proszę! W tak wstrętnym miejscu — oświadczył Mignon, który wydawał się rozdrażniony. — Doprawdy oburza mnie, że publiczność tak przyjmuje pierwszą lepszą dziewkę. Niedługo w teatrze nie będzie już uczciwych kobiet... Dojdzie do tego, że zabronię Róży grać.

Fauchery nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Tymczasem na schodach nie ustawały odgłosy ciężkiego obuwia. Jakiś jegomość w kaszkiecie mówił powoli:

— Niczego sobie ta tłuścioszka! Hoho! Byłoby co schrupać. W kuluarach kłóciło się dwóch młodych ludzi, ufryzowanych, wytwornych w swych zagiętych kołnierzykach. Jeden powtarzał: „Okropna! Okropna!”, bez żadnego uzasadnienia, a drugi gardząc także wszelką argumentacją odpowiadał: „Wspaniała! Wspaniała!”

La Faloise uważał, że jest bardzo ładna. Ośmielił się tylko dodać, że byłoby dobrze, gdyby szkoliła głos. Steiner, który już nie słuchał, nagle jakby oprzytomniał. Jego zdaniem, trzeba raczej poczekać, bo wszystko może się zepsuć w następnych aktach. Publiczność okazała życzliwość, ale spektakl jeszcze jej nie porwał. Mignon przysięgał, że klapa nastąpi jeszcze przed końcem przedstawienia, a gdy Fauchery i la Faloise poszli do foyer, chwycił za rękę Steinera, przywarł do jego ramienia i szepnął mu do ucha:

— Zobaczy pan strój mojej żony w drugim akcie... Wściekle pikantny!

Na górze w foyer trzy kryształowe żyrandole świeciły jaskrawo. Kuzyni zawahali się na chwilę. Przez otwarte oszklone drzwi widać było od jednego do drugiego końca sali rozkołysane fale głów, które krążyły to w tę, to w tamtą stronę. W końcu jednak przecisnęli się. Mężczyźni stali grupkami, rozmawiali bardzo głośno i gestykulowali, nie ruszając się z miejsca pośród poszturchiwań; albo też dreptali jeden za drugim, a zmieniając kierunek stukali obcasami w woskowany parkiet. Po prawej i lewej stronie pomiędzy marmurowymi kolumnami kobiety siedziały na czerwonych pluszowych ławeczkach i obserwowały przechodzący tłum,

znużone, jakby omdlałe z gorąca; z tyłu w wysokich lustrach odbijały się ich koki. W głębi przy bufecie jakiś opasły mężczyzna pił szklankę soku.

Fauchery chcąc odetchnąć wyszedł na balkon. Za nim podążył wnet la Faloise, który studiował fotografie aktorek wiszące, podobnie jak lustra, w ramach pomiędzy kolumnami. Przed chwilą zgaszono gazową rampę u wejścia do teatru. Na balkonie, który wydał im się pusty, było ciemno i chłodno. Tylko w prawej wnęce jakiś młody człowiek ukryty w cieniu opierał się łokciami o kamienną balustradę i palił papierosa, który skrzył się z daleka. Fauchery rozpoznał Dagueneta. Uścisnęli sobie dłonie.

— Cóż pan tu robi, kochaneczku? — spytał dziennikarz. — Na premierze chowa się pan po kątach albo nie opuszcza wcale widowni.

— Jak pan widzi, po prostu palę — odrzekł Daguenet. A Fauchery chcąc zbić go z tropu spytał:

— No cóż pan myśli o debiutantce?... W kuluarach mówią o niej raczej nieszczególnie.

— Och! — szepnął Daguenet — tak mówią mężczyźni, których ona nie chciała!

To była cała jego ocena talentu Nany. La Faloise wychylił się i patrzał na bulwar. Po przeciwległej stronie ulicy okna hotelu i jakiegoś klubu były jasno oświetlone. A na tarasie Kawiarni Madryckiej aż czarno było od stłoczonych przy stolikach gości. Pomimo spóźnionej pory ścisk był niebywały; ludzie posuwali się wolno, wychodzili nieustannie z pasażu Jouffroy i musieli czekać co najmniej pięć minut, by przejść przez jezdnię, bo powozy jechały nie kończącym się sznurem.

— Co za ruch! Co za zgiełk! — powtarzał la Faloise, którego Paryż jeszcze zdumiewał.

Odezwał się przeciągły dzwonek, foyer opustoszało. W kuluarach zapanował gorączkowy pośpiech. Kurtyna poszła już w górę, a jeszcze duże grupy publiczności wchodziły, ku oburzeniu tych widzów, którzy już siedzieli na swych miejscach. Wszyscy w napięciu oczekiwali dalszego ciągu przedstawienia. La Faloise od razu rzucił spojrzenie na Gagę. Zdziwił się ujrzawszy przy niej wysokiego blondyna, który przed chwilą siedział w loży prosceniowej Lucy.

— Jak się ten pan nazywa? — spytał. Fauchery z początku go nie dostrzegł.

— Ach, Labordette — powiedział wreszcie z gestem oznaczającym zupełną obojętność.

Dekoracja drugiego aktu była zaskakująca. Przedstawiała wnętrze „Czarnej Kuli", przedmiejskiej spelunki, w tłusty wtorek. Postacie w maskach karnawałowych śpiewały wesołą piosenkę akompaniując sobie przy refrenie przytupywaniem obcasami. Ten marny numer, po którym wiele sobie nie obiecywano, tak rozbawił publiczność, że musiano bisować piosenkę. W tej właśnie spelunce bogowie rozpoczynali wywiad; zabłądzili zresztą z winy Irys, która ich oszukała mówiąc, że zna Ziemię. Dla niepoznaki byli przebrani. Jowisz ukazał się jako król Dagobert, w spodniach wywróconych na lewą stronę i w wielkiej koronie z białej blachy. Feb zjawił się jako Pocztylion z Longjumeau, a Minerwa jako Mamka normandzka. Szalonymi wybuchami wesołości przyjęto Marsa w dziwacznym stroju szwajcarskiego Admirała. A gdy ukazał się Neptun, wszyscy parsknęli śmiechem: w bluzie, w wysokiej wydętej czapie, z loczkami przylepionymi na skroniach, szedł człapiąc pantoflami i mówił grubym głosem: „Co chcecie, skoro jestem pięknym mężczyzną, muszę pozwolić, by mnie kochano!" Wywołał tym serię „ochów", damy zasłoniły się z lekka wachlarzami. Lucy w loży prosceniowej śmiała się tak głośno, że Karolina Hèquet musiała ją uciszyć, trzepnąwszy wachlarzem.

Od tej chwili było już wiadomo, że sztuka wyszła z próby zwycięsko, a nawet zanosiło się na wielki sukces. Królewską ucztą wydawał się ten karnawał bogów, Olimp sponiewierany w błocie, bezlitosne kpiny z religii i poezji. Kulturalna publiczność premierowa w gorączce wyszydzania szargała legendę i burzyła antyczne postaci. Jowisz był górą. Mars pobity. Królewska godność stawała się farsą, armia żartem. Gdy Jowisz, zakochany nagle w praczce, zaczął tańczyć wyuzdanego kankana, Simona, która grała praczkę, podrzuciła nogę pod sam nos najwyższego z bogów, nazywając go tak zabawnie swoim „grubaskiem", że szalony śmiech wstrząsnął salą. Podczas tańca Feb podawał Minerwie czarki z grzanym winem, a Neptun

królował w otoczeniu siedmiu czy ośmiu kobiet, które raczyły go ciastkami. Podchwytywano aluzje, dodawano sprośne słowa, okrzyki orkiestry przekręcały sens niewinnych wyrazów. Od dawna już się nie zdarzyło, by publiczność teatralna upajała się tak bezdenną bzdurą. Było to dla niej odprężeniem.

Wśród tych szaleństw akcja toczyła się dalej. Wulkan jako elegancki młodzian, ubrany cały na żółto i w żółtych rękawiczkach, z monoklem w oku, uganiał się za Wenerą, która weszła na scenę jako Handlarka Ryb, w chustce na głowie, z biustem nader obfitym i obwieszona złotymi świecidełkami. Nana, biała, pulchna, tak pasowała do tej postaci mocnej w biodrach i w gębie, że od razu podbiła salę. Zapomniano o Róży Mignon, która, jako rozkoszne Bobo w słomkowym kapelusiku i krótkiej muślinowej sukience, czarującym głosem wypowiadała żałosne skargi Diany. Publiczność upajała się przede wszystkim wdziękami Nany, tęgiej, tryskającej werwą dziewczyny, która klepała się po udach i gdakała jak kura, roztaczając swe kobiece uroki. Od drugiego aktu mogła sobie już na wszystko pozwolić: źle się poruszać na scenie, śpiewać fałszywie, nie pamiętać roli. Wystarczyło, że odwracała się i śmiała, a już zrywały się brawa. Kiedy pocieszne wypinała biodra, orkiestra rozpalała się, podniecenie ogarniało całą salę aż pod samo sklepienie. Jako rej wodząca w spelunce osiągnęła szczyt powodzenia. Czuła się doskonale w roli Wenus siedzącej w rynsztoku na brzegu trotuaru, podpartej dłońmi w talii. Muzyka była świetnie dobrana do jej głosu dziewczyny z przedmieścia: dźwięki jakby fujarki na jarmarku w Saint-Cloud, gdy zabawnie kichnie klarnet i wściubiają się fletowe tony.

Bisowano jeszcze dwa numery. Walc z uwertury, ów walc o szelmowskim rytmie, odezwał się znowu i porwał bogów. Junona jako Farmerka docinała Jowiszowi wymawiając mu praczkę i tłukła go po głowie. Diana, która przyłapała Wenus w chwili, gdy umawiała się na schadzkę z Marsem, naprędce wyznaczała miejsce i godzinę spotkania Wulkanowi, który krzyczał: „Ja już mam swoje plany.” Następne sceny nie wydawały się zupełnie zrozumiałe. Wywiad kończył się galopem, po którym Jowisz, zadyszany, zlany potem, bez korony, oświadczył, że kobietki ziemskie są rozkoszne i że mężczyźni nie mają racji.

Kurtyna opadała, gdy rozległy się gwałtowne okrzyki, głośniejsze od braw: „Na scenę!”

Kurtyna poszła w górę. Artyści wyszli trzymając się za ręce. W środku Nana i Róża Mignon stały obok siebie i kłaniały się. Zerwały się oklaski, klaka wrzeszczała. Potem z wolna sala opróżniła się do polowy.

— Muszę się przywitać z hrabiną Muffat — powiedział la Faloise.

— Doskonale, teraz mnie przedstawisz — odrzekł Fauchery. — Potem zejdziemy.

Lecz nie było rzeczą łatwą dotrzeć do lóż balkonowych. Na górze w kuluarach panował nieznośny tłok. Chcąc się przecisnąć musieli się skulić i prześlizgiwać, manewrując łokciami. Jakiś znany krytyk, oparty grzbietem o miedzianą lampę, w której palił się płomień gazowy, omawiał sztukę otoczony gronem uważnych słuchaczy. Osoby przechodzące wymieniały półgłosem jego nazwisko. Według krążącej w kuluarach pogłoski krytyk ten śmiał się przez cały akt; a jednak teraz okazał się bardzo surowy, rozwodził się na temat dobrego smaku i moralności. Opodal krytyk o wąskich wargach wyrażał się o przedstawieniu przychylnie, ale miało to posmak czegoś cierpkiego.

Fauchery przeglądał loże przykładając oko do okrągłych otworów wyciętych w drzwiach. Hrabia de Vandeuvres zatrzymał go zasypując pytaniami. A gdy się dowiedział, że dwaj kuzyni idą powitać Muffatów, wskazał im lożę siódmą, z której właśnie wyszedł. Potem, pochylając się do ucha dziennikarza, rzekł:

— Niechże pan powie, mój drogi, wszak to tę Nanę widzieliśmy któregoś wieczoru na rogu ulicy Provence.

— No właśnie! Ma pan rację — krzyknął Fauchery. — Mówiłem przecież, że ją znam.

La Faloise przedstawił swego kuzyna hrabiemu Muffat de Beuville, który przyjął go ozięble. Lecz hrabina słysząc nazwisko Fauchery'ego podniosła głowę i z umiarem komplementowała

dziennikarza za jego artykuły w „Figaro”. Oparta łokciami o pluszową poręcz, odwróciła się ku niemu bokiem z wdzięcznym ruchem ramion. Po chwili rozmowa zeszła na temat Wystawy Światowej.

— To będzie bardzo piękne — rzekł hrabia, którego kwadratowa i regularna twarz wyrażała urzędową powagę. — Zwiedzałem dziś Pole Marsowe... Wróciłem zachwycony.

— Mówią, że nie wszystko będzie gotowe na czas — odważył się zauważyć la Faloise. — Tam jeszcze taki kram... Lecz hrabia przerwał mu surowo:

— Będzie gotowe... Tak chce cesarz.

Fauchery opowiadał z humorem, jak pewnego dnia udawszy się tam w poszukiwaniu tematu do artykułu o mało co byłby został w akwarium, które wówczas budowano. Hrabina uśmiechała się. Chwilami spoglądała na salę, podnosząc ramię w białej rękawiczce długiej do łokcia i wachlując się powolnym ruchem. Sala, już prawie pusta, zapadała w sen. W rzędach parterowych kilku panów rozłożyło dzienniki. Panie swobodnie przyjmowały gości jak w swoim domu. Pod żyrandolem, którego jasność przyćmiewał drobny pył unoszący się przy zmianie dekoracji, słychać było tylko szept wytwornego towarzystwa. W drzwiach gromadzili się mężczyźni, by zobaczyć kobiety, które pozostały na swych miejscach. Stali przez chwilę bez ruchu, wyciągając szyje i ukazując białe gorsy kształtu wielkich serc.

— Liczymy na pana w najbliższy wtorek — powiedziała hrabina do la Faloise'a.

Zaprosiła też Fauchery'ego, który się skłonił. Nie mówiono wcale o sztuce, nawet nie wymieniono imienia Nany. Hrabia zachowywał tak lodowatą godność, jakby był na posiedzeniu Ciała Ustawodawczego. Chcąc usprawiedliwić ich obecność na tym spektaklu, powiedział po prostu, że jego teść lubi teatr. Drzwi loży pozostały otwarte. Markiz de Chouard, który wyszedł, by zrobić miejsce odwiedzającym, prezentował swoją wysoką, starczą figurę i zmiętą, białą twarz. Spod kapelusza o szerokim rondzie patrzał mętnym wzrokiem na przechodzące kobiety.

Otrzymawszy od hrabiny zaproszenie na wtorkowe przyjęcie, Fauchery opuścił lożę. Wyczuł, że byłoby rzeczą niestosowną mówić teraz o sztuce. La Faloise wyszedł ostatni. W prosceniowej loży hrabiego de Vandeuvres zauważył właśnie blondyna Labordette, który rozsiadł się wygodnie, rozmawiając poufale z Blanką de Sivry. Spotkawszy znowu kuzyna powiedział:

— Ach! Ten Labordette zna chyba wszystkie kobiety?... Popatrz, teraz dla odmiany zabawia się z Blanką.

— Oczywiście, zna je wszystkie — odpowiedział z flegmą Fauchery. — Czyś ty z dębu spadł, że nie wiesz o tym?

W kuluarach nieco się rozluźniło. Fauchery miał właśnie zejść, gdy nagle Lucy go zawołała. Stała u wejścia do swej loży prosceniowej. Mówiła, że w środku można się ugotować. Zajmowała całą szerokość korytarza w towarzystwie Karoliny Hèquet i jej matki, które chrupały praliny. Bileterka rozmawiała z nimi familiarnie. Lucy wymyślała dziennikarzowi: ładnie to, że chodzi oglądać inne kobiety, a ich nawet nie spyta, czy nie chciałyby się czegoś napić! A przechodząc na inny temat, powiedziała:

— Wiesz co, kochanie, moim zdaniem Nana świetnie wygląda. Chciała, żeby został u nich w loży na ostatni akt, ale on uciekł obiecując, że spotka się z nimi przy wyjściu. Na dole, przed teatrem, Fauchery i la Faloise zapalili papierosy. Przycichał już szum bulwaru. Ludzie, którzy zeszli po kamiennych schodach, by odetchnąć świeżym powietrzem, zagradzali trotuar.

Tymczasem Mignon zaciągnął Steinera do kawiarni „Varietes”. Po sukcesie Nany zaczął mówić o niej z entuzjazmem, obserwując bankiera kątem oka. Znał go dobrze i już dwa razy pomógł mu zdradzić Różę, a potem, gdy kaprys minął, przyprowadzał go z powrotem, wiernego i pełnego skruchy. W przepełnionej kawiarni goście siedzieli w ścisku przy marmurowych stolikach; niektórzy spiesznie pili na stojąco. Wielkie lustra odbijały w nieskończoność morze głów i pogłębiały wąską salę z trzema świecznikami, ławeczkami z moleskinu, krętymi

schodami ozdobionymi czerwoną draperią. Steiner zajął stolik w otwartej na bulwar pierwszej sali, której drzwi wyjęto trochę za wcześnie na tę porę roku. Przechodzili właśnie Fauchery i la Faloise, więc bankier zatrzymał ich mówiąc:

— Może wypijecie z nami kufelek?

Lecz był pochłonięty jedynie myślą, żeby posłać bukiet Nanie. Zawołał w końcu garsona, którego poufale nazywał Augustem. Mignon, który nadsłuchiwał, spojrzał na niego tak wymownie, że Steiner zmieszał się bełkocząc:

— Niech August wręczy bileterce dwa bukiety. Po jednym dla każdej z tych dam, i podać im w odpowiedniej chwili, dobrze?

W drugim końcu sali stała nieruchomo przed pustą szklanką młoda, najwyżej osiemnastoletnia dziewczyna. Z głową opartą o ramę lustra, tkwiła przed pustą szklanką jakby odrętwiała przez długie i daremne czekanie. W oprawie naturalnych, pięknych, popielatych loków miała twarz Madonny i pełne słodyczy aksamitne, niewinne oczy; miała suknię z zielonego, wypłowiałego jedwabiu i okrągły, zniszczony kapelusz. Była blada od nocnego chłodu.

— Patrzcie! Satin — szepnął Fauchery dostrzegłszy ją. La Faloise zaczął go wypytywać. Ech, nic nadzwyczajnego, po prostu dziewka z bulwarów. Ale taka z niej szelma, że można się ubawić tym, co mówi. Dziennikarz podnosząc głos zapytał:

— Co ty tu robisz, Satin?

— Pluję i łapię — odpowiedziała spokojnie, nie ruszając się z miejsca. Czterej mężczyźni, zachwyceni, zaczęli się śmiać. Mignon zapewniał, że mają sporo czasu; ustawianie dekoracji do trzeciego aktu potrwa jakie dwadzieścia minut. Lecz dwaj kuzyni, wypiwszy piwo, chcieli już wrócić na górę; było im zimno. A Mignon, zostawszy sam ze Steinerem, podparł się łokciami i powiedział mu bez ogródek:

— No więc załatwione, pójdziemy do niej, przedstawię pana... Oczywiście to zostaje między nami, moja żona nie potrzebuje o tym wiedzieć. Wróciwszy na swoje miejsca, Fauchery i la Faloise zauważyli w jednej z lóż skromnie ubraną, ładną kobietę. Była w towarzystwie pana wyglądającego poważnie, naczelnika w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, którego la Faloise znał, bo spotkał go u Muffatów. Co do niej, Fauchery mniemał, że to pani Robert: kobieta uczciwa, która nie ma więcej jak jednego kochanka, i to zawsze człowieka godnego szacunku.

Musieli się jednak odwrócić. Uśmiechał się do nich Daguenet, który teraz, gdy Nana odniosła sukces, już się nie ukrywał, a przed chwilą triumfował w kuluarach. Obok niego młody gimnazjalista nie ruszał się ze swego fotela, osłupiały z podziwu dla Nany. „Ach, cóż to za wspaniała kobieta!" Rumienił się, wkładał i zdejmował rękawiczki. A gdy usłyszał, że jego sąsiad rozmawia o Nanie, odważył się zapytać:

— Przepraszam pana, czy pan zna tę damę, która występuje na scenie?

— Tak, trochę — szepnął z pewnym wahaniem zaskoczony Daguenet.

— Wobec tego zna pan jej adres?

Pytanie padło tak obcesowo, że miał ochotę odpowiedzieć policzkiem.

— Nie — rzekł oschle.

I odwrócił się plecami. Blondynek zrozumiał, że popełnił coś niewłaściwego. Jeszcze bardziej spąsowiał i stropił się.

Zabrzmiał trzeci dzwonek, garderobiane miały urwanie głowy z odbieraniem pelis i palt od wracającej na salę publiczności. Klaka już oklaskiwała dekoracje. Przedstawiały one grotę na stokach Etny, wydrążoną w kopalni srebra. Jej ściany lśniły jak nowe srebrne talary. W głębi blask bijący od kuźni Wulkana podobny był do zachodu słońca. W drugiej scenie Diana umawiała się z Wulkanem, który miał udać, że wyjeżdża, by ustąpić miejsca Marsowi i Wenus. Ledwie Diana została sama, na scenę weszła Wenus. Dreszcz przebiegł przez salę. Nana była naga. Ukazywała swą nagość spokojnie i zuchwale, pewna wszechmocy swego ciała. Otulała ją tylko gaza. Krągłe ramiona, piersi amazonki o różowych pąkach sterczących i

sztywnych jak lance, szerokie biodra kołyszące się lubieżnie, uda bujnej blondyny, wszystkie wdzięki jej ciała wyzierały z powiewnej, białej jak piana tkaniny. Spowijał ją jedynie płaszcz włosów. Była to Wenus wyłaniająca się z fal morskich. Gdy unosiła ramiona, w świetle rampy widać było złoty meszek pod pachami. Nikt nie klaskał, nikt się nie śmiał. Poważni mężczyźni patrzeli z napięciem, nosy mieli wyciągnięte, usta roznamiętnione i wyschłe. Jakby wiatr lekki, brzemienny głuchą groźbą, powiał po sali. Nagle w tej swawolnej dziewczynie obudziła się kobieta rozpalająca szał zmysłów i nie znanych dotąd chuci. Nana ciągle się uśmiechała; był to wyzywający uśmiech pożeraczki mężczyzn.

— Do licha! — rzekł po prostu Fauchery do la Faloise'a.

Tymczasem nadbiegł na umówione spotkanie Mars w pióropuszu i znalazł się w towarzystwie dwóch bogiń. Nastąpiła scena, którą Prullière zagrał finezyjnie. Obsypywany pieszczotami przez Dianę, która ostatni raz próbowała go usidlić przed wydaniem go w ręce Wulkana, hołubiony przez Wenus, którą podniecała obecność rywalki, pławił się w tych pieszczotach jak pączek w maśle. Scena kończyła się wspaniałym trio, podczas którego w loży Lucy Stewart ukazała się bileterka i rzuciła na scenę dwa ogromne bukiety białego bzu. Publiczność biła brawa. Nana i Róża Mignon kłaniały się, a Prullière podnosił bukiety. Część orkiestry z uśmieszkiem zwróciła się ku loży zajętej przez Steinera i Mignona. Bankierowi, któremu krew napłynęła do twarzy, konwulsyjnie drgała broda, jakby mu coś uwięzło w gardle.

To, co potem nastąpiło, rozpaliło salę do żaru. Diana, wściekła, odeszła. Natychmiast Wenus, siedząc na mchu, przywołała Marsa. Nigdy jeszcze nie odważono się przedstawić w teatrze bardziej namiętnej sceny uwodzenia. Nana tuliła do siebie Prullière'a, zarzuciwszy mu ramiona na szyję. Tymczasem w głębi groty ukazał się Fontan, wyrażający zabawną mimiką swoją wściekłość; miał przesadnie wykrzywioną twarz znieważonego męża, który przyłapuje żonę na gorącym uczynku. W ręku trzymał sławetną drucianą siatkę. Przez chwilę wymachiwał nią jak rybak, który ma zarzucić więcierze, po czym zręcznym chwytem złowił Wenus i Marsa w sidła i obezwładnił ich w pozie szczęśliwych kochanków.

Na sali wzmógł się szmer podobny do wzbierającego westchnienia. Kilka rąk zaklaskało, wszystkie lornetki były wymierzone w Wenus. Z wolna Nana podbijała publiczność, mężczyźni ulegali jej czarowi. Buchało od niej rują jak z rozwydrzonej bestii, owładnęła całą salą. Teraz już jej najmniejsze drgnienie budziło pożądanie, gestem małego palca wywoływała dreszcze. Grzbiety zaokrąglały się rozedrgane, jakby po muskułach przesuwały się niewidzialne smyczki. Na karkach jeżyły się swawolne włoski, które znikały zdmuchnięte ciepłymi oddechami nie wiadomo czyich ust kobiecych. Fauchery widział przed sobą gimnazjalistę, którego podniecenie podrywało z fotela. Korciło go, by zerknąć na pobladłego śmiertelnie hrabiego de Vandeuvres, który zaciskał wargi; pragnął zobaczyć, jak nadymała się apoplektyczna twarz grubego Steinera. Labordette wpatrywał się przez lornetkę ze zdumioną miną handlarza koni, który podziwia doskonałą klacz; zaczerwienione uszy Dagueneta aż mu się trzęsły z uciechy. Potem jednym błyskiem objął ložę Muffatów: za poważną i bladą hrabiną wspinał się na palcach rozanielony hrabia; na jego twarzy wystąpiły czerwone plamy. A mętne oczy stojącego obok markiza de Chouard wyglądały w ciemności jak fosforyzujące, roziskrzone ślepia kota. Było duszno. Na spoconych głowach włosy coraz bardziej ciążyły. W ciągu trzech godzin powietrze w sali nasyciło się ludzkimi wyziewami. W blasku gazowych płomieni gęstniały warstwy pyłu znieruchomiałe pod żyrandolem. Cała sala dygotała, zataczała się omdlewająca, ogarnięta szałem namiętności i pożądań, jakie budzą się nocą w głębi alkowy. Wobec tej omdlewającej publiczności, wobec tysiąca pięciuset stłoczonych osób, osłabionych i wyczerpanych nerwowo pod koniec spektaklu, Nana stała zwycięska prezentując swe marmurowe ciało i powaby płci, zdolne zniweczyć cały ten świat bez najmniejszego dla niej uszczerbku.

Sztuka skończyła się. Na triumfalne wezwanie Wulkana cały Olimp defilował przed parą zakochanych, wykrzykując „ochy” i „achy”, by wyrazić zdumienie i radość. Jowisz powie-

dział: „Synu mój, lekkoduch z ciebie, i żeś nas wezwał gwoli ujrzenia tego.” Potem nastąpił ukłon w stronę Wenus. Chór rogaczy, wprowadzony przez Irys, błagał najwyższego z bogów, żeby zaniechał dalszego śledztwa. Bo od czasu gdy kobiety pozostawały w domu, życie mężczyzn robiło się nieznośne. Woleli już być zdradzani i mieć święty spokój. Oto morał komedii. Więc uwolniono Wenus, a Wulkan otrzymał separację od stołu i łoża. Mars pogodził się z Dianą. Jowisz, chcąc mieć spokój w małżeństwie, wysłał swoją praczkę na jedną z konstelacji gwiezdnych. I wreszcie wyciągnięto Miłość z ukrycia, gdzie robiła ptaszki z papieru zamiast odmieniać słowo „kocham”. Kurtyna opadła w momencie apoteozy, gdy klęczący chór rogaczy śpiewał hymn wdzięczności na cześć Wenus, a ona uśmiechała się zwycięsko, świadoma władczych uroków swego ciała.

Widzowie wstali już i kierowali się ku drzwiom. Domagano się autorów, dwa razy ich wywoływano wśród piorunujących braw. „Nana! Nana!” ─ huczało wściekle. Potem na sali zrobiło się ciemno, zanim jeszcze opustoszała. Rampa wygasła, żyrandol przyćmiono, długi pokrowce z szarego płótna opadły z proscenium i zakryły złocenia. Sala, przed chwilą tak gorąca i hałaśliwa, zapadła nagle w ciężki sen. Rozchodziła się woń pleśni i kurzu. Hrabina Muffat, otulona futrem, stała w progu loży i patrzała w ciemność, czekając, aż tłum odpłynie.

W kuluarach popychano garderobiane, które traciły głowę wśród stosów poprzewracanych okryć; Fauchery i la Faloise śpieszyli się, żeby asystować paniom przy wyjściu. Wzdłuż westybulu mężczyźni tworzyli szpaler, a ze schodów po prawej i lewej stronie powoli zstępowały dwa nie kończące się, regularne i zwarte szeregi. Steiner, pociągnięty przez Mignona, zwiał jeden z pierwszych. Hrabia de Vandeuvres wyszedł pod rękę z Blanką de Sivry. Gaga i jej córka rozglądały się przez chwilę jakby zakłopotane, lecz Labordette spiesznie pobiegł, by przyprowadzić powóz, którego drzwiczki z szykiem za nimi zamknął. Nikt nie widział przechodzącego Dagueneta. Gimnazjalista, zdecydowany czekać przed wyjściem dla artystów, z rozpalonymi policzkami zbiegł do pasażu Panoram, którego bramę zastał zamkniętą. Stojąca na trotuarze Satin podeszła, by musnąć go swymi spódnicami. Lecz on, zrozpaczony, brutalnie odmówił i zniknął w tłumie, ze łzami pożądania i bezsilności w oczach. Widzowie zapalali cygara i rozchodzili się nucąc refren: „Gdy Wenus błąka się wieczorem...” Satin wróciła przed kawiarnię „Varietes”, gdzie August dał jej resztki cukru sprzątniętego ze stolików. Jakiś otyły mężczyzna, który wyszedł z teatru bardzo podniecony, zabrał ją w końcu, znikając w cieniu usypiającego powoli bulwaru.

Publiczność ciągle jeszcze wychodziła z teatru. La Faloise czekał na Klarysę. Fauchery obiecał, że zabierze Lucy Stewart z Karoliną Hèquet i jej matką. Właśnie nadchodziły. Zajęły cały kąt westybulu, śmiejąc się bardzo głośno, gdy Muffatowie przechodzili z lodowatą wyniosłością. Bordenave wynurzył się z bocznych drzwiczek i zobowiązał uroczyście dziennikarza, że da w gazecie wzmiankę o spektaklu. Dyrektor był zlany potem, rozpromieniony i jakby upojony sukcesem.

─ Dwieście przedstawień murowanych ─ powiedział do niego podniecony la Faloise. ─ Cały Paryż przedefiluje przez pański teatr.

Lecz Bordenave, nadąsany, gwałtownym ruchem brody wskazał na publiczność, która wypełniała westybul, tłum mężczyzn o wyschniętych wargach i rozpalonych oczach, odurzonych jeszcze i upojonych widokiem Nany, i krzyknął gwałtownie:

─ Powiedz raczej: przez mój burdel, diabelny uparciuchu!

II

Nazajutrz o godzinie dziesiątej Nana jeszcze spała. Zajmowała przy bulwarze Haussmanna drugie piętro dużego nowego domu, którego właściciel wynajmował mieszkania kobietom samotnym, żeby mu wysuszyły tynki. Ulokował ją tam pewien bogaty kupiec z Moskwy, który przyjechał na zimę do Paryża i zapłacił czynsz za pół roku z góry. To mieszkanie, zbyt dla niej obszerne, nigdy nie było kompletnie umeblowane. Raziły zbytkowne przedmioty, złocone konsolki i krzesła obok tandetnych rupieci, mahoniowe stoliczki obok kandelabrów z cynku udającego florencki brąz. Wyczuwało się, że mieszka tu porzucona za wcześnie przez pierwszego poważnego klienta dziewka, która wpadła z powrotem w ręce podejrzanych kochanków. Mieszkanie świadczyło o trudnym debiucie, o nieudanym wejściu w świat, zahamowanym przez brak kredytu i ciągłą groźbę eksmisji.

Nana leżała na brzuchu ściskając w nagich ramionach poduszkę, w której zanurzyła twarz bladą od snu. Sypialnia i buduar były jedynymi pokojami, które miejscowy tapicer urządził starannie. Światło przedzierało się przez zasłonę, ukazując palisandrowe meble, tapety i fotele obite brokatem w wielkie niebieskie kwiaty na szarym tle. W wilgotnej i sennej atmosferze pokoju Nana zerwała się nagle na równe nogi, jakby zaskoczona pustką wokół siebie. Spojrzała na drugą poduszkę i zobaczyła wśród gipiurowych koronek wklęśnięcie jeszcze ciepłe od czyjejś głowy. Wymacała ręką i nacisnęła guzik elektrycznego dzwonka u wezgłowia.

— Poszedł? — spytała pokojówkę, która się zjawiła.

— Tak, proszę pani, pan Paweł wyszedł, nie minęło jeszcze dziesięć minut... Ponieważ pani była zmęczona, nie chciał jej budzić. Ale kazał mi powiedzieć, że przyjdzie jutro.

Mówiąc to pokojówka Zoè otwierała żaluzje. Światło dzienne zalało pokój. Zoè była ciemną brunetką, uczesaną w drobne pukle; miała twarz długą jak psia mordka, siną i pokiereszowaną, spłaszczony nos, grube wargi i czarne, ciągle biegające oczy.

— Jutro, jutro — powtarzała Nana jeszcze niezupełnie rozbudzona. — Czy to jutro jego dzień?

— Tak, proszę pani, pan Paweł przychodzi zawsze w środę.

— Ależ nie, już sobie przypominam! — krzyknęła młoda kobieta siadając w łóżku. — Wszystko się zmieniło, chciałam mu to powiedzieć dziś rano... Wpadłby na tego murzyna. To dopiero byłby bal!

— Pani mnie nie uprzedziła, więc nie mogłam wiedzieć — szepnęła Zoè. — Skoro pani ma zamiar zmieniać dni, byłoby dobrze mnie zawiadomić, żebym wiedziała... To ten stary sknera nie będzie już przychodził we wtorki?

Zupełnie poważnie nazywały między sobą sknerą i murzynem dwóch mężczyzn, którzy płacili. Był to kupiec z dzielnicy Saint-Denis, z natury oszczędny, i pewien Włoch, domniemany hrabia, którego pieniądze, wpływające bardzo nieregularnie, miały dziwną woń. Daguenet kazał sobie zarezerwować dni po starym sknerze. Ponieważ kupiec musiał być od godziny ósmej rano w domu, młody człowiek w kuchni u Zoè czatował na jego wyjście i do godziny dziesiątej zajmował po nim miejsce, zupełnie jeszcze ciepłe. Potem sam szedł załatwiać swoje sprawy. Zarówno Nana, jak on uważali, że to jest bardzo wygodne.

— Trudno — rzekła — napiszę do niego dziś po południu... A jeżeli nie otrzyma mojego listu, jutro Zoè nie da mu wejść.

Tymczasem Zoè krzątała się cicho po pokoju. Mówiła o wielkim sukcesie wczorajszym. Pani wykazała tyle talentu, tak dobrze śpiewała! Ach! Pani może być teraz spokojna!

Oparta łokciem o poduszkę Nana odpowiadała tylko ruchem głowy. Koszula ześliznęła się, rozrzucone bujne włosy spadały jej na ramiona.

— No tak — szepnęła rozmarzona. — Ale jak przetrwać? Dziś czeka mnie mnóstwo przykrości... Ach, właśnie, czy konsjerż dziś rano jeszcze nie przychodził?

Zaczęły rozmawiać rzeczowo. Była winna za trzy miesiące, właściciel mówił, że zrobi jej zajęcie. Poza tym kłopot z wierzycielami: odnajemcą powozów, bieliźniarką, krawcem, węglarzem i jeszcze innymi, którzy codziennie przychodzili i siadali na ławeczce w przedpokoju. Straszny był zwłaszcza węglarz, gdyż krzyczał na całe schody. Lecz jej wielkim zmartwieniem był Ludwiś, dziecko, które urodziła, gdy miała szesnaście lat, i oddała do swojej mamki na wieś w okolicach Rambouillet. Ta kobieta żądała za zwrot Ludwisia trzysta franków. W przypływie macierzyńskiej miłości od czasu ostatnich odwiedzin u dziecka Nana rozpaczała, że nie może urzeczywistnić planu, o którym uparcie marzyła: zapłacić mamce i oddać małego do ciotki, pani Lerat, mieszkającej w dzielnicy Batignolles, gdzie mogłaby go odwiedzać, ilekroć by tylko chciała.

Pokojówka podsuwała myśl, że pani powinna by zwierzyć się ze swych finansowych kłopotów staremu sknerze.

— Ech! Już mu mówiłam — krzyknęła Nana. — Odparł, że ma zbyt poważne płatności. Nie przekracza przecież w wydatkach na mnie tysiąca franków miesięcznie... A murzyn jest w tej chwili spłukany, myślę, że przegrał w karty... Jeśli chodzi o biednego Mimi, to sam bardzo potrzebowałby pożyczki. Bessa na giełdzie tak go zrujnowała, że nie może już nawet przynosić mi kwiatów.

Mówiła o Daguenecie. Na wpół jeszcze zamroczona i zaspana, nie miała sekretów przed Zoè, która, przywykła do podobnych konfidencji, przyjmowała je z pełną szacunku sympatią. Skoro pani raczyła jej opowiadać o swoich sprawach, mogła sobie pozwolić na wyrażenie swego zdania. Bardzo przecież lubiła swoją panią, dla niej odeszła od pani Blanki, a pani Blanka doprawdy robiła, co mogła, by ją odzyskać! Miejsc nie brakowało, była dosyć znana! Ale jednak wolała zostać u swej pani i dzielić z nią nawet kłopoty, bo wierzyła w jej przyszłość. Wreszcie sprecyzowała swoje rady. Kiedy człowiek jest młody, popełnia głupstwa. Ale teraz już trzeba mieć oczy szeroko otwarte, bo mężczyznom tylko żarty w głowie. Och! Można by ładnie zarobić! Wystarczyłoby jedno słowo pani, by zaspokoić wierzycieli i znaleźć pieniądze, które jej są potrzebne.

— To wszystko nie daje mi trzystu franków — powtarzała Nana zagłębiając palce w swych niesfornych kosmykach. — Muszę mieć trzysta franków dziś, natychmiast... Jak to głupio nie znać nikogo, kto mógłby dać trzysta franków.

Szukała w pamięci. Mogłaby posłać do Rambouillet panią Lerat, na którą czekała od samego rana. To, że nie mogła dogodzić swemu kaprysowi, psuło jej radość z wczorajszego triumfu. I pomyśleć, że wśród tych wszystkich mężczyzn, którzy ją oklaskiwali, nie ma żadnego, który byłby gotów przynieść jej piętnaście ludwików! Zresztą nie może tak po prostu przyjmować pieniędzy. Boże! Jak bardzo jest nieszczęśliwa! Nieustannie wracała do swego dziecka, które ma niebieskie oczy cherubinka i bełkocze „mamo” tak zabawnym głosem, że można pęknąć ze śmiechu.

W tej chwili przy drzwiach wejściowych odezwało się szybkie i niepokojące drganie elektrycznego dzwonka. Zoè wróciła szepcząc z poufałą miną:

— Jakaś kobieta. — Dwadzieścia razy widziała już tę kobietę, udawała tylko, że jej nie poznaje i że nie wie, co łączy ją z kokotami, które są w kłopotach pieniężnych.— Powiedziała mi swoje nazwisko... pani Tricon.

— Ach, Tricona! — krzyknęła Nana. — Doprawdy, zapomniałam o niej... Niech wejdzie.

Zoè wprowadziła starszą, wysoką kobietę uczesaną w długie loki; miała wygląd hrabiny, która ciągle się procesuje. Pokojówka ulotniła się znikając zwinnym ruchem żmii, jak zwykle, gdy wchodził do Nany jakiś mężczyzna. Zresztą tym razem mogła była zostać, gdyż Tricona nawet nie usiadła. Nastąpiła tylko krótka wymiana zdań.

— Mam dziś kogoś dla pani... Chce pani?

— Tak... Ile?
— Dwadzieścia ludwików.
— O której?
— O trzeciej... Zgoda?
— Zgoda.

Tricona od razu zmieniła temat; zaczęła mówić o pogodzie, że jest sucho, że chodzić wygodnie. Musi jeszcze odwiedzić cztery czy pięć osób. I wyszła zaglądając do notesika. Nana została sama. Doznała uczucia ulgi. Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach, zagrzebała się znowu w ciepłym łóżku, miękko, powolnie jak kotka wrażliwa na zimno. Niebawem powieki jej opadły, a na ustach zjawił się uśmiech — pomyślała, że nazajutrz ślicznie ubierze Ludwisia. A tymczasem na nowo ogarniał ją sen, gorączkowy sen, który przez całą noc upajał ją przeciągłym hukiem braw i koił znużenie.

O godzinie jedenastej, gdy Zoè wpuściła do sypialni panią Lerat, Nana jeszcze spała. Ale obudzona hałasem powiedziała:

— Ach, to ty... Dziś pojedziesz do Rambouillet.

— Właśnie dlatego przyszłam — oświadczyła ciotka. — Jest pociąg o dwunastej dwadzieścia. Jeszcze zdążę pojechać.

— Nie, trochę później będę miała pieniądze — rzekła młoda kobieta przeciągając się i wypinając pierś. — Zjesz śniadanie, a potem zobaczymy.

Zoè przyniosła peniuar i szepnęła:

— Proszę pani, fryzjer przyszedł.

Lecz Nana nie chciała przejść do gotowalni i krzyknęła:

— Proszę wejść, Francis.

Pan, ubrany bez zarzutu, pchnął drzwi. Skłonił się. Właśnie Nana, bosa, wychodziła z łóżka. Nie spieszyła się. Wyciągnęła ręce, żeby Zoè pomogła jej wdziać rękawy peniuaru. A Francis, czując się jak u siebie, z miną pełną godności czekał nie odwracając się. Odezwał się dopiero wtedy, gdy usiadła i gdy zaczął ją czesać.

— Może pani jeszcze nie widziała dzienników... Jest bardzo dobry artykuł w „Figaro".

Miał go przy sobie. Pani Lerat włożyła okulary i stojąc przy oknie głośno czytała. Prostowała swoją figurę żandarma. Gdy wymawiała jakiś wymyślny przymiotnik, marszczyła nos. Był to artykuł Fauchery'ego napisany zaraz po wyjściu z teatru, dwie szpalty skreślone w ciepłym tonie z dowcipną złośliwością pod adresem artystki i brutalnym podziwem dla kobiety.

— Znakomite! — powtarzał Francis.

Nana śmiała się, że strojono żarty na temat jej głosu. Ten Fauchery jest jednak miły, odwzajemni mu się za to. Pani Lerat po przeczytaniu artykułu oświadczyła nagle, że wszyscy mężczyźni mają diabła w łydkach. Nie chciała dokładniej wyjaśnić tego określenia, zadowolona ze sprośnej aluzji, którą tylko ona rozumiała. Tymczasem Francis kończył podkręcanie i układanie włosów. Ukłonił się mówiąc:

— Rzucę okiem na dzienniki wieczorne... Jak zwykle, prawda? o wpół do szóstej?

— Przynieś mi słoik pomady i funt pralin od Boisiera! — krzyknęła do niego Nana przez salon, w chwili gdy już zamykał drzwi.

Skoro tylko kobiety zostały same, przypomniały sobie, że jeszcze się nie ucałowały. Złożyły więc sobie wzajemnie na policzkach gorące pocałunki. Artykuł w „Figaro" je podniecił. Zaspaną do tej pory Nanę ogarnęła znowu gorączka triumfu. Ach! Róża Mignon miała dziś na pewno ładny ranek! Ponieważ ciotka nie chciała przyjść do teatru w obawie, że nadmiar wzruszeń mógłby jej zaszkodzić na żołądek, Nana zaczęła jej opowiadać o wieczorze. Upajała się własnym opowiadaniem, jakby cały Paryż trząsł się od oklasków. Potem, przerywając sobie nagle, spytała ze śmiechem, czy mógł się kto tego spodziewać, wówczas kiedy jako smarkula włóczyła się po ulicy Goutte d'Or. Pani Lerat potrząsała głową. Nie, nie, kto by to mógł przewidzieć. Z kolei sama zaczęła mówić strojąc poważne miny i nazywając Nanę

swoją córką. Czyż nie była teraz jej drugą matką, skoro pierwsza odeszła do tatusia i babci? Nana, głęboko wzruszona, była bliska płaczu. Lecz pani Lerat powtarzała, że nie warto wracać do przeszłości, och, szkaradnej przeszłości. Nie trzeba tych rzeczy ciągle odgrzebywać. Od dawna już przestała widywać swoją siostrzenicę. Bo w rodzinie oskarżano ją, że razem z tą małą schodzi na złe drogi. Jakby to w ogóle było możliwe! Nie żąda od niej żadnych zwierzeń ufając, że zawsze żyła uczciwie. Teraz wystarczało jej, że odnajduje Nanę w świetnej sytuacji i pełną czułości dla synka. Uczciwość i praca to najlepsze wartości na tym świecie.

— Kto jest ojcem tego dziecka? — spytała, przerywając, z gorączkową ciekawością w oczach. Nana, zaskoczona, zawahała się przez mgnienie oka.

— Pewien pan — odpowiedziała.

— Ach tak! — podjęła ciotka. — Mówili, że miałaś je z jakimś murarzem, który cię bił... Zresztą opowiesz mi o tym którego dnia. Wiesz, że jestem dyskretna!... Już ja go będę pilnować, jakby był synem księcia.

Porzuciła zawód kwiaciarki i żyła z oszczędności, z sześciuset franków renty zebranych grosz do grosza. Nana obiecała, że jej wynajmie ładne mieszkanko, a ponadto będzie dawać sto franków miesięcznie. Słysząc tę cyfrę ciotka zapomniała się, krzyczała do siostrzenicy, że powinna wycisnąć z nich jak najwięcej, skoro już ma ich w ręku; mówiła oczywiście o mężczyznach. Jeszcze raz się ucałowały. Lecz nagle Nana zasępiła się, gdy w radosnym nastroju zaczęła znowu mówić o Ludwisiu.

— Doprawdy, to okropne, że muszę wyjść o trzeciej! — szepnęła. — Istna pańszczyzna.

Właśnie Zoè oznajmiła, że podano do stołu. Przeszły do jadalni, gdzie siedziała już przy stole jakaś starsza pani. Była w kapeluszu, odziana w ciemną suknię niewyraźnego koloru, coś między pchłą a gęsim łajnem. Nana nie wydawała się zdziwiona jej obecnością. Spytała ją po prostu, dlaczego nie weszła do pokoju.

— Słyszałam jakieś głosy — odrzekła stara. — Myślałam, że nie jesteś sama.

Pani Maloir, osoba dobrze ułożona i wyglądająca czcigodnie, była starą przyjaciółką Nany. Dotrzymywała jej towarzystwa i wszędzie z nią bywała. Z początku zdawało się, że obecność pani Lerat ją niepokoi. Ale gdy dowiedziała się, że jest ciotką Nany, spojrzała na nią łagodnie i uśmiechnęła się blado. Tymczasem Nana, która mówiła, że jest głodna jak wilk, rzuciła się na rzodkiewki i chrupała je bez chleba. Pani Lerat zachowywała się ceremonialnie i nie chciała jeść rzodkiewek, bo to powoduje niestrawność. A gdy Zoè przyniosła kotlety, Nana jadła mięso półgębkiem i tylko wysysała kości. Kątem oka spoglądała na kapelusz swej przyjaciółki i w końcu powiedziała:

— Czy to jest ten nowy kapelusz, który ci podarowałam?

— Tak, ale go przerobiłam — szepnęła pani Maloir z pełnymi ustami. Kapelusz był dziwaczny, szeroki z przodu i ozdobiony wysokim piórem. Pani Maloir miała manię przerabiania wszystkich swoich kapeluszy. Ona jedna wiedziała, w czym jej dobrze, i jednym ruchem ręki robiła rzeszoto z najbardziej eleganckiego nakrycia głowy. Nana, która właśnie kupiła jej ten kapelusz, żeby się już nie rumienić, gdy ją zabierała z sobą, omal się nie rozgniewała i krzyknęła:

— Niech pani go przynajmniej zdejmie!

— Nie, dziękuję — odrzekła stara z godnością — wcale mi nie przeszkadza przy jedzeniu.

Po kotletach były kalafiory i resztka zimnego kurczęcia. Lecz Nana przy każdym daniu trochę się krzywiła. Wahała się, wąchała, zostawiała wszystko na talerzu. Zakończyła śniadanie konfiturą.

Deser przeciągał się. Zoè nie zdjęła obrusa, bo miała jeszcze podać kawę. Panie po prostu odstawiły talerze. Ciągle mówiono o wczorajszym pięknym wieczorze. Nana kręciła papierosy, które paliła rozwalona w krześle, kołysząc się. Zoè, oparta plecami o bufet, zaczęła opowiadać o sobie, wymachując rękami. Mówiła, że jest córką akuszerki z Bercy, która miała na sumieniu jakieś podejrzane sprawy. Najpierw poszła na służbę do dentysty, później do agenta

ubezpieczeniowego. Ale jakoś jej nie szło. Potem z pewną dumą wymieniała panie, u których służyła jako pokojówka. Zoè dawała do zrozumienia, że od niej zależał ich los. Bo rzeczywiście niejedna z nich bez jej pomocy miałaby się z pyszna. Więc na przykład pewnego dnia, gdy u pani Blanki był pan Oktaw, nadszedł stary. Co robi Zoè? Umyślnie przewraca się przechodząc przez salon; stary rzuca się na ratunek, biegnie do kuchni po szklankę wody, a pan Oktaw ucieka.

— Ach! To świetnie! — rzekła Nana, która słuchała opowiadania z serdecznym zainteresowaniem, a nawet z pewnym podziwem.

— A ja przeżyłam wiele nieszczęść... — rozpoczęła pani Lerat. I nachylając się do pani Maloir, zaczęła się jej zwierzać. Obie jadły kawałki cukru maczane w koniaku. Pani Maloir wysłuchiwała sekretów innych ludzi, nie wyrywając się nigdy z niczym o sobie. Mówiono, że żyje z tajemniczej pensji, w jednym pokoju, do którego nikt nie ma wstępu.

Nagle Nana uniosła się.

— Proszę cię, ciociu, nie baw się nożami... Wiesz przecież, że to mnie drażni. — Nie zwracając na to uwagi, pani Lerat skrzyżowała właśnie dwa noże na stole. Wprawdzie młoda kobieta tępiła w sobie przesądy; ani rozsypana sól, ani piątek nic już dla niej nie znaczyły, ale co do noży, nie, tego przesądu nie potrafiła się wyzbyć, bo to się zawsze sprawdzało. Teraz na pewno spotkają coś przykrego. Ziewnęła, a potem powiedziała z miną potwornie znudzoną: — Już druga... Muszę iść. Co za okropność!

Dwie stare kobiety spojrzały na siebie. Wszystkie trzy bez słowa potrząsały głowami, jakby chciały powiedzieć, że, oczywiście, te rzeczy nie zawsze są zabawne. Nana znowu się rozsiadła, zapalając jeszcze jednego papierosa, a one dyskretnie zaciskały wargi w filozoficznej zadumie.

— Zanim będziesz gotowa, zagramy w bezika — rzekła pani Maloir po chwili milczenia. — Gra pani w bezika?

Pani Lerat grała, nawet doskonale. Nie chciały przeszkadzać Zoè, która wyszła z pokoju. Wystarczył im róg stołu, odsunęły obrus, zarzucając go na brudne talerze. Lecz gdy pani Maloir szła po karty do szuflady w bufecie, Nana ją poprosiła, żeby zechciała napisać jej list, zanim jeszcze zasiądzie do kart. Pisanie ją nużyło, zresztą nie była pewna swej ortografii, a stara przyjaciółka układała bardzo czułe listy. Poszła po papier listowy do swego pokoju. Kałamarz, a raczej butelka atramentu za trzy su stała na jakimś meblu wraz z zardzewiałym piórem. List był do Dagueneta. Pani Maloir z własnej inicjatywy napisała swym pięknym pismem angielskim:

„Mój drogi maleńki", a dalej zawiadamiała go, że nie ma przyjść nazajutrz, bo „się nie składa", lecz „zarówno z dala, jak z bliska zawsze myślami jest przy nim".

— Zakończę list „tysiącem całusów" — szepnęła.

Pani Lerat ruchami głowy wyrażała uznanie dla każdego zdania. Oczy miała roziskrzone, lubiła uczestniczyć w sprawach sercowych. Chciała też dodać coś od siebie, więc zagruchała czule:

— „Tysiąc razy całuję twe piękne oczy."

— Tak, tak. „Tysiąc razy całuję twe piękne oczy" — powtórzyła Nana, a stare kobiety były rozanielone.

Zadzwoniono na Zoè, żeby zeszła i oddała list posłańcowi. Właśnie rozmawiała z chłopcem z teatru, który przyniósł dla pani biuletyn zostawiony rano. Nana kazała mu wejść i poleciła, by w drodze powrotnej zaniósł list do Dagueneta. Potem zaczęła go wypytywać. Och! Pan Bordenave jest bardzo zadowolony, bilety zostały wyprzedane już na tydzień naprzód. Pani nie może sobie wyobrazić, ile osób pytało od rana o jej adres. Kiedy chłopiec odszedł, Nana powiedziała, że wychodzi najwyżej na pół godziny. Gdyby ktoś pytał o nią, niech zaczeka. Nie skończyła jeszcze mówić, gdy odezwał się dzwonek. Zjawił się wierzyciel, odnajemca

powozów. Usiadł na ławeczce w przedpokoju i powiedział, że może tak siedzieć do wieczora, wcale mu się nie spieszy.

— No, do roboty! — rzekła Nana rozleniwiona i odrętwiała, ziewając i przeciągając się. — Powinnam już tam być.

Ale nie ruszała się. Śledziła grę ciotki, która właśnie zalicytowała sto od asa. Podparła brodę ręką, pochłonięta bez reszty przebiegiem gry. Skoczyła na równe nogi, słysząc, że bije trzecia.

— Do licha! — rzuciła brutalnie.

Pani Maloir, który liczyła bitki, zachęcała ją swym miękkim głosem.

— Kochanie, byłoby dobrze, żebyś się już tego jak najprędzej pozbyła.

— Załatw to szybko — rzekła pani Lerat tasując karty. — Pojadę pociągiem o wpół do piątej, jeśli zdążysz z pieniędzmi przed czwartą.

— Och, to nie potrwa długo — szepnęła.

W dziesięć minut przy pomocy Zoè włożyła suknię i kapelusz. Nie przejmowała się, że jest ubrana niedbale. Gdy już miała wyjść, znowu odezwał się dzwonek. Tym razem przyszedł węglarz, który postanowił dotrzymać towarzystwa odnajemcy powozów. Będą się razem zabawiali. Chcąc uniknąć przykrej sceny, Nana przeszła przez kuchnię i zwiała schodami kuchennymi. Zresztą często wychodziła tamtędy, musiała tylko unieść spódnicy.

— Gdy kobieta jest dobrą matką, należy jej wszystko wybaczyć — rzekła sentencjonalnie pani Maloir znalazłszy się sam na sam z panią Lerat.

— Mam osiemdziesiąt od króla — odparła pani Lerat, którą gra pasjonowała.

I obie bez pamięci pogrążyły się w kartach.

Ze stołu nie było jeszcze sprzątnięte; niewyraźna mgiełka wypełniała pokój, rozchodził się zapach jedzenia i dym z papierosów. Panie zabrały się znowu do ssania cukru maczanego w alkoholu. Już z dziesięć minut grały tak ssąc cukier, gdy na odgłos trzeciego dzwonka Zoè weszła nagle i szturchnęła je poufale.

— Słuchajcie, nie przestają dzwonić... Nie możecie tu zostać. Jeżeli przyjdzie wiele osób, będzie mi potrzebne całe mieszkanie... No już, wynoście się!

Pani Maloir chciała skończyć partyjkę. Lecz ponieważ Zoè zrobiła minę, jakby zamierzała rzucić się na karty, postanowiła przenieść się z grą gdzie indziej, niczego nie przewracając, a pani Lerat zabrała z sobą butelkę koniaku, szklanki i cukier. Spiesznie udały się do kuchni, gdzie siadły przy końcu stołu pomiędzy schnącymi ścierkami i szaflikiem, pełnym jeszcze pomyj.

— Więc mówiłyśmy trzysta czterdzieści... Teraz pani kolej.

— Wychodzę w kiery.

Gdy Zoè wróciła, były znowu pochłonięte grą. Po chwili milczenia, gdy pani Lerat tasowała karty, pani Maloir spytała:

— Kto przyszedł?

— Och, nikt godny uwagi — odparła służąca niedbale. — Młodziutki chłopiec... Chciałam go odprawić, ale jest taki ładny, jeszcze bez zarostu, ma niebieskie oczy i dziewczęcą twarzyczkę. Więc mu ostatecznie powiedziałam, żeby zaczekał... Trzyma w ręku ogromny bukiet i za nic nie chce go odłożyć. Ten smarkacz powinien jeszcze chodzić do szkoły i obrywać klapsy.

Pani Lerat poszła po karafkę z wodą, żeby przygotować grog. Cukier wywołał pragnienie. Zoè szepnęła, że ona także skosztowałaby chętnie. Mówiła, że czuje w ustach gorycz jakby z żółci.

— A gdzież tkwi ten malec? — spytała pani Maloir.

— Ano tam, w tylnym pokoiku, tym nieumeblowanym... gdzie jest tylko stół i kufer mojej pani. Tam lokuję takich nicponiów.

Mocno cukrzyła grog, gdy nagle, na dźwięk dzwonka elektrycznego, skoczyła na równe nogi. Psiakrew! Nie można spokojnie wypić! Jak się zacznie dzwonienie, to już jest urwanie głowy. Ale pobiegła otworzyć. Po chwili, na pytające spojrzenia pani Maloir, odpowiedziała:

— To tylko bukiet.

Pokrzepiły się wszystkie trzy, przepijając do siebie. Kiedy Zoè sprzątnęła wreszcie ze stołu i przyniosła talerze do zlewu, odezwały się dalsze dwa dzwonki. Ale to nie było nic godnego uwagi. Informowała kuchnię dokładnie, dwa razy pogardliwie powtórzyła:

— To tylko bukiet.

Tymczasem obie panie pomiędzy jedną bitką a drugą wybuchały śmiechem słysząc od Zoè, jakie miny robią w przedpokoju wierzyciele na widok przysyłanych kwiatów. Pani znajdzie swoje bukiety na gotowalni. Szkoda, że kwiaty tyle kosztowały i że nie można dostać za nie nawet dziesięciu su. Ile to straconych pieniędzy.

— Ja — rzekła pani Maloir — chciałabym mieć codziennie to, co mężczyźni wydają w Paryżu na kwiaty dla kobiet.

— Ho! ho! Też mi skromna — szepnęła pani Lerat. — Mnie wystarczyłoby choćby to, co wydają na szpagat do wiązania kwiatów... Moja droga, sześćdziesiąt z damy.

Była za dziesięć minut czwarta. Zoè, zdziwiona, nie mogła zrozumieć, dlaczego pani tak długo nie wraca. Zwykle, gdy musiała wyjść po południu, załatwiała to migiem. Lecz pani Maloir oświadczyła, że nie zawsze można wszystko zrobić tak, jak się chce. — Bywają przecież przeszkody w życiu — oświadczyła pani Lerat. Trzeba poczekać. Jeżeli jej siostrzenica się spóźnia, widocznie zatrzymały ją jakieś sprawy, prawda? Zresztą im to nie przeszkadza wcale, w kuchni czują się świetnie. A ponieważ nie miała już kierów, rzuciła karo.

Znowu odezwał się dzwonek. Zoè weszła cała w płomieniach.

— Wiecie co, przyszedł gruby Steiner! — powiedziała w drzwiach, ściszając głos. — Wpakowałam go do saloniku.

Pani Maloir zaczęła opowiadać o bankierze pani Lerat, która nie znała tych panów. Czyżby miał zamiar porzucić Różę Mignon? Zoè potrząsała głową, bo przecież wiedziała niejedno. Ale znowu musiała pójść otworzyć.

— A to ci dopiero awantura — szepnęła wracając. — Przyszedł murzyn! Chociaż mu tłumaczyłam, że pani wyszła, wlazł do sypialni... Spodziewałyśmy się go dopiero dziś wieczorem.

Piętnaście minut po czwartej Nany jeszcze nie było. Cóż takiego mogła robić? To nie było rozsądne. Znowu przyniesiono dwa bukiety. Zoè, strapiona, zajrzała, czy jest kawa. Panie na pewno chętnie napiłyby się kawy; to by je orzeźwiło. Przyrośnięte do krzeseł już zasypiały, sięgając ciągle tym samym gestem po karty. Wybiło wpół do piątej. Stanowczo pani coś się stało, szeptały między sobą.

Raptem pani Maloir zapominając się oświadczyła głośno:

— Mam pięćset!... Dużą piątkę atutową!

— Cicho! — rzekła Zoè gniewnie. — Co pomyślą wszyscy ci panowie? W ciszy, jaka zapanowała wśród tłumionego szeptu dwóch sprzeczających się starych kobiet, odezwał się odgłos szybkich kroków na schodach kuchennych. Nareszcie wracała Nana. Zanim otwarła drzwi, słychać było, jak sapie. Weszła energicznym krokiem, bardzo zaczerwieniona. Tasiemki ściągające jej spódnicę widocznie pękły, bo zamiatała nią schody, a falbany ociekały jakimiś pomyjami spływającymi z pierwszego piętra, gdzie służąca była istnym flejtuchem.

— Nareszcie! Co za szczęście! — rzekła pani Lerat zaciskając wargi, jeszcze poirytowana pięćsetką pani Maloir. — Możesz się pysznić, że wystrychnęłaś kogoś na dudka!

— Doprawdy, pani nie jest rozsądna! — dorzuciła Zoè. Nanę do reszty rozdrażniły te wymówki. Ładnie ją tu przyjmują, a dopiero przed chwilą spotkała ją taka przykrość!

— Dajcie mi spokój! — krzyknęła.

— Ciszej, proszę pani, tu jest pełno ludzi — rzekła służąca. A młoda kobieta zniżając głos wyjąkała zziajana:

— Myślicie, że ja się bawiłam? To trwało bez końca. Chciałabym was widzieć w tej sytuacji... Kipiałam z gniewu, miałam chęć bić... I nie mogłam znaleźć żadnej dorożki, żeby wrócić. Na szczęście było to zaledwie dwa kroki stąd. Ale jednak biegłam z całych sił.

— Masz pieniądze? — spytała ciotka.

— Co za pytanie! — odrzekła Nana.

Usiadła na krześle przy piecyku, nie czuła już nóg. Lecz zanim jeszcze odetchnęła, wyciągnęła zza stanika kopertę, w której były cztery banknoty stufrankowe. Widać je było przez dużą szczelinę, którą Nana zrobiła brutalnie palcem, by sprawdzić zawartość koperty. Trzy kobiety stojące dokoła niej wlepiały wzrok w kopertę, w gruby papier pomięty i zabrudzony, który trzymała swymi drobnymi rączkami w rękawiczkach. Lecz pora była już spóźniona i pani Lerat dopiero następnego dnia mogła pojechać do Rambouillet. Nana zaczęła szeroko wyjaśniać.

— Proszę pani, kupa ludzi czeka — powtórzyła pokojówka. Nana znowu się uniosła. Niech sobie czekają, aż załatwi swoje sprawy. A gdy ciotka wyciągnęła rękę w stronę pieniędzy, Nana rzekła:

— Ach, przecież nie wszystko. Trzysta franków dla mamki, pięćdziesiąt franków na opłacenie twojej podróży i wydatków, to razem trzysta pięćdziesiąt... Dla siebie zatrzymuję pięćdziesiąt franków.

Kłopot był tylko z drobnymi, gdyż w domu nie miały nawet dziesięciu franków. Nie pytały wcale pani Maloir, która słuchała z miną obojętną, bo nigdy nie miała więcej niż sześć su na omnibus. Wreszcie Zoè wyszła mówiąc, że zobaczy w swoim kufrze, i przyniosła sto franków w monetach po sto su. Policzyły na brzegu stołu, po czym pani Lerat natychmiast wyszła obiecując, że nazajutrz przywiezie Ludwisia.

— Więc powiadasz, że są goście? — podjęła Nana siedząc i odpoczywając.

— Tak, proszę pani, trzy osoby — odparła Zoè.

Najpierw wymieniła bankiera. Nana skrzywiła się. Jeżeli ten Steiner wyobraża sobie, że pozwoli się zanudzać dlatego, że wczoraj zafundował jej bukiet!...

— Zresztą — powiedziała — mam już tego dość. Nikogo nie przyjmę. Idź im powiedzieć, że już nie mają co czekać.

— Pani się jeszcze rozmyśli i przyjmie pana Steinera — szepnęła Zoè nie ruszając się z miejsca. Miała minę poważną i była zła widząc, że jej pani znowu zamierza popełnić jakieś głupstwo.

Potem wspomniała o Wołochu, któremu już musiało się dłużyć w tym pokoju. Ale Nana, rozwścieczona, jeszcze bardziej się zacięła. Nie chciała widzieć nikogo, nikogo! Ma już dość tego natręta!

— Wyrzuć ich wszystkich! Wolę zagrać w bezika z panią Maloir. Dzwonek przerwał jej w pół słowa. To już szczyt wszystkiego, jeszcze jeden nudziarz! Nie pozwoliła Zoè otworzyć drzwi. Lecz pokojówka nie słuchając jej wyszła z kuchni. Gdy wróciła, powiedziała rozkazującym tonem, oddając dwa bilety wizytowe:

— Powiedziałam, że pani przyjmuje... Ci panowie są w salonie. Nana wstała, wściekła. Uspokoiły ją jednak nazwiska markiza de Chouard i hrabiego Muffat de Beuville na wizytówkach. Przez chwilę milczała.

— Co to za jedni? — spytała wreszcie. — Znasz ich?

— Znam starego — odrzekła Zoè, zaciskając dyskretnie wargi. A ponieważ pani rzucała na nią pytające spojrzenia, dodała po prostu: — Gdzieś go już widziałam.

Zdawało się, że te słowa wpłynęły na decyzję młodej kobiety. Z żalem opuściła kuchnię, ciepłe schronienie, gdzie można było sobie pogawędzić i podumać w oparach kawy grzejącej się na resztce żaru. Zostawiła w kuchni panią Maloir, która teraz ciągle wygrywała; siedziała jeszcze w kapeluszu, tylko dla wygody rozwiązała troczki i odrzuciła je na ramiona.

W gotowalni, gdzie Zoè pomagała jej włożyć pośpiesznie peniuar, Nana mściła się za przykrości, jakich doznała, rzucając po cichu przekleństwa na mężczyzn. Ten wulgarny język martwił pokojówkę. Z żalem stwierdzała, że jej pani nieprędko wyzbędzie się swych nawyków. Odważyła się nawet błagać ją, żeby się uspokoiła.

— Baj baju! Ci paskudnicy przecież to lubią — odpowiedziała Nana bez ogródek.

Zrobiła jednak minę księżniczki, jak to określała. Zoè zatrzymała ją w chwili, gdy zmierzała do salonu, i z własnej inicjatywy wprowadziła do buduaru markiza de Chouard oraz hrabiego Muffat uważając, że tak będzie o wiele lepiej.

— Przykro mi, że panowie musieli na mnie czekać — rzekła młoda kobieta z udaną grzecznością.

Dwaj mężczyźni skłonili się i usiedli. Mrok panował w pokoju, którego okno osłaniała stora z haftowanego tiulu. Był to najelegantszy pokój w mieszkaniu, obity jasną tkaniną; wielka marmurowa gotowalnia, inkrustowane tremo, szezlong i fotele pokryte niebieskim atłasem składały się na jego umeblowanie. Na gotowalni bukiety róż, bzu, hiacyntów tworzyły jakby kaskadę kwiatów o przenikliwym i silnym zapachu. W wilgotnym i mdłym powietrzu, nasyconym wyziewami z miednic, rozchodziła się chwilami silniejsza woń paczuli drobno posiekanej na dnie czarki. Kuląc się i poprawiając źle zapięty szlafrok, Nana udała, że zaskoczono ją przy toalecie. Skórę miała jeszcze wilgotną, w oprawie koronek była uśmiechnięta i jakby spłoszona.

— Zechce nam pani wybaczyć nasze natręctwo — rzekł poważnie hrabia Muffat. — Przyszliśmy po kweście... Jesteśmy członkami towarzystwa dobroczynności tej dzielnicy.

Markiz de Chouard spiesznie dorzucił z ugrzecznioną miną:

— Gdy dowiedzieliśmy się, że wielka artystka mieszka w tym domu, obiecaliśmy sobie, że w szczególny sposób polecimy jej względom naszych ubogich... Bo talent idzie przecież w parze z dobrym sercem.

Nana udawała skromną. Odpowiedziała lekkimi ruchami głowy, próbując przy tym szybko ogarnąć sytuację. Chyba ten stary przyprowadził młodszego, ma przecież coś szelmowskiego w oczach. Jednak trzeba się mieć na baczności także przed tym drugim, z tą jego skórą zabawnie napiętą na skroniach. Mógł był lepiej przyjść sam. No tak, konsjerż wskazał im drogę, więc pchają się jeden przez drugiego.

— Dobrze panowie zrobili, że przyszli — rzekła z nieopisanym wdziękiem. Drgnęła na odgłos dzwonka elektrycznego. Jeszcze jedna wizyta. A ta Zoè ciągle otwiera! Mówiła dalej: — Możność dawania czyni człowieka szczęśliwym.

W głębi serca czuła się pochlebiona.

— Ach! — podjął markiz — gdyby pani wiedziała, ile jest biedy! W naszej dzielnicy mamy ponad trzy tysiące ubogich, a jest to jedna z najzamożniejszych dzielnic. Nie może sobie pani wyobrazić podobnej nędzy: dzieci nie mają chleba, chore kobiety bez żadnej pomocy umierają z zimna...

— Biedni ludzie! — krzyknęła Nana bardzo wzruszona. Ogarnęła ją taka litość, że łzy nabiegły do jej pięknych oczu. Pochyliła się raptownie, wcale już nie pozując. Otwarty szlafroczek obnażył szyję, kolana wyprężone pod cienką tkaniną uwypuklały linię ud. Ziemiste policzki markiza lekko się zarumieniły, a hrabia Muffat, który miał właśnie coś powiedzieć, spuścił oczy. Było gorąco, upalna cieplarniana duchota panowała w pokoju. Róże więdły, odurzająca woń rozchodziła się z paczuli umieszczonej w czarce.

— W takich sytuacjach człowiek chciałby być bardzo bogaty — dorzuciła Nana. — Ostatecznie każdy robi, co może... Niech panowie mi wierzą, że gdybym była wiedziała...

Pod wpływem wzruszenia była już bliska popełnienia jakiegoś głupstwa. Dlatego nie skończyła zdania. Przez chwilę czuła się zakłopotana, nie mogąc sobie uprzytomnić, gdzie położyła pięćdziesiąt franków, gdy zdejmowała suknię. Ale przypomniała sobie. Powinny być w rogu gotowalni pod przewróconym słoikiem z kremem. Gdy wstawała z fotela, rozległ się długi dźwięk dzwonka. Masz ci los! jeszcze jeden! To się chyba nigdy nie skończy. Hrabia i markiz wstali również. Markiz strzygł uszami w kierunku drzwi, na pewno znał takie dzwonki. Muffat spojrzał na niego, po czym obaj odwrócili oczy. W pierwszej chwili zakłopotani,

stali teraz naprzeciw siebie: jeden silnie zbudowany z bujną czupryną, drugi prężący chude ramiona, na które opadała korona rzadkich, siwych włosów.

— Proszę bardzo — rzekła z wymuszonym uśmiechem Nana, podając dziesięć dużych monet srebrnych — obarczę tym panów... Dla biednych...

W jej bródce wyżłobił się zachwycający dołeczek. Z dobroduszną miną, bez żadnej pozy, trzymała na otwartej dłoni garść talarów, ofiarowując je mężczyznom, jakby chciała powiedzieć: „No proszę, kto chce?" Hrabia, sprytniejszy, pierwszy sięgnął ręką po pięćdziesiąt franków. Lecz jedna moneta przylgnęła do jej dłoni. Chcąc ją wziąć, musiał dotknąć ręki młodej kobiety, ciepłej i miękkiej skóry, która przejęła go dreszczem. Nana, ubawiona, ciągle się śmiała.

— Na razie tyle, proszę panów — rzekła. — Spodziewam się, że następnym razem będę mogła ofiarować więcej.

Nie mając już innego pretekstu, ukłonili się i skierowali ku drzwiom. Ale w chwili gdy mieli wyjść, znowu odezwał się dzwonek. Markiz nie mógł ukryć bladego uśmieszku, a hrabia zasępił się, co mu dodało powagi. Nana zatrzymała ich na kilka sekund, żeby Zoè zdążyła znaleźć dla nowego gościa jeszcze jakiś kąt. Nie lubiła, by się u niej spotykano, lecz tym razem mieszkanie było już chyba przepełnione. Toteż z ulgą stwierdziła, że salon jest pusty. Czyżby Zoè wpakowała ich do szaf?

— Do widzenia — rzekła zatrzymując się na progu salonu. Żegnała ich śmiechem i jasnym spojrzeniem. Hrabia Muffat skłonił się, zmieszany, choć był człowiekiem bardzo obytym. Zabrakło mu powietrza, wychodził z tego buduaru z zawrotem głowy, dusił go zapach kwiatów i kobiecego ciała. Idący z nim markiz de Chouard, pewny, że nikt go nie widzi, odważył się mrugnąć na Nanę, odprężając nagle twarz i dotykając warg językiem.

Ledwie młoda kobieta wróciła do buduaru, gdzie Zoè czekała na nią z listami i biletami wizytowymi, krzyknęła śmiejąc się głośno:

— To dopiero hultaje, sprzątnęli mi pięćdziesiąt franków! Wcale się nie gniewała. Wydawało się jej śmieszne, że mężczyźni od niej biorą pieniądze. Ale swoją drogą, co za świnie — została teraz bez grosza. Na widok biletów i listów wpadła znowu w zły humor. Mniejsza jeszcze o listy. Przysłali je panowie, którzy wczoraj ją oklaskiwali, a teraz się oświadczają. Natomiast goście mogą się wynosić.

Zoè porozmieszczała ich wszędzie. Zauważyła, że mieszkanie jest bardzo wygodne, bo do każdego pokoju prowadzą drzwi z korytarza. Nie tak jak u pani Blanki, gdzie trzeba było przechodzić przez salon. Dlatego pani Blanka miała wiele kłopotów.

— Proszę odprawić wszystkich — powiedziała Nana odgadując jej myśli. — Zacznij od murzyna.

— O, tego, proszę pani, już dawno odprawiłam — rzekła Zoè z uśmiechem. — Chciał po prostu powiedzieć pani, że nie może przyjść dzisiaj wieczorem.

To wywołało wielką radość. Nana klaskała w dłonie. Co za szczęście, że nie przyjdzie! Więc jest dziś wolna. Wzdychała z ulgą, jakby jej darowano najpotworniejszą mękę. Od razu pomyślała o Daguenecie. Biedny kotek, któremu właśnie napisała, żeby czekał do czwartku! Pani Maloir będzie musiała napisać szybko drugi list! Ale Zoè powiedziała, że pani Maloir jak zwykle ulotniła się niepostrzeżenie. Wtedy Nana zawahała się, choć już chciała kogoś posłać po Dagueneta. Była bardzo zmęczona. Jakby to było dobrze mieć całą noc dla siebie. Zapaliła się do tej myśli, raz przecież może sobie na to pozwolić.

— Położę się spać zaraz po powrocie z teatru — szepnęła z miną smakosza — i żebyś mnie nie budziła przed dwunastą. — Potem podnosząc głos rzekła:

— A teraz wyrzuć ich wszystkich na zbity łeb!

Zoè nie ruszała się. Nie ośmieliłaby się tak wprost udzielać rad swej pani. Chciała tylko, żeby pani skorzystała z jej doświadczenia i nie popełniała szaleństw.

— Pana Steinera także? — spytała krótko.

— No pewnie — odparła Nana. — Jego w pierwszym rzędzie. Służąca czekała jeszcze, żeby dać pani czas do namysłu. Czyżby pani nie była dumna z tego, że może odbić swej rywalce, Róży Mignon, tak bogatego pana, znanego we wszystkich teatrach?

— No zmykaj — podjęła Nana, która świetnie wiedziała, o co Zoè chodzi — i powiedz mu, że on mnie nudzi. — Nagle jakby się rozmyśliła. A nuż jutro będzie miała ochotę na niego. I z łobuzerskim gestem, śmiejąc się i mrugając oczami wykrzyknęła: — A zresztą, jeśli mam go zdobyć, najlepszym sposobem jest wyrzucić go za drzwi.

Zoè osłupiała. Z podziwem spojrzała na panią i nie wahając się poszła wyrzucić za drzwi Steinera.

Tymczasem Nana przeczekała kilka minut, żeby Zoè mogła dokładnie wszystkich wymieść. Atak był nadspodziewanie skuteczny. Gdy po chwili wetknęła głowę do salonu, był pusty; podobnie jadalnia. Oglądała dalej mieszkanie uspokojona i pewna, że już nikogo nie ma, gdy nagle, otwierając drzwi jednego pokoju, wpadła na młodziutkiego chłopca. Siedział na kufrze spokojnie i grzecznie z ogromnym bukietem na kolanach.

— Ach, mój Boże! — krzyknęła. — Jeszcze jeden. — Na jej widok chłopaczek zeskoczył czerwony jak mak. Nie wiedział, co ma zrobić z bukietem, ze wzruszenia przekładał go z ręki do ręki. Jego młodość, zakłopotanie i pocieszna mina z tymi kwiatami w ręku rozczuliły Nanę. Parsknęła śmiechem. Więc dzieci także? Teraz przychodzą już do niej mężczyźni w pieluchach! Zapominając się i bez żenady klepiąc się po udach, spytała żartem z macierzyńską troskliwością:

— Czy chcesz, dziecino, żebym ci wytarła nosek?

— Tak — odparł mały niskim i błagalnym głosem.

Ta odpowiedź jeszcze bardziej ją rozweseliła. Chłopiec miał siedemnaście lat i nazywał się Jerzy Hugon. Wczoraj był w „Varietes", więc dzisiaj przyszedł, żeby ją zobaczyć.

— Te kwiaty dla mnie?

— Tak.

— To mi je daj, głuptasie!

W chwili gdy odbierała bukiet, skoczył do jej rąk z młodzieńczą żarłocznością. Musiała go uderzyć, żeby ją puścił. Smarkacz ostro zabiera się do rzeczy! Łając go zaróżowiła się i uśmiechnęła. Potem odprawiła go, lecz pozwoliła znowu przyjść. Szedł chwiejnym krokiem i nie mógł trafić do drzwi.

Nana wróciła do buduaru, gdzie Francis zjawił się prawie równocześnie, by ją uczesać. Ubierała się dopiero wieczorem. Gdy milcząca i rozmarzona siedziała przed lustrem z pochyloną głową, poddając ją zręcznym rękom fryzjera, Zoè weszła i powiedziała:

— Proszę pani, jest tam jeden pan i nie chce odejść.

— No to niech zostanie — odparła spokojnie.

— Jak pani tak będzie pozwalać, zawsze się tacy znajdą.

— Więc każ im czekać. Gdy będą bardzo głodni, pójdą sobie. Była już w innym humorze. Zachwycało ją to, że każe mężczyznom na siebie wyczekiwać. Wpadła na pomysł, który ją setnie ubawił: wyrwała się z rąk Francisa i pobiegła zasunąć rygle u drzwi; niech się teraz tłoczą, chyba nie przebiją ściany. Zoè może wchodzić drzwiami kuchennymi. Tymczasem dzwonek elektryczny działał na całego. Co pięć minut powtarzał się jego jasny i żywy dźwięk z regularnością prawidłowo funkcjonującej maszyny. Nana chcąc się rozerwać liczyła dzwonki. Lecz nagle coś sobie przypomniała.

— A co z moimi pralinami?

Francis także zapomniał o pralinach. Z kieszeni surduta wyciągnął torebkę dyskretnym gestem światowca, który ofiarowuje prezent przyjaciółce. Jednakże przy każdym rachunku dopisywał kwotę za praliny. Nana położyła sobie torebkę pomiędzy kolanami i zaczęła chrupać, obracając posłusznie głowę zgodnie z wolą fryzjera.

— Do diaska! — szepnęła po chwili milczenia — a to dopiero banda. Dzwonek odezwał się trzykrotnie, raz za razem. Dźwięki następowały coraz szybciej. Jedne dzwonki były potulne, bełkoczące, jak pierwsze wyznania; inne śmiałe, wibrujące za dotknięciem jakiegoś brutalnego palca; jeszcze inne ponaglały, przecinając powietrze gwałtownym drżeniem.

— Jakby dzwony biły na alarm — mówiła Zoè — jeszcze cała dzielnica gotowa stanąć na nogi; a to chmara mężczyzn dobierała się po kolei do guziczka z kości słoniowej. Ten figlarz Bordenave rzeczywiście zbyt wielu osobom podał adres; przewinie się tu chyba cała publiczność z wczorajszego wieczoru.

— Ale, ale, Francis — rzekła Nana — czy ma pan pięć ludwików? Cofnął się, obejrzał fryzurę, a potem rzeki spokojnie:

— Pięć ludwików, to zależy.

— Ach, tak — podjęła jeśli panu trzeba gwarancji... Nie kończąc zdania, szerokim gestem wskazała na sąsiednie pokoje. Francis pożyczył pięć ludwików. Zoè w przerwach pomiędzy dzwonkami wchodziła, by przygotować toaletę pani. Musiała ją szybko ubrać, a fryzjer czekał, chcąc jeszcze rzucić okiem na fryzurę. Lecz dzwonki ciągle przeszkadzały pokojówce, która zostawiała panią na pół zasznurowaną, z jedną nogą obutą. Pomimo dużej wprawy traciła głowę. Rozlokowała mężczyzn wszędzie po trochu, wykorzystując najmniejsze kąty, a teraz już musiała ich upychać nawet po trzech i czterech razem, co było sprzeczne z jej zasadami. Niechby się pożarli — będzie więcej miejsca!

A Nana, zaryglowana w bezpiecznym schronieniu, wyśmiewała ich mówiąc, że słyszy, jak sapią. Ładnie muszą wyglądać z wywieszonymi językami, niczym pieski siedzące w krąg na zadkach. Ta sfora mężczyzn, którzy tropili jej ślady, była dalszym ciągiem jej wczorajszego sukcesu.

— Byleby tylko niczego nie stłukli — szepnęła.

Zaczynała się niepokoić, czując przenikające przez szpary ich gorące oddechy. Lecz gdy Zoè wprowadziła Labordette'a, odetchnęła z ulgą. Chciał jej tylko powiedzieć, że uregulował za nią rachunek w sądzie pokoju. Nana wcale go nie słuchała powtarzając:

— Zabieram pana... Zjemy razem obiad... Stamtąd pójdzie pan ze mną do „Varietes". Wchodzę na scenę dopiero o wpół do dziesiątej.

Jak bardzo w porę przyszedł ten poczciwy Labordette! Nigdy niczego dla siebie nie żądał. Był tylko przyjacielem kobiet, którym załatwiał drobne sprawy. Ot, na przykład przed chwilą mimochodem odprawił wierzycieli. Zresztą ci poczciwcy nie żądali już zapłaty; przeciwnie, czekali tylko, żeby pani pogratulować i osobiście ofiarować swe usługi po wczorajszym wielkim sukcesie.

— Zwiewajmy! Zwiewajmy! — mówiła Nana już gotowa. W tej chwili Zoè weszła krzycząc:

— Proszę pani, już więcej nie otwieram... Na schodach jest cały ogonek. Ogonek na schodach! Nawet Francis, pomimo że odznaczał się angielską flegmą, roześmiał się układając grzebienie. Nana, wziąwszy Labordette pod ramię, popychała go do kuchni. Uciekła uwolniona wreszcie od mężczyzn, szczęśliwa i przekonana, że z nim może wszędzie pójść bez obawy popełnienia jakiegoś głupstwa.

— Odprowadzi mnie pan do drzwi — mówiła, gdy szli schodami kuchennymi. — Będę się przynajmniej czuła pewna... Niech pan pomyśli, że chcę spać przez całą noc, całą noc mieć dla siebie. Taki kaprys, kochanie.

III

Contessa Sabina, jak nazywano zazwyczaj panią Muffat de Beuville, by odróżnić ją od zmarłej w ubiegłym roku matki hrabiego, przyjmowała we wtorki w swym pałacu przy ulicy Miromesnil na rogu ulicy Penthieyre. Był to obszerny, kwadratowy budynek zamieszkany przez Muffatów już od przeszło stu lat. Od strony ulicy wysoka, ciemna fasada drzemała w nastroju klasztornej melancholii. Ogromne żaluzje były prawie zawsze opuszczone. Z tyłu, w niewielkim, wilgotnym ogródku, drzewa w pogoni za słońcem wyrosły wątłe i tak wysokie, że gałęzie wystawały ponad dach.

W ten wtorek około godziny dziesiątej zaledwie dwanaście osób było w salonie. Gdy hrabina spodziewała się tylko bliskich przyjaciół, nie otwierała ani saloniku, ani jadalni. Tak było przytulniej, rozmowy toczyły się przy kominku. Salon był zresztą bardzo wielki i wysoki. Cztery okna wychodziły na ogród. W ten deszczowy wieczór pod koniec kwietnia czuło się wilgoć, choć wielkie polana paliły się na kominku. Słońce nigdy tu nie zaglądało. W ciągu dnia zielonawy blask ledwie rozjaśniał pokój, ale wieczorem, gdy zapalano lampy i świecznik, salon był uroczysty ze swymi empirowymi meblami z masywnego mahoniu, tapetami i fotelami pokrytymi żółtym aksamitem w duże, lśniące desenie. W tym wnętrzu pełnym odpychającej godności panowała atmosfera dawnych obyczajów, czasów minionych tchnących dewocją.

Naprzeciwko fotela, kwadratowego, topornego, pokrytego sztywną tkaniną, fotela, w którym zmarła matka hrabiego, z drugiej strony kominka hrabina Muffat siedziała w głębokim krześle, którego czerwone jedwabne obicie miało lekkość puchu. Ów jedyny nowoczesny mebel był w tym surowym mieszkaniu akcentem pełnym fantazji, jaskrawo odbijającym od całości.

— A zatem — mówiła młoda kobieta — będziemy gościć u nas szacha perskiego...

Rozmawiano o książętach, mających przybyć do Paryża na Wystawę Światową. Kilka pań ustawiło się półkolem przed kominkiem. Pani Du Joncquoy, której brat — dyplomata — pełnił jakąś misję na Wschodzie, opowiadała szczegóły na temat dworu Nazar Eddina.

— Czy drogiej pani coś dolega? — spytała pani Chantereau. żona dyrektora fabryki wyrobów metalurgicznych, widząc, że hrabina pobladła od lekkiego dreszczu.

— Ależ nie, broń Boże — odpowiedziała hrabina z uśmiechem. — Jest mi trochę zimno... Ten salon tak trudno ogrzać!

Czarnymi oczami wodziła wzdłuż ścian aż pod sufit. Jej córka Stella, osiemnastoletnia osóbka, szczupła i niepozorna, wstała z taboretu, i w milczeniu podeszła, by podnieść polano, które się zsunęło. Pani de Chezelles przyjaciółka Sabiny z klasztoru, młodsza od niej o pięć lat. wykrzykiwała:

— Ach, jak ja bym chciała mieć taki salon! Ty przynajmniej możesz przyjmować... Teraz budują istne pudełka... Ja na twoim miejscu...

Roztrzepana, żywo gestykulując mówiła, że zmieniłaby tapety, fotele, słowem — wszystko. A potem urządzałaby bale, na których cały Paryż chciałby bywać. Jej mąż, sędzia, słuchał z poważną miną. Opowiadano, że żona go zdradza, wcale się z tym nie kryjąc. Lecz wybaczano jej, a nawet mimo wszystko przyjmowano ją w wytwornych domach, bo twierdzono, że była narwana.

— Ach ta Leonia! — szepnęła hrabina Muffat z bladym uśmiechem. Powolnym gestem uzupełniła swoją myśl. Przecież nie zmieni salonu, w którym przeżyła siedemnaście lat. Pozostanie takim, jakim teściowa chciała go mieć za swego życia. A wracając do przerwanej rozmowy: — Zapewniano mnie — powiedziała — że przyjeżdża także król pruski i car rosyjski.

— Tak, zapowiadają bardzo piękne uroczystości — rzekła pani Du Joncquoy.

Bankier Steiner wprowadzony niedawno do tego domu przez Leonię de Chezelles, która znała cały Paryż, siedział na kanapie stojącej między oknami, pogrążony w rozmowie. Wypytywał pewnego deputowanego, usiłując zręcznie wyciągnąć wiadomości na temat giełdy, na której wyczuł jakiś niepokój. A hrabia Muffat, stojąc przed nimi, słuchał milczący, jeszcze bardziej pochmurny niż zwykle. Czterech czy pięciu młodych ludzi tworzyło inną grupę przy drzwiach: otaczali hrabiego Ksawerego de Vandeuvres, który opowiadał półgłosem jakąś historię, widocznie bardzo dowcipną, bo dusili się od śmiechu. W samym środku pokoju tęgi mężczyzna, naczelnik w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, siedział na uboczu rozparty w fotelu, śpiąc z otwartymi oczami. Ponieważ jeden z młodych ludzi zdawał się wątpić w prawdziwość opowiadanej historii, Vandeuvres podniósł głos i powiedział:

— Jest pan zbyt sceptyczny, panie Foucarmont. Psuje pan sobie każdą przyjemność.

I śmiejąc się wrócił do pań. Ostatni z wielkiego rodu, subtelny i dowcipny. trwonił swój majątek z wściekłą, nieposkromioną pasją. Stajnia wyścigowa, jedna z najsłynniejszych w Paryżu, kosztowała go fortunę. Jego straty w Klubie Cesarskim urastały co miesiąc do niepokojącej liczby ludwików. Kochanki pochłaniały co rok jeden folwark i kilka mórg ziemi lub lasów, spory szmat jego rozległych posiadłości w Pikardii.

— Jakże pan może uważać innych za sceptyków, skoro sam w nic nie wierzy — rzekła Leonia robiąc mu miejsce obok siebie. — To pan psuje wszystko, co przyjemne.

— Właśnie — odrzekł. — Chcę, żeby inni skorzystali z mojego doświadczenia.

Lecz musiał umilknąć, gdyż gorszył pana Venot. Kiedy się panie rozstąpiły, zauważono na szezlongu niskiego, sześćdziesięcioletniego mężczyznę o odrażających zębach i cynicznym uśmiechu. Czuł się tu jak w domu, słuchając wszystkich i nie mówiąc ani słowa. Gestem dał do zrozumienia, że wcale nie jest zgorszony. Vandeuvres odzyskał więc pewność siebie i dodał z powagą:

— Pan Venot dobrze wie, że ja wierzę, w co wierzyć należy. Było to wyznanie wiary religijnej. Nawet Leonia wydawała się zadowolona. W głębi pokoju młodzi ludzie już się nie śmiali. Salon był jakby w sztywnym kołnierzyku, nikt się tam nie bawił. Powiało chłodem, w ciszy słychać było nosowy głos Steinera, który wobec powściągliwości deputowanego ledwie ze skóry nie wyskoczył. Przez chwilę hrabina Muffat patrzała w ogień. Potem znowu zagaiła rozmowę.

— W ubiegłym roku widziałam w Baden króla pruskiego. Jak na swój wiek jest jeszcze pełen wigoru.

— Przyjedzie z hrabią Bismarckiem — rzekła pani Du Joncquoy. — Czy znacie hrabiego? Już dawno temu, gdy był przedstawicielem Prus w Paryżu, jadłam z nim śniadanie u mego brata... Ostatnie sukcesy tego człowieka są dla mnie zupełnie niezrozumiałe.

— Dlaczegóż to? — spytała pani Chantereau.

— Mój Boże! Jak to pani powiedzieć... Nie podoba mi się. Wygląda na brutala i źle wychowanego. Poza tym uważam, że jest głupi.

Wszyscy zaczęli mówić o hrabim Bismarcku. Opinie były bardzo podzielone. Vandeuvres znał go i zapewniał, że jest tęgim biboszem i graczem. W czasie ożywionej dyskusji otwarły się drzwi i zjawił się Hektor de la Faloise. Fauchery, który szedł z nim, zbliżył się do hrabiny i powiedział:

— Skorzystałem z łaskawego zaproszenia pani...

Uśmiechnęła się i powiedziała coś uprzejmego. Przywitawszy się z hrabią dziennikarz czuł się przez chwilę nieswojo w gronie osób. z których poznał tylko Steinera. Vandeuvres odwróciwszy się podszedł uścisnąć mu rękę. Uszczęśliwiony tym spotkaniem i czując potrzebę wylewności, Fauchery przyciągnął go ku sobie i powiedział po cichu:

— To już jutro; będzie pan?

— Oczywiście!

— O północy u niej.

— Wiem, wiem... Wybieram się z Blanką. Chciał się wyrwać, by wrócić do pań i dorzucić nowy argument w obronie pana Bismarcka. Ale Fauchery go zatrzymał.

— Na pewno pan nie zgadnie, kogo poleciła mi zaprosić. Ruchem głowy wskazał hrabiego Muffat, który w tej chwili dyskutował z deputowanym i Steinerem na temat jednego z punktów budżetu.

— Niemożliwe! — rzekł Vandeuvres zdumiony i ubawiony.

— Daję słowo! Musiałem przysiąc, że go jej przyprowadzę. Trochę z tego powodu tu przyszedłem.

Uśmiechnęli się w milczeniu. Wracając śpiesznie do grona pań, Vandeuvres krzyknął:

— Przeciwnie, zapewniam was, że pan Bismarck jest bardzo dowcipny... Wyobraźcie sobie, że kiedyś wieczorem powiedział przy mnie coś czarującego...

Tymczasem la Faloise, usłyszawszy kilka słów wymienionych śpiesznie półgłosem, patrzał na Fauchery'ego spodziewając się wyjaśnienia, którego nie otrzymał. O czymże mówili? Co mieli zamiar robić nazajutrz o północy? Nie odstępował już swego kuzyna. A Fauchery usiadł. Interesowała go szczególnie hrabina Muffat, o której często przy nim mówiono. Wiedział, że ponieważ wyszła za mąż w siedemnastym roku życia, powinna mieć obecnie trzydzieści cztery lata i że od ślubu wiodła życie klasztorne przy mężu i teściowej. W kołach towarzyskich jedni mówili, że jest oziębłą dewotką, inni litowali się nad nią przypominając jej piękny uśmiech i wielkie ogniste oczy, które budziły zachwyt, zanim zamknięto ją w tym starym pałacu. Fauchery patrzał na nią badawczo, nasuwały mu się wątpliwości. Jego przyjaciel, kapitan, zmarły niedawno w Meksyku, w przeddzień swego wyjazdu odchodząc od stołu zrobił mu jedno z tych brutalnych wyznań, na jakie w pewnych momentach zdobywają się ludzie najbardziej dyskretni. Lecz wyznania te zatarły się w pamięci; przypominał sobie jedynie, że owego wieczoru jedli suty obiad. A teraz opadły go wątpliwości, gdy w tym staroświeckim salonie patrzał na czarno ubraną hrabinę, która miała na twarzy spokojny uśmiech. Lampa umieszczona w głębi podkreślała jej profil pulchnej brunetki, l tylko nieco pełne usta zdradzały gwałtowną zmysłowość.

— Zawracają głowę tym swoim Bismarckiem! — szepnął la Faloise, pozujący na bywalca znudzonego życiem towarzyskim. — Można tu zdechnąć z nudów. Co za pomysł, żeby tu przychodzić.

Raptem Fauchery spytał:

— Powiedz, czy hrabina z kimś sypia?

— Ach nie, nie, mój drogi, gdzież tam — wybełkotał Hektor wyraźnie zbity z tropu i już bez żadnej pozy. — Czy ty zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteś? — Ale za chwilę uświadomił sobie, że przez to oburzenie wypadł z fasonu. Rozparłszy się na kanapie dorzucił: — No cóż! Mówię nie, ale nic dokładnego nie wiem na ten temat... Tam siedzi ten mały i wścibski Foucarmont, może on ci powie? Naturalnie widziało się, jak jeszcze bardziej harde kobiety... Ja gwiżdżę na to... Pewne jest jednak, że jeżeli nawet hrabina pozwala sobie na wybryki, robi to sprytnie, bo jakoś nic się o tym nie mówi.

Choć Fauchery wcale go nie wypytywał, la Faloise zaczął opowiadać, co wiedział o Muffatach. Pośród rozgwaru siedzących przy kominku dam szeptali sobie po cichu. Patrząc na nich, gdy tak siedzieli w białych krawatach i rękawiczkach, można było sądzić, że wyszukanymi zdaniami omawiali jakiś poważny temat. Otóż szanowna mama Muffat, którą la Faloise dobrze znał, była nieznośną, starą bigotką. Wyniosła i autorytatywna, zmuszała wszystkich do uległości. Muffat, późno urodzony syn generała, któremu Napoleon I nadał tytuł hrabiego, znalazł się oczywiście w łaskach po zamachu stanu 2 Grudnia. On również nie był wesołego usposobienia, lecz uchodził za człowieka bardzo uczciwego i prawego. Z tym wszystkim miał przestarzałe poglądy i tak wysokie, pojęcie o swej funkcji dworskiej, o swych godnościach i cnotach, że nosił głowę jak Najświętszy Sakrament. To mama Muffat dała mu takie piękne wychowanie: codziennie spowiedź, mowy nie było o jakichś eskapadach czy młodzieńczych

wybrykach. Był praktykującym katolikiem i przeżywał gwałtowne kryzysy wiary podobne do ataków szału. Aby dopełnić charakterystyki la Faloise szepnął kuzynowi na ucho jeszcze jeden szczegół.

— Niemożliwe! — rzekł Fauchery.

— Przysięgano mi, słowo honoru!... Taki był jeszcze, kiedy się żenił. Fauchery śmiał się patrząc na hrabiego; jego twarz obramowana faworytami i bez wąsów wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa i surowa, gdy przytaczał cyfry Steinerowi, który się z nim spierał.

— Daję słowo! Wygląda odpowiednio — szepnął. — Piękny prezent zrobił swojej żonie!... Ach, biedactwo, jakże musiał ją nudzić! Założę się, że ona nic a nic nie wie!

Właśnie hrabina zwróciła się do dziennikarza. Nie słyszał, co powiedziała, do tego stopnia sprawa Muffata wydała mu się zabawna i niezwykła. Powtórzyła pytanie.

— Proszę pana, czy to pan jest autorem szkicu o panu Bismarcku? Czy pan z nim rozmawiał?

Zerwał się z krzesła i podszedł do grona pań, starając się oprzytomnieć. Bez najmniejszego zresztą wysiłku znalazł odpowiedź:

— No cóż, muszę pani wyznać, że napisałem to na podstawie biografii, które ukazały się w Niemczech... Nigdy pana Bismarcka nie widziałem.

Pozostał przy hrabinie. Rozmawiając z nią nie przestawał ciągle snuć swoich myśli. Nie wyglądała na swój wiek, można było jej dać najwyżej dwadzieścia osiem lat. Zwłaszcza oczy zachowały młodzieńczy blask, nieco tylko przyćmiony sinawym cieniem długich rzęs. Dorastając w rozbitym małżeństwie, spędzając jeden miesiąc u markiza de Chouard, drugi u markizy, wyszła za mąż bardzo młodo po śmierci swej matki, bez wątpienia wypchnięta z domu przez ojca, którego krępowała. Markiz był strasznym człowiekiem. Pomimo jego żarliwej pobożności zaczynały o nim krążyć dziwne historie. Fauchery spytał, czy nie spotka go zaszczyt powitania markiza. Odrzekła, że ojciec na pewno przyjdzie, lecz bardzo późno — jest tak zapracowany! Dziennikarz zachował powagę, choć nie miał wątpliwości, gdzie stary spędza wieczory. Wtem zafrapowało go znamię, które dostrzegł na lewym policzku hrabiny w pobliżu ust: zupełnie takie samo jak u Nany. Wydało mu się to zabawne. Na znamieniu parę krętych włosków, tylko że nie były jasne jak u Nany, ale kruczoczarne. Wszystko to jednak nie ma nic do rzeczy — ta kobieta z nikim nie sypia.

— Zawsze miałam ochotę poznać królowę Augustę — powiedziała. — Mówią, że jest tak dobra i pobożna... Czy pan sądzi, że przyjedzie z królem?

— Raczej nie — odpowiedział.

Nie, nie sypiała z nikim, to było oczywiste. Wystarczyło spojrzeć na nią" jak obojętnie i sztywno siedziała na taborecie obok swej córki. Grobowy salon, wydzielający woń kościelną, pozwalał się domyślać, jak ciężki i surowy tryb życia przytłaczał tę kobietę. W tym staroświeckim mieszkaniu, czarnym od wilgoci, nie było znać jej ręki. Narzucał się tu i panował Muffat ze swym dewocyjnym wychowaniem, ze swymi pokutami i postami. Ale ostatecznym argumentem był dla niego widok starca o odrażających zębach i cynicznym uśmiechu, którego zauważył nagle w fotelu, za paniami. Znał tę postać. Był to Teofil Venot, dawny adwokat, którego specjalnością były procesy kościelne. Z dużym majątkiem wycofał się z praktyki i wiódł życie dość tajemnicze, wszędzie przyjmowany z honorami; nawet trochę się go obawiano, jakby reprezentował jakąś wielką siłę, siłę tajemną, którą w nim wyczuwano. Zresztą robił wrażenie człowieka bardzo skromnego, był prowizorem w kościele Św. Magdaleny i pełnił funkcje zastępcy prawnego w merostwie dziewiątej dzielnicy, by — jak mawiał — zabić wolny czas. No! no! Hrabina jest nieźle obstawiona. Nie da się tu nic zrobić.

— Masz rację, tu można zdechnąć z nudów — rzekł Fauchery do kuzyna, skoro wydostał się z kręgu pań. — Trzeba zwiewać.

Steiner, od którego odszedł właśnie hrabia Muffat wraz z deputowanym zbliżał się wściekły, spocony, mrucząc półgłosem:

— Do diaska! Jak nie chcą mówić, to niech w ogóle nie gadają... Znajdę sobie takich, co powiedzą.

Pociągnął dziennikarza do kąta i zmieniając głos rzekł z miną zwycięską:

— No więc do jutra... Będę na pewno, kochasiu. — Ach! — szepnął zdumiony Fauchery.

— To pan nie wiedział... Och! Ledwie udało mi się dotrzeć do niej! Do tego jeszcze Mignon mnie nie odstępował.

— Ależ Mignonowie też tam będą.

— Tak, mówiła mi... Bo w końcu jednak mnie przyjęła i zaprosiła...

Punktualnie o północy, po przedstawieniu. — Bankier promieniał. Mrugnął i nadając słowom szczególną wagę, dorzucił: — A pan?

— Co takiego? — rzekł Fauchery udając, że nie rozumie. — Chciała mi podziękować za artykuł, więc przyszła do mnie.

— Tak, tak, wy jesteście szczęśliwi, was się wynagradza... No, ale kto jutro płaci?

Dziennikarz rozłożył ręce, jakby chciał oświadczyć, że tego nigdy nie można wiedzieć. W tej chwili właśnie Vandeuvres wołał Steinera, który znał pana Bismarcka. Pani Du Joncquoy dała się prawie przekonać. Zakończyła rozmowę następującymi słowami:

— Na mnie zrobił niedobre wrażenie. Uważam, że ma zły wyraz twarzy. Być może jednak, że to umysł tęgi, co tłumaczy jego sukcesy.

— Niewątpliwie — rzekł z bladym uśmiechem bankier, Żyd z Frankfurtu.

Tymczasem la Faloise odważył się tym razem zapytać kuzyna, napastując go szeptem:

— Więc jutro wieczorem ma być kolacja u jakiejś kobiety? U kogóż to? U kogo?

Fauchery dał mu do zrozumienia, że ktoś może usłyszeć. Trzeba zachowywać się jak należy. W tej chwili drzwi się otwarły i weszła starsza osoba z młodym człowiekiem. Dziennikarz poznał w nim gimnazjalistę, który podczas przedstawienia *Jasnowłosej Wenus* rzucił owo słynne „bajeczna!", o czym jeszcze sobie opowiadano. Przybycie tej damy wywołało poruszenie w salonie. Hrabina szybko wstała, by wyjść jej na spotkanie. Chwyciła jej obie ręce i mówiła: „Moja droga pani Hugon." Widząc, że kuzyn z zaciekawieniem przyglądał się tej scenie, la Faloise usłużnie poinformował go w kilku słowach: pani Hugon była wdową po notariuszu. Mieszkając obecnie na uboczu w Fondettes. dawnej posiadłości rodzinnej w pobliżu Orleanu, miała w Paryżu pied-à-terre we własnym domu przy ulicy Richelieu. Obecnie przybyła tu na parę tygodni, by urządzić najmłodszego syna, który jest na pierwszym roku prawa. Jako bliska przyjaciółka markizy de Chouard była przy urodzeniu Sabiny, która u niej spędzała całe miesiące przed zamążpójściem i do której jeszcze teraz mówiła „ty".

— Przyprowadziłam Jerzego — powiedziała pani Hugon do Sabiny. — Wyrósł, prawda? Młody człowiek o jasnych oczach i blond lokach dziewczyny przebranej za chłopca witał hrabinę swobodnie, przypominając partię wolanta, którą przed dwoma laty rozegrali Fondettes.

— Filipa nie ma w Paryżu? — spytał hrabia Muffat.

— Och, nie — odrzekła pani Hugon. — Ciągle jeszcze jest w garnizonie w Bourges.

Usiadła i mówiła z dumą o starszym synu, dzielnym chłopcu, który po jakiejś szalonej awanturze doszedł jednak szybko do rangi porucznika. Wszystkie panie przysłuchiwały się staruszce z szacunkiem i sympatią. Rozmowa znów się ożywiła, stała się swobodna i bardziej finezyjna. Widząc w tym salonie czcigodną panią Hugon, to uosobienie macierzyństwa, jej twarz w oprawie siwych włosów rozjaśnioną dobrotliwym uśmiechem. Fauchery poczuł swoją śmieszność na myśl, że mógł choć przez chwilę podejrzewać hrabinę Muffat.

A jednak wielkie, wyścielane czerwonym jedwabiem krzesło, w którym siedziała hrabina, przykuwało jego uwagę. W tym zadymionym salonie miało ono w sobie coś brutalnego, coś dziwnie niepokojącego. Z całą pewnością nie hrabia wstawił tu ten mebel zapraszający do rozkosznego lenistwa. Był jakby nieśmiałą obietnicą pożądania i rozkoszy. Fauchery pogrążył się w zadumie, wracając ciągle do owego dziwnego wieczornego zwierzenia w gabinecie restauracyjnym. Podniecony zmysłowo zaciekawieniem, pragnął bywać w domu Muffatów.

Skoro jego przyjaciel pozostał w Meksyku, należało samemu zgłębić tę tajemnicę. Może to wszystko nie ma sensu. Ale myśl o tym dręczyła go, pociągała i rozbudzała w nim grzeszne pragnienia. Wysokie krzesło z wygiętym oparciem drażniło go i bawiło.

— No więc idziemy? — spytał la Faloise obiecując sobie, że gdy wyjdą, wydostanie od kuzyna nazwisko kobiety, u której miała być kolacja.

— Zaraz — odpowiedział Fauchery.

Już się nie śpieszył. Jako pretekst podał, że musi jeszcze załatwić pewne zaproszenie, którego się podjął. A to nie było zadanie łatwe. Panie rozmawiały o czyichś obłóczynach, bardzo wzruszającej uroczystości, którą koła towarzyskie Paryża były od trzech dni poruszone. Wiedziona nieodpartym powołaniem, starsza córka baronowej de Fougeray wstąpiła do zakonu karmelitanek. Pani Chanterau, skoligacona z rodziną Fougeray, opowiadała, że nazajutrz baronowa musiała się położyć do łóżka, gdyż po prostu dusiła się od łez.

— Ja miałam w kościele świetne miejsce — oświadczyła Leonia. — Bardzo to było ciekawe.

Tymczasem pani Hugon litowała się nad biedną matką. Co za boleść stracić w ten sposób córkę!

— Zarzucają mi, że jestem dewotką — rzekła z całą szczerością. — A mimo to uważam, że córki upierające się przy podobnym samobójstwie są okrutne.

— Tak, to straszna rzecz — szepnęła hrabina drżąc z zimna i kuląc się w głębi wysokiego krzesła przy kominku.

Panie rozprawiały. Mówiły dyskretnie przerywając chwilami śmiechem poważną rozmowę. Dwie lampy na kominku, ocienione różową koronką, słabo je oświetlały. Na meblach rozstawionych w pewnym oddaleniu stały tylko trzy lampy. Obszerny salon był otulony łagodnym cieniem.

Steiner nudził się. Opowiadał Fauchery'emu o pewnej przygodzie pani de Chezelles, którą nazywał po prostu Leonią. „To szelma" — mówił zniżonym głosem, stojąc za fotelami pań. Fauchery patrzał na nią. Była w toalecie z jasnoniebieskiego atłasu, zabawnie upozowana w rogu fotela, szczupła i śmiała jak chłopak. Dziwił się, że ją tu spotkał. Przyjemniej było przecież u Karoliny Hèquet, której matka potrafi odpowiednio dom prowadzić. Dziennikarz miał tu gotowy temat do artykułu: jaki osobliwy jest ten towarzyski świat paryski! Do najbardziej sztywnych salonów wtargnął dziś motłoch. Oczywiście milczący Teofil Venot, który tylko się uśmiechał pokazując odrażające zęby, był tu na pewno spuścizną po zmarłej hrabinie, podobnie jak starsze panie: pani Chantereau. pani Du Joncquoy oraz czterech czy pięciu starców siedzących nieruchomo w rogach salonu. Hrabia Muffat wprowadzał do swego domu urzędników posiadających wykwintne obejście, jakie lubiano w Tuileriach. Należał do nich naczelnik. który siedział samotnie pośrodku pokoju. Miał twarz wygoloną, przygaszony wzrok i był tak ściśnięty frakiem, że nie mógł pozwolić sobie na żaden gest. Prawie wszystkich młodych ludzi i kilka osób o świetnych manierach zaprosił markiz de Chouard, który zachował rozległe stosunki w partii legitymistów, choć pogodził się z rządem obejmując stanowisko w Radzie Stanu. I wreszcie Leonia de Chezelles, Steiner i cały ten podejrzany kąt, który pani Hugon oceniała w sposób właściwy z pobłażliwością starej, uprzejmej kobiety. A Fauchery, który już komponował swój artykuł, nazywał tę grupę „kątem hrabiny Muffat".

— Innym razem — opowiadał dalej Steiner — Leonia sprowadziła do Montauban swego tenora. Mieszkała w zamku Beaurecueil o dwie mile dalej. Codziennie karetą zaprzężoną w dwa konie przyjeżdżała w odwiedziny do hotelu „Pod Złotym Lwem", gdzie tenor się zatrzymał... Powóz stał przed bramą, Leonia siedziała u niego godzinami, a na ulicy gromadził się tłum oglądając konie.

Zapanowało milczenie; minęło kilka uroczystych sekund. Dwóch młodych ludzi poszeptało, ale i oni z kolei zamilkli. Słychać było tylko przytłumione kroki hrabiego Muffat, który przechodził przez pokój. Lampy jakby pobladły, ogień przygasał, ponury cień spowijał starych przyjaciół domu, którzy siadywali w tych fotelach już od lat czterdziestu. Zdawało się, że w

przerwie pomiędzy jednym zdaniem a drugim wchodzi matka hrabiego ze swą wyniosłą, lodowatą miną. Sabina podjęła na nowo wątek przerwanej rozmowy:

— Krążyła przecież pogłoska na ten temat... Podobno młody człowiek zmarł i to miało tłumaczyć wstąpienie biedaczki do klasztoru. Zresztą mówią, że pan de Fougeray nigdy nie byłby przystał na to małżeństwo.

— Opowiadają jeszcze wiele innych rzeczy — wyrwała się roztrzepana Leonia.

I zaczęła się śmiać odmawiając dalszych wyjaśnień. Zarażona jej wesołością Sabina przytknęła chustkę do ust. W uroczystym nastroju obszernego pokoju śmiechy ich nabierały brzmienia, które uderzyło Fauchery'ego. Był to dźwięk tłukącego się kryształu. Z całą pewnością zaczynało się tu rysować jakieś pęknięcie. Wszyscy znowu wmieszali się do rozmowy; pani Du Joncquoy protestowała, pani Chantereau wiedziała, że projektowano małżeństwo, ale że na tym się skończyło. Mężczyźni także ośmielali się wyrazić swoje zdanie. Kilka minut trwał ten zamęt; równocześnie wypowiadali sądy i sprzeczali się ludzie różnych poglądów, bonapartyści i legitymiści przemieszani ze sceptycznymi światowcami. Stella zadzwoniła, żeby służba dołożyła drzewa do ognia, lokaj podkręcał lampy, nastąpiło jakby przebudzenie. Fauchery uśmiechnął się, kontent z siebie.

— Do diaska! Poślubiają Boga, skoro nie mogą poślubić kuzyna — wycedził przez zęby Vandeuvres, którego nudziła cała ta sprawa. Podszedł do dziennikarza.

— Mój drogi, widział kto, żeby kobieta kochana wstępowała do klasztoru? — Nie czekał na odpowiedź, bo miał już tego dość. Rzekł tylko półgłosem: — Więc powiedz pan, ile nas będzie jutro?... Mignonowie, Steiner, pan, Blanka i ja... Kto jeszcze?

— Myślę, że Karolina... Simona... chyba Gaga... Czy można dokładnie wiedzieć? Przy takich okazjach liczy się na dwadzieścia osób, a potem przychodzi trzydzieści.

Vandeuvres, który patrzał na panie, przeskoczył nagle na inny temat.

— Piętnaście lat temu pani Du Joncquoy musiała być bardzo ładna... A biedna Stella jeszcze się wyciągnęła. Z taką deską położyć się do łóżka! — Urwał te uwagi i wrócił do jutrzejszej kolacji. — Nudne jest w tych historiach to, że powtarzają się ciągle te same kobiety... Trzeba by pomyśleć o czymś nowym. Niech pan się postara coś znaleźć... Poczekaj pan, mam pomysł! Poproszę tego grubasa, żeby przyprowadził kobietę, z którą był wtedy wieczorem w „Varietes".

Mówił o naczelniku drzemiącym na środku salonu. Fauchery bawił się, z daleka śledząc te drażliwe negocjacje. Vandeuvres usiadł obok pełnego godności grubasa. Przez chwilę dyskutowali palące zagadnienie: jakie uczucie skłoniło dziewczynę, by wstąpić do klasztoru. Po czym hrabia, wróciwszy, powiedział:

— To niemożliwe. On zaklina się, że dziewczyna jest solidna. Odmówiłaby... Przysiągłbym jednak, że ją widziałem u Laury!

— Jak to! Pan bywa u Laury! — szepnął Fauchery śmiejąc się. — Pan odważa się chodzić do podobnych miejsc!... Sądziłem, że tylko my, hołysze...

— No cóż, mój drogi, trzeba przecież wszystko poznać. Z błyskami w oczach zaczęli się śmiać, wymieniając szczegóły na temat kuchni przy ulicy des Martyrs gdzie gruba Laura Piedefer za trzy franki żywi kobietki, które znalazły się w tarapatach. Ładna nora! Wszystkie kobietki całują Laurę w usta. Ponieważ hrabina Muffat odwracała głowę usłyszawszy przelotnie jakieś słówko, cofnęli się, trącając wzajemnie, ubawieni i podnieceni. Nie zauważyli, że przy nich stał Jerzy Hugon. Podsłuchiwał, rumieniąc się tak mocno, że szkarłatna fala spływała mu od uszu do dziewczęcej szyi. Od chwili gdy matka zostawiła go w salonie, kręcił się koło pani de Chezelles, jedynej osoby, która wydała mu się tu elegancka, chociaż Nana biła ją o głowę.

— Wczoraj wieczorem — mówiła pani Hugon — Jerzy zaprowadził mnie do teatru. Tak, do „Varietes", gdzie nie byłam już od dziesięciu lat. To dziecko uwielbia muzykę... Mnie to

wcale nie bawiło, ale on był tak szczęśliwy!... Dziwne są te dzisiejsze sztuki. Zresztą wyznaję, że muzyka mało mnie pasjonuje.

— Jak to! Nie lubi pani muzyki? — krzyknęła pani Du Joncquoy, wznosząc wzrok ku niebu. — Czy to możliwe, żeby ktoś nie lubił muzyki?! Słowa te wywołały ogólny okrzyk. Nikt jednak nie odezwał się na temat sztuki granej w „Varietes", z której pani Hugon nic nie zrozumiała. Choć te panie widziały przedstawienie, wolały o nim nie mówić. Natomiast rozpływały się w zachwycie nad mistrzami muzyki i w sposób egzaltowany dawały wyraz swej dla nich admiracji. Pani Du Joncquoy lubiła tylko Webera, pani Chantereau była zwolenniczką muzyki włoskiej. Mówiły głosem subtelnym i omdlewającym. Przy kominku zapanował nastrój kościelnego skupienia jak podczas kantyczek śpiewanych ściszonym głosem w kapliczce.

— Mój drogi — szepnął Vandeuvres prowadząc Fauchery'ego na środek salonu — musimy jednak znaleźć na jutro jakąś kobietę. A gdyby tak spytać Steinera?

— Och! Jak już Steiner ma jakąś kobietę, to znaczy, że nikt w Paryżu jej nie chce. Tymczasem Vandeuvres szukał w swoim otoczeniu.

— Niech pan poczeka — zaczął znowu. — Któregoś dnia spotkałem Foucarmonta z uroczą blondynką. Powiem mu, żeby ją przyprowadził.

Zawołał Foucarmonta. Zamienili szybko kilka słów. Widocznie coś się komplikowało, gdyż stąpając ostrożnie i omijając powłóczyste treny odszukali innego młodzieńca, z którym dalej prowadzili rozmowę we wnęce okiennej. A Fauchery, skoro został sam, zdecydował się podejść do kominka, w chwili gdy pani Du Joncquoy stwierdzała, że słuchając muzyki Webera od razu widzi jeziora, lasy, i wschody słońca nad polami skąpanymi w rosie. Nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

— To niełądnie z twojej strony.

— Co takiego? — spytał odwróciwszy się i poznając la Faloise'a.

— Z tą jutrzejszą kolacją... Mogłeś kazać i mnie zaprosić. Fauchery już mu miał odpowiedzieć, gdy nagle Vandeuvres wrócił, by, oświadczyć:

— Zdaje się, że to nie jest kobieta Foucarmonta, lecz kochanka o, tamtego pana... Nie będzie mogła przyjść. Co za pech!... Ale w każdym razie zwerbowałem Foucarmonta. Postara się przyprowadzić Ludwikę z „Palais Royal".

— Panie hrabio, czy to prawda, że wygwizdano w niedzielę Wagnera? — spytała pani Chantereau Vandeuvres'a, podnosząc głos.

— Och! Okropnie, droga pani — odpowiedział podchodząc do niej z wyszukaną galanterią. Ale ponieważ panie go nie zatrzymywały, znowu się oddalił, mówiąc dziennikarzowi do ucha: — Będę jeszcze werbował... Ci młodzi ludzie powinni znać jakieś loretki.

Uprzejmy, uśmiechnięty, podchodził do mężczyzn i rozmawiał w czterech rogach salonu. Przyłączał się do różnych grup, szeptał każdemu na ucho parę słów, odwracał się mrugając i dając porozumiewawcze znaki. Z właściwą sobie swobodą podawał jakby jakieś hasło. Przekazywano je z ust do ust, wyznaczano sobie spotkanie. A sentymentalna paplanina dam o muzyce przygłuszała gorączkowy szmerek tego werbunku.

— Nie, nie mówcie o Niemcach — powtarzała pani Chantereau. — Śpiew, wesołość — to światło... Czy słyszeliście Adelinę Patti w *Cyruliku?*

— Wyśmienita! — szepnęła Leonia, która bębniła na pianinie tylko operetkowe melodie.

Tymczasem hrabina Muffat zadzwoniła. We wtorki, gdy było niewiele gości, podawano herbatę w salonie. Każąc lokajowi uprzątnąć okrągły stolik, Sabina śledziła wzrokiem hrabiego de Vandeuvres.

Z tajemniczym uśmiechem, który odsłaniał nieco jej białe zęby, zagadnęła go, gdy właśnie przechodził:

— Jakież to pan spiski knuje, panie hrabio?

— Ja? Nic podobnego — odrzekł spokojnie.

— Ach!... Widziałam, że był pan taki zaaferowany... No, a teraz zechce mi się pan przysłużyć.

Włożyła mu w ręce album prosząc, by go położył na fortepianie. On jednak znalazł sposób, by podszepnąć Fauchery'emu, że będzie u Nany także Tania Nene, najpiękniejszy biust tego sezonu, i Maria Blond, która świeżo debiutowała w „Folies ─ Dramatiques". Tymczasem la Faloise co krok go zatrzymywał czekając na zaproszenie. Wreszcie sam się wprosił, a Vandeuvres natychmiast go wciągnął na listę. Kazał mu tylko przyrzec, że przyprowadzi Klarysę. A ponieważ la Faloise udał, że ma skrupuły, uspokoił go mówiąc:

─ Skoro ja pana zapraszam, to wystarczy.

La Faloise chciał się jednak dowiedzieć, jak się nazywa ta kobieta, lecz hrabina znowu przywołała Vandeuvres'a, aby powiedział, w jaki sposób Anglicy przyrządzają herbatę, jeździł bowiem często do Anglii, gdzie jego konie brały udział w wyścigach. Twierdził, że tylko Rosjanie umieją przyrządzać herbatę, i dał hrabinie przepis, a potem, jak gdyby podczas tej rozmowy nie przestawała go nurtować pewna myśl, spytał:

─ A markiz? Czy go dziś nie zobaczymy?

─ Ależ tak, ojciec przecież przyrzekł mi solennie ─ odparła hrabina. ─ Zaczynam się niepokoić... Widocznie praca go zatrzymuje.

Vandeuvres uśmiechnął się dyskretnie. On także zdawał się domyślać, jakiego to rodzaju prace zatrzymywały markiza de Chouard. Myślał o pięknej osóbce, którą markiz nieraz zabierał na wieś. Może i ją uda się zdobyć.

Tymczasem Fauchery sądził, że nadszedł odpowiedni moment, by spróbować zaprosić hrabiego Muffat. Robiło się późno.

─ Serio? ─ spytał Vandeuvres przekonany, że to jakiś żart.

─ Zupełnie serio... Jeśli nie załatwię polecenia, Nana wydrapie mi oczy. Wie pan, zwariowała na tym punkcie.

─ Wobec tego pomogę panu.

Wybiła godzina jedenasta. Hrabina z córką podawały herbatę. Ponieważ towarzystwo składało się z bliskich znajomych, filiżanki i talerzyki z ciastkami krążyły po prostu z rąk do rąk. Nawet damy nie opuszczały foteli przy kominku. Piły herbatę drobnymi łykami i palcami kruszyły ciastka. Przestano już mówić o muzyce, rozmowa zeszła na temat dostawców. Najlepsze pomadki ma Boissier, a lody Catherine. Pani Chantereau popierała Latinville'a. Rozmawiano coraz wolniej, salon zasypiał w znużeniu. Steiner zaczął znowu podstępnie obrabiać deputowanego blokując go w kącie kozetki. Pan Venot, który miał zęby zepsute zapewne od słodyczy, jadł kruche ciastka jedno po drugim, chrobocząc jak mysz. A naczelnik ciągle pił z nosem zanurzonym w filiżance. Hrabina spokojnie obchodziła gości, zatrzymując się przy każdym na kilka sekund. Z miną pytającą spoglądała w milczeniu na mężczyzn, uśmiechała się i szła dalej. Zaróżowiona od ognia, wyglądała na siostrę swej córki, chudej, niezgrabnej dziewczyny. Gdy zbliżała się do Fauchery'ego, który rozmawiał z jej mężem i hrabią Vandeuvres, zauważyła, że zamilkli. Więc nie zatrzymując się podała filiżankę Jerzemu Hugon.

─ Pewna dama zaprasza pana na kolację ─ powiedział wesoło dziennikarz zwracając się do hrabiego Muffat.

Zdawało się, że słowa te bardzo zaskoczyły hrabiego, który przez cały wieczór miał twarz ponurą.

─ Jaka dama?

─ Nana! ─ rzekł Vandeuvres, chcąc czym prędzej załatwić sprawę. Hrabia jeszcze bardziej sposępniał. Z lekka tylko mrugnął powiekami, a na jego czole pojawił się wyraz niepokoju, jakby cień migreny.

─ Ależ ja nie znam tej damy ─ szepnął.

─ Przecież pan hrabia był u niej ─ zauważył Vandeuvres.

─ Jak to! Byłem u niej... Ach tak, któregoś dnia jako kwestarz towarzystwa dobroczynności. Zupełnie o tym zapomniałem. Mniejsza z tym nie znam jej i nie mogę przyjąć zaproszenia.

Zrobił minę lodowatą, by dać do zrozumienia, że żart jest w złym guście. W domu tego rodzaju kobiety nie ma miejsca dla mężczyzny jego pokroju. Vandeuvres uniósł się: przecież chodzi o kolację w gronie artystów, talent wszystko usprawiedliwia. Lecz hrabia odmówił stanowczo, nie słuchając już argumentów Fauchery'ego, który opowiadał o pewnym obiedzie, kiedy to książę Szkocji, syn królowej, siedział obok dawnej śpiewaczki szantanu. Pomimo swych nienagannych manier hrabia zdradził jednak gestem wzburzenie.

Jerzy i la Faloise stali obok siebie i pijąc herbatę słyszeli tę krótką wymianę zdań.

— Patrzcie, państwo! Więc to u Nany — szepnął la Faloise. — Powinienem był się domyślić. Jerzy nic nie mówił, lecz był w płomieniach. Rozpalony i podniecony grzechem, w którym brnął od paru dni, włosy miał rozwiane, niebieskie oczy błyszczały mu jak świece. Zdobywał nareszcie to, o czym marzył.

— Niestety, nie znam adresu — rzekł la Faloise.

— Bulwar Haussmanna, między ulicą Arcade i ulicą Pasquier, trzecie piętro — odpowiedział Jerzy jednym tchem. Ponieważ la Faloise patrzał na niego ze zdumieniem, spąsowiał i dodał z pyszałkowatą miną, choć nieco zaambarasowany: — Będę tam również, zaprosiła mnie dziś rano.

W salonie zrobił się duży ruch. Vandeuvres i Fauchery nie mogli dłużej nalegać na hrabiego, gdyż właśnie wszedł markiz de Chouard. Wszyscy śpieszyli go powitać. Szedł z trudem na uginających się nogach. Stanął na środku pokoju blady, mrugając oczami, jakby go oślepiało światło lamp po wyjściu z ciemnej uliczki.

— Już się nie spodziewałam zobaczyć ojca — rzekła hrabina. — Byłabym niespokojna do jutra. Spojrzał na nią, nie dając żadnej odpowiedzi, jak człowiek, który nic nie rozumie. Gruby nos na ogolonej twarzy wyglądał jak ropień. Dolna warga mu zwisała. Widząc go w takim stanie pani Hugon użaliła się nad nim.

— Za wiele pan pracuje. Powinien pan odpocząć... W naszym wieku trzeba już pracę zostawić młodym ludziom.

— Praca! Ach tak, praca — wyjąkał wreszcie — ciągle tyle pracy. Z wolna przytomniał, prostował zgarbiony grzbiet, przesuwał rękę po siwych włosach, których rzadkie pukle powiewały mu za uszami.

— Nad czymże pan tak późno pracuje? — spytała pani Du Joncquoy. — Sądziłam, że pan był na przyjęciu u ministra finansów. Lecz hrabina wtrąciła:

— Ojciec musiał przestudiować pewien projekt ustawy.

— Tak, projekt ustawy — rzekł — właśnie, projekt ustawy...Zamknąłem się u siebie... To w sprawie fabryk, chciałbym, żeby przestrzegano odpoczynku niedzielnego. Naprawdę wstyd, że rząd nie chce działać energicznie. Kościoły pustoszeją, to grozi katastrofą.

Vandeuvres spojrzał na Fauchery'ego. Stali za markizem i czyhali na niego. Gdy Vandeuvres odciągnął go na bok i spytał o tę piękną osóbkę, którą zabierał ze sobą na wieś, starzec udał, że jest zaskoczony. Może go widziano z baronową Decker, u której w Viroflay spędza czasem parę dni. Na to Vandeuvres chcąc się zemścić spytał:

— Niechże pan powie, gdzie pan był? Ma pan na łokciu pełno gipsu i pajęczyn.

— Na łokciu? — szepnął lekko zmieszany. — Rzeczywiście... Trochę brudu... Widocznie wychodząc z domu otarłem się o mur.

Kilka osób wyszło, zbliżała się północ. Dwaj lokaje bezszelestnie zbierali puste filiżanki i talerzyki. Przy kominku panie na nowo utworzyły ciasny krąg, rozmawiając już mniej oficjalnie w sennej atmosferze zamierającego wieczoru. Salon zasypiał, ściany z wolna pogrążały się w cieniu. Fauchery mówił, że czas już odejść, a ciągle jeszcze spoglądał na hrabinę. Odpoczywała natrudziwszy się jako pani domu. Siedziała na swym miejscu milcząca z wzrokiem utkwionym w żarzącej się głowni. Twarz miała tak bladą i skupioną, że ogarnęły go wątpliwości. Blask ogniska rozjaśniał czarne włoski na znamieniu w kącie ust. Jota w jotę jak u Nany, teraz nawet kolor ten sam. Nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć o tym Van-

deuvres'owi do ucha ─ tak, dalibóg; nigdy tego przedtem nie zauważył. Potem już razem porównywali Nanę z hrabiną. Dopatrzyli się pewnego podobieństwa w linii brody i ust. Tylko oczy zupełnie inne. Poza tym Nana ma wygląd łatwej dziewki, a o hrabinie trudno coś powiedzieć; jakby kotka, co śpi ze schowanymi pazurkami, z łapkami drgającymi nerwowo.

─ Ale mimo wszystko chętnie bym się z nią przespał ─ oświadczył Fauchery.

Vandeuvres rozbierał ją wzrokiem.

─ Tak, mimo wszystko ─ rzekł. ─ Ale, wie pan, mam zastrzeżenia co do jej ud. Założę się, że ona nie ma ud!

Umilkł nagle, gdyż Fauchery trącił go w łokieć pokazując znacząco Stellę, która siedziała przed nimi na taborecie. Przed chwilą, nie widząc jej, rozmawiali głośniej. Chyba ich słyszała. Siedziała jednak sztywno i nieruchomo ze swą chudą szyją nazbyt wybujałej dziewczyny. Nie drgnął na niej nawet włosek. Odeszli trzy czy cztery kroki. Vandeuvres przysięgał, że hrabina jest bardzo uczciwą kobietą. W tej chwili przy kominku podniosły się głosy. Pani Du Joncquoy mówiła:

─ Przecież zgodziłam się, że pan Bismarck jest, być może, człowiekiem inteligentnym... Skoro jednak zaczynacie mówić o geniuszu... Okazało się, że panie wróciły do swego pierwszego tematu.

─ Jak to! Znowu o Bismarcku! ─ szepnął Fauchery. ─ Teraz już naprawdę znikam.

─ Czekaj pan ─ rzekł Vandeuvres ─ musimy otrzymać ostateczną odpowiedź hrabiego.

Hrabia Muffat rozmawiał ze swym teściem i kilku poważnymi mężczyznami. Vandeuvres odciągnął go i ponowił zaproszenie zachęcając tym, że i on sam będzie na tej kolacji. Mężczyzna może bywać wszędzie. Nikt nie dopatrzy się czegoś złego tam, gdzie chodzi najwyżej o ciekawość. Hrabia słuchał tych argumentów w milczeniu, opuszczając wzrok. Vandeuvres czuł, że hrabia się waha. W tej chwili zbliżył się markiz de Chouard z pytającą miną. Gdy dowiedział się o co chodzi, i gdy z kolei Fauchery i jego zaprosił, spojrzał ukradkiem na zięcia. Nastąpił moment żenującego milczenia. Lecz obaj nawzajem się zachęcali i bez wątpienia byliby wreszcie przyjęli zaproszenie, gdyby hrabia Muffat nie zauważył pana Venot, który uparcie wpatrywał się w niego. Starzec już się nie uśmiechał. Miał twarz ziemistą, stalowe, jasne, przenikliwe spojrzenie.

─ Nie ─ odpowiedział hrabia tonem tak stanowczym, że nie warto już było nalegać. Wówczas i markiz odmówił z jeszcze większą surowością. Mówił o moralności, o tym, że wyższe sfery powinny dawać przykład. Fauchery uśmiechnął się i uścisnął rękę Vandeuvres'a. Nie czekał już na niego, wyszedł od razu, bo musiał jeszcze wstąpić do redakcji.

─ A więc o północy u Nany, prawda?

La Faloise też wychodził. Steiner właśnie pożegnał hrabinę, a za nim i inni. Krążyły ciągle te same słowa; idąc do przedpokoju po palta, wszyscy powtarzali: „O północy, u Nany.” Jerzy, który miał wracać do domu z matką, stanął na progu i podawał dokładny adres: „Trzecie piętro na lewo.” A Fauchery przed samym wyjściem rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na salon. Vandeuvres wrócił na swe miejsce wśród pań, żartując z Leonią de Chezelles. Hrabia Muffat i markiz de Chouard wmieszali się do rozmowy, a poczciwa pani Hugon zasypiała z otwartymi oczami. Zagubiony wśród spódnic, pan Venot, który znowu się skulił, uśmiechał się| dobrodusznie. W wielkim, uroczystym pokoju wybiła wolno północ.

─ Jak to! Jak to! ─ podjęła pani Du Joncquoy ─ przypuszczacie, że pan Bismarck będzie z nami prowadził wojnę i wygra... Och! To już przechodzi wszelkie wyobrażenie!

Śmiech wybuchł w otoczeniu pani Chantereau, która przed chwilą powtórzyła tę pogłoskę usłyszaną w Alzacji, gdzie jej mąż miał fabrykę.

─ Na szczęście mamy cesarza ─ rzekł hrabia Muffat, pełen oficjalnej powagi.

To były ostatnie słowa, które zdołał usłyszeć Fauchery. Zamykał drzwi spojrzawszy jeszcze raz na hrabinę. W oficjalnej pozie rozmawiała poważnie z naczelnikiem. Zdawało się, że bawi

ją rozmowa z tym grubym mężczyzną. Więc chyba się pomylił? Hrabina była kobietą bez skazy. Bardzo żałował. ─ Czy nareszcie idziesz? ─ krzyknął do niego la Faloise z westybulu.

Na trotuarze. gdy towarzystwo się rozchodziło, powtarzano jeszcze:

„Do jutra, u Nany.”

IV

Od rana przejął mieszkanie z rąk Zoè *maitre d'hótel,* który przyszedł z restauracji Brèbanta z grupą pomocnic i kelnerów. Ta firma miała dostarczyć wszystko: kolację, serwis, kryształy, bieliznę stołową, kwiaty, nawet krzesła i taborety. U Nany nie znalazłbyś w szafach choćby tuzina serwetek. Dotychczas nie miała jeszcze kiedy zaprezentować się w swej nowej roli, a ponieważ nie cierpiała chodzić do restauracji, wolała sprowadzić ją do domu. Zdawało się jej, że tak będzie bardziej elegancko. Chciała uczcić swój wielki sukces aktorski kolacją, która zdobyłaby rozgłos. Ponieważ jadalnia była za mała, *maitre d'hotel* ustawił stół w salonie, stół na dwadzieścia pięć nakryć, gęsto rozmieszczonych.

— Czy wszystko gotowe? — spytała Nana wracając o północy.

— A bo ja wiem — odparła brutalnie Zoè. Zdawało się, że ledwie ze skóry nie wyskoczy. — Dzięki Bogu, nie zajmuję się niczym. Demolują kuchnię i całe mieszkanie!... Musiałam się z nimi rozprawić. A poza tym przyszło jeszcze dwóch jegomościów. Wyrzuciłam ich za drzwi, słowo daję.

Mówiła o dwóch byłych kochankach pani, o kupcu i Wołochu, których Nana postanowiła odprawić. Spokojna już teraz o swoją przyszłość, chciała, jak mówiła, odmienić skórę.

— To dopiero natręty! — szepnęła. — Jeżeli wrócą, postraszę ich, że pójdziesz na komisariat.

Potem zawołała Dagueneta i Jerzego, którzy zostali w przedpokoju, gdzie wieszali palta. Spotkali się przy wyjściu dla artystów w pasażu Panoram. Zabrała ich dorożką. Ponieważ jeszcze nikogo nie było, krzyknęła. żeby weszli do buduaru, gdzie Zoè miała jej poprawić toaletę. W pośpiechu nie zmieniając sukni kazała sobie podwinąć włosy. Wpięła białe róże w kok i do stanika. Buduar zastawiono meblami z salonu, które trzeba było stamtąd wyrzucić. Piętrzył się stos kanap, stolików, foteli ustawionych do góry nogami. Była już gotowa, gdy nagle suknia rozdarła się zaplątana w jakieś kółko. Zaklęła gwałtownie, że też jej musi się to zawsze zdarzyć. Z wściekłością zdjęła prostą, białą fularową suknię, tak miękką i zwiewną, że wyglądała w niej jak w długiej koszuli. Lecz natychmiast włożyła ją na powrót, bo nie mogła sobie dobrać innej. Była bliska płaczu mówiąc, że jest ubrana jak łachmaniarka. Daguenet i Jerzy spinali rozdartą suknię szpilkami, a tymczasem Zoè poprawiała jej uczesanie. Wszyscy troje śpieszyli się. zwłaszcza Jerzy, który klęczał na podłodze zanurzając ręce w spódnicy. Uspokoiła się wreszcie, gdy Daguenet ją zapewnił, że jest dopiero najwyżej kwadrans po północy, bo tak się spieszyła w trzecim akcie *Jasnowłosej Wenus,* połykając repliki i przeskakując kuplety.

— To i tak jeszcze za dobre dla tych głupców — rzekła. — Czy widzieliście? Cóż to za okropne typy były na sali dziś wieczorem!... Zoè droga, poczekaj tu i nie kładź się spać, bo może będziesz mi potrzebna... Do diabła! Najwyższy czas. Już się schodzą.

Wymknęła się. Jerzy klęczał na podłodze zamiatając ją potami fraka. Zarumienił się widząc, że Daguenet na mego patrzy. W przystępie wzajemnej czułości poprawiali sobie krawaty stojąc przed wielkim lustrem i czyścili szczotką ubrania, które pobielili dotykając Nany.

— Jakby nas kto cukrem posypał — szepnął Jerzy z uśmiechem łakomego dziecka.

Lokaj wynajęty na noc wprowadzał gości do saloniku, wąskiego pokoju, gdzie zostawiono tylko cztery fotele, by pomieścić więcej osób. Z sąsiedniego salonu dochodził brzęk porcelany i srebra, a spod drzwi wyzierała smuga jaskrawego światła. Wchodząc Nana zastała siedzącą już w jednym z foteli Klarysę Besnus, którą przyprowadził la Faloise.

—Jak to! Ty pierwsza! — rzekła Nana. Od czasu swego sukcesu traktowała ją poufale.

— Ech! To jego wina — odparła Klarysa. — On zawsze się boi, że nie zdąży... Gdybym była wiedziała, nie spieszyłabym się tak ze zmywaniem różu i zdejmowaniem peruki.

Młody człowiek, który po raz pierwszy widział Nanę, kłaniał się i prawił jej komplementy; mówił o swym kuzynie i pokrywał zmieszanie przesadną grzecznością. Lecz Nana, nawet go nie słuchając, bezwiednie uścisnęła mu rękę i podeszła szybko do Róży Mignon. Nagle zrobiła się bardzo dystyngowana.

─Ach! Jakże droga pani jest miła!... Tak bardzo mi zależało na tym, żeby pani do mnie przyszła!

─ Zapewniam panią, że to ja jestem zachwycona ─ rzekła Róża także z najwyższą uprzejmością.

─ Niechże pani usiądzie... Czy można pani czymś służyć?

─ Nie, dziękuję... Ach! Zostawiłam wachlarz w futrze. Panie Steiner, niech pan zobaczy w prawej kieszeni.

Steiner i Mignon weszli do saloniku za Różą. Bankier wrócił do przedpokoju i po chwili zjawił się z wachlarzem, a tymczasem Mignon całował Nanę po bratersku i zmuszał Różę, żeby ją także ucałowała. Czyż wszyscy w teatrze nie tworzą jednej rodziny? Potem mrugnął, jakby chciał zachęcić Steinera. Ale bankier, zmieszany spojrzeniem Róży. poprzestał na złożeniu pocałunku na ręce Nany.

Właśnie hrabia de Vandeuvres zjawił się z Blanką de Sivry. Witano się wymieniając niskie ukłony. Nana ceremonialnie zaprowadziła Blankę do fotela. Tymczasem Vandeuvres ze śmiechem opowiadał, że Fauchery kłócił się na dole, gdyż konsjerż nie pozwolił wprowadzić na podwórze powozu Lucy Stewart. W przedpokoju było słychać, jak Lucy nazywa konsjerża starym durniem. Lecz gdy lokaj otworzył drzwi, weszła uśmiechnięta i pełna wdzięku; sama się przedstawiła, chwyciła Nanę za ręce mówiąc, że od razu ją polubiła i odkryła w niej wielki talent. Nana, dumna ze swojej nowej roli pani domu, dziękowała i była naprawdę zmieszana. Jednak zdawało się, że coś ją niepokoi od chwili przybycia Fauchery'ego. Skoro tylko mogła zbliżyć się do niego, spytała zupełnie cicho:

─ Przyjdzie?

─ Nie, nie chciał ─ odrzekł brutalnie dziennikarz przyłapany znienacka, choć przygotował sobie całą historię, by wyjaśnić odmowę hrabiego Muffata. Dopiero gdy zobaczył, że młoda kobieta zbladła, zdał sobie sprawę ze swej niezręczności. Próbował jeszcze ratować sytuację. ─ Nie mógł, idzie dziś wieczorem z hrabiną na bal w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

─ Ładne rzeczy ─ szepnęła Nana, która podejrzewała go o złą wolę. ─ Zapłacisz mi za to, kochaneczku.

Fauchery urażony pogróżką powiedział:

─ Ach! Doprawdy nie lubię tego rodzaju poleceń. Zwróć się raczej do Labordette'a.

Rozeszli się pogniewani. Właśnie Mignon popychał Steinera w kierunku Nany. Skoro tylko znalazła się sama, powiedział do niej po cichu, z cynizmem dobrego kompana, który chce sprawić przyjemność przyjacielowi:

─ Wiesz, on szaleje... Tylko boi się mojej żony. Ale ty go obronisz, prawda?

Z miny Nany widać było, że nie bardzo rozumie, o co chodzi. Uśmiechała się i spoglądała na Różę, na jej męża i bankiera, do którego powiedziała:

─ Proszę pana, przy stole usiądzie pan koło mnie.

Z przedpokoju doleciały śmiechy i szepty, fala wesołych i gadatliwych głosów, jakby się nagle spotkała gromada dziewcząt, które uciekły z klasztoru. Zjawił się Labordette prowadząc za sobą pięć kobiet, cały pensjonat ─ jak mówiła złośliwie Lucy Stewart. Była wśród nich Gaga; wyglądała dostojnie w opiętej sukni z niebieskiego aksamitu, Karolina Hèquet zawsze w tej samej sukni z czarnego, błyszczącego jedwabiu, przybranej delikatną koronką, Lea de Horn jak zwykle ubrana bez gustu, gruba Tania Nene, dobroduszna blondynka z biustem mamki, budzącym wesołość, i wreszcie piętnastoletnia dziewczynka, chuda i łobuzerska jak chłopak, Maria Blond, która weszła w świat debiutując na scenie „Folies". Labordette przywiózł je wszystkie w jednej karecie. Jeszcze się śmiały z ciasnoty w powozie, gdzie Maria

Blond musiała siedzieć na czyichś kolanach. Lecz tłumiły śmiech zaciskając wargi, by zachować się przyzwoicie przy powitaniu. Gaga wpadła nawet w przesadę, udawała naiwną i sepleniła. A Tania Nene, której po drodze opowiadano, że podczas kolacji u Nany będzie usługiwało sześciu zupełnie nagich Murzynów, podniecona, chciała koniecznie ich zobaczyć. Labordette nazwał ją głupią gęsią i prosił, żeby milczała.

— A gdzie jest Bordenave? — spytał Fauchery.

— Och! Nie macie pojęcia, jak jestem zmartwiona — krzyknęła Nana. — Nie będzie mógł być z nami.

— Tak — rzekła Róża Mignon — wpadł w jakiś potrzask i strasznie sobie zwichnął nogę. Klął straszliwie, zły, że ją ma obandażowaną i wyciągniętą na krześle.

Wszyscy zaczęli żałować Bordenave'a. Bez niego żadna kolacja nie była udana. Ale ostatecznie jakoś trzeba będzie się obejść. Rozmawiano już nawet o czymś innym, gdy nagle odezwał się gruby głos:

— A to ładnie, to ładnie! Szybko chcielibyście mnie pogrzebać! Podniósł się krzyk, wszyscy odwrócili głowy. Wsparty o ramię Simony Cabiroche stał w progu Bordenave ze sztywną nogą, ogromny i bardzo czerwony. Ostatnio sypiał z Simoną. Ta dziewczyna otrzymała staranne wychowanie, gdyż grała na fortepianie i mówiła po angielsku. Milutka, delikatna blondynka uginała się pod ciężarem tęgiego Bordenave'a, a mimo wszystko była uśmiechnięta i uległa. Przekonany, że we dwoje tworzą piękny obraz, Bordenave przez kilka sekund nie zmieniał przybranej pozy.

— Doprawdy zrobiłem to z miłości do pani — ciągnął dalej. — Słowo daję. bałem się, że umrę z nudów, więc powiedziałem sobie: idę... — Lecz nagle urwał i zaklął: — Do krocset! — Simoną zrobiła zbyt szybki krok i jego noga obsunęła się. Potrącił dziewczynę. Pulchna blondyneczka podtrzymywała go z całych sił, nie przestając się uśmiechać i pochylając ładną buzię jak zwierzątko, które obawia się bicia. Wśród okrzyków tłoczono się dokoła niego. Nana i Róża Mignon podsunęły fotel, w którym go ulokowały, a inne kobiety wsuwały mu drugi fotel pod nogę. Naturalnie wszystkie aktorki go całowały, a on mruczał i wzdychał: — Do krocset! Do krocset!... Ale za to przynajmniej żołądek mam mocny, zobaczycie.

Przybyli jeszcze inni biesiadnicy. W pokoju nie można się już było ruszyć. Brzęk serwisu i sreber ustał. Teraz odgłosy kłótni dochodziły z wielkiego salonu, gdzie grzmiał rozwścieczony głos *maitre d'hótel*. Nana niecierpliwiła się. Nie oczekując już więcej gości dziwiła się, że nie podawano do stołu. Wysłała więc Jerzego, by zapytał, co się dzieje, gdy nagle zaskoczył ją widok wchodzącego towarzystwa. Przyszli znowu jacyś mężczyźni i kobiety. Wcale ich nie znała. Trochę zaambarasowana wypytywała Bordenave'a, Mignona, Labordette'a. Oni także ich nie znali. Gdy zwróciła się do hrabiego de Vandeuvres, nagle sobie przypomniał: to byli ci młodzi ludzie, których zwerbował u hrabiego Muffat. Nana mu podziękowała. Wszystko w porządku. Będzie tylko trochę ciasno. I poprosiła Labordette'a, żeby kazał dodać siedem nakryć. Ledwie wyszedł, lokaj wprowadził znowu trzy osoby. Teraz to już zaczynało być śmieszne i nie do zniesienia. Nana wpadła w gniew. Z wyniosłą miną mówiła, że to już nieprzyzwoicie. Lecz gdy weszło jeszcze dwóch gości, wybuchnęła śmiechem, bo sytuacja wydała się jej nader zabawna. Jak będzie, tak będzie. Wszyscy stali, tylko Gaga i Róża Mignon siedziały, a Bordenave sam zajmował dwa fotele. Było słychać szmer głosów, rozmawiano po cichu, tłumiąc lekkie ziewnięcia.

— No, moja droga, może byśmy jednak zasiedli do stołu?... — rzekł Bordenave. — Jesteśmy w komplecie, prawda?

— Ach! Rzeczywiście, jesteśmy w komplecie! — odparła Nana śmiejąc się.

Rozejrzała się dokoła. Spoważniała, jakby zdziwiona, że kogoś nie ma. Jasne, brakowało jednego biesiadnika, o którym wcale nie mówiła. Trzeba było poczekać. W kilka minut później goście spostrzegli w swym gronie wysokiego pana o twarzy szlachetnej i z piękną siwą brodą. Najbardziej zdumiewające było to, że nikt nie widział, jak ów pan wszedł. Widocznie

wśliznął się do saloniku przez otwarte drzwi sypialni. Zapanowało milczenie, krążyły szepty. Hrabia de Vandeuvres na pewno wiedział, kim jest ten pan, gdyż wymienili dyskretny uścisk dłoni. Lecz na pytania kobiet odpowiedział uśmiechem. Wówczas Karolina Hèquet półgłosem założyła się, że to jest pewien lord angielski, który nazajutrz wraca do Londynu na swój ślub. Zna go dobrze, bo z nim spała. Ta historyjka obiegła wszystkie kobiety. Ale Maria Blond twierdziła, że rozpoznaje w nim niemieckiego ambasadora, który często sypia z jedną z jej przyjaciółek. W męskim gronie wydawano o nim sądy krótkimi zdaniami. Mówiono, że wygląda na człowieka poważnego. Może to on płaci za całą tę kolację? Tak się zresztą wydawało, wszystko jedno, byleby kolacja była dobra! Ostatecznie wątpliwości nie rozwiano, zaczęto już nawet zapominać o starcu z siwą brodą, gdy *maitre d'hotel* otwarł drzwi wielkiego salonu i oznajmił: ─ Podano do stołu.

Nana przyjęta ramię Steinera, jakby nie zauważyła gestu starca, który poszedł za nią sam. Orszak nie mógł się zresztą uformować. Mężczyźni i kobiety weszli do salonu w nieładzie, żartując z mieszczańską dobrodusznością na temat braku ceremonii. Długi stół był rozstawiony od jednego do drugiego końca dużego pokoju opróżnionego z mebli. Lecz ten stół okazał się jeszcze za mały, gdyż talerze stykały się z sobą. Cztery kandelabry dziesięcioświecowe oświetlały dekorację stołu, platerowany *surtout* z pękami kwiatów po prawej i lewej stronie. Stół był nakryty z luksusem restauracyjnym, porcelaną bez marki, zdobną w złocone siateczki, srebrem zużytym i wytartym od ciągłego zmywania, kryształami, których zdekompletowane tuziny można było uzupełniać na wszystkich bazarach. Robiło to wrażenie przyjęcia z okazji nowego mieszkania, przyjęcia zaimprowizowanego byle jak przez ludzi, którzy się nagle wzbogacili i nie zdążyli się jeszcze zagospodarować. Brakowało tylko żyrandola. Kandelabry, w których bardzo wysokie świece ledwie się tliły, rzucały bladożółte światło na kompotierki, talerze, salaterki, w których symetrycznie były poukładane na przemian owoce, ciasteczka, konfitury.

─ Wiecie co ─ rzekła Nana ─ siadajmy, jak kto chce... Tak będzie zabawniej.

Stała przy stole pośrodku... Stary pan, którego towarzystwo nie znało, siadł przy niej po prawej stronie, a po lewej usadowiła Steinera. Właśnie biesiadnicy siadali, zajmowali miejsca, gdy z saloniku dobiegły odgłosy przekleństw. To grzmiał Bordenave. Zapomniano o nim, więc z piekielnym trudem wstał ze swych dwóch foteli, pomstując i wołając tę kanalię Simonę, która uciekła od niego wraz z innymi. Kobiety pobiegły, pełne współczucia. Bordenave zjawił się podpierany, prawie niesiony przez Karolinę, Klarysę, Tanię Nene, Marię Blond. Niemały kłopot był z ulokowaniem go przy stole.

─ W środku, naprzeciwko Nany! ─ krzyczano. ─ Bordenave do środka!

Będzie nam przewodniczył!

Więc posadziły go w środku. Lecz potrzebne było jeszcze drugie krzesło dla podparcia chorej nogi. Dwie kobiety podniosły ją i ostrożnie wyciągnęły... Powiedział, że tak mu będzie dobrze, bo może jeść siedząc bokiem.

─ Do diaska ─ gderał ─ a to mnie zabarykadowali!... Ach! Kociaczki moje, tatuś poleca się waszej opiece.

Miał po prawej stronie Różę Mignon, a po lewej Lucy Stewart. Obiecały, że będą się o niego troszczyły. Wszyscy się teraz sadowili. Hrabia de Vandeuvres usiadł pomiędzy Lucy i Klarysą. Fauchery pomiędzy Różą Mignon i Karoliną Hèquet. Z drugiej strony Hektor de la Faloise śpieszył się, żeby siąść obok Gagi, choć Klarysa wzywała go vis a vis. A Mignon, który nie spuszczał z oka Steinera, był od niego przedzielony tylko Blanką, mając po lewej stronie Tanię Nene. Dalej siedział Labordette. Wreszcie na obu końcach stołu rozmieścili się młodzi mężczyźni i kobiety: Simona, Lea de Horn, Maria Blond, stłoczeni bez ładu i składu. Byli wśród nich także Daguenet i Jerzy Hugon, którzy co raz bardziej z sobą sympatyzowali i uśmiechali się do Nany.

Tymczasem, ponieważ dwie osoby jeszcze stały, dowcipkowano. Mężczyźni ofiarowywali swoje kolana. Klarysa, która nie mogła w ścisku ruszać łokciami, powiedziała do Vandeuvr-s'a, że liczy na jego pomoc przy jedzeniu. Bo też ten Bordenave zajmował tyle miejsca swymi krzesłami! Jeszcze bardziej się ściśnięto i wreszcie całe towarzystwo mogło usiąść. Ale Mignon krzyczał, że siedzą ciasno jak śledzie w beczce.

— *Puree comtesse* ze szparagów, *consomme a la Deslignac* — proponowali kelnerzy.

Bordenave głośno doradzał *consomme,* gdy nagle podniósł się krzyk, i Słychać było protesty i gniewne wrzaski. Potem drzwi się otwarły i weszło troje spóźnialskich, jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Tego już doprawdy było za wiele! Nie opuszczając swego krzesła Nana zmrużyła oczy, by sprawdzić, czy ich zna. Była to Ludwika Violaine. Ale tych mężczyzn nigdy nie widziała.

— Ten pan, kochanie — rzekł Vandeuvres — to mój przyjaciel Foucarmont, oficer marynarki. Zaprosiłem go. Foucarmont ukłonił się swobodnie dodając:

— Pozwoliłem sobie przyprowadzić jednego z moich przyjaciół.

— Ach! Doskonale, doskonale — rzekła Nana. — Proszę siadać... Dalej, Klaryso, posuń się trochę. Tam siedzicie za luźno... Przy dobrej woli...

Ściśnięto się jeszcze, dla Foucarmonta i Ludwiki znalazł się skrawek stołu. Lecz ich przyjaciel musiał siedzieć z daleka od swego nakrycia. Jadł wyciągając ramiona pomiędzy barkami sąsiadów. Kelnerzy sprzątali głębokie talerze, krążyły kiełbaski z młodych królików, z truflami, i kluseczki z parmezanem. Ale zakotłowało się, kiedy Bordenave opowiedział, że był moment, gdy chciał przyprowadzić Prullière'a, Fontana i starego Bosca. Na co Nana wyniośle i oschle odpowiedziała, że byłaby ich ładnie przyjęła. Gdyby chciała mieć na przyjęciu swych kolegów, sama by ich zaprosiła. Nie, nie trzeba tu kabotynów. Stary Bosc jest zawsze podchmielony, Prullière ma o sobie zbyt wysokie mniemanie, a Fontan jest w towarzystwie nie do zniesienia ze swymi dowcipami i głośnymi wybuchami. Poza tym, widzicie, kabotyni są zawsze nie na miejscu w gronie takich panów.

— Tak, to prawda — oświadczył Mignon.

Panowie we frakach i białych krawatach siedzący dokoła stołu wyglądali bardzo wytwornie. Ich pełne dystynkcji blade twarze jeszcze bardziej wysubtelniało zmęczenie. Stary pan miał powolne ruchy i wykwintny uśmiech, jakby przewodniczył na kongresie dyplomatów. Vandeuvres zachowywał się wobec swych sąsiadek z tak wyszukaną grzecznością, jakby znajdował się u hrabiny Muffat. Jeszcze następnego ranka Nana mówiła do swej ciotki: „Jeśli chodzi o mężczyzn, nie można było lepiej dobrać. Wszyscy szlachetnie urodzeni albo bogaci. Jednym słowem, eleganccy mężczyźni. A jeśli chodzi o kobiety, to trzeba przyznać, że zachowywały się dobrze. Niektóre, jak Blanka, Lea, Ludwika, miały głębokie dekolty; ale jedynie Gaga prezentowała może trochę za wiele swych wdzięków, tym bardziej że w jej wieku byłoby lepiej nic nie pokazywać." Teraz, kiedy już nareszcie wszyscy się ulokowali, ucichły śmiechy i żarty. Jerzy pomyślał, że uczestniczył już w bardziej wesołych obiadach w mieszczańskich domach Orleanu. Rozmawiano niewiele, mężczyźni, którzy się nawzajem nie znali, przyglądali się jeden drugiemu, kobiety siedziały spokojnie. To właśnie wywołało wielkie zdziwienie Jerzego. Uważał, że są „drobnomieszczańskie", gdyż spodziewał się, że natychmiast wszyscy będą się całować. Z kolei podano drugie danie: karpia z Renu à la Chambord i comber sarni po angielsku. Wtem Blanka powiedziała głośno:

— Lucy, kochanie, spotkałam w niedzielę pani Oliviera... jakże on wyrósł!

— No cóż! Ma przecież osiemnaście lat — odparła Lucy — to mnie chyba nie odmładza... Pojechał wczoraj znowu do szkoły.

Jej syn, o którym mówiła z dumą, był uczniem w szkole morskiej. Zaczęto rozmawiać o dzieciach. Wszystkie te damulki rozczulały się, Nana opowiadała o swych wielkich radościach: maleńki Ludwiś jest teraz u jej ciotki, która przyprowadza go codziennie o jedenastej. Nana bierze

go do swego łóżka, gdzie bawi się z pinczerkiem Lulu. Można pęknąć ze śmiechu, gdy tak we dwójkę zakopują się pod kołdrą. Trudno sobie wyobrazić, jak sprytny jest już ten malec.

— Och! Co za dzień przeżyłam wczoraj! — opowiadała z kolei Róża Mignon. — Wyobraźcie sobie, że poszłam po Karolka i Henryczka do ich internatu. Musiałam koniecznie zabrać ich wieczorem do teatru. Skakali, klaskali w rączki i krzyczeli: „Zobaczy my, jak mama gra! Zobaczy my, jak mama gra!”... Och! cóż to był za harmider!

Mignon uśmiechał się słodko z oczami wilgotnymi od ojcowskiej czułości.

— A podczas przedstawienia — opowiadał dalej — byli tacy zabawni!

Poważni jak mężczyźni, pożerali Różę wzrokiem i pytali mnie, dlaczego mama ma takie gołe nogi...

Wszyscy zaczęli się śmiać. Mignon triumfował, pochlebiony w swej dumie ojcowskiej. Uwielbiał swych malców. Cały jego wysiłek zmierzał do tego, żeby powiększyć majątek administrując pieniędzmi, które Róża zarabiała w teatrze i gdzie indziej. Kochali się namiętnie, gdy poślubił ją jako szef orkiestry w szantanie, w którym ona śpiewała. Teraz byli dobrymi przyjaciółmi. Zrobili układ: ona pracowała z całych sił wykorzystując zarówno talent, jak urodę: on porzucił zawód skrzypka, by móc lepiej czuwać nad jej sukcesami artystki i kobiety. Trudno byłoby znaleźć małżeństwo bardziej mieszczańskie i bardziej zgodne.

— Ile lat ma starszy? — spytał Vandeuvres.

— Henryczek ma dziewięć lat — odrzekł Mignon. — Ale łobuz z niego! Potem żartował ze Steinera, który nie lubił dzieci. Mówił z odcieniem wyższości, że gdyby bankier był ojcem, nie trwoniłby tak głupio swego majątku. Jednocześnie ponad plecami Blanki śledził bankiera chcąc zobaczyć. czy klei się coś z Naną. Lecz od kilku minut drażnili go Róża i Fauchery, bo rozmawiali siedząc bardzo blisko siebie. Chyba Róża nie ma zamiaru tracić czasu na podobne głupstwa. W takich wypadkach zdecydowanie się sprzeciwiał. Zabrał się z powrotem do combra, ukazując swe białe ręce z diamentem na małym palcu.

Rozmowa o dzieciach toczyła się dalej. La Faloise, zmieszany sąsiedztwem Gagi, wypytywał ojej córkę, którą miał przyjemność zauważyć, gdy była z nią w teatrze „Varietes”. Gaga odpowiedziała, że Lili czuje się dobrze, ale to jeszcze taka smarkata! Był zaskoczony dowiedziawszy się, że Lili rozpoczynała już dziewiętnasty rok życia. Tym Gaga jeszcze bardziej mu zaimponowała. A ponieważ chciał wiedzieć, dlaczego nie przyprowadziła Lili. rzekła z miną urażoną:

— Och! Nie. za nic! Nie minęły jeszcze trzy miesiące od chwili, gdy, spełniając jej gorące pragnienie odebrałam ją z internatu... Marzyłam o tym, żeby ją od razu wydać za mąż... Lecz ona tak mnie kocha, że musiałam ją wziąć do siebie, choć naprawdę wbrew woli. — Mówiąc o pensji swej córki, mrugała pofarbowanymi na niebiesko powiekami i poczernionymi rzęsami. Jeżeli ona w swoim wieku nie zdołała odłożyć ani grosza, choć stale pracuje i ciągle jeszcze ma mężczyzn, nawet bardzo młodych, dla których mogłaby już być babką, to chyba dostateczny dowód, że dobre małżeństwo jest więcej warte. Przechyliła się ku la Faloise'owi. który spąsowiał, gdyż przygniatała go swym potężnym, gołym i ubielonym ramieniem. — Wie pan, jeżeli ona też w to wdepnie, to ja nie będę temu winna... Ale za młodu ludzie są tak dziwni!

Dokoła stołu zrobił się wielki ruch. Kelnerzy uwijali się. Wniesiono następne danie: pulardy *a la marechale,* filety z solki w ostrym sosie i eskalopy z gęsiej wątróbki. *Maitre d'hótel,* który dotychczas kazał nalewać meursault, proponował teraz chambertin i leoville. Wśród wrzawy towarzyszącej zmianie nakryć Jerzy, coraz bardziej zdziwiony, spytał Dagueneta, jak to jest, że te wszystkie damulki mają dzieci? Daguenet, ubawiony tym pytaniem, zaczął mu szczegółowo opowiadać. Lucy Stewart jest córką smarownika, Anglika z pochodzenia, zatrudnionego na Gare du Nord. Ma trzydzieści dziewięć lat, głupia jak but, ale zachwycająca. Choć jest gruźliczką, jakoś nie umiera; najbardziej elegancka spośród tych kokot, ma trzech książąt i jednego diuka. Karolina Hèquet, urodzona w Bordeaux jako córka skromnego urzędnika,

który umarł ze wstydu, ma na szczęście matkę z głową na karku. Matka ją najpierw przeklęła, ale po roku pogodziła się z nią, chcąc przynajmniej ocalić majątek. Dwudziestopięcioletnia córka, bardzo zimna, uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet; można ją było mieć po stałej cenie. Matka, lubiąca porządek, prowadziła buchalterię, ścisłe rachunki wpływów i wydatków, kierowała całym domem z mieszkanka, które zajmowała o dwa piętra wyżej, gdzie zainstalowała pracownię sukien i bielizny. Blanka Sivry, której prawdziwe nazwisko brzmiało Jacqueline Baudu, pochodziła z wioski w okolicy Amiens; zachwycająca, ale głuptas i kłamczuch, mówiła, że jest wnuczką generała, i nie przyznawała się do swych trzydziestu dwu lat. Bardzo w niej gustowali Rosjanie z powodu jej pełnej figury. Potem Daguenet dorzucił gorliwie parę słów o innych kobietach. Klarysa Besnus została sprowadzona jako służąca z Saint-Aubin-sur-Mer przez pewną panią, której mąż wprowadził ją w świat. Simona Cabiroche, córka kupca meblowego w dzielnicy Saint-Antoine, kształciła się w wielkim pensjonacie na nauczycielkę. Maria Blond, Ludwika Violaine. Lea de Horn ─ wszystkie te dziewczyny wyrosły na bruku paryskim, nie licząc Tani Nene, która do dwudziestego roku życia pasła krowy w nędznej wiosce Szampanii. Jerzy słuchał i patrzał na te damulki oszołomiony i podniecony brutalnym odkryciem prawdy, którą szeptano mu bez ogródek do ucha, podczas gdy za plecami kelnerzy recytowali w kółko głosem pełnym szacunku:

─ Pulardy *a la marechale...* Filety z solki w ostrym sosie...

─ Drogi panie, tej ryby niech pan nie bierze, to nic nie warte o tej porze roku... ─ rzekł Daguenet, bardziej doświadczony. ─ I niech pan pije tylko wino leoville jest mniej szkodliwe.

Żar buchał z kandelabrów, roznoszonych potraw i z całego stołu, gdzie siedziało w ścisku trzydzieści osiem osób. A kelnerzy, zapominając się, biegali po dywanie i zostawiali na nim tłuste plamy. Tymczasem jakoś nie robiło się raźniej. Panie jadły półgębkiem, zostawiając połowę mięsa na talerzach. Tylko Tania Nene pochłaniała wszystko żarłocznie. W tej spóźnionej porze nocnej budził się nerwowy apetyt, kaprysy zepsutych żołądków. Stary pan obok Nany, odmawiał wszystkich potraw, które mu podawano. Zjadł tylko łyżkę zupy. Siedział milczący przed pustym talerzem i rozglądał się. Ludzie dyskretnie ziewali. Chwilami powieki biesiadników zamykały się, twarze stawały się ziemiste; według określenia Vandeuvres'a, wszystko to było śmiertelnie nudne. Tego rodzaju kolacje, jeśli mają być zabawne, nie mogą być wytworne ani sztywne. A skoro mają być cnotliwe i w dobrym tonie, to chyba lepiej już jeść w eleganckim towarzystwie, gdzie nie jest przecież bardziej nudno. I gdyby nie Bordenave, który ciągle wrzeszczał, można było usnąć. To bydlę, wyciągnąwszy nogę, kazało się obsługiwać swym sąsiadkom, Lucy i Róży, robiąc przy tym miny sułtana. Tylko nim były zajęte, cackały się z nim, czuwały nad jego kieliszkiem i talerzem, a on jeszcze ciągle się żalił:

─ Kto mi pokraje mięso?... Ja sam nic mogę, bo siedzę milę od stołu. Simona podnosiła się co chwilę, by stojąc za jego plecami, krajać mu mięso i chleb. Wszystkie kobiety interesowały się tym, co jadł. Wołano kelnerowi opychano go jedzeniem do nieprzytomności. Simona wycierała mu usta, a Róża i Lucy zmieniały nakrycia; wszystko to było mu bardzo miłe. Raczył wreszcie okazać zadowolenie i rzekł:

─ Tak powinno być córeczko... Kobieta jest tylko do tego stworzona.

Towarzystwo trochę się ożywiło, wszyscy uczestniczyli w rozmowie, pijąc sorbet z mandarynek. Na gorąco podano polędwicę z truflami, a na zimno galantynę z perliczki w galarecie. Nana, którą gniewał brak humoru wśród biesiadników, zaczęła mówić bardzo głośno.

─ Wiecie co, książę Szkocji kazał sobie już zarezerwować lożę prosceniową, bo chce zobaczyć *Jasnowłosą Wenus,* gdy przyjedzie zwiedzić Wystawę Światową.

─ Spodziewam się, że wszyscy książęta przyjdą do nas ─ oświadczył Bordenave z pełnymi ustami.

─ W niedzielę oczekujemy szacha perskiego ─ rzekła Lucy Stewart. Róża Mignon zaczęła mówić o klejnotach szacha. Miał tunikę całą pokrytą kosztownymi kamieniami, istne cudo

skrzące się jak gwiazda, milionowej wartości. Kokoty, blade, z oczami błyszczącymi od pożądliwości, wyciągały głowy i wymieniały jeszcze innych królów i cesarzy, oczekiwanych w Paryżu. Każda z nich marzyła o jakimś królewskim kaprysie, o nocy, za którą otrzyma majątek.

— Powiedz, kochanie — rzekła Karolina Hèquet do Vandeuvres'a — w jakim wieku jest car rosyjski? — Och, on jest już bez wieku — odpowiedział śmiejąc się hrabia. — Tam już nie ma nic do roboty, uprzedzam cię.

Nana udała, że ją to dotknęło. Wyraził się zbyt obcesowo, więc zaprotestowała pomrukiwaniem. Potem Blanka opowiadała szczegółowo o królu włoskim, którego widziała raz w Mediolanie. Nie był bynajmniej piękny, a jednak zdobywał wszystkie kobiety. Zmartwiła się, gdy Fauchery zapewniał, że Wiktor Emanuel nie może przyjechać. Ludwika Violaine i Lea były zwolenniczkami cesarza Austrii. Raptem Maria Blond powiedziała:

— A to dopiero stary gnat ten król pruski!... Byłam ubiegłego roku w Baden. Można go było zawsze spotkać z hrabią Bismarckiem.

— Ach! Bismarck — przerwała Simona — poznałam go... Czarujący człowiek.

— A nie mówiłem wczoraj — krzyknął Vandeuvres — nie chciano mi wierzyć.

I tak samo jak u hrabiny Muffat przez dłuższy czas zajmowano się Bismarckiem. Vandeuvres powtarzał nawet te same zdania. Jakby się nagle znaleźli w salonie Muffatów. Zmieniły się tylko damy. Z kolei rozmowa zeszła na muzykę. Potem, ponieważ Foucarmont rzucił parę słów na temat owych obłóczyn, o których mówił cały Paryż, Nana, zainteresowana, chciała koniecznie dowiedzieć się szczegółów o pannie de Fougeray. Och! Biedna dziewczyna, tak się żywcem pogrzebać! Ale ostatecznie, jeżeli miała szczere powołanie! Wszystkie kobiety były bardzo wzruszone. A tymczasem Jerzy, znudzony wysłuchiwaniem tych rzeczy po raz drugi, wypytywał Dagueneta o intymne obyczaje Nany. Ale rozmowa zeszła znowu na Bismarcka. Tania Nene pochylała się do ucha Labordette'a, by spytać, kim jest ten Bismarck, którego ona nie zna. Wobec tego Labordette z najzimniejszą krwią zaczął jej opowiadać potworne historie: że Bismarck jada surowe mięso, a gdy obok swej jaskini spotyka kobietę, unosi ją na plecach; w ten sposób, mając dopiero czterdzieści lat, zrobił już trzydzieści dwoje dzieci.

— Czterdzieści lat i trzydzieści dwoje dzieci! — krzyknęła Tania Nene — osłupiała i przekonana, że to wszystko prawda. — Bismarck musi być tym porządnie zmęczony. — Wszyscy ryknęli śmiechem i Tania zrozumiała, że z niej kpią, — Jacy wy jesteście głupi! Czy ja mogę wiedzieć, że żartujecie?

Tymczasem Gaga nie przestała interesować się Wystawą Światową. Tak samo jak wszystkie loretki cieszyła się na nią i szykowała. Będzie dobry sezon, jak prowincja i zagranica zwalą się na Paryż. Może nareszcie po Wystawie, jeżeli interesy dobrze pójdą, będzie mogła wycofać się do Juvisy, do domku, na który od dawna ma chrapkę.

— No tak, proszę pana — mówiła do la Faloise'a — człowiek niczego się nie dorabia... Żeby przynajmniej ktoś jeszcze mnie kochał!

Gaga zrobiła się czuła, kiedy kolano młodego człowieka dotknęło jej kolana. La Faloise był bardzo czerwony. A ona zerkając otaksowała go spojrzeniem: zbyt ciężkiej kieski nie miał, ale ona nie była już wymagająca, więc dała mu swój adres.

— Niechże pani spojrzy — szepnął Vandeuvres do Klarysy — mam wrażenie, że Gaga obrabia pani Hektora.

— Gwiżdżę na niego! — odpowiedziała aktorka. — To idiota... Już trzy razy wyrzuciłam go za drzwi... Wie pan, gdy młodzi chłopcy wpadają w łapy starych bab, obrzydzenie mnie ogarnia. — Przerwała, by dyskretnie zwrócić uwagę na Blankę, która od początku obiadu siedziała pochylona w bardzo niewygodnej pozie, wypinając się i chcąc pokazać swe ramiona staremu, dystyngowanemu panu, siedzącemu o trzy miejsca od niej. — Pana właściwie też puszczono kantem — powiedziała Klarysa.

Vandeuvres uśmiechnął się ironicznie i zrobił gest pełen lekceważenia. Przecież nie będzie przeszkadzał biednej Blance w sukcesach. Bardziej go interesowało widowisko, które dawał dla całego stołu Steiner. Znano bankiera z jego szaleństw miłosnych. Ten straszny Żyd niemiecki, aferzysta, przez którego ręce przechodziły miliony, głupiał, gdy się zadurzył w kobiecie: chciał je posiąść wszystkie. W teatrze, ledwie mu która wpadła w oko, od razu ją kupował nie zważając na cenę. Mówiono o kolosalnych sumach. Już dwa razy go zrujnowała ta zachłanność na dziewczyny. Vandeuvres mawiał, że rujnując jego kasę loretki brały odwet za podeptaną moralność. Gdy dzięki wielkiej operacji finansowej, związanej z żupami solnymi w Landes, zdobył potężną pozycję na giełdzie, Mignonowie od sześciu tygodni nadgryzali mocno żupy. Lecz teraz robiono zakłady, że to nie Mignonowie dokończą ten ponętny kąsek. Nana szczerzyła już swe białe zęby. Steiner znowu zadurzył się, i to tak gruntownie, że siedział przy Nanie jak struty, jadł bez apetytu, opuścił dolną wargę, a na jego twarzy wystąpiły plamy. Nana mogła teraz powiedzieć jakąkolwiek cyfrę. Ale nie śpieszyła się, tylko z nim igrała szepcząc pocieszne żarty do kosmatego ucha, ubawiona dreszczykami na jego grubej twarzy. Zawsze jeszcze zdąży ubić interes, o ile ten sknera Muffat będzie tak zdecydowanie udawał niewiniątko.

— Leoville czy chambertin? — proponował kelner wsuwając głowę pomiędzy Nanę i Steinera, w chwili gdy bankier mówił coś po cichu do młodej kobiety.

— Co? — wyjąkał ledwie przytomny. — Nalej, co chcesz, dla mnie to obojętne. Vandeuvres trącił lekko łokciem Lucy Stewart, która miała bardzo złośliwy język i była w towarzystwie nieobliczalna. Tego wieczoru drażnił ją Mignon.

— Wie pan, że on już jest gotów popierać tę miłostkę — powiedziała do hrabiego. — Myśli, że uda mu się powtórzyć manewr, jaki wypraktykował z młodym Jonquier. Pewnie pan sobie przypomina Jonquiera, który żył z Różą, a zadurzył się w tej wysokiej Laurze... Mignon naraił Laurę Jonquierowi, a potem przyprowadził go pod rękę z powrotem do Róży jak małżonka, któremu pozwolono na wybryk... Ale tym razem to się nie uda. Nana nie oddaje mężczyzn, których się jej wypożycza.

— Dlaczego więc Mignon tak surowo patrzy na swoją żonę? — spytał Vandeuvres. Pochylił się i zobaczył, że Róża robi się dla Fauchery'ego coraz czulsza. Zrozumiał więc gniew swej sąsiadki. Śmiejąc się powiedział:

— Do licha! Czyżby pani była zazdrosna?

— Zazdrosna! — rzekła Lucy wściekła. — Ależ jeżeli Róża ma chęć na Leona, chętnie go jej odstąpię. Za tyle, ile jest wart!... jeden bukiet tygodniowo, a nawet nie tyle... Widzi pan, dziewki z teatru są wszystkie takie same. Wiem, że Róża płakała ze złości czytając artykuł Leona o Nanie. Więc pan chyba rozumie, że ona też musi mieć artykuł, i teraz właśnie na niego zarabia... Zobaczy pan, że wyrzucę Leona za drzwi! — Przerwała, by powiedzieć do kelnera, który stał za nią z dwiema butelkami:

— Leoville. — Potem zniżając głos ciągnęła dalej: — Nie chcę krzyczeć, bo nie mam zwyczaju, ale to jest jednak bezwstydnica. Na miejscu męża sprawiłabym jej tęgie lanie... Och! To jej szczęścia nie przyniesie. Ona nie zna mojego Fauchery, to nie jest człowiek solidny. Przylepia się do kobiet, żeby sobie wyrobić pozycję... Ładne towarzystwo!

Vandeuvres próbował ją uspokoić. Bordenaye, porzucony przez Różę i Lucy, darł się, że pozwalają tatusiowi umierać z głodu i pragnienia. To na szczęście zwróciło uwagę w innym kierunku. Kolacja przeciągała się, nikt już nie jadł. Na talerzach marnowały się grzybki po włosku i deser z ananasów à *la Pompadour*. Lecz szampan, który pito od chwili podania zupy, powoli upajał i podniecał biesiadników. Zachowywano się już mniej poprawnie. Kobiety podpierały się na łokciach przed nakryciami porozstawianymi w nieładzie. Mężczyźni, pragnąc odetchnąć, odsuwali krzesła, tak że czarne fraki wtapiały się pomiędzy jasne staniki. Nagie, na pół odwrócone plecy miały jedwabisty połysk. Było za gorąco. W gęstym powietrzu świece paliły się nad stołem jeszcze bardziej pożółkłym płomieniem. Chwilami ognie

diamentowego kolczyka rzucały błysk na wysoki kok, gdy schylał się złocisty kark pokryty lokami. W wesołym nastroju potęgował się blask roześmianych oczu, białych zębów, refleksu kandelabrów w kielichu szampana. Żartowano bardzo głośno, gestykulowano, padały pytania, na które nikt nie odpowiadał, nawoływano się od jednego do drugiego końca pokoju. Lecz najwięcej hałasu robili kelnerzy, jakby znajdowali się na korytarzach swojej restauracji; podając lody i wety popychali się i hałasowali.

— Dzieci drogie — krzyknął Bordenave — wiecie, że Jutro gramy... Miejcie się na baczności i nie pijcie za wiele szampana.

— Ja piłem już wszystkie gatunki win w pięciu częściach świata... — mówił Foucarmont. — Och! nadzwyczajne napoje, alkohole, które mogą powalić nawet bardzo odpornego człowieka... A jednak nic mi nigdy nie dało rady. Nie mogę się upić, próbowałem, ale nie szło.

Był bardzo blady, bez życia, rozparty w krześle i ciągle pił.

— Mniejsza z tym — szepnęła Ludwika Violaine — daj spokój, masz już dosyć... Byłoby śmieszne, gdybym cię musiała pielęgnować do rana.

Pod wpływem podochocenia na policzkach Lucy Stewart wystąpiły suchotnicze wypieki, a Róża Mignon, rozczulona, miała wilgotne oczy. Osowiała z przejedzenia Tania Nene śmiała się głupkowato. Blanka, Karolina, Simona, Maria mówiły wszystkie naraz, opowiadając o swoich sprawach: o jakimś sporze z dorożkarzem, o projekcie wycieczki na wieś czy też o jakichś skomplikowanych historiach na temat ukradzionych i zwróconych kochanków. Młody człowiek obok Jerzego dostał klapsa, gdy chciał pocałować Leę Horn, która ze świętym oburzeniem powiedziała:

„Cóż to ma znaczyć, proszę mnie zostawić w spokoju!" A Jerzy, zupełnie pijany i bardzo podniecony widokiem Nany, wahał się, czy może wykonać to, o czym uparcie myślał: wleźć na czworakach pod stół i jak piesek przycupnąć u jej nóg. Nikt by go nie zobaczył, siedziałby tam bardzo grzecznie. A gdy Daguenet na prośbę Lei kazał młodemu człowiekowi siedzieć spokojnie, Jerzemu zrobiło się przykro, jakby to jego ktoś złajał; wszystko wydawało mu się głupie, smutne, beznadziejne. Daguenet żartował, zmuszając go do wypicia dużej szklanki wody, i pytał, co by zrobił, gdyby się znalazł sam z kobietą, skoro po trzech kieliszkach szampana wali się na ziemię.

— Słuchajcie — zaczął znowu Foucarmont — w Hawanie robią wódkę z dzikich jagód. Jakby się łykało ogień... Wyobraźcie sobie, że pewnego wieczoru wypiłem tego przeszło litr i nic. Ale nie koniec na tym. Innym razem na wybrzeżu Koromandel dzicy dali nam jakąś diabelną mieszaninę pieprzu i witriolu, znowu nic... Nie potrafię się upić.

Już od dłuższej chwili nie podobała mu się twarz la Faloise'a, który siedział naprzeciwko niego. Śmiał się szyderczo i mówił brzydkie słowa. La Faloise, któremu się kręciło w głowie, ruszał się ciągle i przytulał do Gagi. Ale nagle zrobił się niespokojny. Ktoś mu zabrał chusteczkę, z pijackim uporem żądał chusteczki, pytając sąsiadów, schylając się, by zajrzeć pod krzesła i pod nogi. A gdy Gaga próbowała go uspokoić, szepnął:

— Bardzo głupia historia, bo w rogu jest mój monogram i moja korona...

To może mnie skompromitować.

— Niechże pan powie, panie Falamoise, Lamafoise, Mafaloise! — krzyczał Foucarmont uważając, że takie zniekształcanie nazwiska jest bardzo dowcipne.

Lecz la Faloise uniósł się. Bełkocąc mówił o swych przodkach, groził, że rozbije karafkę na głowie Foucarmonta. Hrabia de Vandeuvres musiał interweniować, zapewniał go, że Foucarmont jest bardzo pocieszny. Istotnie wszyscy się śmiali. Chłopak, rozbrojony wreszcie, usiadł. Gdy kuzyn mówiąc grubym głosem kazał mu jeść, jadł posłusznie jak dziecko. Gaga posadziła go znowu przy sobie. Lecz od czasu do czasu rzucał na współbiesiadników podejrzliwe i zastrachane spojrzenia, ciągle szukając swojej chusteczki.

Podochocony Foucarmont z kolei zaatakował przez cały stół Labordette'a. Ludwika Violaine próbowała go skłonić do milczenia, ponieważ zawsze źle wychodziła na jego zaczepkach.

Wymyślił żart, który polegał na nazywaniu Labordette'a „panią". Żart ten widocznie bardzo go bawił, bo powtarzał go, gdy tymczasem Labordette spokojnie wstrząsał ramionami mówiąc raz za razem:

— Niechże pan da spokój, przecież to nie ma sensu. — Ale ponieważ Foucarmont nie ustawał i bez żadnego powodu posuwał się do obelg, przestał mu odpowiadać i zwrócił się do hrabiego de Vandeuvres: — Proszę pana, nich pan uspokoi swego przyjaciela... Nie chciałbym się z nim pokłócić.

Już dwa razy się pojedynkował. Mimo wszystko witano się z nim i przyjmowano go wszędzie. Tym razem jednakże całe towarzystwo oburzyło się na Foucarmonta. Przy rozbawionym stole uważano, że jest bardzo dowcipny, ale to jeszcze nie powód, żeby psuć cały wieczór. Vandeuvres, którego delikatna twarz nabrała barwy miedzianej, zażądał, żeby Foucarmont zwrócił Labordette'owi jego płeć. Inni mężczyźni — Mignon, Steiner, Bordenave — bardzo podnieceni, także wdali się w tę sprawę, krzycząc i przekrzykując hrabiego. Tylko starszy pan u boku Nany, na którego nikt nie zwracał uwagi, miał ciągle wyniosłą minę i ze znudzonym, milczącym uśmiechem śledził wyblakłymi oczami tę burzliwą scenę podczas deseru.

— Kotuniu, może byśmy tu wypili kawę — rzekł Bordenave. — Tu jest bardzo dobrze. Nana nie odpowiedziała od razu. Zdawało się, że od początku kolacji nie czuła się jak u siebie w domu. Była przytłoczona i ogłuszona tym towarzystwem, które wzywało kelnerów i głośno rozmawiało, rozsiadając się wygodnie jak w restauracji. Ona sama zapominała o swej roli pani domu, zajmując się tylko grubym Steinerem, który robił wrażenie, jakby miał atak apopleksji. Słuchała go, jeszcze odmawiając ruchem głowy i śmiejąc się prowokująco. Po szampanie była mocno zaczerwieniona, miała wilgotne usta i błyszczące oczy. A bankier proponował coraz wyższe sumy za każdym przymilnym ruchem ramion, za każdym przegięciem szyi, gdy zalotnie poruszała głową. Tuż przy uszku zauważył delikatny, atłasowy punkcik, który doprowadzał go do szału. Chwilami Nana, z lekka nieprzytomna, przypominała sobie o współbiesiadnikach. Siliła się na uprzejmość, by pokazać, że umie przyjmować gości. Pod koniec kolacji była bardzo pijana; martwiło ją, że tak szybko upijała się szampanem, i drażniła ją myśl, że te damulki chciały jej zrobić świństwo zachowując się źle w jej domu. Och! Wyraźnie to widziała! Przecież Lucy mrugnięciem oka napuściła Foucarmonta na Labordett-
'a, a Róża, Karolina i inne jeszcze ich podniecały. Teraz była taka wrzawa, że nie można było nikogo usłyszeć, a chodziło im przecież tylko o to, by potem opowiadać, że na kolacji u Nany można sobie na wszystko pozwolić. Ale ona im pokaże. Choć pijana, jest jeszcze z nich wszystkich najwytworniejsza i najlepiej ułożona.

— Powiedz, kotuniu, żeby tu podano kawę... — zaczął znowu Bordenave. — Wolałbym tu ze względu na moją nogę.

Lecz Nana brutalnie wstała, szepcząc do ucha Steinerowi i starszemu panu, którzy osłupieli:

— Dobrze mi tak! Zapraszaj tu hołotę! — Potem gestem wskazała jadalnię i głośno dodała: — Jeżeli chcecie kawy, jest tam. Nie zważając na gniew Nany, towarzystwo wstało od stołu i rzuciło się do jadalni. Niebawem w salonie został już tylko Bordenave. Trzymając się ścian szedł ostrożnie i złorzeczył tym przeklętym babom, które kpiły sobie z tatusia, skoro tylko się nażarty. Za nim kelnerzy sprzątali już ze stołu, słuchając głośnych rozkazów *maitre d'hótel.* Spieszyli się i popychali usuwając stół, jak usuwa się dekorację czarownej bajki na gwizdek maszynisty. Po kawie towarzystwo miało znowu wrócić do salonu.

— Do licha! Tu jest chłodniej — rzekła Gaga, która poczuła dreszczyk
wchodząc do jadalni.

W tym pokoju okno pozostało otwarte. Dwie lampy oświetlały stół, na którym podano kawę z likierami. Nie było krzeseł, goście pili kawę stojąc, podczas gdy w sąsiednim pokoju kelnerzy robili jeszcze większy hałas. Nana znikła, lecz nikt się tym nie przejmował. Goście bez niej dawali sobie świetnie radę, sami sobie usługując, szukając brakujących łyżeczek w szu-

fladach bufetu. Utworzyło się kilka grup. Podchodziły do siebie osoby rozdzielone podczas kolacji. Wymieniano spojrzenia, znaczące uśmiechy, wiele mówiące słowa.

— Auguście, czy pan Fauchery nie powinien przyjść do nas w tych dniach na śniadanie? — rzekła Róża Mignon. Mignon, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka, przez chwilę badawczym i surowym wzrokiem przeszywał dziennikarza. Róża oszalała. Ale on jako dobry administrator zrobi porządek z tym marnotrawstwem. Ostatecznie za jeden artykuł — niech już będzie. Ale potem trzeba przed nim zamknąć drzwi. Ponieważ jednak znał słabostki swej żony i z reguły po ojcowsku zgadzał się na jej różne głupstwa, odrzekł siląc się na uprzejmość:

— Oczywiście, sprawi mi to wielką przyjemność... Prosimy jutro, panie Fauchery.

Lucy Stewart usłyszała to zaproszenie rozmawiając właśnie ze Steinerem i Blanką. Podniosła głos mówiąc do bankiera:

— Wszystkie się powściekały. Jedna ukradła mi nawet mojego psa...

Ależ, kochanie, czy to moja wina, że pan ją rzuca?

Róża odwróciła głowę. Piła kawę małymi tykami i blada jak ściana uparcie patrzała na Steinera. Hamowany gniew kobiety porzuconej błysnął w jej oczach jak płomień. Widziała wszystko wyraźniej niż Mignon; głupotą była próba powtórzenia sprawy Jonquiera, tego rodzaju kombinacje nie udają się dwa razy. A zresztą, pal sześć, ma przecież Fauchery'ego, w którym się zadurzyła podczas kolacji. Wprawdzie Mignon nie jest zadowolony, ale przynajmniej nauczy go rozumu.

— Chyba nie będziecie się o niego biły? — powiedział Vandeuvres do Lucy Stewart.

— Nie, nie ma obawy, ale niech się ona pilnuje, bo inaczej już ja jej wygarnę. — Rozkazującym gestem przywołała Fauchery'ego i rzekła: — Kochanie, mam u siebie twoje pantofle. Jutro każę je odnieść do twego konsjerża.

Chciał zażartować, ale Lucy odeszła z miną obrażonej królowej. Klarysa, która stała oparta o ścianę, by spokojnie wypić kieliszek wiśniówki, wzruszała ramionami. A to ci heca! Jak tylko dwie kobiety są razem ze swoimi kochankami, od razu usiłują ich sobie wzajemnie odbić. To już jest reguła. Ona też, gdyby chciała, wydrapałaby Gadze oczy o Hektora. Ale co tam! Mało sobie z tego robi. Tylko po chwili, gdy la Faloise przechodził, powiedziała do niego:

— Słuchaj no, lubisz takie dojrzalsze, co? Teraz już potrzebne ci nie tylko dojrzałe, a nawet uleżałe.

La Faloise wydawał się bardzo strapiony i niespokojny... Widząc, że Klarysa śmieje się z niego, zaczął ją podejrzewać.

— Nie kpij — szepnął. — Wzięłaś mi moją chusteczkę, oddaj mi.

— Jak on nas zanudza tą swoją chusteczką! — krzyknęła. — To dopiero idiota, po co bym ci ją wzięła?

— A tak — rzekł nieufnie — żeby ją posłać mojej rodzinie, żeby mnie skompromitować.

Tymczasem Foucarmont atakował likiery. Śmiał się znowu szyderczo, spoglądając na Labordette'a, który pił kawę otoczony damami. Rzucał urywane zdania: syn handlarza koni; mówią, że jest bękartem pewnej hrabiny; bez żadnych dochodów, a zawsze ma w kieszeni dwadzieścia pięć ludwików; wysługuje się dziewkom, choć nigdy z nimi nie sypia.

— Nigdy! Nigdy! — powtarzał gniewnie. — Nie! Muszę go spoliczkować.

Wychylił kieliszek chartreuse i uderzając paznokciem dużego palca o koniuszek zęba mówił, że chartreuse wcale mu nie uderza do głowy. Lecz nagle, w chwili gdy podchodził do Labordette'a, zbladł i runął bezwładnie przed bufetem. Był pijany jak bela. Ludwika Violaine zaczęła rozpaczać. Mówiła, że to się źle skończy. Teraz już przez całą noc będzie go musiała pielęgnować. Gaga uspokajała ją; mierząc oficera okiem kobiety doświadczonej stwierdziła, że to nic wielkiego i że ten pan będzie spał spokojnie przez dwanaście do piętnastu godzin. Foucarmonta wyniesiono.

— Ale gdzież to podziała się Nana? — spytał Vandeuvres. Rzeczywiście ulotniła się. Przypomniano sobie o niej, wszyscy się dopytywali. Steiner, od jakiegoś czasu już zaniepokojony, wypytywał Vandeuvres'a o starszego pana, który znikł także. Lecz hrabia go pocieszył mówiąc, że dopiero co odprowadził starca; dziwna to postać, nie warto nawet wymieniać nazwiska, człowiek bardzo bogaty, który zadowala się tym, że płaci za kolacje. Później, gdy już znowu zapomniano o Nanie, Vandeuvres spostrzegł, że stojący w drzwiach Daguenet przywołuje go. W sypialni zastał panią domu. Siedziała skamieniała, z bladymi wargami, a Daguenet i Jerzy stali obok niej i patrzeli skonsternowani.

— Co pani jest? — spytał zaskoczony.

Nie odpowiedziała ani nie odwróciła głowy. Więc powtórzył pytanie.

— To — krzyknęła wreszcie — że nie lubię, by ze mnie kpiono! Zaczęła gadać, co jej na język ślina przyniosła. Tak, tak, nie jest przecież głupia, dobrze widziała, jak z niej drwili podczas kolacji. Opowiadali wstrętne rzeczy, by jej okazać pogardę. Żadna z tych dziewek nie dorosła jej nawet do pięty! Już nigdy więcej nie narobi sobie takiego kłopotu, żeby potem jeszcze wystawiać się na drwiny. Sama nie wie, co ją wstrzymuje od wyrzucenia za drzwi całej tej bandy świntuchów. Zaczęła się dusić z wściekłości, jej głos załamywał się od szlochu.

— Moja droga, jesteś pijana — rzekł do niej Vandeuvres, przechodząc na „ty". — Trzeba być rozsądną. Lecz ona upierała się, że chce tu zostać.

— Możliwe, że jestem pijana, ale chcę, by mnie szanowano. Od kwadransa Daguenet i Jerzy daremnie błagali ją, by wróciła do jadalni. Ona jednak się uparła. Niech sobie goście robią, co chcą. Zanadto nimi gardzi, aby miała do nich wrócić. Za nic! Za nic! Choćby ją krajano, pozostanie w swoim pokoju.

— Powinnam była mieć się na baczności. To ta klępa Róża uknuła spisek. Na pewno ona odradziła przyjść tej przyzwoitej kobiecie, na którą dziś wieczorem czekałam. Miała na myśli panią Robert. Vandeuvres dal jej słowo honoru, że pani Robert sama odmówiła. Słuchał i dyskutował wcale się nie śmiejąc, przyzwyczajony do podobnych scen. Wiedział, jak należy obchodzić się z kobietami, gdy są w takim stanie. Lecz kiedy próbował chwycić ją za ręce, by podnieść z krzesła i wyciągnąć z sypialni, wyrywała mu się jeszcze bardziej wściekła. Dalibóg! Nigdy nie uwierzy, że Fauchery nie odwiódł hrabiego Muffat od przyjścia do niej. Ten Fauchery to istna żmija. Zazdrośnik zdolny uwziąć się na tę kobietę i zniweczyć jej szczęście. Bo przecież była przekonana, że hrabia stracił dla niej głowę. Mogła go była mieć.

— Jego, moja droga, nigdy — krzyknął Vandeuvres śmiejąc się do rozpuku.

— Dlaczegóż by nie? — spytała poważna i już trochę wytrzeźwiała.

— Bo to jest bigot i gdyby dotknął pani choćby końcem palca, nazajutrz poszedłby do spowiedzi... Niech pani słucha dobrej rady i nie wypuszcza z rąk tego drugiego.

Przez chwilę milczała rozmyślając, potem wstała i poszła przemyć sobie oczy. Lecz gdy chciano ją zaprowadzić do jadalni, ciągle wściekła — protestowała. Vandeuvres z uśmiechem opuścił pokój, już więcej nie nalegając. A ledwie wyszedł, ogarnął ją przypływ czułości. Rzuciła się Daguenetowi w ramiona i powtarzała:

— Ach, mój Mimi, mam tylko ciebie jednego... Ach, jak bardzo cię kocham!... Jakby to było dobrze, gdybyśmy mogli żyć razem. Mój Boże, jak nieszczęśliwe są kobiety!

Spostrzegła Jerzego, który spąsowiał widząc, jak oni się całują. Więc jego także ucałowała. Mimi przecież nie może być zazdrosny o to niemowlę. Ona chce, aby Paweł i Jerzy żyli zawsze w zgodzie; jakby to było dobrze tak we troje serdecznie się kochać. Lecz przeszkodził im dziwny odgłos, w pokoju ktoś chrapał. Rozejrzeli się i zobaczyli Bordenave'a, który wypiwszy kawę ulokował się wygodnie i usnął na dwóch krzesełkach, z wyciągniętą nogą i głową opartą o brzeg łóżka. Nanie wydał się tak śmieszny z otwartymi ustami i nosem ruszającym się przy każdym chrapnięciu, że ogarnął ją szalony śmiech. Wyszła z pokoju, za nią Daguenet i Jerzy. Przez jadalnię przeszli do salonu, a Nana śmiała się coraz mocniej.

— Och! Kochanie — rzekła rzucając się prawie w ramiona Róży — nie masz pojęcia, jakie to śmieszne, to trzeba zobaczyć.

Pociągnęła za sobą wszystkie kobiety. Chwytała je czule za ręce i przemocą wlokła, wstrząsana wybuchami tak serdecznej radości, że wszystkie śmiały się już na kredyt. Cała banda zniknęła, a po chwili wróciła zasapana, spędziwszy zaledwie minutę przy Bordenave'ie, który leżał rozwalony jak pasza turecki. Dopiero teraz parsknęły śmiechem. Jedna z nich kazała im się uciszyć i wtedy z daleka, słychać było chrapanie Bordenave'a. Dochodziła godzina czwarta. W jadalni właśnie ustawiono stolik do gry, przy którym zasiedli Vandeuvres, Steiner, Mignon i Labordette. Za nimi stały Lucy i Karolina, robiąc zakłady. A Blanka, senna i zdegustowana, co pięć minut pytała Vandeuvres'a, czy już wkrótce pojadą. W salonie próbowano tańczyć. Daguenet siedział przy fortepianie, „po swojsku", jak mówiła Nana; nie chciała wynajmować „grajka", bo Mimi potrafił grać walce i polki, ile tylko żądano. Lecz wkrótce tańce stały się ospałe, panie rozmawiały drzemiąc na kanapach. Nagle podniósł się zgiełk. Jedenastu młodych ludzi wtargnęło gromadą. Śmiali się bardzo głośno w przedpokoju, pchając się do drzwi salonu. Wracali z balu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, we frakach i białych krawatach, z Bóg wie jakimi orderowymi wstążeczkami. Nana, rozgniewana hałaśliwym najściem, zawołała pozostałych jeszcze w kuchni kelnerów i kazała im wyrzucić tych panów. Przysięgała, że nigdy ich nie widziała. Fauchery, Labordette, Daguenet i paru innych podeszło do nich, by nakazać im szacunek dla pani domu. Padały ordynarne słowa, brano się za bary, zanosiło się już na ogólną bijatykę. Lecz mizerny blondynek powtarzał stanowczo:

— Ależ, Nano, niechże pani sobie przypomni!... Przecież wtedy wieczorem w wielkim salonie u Petersa pani nas zaprosiła!

Wieczorem u Petersa? Niczego sobie nie przypominała. Któregoż to wieczoru? Dopiero kiedy blondynek powiedział, że to była środa, przypomniała sobie, że istotnie w środę była na kolacji u Petersa. Ale była prawie pewna, że nikogo nie zaprosiła.

— No, kochanie, jeżeli ich zaprosiłaś — szepnął Labordette, który zaczynał już powątpiewać — byłaś może trochę podchmielona.

Nana zaczęła się śmiać. Możliwe, nic już nie pamięta. Ostatecznie, skoro ci panowie tu przyszli, niech wejdą. Wszystko świetnie się ułożyło, nowo przybyli znaleźli w salonie przyjaciół, skandal zakończył się uściskami dłoni. Ów szczupły blondynek nosił jedno z najszacowniejszych we Francji nazwisk. Zresztą oświadczyli, że za nimi idą jeszcze inni. Rzeczywiście drzwi otwierały się raz po raz i wchodzili mężczyźni w białych rękawiczkach i wieczorowych strojach. Wszyscy wracali z balu w ministerstwie. Fauchery spytał żartem, czy minister też przyjdzie. Nana, stropiona, odparła, że minister bywa u ludzi, którzy na pewno jej nie są warci. Nie powiedziała jednak, że ciągle jeszcze ma nadzieję zobaczyć, jak w tym gronie zjawi się hrabia Muffat. Mógł się przecież namyślić. I, rozmawiając z Różą, czatowała przy drzwiach.

Wybiła godzina piąta. Już nie tańczono, tylko gracze uparcie trwali przy stolikach; Labordette ustąpił swego miejsca, kobiety wróciły do salonu. Nastrój stawał się coraz bardziej senny w zamglonym świetle lamp, których tlące się knoty rzucały czerwony blask na klosze. Damy robiły się melancholijne i czuły potrzebę zwierzeń. Blanka de Sivry mówiła o swym dziadku generale, a Klarysa zmyślała opowiadanie o księciu, który ją uwiódł w domu jej wuja, dokąd przyjechał polować na dziki, i obie, odwrócone do siebie tyłem, wzruszały ramionami, jakby pytając, czy widział kto opowiadać takie bzdury. Natomiast Lucy Stewart chętnie przyznawała się do swego pochodzenia. Mówiła o swej młodości, gdy ojciec, smarownik na kolejach północnych, fundował jej w niedzielę ciasteczko z jabłkami.

— Och! Powiem wam coś ciekawego! — krzyknęła nagle Maria Blond. — Naprzeciwko mnie mieszka pewien bardzo bogaty Rosjanin. Wczoraj raptem dostaję od niego koszyk owoców! Ale jakich! Ogromne brzoskwinie, takie wielkie winogrona, które są rzadkością w tym sezo-

nie... A w to wetkniętych sześć tysiącfrankowych banknotów... Od Rosjanina... Naturalnie wszystko odesłałam. Choć trochę mi było żal owoców.

Damy spojrzały na siebie zaciskając wargi. W tak młodym wieku Maria Blond miała już niezły tupet. Zresztą, ileż podobnych historii zdarzało się takim zdzirom! Miały dla siebie nawzajem głęboką pogardę. Zazdrościły szczególnie Lucy, wściekłe, że miała trzech książąt. Odkąd Lucy zrobiła karierę dzięki temu, że codziennie odbywała przejażdżkę konną po Lasku Bulońskim, wszystkie zaczęły zapamiętale jeździć konno.

Zaczynało świtać. Tracąc już nadzieję Nana przestała patrzeć na drzwi. Umierano z nudów. Róża Mignon nie chciała zaśpiewać *Pantofla.* Siedziała skulona na kanapie i rozmawiała po cichu z Faucherym, czekając na Mignona, który wygrał od Vandeuvres'a już około pięćdziesięciu ludwików. Jakiś tęgi pan z orderami i poważną miną wyrecytował właśnie gwarą alzacką *Ofiarę Abrahama.* Gdy Bóg przeklina, mówi: „Do kaduka ze mną!", a Izaak odpowiada: „Tak, papo!" Lecz ponieważ nikt niczego nie zrozumiał, dowcip wydał się głupi. Nie wiedziano, co robić, żeby się rozweselić i zakończyć noc szaleństwem. Labordette postanowił zdradzić la Faloise'owi po cichu, że to kobiety skradły mu chusteczkę, a ten krążył potem od jednej do drugiej wypatrując, czy która nie ma jej na szyi. Potem młodzi ludzie znowu zabrali się do picia, ponieważ znalazły się jeszcze butelki szampana w bufecie. Nawoływali się i podniecali. Ponure i bezsensowne pijaństwo ogarnęło salon. A blondynek, noszący jedno z największych nazwisk Francji, nie mogąc wymyślić nic zabawnego, wpadł wreszcie na pomysł: wziął butelkę szampana i wylał jej zawartość do pianina. Wszyscy śmiali się do rozpuku.

— Coś takiego — rzekła zdumiona Tania Nene. — Dlaczegoż to on wlewa szampan do pianina?

— Jak to! Moja droga, nie wiesz? — odparł poważnie Labordette. — Nie ma dla pianina nic lepszego nad szampan. To poprawia dźwięk.

— Ach tak! — szepnęła z przekonaniem Tania Nene.

A ponieważ z niej kpili, rozgniewała się. Skąd to mogła wiedzieć?

Zawsze ją nabierają!

Nastrój psuł się wyraźnie. Zanosiło się na nieprzyjemne zakończenie nocy. Maria Blond pobiła się w kącie z Leą de Horn, zarzucając jej, że sypia z nie dość bogatymi ludźmi. Obrzucały się obelgami wymawiając sobie nawzajem braki w urodzie. Uspokoiła je Lucy, która była brzydka. Twarz nic nie znaczy, kobieta powinna być przede wszystkim dobrze zbudowana. Na kanapie pewien *attache* ambasady objął Simonę w talii i usiłował ją pocałować w szyję. Lecz Simona, zmęczona i posępna, odpychała go za każdym razem, powtarzając: „Nudzisz mnie!", i trzepiąc go wachlarzem po twarzy. Zresztą żadna z nich nie pozwalała się dotknąć. Czy biorą je za ladacznice? Tymczasem Gaga, która złapała la Faloise'a, trzymała go prawie na kolanach, a Klarysa tonęła w objęciach dwóch panów, śmiejąc się nerwowo, jakby ją ktoś łaskotał. Szalone i głupie igraszki przy pianinie trwały dalej. Popychano się, każdy chciał tam wlać zawartość swej butelki. Była to zabawa prosta i przyjemna.

— No! Mój stary, jeszcze łyk... Do diabła! Ależ to pianino ma pragnienie!... Uwaga! jeszcze jedna butelka. Niczego nie wolno zmarnować.

Nana, odwrócona, nie widziała tej sceny. Zabrała się na dobre do grubego Steinera, który siedział przy niej. Pal sześć! Wszystkiemu winien Muffat, dlatego że nie przyszedł. W białej fularowej sukni, lekkiej i pomiętej jak koszula, podchmielona i pobladła, z podkrążonymi oczami, narzucała mu się swym wyzywającym zachowaniem. Z róż przypiętych do koka i stanika pozostały tylko łodygi. Steiner spiesznie wyciągnął rękę spod jej spódnicy, gdzie natknął się na szpilki wpięte przez Jerzego. Miał na ręku kilka kropel krwi. Jedna padła na suknię i splamiła ją.

— Teraz już przypieczętowane — rzekła Nana poważnie.

Dniało. Przez okna wpadało niemrawe, smętne światło. Towarzystwo zaczęło się rozchodzić w nastroju zniechęcenia i niesmaku. Karolina Hèquet, zła z powodu zmarnowanej nocy, powiedziała, że już najwyższy czas pójść, by nie widzieć tego, co się tu zacznie dziać. Róża

dąsała się jak kobieta skompromitowana. Z tymi loretkami zawsze tak bywa. Nie umieją panować nad sobą i zachowują się obrzydliwie, gdy rozpoczynają karierę. A ponieważ Mignon ograł Vandeuvres'a, wyszedł z żoną nie troszcząc się o Steinera. Lecz jeszcze raz zaprosili na jutro Fauchery'ego. Wobec tego Lucy nie pozwoliła dziennikarzowi, by ją odprowadził, odsyłając go do tej kabotynki. Usłyszawszy to Róża natychmiast odwróciła się i syknęła przez zęby: „Kurwa!" Lecz Mignon, zachowując się po ojcowsku w tych kobiecych sprzeczkach, jako człowiek doświadczony i stojący ponad tym wszystkim, wypchnął ją prosząc, żeby już dała spokój. Za nimi Lucy z miną królowej sama szła po schodach. Gaga musiała zabrać z sobą la Faloise'a. Szlochał jak dziecko i wzywał Klarysę, która już dawno zwiała ze swymi dwoma panami. Simona także zniknęła. Pozostały już tylko Tania, Lea i Maria, którymi Labordette uprzejmie zechciał się zająć.

— Nie mam zupełnie chęci spać — powtarzała Nana. — Trzeba by coś zrobić.

Patrzała przez szyby na sine niebo, po którym przesuwały się chmury czarne jak sadze. Była godzina szósta. Naprzeciwko, po drugiej stronie bulwaru Haussmanna, wilgotne dachy jeszcze uśpionych domów rysowały się w słabym świetle. A przez opustoszałą ulicę przechodziła grupa zamiataczy stukając trepami. Ten jakiś rzewny brzask, ten obraz budzącego się ze snu Paryża napełnił jej serce dziewczęce tkliwością, zapragnęła wsi, wiejskiej sielanki, czegoś słodkiego i niewinnego.

— Och! Wie pan co? — rzekła wracając do Steinera. — Niech mnie pan zawiezie do Lasku Bulońskiego. Napijemy się tam mleka.

Z dziecięcą radością klaskała w dłonie. Nie czekając na odpowiedź bankiera, który naturalnie zgadzał się, w gruncie rzeczy znudzony i marzący o jakiejś odmianie, pobiegła narzucić futro na ramiona. W salonie, poza Steinerem, została już tylko paczka młodych ludzi. Wylawszy do pianina ostatnią kroplę z butelki, zamierzali wyjść, gdy wtem jeden z nich nadbiegł triumfalnie, trzymając w ręku ostatnią butelkę przyniesioną z kredensu.

— Uwaga! Uwaga! — krzyknął — Chartreuse!... Pianino potrzebowało jeszcze chartreuse'y. To je postawi na nogi. A teraz, moje dzieci, zwiewajmy. Jesteśmy kupą idiotów. — W buduarze Nana musiała obudzić Zoè, która drzemała na krześle. Palił się gaz. Obudzona Zoè zadygotała i pomogła swej pani włożyć kapelusz i futro. — No więc, stało się, zrobiłam to, co chciałaś — wyznała Nana w przystępie wylewności. Ulżyło jej, że się nareszcie zdecydowała. — Miałaś rację, wszystko jedno, bankier czy inny. Służąca była ponura, jeszcze zaspana. Gderała, że pani mogła była zdecydować się pierwszego wieczoru. Potem, idąc za nią do pokoju, spytała, co ma zrobić z tymi dwoma. Bordenave ciągle chrapał, a Jerzy, który zakradł się tu i zanurzył głowę w jej poduszce, zasnął w końcu, oddychając cichutko jak cherubin. Nana odparła, że trzeba ich tak zostawić. Lecz znowu się wzruszyła widząc wchodzącego Dagueneta. Czatował na nią w kuchni i miał bardzo smutną minę.

— No, mój Mimi, bądź rozsądny — rzekła, biorąc go w ramiona i całując pieszczotliwie. — Nic się nie zmieniło, wiesz dobrze, że jesteś zawsze moim uwielbianym Mimi... Prawda? Tak trzeba... Przysięgam ci, że będzie jeszcze rozkoszniej. Przyjdź jutro, uzgodnimy godziny... Ucałuj mnie szybko, jeśli mnie kochasz. Och! Mocniej, jeszcze mocniej!

Wyrwała się i pobiegła do Steinera, szczęśliwa i znowu zachwycona myślą o piciu mleka. W pustym pokoju hrabia de Vandeuvres pozostał sam z mężczyzną obwieszonym orderami, recytatorem *Ofiary Abrahama.* Przygwożdżeni przy stoliku do gry zapomnieli o świecie, nie widząc, że już ranek. A tymczasem Blanka położyła się na kanapie i próbowała usnąć.

— Ach! Blanka — krzyknęła Nana. — Kochanie, idziemy napić się mleka...

Chodź z nami. Jak wrócisz, odnajdziesz Vandeuvres'a.

Blanka wstała leniwie. Tym razem nabiegła krwią twarz bankiera zbladła. Było mu przykro na myśl, że mają zabrać tę grubą dziewczynę, która będzie go krępowała. Ale kobiety już go trzymały powtarzając:

— Wie pan, chcemy, żeby wydojono krowy przy nas.

V

W teatrze „Varietes” dawano trzydzieste czwarte przedstawienie *Jasnowłosej Wenus*. Właśnie skończył się pierwszy akt. W foyer dla artystów Simona jako Praczka stała przed konsolą z lustrem, umieszczoną pomiędzy drzwiami, które otwierały się ukośnie na kuluary przy lożach. Była sama. Badawczo oglądała swą twarz i przesuwała palec pod oczami, by poprawić makijaż. Palniki gazowe, umieszczone po obu stronach, ogrzewały ją snopami jaskrawych płomieni.

— Czy już przyszedł? — spytał Prullière wchodząc w stroju szwajcarskiego Admirała, w ogromnych butach, okazałym pióropuszu i z wielkim mieczem.

— Kto taki? — spytała Simona. Nie przeszkadzała sobie i śmiała się do lustra, żeby zobaczyć swe wargi.

— Książę.

— Nie wiem, już schodzę... Ach! Na pewno przyjdzie. Przychodzi przecież codziennie!

Prullière zbliżył się do kominka stojącego naprzeciw konsolki. Palił się koks. Oprócz tego dwa palniki gazowe buchały wielkimi płomieniami. Podniósł wzrok, spojrzał na lewo i na prawo na zegar i na barometr, na których widniały złocone sfinksy w stylu empirowym. Potem wyciągnął się w wielkim fotelu z oparciem, którego zielony aksamit, zużyty przez cztery pokolenia aktorów, miał już żółty odcień. Patrząc martwym wzrokiem, siedział nieruchomo w zmęczonej i zrezygnowanej pozie artysty przywykłego do wyczekiwania chwili wejścia na scenę.

Z kolei zjawił się stary Bosc, powłócząc nogami i kaszląc. Był owinięty w stary, żółty żakiet, którego jedna poła, zsunięta z ramienia, ukazywała lamowaną zlotem opończę króla Dagoberta. Położywszy bez słowa koronę na pianinie, dreptał przez chwilę, posępny, lecz z chwacką miną, choć ręce trzęsły mu się jak w pierwszym stadium zatrucia alkoholem, podczas gdy długa siwa broda dodawała czcigodnego wyglądu jego rozpalonej twarzy pijaka. Potem w ciszy, gdy deszcz z gradem bił w szyby wielkiego kwadratowego okna wychodzącego na podwórze, zrobił gest pełen odrazy.

— Co za paskudny czas! — mruknął.

Simona i Prullière nie poruszyli się. Światło gazowe rzucało żółty blask na kilka obrazów; były to pejzaże i portret aktora Verneta. Pustymi oczodołami patrzał Potier, jedna z najstarszych sław teatru „Varietes”, którego popiersie stało na postumencie. Nagle zagrzmiał potężny głos. Wszedł Fontan w kostiumie z drugiego aktu, jako elegant, cały odziany na żółto, nawet rękawiczki miał żółte.

— Czy wiecie, moi drodzy, że to dziś moje imieniny? — krzyknął gestykulując.

— Co ty mówisz? — spytała Simona podchodząc z uśmiechem jakby ją przyciągał jego wielki nos i szeroko rozwarte usta komika. — Na imię ci Achilles?

— Właśnie!... Dlatego poproszę panią Bron, żeby przyniosła szampana po drugim akcie. Już od chwili dźwięczał z daleka dzwonek. Przeciągły dźwięk przycichł, potem znowu ożył. A kiedy dzwonek ustał, rozległ się krzyk, który spłynął po schodach i znikł w kuluarach: „Na scenę, zaczynamy drugi akt!... Na scenę, zaczynamy drugi akt!” Krzyk zbliżał się, blady człowieczek przeszedł obok drzwi wrzeszcząc z całej siły cienkim głosem; „Na scenę, rozpoczynamy drugi akt!”

— Do licha! Szampana! — rzekł Prullière, jakby nie słyszał tego wrzasku. — Nieźle się dzieje!

— Ja na twoim miejscu kazałbym go przynieść z kawiarni — oświadczył wolno stary Bosc, siedzący z głową opartą o ścianę, na ławeczce pokrytej zielonym aksamitem. Lecz Simona mówiła, że trzeba dać zarobić pani Bron. Podniecona, klaskała w dłonie, pożerając wzrokiem Fontana, którego maska w kształcie koziego pyska poruszała się przy ciągłej ruchliwości oczu, nosa i ust.

— Och! Fontan! Jest niezrównany — szeptała — niezrównany!

Jedne i drugie drzwi foyer były szeroko otwarte na korytarz prowadzący za kulisy. Wzdłuż żółtego muru, jasno oświetlonego przez niewidoczną latarnię gazową, przemykały się sylwetki mężczyzn w kostiumach, półnagich kobiet owiniętych w szale, całego zespołu statystów z drugiego aktu, typów w maskach z tancbudy „Pod Czarną Kulą". A w końcu korytarza słychać było głośne tupanie po pięciu drewnianych stopniach wiodących na scenę. Właśnie przechodziła Klarysa, więc Simona ją zawołała. Klarysa odpowiedziała, że zaraz wróci. I rzeczywiście, prawie natychmiast się zjawiła, dygocąc z zimna w lichej tunice i szarfie Irys.

— Do diaska! — rzekła. — Wcale tu nie jest ciepło. A ja zostawiłam futro w garderobie! — Potem, stojąc przed kominkiem i grzejąc nogi, na których pod trykotem wystąpiły czerwone plamy, powiedziała: — Książę przyszedł. — Ach! — krzyknęły kobiety z zaciekawieniem. — Tak! Dlatego tak biegłam, bo chciałam go zobaczyć... Jest w pierwszej loży prosceniowej na prawo, w tej samej, co w czwartek. To ci dopiero! Już trzeci raz przyszedł w ciągu tygodnia. Ta Nana ma szczęście!... A ja się założyłam, że już więcej nie przyjdzie.

Simona chciała coś powiedzieć, lecz krzyk w kuluarach zagłuszył jej słowa. Inspicjent z całych sił krzyczał: „Na scenę!"

— Przyszedł trzy razy, to ci heca — podjęła znowu Simona. — Wie pani, on nie chce do niej chodzić, tylko zabierają do siebie. To go chyba porządnie kosztuje.

— Do licha ciężkiego! Chodzić na miasto... — szepnął złośliwie Prullière wstając, by rzucić w lustro spojrzenie dorodnego mężczyzny, którego uwielbia publiczność bywająca w lożach.

— Na scenę! Na scenę! — powtarzał coraz mniej wyraźny głos inspicjenta biegającego po piętrach i korytarzach.

A tymczasem Fontan, który wiedział, jak to było od początku z księciem i Naną, zaczął opowiadać całą historię. Słuchały go obie, przywarłszy niemal do niego, i śmiały się głośno, kiedy pochylał się ilustrując niektóre szczegóły. Stary Bosc siedział nieruchomo, zupełnie obojętny. Te sprawy już go nie interesowały. Pieścił wielkiego rudego kota, który, skulony, leżał sobie błogo na ławeczce. Wziął go wreszcie w ramiona z tkliwą dobrodusznością zdziecinniałego starca. Kot nastroszył się. Potem długo obwąchiwał wielką siwą brodę, wzdrygnął się, gdy poczuł zapach kleju, i wróciwszy skulił się i usnął na ławeczce. Bosc siedział poważny i zamyślony.

— Co tam, ja na twoim miejscu wziąłbym szampana z kawiarni, jest lepszy — powiedział nagle do Fontana, który właśnie kończył swoją historię.

— Już się zaczęło! — krzyczał inspicjent przeciągłym i wrzaskliwym głosem. — Już się zaczęło! Zaczęło się!

Przez chwilę słychać było krzyk, potem odgłos szybkich kroków. Gdy nagle otwarto drzwi, wpadła fala muzyki i dalekiej wrzawy. Lecz obite drzwi zamknęły się szybko z głuchym trzaśnięciem.

I znowu cisza zapanowała w foyer dla artystów, jakby byli o sto mil od tej sali, w której klaskał tłum. Simona i Klarysa ciągle jeszcze rozmawiały o Nanie. Ta się nigdy nie spieszyła. Nie dalej jak wczoraj weszła na scenę spóźniona. Wszyscy umilkli, gdy przez drzwi wsunęła głowę wysoka dziewczyna, a stwierdziwszy, że się pomyliła, uciekła w głąb korytarza. Była to Satin. W kapeluszu i woalce miała minę damy składającej wizytę. „To dopiero ladacznica!" — szepnął Prullière, który od roku spotykał ją w kawiarni teatru „Varietes". A Simona opowiedziała, jak Nana, rozpoznawszy w Satin swoją dawną przyjaciółkę z pensji, zapałała do niej miłością i męczyła Bordenave'a, żeby jej pozwolił zadebiutować.

— Jak się macie? — rzekł Fontan ściskając ręce Mignona i Fauchery'ego, którzy właśnie weszli. Stary Bosc także wyciągnął do nich palce, a obie kobiety całowały Mignona.

— Jak tam dziś publiczność? — spytał Fauchery.

— Och! Wspaniała! — odparł Prullière. — Warto widzieć, jak się dają nabierać!

— No, moje dzieci — zauważył Mignon — teraz to chyba kolej na was. Tak, za chwilę. Występowali dopiero w czwartej scenie. Jedynie Bosc podniósł się instynktownie jak stary, wytrawny aktor, który wyczuwa, kiedy się zbliża jego replika. Właśnie inspicjent ukazał się w drzwiach i zawołał:

— Pan Bosc! Panna Simona!

Simona szybko zarzuciła na siebie okrycie podbite futrem i wyszła. Bosc nie śpiesząc się poszedł po swoją koronę, którą wsadził na głowę jednym klapnięciem. Potem, wlokąc za sobą płaszcz, wyszedł chwiejnym krokiem, gderając z zagniewaną miną człowieka, któremu ktoś przeszkadza.

— W swej ostatniej recenzji był pan bardzo łaskawy — powiedział Fontan zwracając się do Fauchery'ego. — Dlaczego jednak twierdzi pan, że aktorzy są próżni?

— Tak, mój mały, dlaczego tak twierdzisz? — krzyknął Mignon i zwalił swe ogromne łapy na wątłe plecy dziennikarza, który się ugiął.

Prullière i Klarysa wstrzymali wybuch śmiechu. Od jakiegoś czasu cały teatr bawił się komedią rozgrywającą się za kulisami. Mignon wściekał się z powodu kaprysu żony i był zły widząc, że oprócz wątpliwej reklamy nie mają z tego Fauchery'ego żadnej korzyści: postanowił więc zemścić się zadręczając go dowodami przyjaźni. Codziennie wieczorem, gdy spotkali się za sceną, tłukł go niby to z nadmiaru czułości. A Fauchery, wątły w porównaniu z tym kolosem, musiał przyjmować ciosy z uśmiechem i wymuszoną miną, bo nie chciał się pogniewać z mężem Róży.

— Ach! Kochaneczku, obrażasz Fontana — mówił Mignon dalej figlując. — Uwaga! Raz, dwa i buch! w samą pierś!

Zamachnął się i zadał taki cios, że Fauchery zbladł i przez chwilę nie mógł wymówić słowa. Klarysa mrugnęła do innych, by zwrócić ich uwagę na Różę Mignon, która stała w progu Foyer. Lecz Róża widziała całą tę scenę. Podeszła wprost do dziennikarza, jakby nie zauważyła męża; w kostiumie niemowlęcia, z gołymi ramionami, wspięta się na palce i nastawiła mu czoło, przymilając się po dziecięcemu.

— Dobry wieczór, bobo — rzekł Fauchery i pocałował ją poufale. W ten sposób brał odwet. Lecz Mignon jakby nie zauważył tego pocałunku. Przecież w teatrze wszyscy całowali jego żonę. Rzucając na dziennikarza obojętne spojrzenie, uśmiechnął się. Z całą pewnością zapłaci on drogo za brawurę Róży.

Obite drzwi, prowadzące na korytarz, otwarły się i zamknęły, a do foyer wpadł odgłos huczących oklasków. Simona właśnie wróciła odegrawszy swoją scenę.

— Ależ stary Bosc zrobił wrażenie! — krzyknęła. — Książę pękał ze śmiechu i klaskał tak, jakby mu ktoś za to płacił... Słuchajcie, czy znacie tego wysokiego pana, który razem z księciem siedzi w loży prosceniowej? Piękny mężczyzna, wygląda bardzo godnie i ma pyszne bokobrody.

— To hrabia Muffat — odpowiedział Fauchery. — Wiem, że przedwczoraj na przyjęciu u cesarzowej książę zaprosił go na dziś na obiad... A potem mają sobie pohulać.

— Patrzcie! Hrabia Muffat. Znamy jego teścia, prawda, Auguście? — rzekła Róża zwracając się do Mignona. — Wiesz, ten markiz de Chouard, u którego śpiewałam.... On też jest na sali, zauważyłam go w głębi loży. To ci dopiero stary...

Właśnie Prullière włożył na głowę swój ogromny pióropusz i odwrócił się, żeby ją zawołać.

— No, Różo, chodźmy!

Pobiegła za nim nie dokończywszy zdania. W tej chwili pani Bron, woźna teatralna, przechodziła obok drzwi z ogromnym bukietem w rękach. Simona żartobliwie spytała, czy to dla niej. Lecz odźwierna niemym gestem wskazała garderobę Nany w głębi korytarza. Ach, ta Nana! Jest obsypywana kwiatami. Wracając pani Bron podała list Klarysie, która cicho zaklęła. Znowu ten nudziarz la Faloise! Gałgan, nie może jej zostawić w spokoju! A gdy dowiedziała się, że czeka na nią u woźnej, krzyknęła:

— Proszę mu powiedzieć, że zejdę po następnym akcie... Zbiję mu mordę.

Fontan rzucił się do woźnej powtarzając:

— Pani Bron, niech pani posłucha... Niech pani posłucha, pani Bron...

Na antrakt trzeba przygotować sześć butelek szampana. Lecz w tym momencie zjawił się znowu zadyszany inspicjent i zaczął nawoływać śpiewnym głosem:

— Na scenę!... Pan też, panie Fontan! Szybko! Szybko!

— Tak, tak, już idę, ojcze Barillot — odrzekł zahukany Fontan. I biegnąc za panią Bron zaczął znowu: — No więc, zrozumiane? W antrakcie sześć butelek szampana do foyer... Dziś moje imieniny i ja płacę.

Simona i Klarysa poszły szeleszcząc spódnicami. Wszyscy poznikali. A gdy drzwi do korytarza zamknęły się głucho, w ciszy słychać było, jak deszcz z gradem uderzał w okno. Blady staruszek, Barillot, który już od trzydziestu lat był zatrudniony w teatrze, zbliżył się poufale do Mignona z otwartą tabakierką: ten niuch tabaki dał mu minutę odpoczynku wśród ciągłej bieganiny po schodach i korytarzach. Miał tu niemało roboty, a w dodatku jeszcze kłopot z panią Naną, jak ją nazywał. Robiła, co tylko chciała, i kpiła sobie z kar pieniężnych. Gdy chciała się spóźnić z wejściem na scenę, spóźniała się. Przystnął i zdumiony szepnął:

— Patrzcie! Już jest gotowa... Widocznie wie, że przyszedł książę. Istotnie Nana zjawiła się w korytarzu w stroju Handlarki Ryb, ukazując białe ramiona i bladą twarz z różową plamą pod każdym okiem. Nie weszła do foyer, tylko skinieniem głowy przywitała Mignona i Fauchery'ego.

— Dzień dobry, co słychać? — spytała wyciągając rękę.

Tylko Mignon uścisnął dłoń. Nana poszła dalej jak królowa. A garderobiana dreptała jej po piętach pochylając się, by poprawić fałdy spódnicy. Za garderobianą zamykała orszak Satin, która usiłowała wyglądać wytwornie, a nudziła się już śmiertelnie.

— A co ze Steinerem? — spytał nagle Mignon.

— Pan Steiner pojechał wczoraj do le Loiret — rzekł Barillot wracając na scenę. — Sądzę, że kupi tam wieś.

— Ach, tak, już wiem, wieś dla Nany.

Mignon spoważniał. Toż przecież Steiner obiecał kiedyś Róży pałac! W każdym razie najlepiej z nikim się nie gniewać, zawsze okazja może się trafić. Zatopiony w takich myślach, lecz jak zawsze opanowany, Mignon spacerował od kominka do konsoli. Oprócz niego był w foyer już tylko Fauchery. Dziennikarz, zmęczony, wyciągnął się właśnie w wielkim fotelu. Siedział spokojnie z półprzymkniętymi powiekami. Mignon przechodząc przeszywał go wzrokiem. Gdy byli sami, Mignon nigdy go nie napastował. Bo i po co, skoro nikt by się nie ubawił tą sceną. Jemu samemu nie w smak były figle małżonka, który drwi z rywala. Fauchery, szczęśliwy, że ma parę minut wytchnienia, wyciągnął leniwie nogi przed ogniem, patrząc przed siebie i wodząc wzrokiem od barometru do zegara. Mignon, spacerując, stanął naprzeciwko popiersia Potiera, spojrzał na nie wcale go nie widząc, a potem wrócił do okna, przez które widać było ciemną czeluść podwórza. Deszcz przestał padać, zapanowała zupełna cisza. Powietrze było ciężkie, gorące od koksowego ognia i płomieni gazowych. Zza kulis nie dochodził już żaden hałas, schody i korytarze jakby wymarły. Jak to zwykle bywa pod koniec aktu, gdy cały zespół występuje na scenie w ogłuszająco hałaśliwym finale, a opustoszałe foyer drzemie w oparach czadu.

— Ach, klępy! — krzyknął nagle Bordenave ochrypłym głosem. Ledwie przyszedł, pyskował już na dwie statystyki, które o mało co byłyby się rozciągnęły na scenie, gdy udawały głuptasów. Spostrzegłszy Mignona i Fauchery'ego, zawołał ich, żeby im coś oznajmić: książę właśnie powiedział, że podczas antraktu pragnąłby wyrazić Nanie komplementy w jej garderobie. Zamierzał ich właśnie zabrać na widownię, gdy zjawił się reżyser.

— Niechże pan wymierzy grzywnę tym niezdarom, Femandzie i Marii! — rzekł z wściekłością Bordenave. Potem starał się uspokoić i przybrał pełną godności pozę szlachetnego ojca. Otarłszy twarz chusteczką dorzucił: — Idę powitać jego wysokość.

Kurtyna opadała wśród nie kończącej się salwy oklasków. Natychmiast w półmroku powstał rozgardiasz na scenie, której rampa już nie oświetlała. Aktorzy i statyści spiesznie biegli do garderób, a maszyniści szybko wynosili dekoracje. Tylko Simona i Klarysa zostały rozmawiając po cichu w głębi sceny. Podczas przedstawienia, pomiędzy dwiema replikami, załatwiły pewną sprawę. Rozważywszy wszystko dokładnie, Klarysa wolała nie widzieć się z la Faloise'em, który nie mógł się zdecydować, żeby ją rzucić i żyć z Gagą. Simona miała mu po prostu wytłumaczyć, że nie można tak uczepić się jednej kobiety. Ona już to jakoś załatwi.

Odziana w strój Praczki z opery komicznej, w futrze zarzuconym na plecy, Simona zeszła po wąskich krętych schodach do izby woźnej. Stopnie były wyplamione tłuszczem, mury wilgotne. Ta izba, wciśnięta pomiędzy schody dla artystów i schody dla administracji teatru, zamknięta z prawej i lewej strony szerokim oszklonym przepierzeniem, była jakby wielką przezroczystą latarnią, w której paliły się jaskrawo dwa płomienie gazowe. W szafce z przegródkami leżały stosy listów i gazet. Na stole bukiety kwiatów czekały obok brudnych, zapomnianych talerzy i starego stanika, którego dziurki woźna naprawiała. Wśród tego nieładu, przypominającego źle utrzymany strych, panowie z towarzystwa, w rękawiczkach i ubrani bez zarzutu, siedzieli na czterech starych, trzcinowych krzesłach. Cierpliwi i potulni, odwracali żywo głowy za każdym razem, gdy pani Bron przynosiła odpowiedź z teatru. Właśnie oddała list młodemu człowiekowi, który spiesznie otworzył go w westybulu tuż przy palniku gazowym. Pobladł nieco znalazłszy w liście klasyczne zdanie, tylekroć już w tym miejscu odczytywane: „Kochanie, dziś wieczorem niemożliwe, jestem zajęta.” La Faloise siedział na krześle w głębi, pomiędzy stołem i piecem. Mogło się zdawać, że był zdecydowany spędzić tam cały wieczór. Niepokoiła go jednak gromadka napastujących go czarnych kotów. Musiał kulić nogi, bo baraszkowały dokoła niego, podczas gdy stara kotka wlepiała w niego swe żółte oczy. — Ach, to pani, czegóż pani sobie życzy, panno Simono? — spytała woźna. Simona poprosiła, żeby wywołała la Faloise'a. Lecz pani Bron nie mogła od razu spełnić jej prośby. Pod schodami, gdzie było coś w rodzaju głębokiej szafy, miała bufet, do którego w antraktach schodzili pić statyści. Akurat czekało pięciu czy sześciu statystów, wysokich drabów, w kostiumach apaszów z knajpy „Pod Czarną Kulą”, i ponaglali ją umierając z pragnienia, a więc już traciła trochę głowę. W tej wnęce palił się płomień gazowy. Był tam stół pokryty cynfolią, na półkach stały napoczęte butelki. Gdy się otwierało drzwi tej komórki na węgle, uderzał silny odór alkoholu, który mieszał się z wypełniającym izbę zapachem spalonego tłuszczu i odurzającą wonią bukietów na stole.

— No, więc chce pani tamtego brunecika — rzekła woźna obsłużywszy statystów.

— Ależ nie, nic podobnego! — rzekła Simona. — To ten chudy, przy piecu, ten którego spodnie obwąchuje kotka.

Zabrała la Faloise'a do westybulu, podczas gdy inni panowie siedzieli w tym zaduchu, zrezygnowani, ze ściśniętym gardłem; apasze pili na stopniach schodów, poklepując się i dowcipkując ochrypłymi, pijackimi głosami.

Tymczasem na scenie Bordenave gniewał się na maszynistów, którzy bez końca sprzątali dekoracje. Jakby umyślnie chcieli, żeby księciu spadło coś na głowę.

— W górę, w górę! — krzyczał kierownik grupy.

Wreszcie tylna ściana poszła w górę i scena opróżniła się. Mignon, który czatował na Fauchery'ego, skorzystał z okazji i rozpoczął znowu swoje szturchańce. Chwycił go w swe potężne ramiona krzycząc:

— Niechże pan uważa, ten słup o mało co byłby pana zmiażdżył. — Uniósł go w górę, potrząsnął nim, a potem postawił na podłodze. Maszyniści pękali ze śmiechu. Fauchery zbladł, wargi mu drżały i miał już wybuchnąć, gdy Mignon, udając poczciwca, poklepał go po ra-

mieniu dobrodusznie i tak serdecznie, że mógł mu kości połamać. ─ Nie ma pan pojęcia, jak mi zależy na pańskim zdrowiu!... ─ powtarzał. ─ Do licha ciężkiego! Ładnie bym wyglądał, gdyby się panu przytrafiło coś złego!

Nagle przez scenę przebiegł szept: „Książę! Książę!" Wszyscy skierowali oczy ku drzwiom prowadzącym do sali. Na razie widać było tylko okrągłe plecy Bordenave'a, którego rzeźnicki kark zginał się i pęczniał w serii uniżonych pokłonów. Potem ukazał się książę, wysoki, mocno zbudowany, z jasną brodą i różową cerą. Miał wytworność tęgiego hulaki, którego barczyste ramiona rysowały się pod świetnie skrojonym surdutem. Za nimi szli hrabia Muffat i markiz de Chouard. W tym kącie sceny było ciemno. Grupa ludzi zamazywała się wśród wielkich ruchomych cieni. Do syna królowej, do przyszłego dziedzica tronu Bordenave przemówił głosem niedźwiednika, głosem, w którym drżało fałszywe wzruszenie:

─ Jeżeli wasza wysokość zechce iść za mną... Może wasza wysokość raczyłby przejść tędy... Niech wasza wysokość uważa... ─ powtarzał.

Książe wcale się nie spieszył. Przeciwnie, zwalniał kroku i z zainteresowaniem przyglądał się pracy maszynistów. Właśnie opuszczono górną rampę gazową zawieszoną na żelaznych kotkach; rzuciła na scenę szeroką smugę światła. Muffat, który nigdy nie zwiedzał teatru za kulisami, był szczególnie zdziwiony; czuł się nieswój, doznawał jakiejś nieokreślonej odrazy połączonej ze strachem. Podniósł wzrok ku sklepieniu, gdzie inne rampy z opuszczonymi palnikami tworzyły konstelacje niebieskawych gwiazdek w plątaninie krat i sznurów różnej grubości, ruchomych pomostów, kotar rozwieszonych w powietrzu jak olbrzymie płachty suszącej się bielizny.

─ Opuszczajcie! ─ krzyknął nagle szef maszynistów.

Sam książę musiał ostrzec hrabiego. Opadało płótno. Ustawiano dekoracje do trzeciego aktu, grotę w górze Etny. Mężczyźni montowali słupy, inni brali ramy stojące pod ścianami sceny i przyczepiali je do tych słupów mocnymi linami. W głębi sceny lampiarz ustawił żagiew, od której zapalał gazowe palniki, opatrzone czerwonymi szkiełkami dla wywołania wrażenia ognistej kuźni Wulkana. W tym pozornym zamieszaniu i tłoku każdy ruch był prawidłowy. Wśród ogólnego pośpiechu sufler spacerował drobnymi kroczkami, by rozprostować nogi.

─ Wasza wysokość jest dla mnie zbyt łaskaw ─ mówił Bordenave zginając się ciągle w ukłonach. ─ Teatr jest niewielki, robimy, co możemy... Teraz jeśli wasza wysokość raczy iść za mną...

Hrabia Muffat kierował się już w stronę korytarza z garderobami. Dość gwałtowne pochylenie sceny zaskoczyło go. Bardzo go niepokoiła ta podłoga ruszająca się pod stopami. Przez otwory w podłodze widać było w dole płomienie gazowe, w ciemnych czeluściach toczyło się życie podziemne; dochodziły stamtąd ludzkie głosy i piwniczne wyziewy. Gdy już chciał wracać na górę, zatrzymał go pewien incydent. Dwie kobietki w kostiumach z trzeciego aktu rozmawiały stojąc przed dziurką w kurtynie. Jedna z nich, wypięta, rozszerzała ją palcami, żeby lepiej widzieć. Szukała kogoś na sali.

─ Już go widzę ─ rzekła nagle. ─ Och! Co za morda! Bordenave, zgorszony, musiał się wstrzymać, żeby jej nie kopnąć w tyłek. Lecz książę uśmiechał się, podniecony, rad, że to usłyszał. Czule obejmował spojrzeniem tę kobietkę, która kpiła sobie z jego wysokości i śmiała się bezczelnie. Tymczasem Bordenave nakłonił księcia, żeby poszedł za nim. Hrabia Muffat, zlany potem, zdjął właśnie kapelusz. Nieznośne wydawało mu się to duszne, gęste, przegrzane powietrze, nasycone silną wonią kulis, śmierdzące gazem, klejem dekoracji, brudem unoszącym się z ciemnych kątów, z bielizny statystek wątpliwej czystości. W korytarzu ostry odór wody toaletowej, mydła, niezdrowych wyziewów powiększał jeszcze zaduch. Przechodząc, hrabia podniósł głowę i rzucił okiem na klatkę schodową. Uderzyła go gwałtowna fala światła i ciepła, którą poczuł na karku. Z góry słychać było brzęk miednic i śmiechy, nawoływania, trzaskanie drzwiami. Wydostawały się przy tym na korytarz zapachy towarzyszące kobiecej toalecie: woń piżmowych szminek zmieszana z ostrą wonią fryzur. Nie

chciał się tu zatrzymać. Przyśpieszał kroku, prawie uciekał, przenikał go dreszcz wywołany tym nieoczekiwanym wtargnięciem do nieznanego świata.

— Ho! ho! Teatr to ciekawa rzecz — mówił markiz de Chouard z zachwyconą miną człowieka, który czuje się jak w domu.

Bordenave doszedł wreszcie do garderoby Nany w głębi korytarza. Spokojnie przekręcił gałkę w drzwiach i usuwając się na bok powiedział:

— Bardzo proszę, jeśli wasza wysokość chce wejść.

Rozległ się krzyk zaskoczonej kobiety. Nana, goła do pasa, znikała za zasłoną, a garderobiana, która nie zdążyła jej wytrzeć, stała z ręcznikiem podniesionym w górę.

— Och! Jak można tak wchodzić! — krzyczała Nana z ukrycia. — Nie wchodźcie, przecież widzicie, że nie można. Bordenave był nierad z tej ucieczki.

— Niechże pani zostanie, moja droga, nic nie szkodzi — rzekł. — To jego wysokość. No, niech pani nie będzie dziecinna. — A ponieważ nie chciała się pokazać, drżąca jeszcze, choć już uśmiechnięta, dodał zrzędnym, ojcowskim tonem: — Boże mój, przecież ci panowie dobrze wiedzą, jak kobieta jest zbudowana. Nie zjedzą pani.

— O! To wcale nie jest pewne — rzekł sprytnie książę. Wszyscy zaczęli się przesadnie śmiać, żeby mu się przypodobać. Bordenave zauważył, że to jest wyborne powiedzenie, prawdziwie paryskie. Nana nie odpowiadała, tylko po ruszającej się zasłonie można było poznać, że kobieta powzięła decyzję. Hrabia Muffat, z wypiekami na policzkach, zaczął rozglądać się po garderobie. Był to pokój kwadratowy, bardzo niski, cały obity jasnobrązową tkaniną. Zasłona z tej samej tkaniny, zawieszona na miedzianym pręcie, oddzielała w głębi coś w rodzaju buduaru. Dwa duże okna wychodziły na podwórze teatru, ukazując najwyżej trzy metry zniszczonego muru. W ciemności odcinały się na nim żółte kwadraty okien. Wielkie lustro stało naprzeciwko gotowalni z białego marmuru. Było na niej mnóstwo flakonów i kryształowych słoików z olejkami, pachnidłami i pudrem. Hrabia podszedł do lustra. Zobaczywszy, że jest bardzo czerwony i że ma na czole kropelki potu, spuścił wzrok i usiadł przed gotowalnią. Zdawało się, że przez chwilę był pochłonięty widokiem miednicy pełnej mydlin, rozrzuconymi drobiazgami z kości słoniowej, wilgotnymi gąbkami. Znowu odczuwał ten sam zawrót głowy, którego doznał podczas swej pierwszej wizyty u Nany przy bulwarze Haussmanna. Czuł, jak pod stopami mięknie mu gruby dywan; jak palniki gazowe, płonące na gotowalni i przy lustrze, obejmują syczącym żarem jego skronie. W pewnej chwili usiadł na brzegu wyścielanej kanapy, pomiędzy oknami, w obawie, że zemdleje od tej kobiecej woni, która tu, w tym niskim pokoju, była jeszcze gorętsza i dziesięć razy mocniejsza. Lecz natychmiast wstał i wrócił do gotowalni. Na nic już nie patrzał. Z zamglonymi oczami myślał o bukiecie tuberoz, który zwiądł kiedyś w jego pokoju i od których o mało co nie umarł. Gdy tuberozy gniją, mają ludzki odór.

— Pośpiesz się! — szepnął Bordenave wsuwając głowę za zasłonę.

Książę słuchał uprzejmie markiza de Chouard, który wziąwszy z gotowalni zajęczą łapkę wyjaśniał, jak należy nakładać blansz. Satin ze swego kąta uważnie przyglądała się panom, z niewinnym i naiwnym wyrazem twarzy. A garderobiana, pani Juliuszowa, przygotowywała trykoty i tunikę Wenus. Pani Juliuszowa była osobą w nieokreślonym wieku z pergaminową twarzą i skamieniałymi rysami starych panien, których nikt nie pamięta młodymi. Zasuszyła się w przegrzanym powietrzu garderób, wśród najsłynniejszych paryskich ud i piersi. Miała na sobie odwieczną, czarną, wyszarzałą suknię i cały las szpilek wpiętych na płaskim, bezpłciowym biuście, w miejscu gdzie bije serce.

— Bardzo panów przepraszam — rzekła Nana rozchylając zasłonę — zostałam jednak zaskoczona...

Wszyscy się odwrócili. Wcale się nie ubrała, tylko po prostu włożyła perkalowy staniczek, który jej zakrywał biust do połowy. W chwili gdy ci panowie zmusili ją do ucieczki, dopiero się rozbierała, zdejmując w pośpiechu kostium Handlarki Ryb. Z tyłu, z majtek, wystawał

jeszcze rąbek koszuli. I tak, z gołymi ramionami i plecami, ze sterczącymi broawkami piersi, urzekająca swym młodym i bujnym ciałem blondynki, jedną ręką trzymała zasłonę, jakby miała ją znowu zasunąć, gdyby ją cokolwiek spłoszyło.

— Tak, byłam zaskoczona, nigdy nie odważę się... wybełkotała, zaróżowiona i z nieśmiałym uśmiechem, udając zmieszanie.

— Daj spokój, wystarczy, że wyglądasz bardzo ładnie! — krzyknął Bordenave.

Próbowała jeszcze robić minki naiwnej dziewczyny, ruszając się tak, jakby ją kto łaskotał, i powtarzając:

— Wasza wysokość robi mi zbyt wielki zaszczyt... Proszę waszą wysokość wybaczyć mi, że tak go przyjmuję...

— To ja jestem natrętny — rzekł książę. — Nie mogłem jednak oprzeć się chęci złożenia pani moich gratulacji...

Chcąc zbliżyć się do gotowalni Nana z całym spokojem przeszła w majtkach pomiędzy panami. Rozstąpili się. Była tak tęga w biodrach, że majtki wyglądały jak nadęty balon. Wypinając piersi ku przodowi uśmiechała się szelmowsko. Nagle poznała hrabiego Muffat i po przyjacielsku wyciągnęła do niego rękę. Skarciła go, że nie przyszedł do niej na kolację. Jego wysokość raczył żartować z Muffata, który jąkał się drżąc z wrażenia, że przez sekundę trzymał w swej rozpalonej dłoni jej rączkę pachnącą wodą toaletową. Hrabia przyszedł po dobrym obiedzie u księcia, wielkiego smakosza i bibosza. Obaj byli nawet trochę podchmieleni, ale trzymali się bardzo dobrze. Chcąc ukryć zmieszanie Muffat z trudem skleił parę stów na temat wysokiej temperatury.

— Na Boga! Ależ tu gorąco — powiedział. — Jak pani może wytrzymać w takiej temperaturze?

Już nawiązywała się rozmowa, gdy nagle przed drzwiami garderoby odezwały się hałaśliwe głosy. Bordenave pociągnął deseczkę okratowanego judasza i zobaczył Fontana w towarzystwie Prullière'a i Bosca. Cała trójka miała pod pachami butelki, a w rękach kieliszki. Fontan stukał i krzyczał, że to jego imieniny, że on funduje szampana. Nana rzuciła pytające spojrzenie na księcia, który oświadczył, że nie chce nikogo krępować, że będzie nawet zachwycony. Tymczasem Fontan nie czekając na pozwolenie wszedł i wybełkotał:

— Ja nie żaden sknera, funduję szampana... — Nagle spostrzegł księcia, którego dotychczas nie zauważył. Od razu urwał i przybrawszy zabawnie uroczystą minę rzekł:

— Król Dagobert czeka na korytarzu i chciałby wypić z waszą królewską wysokością.

Książę uśmiechnął się. To było czarujące. Ale garderoba okazała się dla tego całego towarzystwa za mała. Trzeba się było ścieśnić: Satin i pani Juliuszowa w głębi, za kotarą, a mężczyźni ciasno stłoczeni dokoła półnagiej Nany. Trzej aktorzy byli jeszcze w kostiumach z drugiego aktu. Prullière zdejmował kapelusz szwajcarskiego Admirała, którego ogromny pióropusz nie zmieściłby się tu pod sufitem, a Bosc, w purpurowej opończy i blaszanej koronie, próbował stanąć mocno na swych chwiejnych nogach pijaka i kłaniał się księciu jak monarcha podejmujący syna jakiegoś potężnego sąsiada. Kielichy były pełne, trącano się.

— Za zdrowie waszej wysokości — rzekł z królewska stary Bosc.

— Za zdrowie armii! — dorzucił Prullière.

— Za zdrowie Wenus! — krzyknął Fontan. Książę z wdziękiem balansował kieliszkiem. Chwilkę poczekał, a potem ukłonił się trzykrotnie, mówiąc szeptem:

— Pani... Admirale... Najjaśniejszy panie...

Wypił jednym haustem, a za jego przykładem hrabia Muffat i markiz de Chouard. Już nie żartowano — wszak scena rozgrywała się na dworze królewskim. Sprawy świata realnego miały swój dalszy ciąg w tej farsie teatralnej, granej w dusznych oparach gazu. Nana zapominając, że jest w majtkach z wystającym końcem koszuli, grała rolę wielkiej damy, królowej Wenus, która przyjmuje ważne osobistości w swych apartamentach. W każdym zdaniu szafowała tytułem jego królewskiej wysokości, składała głębokie ukłony, a Bosca i Prullière'a,

cudacznie poubieranych, traktowała jak władców, którym towarzyszą ministrowie. Nikt się nie śmiał z tej dziwacznej mieszaniny, z prawdziwego księcia, następcy tronu, który pił szampana fundowanego przez komedianta i czuł się doskonale na tej karnawałowej zabawie bogów, na tej maskaradzie królów, otoczony tłumem garderobianych i loretek, podrzędnych aktorów i wystawców kobiet. Bordenave, oczarowany tą inscenizacją, pomyślał, jaką to mógłby zrobić kasę, gdyby jego wysokość zechciał ukazać się tak na scenie w drugim akcie *Jasnowłosej Wenus.*

— A może byśmy sprowadzili moje kobietki — krzyknął wpadając w ton poufały. Nana zaprotestowała. Sama jednak się rozswawoliła. Fontan pociągał ją swoją groteskową maską. Ocierając się o niego i obejmując go spojrzeniem ciężarnej kobiety, która ma chęć na coś ostrego, zaczęła nagle mówić do niego po imieniu.

— No, nalewajże, zwierzaku! Fontan napełnił znowu kieliszki, które wypito, powtarzając te same toasty.

— Za zdrowie waszej wysokości!

— Za zdrowie armii!

— Za zdrowie Wenus!

Lecz Nana gestem nakazała milczenie. Podniosła swój kieliszek bardzo wysoko i powiedziała:

— Nie, nie, za zdrowie Fontana!... Dziś są imieniny Fontana, za zdrowie Fontana! Za zdrowie Fontana!

Więc trącono się po raz trzeci i zaczęto wydawać okrzyki na cześć Fontana. Książę widząc, jak młoda kobieta pożera komika wzrokiem, skłonił się i rzekł z wyszukaną grzecznością:

— Panie Fontan, piję za pańskie sukcesy.

Mówiąc to jego wysokość stał oparty o gotowalnię, połami surduta ocierając się o marmurową płytę. W głębi alkowy była jakby wąska łazienka. Wypełniała ją para unosząca się z miednicy i gąbek tudzież ostra woń olejków zmieszana z kwaskowatym, upajającym zapachem szampana. Książę i brabia Muffat, pomiędzy którymi Nana była uwięziona, musieli podnieść ręce, by przy najmniejszym ruchu nie muskać jej bioder i piersi. A pani Juliuszowa, chłodna i sztywna, czekała z surową miną, podczas gdy Satin, zdumiona, że książę i panowie we frakach zadają się z gołą kobietą i z poprzebieranymi komediantami, myślała w głębi duszy, że wytworni ludzie nie zachowują się wcale tak jak trzeba.

Lecz w korytarzu zbliżał się dźwięk dzwonka starego Barillot. Gdy zjawił się w drzwiach garderoby, stanął jak wryty na widok trzech aktorów jeszcze w kostiumach z drugiego aktu.

— Och! Panowie, panowie, spieszcie się... — wyjąkał. — Już był dzwonek w foyer dla publiczności.

— Ba! — rzekł spokojnie Bordenave — publiczność poczeka. Jednakże po następnych toastach, gdy butelki były już puste, aktorzy poszli się przebrać. Bosc, który umaczał brodę w szampanie, właśnie ją odczepił; spod szacownej brody ukazał się nagle pijak ze zniszczoną i zsiniałą twarzą starego aktora, który pociąga winko. Wstępując na schody powiedział do Fontana przepitym głosem:

— Co? Oczarowałem go, prawda?

Mówiąc to myślał o księciu.

W garderobie Nany pozostali już tylko jego wysokość, hrabia i markiz. Bordenave oddalił się z Barillotem, któremu polecił, żeby nie dawał sygnału bez uprzedzenia pani.

— Czy panowie pozwolą? — spytała Nana, zabierając się do pudrowania ramion i twarzy i przygotowując się do wystąpienia nago w trzecim akcie. Książę usiadł na kanapie razem z markizem de Chouard. Tylko hrabia Muffat stał. Dwa kieliszki szampana w tym upale jeszcze bardziej ich podochociły. Satin widząc, że panowie zamykają się z jej przyjaciółką, uważała, że trzeba dyskretnie zniknąć za zasłoną. I znudzona czekała siedząc tam na walizce, a tymczasem pani Juliuszowa spokojnie chodziła po garderobie, nie mówiąc słowa ani na nic nie patrząc.

— Cudownie pani śpiewała swoją piosenkę — rzekł książę. Nawiązała się jakoś rozmowa, ale rzucano tylko krótkie zdania przerywane raz po raz milczeniem. Nana nie zawsze mogła odpowiadać. Roztarłszy ręką krem na ramionach i twarzy, nakładała blansz rogiem ręcznika. Przez chwilę przestała patrzeć na siebie w lustrze, uśmiechnęła się rzucając powłóczyste spojrzenie w stronę księcia i nie odkładając blanszu szepnęła:

— Wasza wysokość mnie psuje.

Markiz de Chouard śledził całe to skomplikowane zajęcie z miną rozanieloną. Wreszcie powiedział:

— Czy orkiestra nie mogłaby pani ciszej akompaniować? Zagłusza głos, a to jest zbrodnia nie do darowania. Tym razem Nana wcale się nie odwróciła. Wzięła do ręki zajęczą łapkę; wiodła ją lekko i uważnie, zgięta nad gotowalnią, tak że jej białe, wydęte majtki wraz z koniuszkiem koszuli napinały się jak balon. Chciała jednak okazać, że komplement starca sprawił jej przyjemność, więc poruszyła się kołysząc biodrami. Zapanowało milczenie. Pani Juliuszowa zauważyła pęknięty szew na prawej nogawce majtek. Odpięła z sukni szpilkę, uklękła przed Naną, która tymczasem, zdając się tego nie widzieć, starannie obsypywała się ryżowym pudrem i uważała, by nim nie posypać policzków. Ale kiedy książę powiedział, że gdyby przyjechała na występy do Londynu, cała Anglia by ją oklaskiwała, roześmiała się uprzejmie i odwróciła na moment, ukazując bielutki lewy policzek osłonięty obłokiem pudru. Potem nagle spoważniała, chodziło bowiem o nałożenie różu. Znowu zbliżając twarz do lustra maczała palec w słoiku, a potem kładła róż pod oczami i powoli rozciągała go aż do skroni. Panowie, pełni szacunku, siedzieli w milczeniu. Hrabia Muffat nie otworzył jeszcze ust. Nie mógł się oprzeć myśli o swej młodości. W dzieciństwie nie zaznał serdecznych uczuć. Później, jako szesnastoletni już chłopak, gdy codziennie wieczorem całował matkę, zasypiał pod wrażeniem lodowatości tego pocałunku. Pewnego dnia zobaczył przelotnie przez uchylone drzwi, jak się myła służąca. I to było jedyne wspomnienie, które go niepokoiło od wieku dojrzewania aż do małżeństwa. Potem dostał żonę spełniającą sumiennie obowiązki małżeńskie. On sam miał dla tych rzeczy coś w rodzaju nabożnego wstrętu. Dorastał i starzał się nie znając swego ciała, poddany surowym praktykom religijnym, ułożywszy sobie życie według przepisów i praw. I nagle oto znalazł się w garderobie aktorki, przy tej nagiej dziewce. On, który nigdy nie widział, jak hrabina Muffat zakłada podwiązki asystował przy intymnych szczegółach kobiecej toalety, w garderobie pełnej słoików i miednic, wśród mocnych i mdłych zapachów. Buntowała się cała jego istota, przerażało go to, że Nana od jakiegoś czasu brała go powoli w posiadanie. Przypomniał sobie nabożne lektury, wypadki opętania, o których opowiadano mu w dzieciństwie. Wierzył w diabła. Nana rysowała się niewyraźnie jako diabeł — ze swym śmiechem, grzesznymi piersiami i grzesznym tyłkiem. Lecz obiecywał sobie, że będzie silny i potrafi się bronić.

— A zatem sprawa załatwiona — mówił książę rozparłszy się wygodnie na kanapie. — W przyszłym roku przyjeżdża pani do Londynu i przyjmiemy tam panią tak, że już nigdy nie wróci pani do Francji... Ach! Drogi hrabio, wy tu nie umiecie należycie cenić swych ładnych kobiet. Zabierzemy wam wszystkie.

— On się tym zbytnio nie przejmie — szepnął złośliwie markiz de Chouard wpadając w ton zażyłości. — Hrabia to chodząca cnota.

Słysząc, jak mówią o jego cnocie, Nana spojrzała na hrabiego tak zabawnie, że Muffat odczuł dużą przykrość. To go zaskoczyło i był zły na siebie. Dlaczego wobec tej dziewki krępowała go myśl, że jest cnotliwy? Chętnie by ją zbił. Lecz Nana, chcąc wziąć do ręki pędzelek, upuściła go na podłogę. Gdy się schyliła, on rzucił się, by go podnieść. Spotkały się ich oddechy, rozpuszczone włosy Wenus musnęły mu ręce. Poczuł rozkosz zmysłową, a zarazem wyrzuty sumienia; rozkosz, jakiej nieraz doznaje katolik, dla którego strach przed piekłem stanowi właśnie podnietę do grzechu.

W tej chwili odezwał się za drzwiami głos ojca Barillot:

— Proszę pani, czy mogę już dać sygnał? Sala się niecierpliwi.

— Zaraz — odparła spokojnie Nana. Zanurzyła pędzelek w słoiku z czernidłem. Potem, z nosem przylepionym do lustra, zamykając lewe oko, poprowadziła go delikatnie pomiędzy rzęsami. Muffat przyglądał się stojąc za nią. Widział ją w lustrze, z okrągłymi ramionami i piersiami otulonymi różowym cieniem. I pomimo wysiłku nie mógł odwrócić się od tej twarzy, tak wyzywającej z przymkniętym lewym okiem, z dołeczkami, jakby pękała od pożądań. Gdy zamknęła prawe oko i powiodła po nim pędzelkiem, zrozumiał, że do niej należy.

— Proszę pani — krzyknął znowu zadyszanym głosem inspicjent — tam już tupią nogami i gotowi ławki połamać... Czy mam dać sygnał?

— Ech! — rzekła Nana zniecierpliwiona. — Niech pan daje sygnał, mało mnie to obchodzi!... Skoro nie jestem gotowa, to muszą poczekać. — Uspokoiła się i dodała z uśmiechem, zwracając się do panów: — Doprawdy, nawet przez minutę nie można porozmawiać.

Teraz już jej twarz i ramiona były gotowe. Palcem zrobiła na wargach dwie szerokie, karminowe krechy. Hrabia Muffat czuł się jeszcze bardziej zmieszany, oszołomiony perwersyjnym zapachem pudrów i szminek, podniecony wyuzdaniem tej wymalowanej istoty o bardzo czerwonych ustach i nazbyt bladej twarzy, w której płonęły wielkie, podkreślone czernidłem oczy, jakby umęczone miłością. Nana weszła na chwilę za zasłonę, by zdjąwszy majtki wdziać trykoty Wenus. Potem z całym spokojem, bezwstydnie rozpięła perkalowy staniczek, wyciągając ramiona do pani Juliuszowej, która nałożyła jej krótkie rękawy tuniki.

— Prędko, bo tam się już gniewają — szepnęła.

Książę na pół przymkniętymi oczami śledził ze znawstwem nabrzmiałe linie jej piersi. Markiz bezwolnie potrząsał głową, a Muffat patrzał na dywan, żeby niczego więcej nie widzieć. Zresztą Wenus była już gotowa, miała jedynie gazę na ramionach. Pani Juliuszowa kręciła się dokoła niej jak drewniana staruszka o pustych, jasnych oczach. I wyciągając zwinnym ruchem szpilki z przypiętej na sercu, niewyczerpanej poduszeczki, spinała tunikę Wenus; muskała wyschłymi rękami wszystkie te tłuste nagości, żadnych przy tym nie doznając wzruszeń, jakby wyzuta z wszelkiej zmysłowości.

— W porządku! — rzekła młoda kobieta spoglądając po raz ostatni w lustro.

Bordenave wrócił zaniepokojony mówiąc, że trzeci akt już się rozpoczął.

— No dobrze! Już idę — odrzekła. — Co za szum! Przecież to zawsze ja muszę czekać na innych. Panowie wyszli z garderoby, ale nie pożegnali się, gdyż książę wyraził chęć pozostania za kulisami podczas trzeciego aktu. Gdy została sama, Nana zdziwiła się wodząc dokoła wzrokiem.

— Gdzież ona jest? — spytała.

Szukała Satin. Skoro ją znalazła za zasłoną, gdzie czekała na walizce, ta odpowiedziała spokojnie:

— Jasne, że nie chciałam cię krępować przy tych wszystkich mężczyznach! — I dodała, że teraz sobie pójdzie. Ale Nana ją zatrzymała. Niech nie będzie głupia! Przecież Bordenave zgadza się ją przyjąć! Można będzie załatwić sprawę po spektaklu. Ale Satin wahała się. Wszystko wydawało się jej bardzo skomplikowane, nie czuła się tam dobrze. W końcu jednak została.

Gdy książę schodził drewnianymi stopniami, po drugiej stronie teatru wybuchł dziwny hałas. Słychać było przytłumione przekleństwa i odgłosy walki. Cała ta awantura przerażała artystów czekających, by wejść na scenę. To Mignon znowu dowcipkował poszturchując czule Fauchery'ego. Wynalazł właśnie nową zabawę: dawał mu szczutki w nos mówiąc, że opędza go od much. Naturalnie, ta zabawa rozweselała artystów. Raptem Mignon, upojony sukcesem i puszczając wodze fantazji, wymierzył dziennikarzowi policzek, solidny, zamaszysty policzek. Lecz tym razem pozwolił sobie już za wiele. Fauchery nie mógł wobec ludzi przyjąć śmiechem podobnej zniewagi. Skończyła się komedia: obaj mężczyźni, zsiniali, ziejący nienawiścią, skoczyli sobie do gardła. Runęli na ziemię za jakąś kulisą, wyzywając się od rajfurów.

— Panie Bordenave! Panie Bordenave! — krzyczał wpadając przerażony reżyser.

Bordenave wybiegł za nim, przeprosiwszy księcia. Gdy rozpoznał na drodze Fauchery'ego i Mignona, gestem wyraził swoje zakłopotanie. Doprawdy, ślicznie się zabawiają, teraz gdy po drugiej stronie sceny znajduje się jego wysokość, a na sali publiczność, która może wszystko słyszeć! Na domiar złego nadeszła zadyszana Róża Mignon akurat w chwili, gdy miała wejść na scenę. Wulkan wypowiadał już swoją replikę. Ale Róża stanęła osłupiała widząc u swych stóp męża i kochanka, którzy tarzali się wierzgając, dobierając się nawzajem do gardła, z powyrywanymi włosami i surdutami białymi od kurzu. Zagradzali jej przejście. Maszynista chwycił kapelusz Fauchery'ego w chwili, gdy ten szatański przedmiot w ferworze walki miał już sfrunąć na scenę. A tymczasem Wulkan zaimprowizował coś dla zabawienia publiczności i znowu powtarzał replikę. Róża, skamieniała, ciągle patrzała na obu mężczyzn.

— No, nie gap się! — szepnął jej Bordenave z wściekłością do ucha: — Idź już! Idź już!... To nie twoja sprawa! Opóźniasz wejście na scenę.

Popchnięta przez niego, przestępując przez oba ciała. Róża znalazła się na scenie przed publicznością, w olśniewającym świetle rampy. Nie mogła zrozumieć, o co się tak tłuką, tarzając się na podłodze. Drżała z przejęcia, w głowie jej szumiało, ale podeszła ku rampie ze swym pięknym uśmiechem zakochanej Diany i rozpoczęta pierwszą frazę duetu głosem tak ciepłym, że publiczność zrobiła jej owację. Zza kulis dochodził głuchy łoskot uderzeń dwóch mężczyzn. Stoczyli się do samego brzegu sceny. Na szczęście muzyka zagłuszała walenie nogami w oprawę dekoracji.

— Do diabła! — krzyknął zirytowany Bordenave, gdy udało mu się wreszcie ich rozdzielić — czy nie moglibyście się bić u siebie w domu? Przecież dobrze wiecie, że nie lubię takich rzeczy... Mignon, zrobisz mi tę przyjemność i zostaniesz tu, od strony podwórza, a pana, panie Fauchery, wyrzucę za drzwi, jeżeli nie zechce pan zostać tam, od strony ogrodu... Zrozumiane? po tej i po tamtej stronie: albo zabronię Róży was tu przyprowadzać.

Gdy wrócił, książę zaczął wypytywać, co się stało. — Och! Nic takiego — szepnął spokojnie.

Nana. stojąc otulona futrem, czekała na wejście i rozmawiała z panami. Gdy hrabia Muffat szedł po schodach na górę, by rzucić spojrzenie na scenę spomiędzy dwóch ram, z gestu reżysera zrozumiał, że ma iść po cichu. Spod sklepienia spływał błogi spokój. Za kulisami, gdzie było jaskrawe oświetlenie, z rzadka tylko ktoś przystawał lub chodził na palcach, rozmawiając szeptem. Gazownik czuwał przy skomplikowanym układzie kurków, strażak, oparty o boczną kulisę, usiłował coś zobaczyć wyciągając głowę, a w górze czuwał na ławce, ze znudzoną miną kurtyniarz, nie znający treści sztuki, ciągle tylko w oczekiwaniu dzwonka, który da mu sygnał do manewrowania linami. W tym zaduchu, wśród podreptywań i szeptów, dochodziły ze sceny dziwne, przytłumione głosy aktorów. Brzmiały zdumiewająco fałszywie. Dalej, spoza niewyraźnych odgłosów orkiestry, dochodził jakby potężny oddech: sala nabierała tchu i wybuchała hałasem, śmiechem, oklaskami.

Nawet w momentach ciszy wyczuwało się obecność publiczności, wcale jej nie widząc.

— Ależ tu skądś wieje — rzekła nagle Nana, otulając się futrem. — Niech pan zobaczy, panie Barillot. Założę się, że ktoś otwarł okno... Doprawdy, tu można zdechnąć.

Barillot przysięgał, że sam wszystko pozamykał. Może były wybite szyby. Artyści ciągle skarżyli się na przeciągi. W ciężkim powietrzu, rozgrzanym przez palniki gazowe, przepływały fale zimna. Była to istna wylęgarnia zapalenia płuc — jak mówił Fontan.

— Chciałabym wiedzieć, jak by się pan czuł wydekoltowany — ciągnęła dalej zagniewana Nana.

— Psst! — syknął Bordenave.

Na scenie Róża tak finezyjnie odśpiewała frazę duetu, że brawa zagłuszyły orkiestrę. Nana umilkła i spoważniała. Tymczasem książę błąkał się za kulisami. Barillot zatrzymał go zwracając uwagę, że jest tam zapadnia. Oglądał dekoracje z odwrotnej strony i na ukos, tył oprawy wzmocnionej grubą warstwą starych afiszów, potem jeden kąt sceny, jaskinię Etny wydrążoną

w kopalni srebra, z kuźnią Wulkana w głębi. Opuszczone górne rampy ogarniały płomieniem zmierzwioną słomę, pomalowaną szerokimi pociągnięciami pędzla. Dekoracje z niebieskimi i czerwonymi szkiełkami przemyślnie udawały buchające płomienie. A na trzecim planie pełgały po ziemi smugi gazowego światła odcinające linię czarnych skał. Tam, na lekko pochylonym praktykablu, wśród świateł podobnych do lampionów rozmieszczonych w trawie podczas zabaw publicznych, stara pani Drouard, grająca rolę Junony, siedziała oślepiona i senna, oczekując swego wejścia na scenę.

Nagle zrobił się ruch. Simona, słuchając opowiadania Klarysy, krzyknęła:

— Popatrz! Tricona przyszła!

Była to rzeczywiście Tricona, w swych długich lokach wyglądająca na hrabinę, która się ciągle procesuje. Spostrzegłszy Nanę podeszła od razu do niej.

— Nie — rzekła Nana po szybkiej wymianie słów — nie teraz. Stara dama spoważniała. Prullière przechodząc uścisnął jej rękę. Dwie twarzyczki wpatrywały się w nią z przejęciem. Zdawało się, że Tricona przez chwilę się waha. Potem gestem przywołała Simonę i znowu nastąpiła szybka wymiana słów.

— Tak — rzekła w końcu Simona. — Za pół godziny.

Lecz gdy szła do swej garderoby, pani Bron, krążąca znowu z listami, wręczyła jej także jeden. Bordenave, zniżając głos, z wściekłością wypominał woźnej, że wpuściła Triconę. Taką babę! I właśnie tego wieczoru! Oburzało go to ze względu na jego wysokość. Pani Bron, która już od trzydziestu lat pracowała w tym teatrze, odpowiedziała mu z goryczą. Czy mogła wiedzieć? Tricona miała konszachty z wszystkimi tymi loretkami. Pan dyrektor spotkał ją już ze dwadzieścia razy i nigdy nie zrobił żadnej uwagi. A gdy Bordenave tłumił w sobie ordynarne słowa, Tricona spokojnie wpatrywała się w księcia jak kobieta, która ocenia mężczyznę spojrzeniem. Uśmiech rozjaśnił jej żółtą twarz. Potem powoli wyszła przechodząc wśród młodych kobiet odnoszących się do niej z szacunkiem.

— Zaraz, prawda? — rzekła zwracając się do Simony. Simona wydawała się znudzona. List był od młodego człowieka, któremu obiecała wieczór. Oddała więc pani Bron bilet, na którym nagryzmoliła: „Dziś wieczorem niemożliwe, kochanie, jestem zajęta.” Ale denerwowała się, bo ten młody człowiek może mimo wszystko będzie na nią czekał. Ponieważ nie występowała w trzecim akcie, chciała natychmiast pójść do domu; poprosiła więc Klarysę, żeby sprawdziła. Klarysa miała wejść na scenę dopiero pod koniec aktu, zeszła zatem na dół, a tymczasem Simona wróciła na chwilę do garderoby, którą razem zajmowały.

Na dole, w bufecie u pani Bron, statysta występujący w roli Plutona pił samotnie, ubrany w szeroką czerwoną szatę ozdobioną złotymi płomieniami. Widocznie handel woźnej dobrze prosperował, gdyż piwniczna nora pod schodami cała była wilgotna od porozlewanych resztek wina. Klarysa musiała unieść swą tunikę Irys, która wlokła się po zatłuszczonych schodach. Lecz zatrzymała się przezornie i tylko wysunęła głowę na zakręcie schodów, by rzucić spojrzenie do stróżówki. Ależ miała węch! Ten idiota la Faloise siedział tam ciągle na tym samym krześle pomiędzy stołem i piecem! Udawał, że zwiewa przed Simona, a potem wrócił. Zresztą izba ciągle była pełna panów w rękawiczkach, dobrze ułożonych, potulnych i cierpliwych. Wszyscy czekali patrząc poważnie na siebie. Na stole były już tylko brudne talerze, gdyż pani Bron poroznosiła właśnie ostatnie bukiety. Tylko jedna róża upadła i więdła obok czarnej kotki, która zwinęła się w kłębek, gdy tymczasem kocięta urządzały pomiędzy nogami panów szalone harce i dzikie galopady. Klarysa przez chwilę miała chęć wyrzucić la Faloise'a. Ten kretyn nie lubił zwierząt; to dopełniało jego portretu. Przyciskał łokcie, żeby nie dotknąć kotki.

— Bądź ostrożny, bo cię podrapie! — rzekł figlarz Pluton, który wracał na górę, wycierając sobie wargi grzbietem ręki.

Klarysa porzuciła myśl zrobienia sceny la Faloise'owi. Widziała, jak pani Bron oddawała list znajomemu Simony, który poszedł go odczytać pod palnikiem gazowym w westybulu. Było

tam napisane: „Dziś niemożliwe, kochanie, jestem zajęta.” Zapewne przywykły do podobnej odpowiedzi, odszedł sobie spokojnie. Ten przynajmniej umiał się zachować. Nie tak jak inni, którzy uparcie siedzą na zniszczonych krzesłach pani Bron, w tej wielkiej oszklonej latami, gdzie można się ugotować i gdzie bynajmniej nie pachnie. Jak ci mężczyźni mogą tu wysiedzieć! Klarysa, zrażona, wróciła na górę. Przeszła przez scenę i wspięła się zwinnie na trzecie piętro do garderoby, żeby dać Simonie odpowiedź.

Za sceną książę rozmawiał z Naną. Nie odstępował jej, pożerając na pół przymkniętymi oczami. Nana nie patrzała na niego, lecz z uśmiechem mówiła „tak” ruchem głowy. Nagle hrabia Muffat, powodowany nieodpartym impulsem, zostawił Bordenave'a, który mu właśnie objaśniał szczegółowo sposób manewrowania dźwigami tudzież bębnami, i zbliżył się, by przerwać tę rozmowę. Nana podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego tak samo jak do księcia. Ciągle jednak wytężała słuch, pilnując repliki.

— Sądzę, że trzeci akt jest najkrótszy — mówił książę, skrępowany obecnością hrabiego.

Nana nie odpowiedziała. Wyraz jej twarzy stał się nagle skupiony. Szybkim ruchem ramion zsunęła futro, które chwyciła stojąca za nią pani Juliuszowa, i podniósłszy obie ręce do niesfornych włosów, jakby je chciała ujarzmić, naga weszła na scenę.

— Pst! pst! — szepnął Bordenave.

Hrabia i książę byli zaskoczeni. W zupełnej ciszy wzbierało głębokie westchnienie, daleki odgłos tłumu. Co wieczór wejście Wenus w całej jej boskiej nagości wywoływało ten sam efekt. Muffat chciał to zobaczyć, więc przyłożył oko do szpary. Poza łukiem olśniewającej rampy sala wydawała się ciemna, jakby wypełniona rudym dymem. Na tym bezbarwnym tle, na którym rzędy twarzy tworzyły niewyraźne plamy, odcinała się blada sylwetka Nany, jakby smuklejszej, zasłaniającej widok na loże od balkonu po sklepienie. Widział ją od tyłu, wypiętą i rozwierającą ramiona. A na podłodze, na poziomie jego nóg, leżała jakby odcięta głowa suflera, głowa starego człowieka o twarzy zacnej i zbiedzonej. Przy niektórych frazach piosenki zdawało się, że od jej szyi, przez talię aż po rąbek tuniki, spływają fale. Wśród burzy oklasków odśpiewała ostatnią nutę i skłoniła się. Przy tym głębokim pochyleniu gaza fruwała w powietrzu, a włosy spadały jej aż do bioder. Hrabia podniósł się bardzo blady, widząc, jak zgięta, z poszerzonymi biodrami cofa się tyłem ku szparze, przez którą na nią patrzał.

Scena dla niego zniknęła, widział już tylko tylną stronę dekoracji, pstrokaciznę starych afiszów poprzyklejanych we wszystkich kierunkach. Na praktykablu, pomiędzy smugami gazowego światła, cały Olimp przyłączył się do pani Drouard, która spała. Aktorzy czekali na końcową część aktu. Bosc i Fontan siedzieli na podłodze, z brodami na kolanach, Prullière przeciągał się i ziewał przed wejściem na scenę. Wszyscy byli zgaszeni, oczy mieli zaczerwienione i czekali na chwilę, gdy pójdą spać.

W tym momencie Fauchery, który wałęsał się za kulsami od strony ogrodu, od czasu gdy Bordenave zabronił mu kręcić się po stronie przeciwnej, przyczepił się do hrabiego, chcąc dodać sobie animuszu. Zaproponował, że mu pokaże garderoby. Muffat, który stawał się coraz bardziej słaby i bezwolny, podążył za dziennikarzem rozejrzawszy się wpierw za markizem de Chouard, którego już nie było. Opuszczając kulisy, skąd słyszał, jak Nana śpiewa, odczuwał jednocześnie ulgę i niepokój.

Gdy szli po schodach Fauchery uprzedzał go, że na pierwszym i drugim piętrze tarasują drogę drewniane bębny. Były to schody, jakie widuje się w podejrzanych domach. Hrabia spotykał je podczas swych wędrówek w charakterze członka towarzystwa dobroczynności. Schody gołe i zniszczone, zasmarowane na żółto, z wydeptanymi stopniami i żelazną poręczą wygładzoną od rąk. Na każdym piętrze w korytarzu znajdowało się tuż przy podłodze we wnęce niskie kwadratowe okno jak w suterenie. W przyczepionych do ścian latarniach paliły się płomienie gazowe; oświetlały jaskrawo całą tę nędzę i wydzielały ciepło, które ulatywało w górę gromadząc się pod wąską spiralą pięter.

U stóp schodów hrabia znowu poczuł gorący powiew, zapach kobiety wychodzącej z garderoby w fali światła i zgiełku. Na każdym stopniu coraz bardziej go rozgrzewała i oszałamiała woń piżmowych pudrów i toaletowego octu. Na pierwszym piętrze biegły w głąb dwa korytarze, które nagle skręcały. Były tam drzwi, jak w podejrzanym hotelu pomalowane na żółto i opstrzone wielkimi, białymi numerami. Na podłodze powyrywane płytki tworzyły garby powstałe wskutek zapadania się w ziemię starego domu. Hrabia odważył się zajrzeć przez odemknięte drzwi. Zobaczył bardzo brudny pokój, jakby kramik perukarza na przedmieściu, umeblowany dwoma krzesłami, lustrem i stoliczkiem z szufladą, sczerniałą od brudnych grzebieni. Jakiś spocony chłopak, z parującymi plecami, zmieniał tam bieliznę. A obok, w takim samym pokoju, kobieta gotowa do wyjścia wkładała rękawiczki. Włosy miała zmierzwione i zmoczone, jakby przed chwilą wyszła z kąpieli. Fauchery zawołał hrabiego, który wchodził na drugie piętro, gdy wtem z korytarza po prawej stronie dobiegł wściekły krzyk: „Do diaska!" Matylda, niezdarny flejtuch, zbiła właśnie miednicę i woda z mydlinami wyciekała aż do sieni. Któraś garderoba zamknęła się gwałtownie, dwie kobiety w gorsetach przeskoczyły korytarz, inna z rąbkiem koszuli w zębach ukazała się i uciekła. Potem odezwały się śmiechy, odgłosy kłótni, piosenka rozpoczęta i nagle przerwana. Wzdłuż korytarza migały przez szpary fragmenty nagich ciał, biała skóra, jasna bielizna. Dwie rozbrykane dziewczyny pokazywały sobie wzajemnie swe znamiona. Inna znowu, młodziutka, prawie jeszcze dziecko, podniosła spódniczki powyżej kolan, żeby zaszyć majtki. A garderobiane, widząc tych dwóch mężczyzn dla przyzwoitości zasuwały lekko zasłony. Panował tam zwykły o tej porze, gorączkowy pośpiech, zmywanie bielidła i różu, generalna toaleta przed wyjściem do miasta. W garderobach unosiły się chmury pudru ryżowego i ostry, gryzący odór, który przenikał do korytarza za każdym otwarciem drzwi. Na trzecim piętrze Muffat poddał się już ogarniającej go fali upojenia. Znajdowała się tam garderoba statystek. Dwadzieścia stłoczonych kobiet, mydła i butelki lawendowej wody rozrzucone w nieładzie, wszystko to robiło wrażenie jakiejś ordynarnej budy na rogatkach. Przechodząc usłyszał za drzwiami gwałtowne mycie, jakby burzę w miednicy. I już chciał wchodzić na ostatnie piętro, gdy nagle, z ciekawości, spojrzał przez otwartego judasza. Pokój był pusty. Światło gazowe ukazywało tylko nocnik wśród spódnic rzuconych bezładnie na podłogę. Pokój ów to był ostatni obraz, jaki zapamiętał. Na czwartym piętrze zaczął się dusić, jakby w niego uderzyły wszystkie zapachy i wszystkie płomienie. Żółty sufit wyglądał jak spalony, latarnia płonęła w rudawej mgle. Chwycił żelazną poręcz, która wydała mu się gorąca. Poczuł żywe ciepło. Z zamkniętymi oczami pił, wchłaniał w siebie wszystkie rozkosze kobiece; jeszcze ich nie znał, a już uderzały mu do głowy.

— Niechże pan przyjdzie — krzyknął Fauchery, który przed chwilą zniknął. — Dopytują się tu o pana.

W głębi korytarza była garderoba Klarysy i Simony, podłużny pokój na poddaszu, niekształtny, ze ściętymi bokami i zagłębieniami w ścianach. Światło padało z góry przez dwa głębokie otwory. Lecz teraz, w nocy, płomienie gazowe oświetlały garderobę wytapetowaną papierem po siedem su rolka: różowe kwiaty na zielonej kracie. Dwie deski ułożone jedna obok drugiej służyły za gotowalnię. Były przykryte ceratą sczerniałą od porozlewanej wody. Pod nimi stały powyginane cynkowe konewki, wiadra pełne brudnej wody, żółte gliniane dzbanki. Cała wystawa artykułów bazarowych, powykręcanych, zużytych: wyszczerbione miednice, grzebienie z wyłamanymi zębami, wszystko, co dwie kobiety rozbierając się i ubierające w bezceremonialnym pośpiechu pozostawiają po sobie w miejscu, którego nieporządek i brud wcale ich nie obchodzą, bo przebywają tam tylko przelotnie.

— Niechże pan wejdzie — powtórzył Fauchery tonem koleżeńskim, jaki zwykle przybierają mężczyźni w towarzystwie loretek. — Klarysa chce pana pocałować.

Muffat wreszcie wszedł. Lecz był zaskoczony widząc markiza na krześle pomiędzy dwiema gotowalniami. Markiz tu się schronił. Trzymał nogi rozstawione, gdyż jedno wiadro przecie-

kało i na podłodze rozlewała się biaława kałuża. Czuło się, że jest w swoim żywiole, że nieobce mu takie miejsca. Był podochocony duszną atmosferą łaźni i spokojnym bezwstydem kobiety, który w tym niechlujnym kącie wydawał się naturalny, ale jakby jeszcze przejaskrawiony.

— Idziesz ze starym? — Rzuciła Simona do ucha Klarysie.

— Też coś! — odpowiedziała głośno Klarysa.

Garderobiana, młoda dziewczyna bardzo brzydka i spoufalona, pękała ze śmiechu podając płaszcz Simonie. Wszystkie trzy popychały się bełkocząc słowa, które podwajały ich wesołość.

— No, Klaryso, pocałuj pana — powtarzał Fauchery. — Dobrze wiesz, że on ma sakiewkę. — A zwracając się do hrabiego powiedział: — Zobaczy pan, ona jest bardzo miła, pocałuje pana.

Lecz Klarysa czuła obrzydzenie do mężczyzn. Mówiła z oburzeniem o nicponiach, którzy czekają na dole u woźnej. Zresztą musi zaraz zejść, bo gotowa jeszcze spóźnić się na ostatnią scenę. A gdy Fauchery zagrodził jej drzwi, złożyła dwa pocałunki na faworytach Muffata, mówiąc:

— To, broń Boże, nie dla pana, to dla Fauchery'ego, bo tak mnie zanudza!

I uciekła. Hrabiemu, którego ciągle jeszcze krępowała obecność teścia, krew uderzyła do głowy. W garderobie Nany, wśród luksusowych tapet i luster, nie doznawał tak ostrego podniecenia jak tu, na widok zawstydzającej nędzy tej obskurnej izby, która świadczyła o niechlujstwie tych. dwóch kobiet. Tymczasem markiz ulotnił się, aby dogonić Simonę. Szeptał jej coś do ucha, a ona przeczyła głową. Fauchery śmiejąc się podążył za nimi. Hrabia został sam z garderobianą, która płukała miednice. Więc i on z kolei skierował się ku schodom, na uginających się nogach; przepłaszane kobiety w halkach zatrzaskiwały przed nim drzwi. Lecz w całym tym popłochu rozpasanych dziewek, biegających po czterech piętrach, zauważył jedynie kota, wielkiego rudego kota, który w tym kotle zatrutym wonią piżma z ogonem uniesionym w górę umykał po stopniach, ocierając się grzbietem o pręty poręczy.

— A to dopiero! — rzekła jakaś kobieta ochrypłym głosem — Myślałam, że dziś nas nie puszczą!... Cóż to za nudziarze z tym ich wywoływaniem!

Akurat przedstawienie się skończyło i kurtyna opadła. Na schodach rozpoczęła się istna galopada. Klatka schodowa pełna była krzyków i brutalnego pośpiechu, żeby czym prędzej przebrać się i pójść do domu. Gdy hrabia Muffat schodził już z ostatniego stopnia, spostrzegł, że Nana i książę szli wolno korytarzem. Młoda kobieta przystanęła i uśmiechając się powiedziała po cichu:

— Dobrze, zaraz przychodzę.

Książę wrócił na scenę, gdzie czekał na niego Bordenave. A Muffat pobiegł za Naną, gnany gniewem i pożądaniem. W chwili gdy wchodziła do garderoby, pocałował ją mocno w kark, gdzie filuternie kręciły się włoski opadające nisko na plecy. Jakby oddawał pocałunek otrzymany przed chwilą na górze. Nana, wściekła, już podnosiła rękę. Lecz poznawszy hrabiego uśmiechnęła się.

— Och! Tak mnie pan przestraszył! — rzekła po prostu. Był to uśmiech pełen uroku, zmieszania i uległości, jak gdyby już zwątpiła, że otrzyma ten pocałunek, a teraz była nim uszczęśliwiona. Ale nie miała dla hrabiego wolnego wieczoru ani dziś, ani jutro. Musi poczekać. Gdyby nawet była wolna, i tak kazałaby na siebie długo czekać. Mówiło o tym jej spojrzenie. Wreszcie powiedziała:

— Wie pan, ja jestem właścicielką domu... Tak, kupuję wiejski dom w pobliżu Orleanu, w okolicy, w której pan nieraz bywa. Bobo mi to powiedział, Jerzy Hugon. Pan go zna, prawda? Więc niech mnie pan tam odwiedzi.

Hrabia, przerażony swoją brutalnością człowieka nieśmiałego i zawstydzony tym, co zrobił, ukłonił się ceremonialnie, obiecując, że skorzysta z zaproszenia. Potem oddalił się idąc jakby we śnie. Zmierzał w stronę księcia, gdy nagle, mijając foyer, usłyszał krzyk Satin:

— A to stary obrzydliwiec! Niech mi pan da spokój!

To markiz de Chouard napastował Satin, która zdecydowanie miała już dość całego tego eleganckiego świata. Wprawdzie Nana przed chwilą przedstawiła ją Bordenave'owi, ale ona czuła się już bardzo zmęczona długim czekaniem z ustami zasznurowanymi w obawie, żeby nie wyrwać się z jakimś głupstwem. Chciała się więc odegrać, tym bardziej że za kulisami wpadła na swego dawnego kochanka, statystę występującego w roli Plutona, cukiernika, z którym przeżyła już cały tydzień miłości i zniewag. Czekała na niego, zirytowana, bo markiz mówił do niej jak do jednej z owych damulek w teatrze. Stała się więc pełna godności i powiedziała:

— Jak przyjdzie mój mąż, to pan zobaczy!

Tymczasem artyści jeden za drugim wychodzili z teatru, w paltach, ze zmęczonymi twarzami. Po małych krętych schodach szły grupy mężczyzn i kobiet, kryjących w cieniu zniszczonych kapeluszy i pomiętych szali bladą brzydotę kabotynów, którzy zmyli z twarzy róż. Na scenie, gdzie wygaszono żagwie i świeczniki, książę słuchał jakiejś anegdoty Bordenave'a. Czekał na Nanę. Gdy się wreszcie zjawiła, na scenie było już ciemno, a dyżurny strażak, kończąc przegląd, chodził z latarką w ręku. Bordenave, pragnąc jego wysokości oszczędzić okrążania przez pasaż Panoram, kazał otworzyć korytarz prowadzący od portierki do westybulu teatralnego. Wzdłuż tego przejścia, niby przez furtkę, rozpoczęła się na łeb, na szyję ucieczka damulek, szczęśliwych, że udało im się zwiać przed mężczyznami czekającymi na nie w pasażu. Popychały się przyciskając łokcie, oglądając się w tył i łapiąc oddech dopiero na dworze. A tymczasem Fontan, Bosc i Prullière wracali powoli, udając poważnych ludzi i stąpając wolno wzdłuż galerii „Varietes", w chwili gdy damulki zwiewały już bulwarem ze swymi chłopcami. Ale szczególnie przebiegła była Klarysa. Miała się na baczności przed la Faloise'em. Rzeczywiście siedział jeszcze wśród mężczyzn, którzy uparcie czekali na krzesłach u pani Bron. Przesunęła się więc za jedną z koleżanek. A ci panowie, z nosami spuszczonymi na kwintę, mrugali powiekami, osłupiali na widok sfruwających z góry spódnic, które wirowały u stóp wąskich schodów, zrozpaczeni, że tak długo czekali po to, by teraz patrzeć, jak się wszystkie ulatniają, niezdolni rozpoznać żadnej z nich. Gromadka czarnych kotów z rozpostartymi łapkami spała na ceracie, przytulona do brzucha spoczywającej błogo matki. A wielki rudy kot, siedzący bez ruchu, z wyciągniętym ogonem, na drugim końcu stołu, patrzał żółtymi oczami na ucieczkę kobiet.

— Może wasza wysokość zechce przejść tędy — rzekł Bordenave stojąc przy schodach i wskazując korytarz.

Kilka statystek jeszcze się pchało. Książę szedł za Naną, a za nimi Muffat i markiz. Była to wąska kiszka pomiędzy teatrem i sąsiednim domem, rodzaj uliczki, którą pokryto pochyłym szklanym dachem. Z murów sączyła się wilgoć. Na posadzce, krytej płytkami, kroki dudniły jak w podziemiu. Była tam graciarnia, jakie spotyka się na strychu: warsztat, na którym konsjerż heblował dekoracje, stos drewnianych drągów, którymi wieczorem zastawiano bramę, by wstrzymać napór tłumu. Przechodząc obok pompy Nana musiała podnieść suknię, gdyż niedomknięty kran zalewał kamienną posadzkę. Pożegnano się w westybulu. Gdy Bordenave został sam. wyraził swoją opinię o księciu wzruszeniem ramion, pełnym filozoficznej pogardy.

— To jest jednak kawał durnia — rzekł nie tłumacząc się bliżej Fauchery'emu, którego Róża Mignon zabrała razem ze swym mężem, by ich pogodzić w domu.

Muffat znalazł się sam na trotuarze. Przed chwilą jego wysokość spokojnie zabrał Nanę do swego powozu. Markiz pobiegł za Satin i jej statystą, podniecony, zadowalając się tym, ze idzie za tą grzeszną parą, z niewielką nadzieją, że będą dlań łaskawi. Muffat, który miał głową rozognioną, chciał wrócić do domu pieszo. Ustała w nim wszelka walka. Fala nowego życia zalewała jego myśli i wszystko, w co wierzył od lat czterdziestu. Gdy szedł wzdłuż bulwarów, w turkocie ostatnich powozów słyszał jedynie imię Nany, w świetle palników ga-

zowych majaczyło mu przed oczami jej nagie ciało, jej giętkie ramiona i białe plecy. Czuł, że nim owładnęła. Wszystkiego by się wyparł, wszystko by sprzedał, by mieć ją tego wieczoru choćby na godzinę. Budziła się nareszcie jego młodość. Żarłoczna pożądliwość młodzieńca zapłonęła nagle w tym oschłym katoliku i pełnym powagi dojrzałym mężczyźnie.

VI

Hrabia Muffat przybył poprzedniego dnia do Fondettes w towarzystwie żony i córki. Zaprosiła ich na tydzień pani Hugon, która przebywała tam ze swym synem Jerzym. Dom, zbudowany pod koniec siedemnastego wieku, wznosił się pośrodku rozległego czworobocznego dziedzińca, bez żadnych ozdób. Za to w parku były wspaniale ocienione zakątki i baseny, przez które przepływała bieżąca woda źródlana. Wzdłuż drogi z Orleanu do Paryża było to jakby pasmo zieleni czy też bukiet drzew, urozmaicający monotonny pejzaż równiny, na której bez końca ciągnęły się uprawne pola.

O godzinie jedenastej, gdy drugi dzwonek zwołał wszystkich na śniadanie, pani Hugon, uśmiechając się po macierzyńsku, złożyła dwa serdeczne pocałunki na policzkach Sabiny mówiąc:

— Kochanie, na wsi mam już taki zwyczaj... Gdy cię tu widzę, czuję się o dwadzieścia lat młodsza... Czy dobrze spałaś w swym dawnym pokoju? — Nie czekając na odpowiedź zwróciła się do Stelli: — A nasza mała także przespała calutką noc?... Pocałuj mnie, dziecino...

Towarzystwo siadło do stołu w obszernej jadalni, której okna wychodziły na park. Lecz tylko jeden koniec wielkiego stołu był zajęty. Ścieśniono się, by siedzieć blisko siebie. Sabina, gwarząc wesoło, opowiadała swoje wspomnienia z młodości, które się tu w niej obudziły; mówiła o miesiącach spędzanych w Fondettes, o długich spacerach, o tym, jak któregoś letniego wieczoru wpadła do basenu, o starym romansie rycerskim znalezionym na szafie i czytanym w zimie przy ogniu z gałązek winorośli. Jerzy, który nie widział hrabiny od paru miesięcy, zauważył, że wygląda dziwnie, że coś zmieniło się w jej twarzy. Natomiast tyczkowata Stella wydawała się jeszcze bardziej bezbarwna, milcząca i niezdarna.

Ponieważ podano tylko jajka na miękko i kotlety, pani Hugon, jako gospodyni, żaliła się, że ostatnio rzeźnicy stali się niemożliwi. Kupowała wszystko w Orleanie, ale nigdy nie dostarczano jej takiego mięsa, jakiego żądała. A zresztą, goście sami byli sobie winni, bo przyjechali zbyt późno.

— To nie ma żadnego sensu — rzekła. — Czekam na was od czerwca, a teraz mamy połowę września... Toteż, jak widzicie, nie jest już ładnie.

Gestem wskazała drzewa na trawniku, które zaczynały żółknąć. Pogoda była pochmurna, błękitnawe opary spowijały pejzaż pogrążony w ciszy i melancholii.

— Och! Oczekuję jeszcze gości — ciągnęła pani Hugon — może będzie weselej... Ma przyjechać dwóch panów, których zaprosił Jerzy, pan Fauchery i pan Daguenet. Znacie ich, prawda?... Następnie pan de Vandeuvres, który od pięciu lat przyrzeka, że mnie odwiedzi. Może nareszcie w tym roku się zdecyduje.

— Ależ, proszę pani! — rzekła hrabina śmiejąc się. — Na pana Vandeuvres nie warto liczyć! Za bardzo jest zajęty.

— A Filip? — spytał Muffat.

— Filip prosił o urlop — odparła stara dama — lecz kiedy przyjedzie, was już na pewno nie będzie w Fondettes.

Podawano kawę. Rozmowa zeszła na Paryż, wymieniono nazwisko Steinera. Wywołało ono okrzyk pani Hugon.

— A propos — rzekła — czy Steiner to ten gruby pan, którego kiedyś wieczorem u was spotkałam? Bankier, prawda?... To okropny człowiek! Wyobraźcie sobie, że kupił posiadłość dla jakiejś aktorki, o milę stąd, tam, za la Choue, w stronę Gumieres! Cała okolica jest zgorszona... Czy wiedział pan o tym, przyjacielu?

— Bynajmniej — odrzekł Muffat. — Ciekawe! A więc Steiner kupił tu w okolicy posiadłość?

Jerzy słysząc, że matka porusza ten temat, wsadził nos w filiżankę. Lecz zdumiony odpowiedzią hrabiego podniósł głowę i spojrzał na niego. Dlaczego kłamie tak bez ogródek? Z drugiej strony, hrabia, zauważywszy odruch młodego człowieka, rzucił na niego nieufne spojrzenie. Pani Hugon opowiadała dalsze szczegóły: wieś nazywa się Mignotte. Trzeba minąć la Choue, dojść do Gumieres i tam przejść przez most; ta droga jest dłuższa o dobre dwa kilometry, ale przynajmniej człowiek nie zamoczy sobie nóg i nie narazi się na zimną kąpiel w rzece.

— A jak się nazywa ta aktorka? — spytała hrabina.

— Ach, zaraz! Przecież mi powiedziano — szepnęła stara dama. — Jerzy, wszak byłeś dziś rano przy tym, jak ogrodnik nam mówił...

Jerzy zrobił minę, jakby czegoś szukał w pamięci. Muffat czekał obracając w palcach łyżeczkę. Wówczas hrabina zwróciła się do męża:

— Czy nie chodzi o przyjaciółkę Steinera, Nanę, tę szansonetkę z „Varietes"?

— Nana, ach, właśnie, okropność! — krzyknęła rozgniewana pani Hugon. — Oczekują jej w Mignotte. Wiem wszystko od ogrodnika... Prawda, Jerzy? Ogrodnik mówił, że ona ma przyjechać dziś wieczorem.

Hrabia, zaskoczony, lekko drgnął. Lecz Jerzy odpowiedział z ożywieniem:

— Och! Mamo, ogrodnik coś sobie ubzdurał... Stangret przed chwilą mówił coś innego: w Mignotte nie oczekują nikogo wcześniej niż pojutrze.

Usiłował zrobić minę naturalną, badając kątem oka wrażenie, jakie jego słowa wywierają na Muffacie. Lecz hrabia, jakby uspokojony, znowu obracał łyżeczkę. Hrabina, zatapiając martwy wzrok w błękitnawym pejzażu parku, wydawała się nieobecna przy rozmowie; z bladym uśmiechem upajała się skrytą myślą, która jej nagle zaświtała. A Stella, siedząc sztywno na krześle, słuchała tego, co mówiono o Nanie; nie drgnął żaden rys jej białej, dziewiczej twarzy.

— Boże mój! — szepnęła pani Hugon odzyskując po chwili milczenia swoją dobroduszność — niesłusznie się gniewam. Każdy ma prawo żyć... Jeżeli spotkamy tę osobę na drodze, wystarczy po prostu jej się nie ukłonić.

Gdy wstano od stołu, jeszcze raz skarciła Sabinę, że w tym roku tak długo kazała na siebie czekać. Lecz hrabina broniła się zrzucając winę na męża. Dwukrotnie w przeddzień wyjazdu, gdy walizy były już pozamykane, odwoływał decyzję mówiąc, że ma pilne sprawy. A potem nagle się zdecydował, w chwili gdy podróż wydawała się już pogrzebana. Z kolei stara dama zauważyła, że Jerzy tak samo dwa razy zapowiedział swe przybycie i nie zjawił się, a dopiero przedwczoraj wpadł do Fondettes, gdy już na niego nie liczyła. Towarzystwo zeszło do ogrodu. Dwaj mężczyźni, idąc po prawej i lewej stronie dam, słuchali ich, milczący i nadąsani.

— Mniejsza z tym — rzekła pani Hugon całując jasne włosy syna. — I tak ładnie, że przyjechał zaszyć się na wsi ze swoją matką... Dobry Luluś, nie zapomina o mnie!

Po południu zaniepokoiła się, bo Jerzy natychmiast po odejściu od stołu narzekał, że ma ociężałą głowę, jakby się zbliżał atak migreny. Około czwartej wyraził chęć położenia się mówiąc, że tylko to mu pomaga. Jeżeli prześpi się do jutra, będzie się czuł doskonale. Matka koniecznie chciała sama położyć go do łóżka. Ledwie jednak wyszła z pokoju, skoczył i zamknął się na klucz pod pretekstem, że nie chce, by mu ktoś przeszkadzał. Krzyknął jeszcze czule: „Dobranoc, do jutra, mamusiu", obiecując, że prześpi całą noc. Ale do łóżka nie wrócił. Blady, z rozpalonymi oczami, ubrał się po cichu, a potem siedział nieruchomo na krześle. Gdy odezwał się dzwonek na obiad, czekał, aż przejdzie hrabia Muffat, który skierował się do salonu. W dziesięć minut później pewny, że nikt go nie widzi, uciekł zwinnie przez okno po rynnie. Jego pokój na pierwszym piętrze znajdował się z tylnej strony domu. Rzucił się w gęste zarośla, wyszedł z parku i pobiegł przez pola w kierunku la Choue, z pustym żołądkiem i sercem skaczącym ze wzruszenia. Zmierzchało, zaczynał padać drobny deszczyk.

Właśnie tego wieczoru Nana miała przybyć do Mignotte. Od czasu gdy Steiner kupił jej w maju ten wiejski dom, ogarniała ją chwilami taka chęć zamieszkania w nim, że z tego powodu

nawet popłakiwała. Lecz Bordenave nie chciał jej zwolnić choćby na parę dni, odkładając to na wrzesień pod pretekstem, że w okresie Wystawy ani myśli jej nawet na jeden wieczór zastąpić dublerką. Pod koniec sierpnia mówił o październiku. Nana, wściekła, oświadczyła, że będzie w Mignotte 15 września, i prowokując Bordenave'a zapraszała w jego obecności mnóstwo osób. Pewnego popołudnia, gdy Muffat, któremu się z rozmysłem opierała, przyszedł do niej i drżąc cały, prosił, by mu uległa, obiecała, że tam, na wsi, będzie dla niego dobra. Jemu też wyznaczyła spotkanie na 15 września. Ale dwunastego nagle opadła ją chęć, żeby zwiać natychmiast, sama z Zoè. Gdyby uprzedziła Bordenave'a, może znalazłby sposób, by ją zatrzymać. Bawiła ją myśl, że go wykiwa posyłając tylko zaświadczenie lekarskie. Gdy wpadła na pomysł przybycia wcześniej do Mignotte i spędzenia tam dwóch dni bez zawiadamiania kogokolwiek, popędzała Zoè, żeby szybko spakowała walizki, wepchnęła ją do dorożki i wreszcie, wzruszona, zaczęła ją przepraszać i całować. Dopiero w bufecie dworcowym pomyślała o tym, by listem uprzedzić Steinera. Prosiła, żeby przyjechał do niej dopiero za dwa dni, jeżeli chce ją zastać zupełnie wypoczętą. Przeskakując od razu do innego projektu, napisała drugi list, w którym błagała ciotkę, by natychmiast przywiozła Ludwisia. To dziecku świetnie zrobi, będzie mogła bawić się z nim pod drzewami! Jadąc pociągiem z Paryża do Orleanu tylko o tym mówiła. Miała wilgotne oczy i w nagłym przypływie macierzyńskich uczuć wszystko jej się plątało: kwiaty, ptaki i dziecko.

Do Mignotte było jeszcze ponad trzy mile drogi. Nana straciła godzinę na wynajęcie powozu, wielkiej, zniszczonej karety, która toczyła się wolno, zgrzytając jak stare żelastwo. Z miejsca rozbroiła woźnicę, starego milczka. Zasypywała go pytaniami. Czy często przejeżdża koło Mignotte? Więc to za tym pagórkiem? Tam jest podobno pełno drzew, prawda? A dom widać z daleka? Staruszek odpowiadał pomrukując, a Nana, zniecierpliwiona, tańczyła w karecie. Tymczasem Zoè, zła, że tak szybko musiała opuścić Paryż, siedziała sztywna i nadąsana. Raptem koń się zatrzymał, więc młoda kobieta myślała, że przybyli na miejsce. Wysunęła głowę przez drzwiczki i spytała:

— Czy to już Mignotte?

W odpowiedzi woźnica podciął konia, który z trudem wspiął się na pochyłość. Nana z zachwytem przyglądała się ogromnej równinie rozciągającej się pod szarym niebem, na którym zbierały się wielkie chmury.

— Och! Popatrz, Zoè, trawa! Czy to wszystko jest zboże?... Ach! Jakie to ładne!

— Od razu widać, że pani nie jest ze wsi — rzekła wreszcie służąca z urażoną miną. — Ja dobrze poznałam wieś, gdy pracowałam u dentysty, który miał dom w Bougival... Jakoś zimny dziś mamy wieczór, a okolica wilgotna.

Przejeżdżali pod drzewami. Nana jak młody pies wąchała zapach liści. Nagle, na zakręcie drogi, spostrzegła wśród gałęzi narożnik jakiegoś domu. Może to już tu. Nawiązała na ten temat rozmowę z woźnicą, który ciągle mówił „nie", potrząsając głową. Dopiero gdy zjeżdżali z drugiego zbocza wzgórza, wyciągnął bat i szepnął:

— O, proszę, to tam.

Wstała i wychyliła się gwałtownie przez drzwiczki. — Gdzie? Gdzie? — wołała, blada, nic jeszcze nie widząc. Wreszcie zauważyła kawał muru. Zaczęła więc wykrzykiwać i podskakiwać przejęta silnym wzruszeniem. — Zoè, już widzę, już widzę!... Patrz z drugiej strony... Och! Na dachu jest obmurowany taras. A tam cieplarnie! Ależ to ogromne... Och! Jakże jestem zadowolona! Spójrz no, Zoè, spójrz no!

Powóz zatrzymał się przed bramą. Otwarły się drzwiczki i wyszedł ogrodnik, wysoki, chudy, z czapką w ręce. Nana starała się zachowywać z godnością, gdyż już woźnica podśmiewał się z niej w duchu, zaciskając wargi. Wstrzymywała się, żeby nie pobiec, słuchała gadatliwego ogrodnika, który prosił panią, żeby wybaczyła nieporządek, zważywszy, że dopiero dziś rano otrzymał od niej list. Lecz pomimo wszelkich wysiłków Nanę jakby coś niosło; szła tak szybko, że Zoè nie mogła za nią nadążyć. W końcu alei zatrzymała się na chwilę, by ogarnąć

spojrzeniem dom. Był to duży budynek w stylu włoskim, przylegał do niego drugi mniejszy. Kazał go zbudować pewien bogaty Anglik po dwuletnim pobycie w Neapolu; ale w krótkim czasie dom ten mu się sprzykrzył.

— Oprowadzę panią — rzekł ogrodnik.

Lecz Nana go wyprzedziła krzycząc, żeby się nie fatygował. Wolała sama zwiedzić dom. I nie zdejmując kapelusza pobiegła do pokojów. Przywoływała Zoè i rzucała jej swoje uwagi z jednego końca korytarza na drugi, wypełniając krzykami i śmiechem pustkę tego domu, nie zamieszkanego od długich miesięcy. Najpierw westybul: trochę wilgotny, lecz to nie szkodzi, bo przecież tu się nie sypia. Bardzo elegancki salon z oknami wychodzącymi na trawnik. Tylko czerwone meble są okropne, to trzeba będzie zmienić. A jadalnia! Co za piękna jadalnia! Jakąż to ucztę można by wyprawić w Paryżu, gdyby się miało taką jadalnię! Gdy wchodziła na pierwsze piętro, przypomniała sobie, że nie widziała kuchni. Zeszła i wydała okrzyk. Zoè musiała zachwycać się pięknym zlewem i wielkim paleniskiem. na którym można by upiec barana. Gdy weszła na górę, zachwycił ją szczególnie jej pokój wybity przez tapicera z Orleanu jasnoróżowym kretonem w stylu Ludwika XVI. Ach! Dobrze będzie się tu spało! Istne gniazdko pensjonarki! Potem było jeszcze cztery czy pięć pokojów gościnnych i wspaniałe strychy. To bardzo wygodne, bo jest gdzie pochować kufry. Zoè, krzywiąc się i rzucając na każdy pokój obojętne spojrzenia. wlokła się za panią ociągając się. Raptem zobaczyła, że pani znika na szczycie stromej drabiny prowadzącej na strych. No, dziękuję! Ona nie miała ochoty połamać sobie nóg. Ale z daleka usłyszała głos, jakby szept w wylocie komina:

— Zoè! Zoè! Gdzie jesteś? Wejdźże!... Och! Nie masz pojęcia... To bajka!

Zoè weszła na górę pomrukując. Zastała panią na dachu. Opierając się o ceglane obramowanie patrzała na dolinkę, która rozszerzała się w dali. Horyzont był bardzo rozległy, lecz otulały go sine opary, w straszliwym wietrze zacinał drobny deszcz. Nana musiała obiema rękami trzymać kapelusz, by wiatr go nie porwał, jej spódnice trzepotały jak chorągwie.

— Ach, ani mi się śni — rzekła Zoè wycofując się natychmiast. — Panią wiatr porwie... Psa by nie wygnał na taką pogodę!

Nana nie słuchała. Z pochyloną głową patrzała na posiadłość rozciągającą się w dole. Było siedem albo osiem mórg, ogrodzonych murem. Widok ogrodu warzywnego pochłonął ją całkowicie. Rzuciła się do wyjścia, popchnęła pokojówkę na schodach i wyjąkała:

— Tam pełno kapusty!... Och! Takie wielkie głowy kapusty!... A sałata, szczaw, cebula i wszystko! Chodź prędko.

Deszcz padał jeszcze większy. Otwarła białą jedwabną parasolkę i pobiegła alejami.

— Pani się zaziębi! — krzyczała Zoè stojąc spokojnie pod markizą przed gankiem. Ale pani chciała zobaczyć. Każde nowe odkrycie witała okrzykiem.

— Zoè! Szpinak! Chodźże!... Och! Karczochy... Jakie pocieszne! To one kwitną?... Popatrz! Cóż to jest? Nie znam tego... Chodźże, Zoè, może ty wiesz.

Pokojówka nie ruszała się. Doprawdy, pani chyba oszalała. Teraz deszcz lał strumieniami, mała parasolka z białego jedwabiu zrobiła się całkiem szara. Zresztą nie zakrywała Nany, której spódnica ociekała wodą. To jej wcale nie przeszkadzało. Mimo ulewy zwiedzała ogród warzywny i owocowy, zatrzymując się przy każdym drzewie, pochylając się nad każdą grządką warzyw. Potem pobiegła zajrzeć w głąb studni, podniosła pokrywę, by zobaczyć, co tam jest pod spodem, zamyśliła się nad ogromną dynią. Czuła potrzebę przejścia przez wszystkie aleje, chciała natychmiast wziąć w posiadanie wszystko, o czym marzyła kiedyś, gdy w trepach robotnicy włóczyła się po paryskim bruku. Deszcz się wzmagał, lecz ona go nie czuła, żałując tylko, że nadchodzi zmierzch. Nie widziała już wyraźnie, więc palcami starała się wyczuć, co ogląda. Raptem w zapadającym mroku zauważyła truskawki i ucieszyła się jak dziecko:

— Truskawki! Są truskawki! Czuję ich zapach!... Zoè! Daj talerz! Chodź zrywać truskawki.

Klęknąwszy w błocie Nana odrzuciła parasolkę wystawiając się na ulewę. Mokrymi rękami rozsuwała liście i zrywała truskawki. Ale Zoè nie przynosiła talerza. Gdy młoda kobieta wstawała z ziemi, przeraziła się. Miała wrażenie, że przesunął się jakiś cień.

— Zwierz! — krzyknęła.

Ze strachu osłupiała i stanęła jak wryta na środku ścieżki. Przed nią stał mężczyzna, którego Nana rozpoznała.

— Jak to! Ależ to Bobo!... Cóż ty tu robisz, Bobo?

— No cóż! — odparł Jerzy. — Po prostu przyszedłem. Była oszołomiona.

— Wiedziałeś więc od ogrodnika, że przyjechałam?... Och! Cóż za dzieciak! Jakiś ty przemoknięty!

— Zaraz ci powiem, jak to było. Deszcz zaskoczył mnie w drodze. A potem nie chciałem iść aż do Gumieres i przechodząc przez la Choue wpadłem w diabelną dziurę pełną wody.

Nana od razu zapomniała o truskawkach. Drżąc, litowała się nad nim. Biedny Luluś wpadł w dziurę! Ciągnęła go ku domowi mówiąc, że trzeba rozpalić duży ogień.

— Wiesz co — szeptał zatrzymując ją w cieniu — ukrywałem się w obawie, że mnie złajesz jak w Paryżu, gdy przychodzę do ciebie niespodzianie.

Nie odpowiadając zaczęła się śmiać i pocałowała go w czoło. Do tego dnia traktowała go jak smarkacza, nie biorąc poważnie jego wyznań miłosnych. Był dla niej po prostu zabawką. Teraz trzeba było się nim zająć. Koniecznie chciała, żeby rozpalono ogień w jej pokoju, tam będzie przytulniej. Obecność Jerzego nie zaskoczyła Zoè przywykłej do różnych niespodzianek. Lecz ogrodnik, który przyniósł drzewo, zmieszał się widząc ociekającego wodą pana, któremu z całą pewnością nie otwierał bramy. Kazano mu odejść, gdyż nie był już potrzebny. Lampa oświetlała pokój, ogień rzucał wielki, jasny blask.

— Nigdy tak nie wyschnie, tylko się przeziębi — rzekła Nana widząc, że Jerzym wstrząsają dreszcze.

Niestety, nie było w domu żadnych męskich spodni! Miała już zamiar zawołać ogrodnika, gdy nagle wpadła na świetny pomysł. Właśnie Zoè, która rozpakowywała walizki w buduarze, przyniosła pani bieliznę do zmiany: koszulę, halki, peniuar.

— Ależ cudownie! — krzyknęła młoda kobieta. — Luluś może to wszystko wdziać. Co? Chyba się mnie nie brzydzisz... Jak twoje rzeczy wyschną, włożysz je z powrotem i wrócisz czym prędzej, żeby cię mama nie złajała... Spiesz się, ja też się przebiorę w buduarze. — Gdy po dziesięciu minutach zjawiła się w szlafroczku, klasnęła w ręce z zachwytu. — Ach, jaki rozkoszny! Jaka z niego przyjemna kobietka!

Wdział po prostu długą nocną koszulę z koronkowymi wstawkami, haftowane majtki i peniuar, długi batystowy peniuar ozdobiony koronkami. Wyglądał w tym jak dziewczynka, z gołymi ramionami i mokrymi jeszcze, jasnymi włosami, które kręciły mu się na szyi.

— Patrzcie, on jest tak samo szczupły jak ja! — rzekła Nana obejmując go w talii. — Zoè, chodź zobaczyć, jak mu w tym ładnie... Co? Jakby na niego szyte. Tylko stanik jest za obszerny... Biedny Luluś nie ma w tym miejscu tyle ciała co ja.

— Oczywiście, trochę mi brakuje — szepnął Jerzy uśmiechając się. Wszyscy troje wpadli w wesoły nastrój. Nana zaczęła mu zapinać peniuar z góry na dół, żeby było przyzwoicie. Obracała go jak lalkę, przyklepywała, układała z tyłu fałdy l wypytywała, czy czuje się dobrze, czy jest mu ciepło. A on odpowiadał, że w niczym nie jest tak ciepło jak w damskiej koszuli. Gdyby mógł, zawsze by ją nosił. Otulał się nią, zachwycony tą delikatną bielizną, luźnym, pachnącym odzieniem, w którym wyczuwał trochę ciepła Nany.

Tymczasem Zoè zabrała mokre rzeczy do kuchni, by je wysuszyć przy ogniu z gałązek winorośli. Jerzy, wyciągnięty w fotelu, ośmielił się wyznać:

— Czy ty dziś wieczorem nic nie będziesz jadła? Ja po prostu umieram z głodu. Nie jadłem obiadu.

Nana rozgniewała się. A to dopiero głuptas! Tak uciec od mamy i na głodno wpakować się do dziury z wodą! Lecz ona także była głodna jak wilk. Naturalnie, trzeba coś zjeść, cokolwiek się znajdzie! Na stoliczku przysuniętym do ognia zaimprowizowano przezabawny obiad. Zoè pobiegła do ogrodnika, który ugotował kapuśniak, na wypadek gdyby pani nie jadła obiadu po drodze w Orleanie. W swoim liście pani zapomniała zaznaczyć, co przygotować. Na szczęście, piwnica była dobrze zaopatrzona. Mieli więc na obiad kapuśniak z kawałkiem słoniny; przeszukując jakąś torbę Nana znalazła jeszcze mnóstwo rzeczy, zapasy, które przezornie zapakowała: pasztet sztrasburski, torebkę cukierków, pomarańcze. Jedli oboje żarłocznie, z młodzieńczym apetytem dwudziestolatków, zachowując się po koleżeńsku, bez żadnego skrępowania. Nana mówiła do Jerzego: „Moja droga”; tak wydawało się jej bardziej czule i poufale. Nie chcieli już przeszkadzać Zoè, więc jedząc na zmianę jedną łyżeczką wypróżnili na deser słoik konfitur znaleziony na szafie.

— Ach! Moja droga — rzekła Nana odpychając stolik — od dziesięciu lat nie jadłam tak dobrego obiadu!

Lecz pora była już spóźniona, chciała więc odprawić chłopca w obawie, żeby nie naraził się na przykrości. Ale on powtarzał, że ma jeszcze czas. Zresztą jego rzeczy wysychały powoli. Zoè twierdziła, że trzeba na to jeszcze co najmniej godziny. A ponieważ, zmęczona podróżą, spała już na stojąco, kazali jej się położyć. Zostali więc sami w domu pogrążonym w ciszy.

Wieczór miał wiele uroku. Ogień przygasał tląc się żarem. Było trochę duszno w tym wielkim, błękitnym pokoju, gdzie Zoè przygotowała łóżko, zanim poszła na górę. Nana, rozpalona, wstała, by na chwilę otworzyć okno, i krzyknęła:

— Boże mój! Jakie to piękne... Popatrz, kochanie.

Jerzy podszedł i pod pretekstem, że parapet wydał mu się za krótki, chwycił Nanę w talii i oparł głowę na jej ramieniu. Pogoda nagle się zmieniła. Niebo rozjaśniało się, księżyc w pełni spowijał pola złotym blaskiem. W wszechwładnej ciszy otwierał się z dolinki widok na bezkresną równinę, gdzie na nieruchomym jeziorze jasności drzewa tworzyły cieniste wysepki. Nana była wzruszona i czuła się małym dzieckiem. Rzeczywiście marzyła o takich nocach w pewnym okresie swego życia, którego już sobie nie przypominała. To, co widziała od chwili wyjścia z wagonu: rozległa wieś, mocno pachnące trawy, dom, warzywa, wszystko to wstrząsnęło nią do tego stopnia, że odnosiła wrażenie, jakby opuściła Paryż już dwadzieścia lat temu. Przeżywała rzeczy, jakich dotychczas nie znała. A Jerzy całował ją pieszczotliwie w szyję, co jeszcze potęgowało jej niepokój. Chwiejną ręką odpychała go jak dziecko, którego czułość jest męcząca, i powtarzała, że powinien już sobie pójść. On nie oponował i mówił, że zaraz, zaraz pójdzie.

Jakiś ptak zaśpiewał i umilkł. Był to rudzik w krzaku bzu pod oknem.

— Poczekaj — szepnął Jerzy. — On boi się lampy, zgaszę ją. — A gdy wrócił i znowu chwycił ją wpół, powiedział: — Za chwilę zapalimy lampę.

Słuchając rudzika Nana snuła wspomnienia, a chłopiec tulił się do niej. Tak, wszystko to znała z pieśni miłosnych. Kiedyś byłaby serce oddała za to, żeby mieć taki księżyc, śpiewające rudziki i zakochanego w niej chłopca. Boże! Była bliska płaczu, tak bardzo to wszystko wydawało się jej dobre i miłe! Ale musi być rozsądna. Odpychała Jerzego, który coraz bardziej się ośmielał.

— Nie, daj spokój, nie chcę... W twoim wieku to byłoby niełądnie... Słuchaj, będę dla ciebie jak mama.

Ogarniał ją wstyd; spąsowiała, nikt jednak tego nie widział, bo pokój był pogrążony w ciemnościach. Na polach panowała zupełna cisza i spokój. Nigdy przedtem Nana nie odczuwała takiego wstydu. Ale pomimo skrępowania i oporów stawała się coraz bardziej bezwolna. Jeszcze się śmiała z jego przebrania, z kobiecej koszuli i peniuaru, jakby jakaś przyjaciółka pobudzała ją do śmiechu.

— Och! To źle, to źle — bełkotała zdobywając się na ostatni wysiłek. Lecz pod wrażeniem urzekającej nocy z dziewiczym oddaniem padła w ramiona tego dziecka. Dom był pogrążony we śnie.

Nazajutrz w Fondette, gdy odezwał się dzwonek na śniadanie, jadalnia nie wydała się już zbyt wielka. Pierwszy powóz przywiózł Fauchery'ego i Dagueneta, a za nimi następnym pociągiem przyjechał hrabia de Vandeuvres. Jerzy zszedł na śniadanie ostatni, pobladły, z podkrążonymi oczami. Mówił, że po tym gwałtownym ataku czuje się już znacznie lepiej, ale jeszcze nieswojo. Pani Hugon z uśmiechem pełnym niepokoju patrzała mu w oczy i poprawiała jego włosy, niesforne tego ranka, a on odsuwał się jakby zażenowany jej pieszczotą. Przy stole serdecznie żartowała z Vandeuvres'a, mówiąc, że czekała na niego od pięciu lat.

— Więc nareszcie pan przyjechał... Jak to pan zrobił?

Vandeuvres wpadł w ton żartobliwy. Opowiadał, że poprzedniego dnia stracił w klubie szalone pieniądze. Wobec tego wyjechał z myślą, że wyląduje na prowincji.

— Dalibóg! Może znalazłaby mi pani gdzieś w okolicy jaką bogatą pannę... Tu na pewno są czarujące kobiety.

Stara dama dziękowała zarówno Daguenetowi, jak Fauchery'emu, że zechcieli przyjąć zaproszenie jej syna, gdy nagle zaskoczyła ją miła niespodzianka: wszedł markiz de Chouard, który przyjechał trzecim powozem.

— Ach tak! — krzyknęła. — To dziś u mnie ogólne spotkanie? Umówiliście się... Cóż to się dzieje? Wszak od lat nie mogłam was tu zgromadzić, a teraz nagle spadacie wszyscy od razu... Ale, broń Boże, to nie żaden wyrzut.

Dodano jeszcze jedno nakrycie. Fauchery siedział obok hrabiny Muffat, która zdumiewała go swym ożywieniem i wesołością. Pamiętał przecież, jak była bez życia w surowym salonie przy ulicy Miromesnil. Natomiast Daguenet, siedzący po lewej stronie Stelli, wydawał się nieswój w sąsiedztwie tej wysokiej, milczącej dziewczyny, której spiczaste łokcie raziły go. Muffat i Chouard zamienili z sobą dyskretne spojrzenia, a Vandeuvres dalej żartował na temat swego małżeństwa.

— A propos damy — powiedziała mu w końcu pani Hugon — mam nową sąsiadkę, którą pan chyba zna. I wymieniła imię Nany. Vandeuvres udał wielkie zdziwienie.

— Jak to! Posiadłość Nany jest tu w pobliżu?! Fauchery i Daguenet wydali także okrzyk zdziwienia.

Markiz de Chouard jadł pierś kury i udawał, że niczego nie rozumie. Żaden z tych mężczyzn się nie uśmiechnął.

— No tak — podjęła stara dama — a nawet, jak wspomniałam, ta osoba przybyła już wczoraj wieczorem do Mignotte. Dziś rano dowiedziałam się o tym od ogrodnika.

Tym razem panowie nie mogli ukryć prawdziwego zaskoczenia. Jakże to! Nana już przyjechała? Przecież spodziewali się jej przybycia dopiero nazajutrz i byli przekonani, że ją wyprzedzili! Tylko Jerzy siedział opuszczając rzęsy i patrzał na szklankę z wyrazem zmęczenia. Od początku śniadania jakby spał z otwartymi oczami i bladym uśmiechem na ustach.

— Czy ciągle jeszcze źle się czujesz, Lulusiu? — spytała matka, która nie spuszczała go z oczu.

Drgnął i rumieniąc się odpowiedział, że ma się już zupełnie dobrze, lecz wyglądał jak rozmarzona i ciągle jeszcze żądna wrażeń dziewczyna, która za wiele tańczyła.

— Cóż ty masz tam na szyi? — zapytała przerażona pani Hugon. — Taka czerwona plama.

Zmieszał się i bąknął coś niewyraźnie. Nic mu o tym nie wiadomo, niczego nie ma na szyi. I podciągając kołnierz koszuli rzekł:

— Ach tak! To jakiś zwierzak mnie ugryzł.

Markiz de Chouard spojrzał z ukosa na małe zaczerwienienie. Muffat także zmierzył Jerzego wzrokiem. Kończono śniadanie i układano plan wycieczki. Fauchery był coraz bardziej podniecony śmiechem hrabiny. Gdy podawał jej talerz z owocami, zetknęły się ich ręce.

Przez sekundę patrzała na niego tak ponuro, że znowu pomyślał o owym wyznaniu po pijanemu. Zresztą nie była to już ta sama kobieta, miała teraz w sobie coś drażniącego; suknia z szarego fularu, miękko opadająca z ramion, dodawała naturalnej swobody jej subtelnej i nerwowej elegancji.

Gdy wstano od stołu, Daguenet pozostał w tyle z Fauchery'm, by swobodnie kpić ze Stelli, tej „ładnej miotły do wetknięcia w ramiona mężczyzny". Lecz spoważniał, kiedy dziennikarz wymienił cyfrę jej posagu:

czterysta tysięcy franków.

— A mama? — spytał Fauchery. — Fajna?! Co?

— Och, na tę wszyscy by lecieli!... Ale, niestety, mój drogi, nie ma na nią sposobu!

— Ba! Czy to można wiedzieć!... Trzeba by spróbować.

Tego dnia towarzystwo nie wychodziło z domu, gdyż deszcz lał jeszcze strumieniami. Jerzy zniknął i zamknął się w swym pokoju na dwa spusty. Panowie unikali między sobą wszelkich wyjaśnień, choć dobrze wiedzieli, co ich tu sprowadziło. Vandeuvres, dość już spłukany niefortunną grą w karty, miał istotnie zamiar osiąść na wsi; liczył też na to, że sąsiedztwo przyjaciółki nie pozwoli mu się zbytnio nudzić. Fauchery, korzystając z urlopu, który mu dała Róża, w owym okresie bardzo zajęta, zamierzał poświęcić Nanie drugi artykuł, gdyby wieś wpłynęła na zacieśnienie ich wzajemnego stosunku. Daguenet, który boczył się na nią od czasu, gdy zaczęła się łajdaczyć ze Steinerem, myślał, że tu nadarzy się okazja, by wznowić czułe stosunki. Markiz de Chouard także czatował na odpowiednią porę. Lecz spośród tych mężczyzn tropiących Wenus, niezupełnie jeszcze obmytą z teatralnej szminki, Muffat był najbardziej rozpłomieniony, najbardziej dręczony pożądaniem, obawą i gniewem, które kotłowały się w jego wzburzonym sercu. Otrzymał formalną obietnicę, że Nana będzie na niego czekała. Dlaczego więc wybrała się o dwa dni wcześniej? Postanowił tego jeszcze dnia po obiedzie udać się do Mignotte.

Wieczorem, gdy hrabia wychodził z parku, Jerzy pobiegł za nim. Zostawił go na drodze do Gumières, a sam przeszedł przez la Choue i wpadł do Nany zadyszany, wściekły, z oczami pełnymi łez. Ach! Teraz już wie: ten stary, który był już w drodze, szedł na spotkanie z nią. Nana, zdumiona tą sceną zazdrości i przejęta tym, że sprawy wzięły taki obrót, chwyciła go w ramiona i zaczęła pocieszać, jak mogła. Ależ on się myli, ona nie oczekuje nikogo. Jeśli ten pan przyjdzie, nie jej w tym wina. Luluś jest wielkim głuptasem, bo niepotrzebnie psuje sobie krew! Przysięgała na głowę swego dziecka, że kocha tylko Jerzyka. Całowała go i ocierała mu łzy.

— Słuchaj, zobaczysz, że wszystko zrobię dla ciebie — mówiła dalej. — Steiner przyjechał i jest na górze. Wiesz przecież, kochanie, że jego nie mogę wyrzucić za drzwi.

— Tak, wiem, o nim nie mówię — szepnął mały.

— No więc ulokowałam go tam, w ostatnim pokoju, mówiąc mu, że jestem chora. Rozpakowuje walizkę... Ponieważ nikt cię nie widział, idź, ukryj się szybko w moim pokoju i czekaj na mnie.

Jerzy rzucił się jej na szyję. Więc naprawdę kocha go trochę! I będzie tak jak wczoraj? Zgaszą lampę i do rana zostaną w ciemnościach. Na odgłos dzwonka zwiał szybko. Na górze w pokoju zdjął natychmiast trzewiki, żeby nie robić hałasu. Potem przycupnął na podłodze za zasłoną i grzecznie czekał.

Nana przyjęła hrabiego Muffat jeszcze wzburzona i trochę zażenowana.

Owszem, obiecała mu, chciałaby nawet dotrzymać słowa, bo robił wrażenie człowieka poważnego. Ale czyż naprawdę mogła się spodziewać wczorajszych wydarzeń? Wszystko to było niezwykłe: podróż, dom, którego przedtem nie znała, i ten chłopiec, który przyszedł cały zmoczony. Jakże czuła się z tym dobrze i chciała, żeby tak dalej trwało! Tym gorzej dla tego pana! Od trzech miesięcy kazała mu wyczekiwać udając przyzwoitą kobietę, żeby go bardziej

rozpalić. No trudno! Jeszcze musi poczekać, a jeśli mu się to nie podoba, niech sobie idzie. Ona raczej wszystko rzuci, a nie zdradzi Jerzego.

Hrabia siedział z ceremonialną miną wiejskiego sąsiada składającego wizytę. Tylko ręce mu drżały. W jego krewkiej, a przy tym dziewiczej naturze żądza podniecana umiejętną taktyką Nany gotowała na dłuższą metę straszliwe spustoszenia. Ten poważny mężczyzna, szambelan, przemierzający godnym krokiem salony tuileryjskie, w nocy gryzł w rozdrażnieniu poduszkę i szlochał, przywołując ciągle ten sam zmysłowy obraz. Ale teraz był zdecydowany z tym skończyć. Idąc drogą marzył w ciszy zmierzchu o brutalnych scenach. I od razu, po pierwszych słowach, chciał objąć Nanę rękami.

— Nie, nie, tylko bez rąk — rzekła po prostu, nie gniewając się, a nawet z uśmiechem.

Złapał ją zacisnąwszy zęby, a ponieważ się wyrywała, stał się grubiański i bez ogródek powiedział, ze przyszedł się z nią przespać. Nana, ciągle uśmiechnięta, choć zakłopotana, trzymała go za ręce. Mówiła do niego „ty", by mu osłodzić odmowę.

— Ależ, kochanie, zachowuj się spokojnie... Naprawdę nie mogę... Steiner jest na górze.

Lecz hrabia szalał. Nigdy nie widziała mężczyzny w podobnym stanie. Była przerażona. Położyła mu palce na ustach, by zagłuszyć jego krzyki, i zniżając głos błagała, żeby zamilkł i dał jej spokój, bo Steiner już schodzi z góry. Co za głupia historia! Gdy Steiner wszedł, usłyszał, jak Nana, wyciągnięta swobodnie w fotelu, mówiła:

— Ja uwielbiam wieś... — Odwróciła głowę i przerywając sobie rzekła: — Kochanie, to hrabia Muffat. Podczas przechadzki zauważył światło, więc wstąpił, by nas powitać.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Muffat, z twarzą pogrążoną w cieniu, przez chwilę nic nie mówił, a Steiner wydawał się ponury. Rozmawiano o Paryżu. Interesy nie szły dobrze, na giełdzie działy się ohydne rzeczy. Po kwadransie Muffat odszedł. A gdy młoda kobieta odprowadzała go do wyjścia, poprosił bezskutecznie o spotkanie następnej nocy. Steiner prawie natychmiast poszedł na górę położyć się, gderząc na wieczne choróbki dziewek. Nareszcie spławiła obu starych! Gdy, oswobodzona, weszła do swego pokoju, zastała Jerzego siedzącego grzeczniutko za zasłoną. W pokoju było zupełnie ciemno. Przewrócił ją na podłogę i zaczęli razem dokazywać. Tarzali się, potem znowu odpoczywali i tłumili śmiechy pocałunkami, gdy bosą nogą uderzyli w jakiś mebel. A tam, drogą do Gumieres, hrabia Muffat wracał powoli z kapeluszem w ręku, zanurzając swą rozpaloną głowę w chłodzie i ciszy nocnej.

W ciągu następnych dni życie było pełne uroku. W ramionach chłopca Nanie zdawało się, że ma piętnaście lat. Wśród tych dziecinnych pieszczot, mimo obrzydzenia i nawyku do mężczyzn, rozkwitał w niej na nowo kwiat miłości. Rumieniła się nagle, drżała ze wzruszenia, miała chęć śmiać się i płakać, budziła się w niej dziewiczość pełna niepokoju i pożądań, których się wstydziła. Nigdy przedtem tego nie doznawała. Wieś rozczulała ją. Jako mała dziewczynka pragnęła żyć pasąc kozę na łące, bo pewnego dnia na skarpie fortyfikacji widziała przywiązaną do palika beczącą kozę. Teraz ta posiadłość, cała ta ziemia przejmowała ją ogromnym wzruszeniem, bo jej ambicje zostały ponad miarę zaspokojone. Przeżywała wszystko z wrażliwością młodej dziewczyny. A wieczorem, gdy upojona dniem spędzonym na świeżym powietrzu, odurzona zapachem liści szła na górę do swego ukrytego za zasłoną Lulusia, zdawało się jej, że to wakacyjna przygoda pensjonarki zakochanej w kuzyneczku, którego ma poślubić; przygoda dziewczyny, która drżąc za lada szmerem w obawie, żeby rodzice nie usłyszeli, rozkoszuje się urokami i lękami pierwszego grzechu.

W owym okresie Nana miała fantazje sentymentalnej dziewczyny. Godzinami wpatrywała się w księżyc. Pewnej nocy zachciało się jej zejść z Jerzym do ogrodu, gdy cały dom był uśpiony. Przechadzali się pod drzewami, objęci wpół, i kładli się w trawie zwilżonej rosą. Innym znów razem, w pokoju, po chwili milczenia zaczynała łkać w objęciach małego, bełkocząc, że boi się umrzeć. Często śpiewała półgłosem piosenkę pani Lerat, pełną kwiatów i ptaków, wzruszając się do łez, a po chwili przerywając ją, by namiętnie uścisnąć Jerzego i żądać od niego przysiąg wieczystej

miłości. Ale potem sama przyznawała, że jest głupia, gdy wpadali znowu w nastrój koleżeński, palili papierosy siedząc boso na brzegu łóżka i uderzając piętami w podłogę.

Lecz dopiero gdy przyjechał Ludwiś, serce młodej kobiety poczuło się w pełni szczęśliwe. Uczucia macierzyńskie wezbrały w niej gwałtownie jak atak szału. Zabierała swego synka na słońce, żeby patrzeć na jego igraszki. Ubrawszy go jak książątko, tarzała się z nim po trawie. Chciała, żeby spał przy niej, w sąsiednim pokoju, gdzie pani Lerat odurzona wsią chrapała, ledwie się położyła. A Ludwiś nie przeszkadzał w niczym Lulusiowi, wręcz przeciwnie. Mówiła, że ma dwoje dzieci, nawet ich nie odróżniała w przypływie czułości. W ciągu nocy po dziesięć razy zostawiała Lulusia, by zobaczyć, czy Ludwiś prawidłowo oddycha. Lecz potem obdarzała Lulusia resztą swych macierzyńskich pieszczot, grając rolę matki. Rozpustny chłopak, który lubił czuć się maleństwem w ramionach tej rosłej dziewczyny, dawał się kołysać jak usypiane niemowlę. Było im tak dobrze, że Nana, oczarowana tym życiem, poważnie mu zaproponowała, by już na zawsze zostali na wsi. Odprawiliby wszystkich i żyli sami ─ on, ona i dziecko. Do świtu robili tysiąc projektów, nie słysząc, jak pani Lerat mocno chrapie, zmęczona zrywaniem polnych kwiatów.

To piękne życie trwało przeszło tydzień. Hrabia Muffat przychodził co wieczór, a potem wracał z nabrzmiałą twarzą i rozpalonymi rękami. Pewnego wieczoru nie został nawet przyjęty. Steiner musiał pojechać do Paryża i powiedziano, że pani jest cierpiąca. Nana z każdym dniem bardziej buntowała się na myśl, że miałaby zdradzić Jerzego, niewinnego chłopca, który ślepo w nią wierzy! Czułaby się jak ostatnia z ostatnich. A zresztą to by ją napawało wstrętem. Zoè, milcząca, pełna pogardy, była świadkiem całej tej historii i myślała, że pani ma bzika.

Raptem szóstego dnia najazd gości przerwał tę idyllę. Nana zaprosiła mnóstwo osób sądząc, że nikt nie przyjedzie. Dlatego też osłupiała i skrzywiła się bardzo, gdy pewnego popołudnia zobaczyła pełny omnibus zatrzymujący się przed bramą w Mignotte.

─ To my! ─ krzyknął Mignon, który wyszedł pierwszy z pojazdu, wyciągając swych synów, Henryka i Karola.

Następnie ukazał się Labordette, podając rękę damom, które defilowały bez końca. Wyskakiwały z powozu: Lucy Stewart, Karolina Hèquet, Tania Nene, Maria Blond. Nana spodziewała się, że to już koniec, gdy ze stopnia zeskoczył la Faloise, by przyjąć w swe drżące ramiona Gagę tudzież jej córkę Amelię. Razem jedenaście osób. Niełatwo było ich rozlokować. W Mignotte było pięć pokojów gościnnych, z których jeden zajęła już pani Lerat z Ludwisiem. Największy dostali Gaga i la Faloise, Amelia miała spać obok, w buduarze, na szezlongu. Mignon i jego dwaj synowie otrzymali trzeci pokój, czwarty ─ Labordette. Pozostał jeszcze jeden, który zamieniono na sypialnię z czterema łóżkami dla Lucy, Karoliny, Tani i Marii. Natomiast Steiner miał spać w salonie na kanapie. Po upływie godziny, gdy całe towarzystwo zostało już rozmieszczone, Nana, która z początku była wściekła, z zachwytem zaczęła grać rolę kasztelanowej. Damy wyrażały komplementy pod adresem Mignotte mówiąc, że to imponująca posiadłość! Zresztą przywiozły z sobą powiew Paryża, plotki z ostatniego tygodnia. Mówiły wszystkie naraz, śmiejąc się, poklepując i wykrzykując. Nana spytała, co też Bordenave powiedział na jej ucieczkę? Ano, nic takiego. Najpierw pyskował, że ją każe sprowadzić przez żandarmów, a potem po prostu znalazł dublerkę. I że ta Wiolena odniosła nawet ładny sukces jako jasnowłosa Wenus. Po tej wiadomości Nana spoważniała.

Była dopiero czwarta godzina. Zamierzano wybrać się na spacer.

─ Nawet nie wiecie, że w chwili gdy przyjechaliście, właśnie szłam kopać kartofle ─ rzekła Nana.

Wobec tego wszyscy chcieli iść kopać kartofle, wcale się nie przebierając. Urządzono całą wyprawę. Ogrodnik z dwiema pomocnicami był już daleko w polu, w głębi posiadłości. Damy klękały i grzebały w ziemi, nie zdejmując pierścionków, wydając okrzyki, skoro trafiły na bardzo duży kartofel. To im się wydawało takie zabawne! Lecz Tania Nene triumfowała. W

swej młodości tyle już nakopała kartofli, że zapomniała się i udzielała innym rad, wymyślając im od głupców. Mężczyźni pracowali bardziej ślamazarnie. Mignon z poczciwą miną korzystał z pobytu na wsi dla uzupełnienia edukacji swych synów: mówił im o Parmentierze[1].

Wieczorem obiad był wesoły do szaleństwa. Wszyscy się objadali. Nana, rozwydrzona, pokłóciła się z *maitre d'hótel,* kelnerem, który służył dawniej w Orleanie u biskupa. Przy kawie damy paliły papierosy. Odgłosy dzikiej hulanki rozbrzmiewały z okien i zamierały daleko w ciszy wieczoru, podczas gdy chłopi, wracający spóźnioną porą, gapili się na rozjarzony dom.

— Ach! To okropne, że wyjeżdżacie pojutrze — rzekła Nana. — No, ale zawsze będzie można coś urządzić.

Postanowiono, że nazajutrz, w niedzielę, całe towarzystwo pojedzie zwiedzić ruiny dawnego opactwa Chamont, odległe o siedem kilometrów. Po śniadaniu pięć powozów przybędzie z Orleanu, zabierze ich, a około siódmej wieczorem wrócą na obiad do Mignotte. To będzie czarujące.

Jak zwykle, i tego wieczoru hrabia Muffat wszedł na wzgórze, by zadzwonić u bramy. Lecz zdziwiły go rozjarzone okna i głośne śmiechy. Rozpoznając głos Mignona, wszystko zrozumiał i oddalił się, wściekły na tę nową przeszkodę, doprowadzony do ostateczności, zdecydowany już na jakiś gwałtowny krok. A Jerzy, wsunąwszy się bramką, od której miał klucz, wszedł spokojnie do pokoju Nany, przemykając się wzdłuż murów. Musiał tylko długo na nią czekać. Przyszła wreszcie po północy, mocno podchmielona, lecz jeszcze bardziej macierzyńska niż podczas innych nocy. Gdy się upijała, stawała się tak czuła, że aż natarczywa. Chciała, żeby Jerzy koniecznie jej towarzyszył do opactwa Chamont. On się opierał w obawie, że go ktoś zobaczy. Gdyby go zauważono z nią w powozie, byłby okropny skandal. Ale gdy zalała się łzami, rozpaczając głośno, że jest nieszczęsną ofiarą, pocieszał ją i formalnie obiecał, że weźmie udział w wycieczce.

— Więc mnie kochasz — wyjąkała. — Powtórz, że mnie kochasz... Powiedz, kociaczku, czy bardzo byś się zmartwił, gdybym umarła?

W Fondettes pojawienie się Nany w sąsiedztwie wywołało wstrząs w całym domu. Codziennie rano podczas śniadania poczciwa pani Hugon mimo woli zaczynała mówić o tej kobiecie powtarzając to, co jej donosił ogrodnik. Myślała o niej z obsesją, jaką często loretki budzą u najbardziej dostojnych pań ze sfer mieszczańskich. Przy całej swej tolerancyjności była wzburzona i rozdrażniona, mając niewyraźne przeczucie nieszczęścia, które ją przerażało wieczorem, jakby doszła do niej wieść, że w okolicy grasuje zwierz zbiegły z menażerii. Dlatego szukała zwady ze swymi gośćmi, posądzając ich, że wałęsają się dokoła Mignotte. Ktoś widział, jak hrabia de Vandeuvres zabawiał się na szosie z jakąś damą bez kapelusza. Hrabia bronił się mówiąc, że to wcale nie Nana z nim rozmawiała, tylko Lucy, która opowiadała mu, jak ostatnio wyrzuciła za drzwi swego księcia. Markiz de Chouard także wychodził codziennie mówiąc, że lekarz zaleca mu spacery. Dla Dagueneta i Fauchery'ego pani Hugon była niesprawiedliwa. Zwłaszcza Daguenet wcale nie opuszczał Fondettes, rezygnując z projektu nawiązania na nowo stosunków z Naną, a zabiegając gorliwie i z szacunkiem o względy Stelli. Fauchery także przebywał ciągle w towarzystwie pań Muffat. Raz tylko spotkał na ścieżce Mignona, który trzymając w ramionach pęk kwiatów odbywał z synami lekcję botaniki. Zamienili uścisk dłoni przekazując sobie wiadomości o Róży, która świetnie się czuła. Każdy z nich otrzymał od niej tego dnia rano list, w którym prosiła, żeby jeszcze przez jakiś czas korzystali ze świeżego powietrza.

Spośród wszystkich swoich gości starsza pani oszczędziła wymówek tylko hrabiemu Muffat i Jerzemu. Hrabia, który — jak się wydawało — miał do załatwienia ważne sprawy w Orleanie, nie mógł uganiać się za tą łajdaczką. A jeśli chodzi o Jerzego, to biedne dziecko niepokoiło ją

[1] Paramentier Antoni August (1737-1813) – francuski agronom i ekonomista, który rozpowszechnił we Francji uprawę ziemniaków.

poważnie, gdyż codziennie wieczorem miewał straszne ataki migreny, które zmuszały go kłaść się do łóżka już za dnia.

Tymczasem Fauchery stał się fatygantem hrabiny Muffat ─ hrabia zawsze po południu był nieobecny. Idąc za nią na koniec parku, niósł jej składane krzesełko i parasolkę. Bawił ją zresztą swym dziwacznym umysłem dziennikarzyny i zachęcał do poufałości, jakiej sprzyja wieś. Wyglądało na to, że Sabina odda mu się natychmiast, jakby się w niej rozbudziła nowa młodość w towarzystwie tego chłopca, którego głośne żarty nie mogły jej chyba skompromitować. Niekiedy ich spojrzenia spotykały się, gdy przez sekundę znaleźli się sami w gąszczu. Przestawali się śmiać i nagle poważnieli, zasępieni, jakby się nawzajem przeniknęli i zrozumieli.

W piątek trzeba było dodać jeszcze jedno nakrycie do śniadania. Właśnie przybył pan Teofil Venot. Pani Hugon przypomniała sobie, że zaprosiła go ubiegłej zimy u Muffatów. Nieco pochylony do przodu, udawał dobroduszność skromnego człowieka, jakby nie zauważał okazywanych mu uprzedzających względów. Gdy udało mu się odwrócić od siebie uwagę, chrupiąc na deser kawałeczki cukru, przyglądał się Daguenetowi, który podawał Stelli truskawki, a potem wysłuchał Fauchery'ego, którego anegdota bardzo ubawiła hrabinę. Skoro tylko na niego patrzano, uśmiechał się spokojnie. Odchodząc od stołu wziął hrabiego pod ramię i poszedł z nim do parku. Wiedziano, że miał na hrabiego duży wpływ od czasu śmierci jego matki. Krążyły niezwykłe historie na temat roli, jaką odgrywał w tym domu były adwokat Fauchery, którego niewątpliwie krępowało przybycie tego pana, wyjaśniał Jerzemu i Daguenetowi źródła jego majątku. Mówił o wielkim procesie, w którym Venot występował kiedyś z ramienia jezuitów. Jego zdaniem, ten poczciwina z łagodną i dobroduszną miną to straszny człowiek, zamieszany teraz we wszystkie matactwa klechów. Dwaj młodzi ludzie zaczęli żartować, gdyż uważali, że staruszek ma wygląd idioty. Myśl o Venocie nieznanym, o Venocie gigantycznym, działającym na rzecz duchowieństwa, wydawała im się komicznym urojeniem. Lecz umilkli, gdy zjawił się hrabia Muffat ─ ciągle pod rękę z poczciwcem ─ bardzo blady i z oczami zaczerwienionymi, jakby płakał. ─ Na pewno rozmawiają o piekle ─ szepnął drwiąco Fauchery.

Hrabina, która to słyszała, odwróciła powoli głowę; ich oczy się spotkały wymieniając jedno z tych długich spojrzeń, którymi ostrożnie się badali, zanim się na coś odważyli.

Zwykle po śniadaniu towarzystwo udawało się na taras, skąd roztaczał się widok na całą równinę. To niedzielne popołudnie było rozkosznie ciepłe. Około dziesiątej rano obawiano się deszczu. Lecz chociaż niebo się nie rozchmurzyło, pokryło się jakby mleczną mgłą i jasnym pyłkiem prześwietlonym słonecznymi promieniami. Wobec czego pani Hugon zaproponowała, by zejść z tarasu i przejść się w stronę Gumieres aż do la Choue. Lubiła piesze spacery i była jeszcze bardzo żwawa pomimo swych sześćdziesięciu lat. Zresztą wszyscy się zaklinali, że nie potrzeba powozu. Tak więc towarzystwo w rozsypce doszło do drewnianego mostu przerzuconego przez rzekę. Fauchery i Daguenet z paniami Muffat szli przodem. Potem pani Hugon w towarzystwie hrabiego i markiza. A Vandeuvres, z miną poprawną i bardzo znudzoną, szedł na końcu paląc cygaro. Pan Venot zwalniając lub przyśpieszając kroku z uśmieszkiem chodził od jednej grupy do drugiej, jakby chciał wszystko słyszeć.

─ A biedny Jerzy jest w Orleanie! ─ powtarzała pani Hugon. ─ Chciał zasięgnąć porady w sprawie swych migren u starego doktora Tavemier, który już nie wychodzi z domu... Wyjechał przed godziną siódmą, zanim jeszcze wstaliście. Przynajmniej się trochę rozerwie. ─ Lecz nagle przerwała i powiedziała: ─ Patrzcie! po co oni zatrzymują się na moście?

Istotnie, panie, Daguenet i Fauchery stali nieruchomo u wejścia na most, wahając się, jakby ich zaniepokoiła jakaś przeszkoda. Lecz droga była wolna.

─ Idźcie dalej! ─ krzyknął hrabia.

Nie poruszyli się patrząc na coś, co się zbliżało i czego tamci nie mogli jeszcze widzieć. Droga zakręcała obsadzona gęstą ścianą topoli. Tymczasem wzmagała się głucha wrzawa,

słychać było turkot kół zmieszany ze śmiechem i trzaskaniem z bicza. Raptem ukazało się kolejno pięć powozów; były tak natłoczone, że mogły im popękać osie, i wyglądały wesoło, rozjaśnione jaskrawymi niebieskimi i różowymi toaletami.

— Cóż to takiego? — spytała pani Hugon zaskoczona. Wnet jednak wyczuła, a raczej domyśliła się wszystkiego, oburzona podobnym najazdem na jej drogę. — Och! Ta kobieta! — szepnęła. z Ruszcie się prędzej, żeby nie wyglądało...

Ale było już za późno. Pięć powozów, które wiozły Nanę i jej towarzystwo do ruin Chamont, wjechało na drewniany mostek. Fauchery, Daguenet i panie Muffat musieli się cofnąć, podczas gdy pani Hugon i inni także się zatrzymali, rozstawieni wzdłuż drogi. Był to wspaniały orszak. Śmiechy w powozach ustały. Twarze odwracały się z zaciekawieniem. Oglądano się wzajemnie pośród ciszy przerywanej tylko miarowym kłusem koni. W pierwszym powozie Maria Blond i Tania Nene, rozparte jak księżne, ze spódnicami wydętymi aż ponad koła, rzucały pogardliwe spojrzenia na te poczciwe kobiety, które szły pieszo. Dalej Gaga wypełniała całe siedzenie, zasłaniając sobą la Faloise'a, któremu widać było tylko niespokojny nos. Potem jechali Karolina Hèquet z Labordette'em, Lucy Stewart z Mignonem i jego synami. Na końcu w Wiktorii jechała w towarzystwie Steinera Nana, a przed nią, na składanym siedzeniu, biedaczek Luluś przytulając kolana do jej kolan.

— To już ostatni powóz, prawda? — spytała spokojnie Fauchery'ego hrabina udając, że wcale nie poznaje Nany.

Koło Wiktorii prawie ją musnęło, ale ona nie cofnęła się o krok. Obie kobiety wymieniły głębokie spojrzenie, jedno z owych wnikliwych spojrzeń, przelotnych, ale decydujących. Mężczyźni natomiast zachowywali się bez zarzutu. Fauchery i Daguenet, opanowani, po prostu nie raczyli nikogo poznać. Zalękniony markiz, obawiając się figla ze strony tych damulek, zerwał źdźbło trawy i obracał je w palcach. Tylko Vandeuvres, zostawszy nieco na uboczu, przywitał mrugnięciem Lucy, która uśmiechała się przejeżdżając.

— Niech się pan ma na baczności — szepnął pan Venot stojąc za hrabią Muffat.

Hrabia, wstrząśnięty, śledził oczami obraz Nany ulatujący przed nim. Jego żona odwróciła się z wolna i przyglądała mu się uważnie. Spuścił więc oczy, jakby chcąc umknąć przed cwałującymi końmi, które unosiły jego ciało i serce. Miał chęć krzyknąć z bólu, gdyż zrozumiał wszystko zobaczywszy Jerzego tonącego w spódnicach Nany. Przecież to jeszcze dziecko! Był złamany tym, że wolała od niego dziecko! Steiner się nie liczył, ale ten dzieciak! Tymczasem pani Hugon w pierwszej chwili nie poznała Jerzego. Kiedy przejeżdżali przez most, chłopak byłby skoczył do rzeki, lecz zatrzymały go kolana Nany. Zdrętwiały i biały jak płótno, siedział bardzo sztywno. Na nikogo nie patrzał. Może go nikt nie zobaczy.

— Ach! Boże mój! — rzekła nagle stara dama. — To przecież Jerzy jedzie z nią!

Powozy przejechały wśród ogólnego zakłopotania — ludzie ci znali się co prawda, ale nie wymieniali z sobą ukłonów. Zdawało się, że wieczność całą trwa to drażliwe i przelotne spotkanie. Teraz już koła o wiele raźniej unosiły przez płową wieś pojazdy pełne dziewek, smaganych podmuchami świeżego powietrza. Powiewały brzegi sukien, wybuchały znowu śmiechy wśród żartów i spojrzeń rzucanych wstecz na tych ludzi z towarzystwa, którzy stali wzburzeni na skraju drogi. Odwróciwszy się Nana mogła zobaczyć, jak spacerowicze zawahali się, a potem zawrócili przed mostem. Pani Hugon, wsparta na ramieniu hrabiego Muffat, milczała i była tak smutna, że nikt nie miał odwagi jej pocieszać.

— Co ty na to, moja droga? — krzyknęła Nana do Lucy, która wychyliła się z sąsiedniego powozu. — Czy widziałaś Fauchery'ego? Jak wstrętnie się zachował! Zapłaci mi za to... A Paweł, dla którego byłam taka dobra! Nawet nie skinął ręką... To dopiero maniery!

Zrobiła okropną scenę Steinerowi, który uważał, że zachowanie się tych panów było zupełnie poprawne. Więc one nie zasługują nawet na uchylenie kapelusza? Pierwszy lepszy cham może je znieważać? Dziękuję pięknie, Steiner to także dobre ziółko, ładnie się dobrali. Kobiecie zawsze trzeba się ukłonić.

— Kto to jest, ta wysoka? — krzyknęła Lucy z całych sił, bo turkot kół zagłuszał jej słowa.

— Hrabina Muffat — odpowiedział Steiner.

— Co ty mówisz?! Nie przypuszczałam — rzekła Nana. — Wiesz, mój drogi, niech sobie będzie hrabiną, ale nie wygląda na nic szczególnego... Mówię wam, ja mam dobre oko. Już ja znam tę waszą hrabinę jak zły grosz... Czy chcecie się założyć, że ona sypia z tą żmiją Faucherym?... Powiadam wam, że z nim sypia! Kobieta kobietę dobrze wyczuje.

Steiner wzruszył ramionami. Od wczoraj był w coraz gorszym humorze. Otrzymał listy, które zmuszały go do wyjazdu nazajutrz rano. A poza tym to wcale nie było zabawne przyjechać na wieś i spać na kanapie w salonie.

— Biedny Bobo! — powiedziała Nana, nagle rozczulona, zauważywszy, że Jerzy jest blady i siedzi sztywno, ledwie dysząc.

— Czy sądzisz, że mama mnie poznała? — wyjąkał wreszcie.

— Och! Na pewno. Przecież krzyknęła... No tak, to moja wina. On nie chciał z nami jechać, a ja go zmusiłam... Słuchaj, Lulusiu, czy chcesz, żebym napisała do twojej mamy? Ona wygląda na zacną osobę. Powiem jej, że nigdy dotychczas cię nie widziałam i że Steiner przyprowadził cię dziś po raz pierwszy.

— Nie, nie, nie pisz — rzekł Jerzy bardzo niespokojny. — Sam to załatwię... A zresztą, jeżeli mi będą dokuczać, więcej do domu nie wrócę.

Był jednak zamyślony zastanawiając się, jak ma kłamać wieczorem. Pięć powozów toczyło się po równinie drogą ciągnącą się bez końca, prostą, obsadzoną pięknymi drzewami. Wieś tonęła w szarosrebrnych barwach. Damy wykrzykiwały do siebie zdania z jednego powozu do drugiego za plecami stangretów, którzy śmiali się z tego zabawnego towarzystwa. Chwilami któraś z nich stawała, żeby lepiej widzieć i wsparta na ramionach sąsiada trwała w tej pozycji, dopóki powóz nie podskoczył i nie rzucił jej z powrotem na siedzenie. Tymczasem Karolina Hèquet prowadziła ożywioną rozmowę z Labordette'em. Oboje zgodnie twierdzili, że Nana sprzeda wieś, zanim miną trzy miesiące. Karolina zobowiązała Labordette'a, że ją odkupi w jej imieniu za parę groszy. Przed nimi, bardzo zakochany la Faloise, nie mogąc dosięgnąć apoplektycznego karku Gagi, całował ją w plecy przez suknię, której materiał pękał od napięcia. Amelia zaś, siedząc na brzegu ławeczki, prosiła, żeby dali spokój, i podrażniona wymachiwała rękami, nie mogąc patrzeć, jak ktoś całuje jej matkę. W innym znów powozie Mignon, chcąc zadziwić Lucy, kazał swym synom recytować bajkę La Fontaine'a. Szczególnie Henryk był nadzwyczajny, gdyż recytował jednym tchem, bez zająknienia. Lecz Maria Blond w pierwszym powozie nudziła się, znużona już naigrawaniem się z tej głupiej Tani Nene, której opowiadała, że w paryskich mleczarniach fabrykują jaja z kleju i szafranu. Mówiła, że to okropnie daleko, czyż nigdy nie dojadą do celu? Przekazane z powozu do powozu pytanie dotarło do Nany, która wypytawszy woźnicę wstała i krzyknęła:

— Jeszcze kwadransik... Widzicie, to tam, gdzie jest kościół, za drzewami... — Po czym dodała: — Na pewno o tym nie wiecie, ale podobno właścicielka zamku Chamont pochodzi jeszcze z czasów Napoleona... Och! To wielka ladacznica, jak mi powiedział Józef, który wie o tym od lokajów biskupa. Takich ladacznic już dziś wcale nie ma. Teraz stała się bigotką.

— Jak ona się nazywa? — spytała Lucy.

— Pani d'Anglars.

— Irma d'Anglars, toć ja ją znałam! — krzyknęła Gaga. Wzdłuż powozów przebiegały okrzyki tłumione żywszym teraz kłusem koni. Wyciągano głowy, by dojrzeć Gagę. Maria Blond i Tania Nene odwróciły się i uklękły na siedzeniu z dłońmi wspartymi o opuszczoną budę powozu. Krzyżowały się pytania szpikowane złośliwymi uwagami, które łagodził niemy podziw. Gaga ją znała. Słuchały jej z szacunkiem dla tej odległej przeszłości.

— Oczywiście byłam wówczas młoda — powiedziała Gaga. — Ale mimo to doskonale przypominam sobie, widywałam ją na ulicy... Mówiono, że w domu jest wstrętna. Ale w swoim ekwipażu była bardzo elegancka! Miewała zdumiewające przygody, robiła różne świństwa i

paskudne sztuczki, że skonać można... Wcale się nie dziwię, że ma zamek. Potrafiła ograbić mężczyznę do ostatniego grosza... Ach! Więc Irma d'Anglars jeszcze żyje! Ależ, moje kociaczki, ona musi mieć teraz już blisko dziewięćdziesiątki. Damulki nagle spoważniały. Dziewięćdziesiąt lat! Lucy krzyknęła, że żadna z nich nie zwariowała, żeby tak długo żyć. Wszystkie one to już gruchoty. Zresztą Nana oświadczyła, że nie chciałaby dożyć starości. O wiele zabawniej umrzeć młodo. Zbliżano się już do celu. Rozmowę przerywało trzaskanie z biczów, którymi woźnice popędzali konie. Lecz pomimo tego hałasu Lucy dalej paplała, przeskakując na inny temat, ponaglając Nanę, żeby wyjechała nazajutrz z całą paczką. Wystawa miała zostać niedługo zamknięta, więc loretki musiały wracać do Paryża, gdzie sezon przeszedł ich oczekiwania. Lecz Nana upierała się: ma wstręt do Paryża i noga jej tak prędko tam nie postanie.

— Zostaniemy, prawda kochanie? — rzekła ściskając kolana Jerzego i nie przejmując się Steinerem.

Nagle powozy zatrzymały się. Towarzystwo, zaskoczone, wysiadło w jakimś pustkowiu u stóp pagórka. Jeden z woźniców pokazał im końcem bata ruiny dawnego opactwa Chamont, zagubione wśród drzew. Towarzystwo było rozczarowane. Damy stwierdziły, że to idiotyczne: parę kupek gruzów pokrytych krzewami jeżyn i pół rozwalonej wieży. Rzeczywiście nie warto było po to jechać dwie mile. Woźnica wskazał im zamek, którego park rozpoczynał się przy opactwie. Poradził im, żeby zboczyły na wąską ścieżkę i przeszły się wzdłuż murów. Tymczasem powozy poczekają na placu we wsi. To jest urocza przechadzka. Towarzystwo zgodziło się.

— Do licha! Irma dobrze tu sobie żyje! — rzekła Gaga zatrzymując się przed bramą narożną parku.

Wszyscy w milczeniu patrzeli na potężny gąszcz, który zasłaniał bramę. Potem poszli ścieżką wzdłuż muru otaczającego park, podnosząc wzrok, by podziwiać drzewa, których wysokie gałęzie tworzyły gęste sklepienie zieleni. Po trzech minutach znaleźli się przed nową bramą. Ukazywała ona duży trawnik, na którym dwa odwieczne dęby rzucały wielkie cienie. A po dalszych trzech minutach zobaczyli jeszcze jedną bramę. Tu widać było wielką aleję, jakby ciemny korytarz; w drugim jej końcu słońce jaśniało żywą plamą jak gwiazda. Z początku milczeli, a potem raz po raz wydawali okrzyk zdumienia. Najpierw z lekka podrwiwali nie bez odcienia zawiści. Ale w gruncie rzeczy byli przejęci. Jaka siła była w tej Irmie! Ta posiadłość dawała pojęcie, co to za kobieta! Drzewa ciągnęły się dalej i bez przerwy powtarzały się zwoje bluszczu pnącego się po murach, dachy pawilonów wystające zza ogrodzenia, ściany topoli, które pojawiały się na przemian z wiązami i osikami. Czy to się nigdy nie skończy? Damy wolałyby zobaczyć dom mieszkalny, zmęczone już tym kręceniem się w kółko i oglądaniem ciągle tylko gęstego listowia. Oburącz chwytały pręty, przywierając twarzą do żelaza. Ogarniało je uczucie szacunku, gdy tak z odległości marzyły o ujrzeniu niewidzialnego zamku, ukrytego w tym bezmiarze zieleni. Nieprzywykłe do chodzenia poczuły niebawem zmęczenie. A mur się nie kończył. Na każdym zakręcie opustoszałej drogi wydłużała się ciągle ta sama linia szarych kamieni. Niektóre z dam zwątpiwszy, czy kiedykolwiek dotrą do celu, zamierzały wrócić. Lecz im bardziej męczyła je droga, tym większego nabierały szacunku, coraz bardziej przejęte królewskim dostojeństwem tej posiadłości.

— Głupia historia! — rzekła Karolina Hèquet zaciskając zęby. Nana wzruszeniem ramion nakazała jej milczenie. Blada i bardzo poważna, już od chwili nic nie mówiła. Nagle, na ostatnim zakręcie, gdy już otwarł się widok na wiejski plac, mur się urwał i w głębi dziedzińca ukazał się zamek. Wszyscy przystanęli zachwyceni wyniosłą rozległością szerokich krużganków, dwudziestu okien frontowych, rozmachem kompozycji trzech skrzydeł, w których cegły były obramowane kamiennymi obwódkami. W tym historycznym zamku mieszkał kiedyś Henryk IV; zachował się tu jeszcze jego pokój z wielkim łożem obitym aksamitem genueńskim. Nana, oszołomiona do utraty tchu, westchnęła jak dziecko i szepnęła do siebie cichutko:

— Do diaska!

Lecz miały przeżyć jeszcze jedno silne wzruszenie. Gaga nagle powiedziała, że to ona, Irma we własnej osobie, stoi tam przed kościołem. Tak, to na pewno ona. Szelma, pomimo podeszłego wieku trzyma się ciągle jeszcze prosto i ma takie same oczy jak w okresie swych największych sukcesów. Właśnie ludzie wychodzili z nieszporów. Irma chwilę stała w przedsionku, wysoka, w skromnej sukni jedwabnej koloru zeschłego liścia, z czcigodną twarzą starej markizy, która ocalała wśród okropności rewolucji. W prawej ręce trzymała dużą książkę do nabożeństwa, która błyszczała w słońcu. Wolnym krokiem przeszła przez plac, a za nią, w odległości piętnastu kroków, lokaj w liberii. Kościół opróżniał się, wszyscy mieszkańcy Chamont składali jej głębokie ukłony. Jakiś starzec pocałował ją w rękę, jakaś kobieta chciała przed nią klęknąć. Była to potężna królowa obdarowana hojnie latami i zaszczytami. Wstąpiła na stopnie i zniknęła.

— Patrzcie, do czego się dochodzi przez porządne życie — rzekł Mignon z przekonaniem, patrząc na swych synów, jakby chciał ich pouczać.

Teraz dopiero każdy miał coś do powiedzenia. Labordette stwierdził, że Irma jest cudownie zakonserwowana. Maria Blond rzuciła jakieś sprośne słowo, co rozgniewało Lucy, która oświadczyła, że starość należy szanować. W końcu wszystkie zgodnie uznały, że to jest osoba niezwykła. Wrócili do powozów. W drodze z Chamont do Mignotte Nana milczała. Dwa razy odwracała się, żeby rzucić spojrzenie na zamek. Kołysana turkotem kół nie czuła już obok siebie obecności Steinera, nie widziała nawet przed sobą Jerzego. W zmierzchu majaczyła jej przed oczami wizja starszej pani w majestacie potężnej królowej, hojnie obdarowanej latami i zaszczytami.

Wieczorem Jerzy wrócił na obiad do Fondettes. Nana, coraz bardziej roztargniona i nieswoja, posłała go, żeby przeprosił mamę.

— To się należy — rzekła surowo w przypływie nagłego poszanowania dla rodziny. Kazała mu nawet przysięgać, że nie przyjdzie już do niej tej nocy. Mówiła, że jest zmęczona, a on, okazując posłuszeństwo, spełni tylko swój obowiązek. Jerzy, znudzony tymi morałami, stanął przed matką z ciężkim sercem i z opuszczoną głową. Na szczęście, przyjechał właśnie jego brat Filip, wesoły i dziarski wojak. To zapobiegło scenie, której się obawiał. Pani Hugon ograniczyła się do spojrzenia na Jerzego oczami pełnymi łez, podczas gdy Filip, poinformowany o wszystkim, groził, że go wytarga za uszy, jeżeli wróci do tej kobiety. Jerzy z lżejszym już sercem skrycie obmyślał, jak nazajutrz wymknie się około godziny drugiej, żeby umówić się na spotkanie z Naną.

Tymczasem podczas obiadu zdawało się, że goście pani Hugo są zażenowani. Vandeuvres zapowiedział swój wyjazd. Chciał zabrać do Paryża Lucy, uważając, że będzie dla niego zabawne zdobywanie szturmem tej dziewki, którą widywał od lat dziesięciu nie pożądając jej wcale. Markiz de Chouard, z nosem utkwionym w talerzu, myślał o córeczce Gagi. Przypominał sobie, jak Lili wskakiwała mu na kolana. Jak te dzieci rosną! Ta mała robiła się tłuściutka. Lecz hrabia Muffat z zaczerwienioną twarzą był milczący, zamyślony. Rzucił na Jerzego długie spojrzenie. Odszedłszy od stołu zamknął się w pokoju mówiąc, że ma trochę gorączki. Za nim pośpieszył pan Venot. Na górze rozegrała się dramatyczna scena. Hrabia rzucił się na łóżko i szlochał nerwowo, przyciskając twarz do poduszki, a pan Venot tonem łagodnym nazywał go swoim bratem i radził mu, żeby się modlił o miłosierdzie boskie. Hrabia go nie słyszał, tylko rzęził. Nagle zeskoczył z łóżka i wyjąkał: — Idę do niej... Już dłużej nie mogę.

Gdy wychodzili, dwa cienie zanurzały się w ciemnej alei. Co wieczór Fauchery i hrabina zostawiali teraz Dagueneta, żeby pomagał Stelli w zaparzaniu herbaty. Na gościńcu hrabia szedł tak szybko, że jego towarzysz musiał biec, by za nim nadążyć. Zadyszany Venot ciągle wyszukiwał najlepsze argumenty przeciwko pokusom cielesnym. Lecz hrabia nie otwierał ust, pędząc w ciemnościach. Przybywszy do Mignotte rzekł po prostu:

— Już dłużej nie mogę... Niech pan sobie idzie.

— Niech się więc dzieje wola boska — szepnął pan Venot. — Korzysta ona z wszelkich dróg, by zatriumfować... Pański grzech posłuży jej jako jeszcze jedna broń.

W Mignotte sprzeczano się podczas posiłku. Nana dostała list od Bordenave'a, który radził jej odpoczywać, dając do zrozumienia, że przestała go interesować. Wiolena jest co wieczór dwukrotnie wywoływana. A ponieważ Mignon jeszcze ją ponaglał, żeby nazajutrz pojechała z nimi, Nana, rozdrażniona, oświadczyła, iż nie potrzebuje niczyich rad. Zresztą przy stole siedziała napuszona aż do śmieszności. Gdy pani Lerat powiedziała coś pieprznego, Nana krzyknęła, że, dalibóg! nikogo, nawet swej ciotki, nie upoważniła do mówienia świństw w jej obecności. Potem w przystępie niedorzecznej uczciwości zanudzała wszystkich swymi szlachetnymi intencjami, mówiąc o religijnym wychowaniu Ludwisia i snując plany dobrego prowadzenia się. A gdy towarzystwo się śmiało, wypowiadała głębokie myśli i potrząsała głową jak pewna swej racji mieszczka, mówiąc, że tylko porządne życie prowadzi do majątku i że ona nie chce umierać na barłogu. Damy, rozdrażnione, krzyczały: czy to możliwe, żeby Nana tak się zmieniła! Lecz ona, znieruchomiała, znowu pogrążyła się w marzeniu, błędnym wzrokiem wyczarowując wizję bardzo bogatej Nany, której się wszyscy kłaniają.

Udawano się już na spoczynek, gdy zjawił się Muffat. Labordette zauważył go w ogrodzie. W mig zrozumiał sytuację; zrobił mu tę przysługę, że oddalił Steinera i poprowadził go za rękę długim, ciemnym korytarzem do pokoju Nany. Labordette umiał załatwiać tego rodzaju sprawy nad wyraz wytwornie, zręcznie, wyraźnie zachwycony, że ludzi uszczęśliwia. Nana nie była wcale zaskoczona; nudziło ją tylko to, że Muffat tak za nią szaleje. Musi jednak poważnie traktować życie, prawda? Miłość to głupia rzecz, która nie prowadzi do niczego. Poza tym dręczyły ją skrupuły z powodu młodego wieku Lulusia. Doprawdy, to nie było uczciwe z jej strony. Ale za to teraz wchodzi na dobrą drogę biorąc starego kochanka.

— Zoè — rzekła do pokojówki zachwyconej projektem opuszczenia wsi. — Jutro, skoro tylko wstaniesz, spakuj walizki. Wracamy do Paryża.

I położyła się do łóżka z Muffatem, choć nie sprawiło jej to żadnej przyjemności.

VII

W trzy miesiące później pewnego wieczoru grudniowego hrabia Muffat przechadzał się w pasażu Panoram. Wieczór był bardzo ciepły. Tłum przechodniów schronił się do pasażu przed ulewą, powstał więc tłok, posuwano się wolno, z trudem, w ciasnym przejściu pomiędzy sklepami. Od wystaw, białych od refleksów, jaskrawe oświetlenie rzucało potok jasności. Jarzyły się białe klosze, czerwone latarnie, niebieskie transparenty, rampy gazowe, zegary i olbrzymie wachlarze, których kontury były zarysowane światłem. Za czystymi szybami w ostrym blasku reflektorów rzucała się w oczy pstrokacizna wystaw, złoto jubilerów, kryształy cukierników, jasne jedwabie modystek. Wśród przeróżnych jaskrawo pomalowanych godeł olbrzymia purpurowa rękawiczka, obcięta i przyczepiona do żółtego rękawa, robiła wrażenie krwawiącej ręki.

Hrabia Muffat doszedł powoli do bulwaru. Spojrzał na jezdnię i wrócił drobnymi krokami, przemykając się obok sklepów. Wilgotne i rozgrzane powietrze wypełniało wąskie przejście świetlistą parą. Bez przerwy dudniły kroki na płytkach zmoczonych wodą spływającą bezszelestnie z parasoli. Spacerowicze trącali go ciągle łokciami, patrząc badawczo na jego twarz milczącą i bladą od gazowego światła. Chcąc uniknąć spojrzeń ciekawskich, hrabia stanął przed papeterią i zaczął ze skupioną uwagą oglądać wystawę przycisków w formie szklanych kul, w których migotały krajobrazy i kwiaty.

Niczego nie widział, myślał tylko o Nanie. Dlaczego znowu skłamała? Rano napisała, żeby się wieczorem do niej nie fatygował, pod pretekstem, że Ludwiś jest chory i że będzie musiała spędzić noc u swej ciotki. Lecz on coś podejrzewając udał się do jej domu i dowiedział się od konsjerżki, że pani właśnie wyszła do teatru. To go zdziwiło, gdyż Nana nie występowała w nowej sztuce. Dlaczego więc kłamała i co też mogła robić tego wieczoru w teatrze „Variétés”?

Potrącony przez jakiegoś przechodnią, hrabia, nie zdając sobie z tego sprawy, odszedł od przycisków i znalazł się przed witryną sklepu z cackami, gdzie zaczął ze skupieniem oglądać wystawę notesów i cygarniczek; wszystkie miały w kąciku tę samą niebieską jaskółkę. Z całą pewnością Nana się zmieniła. Z początku, po jego powrocie ze wsi, doprowadzała go do szału, gdy całowała go w faworyty i pieszcząc przymilnie jak kotka, przysięgała, że jest jej ukochanym pieskiem, jedynym chłopcem, którego uwielbia. Nie obawiał się już Jerzego, gdyż matka zatrzymała go w Fondettes. Pozostał jeszcze Steiner, którego zamierzał zastąpić, lecz nie miał odwagi prowokować wyjaśnień na jego temat. Wiedział, że bankier znowu znalazł się w jakichś niebywałych tarapatach pieniężnych, w obliczu grożących mu wielkich strat na giełdzie, że czepiał się akcjonariuszy żup solnych w Landes, usiłując wycisnąć z nich ostatnią ratę. Gdy spotykał Steinera u Nany, perswadowała mu, że nie chce wyrzucić go za drzwi jak psa, skoro tak wiele na nią wydał. Zresztą, od trzech miesięcy hrabia żył w takim oszołomieniu zmysłowym, że nic go nie obchodziło poza chęcią posiadania tej kobiety. Spóźnione przebudzenie zmysłów wyzwoliło zachłanną żarłoczność, która przytłumiła w nim próżność i zazdrość. Jedna tylko rzecz go frapowała, a mianowicie, że Nana stawała się dla niego mniej miła, że go nie całowała w brodę. To go niepokoiło. Jak mężczyzna nie znający kobiet zadawał sobie pytanie, co miała mu do zarzucenia, sądził bowiem, że zadowala wszystkie jej pragnienia. I ciągle wracał do porannego listu, do wymyślnego kłamstwa, dzięki któremu mogła spędzić wieczór w swoim teatrze. Pchnięty przez nową falę tłumu, przeszedł wzdłuż pasażu, stanął przed jakąś restauracją i łamał sobie głowę, wlepiwszy wzrok w oskubane skowronki i wielkiego łososia rozłożonego w witrynie.

W końcu jednak oderwał oczy od wystawy. Otrząsnął się z odrętwienia, podniósł wzrok i spostrzegł, że dochodzi dziewiąta. Nana niebawem wyjdzie, a on zażąda, żeby powiedziała

całą prawdę. Zaczął się przechadzać, rozpamiętując wieczory spędzane już w tym miejscu, kiedy przychodził po nią przed bramę teatru. Znał tu wszystkie sklepy, w powietrzu przesyconym gazem odnajdywał ich zapachy; były to ostre wonie rosyjskiej skóry, zapachy wanilii z sutereny czekoladnika, podmuchy piżmowych pachnideł, dochodzące przez otwarte drzwi z perfumerii. Nie śmiał już przystanąć przed bladymi twarzami sprzedawczyń, które patrzały na niego spokojnie jak na znajomą osobę. W pewnym momencie udał, że uważnie bada okrągłe okienka nad sklepami, jakby je po raz pierwszy zauważył w gęstwinie szyldów. Potem poszedł znowu aż do bulwaru, lecz zatrzymał się tam tylko przez minutę. Deszcz padał drobnym pyłkiem zraszając jego ręce i kojąc swym chłodem. Myślał teraz o żonie znajdującej się pod Macon, w zamku, gdzie jej przyjaciółka, pani de Chezelles, od jesieni ciężko niedomagała. Na jezdni powozy toczyły się jakby rzeką błota. Pomyślał, że w tak okropną pogodę na wsi musi być ohydnie. Lecz nagle zaniepokojony, wrócił do dusznego, rozgrzanego pasażu i wielkimi krokami przeciskał się przez tłum; przyszło mu bowiem na myśl, że gdyby Nana coś podejrzewała, mogłaby zwiać przez galerię Montmartre.

Od tej chwili hrabia czatował już przed samą bramą teatru. Nie lubił czekać w tym miejscu, gdyż obawiał się, że ktoś go może poznać. Na rogu galerii Varietes i galerii Św. Marka znajdował się ponury kąt z obskurnymi sklepami. Były tam magazyny zakurzonych mebli, sklep z obuwiem bez klienteli, senna, zadymiona czytelnia, której przysłonięte lampy drzemały wieczorem, rzucając zielone światło. Przychodzili tam tylko panowie dobrze ubrani i cierpliwi, którzy kręcili się wśród ludzi tarasujących wejście dla artystów, wśród pijanych maszynistów i obdartych statystek. Jedyny palnik gazowy w matowej kuli oświetlał drzwi przed teatrem. W pewnej chwili Muffat zamierzał spytać panią Bron o Nanę, ale bał się, że Nana, uprzedzona o jego obecności, mogłaby uciec przez bulwar. Poszedł więc dalej, zdecydowany czekać, aż go wyrzucą za drzwi, gdy będą zamykać bramę, jak to się już dwa razy zdarzyło. Myśl, że będzie musiał spać samotnie w domu rozdzierała mu serce. Za każdym razem, gdy dziewczyny bez kapeluszy i mężczyźni w brudnej bieliźnie wychodzili i oglądali go, wracał znowu przed czytelnię, gdzie pomiędzy dwoma afiszami przyklejonymi do szyby widział tę samą scenę: staruszek siedział sztywno sam przy olbrzymim stole w kręgu zielonego światła lampy i czytał zielony dziennik, trzymając go zielonymi rękami. Lecz na kilka minut przed dziesiątą jakiś pan, wysoki, piękny mężczyzna, blondyn, w obcisłych rękawiczkach, także zaczął promenować przed teatrem. Mijając się rzucali na siebie ukośne i nieufne spojrzenia. Hrabia dochodził aż do skrzyżowania dwóch galerii, gdzie była wysoka tafla lustrzana. Ogarnął go wstyd, pomieszany ze strachem, gdy zobaczył w lustrze swoją poważną minę i elegancki wygląd.

Wybiła godzina dziesiąta. Muffat pomyślał nagle, że przecież łatwo się przekonać, czy Nana jest w swojej garderobie. Wspiął się po trzech stopniach, przeszedł przez mały westybul pomalowany na żółto, a potem wśliznął się na podwórze przez drzwi zamknięte jedynie na zasuwkę. O tej porze wąskie i wilgotne jak studnia podwórze otulały ciemne opary, w których widać było smrodliwe wychodki, pompę, piecyk kuchenny i rośliny hodowane przez konsjerżkę. Jarzyły się dwie wystające ściany podziurawione oknami: na dole magazyn rekwizytów i posterunek strażaków, po lewej stronie administracja, a na prawo i w górze garderoby artystów. Oświetlone okna wyglądały w tej studni jak ziejące ogniem paszcze rozżarzonego pieca. Hrabia natychmiast zauważył, że szyby garderoby na pierwszym piętrze były oświetlone. Poczuł ulgę. Patrząc w górę zapominał się, brodził w tłustym błocie i wdychał obrzydliwy smród tego podwórka starej paryskiej kamienicy. Z pękniętej rynny kapały wielkie krople. Smuga światła gazowego z okna pani Bron rzucała żółty refleks na kawałek obrośniętego mchem bruku i dolną część muru wydrążonego wodą ze zlewu; był to kąt zagracony starymi wiadrami i potłuczonymi miskami glinianymi. W jakimś garnku zieleniła się wątła trzmielina. Nagle zgrzytnęło coś w zamku, więc hrabia uciekł.

Był przekonany, że teraz Nana zejdzie. Wrócił przed czytelnię. Staruszek otulony cieniem, w którym jaśniał tylko blask małej lampki, siedział nieruchomo, pochylając swój profil nad

dziennikiem. Hrabia znowu zaczął spacerować. Teraz zapuszczał się dalej, przechodził przez wielką galerię, szedł wzdłuż galerii Varietes aż do galerii Feydeau, zimnej, opustoszałej i pogrążonej w ponurych ciemnościach. Potem wracał, przechodził przed teatrem, zakręcał na rogu galerii Św. Marka i ośmielał się dojść aż do galerii Montmartre, gdzie interesowała go w sklepie spożywczym maszyna tnąca cukier. Lecz za trzecim razem, w obawie, żeby Nana nie uciekła mu za plecami, przestał już zważać na to, co ludzie o nim pomyślą. Razem z blondynem stanął przed samym teatrem; jednakowo upokorzeni spojrzeli na siebie po bratersku, choć z odrobiną nieufności na myśl o tym, że może są rywalami. Żaden z nich nie odważył się poskarżyć, gdy popychali ich maszyniści wychodzący w antrakcie zapalić fajkę. Na progu ukazały się trzy wysokie, niechlujne dziewczyny, odziane w brudne suknie. Chrupały jabłka i wypluwały ogryzki. Opuścili głowy czując się obryzgani ich bezczelnymi spojrzeniami i drastycznymi słowami, zbrukani przez te łajdaczki, które uważały, że to zabawne tak się na nich rzucać i popychać.

Właśnie Nana schodziła z trzech stopni. Skoro spostrzegła Muffata, zbladła.

— Ach! To pan — szepnęła.

Statystki, które sobie przedtem podkpiwały, przestraszyły się, gdy ją zobaczyły. Stanęły nieruchomo w szeregu, sztywne i poważne, jak służące przyłapane przez panią na gorącym uczynku. Wysoki blondyn oddalił się cichy i smutny.

— Niechże mi pan poda ramię — rzekła Nana zniecierpliwiona. Poszli powoli. Hrabia, który przygotował sobie pytania, nie wiedział teraz, od czego zacząć. Natomiast Nana zaczęła szybko opowiadać całą historię: o godzinie ósmej była jeszcze u ciotki. Potem widząc, że Ludwisiowi znacznie się polepszyło, postanowiła wstąpić na chwilę do teatru.

— Czy było tam coś ważnego?

— Tak, nowa sztuka — rzekła po chwili wahania. — Chciano usłyszeć moje zdanie.

Poznał, że kłamała. Lecz był bezsilny czując ciepło jej ramienia mocno opartego o jego ramię. Nie gniewał się ani nie był urażony, że musiał tak długo czekać. Gdy miał ją tak blisko, myślał jedynie o tym, żeby ją przy sobie zatrzymać. Jutro spróbuje dowiedzieć się, po co przyszła do swej garderoby. Nana, wahając się ciągle i przeżywając walkę wewnętrzną jak osoba, która usiłuje odzyskać równowagę i powziąć jakąś decyzję, przystanęła przed wystawą sklepu z wachlarzami, gdy skręcali na rogu galerii Varietes.

— Popatrz! — szepnęła — jaki ładny garnitur z masy perłowej i piór. — A potem obojętnym tonem powiedziała: — No więc idziesz ze mną do domu?

— Ależ oczywiście — rzekł zdumiony — skoro twoje dziecko ma się już lepiej.

Nana żałowała, że wymyśliła całą tę historię. Zaczęła więc mówić, że może w chorobie Ludwisia nastąpiło nowe przesilenie, i chciała wracać do dzielnicy Batignolles. Lecz ponieważ on ofiarował się, że także pójdzie, już przy tym nie obstawała. Przez chwilę pieniła się ze złości jak kobieta, która czuje się przyłapana, a musi udawać czułość. W końcu jednak pogodziła się z sytuacją i postanowiła zyskać na czasie. Byleby tylko pozbyła się hrabiego około północy, wszystko się ułoży zgodnie z jej życzeniem.

— No tak, dziś wieczorem jesteś słomianym wdowcem — szepnęła. — Twoja żona wraca dopiero jutro rano, prawda?

— Tak — odpowiedział Muffat trochę zażenowany, że Nana mówi tak poufale o hrabinie.

Lecz Nana nalegała pytając o godzinę przyjazdu pociągu i chcąc wiedzieć, czy Muffat pójdzie po żonę na dworzec. Zwolniła kroku, jakby ją bardzo zainteresowały sklepy.

— Popatrz! — rzekła, stanąwszy znowu przed sklepem jubilerskim — jaka zabawna bransoletka!

Uwielbiała pasaż Panoram. Ta pasja do błyskotek paryskich, do sztucznej biżuterii, do złoconego cynku i tektury udającej skórę pozostała jej z okresu dzieciństwa. Gdy przechodziła obok takich rzeczy, nie mogła oderwać się od wystaw, jak w czasach gdy jeszcze jako smarkula klepała biedę. Przystawała wtedy przed cukiernikiem słuchając, jak w sąsiednim sklepie

grają organki. Miała szczególne upodobanie do tanich i jaskrawych cacek; lubiła neseserki w kształcie orzechowej łupinki, małe pudełeczka do wykałaczek, miniaturowe kolumny Vendôme i obeliski, na których wieszano termometry. Lecz tego wieczoru zanadto była wzburzona i patrzała nie widząc. Gnębiło ją to, że nie czuła się wolna, więc buntowała się i koniecznie chciała zrobić jakieś głupstwo. Cóż ona ma z tego, że zdobywa eleganckich mężczyzn? Ostatnio zrujnowała księcia i Steinera na dziecinne kaprysy i sama nie wiedziała, na co rozeszły się pieniądze. Jej mieszkanie przy bulwarze Haussmanna nie było nawet całkowicie umeblowane. Jedynie salon, obity czerwonym jedwabiem, raził nadmiarem ozdób i przeładowaniem. Teraz jednak wierzyciele gnębili ją bardziej niż kiedyś, gdy nie miała ani grosza. Wszystko to ją zaskakiwało, ponieważ uważała się za wzór oszczędności. Od miesiąca ten złodziej Steiner z trudem zdobywał się na tysiąc franków, ale dopiero wtedy, gdy mu groziła, że jeżeli nie przyniesie pieniędzy, wyrzuci go za drzwi. Natomiast Muffat był po prostu idiotą. Nie wiedział, ile trzeba dawać, i nie mogła mu mieć za złe jego skąpstwa. Ach! Jak chętnie pozbyłaby się ich wszystkich, gdyby nie powtarzała sobie dwadzieścia razy dziennie zasad dobrego postępowania! Należało być rozsądną; Zoè mówiła o tym codziennie rano, a ona sama też ciągle wspominała z przejęciem imponujący, królewski obraz w Chamont. Dlatego ─ choć trzęsła się od hamowanego gniewu ─ potulnie trzymała hrabiego pod ramię, gdy szli od witryny do witryny i coraz rzadziej spotykali przechodniów. Na ulicy bruk już wysychał, zimny wiatr hulający po galerii wymiatał w górę ciepłe powietrze, kołysał kolorowe latarnie, rampy gazowe ─ olbrzymi wachlarz, jarzący się jak fajerwerk. W drzwiach restauracji kelner gasił lampy, a w pustych, oświetlonych sklepach sprzedawczynie zdawały się spać z otwartymi oczami.

─ Och! jakie to śliczne! ─ rzekła Nana przy ostatniej wystawie, cofając się o kilka kroków i podziwiając charcicę z biszkoptu, która stała z podniesioną łapą przed gniazdem ukrytym wśród róż.

W końcu wyszli z pasażu, ale Nana nie chciała jechać powozem.

Mówiła, że jest pogodnie, a zresztą nic ich nie pogania, będzie przyjemnie wrócić do domu pieszo. Gdy doszli do „Cafe Anglais", zachciało jej się ostryg i zaczęła opowiadać, że z powodu choroby Ludwisia od rana nic nie miała w ustach. Muffat nie śmiał jej odmówić. Dotychczas jeszcze się z nią nie afiszował, więc w restauracji poprosił o oddzielny gabinet, przemykając się szybko korytarzami. Szła za nim jak kobieta obeznana z tym lokalem. Już wchodzili do gabinetu, którego drzwi kelner trzymał otwarte, gdy z sąsiedniego salonu, gdzie słychać było burzę śmiechów i oklasków, wyszedł nagle jakiś mężczyzna. Był to Daguenet.

─ Patrzcie! Nana! ─ krzyknął.

Hrabia znikł szybko w gabinecie, którego drzwi pozostały uchylone. Ledwie jednak jego zaokrąglone plecy znikły, Daguenet mrugnął dodając kpiarskim tonem:

─ Do licha! Nieźle się urządzasz, bierzesz ich teraz z Tuilerii! Nana uśmiechnęła się i z palcem na ustach prosiła, żeby milczał. Widziała, że jest bardzo rozbawiony, była jednak uszczęśliwiona tym spotkaniem, bo miała dlań jeszcze odrobinę czułości, choć tak po świńsku nie raczył jej poznać, gdy znajdował się w towarzystwie dam.

─ Co u ciebie słychać? ─ spytała po przyjacielsku.

─ Chcę się ustatkować. Naprawdę, myślę o ożenku.

Z politowaniem wzruszyła ramionami. Lecz on żartując mówił, że to nie jest żadne życie zarabiać na giełdzie tylko na kwiaty dla dam, aby zachować przynajmniej pozory elegancji. Trzysta tysięcy franków wystarczyło mu na osiemnaście miesięcy. Chce być praktyczny, poślubić pannę z dużym posagiem i jak jego ojciec zostać wreszcie prefektem. Nana uśmiechała się niedowierzająco. Ruchem głowy wskazała salon.

─ Z kim tam jesteś?

— Och! Z całą paczką — rzekł zapominając w pijackim zamroczeniu o swoich projektach. — Wyobraź sobie, że Lea opowiada o swojej podróży do Egiptu. To bardzo zabawne! Jakaś przygoda w kąpieli...

I opowiedział tę przygodę, a Nana uprzejmie słuchała. Stali w korytarzu ciasno przy sobie. Pod niskim sufitem płonęły palniki gazowe, ściany były przesiąknięte zapachami kuchennymi. Chwilami, ponieważ wzmagał się zgiełk w salonie, musieli zbliżać do siebie twarze, żeby się słyszeć. Co dwadzieścia sekund przeszkadzał im kelner, gdy obładowany półmiskami przeciskał się w przejściu. Lecz oni, nie przerywając sobie, z całym spokojem przywierali do ścian, rozmawiając swobodnie wśród wrzawy gości i popychania służby.

— Popatrz! — szepnął młody człowiek wskazując na drzwi do gabinetu, gdzie zniknął Muffat.

Spojrzeli oboje. Drzwi lekko drżały, jakby poruszane podmuchem. W końcu zamknęły się powoli, bez najmniejszego hałasu. W milczeniu wymienili uśmiech. Hrabia, pozostawiony sobie, na pewno ma się tam z pyszna.

— A propos, czytałeś może artykuł Fauchery'ego o mnie? — spytała.

— Tak, pod tytułem *Złota mucha* — odrzekł Daguenet. — Nie mówiłem ci o tym w obawie, że ci zrobię przykrość.

— Przykrość, dlaczego? Jego artykuł jest bardzo długi. Pochlebiało jej, że zajmowano się nią w „Figaro". Gdyby jej nie objaśnił artykułu fryzjer Francis, który przyniósł gazetę, nie byłaby zrozumiała, że o nią chodzi. Daguenet obserwował ją spode łba, z drwiącą miną. Ostatecznie, skoro jest zadowolona, wszyscy powinni być także zadowoleni.

— Przepraszam! — krzyknął kelner, który ich rozdzielił, trzymając oburącz bombę z lodami. Nana zrobiła krok w kierunku gabinetu, gdzie czekał Muffat.

— No więc, do widzenia — powiedział Daguenet. — Idź do swego rogacza.

Nana przystanęła.

— Dlaczego nazywasz go rogaczem?

— Bo jest rogaczem, do diaska!

Wróciła i oparła się plecami o ścianę, zdradzając duże zainteresowanie.

— Ach tak! — rzekła po prostu.

— Jak to, nie wiedziałaś? Kochanie, jego żona sypia z Faucherym... To się zaczęło chyba już na wsi... Przed chwilą, gdy tu szedłem, rozstałem się z Faucherym i podejrzewam, że się umówił w swoim domu na dziś wieczorem. Myślę, że upozorowali to jakąś podróżą.

Nana oniemiała z przejęcia.

— Ja to sobie myślałam! — rzekła wreszcie, klepiąc się po udach. — Odgadłam to patrząc na nią wtedy na drodze... Słyszał kto, żeby uczciwa kobieta zdradzała swego męża, i w dodatku jeszcze z tym łajdakiem Faucherym! Ten ją nauczy ładnych rzeczy.

— Och! — szepnął złośliwie Daguenet — to przecież dla niej nie pierwszyzna. Ona zna się na tych rzeczach może tak samo jak on. Nana krzyknęła oburzona:

— Doprawdy!... Ładne towarzystwo! Co za brudy!

— Przepraszam! — krzyknął kelner obładowany butelkami, rozdzielając ich.

Daguenet uspokoił ją, trzymając jej rękę w swej dłoni. Mówił swym kryształowym, melodyjnym głosem, który decydował o jego sukcesach wśród tych dam.

— Do widzenia, najdroższa... Dobrze wiesz, że ciągle jeszcze cię kocham.

Ulotniła się. Wśród krzyków i braw, od których drżały drzwi salonu, powiedziała z uśmiechem:

— Szkoda, że między nami wszystko skończone... Ale nic nie szkodzi, wpadnij jeszcze któregoś dnia, to porozmawiamy. — Potem znowu bardzo spoważniała i rzekła tonem zbuntowanej mieszczki: — Ach! Rogacz... Wiesz co, mój drogi, to głupia sprawa. Rogacz zawsze był dla mnie czymś obrzydliwym.

Gdy wreszcie weszła do gabinetu, zastała Muffata siedzącego na wąskiej kanapce. Był zrezygnowany, blady i ruszał nerwowo rękami. Nie zrobił jej żadnej wymówki. Nana, do głębi poruszona, nie wiedziała, czy ma się litować, czy też nim gardzić. Biedny człowiek, zła żona tak okropnie go zdradza! Miała chęć rzucić mu się na szyję, by go pocieszyć. Ale dobrze mu tak, bo idiotycznie postępuje z kobietami. Teraz będzie miał nauczkę. W końcu jednak wzięła górę litość. Gdy zjadła ostrygi, nie rozstała się z nim, jak pierwotnie zamierzała. Posiedzieli w „Cafe Anglais" zaledwie kwadrans i razem wrócili na bulwar Haussmanna. Była godzina jedenasta. Pomyślała, że przed północą na pewno znajdzie sposób, by go delikatnie odprawić.

W przedpokoju przezornie dała Zoè polecenie:

— Czatuj na niego i powiedz mu, żeby nie robił hałasu, jeżeli ten będzie jeszcze u mnie.

— Ale gdzie mam go podziać, proszę pani?

— Zatrzymaj go w kuchni, to będzie pewniejsze.

Muffat zdejmował już w sypialni surdut. Palił się duży ogień. Była to ciągle jeszcze ta sama sypialnia z meblami palisandrowymi, z tapetami i fotelami pokrytymi wzorzystym adamaszkiem w wielkie niebieskie kwiaty na szarym tle. Już dwa razy Nana marzyła, żeby ją odnowić. Najpierw chciała cały pokój obić czarnym aksamitem, a potem znów białym jedwabiem w różowe kokardki. Ledwie jednak Steiner się zgadzał, wyciągała od niego pieniądze na ten cel, a potem je przejadała. Dogodziła tylko jednemu swemu kaprysowi: kupiła tygrysią skórę przed kominek i kryształową lampkę, zawieszoną u sufitu.

— Ja nie jestem śpiąca i nie położę się — powiedziała, zamknąwszy drzwi na zasuwę.

Hrabia był jej posłuszny z uległością mężczyzny, który już nie potrzebuje się obawiać, że go ktoś zobaczy. Troszczył się jedynie o to, by jej nie rozgniewać.

— Jak chcesz — szepnął.

Lecz zanim usiadł przed ogniem, zdjął jeszcze trzewiki. Do największych przyjemności Nany należało rozbieranie się przed szafą z lustrem, w którym widziała się od stóp do głów. Zrzucała wszystko, nawet koszulę. Potem zupełnie naga wpadała w zadumę i długo wpatrywała się w siebie. Roznamiętniata się własnym ciałem, upajała jedwabistością skóry i giętką linią talii. Zakochana w sobie, stawała się poważna i skupiona. Często fryzjer zastawał ją w takiej pozie, a ona nawet nie odwracała głowy. Muffat gniewał się z tego powodu, ale Nanę to dziwiło. Co on sobie myśli? Wszak ona robi to dla siebie, wyłącznie dla siebie.

Tego wieczoru, chcąc się lepiej widzieć, zapaliła świece w sześciu ściennych kandelabrach. Lecz gdy opuszczała koszulę, zatrzymała się, bo już od chwili była czymś zaabsorbowana i ciągle miała na ustach pytanie.

— Nie czytałeś artykułu w „Figaro"? Leży na stole. — Brzmiał jej jeszcze w uszach śmiech Dagueneta i opadły ją wątpliwości. Jeżeli Fauchery ją obsmarował, zemści się na nim. — Mówią, że tu chodzi o mnie — podjęła udając obojętność. — Co? Jak myślisz, kochanie?

Zrzuciła koszulę i czekała naga, zanim Muffat skończył lekturę. Muffat czytał powoli. W artykule zatytułowanym *Ztota mucha* Fauchery opowiadał historię młodej dziewczyny, która przyszła na świat w rodzinie pijackiej od czterech czy pięciu pokoleń, a zepsutą krew wzięła w spadku po rozpijaczonych i podupadłych przodkach, co objawiło się u niej w nerwowym zboczeniu seksualnym. Wychowywała się na przedmieściu, na bruku paryskim. Wysoka, piękna, o wspaniałym ciele, jak roślina wybujała na kupie gnoju, mści się za żebraków i nędzarzy, których jest tworem. Przez nią zepsucie, szerzące się wśród ludu, zaraża arystokrację. Ta kobieta jest żywiołową siłą, destrukcyjnym fermentem; swymi śnieżnymi udami bezwiednie deprawuje i rozprzęga Paryż. Na końcu artykułu znajdowało się porównanie z muchą, muchą koloru słońca, która ulatuje ze śmietnika i unosi zarazę z padliny leżącej przy drodze, a potem, brzęcząc, tańcząc i rzucając blaski olśniewające jak kosztowne kamienie, zatruwa jadem mężczyzn, ledwo ich musnąwszy, w pałacach, dokąd wlatuje oknem.

Muffat podniósł głowę i osłupiałym wzrokiem patrzał w ogień.

— No i co? — spytała Nana.

Lecz on nie odpowiedział. Zdawało się, że chce jeszcze raz przeczytać artykuł. Chłód spływał mu z czaszki na ramiona. Artykuł był napisany niechlujnie, pełen przeskoków myślowych, jaskrawych wyrażeń i dziwacznych zestawień. Mimo to wywarł na Muffacie silne wrażenie, poruszając w nim wszystko, czego od kilku miesięcy nie lubił dotykać.

Podniósł wzrok. Nana była zachwycona, pochłonięta sobą. Przegięła szyję, uważnie oglądając w lustrze małe brązowe znamię, które miała nad prawym biodrem. Dotykała go końcem palca, a gdy się wyprężała, uwypuklało się jeszcze bardziej. Widocznie uważała, że w tym miejscu wygląda bardzo pociesznie i ładnie. Potem, rozbawiona, badała inne części swego ciała, ogarnięta rozpustną, dziecinną ciekawością. Zawsze, gdy się sobie przyglądała, znajdowała coś zaskakującego. Miała minę zdumionej i oczarowanej dziewczyny, która odkrywa swą dojrzałość. Powoli rozwarła ramiona, by w pełni pokazać tors tłustej Wenus, wyginała się w talii, oglądając się uważnie z tyłu i z przodu, patrząc na profil piersi i na krągłą a smukłą linię ud. Wreszcie, z rozstawionymi kolanami, lubowała się kołysaniem ciała w prawo i w lewo, kręcąc talią nad lędźwiami i trzęsąc się przy tym jak egipska tancerka w tańcu brzucha.

Muffat nie odrywał od niej oczu. Budziła w nim przerażenie. Dziennik wypadł mu z ręki. W tym jednym momencie, kiedy trzeźwym spojrzeniem ogarniał sytuację, gardził sobą. To prawda. W ciągu trzech miesięcy zdeprawowała jego życie, czuł się już do szpiku kości zepsuty brudami, o których istnieniu przed tym nie wiedział. Teraz ulegał rozkładowi. W jednej chwili uświadomił sobie skutki zła: widział rozprzężenie spowodowane tym fermentem: on zatruty, rodzina rozbita, jedna komórka społeczeństwa wali się i rozpada. Nie mogąc odwrócić oczu patrzał na Nanę osłupiały i usiłował nabrać obrzydzenia do jej nagości.

Nana stała teraz bez ruchu. Zarzuciwszy jedno ramię na kark, oparta przechyloną głowę na splecionych rękach. Widział w skrócie jej na wpół przymknięte oczy, na wpół rozwarte usta i twarz rozjaśnioną miłosnym uśmiechem. A z tyłu jej rozluźniony, jasny kok opadał na plecy jak lwia grzywa. Gdy tak stała przegięta, z wyprężonymi biodrami, widać było wyraźnie jej pełne lędźwie, twarde piersi amazonki i mocne mięśnie pod jedwabistą skórą. Od łokcia do nogi rysowała się delikatna linia, ledwo falista u bioder i barków. Muffat śledził wzrokiem subtelny profil, wklęsłości jasnego ciała skąpanego w złotych blaskach, zaokrąglenia, na które płomienie świec rzucały jedwabiste refleksy. Myślał o swym dawnym lęku przed kobietą, o potworze z Pisma Świętego, lubieżnym jak bestia. Ciało Nany pokryte było, jak u rudych kobiet, delikatnym meszkiem, co nadawało jej skórze miękkość aksamitu. Ale w jej pośladkach i udach klaczy, w mięsistych, nabrzmiałych fałdach ocieniających podbrzusze było coś z bestii; ta złota bestia, nieświadoma jak żywioł, zatruwała świat swą wonią. Muffat ciągle patrzał, opętany do tego stopnia, że gdy zamknął oczy, żeby już więcej nie widzieć, zwierzę wynurzało się z ciemności powiększone, straszliwe, wyolbrzymione. Teraz już chyba na zawsze pozostanie w jego oczach i ciele.

Nana skuliła się, jakby przejęta nagle dreszczem czułości. Oczy jej zwilgotniały; kurczyła się w przypływie podniecenia zmysłowego. Rozplotła ręce, opuściła je i nerwowo ścisnęła piersi. Rozkoszując się własnym ciałem, pieszczotliwie ocierała policzki o ramiona. Jej żarłoczne usta tchnęły pożądaniem. Wysunęła wargi i w długim pocałunku przytknęła je do ciała, uśmiechając się do drugiej Nany, która także całowała siebie w lustrze.

Muffat westchnął głęboko. Drażniła go ta samotnie odczuwana przyjemność. Naraz jakby się w nim wicher zerwał. W porywie brutalności chwycił Nanę wpół i rzucił ją na dywan.

— Zostaw mnie — krzyknęła. — To boli! Choć miał świadomość swej porażki, choć wiedział, że Nana jest głupia, plugawa i kłamliwa, pożądał jej, nawet tak zatrutej.

— Och! Co za głupota! — rzekła z wściekłością, gdy pozwolił jej wstać. Uspokoiła się jednak sądząc, że teraz już chyba sobie pójdzie. Wdziawszy nocną koszulę przybraną koronką, usiadła przed ogniem na podłodze. Było to jej ulubione miejsce. Gdy zaczęła znowu wypytywać o artykuł Fauchery'ego, Muffat odpowiedział wykrętnie, chcąc uniknąć przykrej sceny. Zresztą Nana oświadczyła, że ma Fauchery'ego gdzieś. Potem na długo umilkła rozmyślając,

w jaki sposób odprawić hrabiego. Chciałaby to załatwić łagodnie, bo przecież dobra z niej dziewczyna i nie lubi sprawiać ludziom przykrości. Tym bardziej że ten jest rogaczem, co ją ostatecznie rozczuliło.

— No więc rzekła wreszcie — jutro rano oczekujesz swej żony?

Muffat, wyciągnięty swobodnie w fotelu, zdawał się drzemać. Na pytanie Nany skinął głową. Nana patrzyła na niego poważnie, mocno wysilając mózg. Siedziała na jednym pośladku, otulona zwiewnymi koronkami i trzymała oburącz jedną ze swych gołych nóg. Kręciła nią machinalnie.

— Czy ty już długo jesteś żonaty? — spytała.

— Dziewiętnaście lat — odrzekł hrabia.

— Ach tak!... A czy twoja żona jest miła? Jesteście dobrym małżeństwem? Hrabia milczał, a potem rzekł zażenowany:

— Przecież prosiłem cię, żebyś nigdy o tych rzeczach nie mówiła.

— Patrzcie! Dlaczegóż to? — krzyknęła zniecierpliwiona. — Na pewno nie zjem twojej żony przez to, że o niej mówię... Mój drogi, wszystkie kobiety są tyle samo warte... — Lecz zatrzymała się w obawie, że powie za wiele. Zrobiła tylko wyniosłą minę, bo uważała, że jest bardzo dobra. Chciała biedaczynę oszczędzić. Przyszło jej zresztą na myśl coś wesołego i uśmiechała się patrząc na niego badawczo. — Chyba jeszcze nie opowiadałam ci tej historii, którą o tobie rozpuszcza Fauchery... — podjęta znowu. — To dopiero żmija! Ja nie mam do niego osobistej urazy, bo jego artykuł jest zupełnie możliwy. Ale to jest jednak żmija. — Śmiejąc się coraz mocniej spuściła nogę trzymaną w dłoniach i przysunęła się do hrabiego, by oprzeć piersi o jego kolana. — Wyobraź sobie, on przysięga, że ty byłeś jeszcze niewinny, gdy poślubiłeś swoją żonę... Co? Rzeczywiście?... Czy to prawda?

Nalegała wzrokiem, chwyciła go za ramiona i potrząsała nim, by wydobyć wyznanie.

— Oczywiście — odrzekł w końcu poważnym tonem. Nana znowu osunęła się u jego stóp w ataku szalonego śmiechu, bełkocząc coś i poklepując go.

— Nie, to kapitalne! Doprawdy, jesteś niezrównany! Ależ, biedny mój kociaku, jaki ty musiałeś być głupi! Gdy mężczyzna nic nie wie, to jest zawsze bardzo zabawne! A to dobre! Warto było was widzieć!... No i jak wam poszło? Opowiedz trochę, och, tak cię proszę, opowiedz.

Zarzuciła go pytaniami żądając szczegółów. Śmiała się tak serdecznie, że w chwilach gwałtownych wybuchów po prostu skręcała się w opuszczonej i podkasanej koszuli, ukazując skórę pozłoconą od ognia, więc hrabia opowiedział jej w końcu o swej nocy poślubnej, nie odczuwając przy tym żadnego skrępowania. W rezultacie sam się bawił opisywaniem, jak „stracił cnotę", jak to się mówi w języku salonowym. Powodowany resztkami

wstydu starał się już tylko dobierać słowa. Nana, rozpędziwszy się, zaczęła wypytywać o hrabinę; jest wprawdzie cudownie zbudowana, ale, jak twierdzi mąż, bryła lodu.

— O tak — szepnął nikczemnie — nie masz powodu do zazdrości. Nana przestała się śmiać. Wróciła na swoje miejsce; odwrócona tyłem do ognia, splecionymi rękami podciągnęła kolana pod brodę i oświadczyła z powagą:

— Mój drogi, to niedobrze okazać się w pierwszą noc niezdarą.

— Dlaczego? — spytał hrabia zaskoczony.

— Bo tak — odrzekła powoli z miną mentorską. Wygłaszała wykład, potrząsała głową. W końcu raczyła wyrazić się jaśniej.

— Widzisz, ja wiem, jak to jest... Tak, mój mały, kobiety nie lubią głuptasów. Nic nie mówią, bo są wstydliwe, rozumiesz... Ale możesz być pewny, że bardzo długo o tym rozmyślają. I prędzej czy później potajemnie radzą sobie gdzie indziej... Tak to bywa, kotku.

Zdawało się, że hrabia nie rozumie. Więc wyłuszczyła dokładnie. Chciała to zrobić po macierzyńsku, dać mu z dobrego serca koleżeńską radę. Odkąd wiedziała, że jest rogaczem, krępował ją ten sekret, miała szaloną ochotę porozmawiać z nim na ten temat.

— Mój Boże! Mówię o rzeczach, które mnie nie dotyczą... Robię to tylko dlatego, że wszyscy powinni być szczęśliwi... Tak sobie rozmawiamy, prawda? No więc, będziesz mi szczerze odpowiadał. — Przerwała, żeby zmienić pozycję, bo ogień ją palił. — Gorąco tu, prawda? Plecy mam już spieczone... Poczekaj, przypiekę sobie trochę brzuch... To dobre na bóle! — Obróciwszy się frontem do ognia i siedząc z nogami wsuniętymi pod uda, spytała: — Powiedz, czy ty już nie sypiasz ze swoją żoną?

— Nie, przysięgam ci — rzekł Muffat obawiając się sceny zazdrości.

— I sądzisz, że ona rzeczywiście jest kawałem drewna? Odpowiedział twierdząco, opuszczając brodę.

— To dlatego mnie kochasz?... Odpowiedz! Nie będę się gniewała. Powtórzył ten sam znak.

— Ślicznie! — stwierdziła. — Domyślałam się. Ach! Biedaczyna!... Czy znasz moją ciotkę Lerat? Gdy przyjdzie, każ sobie opowiedzieć historię handlarza owocami, który mieszka naprzeciwko niej... Wyobraź sobie, że ten człowiek... Do diaska, jak ten ogień pali. Muszę się odwrócić. Teraz będę przypiekać lewy bok. — Gdy wystawiała biodro do ognia, przyszło jej na myśl coś zabawnego i zaczęła pleść głupstwa, szczęśliwa, że w blasku kominkowego żaru widzi siebie tak tłustą i różową. — No co? Wyglądam jak gęś... Ach tak, gęś na rożnie... Obracam się, obracam. Naprawdę, piekę się we własnym sosie.

Zaczęła się znowu serdecznie śmiać, gdy nagle usłyszała jakieś głosy i trzaskanie drzwiami. Muffat, zdumiony, zapytał ją spojrzeniem, co to znaczy. Nana, zaniepokojona, spoważniała. To pewno kot Zoè, przeklęty zwierzak, który wszystko tłucze. Ale było już pół godziny po północy. Co jej strzeliło do głowy, żeby trudzić się dla szczęścia tego rogacza? I to teraz, kiedy przyszedł inny. Trzeba go prędko odprawić.

— Co mówiłaś? — spytał hrabia czule, zachwycony, że Nana jest taka miła.

Lecz ona pragnąc go odprawić wpadła od razu w inny humor. Stała się brutalna i już nie przebierała w słowach.

— Ach tak, handlarz owoców i jego żona... Otóż, mój drogi, nigdy się z sobą nawet nie zetknęli!... Rozumiesz, ona była na to bardzo łasa, ale on, gapa, nie wiedział... Tak więc sądząc, że ma żonę z drzewa, chodził gdzie indziej i łajdaczył się z dziewkami, a tymczasem ona też sobie nieźle pozwalała z chłopakami zdatniejszymi niż mąż fujara... Jeżeli w małżeńswie brak zrozumienia, zawsze się tak kończy. Ja to dobrze wiem!

Muffat zbladł. Nareszcie zrozumiał aluzję i chciał jej zamknąć usta. Ale ona już się zagalopowała.

— Nie, daj mi spokój!... Gdybyście nie byli durniami, bylibyście dla swych żon równie mili jak dla nas. A gdyby wasze żony nie były gęsiami, umiałyby dla zatrzymania was przy sobie zadać sobie tyle trudu, ile my sobie zadajemy, żeby was zdobyć... Wszystko to są sposoby... Tak, mój mały, zapamiętaj sobie.

— Już ty nie mów o uczciwych kobietach — rzekł oschle. — Nie znasz ich przecież. Raptem Nana podniosła się na kolana.

— Ja ich nie znam!... Ależ te twoje uczciwe kobiety nie są takie niewinne! Nie, wcale nie są niewiniątkami! Mogę ci wśród nich znaleźć taką, która śmie się pokazywać tak jak ja teraz... Naprawdę, śmieszysz mnie z tymi swoimi uczciwymi kobietami! Nie doprowadzaj mnie do ostateczności i nie zmuszaj, żebym ci mówiła rzeczy, których bym później żałowała.

W odpowiedzi hrabia stłumił przekleństwo. Z kolei Nana zbladła. Przez parę sekund milcząco na niego patrzała, a potem rzekła dobitnie:

— Co byś zrobił, gdyby cię żona zdradzała?

Pogroził jej gestem.

— No, a gdybym ja cię zdradzała?

— Och! Ty — szepnął wzruszając ramionami.

Doprawdy, Nana nie była złą dziewczyną. Od pierwszych słów opierała się chęci rzucenia mu w twarz prawdy, że jest rogaczem. Byłaby wolała spokojnie wysłuchać jego zwierzeń. Ale już za bardzo ją drażnił, więc musiała z tym skończyć.

— Mój chłopcze — rzekła — nie wiem, po co tu u mnie sterczysz... Zanudzasz mnie od dwóch godzin... Idźże poszukać swej żony, która się łajdaczy z Faucherym. Tak, powiem ci dokładnie: ulica Taitbout, na rogu ulicy Provence... Jak widzisz, daję ci nawet adres.

A gdy Muffat wstawał, chwiejąc się jak uderzony obuchem, powiedziała z triumfem:

— Tego jeszcze potrzeba, żeby uczciwe kobiety trudniły się tymi rzeczami i zabierały nam kochanków!... Rzeczywiście, uczciwe kobiety pięknie się zachowują!

Ale nie zdążyła więcej powiedzieć, bo hrabia z impetem, wściekły, rzucił ją jak długą o ziemię. I podnosząc nogę chciał jej zmiażdżyć głowę, żeby ją zmusić do milczenia. Przez chwilę zdjął ją straszny lęk. Muffat, oślepiony i jakby oszalały, zaczął biegać po pokoju. Jego milczenie, walka, którą w sobie toczył, wzruszyły Nanę do łez. Zrobiło jej się go nieludzko żal. Skręcając się w kłębek przed ogniem, żeby przypiec prawy bok, zaczęła go pocieszać.

— Przysięgam ci, kochanie, sądziłam, że o tym wiedziałeś. Inaczej oczywiście nie byłabym ci mówiła... A może to nieprawda. Nie mogę twierdzić na pewno. Tak mi tylko powiedziano i ludzie o tym gadają. Lecz czego to dowodzi?... Naprawdę, niepotrzebnie się przejmujesz. Gdybym była mężczyzną, kpiłabym sobie z kobiet! Widzisz, kobiety z wszystkich sfer są tyleż samo warte, bo tak samo płoche.

Z zaparciem się siebie oskarżała kobiety, chcąc złagodzić okrutny cios, jaki mu zadała. Lecz on jej nie słuchał i nie słyszał. Nie przestając dreptać, włożył trzewiki i surdut. Jeszcze przez chwilę biegał po pokoju, a potem w nagłym zrywie uciekł, jakby nareszcie znalazł drzwi. Nana czuła się bardzo dotknięta.

— A idźże sobie! Szczęśliwej drogi! — mówiła głośno, choć została sama. — Ależ on uprzejmy, gdy się do niego mówi!... A ja się jeszcze wysilałam! Pierwsza ochłonęłam i myślę, że dostatecznie go przepraszałam!... A zresztą, po co mnie drażnił!

Mimo wszystko była skwaszona i drapała się po nogach. Ale za to się odegrała!...

— Pal sześć! To nie moja wina, że jest rogaczem! I spieczona z wszystkich stron, ciepła jak przepiórka, wtuliła się do łóżka i zadzwoniła na Zoè, żeby wpuściła tego pana, który czekał w kuchni.

Tymczasem Muffat szedł szybko ulicą. Przed chwilą znowu spadła ulewa, więc ślizgał się po zabłoconym bruku. Machinalnie spojrzał w górę i zobaczył strzępy czarnych chmur biegnących przed księżycem. O tej porze na bulwarze Haussmanna rzadko spotykało się przechodniów. Przeszedł wzdłuż rusztowań Opery, szukając cienia i bełkocąc słowa bez związku. Ta dziewka kłamała. Wymyśliła to z głupoty i okrucieństwa. Trzeba było zmiażdżyć jej głowę, kiedy ją miał pod swoją stopą. Ostatecznie za wiele się przez nią najadł wstydu i dlatego nie chce jej już nigdy zobaczyć ani dotknąć; byłby chyba nikczemnikiem. Oddychał mocno, jakby się od czegoś uwolnił. Okropny jest ten nagi, głupi potwór, który przypieka się jak gęś i pluje na wszystko, co on od czterdziestu lat szanuje! Księżyc się wychylił i fala światła załata opustoszałą ulicę. Ogarnęło go przerażenie i zaczął szlochać. Był zrozpaczony i bliski szaleństwa, jakby wpadł w ogromną otchłań.

— Boże! — wybełkotał. — Wszystko skończone, nie ma już nic, nic. Na bulwarach zapóźnieni przechodnie przyśpieszali kroku. Próbował się uspokoić. Historia, którą mu ta dziewczyna opowiedziała, bez przerwy nurtowała jego rozpaloną głowę. Chciał uporządkować fakty. Hrabina miała wrócić rano z zamku pani de Chezelles. Istotnie, nic by jej nie przeszkodziło wrócić do Paryża w przeddzień wieczorem i spędzić noc u tego człowieka. Przypominał sobie teraz pewne szczegóły ich pobytu w Fondettes. Pewnego wieczoru przydybał Sabinę pod drzewami tak wzruszoną, że nie mogła mu odpowiedzieć na pytanie. On był wówczas z nią. Dlaczego nie miałaby teraz być u niego? W miarę jak rozmyślał, stawało się to możliwe. Uznał wreszcie, że to jest naturalne i nieuniknione. W chwili gdy on sam zdejmował surdut u

ladacznicy, jego żona rozbierała się w pokoju kochanka. Czyż to nie proste i logiczne? Usiłował jednak rozumować z zimną krwią. Miał wrażenie, że stacza się w coraz to większe szaleństwo zmysłowe, ogarniające całe jego otoczenie. Gorączkowe obrazy go ścigały. Nana naga przywodziła mu raptem na myśl nagą Sabinę. Widząc oczami wyobraźni te dwie kobiety jednakowo bezwstydne i lubieżne, potknął się. O mało co dorożkarz byłby go zmiażdżył na jezdni. Kobiety, które wyszły z kawiarni, potrąciły go ze śmiechem. Usiłował się opanować, ale łzy znowu napływały mu do oczu. Nie chciał szlochać przy ludziach, więc rzucił się w ciemną i pustą ulicę Rossiniego, gdzie, idąc wzdłuż domów pogrążonych w ciszy, płakał jak dziecko. ─ Wszystko skończone ─ mówił cicho. ─ Nie ma już nic, nic! Płakał tak gwałtownie, że musiał oprzeć się o jakąś bramę, z twarzą w mokrych dłoniach. Spłoszył go odgłos kroków. Wstyd i strach kazały mu uciekać przed ludźmi nerwowym krokiem nocnego włóczęgi. Gdy na trotuarze mijali go przechodnie, usiłował zachowywać się swobodnie, wyobrażając sobie, że ze sposobu kołysania się ramion można wyczytać jego przeżycie. Szedł ulicą de la Grange-Bateliere aż do ulicy Faubourg-Montmartre. Zaskoczył go blask świateł, więc cofnął się. Prawie godzinę uganiał tak po całej dzielnicy, wybierając najciemniejsze kąty. Miał, oczywiście, przed sobą cel, do którego nogi same go cierpliwie niosły drogą komplikowaną ciągłymi zakrętami. Wreszcie na rogu pewnej ulicy podniósł wzrok. To było tu, na skrzyżowaniu ulicy Taitbout i ulicy Provence. Całą godzinę stracił, żeby tam dojść, z bolesnym huczeniem w mózgu, a tymczasem wystarczyłoby na to zaledwie pięć minut. Przypomniał sobie, że w ubiegłym miesiącu był pewnego dnia rano u Fauchery'ego, by mu podziękować za artykuł o balu w Tuileriach, w którym dziennikarz wymienił jego nazwisko. Mieszkanie znajdowało się na antresoli. Miało kwadatowe okienka do połowy schowane za kolosalnym szyldem jakiegoś sklepu. Ostatnie okno z lewej strony było teraz przecięte smugą jaskrawego światła, które przedostawało się przez uchylone zasłony. Stanął z oczami wlepionymi w ten świetlisty promień i, pochłonięty nim, czekał.

Niebo było ciemne jak atrament. Księżyc zaszedł za chmury, siąpił lodowaty deszczyk. Na wieży kościoła Św. Trójcy wybiła godzina druga. Ulica Provence i ulica Taitbout tonęły w mrokach, rozjarzone tylko gazowym światłem, które w dali rozpływało się w żółte opary. Muffat nie ruszał się. Tak, to był ten pokój. Przypominał sobie; był obity pąsową turecką tkaniną, a w głębi stało łóżko w stylu Ludwika XIII. Lampa powinna być na kominku po prawej stronie. Na pewno leżeli w łóżku, gdyż nie przesuwał się żaden cień, a smuga jasności świeciła nieruchomo jak refleks lampki nocnej. Patrząc ciągle w górę, układał w myśli plan: zadzwoni, wejdzie pomimo sprzeciwu konsjerża, wyważy drzwi plecami i zaskoczy ich w łóżku, zanim jeszcze zdążą rozpleść ramiona. Przez chwilę powstrzymywała go myśl, że nie ma przy sobie broni. Ale postanowił, że ich udusi. Wracał do swego planu, doskonalił go, ciągle na coś czekając, na jakąś poszlakę, która by go upewniła. Gdyby zobaczył w tej chwili cień kobiety, zadzwoniłby do bramy. Lecz mroziła go myśl, że może się myli. Co powiedziałby? Opadły go znowu wątpliwości. Przecież jego żona nie może być u tego człowieka. To byłoby potworne i niemożliwe. Stał tak wpadając powoli w odrętwienie i bezwład. Patrzał przed siebie osłupiałym wzrokiem i całe to oczekiwanie wydawało mu się przywidzeniem.

Spadł ulewny deszcz. Nadchodziło dwóch policjantów, więc musiał opuścić kąt w bramie, gdzie się schronił. Gdy zniknęli w ulicy Provence, wrócił zmoczony i drżący z zimna. Smuga światła ciągle jeszcze przecinała okno. Tym razem już miał odejść, gdy nagle przemknął cień tak szybko, że nie był pewny, czy się nie omylił. Lecz cienie przesuwały się raz po raz. W pokoju był jakiś ruch. Przygwożdżony na nowo do trotuaru, hrabia miał nieznośne uczucie palenia w żołądku. Czekał teraz, żeby coś zrozumieć. Przesuwały się zarysy ramion i nóg, potem olbrzymia ręka z sylwetką dzbana do wody. Niczego wyraźnie nie odróżniał, zdawało mu się jednak, że rozpoznaje kok kobiecy. I dyskutował sam z sobą: mogłaby to być fryzura Sabiny, tylko kark wydawał mu się za gruby. W tym momencie nic już nie widział, nie był zdolny do niczego. W udręce potwornej niepewności żołądek rozbolał go tak mocno, że chcąc

uśmierzyć ból przyciskał się do bramy i trząsł się jak nędzarz. Ale nie odwracał jednak oczu od tego okna. Pod wpływem gniewu przekształcał się we własnej wyobraźni w moralistę: widział siebie w Zgromadzeniu Narodowym, gdzie, jako deputowany, piorunuje przeciwko rozpuście i przepowiada katastrofy. Przerabiał artykuł Fauchery'ego o zatrutej musze i występował z publicznym oświadczeniem, że społeczeństwo nie może dłużej istnieć z tymi obyczajami przypominającymi okres schyłku cesarstwa rzymskiego. To mu sprawiło ulgę. Lecz cienie zniknęły. Na pewno znowu wrócili do łóżka. A on ciągle jeszcze patrzał i czekał.

Wybiła godzina trzecia, potem czwarta. Nie mógł odejść. Gdy zrywała się ulewa, wtulał się w kąt bramy, z obłoconymi nogami. Już nikt nie przechodził. Chwilami oczy mu się zamykały, jakby przepalone smugą światła, na którą patrzyły wytrwale, nieruchomo, z głupim uporem. Dwukrotnie jeszcze cienie przesunęły się powtarzając te same ruchy, rysując tę samą olbrzymią sylwetę dzbanka z wodą. I dwukrotnie wracał spokój, a lampa dalej rzucała dyskretne światło. Bez wątpienia, te cienie powiększały się. Zresztą uspokoiła go nagle myśl, która odroczyła moment działania: wystarczy przecież, że poczeka, aż ta kobieta wyjdzie. Na pewno rozpozna w niej Sabinę. To bardzo proste. Uniknie się skandalu, a on zdobędzie pewność. Wystarczy tu poczekać. Czuł już tylko potrzebę poznania prawdy. Ale od tego monotonnego wystawania w bramie zrobił się senny. Chcąc się rozerwać próbował wyliczyć, jak długo będzie musiał czekać. Sabina powinna być na dworcu około godziny dziewiątej. Miał więc blisko cztery i pół godziny czasu. Był cierpliwy i byłby tak trwał nieruchomo, znajdując nawet pewien urok w marzeniu, że to jego nocne czekanie potrwa wieki.

Lecz nagle smuga światła zgasła. Ten bardzo prosty fakt stał się dla niego nieoczekiwaną katastrofą, czymś dotkliwym i niepokojącym. Oczywiście, zgasili lampę, bo kładą się spać. O tej porze to nawet rozsądne. Ale zdenerwował się gdyż ciemne obecnie okno przestało go interesować. Patrzał na nie jeszcze przez kwadrans, a potem zmęczył się tym. Wyszedł z bramy i przeszedł parę kroków. Spacerował do godziny piątej tam i z powrotem, podnosząc od czasu do czasu oczy. Lecz okno było martwe. Chwilami zadawał sobie pytanie, czy mu się przypadkiem nie śniło, że cienie tańczyły na szybach. Przytłaczało go potworne zmęczenie i odrętwienie. Zapominał, po co tu na rogu czeka, nagle potykał się o bruk i budził z lodowatym dreszczem, jak człowiek, który nie wie, gdzie się znajduje. Nie warto się zadręczać. Skoro ci ludzie śpią, niech sobie śpią. Po co mieszać się do ich spraw? Jest bardzo ciemno i nikt się nigdy o niczym nie dowie. I wówczas wszystko w nim zamarło, nawet ciekawość. Chciał tylko skończyć z całą tą historią i wyzwolić się z niej. Robiło się coraz zimniej i dalsze pozostawanie na ulicy było nie do zniesienia. Dwa razy oddalał się i wracał, powłócząc nogami, a potem jeszcze bardziej się oddalał. Wszystko się skończyło, była tylko pustka. Doszedł do bulwaru i już nie wrócił.

Na ulicach było ponuro. Szedł wolno, równym krokiem, wzdłuż murów. Obcasy stukały, widział tylko, jak zmieniał się jego cień rosnąc, a potem kurcząc się pod każdą lampą gazową. To odruchowo pochłaniało jego uwagę i uspokajało go. Później nigdy nie mógł dociec, jakimi szedł wówczas ulicami. Zdawało mu się, że włóczył się całymi godzinami w kółko jak w cyrku. Jedno tylko wyraźnie zapamiętał. Sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się przed bramą zamykającą pasaż Panoram, z twarzą przylepioną do kraty, trzymając oburącz pręty. Nie potrząsał nimi, próbował tylko zajrzeć do pasażu, tak wzburzony, że serce mu pękało. Niczego jednak nie odróżniał, gdyż opustoszała galeria tonęła w ciemnościach; wiatr, który wpadał od ulicy Św. Marka, owiał mu twarz piwniczną wilgocią, ale on stał uparcie. Kiedy się ocknął, zdziwił się niezmiernie i zadawał sobie pytanie, co tu robi o tej porze, przyciśnięty do kraty tak kurczowo, że pręty wdrążyły mu się w twarz. Poszedł więc dalej, zrozpaczony, z sercem pełnym bezgranicznego smutku, jakby zdradzony, i odtąd już zupełnie samotny w tych ciemnościach.

Wreszcie nastał dzień, szary, zimowy świt, tak melancholijny na zabłoconym bruku paryskim. Muffat wrócił na szerokie, budowane właśnie ulice wzdłuż rusztowań nowej Opery.

Zmoczona przez ulewy, poorana przez wozy i pełna gruzów ziemia zmieniła się w błotniste jezioro. Lecz hrabia, nie zważając, gdzie stawia nogi, szedł ciągle naprzód potykając się i znowu odzyskując równowagę. W miarę jak się przejaśniało, niepokoiły go spotkania z budzącym się Paryżem, z ekipami zamiataczy i pierwszymi grupami robotników. Oglądano ze zdziwieniem tego pana w przemokniętym kapeluszu, zalęknionego i obryzganego błotem. Przez długi czas chronił się za palisadą wśród rusztowań. Czuł się opuszczoną, nędzną istotą.

Zaczął więc myśleć o Bogu. Raptowna myśl o boskiej pomocy, o nadludzkiej sile pocieszenia zaskoczyła go jak coś nieoczekiwanego i szczególnego. Przypomniała mu obraz pana Venot; zobaczył jego tłustą twarz i zepsute zęby. Pan Venot, którego od wielu miesięcy zasmucał, unikając spotkania z nim, byłby na pewno bardzo szczęśliwy, gdyby zapukał do jego drzwi i wypłakał się w jego ramionach. Kiedyś Bóg nie szczędził mu łask. Gdy tylko miał jakieś zmartwienie czy kłopoty życiowe, wchodził do kościoła, klękał i korzył się przed najwyższą potęgą. Wychodził pokrzepiony modlitwą, gotów zrezygnować z dóbr tego świata i spragniony tylko zbawienia wiecznego. Lecz obecnie praktykował jedynie w chwilach wielkich wstrząsów, gdy ogarniał go strach przed piekłem; we wszystkim stał się słaby i bezwolny, przez Nanę zatracił poczucie obowiązku. Teraz myśl o Bogu zdziwiła go. Dlaczego nie pomyślał o Bogu od razu, gdy to straszne przeżycie załamało go i wstrząsnęło do głębi całym jego jestestwem?

W tym znojnym marszu szukał kościoła. Nie mógł sobie przypomnieć drogi, gdyż o tej wczesnej porze nie poznawał ulic. Gdy jednak skręcał na rogu ulicy Chaussee-d'Antin, spostrzegł w głębi ulicy Św. Trójcy niewyraźny zarys wieży otulonej mgłą. Białe statuy, górujące nad opustoszałym ogrodem, wyglądały jak Wenery drżące z zimna wśród pożółkłych liści parku. Odsapnął w przedsionku, gdyż zmęczył się wspinaniem po szerokich, kamiennych schodach. Potem wszedł do środka. W kościele było zimno, gdyż kaloryferów nie rozgrzewano od poprzedniego dnia, a pod wysokimi sklepieniami gromadziła się mgła, która przeniknęła przez witraże. Cień otulał nawy boczne. W kościele nie było nikogo, tylko z ciemności dochodził odgłos trepów. To zakrystian powłóczył nogami w posępnym nastroju budzącego się dnia. Hrabia, zawadziwszy o krzesła stojące w nieładzie, zagubiony, z sercem wezbranym łzami, upadł na kolana przed kratą kapliczki obok kropielnicy. Złożył ręce i szukał w pamięci modlitw, pragnął zatopić się bez reszty w religijnym uniesieniu. Lecz tylko wargi bełkotały słowa, myśl uparcie wracała do spraw ziemskich, gnała go poprzez ulice, bez wytchnienia, jakby smagana biczem nieubłaganej konieczności. Ciągle powtarzał: „Boże, przyjdź mi z pomocą! Boże, nie opuszczaj swego stworzenia, które oddaje się w ręce twej sprawiedliwości! Boże, uwielbiam cię, czyż pozwolisz mi zginąć pod ciosami twych nieprzyjaciół?” Lecz nie słyszał żadnej odpowiedzi. Przygnębiał go mrok i chłód, a dochodzący z daleka odgłos trepów przeszkadzał w modlitwie. Słyszał tylko ten irytujący odgłos w opustoszałym kościele, gdzie jeszcze nawet nie rozpoczęto porannego zamiatania przed przygotowaniami do pierwszej mszy. Opierając się o krzesło wstał gwałtownie, aż mu zatrzeszczało w kolanach. Boga tu jeszcze nie było. Dlaczego miałby teraz pójść wypłakać się w ramionach pana Venot? Ten człowiek nie mógł mu pomóc.

Bezwiednie skierował się do Nany. Gdy wyszedł z kościoła, poślizgnął się; poczuł, że łzy napływają mu do oczu; nie z gniewu na zły los, ale dlatego że czuł się chory i słaby. Był nazbyt zmęczony, przemoknięty i zmarznięty. Lecz przerażała go myśl o powrocie do ponurego pałacu przy ulicy Miromesnil. Tymczasem u Nany brama nie była otwarta i musiał czekać, aż zjawi się konsjerż. Idąc na górę uśmiechał się, przepojony myślą o ciepłej, przytulnej niszy, gdzie będzie mógł się wyciągnąć i wyspać. Lecz gdy Zoè mu otwarła, gestem wyraziła zdumienie i niepokój. Pani miała okropną migrenę i nie zmrużyła oka. Zresztą pójdzie zobaczyć, czy pani nie usnęła. Na palcach weszła do sypialni, podczas gdy hrabia padł na fotel w salonie. Ale Nana zjawiła się prawie natychmiast. Wyskoczyła z łóżka i ledwie zdążyła włożyć

halkę; bosa, z rozczochranymi włosami, w pomiętej i rozerwanej koszuli, była żywym świadectwem miłosnej nocy.

— Jak to? Znowu jesteś! — krzyknęła cała w pąsach. Rozgniewana, przybiegła, żeby go osobiście wyrzucić za drzwi. Lecz gdy go zobaczyła w tak opłakanym stanie, wzbudził w niej litość. — Ach! Jak ty wyglądasz, biedny psiaku! — powiedziała już łagodniej. — Cóż to się stało?... Czy może czatowałeś na nich i tak się tym przejąłeś?

Hrabia nie odpowiadał. Wyglądał jak zbite zwierzę. Nana jednak zrozumiała, że ciągle jeszcze brakowało mu dowodów. I chcąc go pocieszyć rzekła:

— No widzisz, że się pomyliłam. Twoja żona jest uczciwa, słowo honoru!... Teraz, mój mały, musisz wrócić do domu i położyć się spać. Ale on się nie ruszał.

— No, idź już sobie. Ja cię nie mogę tu zatrzymać... Nie zamierzasz chyba zostać tu o tej porze?

— Tak, prześpijmy się razem — wyjąkał. Nana pohamowała gwałtowny gest; traciła już cierpliwość. Czy on zwariował?

— Idź już, idź — rzekła po raz drugi.

— Nie.

Rozdrażniona i wściekła wybuchła.

— Toż to wstrętne!... Zrozum wreszcie, że mam już ciebie po dziurki od nosa, wracaj do swojej żony, która zrobiła z ciebie rogacza... Tak, ona ci przyprawia rogi, teraz mogę ci to powiedzieć... No, jazda! Jeszcze ci mało? Czy nareszcie zostawisz mnie w spokoju?

Oczy Muffata nabiegły łzami. Złożył ręce i błagał:

— Prześpijmy się.

Raptem Nana straciła głowę i zaczęła się dusić nerwowym szlochem. Doprawdy, tego już za wiele! Co ją obchodzą te historie? Przecież z dobroci starała się powiedzieć mu wszystko tak, żeby mu oszczędzić przykrości. A teraz ma się to na niej skrupić! Jeszcze czego! Ma serce dobre, ale żeby aż do tego stopnia...

— Do diabła! Mam już tego dość — klęła waląc pięścią po meblach. — Ach, to tak; za to, że ciągle się hamowałam, za to, że chciałam być wierna... Ależ. mój drogi, wystarczyłoby jedno moje słowo, a jutro mogłabym być bogata.

Zaskoczony, podniósł głowę. Nigdy nie pomyślał o sprawie pieniędzy. Ale jeżeli ona ma jakieś życzenia, gotów jest natychmiast je spełnić. Cały jego majątek należy do niej.

— Nie, już za późno — odpowiedziała z wściekłością. — Lubię takich mężczyzn, u których nie trzeba nic wypraszać... O nie! Odmówiłabym, nawet gdybyś mi dawał milion za jedną noc. Wszystko skończone, mam już coś innego... Wynoś się, bo w przeciwnym razie nie odpowiadam za siebie. Gotowam spowodować jakieś nieszczęście. — Wygrażając zbliżała się do niego. Gdy już do ostateczności dochodziło jej rozjątrzenie i oburzenie na mężczyzn, którzy tak ją zamęczają, otwarły się nagle drzwi i wszedł Steiner. Tego jeszcze brakowało. — Patrzcie! Jest i drugi! — krzyknęła przeraźliwie.

Steiner zatrzymał się osłupiały od jej głośnego krzyku. Nieprzewidziana obecność Muffata niemile go dotknęła, gdyż obawiał się, że dojdzie do wyjaśnień, których unikał od trzech miesięcy. Mrugając oczami kiwał się z zażenowaną miną i nie patrzał na hrabiego. Był zadyszany, twarz miał czerwoną i zmienioną, gdyż przebiegł cały Paryż, by przynieść dobrą nowinę, a tu nagle wpadł w taką awanturę.

— A ty czego chcesz? — spytała szorstko Nana, mówiąc mu ty, a tym samym drwiąc z hrabiego.

— Ja... ja... — wyjąkał — chcę pani dać to, co już pani wie.

— Co?

Zawahał się. Przedwczoraj oznajmiła mu, że jeżeli nie znajdzie dla niej tysiąca franków na zapłacenie weksla, więcej go nie przyjmie. Od dwóch dni biegał z wywieszonym językiem. Nareszcie dziś rano zdobył tę sumę.

— Oto tysiąc franków — rzekł w końcu, wyciągając z kieszeni kopertę. Nana zapomniała o tym wszystkim.

— Tysiąc franków! — krzyknęła. — Czy ja cię prosiłam o jałmużnę?... Masz! Tyle sobie robię z twojego tysiąca franków!

I chwyciwszy kopertę rzuciła mu ją w twarz. Roztropny Żyd podniósł ją z wysiłkiem. Patrzał na młodą kobietę ogłupiały. Muffat wymienił z nim rozpaczliwe spojrzenie, a Nana podparła się pięściami w biodrach, żeby dodać sobie animuszu, i zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej:

— Ach! Dość już tego. Przestaniecie mnie tu znieważać... Jestem rada, że i ty przyszedłeś, bo przynajmniej od razu wszystkich wymiotę... No już, hyc, wynocha!

A kiedy oni jakby sparaliżowani nie ruszali się z miejsca, ciągnęła dalej:

— Co? Mówicie, że robię głupstwo? Być może! Aleście mi za bardzo dokuczyli!... Niedoczekanie wasze! Nie chcę być już elegancka! Jeżeli zdechnę, moja w tym przyjemność.

Chcieli ją uspokoić, błagali ją.

— No już, raz, dwa, nie chcecie się wynosić?... W takim razie patrzcie, mam gościa.

Gwałtownym gestem otwarła drzwi na rozcież. Wówczas dwaj mężczyźni ujrzeli w rozgrzebanym łóżku Fontana. Nie spodziewał się, że będzie tak pokazywany. Ze swą ciemną skórą wyglądał jak kozioł tarzający się wśród pomiętych koronek. Nogi miał zadarte do góry, koszulę podkasaną. Lecz, przywykły do niespodzianek scenicznych, wcale się nie zmieszał. Ochłonąwszy po nagłym zaskoczeniu, zaczął ratować sytuację komiczną mimiką, by wybrnąć jakoś z kłopotliwej sytuacji; udał królika, jak to nazywał, wysuwając usta, marszcząc nos i ruszając przy tym całą gębą. Na twarzy tego lubieżnego fauna malowała się rozpusta. To właśnie po Fontana chodziła Nana od tygodnia do teatru „Varietes", zadurzona w nim bez pamięci, jak to się zdarza loretkom lubującym się w wykrzywionych grymasem, szpetnych gębach komików.

— Proszę! — rzekła pokazując go gestem tragiczki.

Muffat, który znosił wszystko potulnie, oburzył się na ten afront.

— Ladacznica! — wyjąkał.

Nana, która już była w sypialni, wróciła, bo chciała mieć ostatnie słowo.

— No to co, że ladacznica! A twoja żona?

Wyszła, trzasnęła drzwiami i głośno zamknęła zasuwę. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu. Właśnie weszła Zoè; nie złajała ich, lecz mówiła bardzo rozsądnie. Jako osoba mądra uważała, że pani za wiele naplotła. Ale jednak stawała w jej obronie. Nana z tym kabotynem długo nie wytrzyma; niech poczekają, aż jej przejdzie ten szał. Dwaj mężczyźni wyszli bez słowa. Gdy znaleźli się na trotuarze, przejęci braterskimi uczuciami, w milczeniu uścisnęli sobie dłonie. I poszli każdy w swoją stronę, powłócząc nogami.

Skoro Muffat wrócił wreszcie do pałacu przy ulicy Miromesnil, żona też właśnie nadchodziła. Spotkali się na schodach, gdzie ciemne ściany przejmowały ich dreszczem. Podnieśli wzrok i spojrzeli na siebie. Hrabia był jeszcze w zabłoconym ubraniu, przerażająco blady, jak człowiek, który właśnie popełnił coś złego. Hrabina, jakby zmordowana nocą spędzoną w pociągu, spała na stojąco, rozczochrana i z posiniałymi powiekami.

VIII

Nana i Fontan urządzali oblewanie swego mieszkanka na czwartym piętrze przy ulicy Veron na Montmartrze, gdzie wprowadzili się przed trzema dniami. Zaprosili kilku przyjaciół na placek migdałowy w święto Trzech Króli.

Wszystko to stało się nagle. Nie zastanawiali się długo i zamieszkali razem w upojeniu miłosnym miodowego miesiąca. Nazajutrz po swoim ślicznym wybryku, gdy tak bez ogródek wyrzuciła za drzwi hrabiego i bankiera, Nana poczuła, że traci grunt pod nogami. W mig oceniła sytuację: niebawem wpadną do jej przedpokoju wierzyciele, zaczną się wtrącać do jej spraw sercowych, powiedzą, że wszystko trzeba sprzedać, jeśli nie zachowa się rozsądnie. Rozpoczną się kłótnie i zawracanie głowy bez końca, gdy będzie chciała wydrzeć chociaż parę mebli. Wolała więc wszystko rzucić. Zresztą sprzykrzyło się jej to mieszkanie przy bulwarze Haussmanna. Nie miały sensu jego wielkie, złocone pokoje. W przypływie czułości dla Fontana marzyła o ładnym, jasnym pokoju, wspominając swój dawny ideał kwiaciarki, gdy szczytem jej pragnień była palisandrowa szafa z lustrem i łóżko przykryte niebieskim rypsem. W ciągu dwóch dni sprzedała, co mogła, z bibelotów i biżuterii. Zniknęła zabierając około dziesięciu tysięcy franków i nie mówiąc słowa konsjerżce. Dała nura bez śladu, żeby mężczyźni nie mogli jej prześladować. Fontan był bardzo miły, bo zgadzał się na wszystko. Postępował nawet jak naprawdę dobry kolega. Miał prawie siedem tysięcy franków, które chętnie połączył z dziesięcioma tysiącami młodej kobiety, choć pomawiano go o skąpstwo. Ta suma wydała się im solidną podstawą gospodarstwa. Rozpoczęli więc wspólne życie, czerpiąc ż uciułanych groszy połączonych we wspólnej kasie. Wynajęli i umeblowali dwa pokoje przy ulicy Veron, dzieląc się wszystkim jak starzy przyjaciele. Na początku było naprawdę rozkosznie.

W wieczór Trzech Króli pani Lerat przyszła pierwsza z Ludwisiem.

Ponieważ Fontan jeszcze nie wrócił, pozwoliła sobie wyrazić swoje obawy, gdyż drżała z niepokoju widząc, że jej siostrzenica rezygnuje z majątku.

— Och! Ciociu, jak ja go kocham! — krzyknęła Nana przyciskając wdzięcznym gestem ręce do piersi.

Te słowa wywarły na pani Lerat nadzwyczajne wrażenie. Oczy jej zwilgotniały.

— No tak — rzekła z przekonaniem — miłość przede wszystkim. I zaczęła się głośno zachwycać przyjemnym wyglądem pokojów. Nana pokazała sypialnię, jadalnię, a nawet kuchnię. Nie było to wprawdzie mieszkanie ogromne, ale świeżo odmalowane, wytapetowane i bardzo słoneczne.

Pani Lerat zatrzymała młodą kobietę w sypialni, podczas gdy Ludwiś ulokował się w kuchni i przyglądał, jak gospodyni piecze kurę. Pani Lerat pozwoliła sobie tylko zauważyć, że Zoè naprawdę robi, co może. Istotnie Zoè dzielnie trwała na posterunku, szczerze przywiązana do pani. Mówiła, że później pani jej zapłaci; wcale nie zdradzała niepokoju. Wobec klęski w mieszkaniu przy bulwarze Haussmanna dzielnie stawiała czoło wierzycielom, organizując odwrót z godnością. Ratowała resztki. Odpowiadała, że pani jest w podróży, i nie podawała nikomu jej adresu, a w obawie, że może ktoś ją śledzi, rezygnowała z przyjemności odwiedzania swej pani. Tego ranka pobiegła jednak do pani Lerat, gdyż zdarzyło się coś nowego. Poprzedniego dnia zjawili się wierzyciele: tapicer, węglarz i bieliźniarka, ofiarowując swe usługi, a nawet proponując pani kredyt na bardzo znaczną sumę, o ile by pani chciała wrócić do swojego mieszkania i postępować jak osoba inteligentna. Ciotka powtórzyła słowa Zoè. Niewątpliwie za całą tą sprawą kryje się jakiś mężczyzna.

— Nigdy! — oświadczyła Nana wzburzona. — To dopiero dranie, ci dostawcy! Czyż oni myślą, że będę się sprzedawała dla zapłacenia ich rachunków!... Zrozum, że wolałabym umrzeć z głodu niż zdradzić Fontana.

— Tak też odpowiedziałam — rzekła pani Lerat. — Moja siostrzenica za bardzo kieruje się sercem.

Tymczasem Nanę zirytowała wiadomość, że jej Mignotte ma być sprzedana i że Labordette ma kupić tę posiadłość dla Karoliny Hèquet za śmiesznie małą sumę. Rozgniewała się na tę klikę ladacznic, pozujących na coś lepszego. Ach! Ona oczywiście więcej jest warta od nich wszystkich!

— Niech sobie gadają — stwierdziła. — Pieniądze i tak nie dadzą im nigdy prawdziwego szczęścia... A zresztą zapewniam cię, ciociu, że ja naprawdę już nawet nie wiem o istnieniu wszystkich tych ludzi. Zbyt jestem szczęśliwa.

Właśnie weszła pani Maloir w jednym z tych dziwacznych kapeluszy, które ona jedna umiała robić. Przywitały się z radością. Pani Maloir wyjaśniła, że czuła się onieśmielona w wytwornym towarzystwie, ale teraz przyjdzie od czasu do czasu zagrać w bezika. Znowu zaczęło się oglądanie mieszkania. Gdy znalazły się w kuchni, w obecności gospodyni, która podlewała kurczaka, Nana zaczęła mówić o oszczędnościach: że służąca za drogo kosztuje i że ona sama chciałaby zająć się domem. Ludwiś z rozwartą buzią patrzał na brytfannę.

Nagle zrobiło się gwarno, bo Fontan przyprowadził Bosca i Prullière'a. Mogli już zasiąść do stołu. Zupa była podana, gdy Nana po raz trzeci zaczęła pokazywać mieszkanie.

— Ach! Dzieci moje, jakeście się tu pięknie urządzili — powtarzał Bosc, chcąc po prostu zrobić przyjemność kolegom, którzy fundowali obiad, gdyż w gruncie rzeczy wcale go nie wzruszała sprawa „budy", jak to nazywał. W sypialni wysilił się jeszcze na uprzejmy ton. Zazwyczaj traktował kobiety jak klępy i myśl, że mężczyzna może się przejmować którymś z tych wstrętnych stworzeń, wywoływała w nim oburzenie, jedyne uczucie, do jakiego był zdolny, traktując wszystko z pogardą pijaka. — Zuchy z was — mówił dalej, przymrużając oczy — jakeście to sprytnie zrobili... No, ale chyba macie rację. Czarująca para, jak Boga kocham, będziemy was odwiedzać.

A ponieważ właśnie Ludwiś nadbiegał okrakiem na drągu szczotki, Prullière powiedział śmiejąc się złośliwie:

— Jak to? Macie już małego?

To wydało się bardzo śmieszne. Pani Lerat i pani Maloir pękały ze śmiechu. Nana, bynajmniej nie rozgniewana, uśmiechnęła się tkliwie, mówiąc, że, niestety, nie; byłaby z tego bardzo rada zarówno ze względu na małego, jak i na siebie. Może jednak będzie jeszcze drugie. Fontan udając dobroduszność wziął Ludwisia w ramiona, bawił się nim i szeplenił pieszczotliwie:

— Ale chyba Ludwiś kocha swego tatusia... Nazywaj mnie papą, gałganie!

— Papa... papa... — wyjąkało dziecko.

Wszyscy go pieścili. Bosc znudzony mówił, że trzeba siadać do stołu, bo tylko to jest ważne. Nana prosiła o pozwolenie posadzenia Ludwisia przy sobie. Podczas obiadu było bardzo wesoło. Boscowi dokuczało jednak sąsiedztwo dziecka, przed którym musiał osłaniać swój talerz. Pani Lerat także go krępowała. Rozczulała się, opowiadała mu po cichu tajemnicze rzeczy o bardzo wytwornych panach, którzy jeszcze za nią latali. Dwa razy musiał odsunąć jej kolano, gdyż narzucała mu się wlepiając w niego oczy. Prullière zachowywał się niegrzecznie wobec pani Maloir, której ani razu nie usłużył. Był zajęty wyłącznie Naną, zirytowany tym, że ją widzi obok Fontana. Zresztą ta para gołąbków tak gruchała, że stała się wreszcie nudna. Wbrew zasadom towarzyskim usiedli obok siebie.

— Do diaska! Teraz jedzcie, a na te rzeczy będziecie mieli później dosyć czasu! — powtarzał Bosc z pełnymi ustami. — Poczekajcie, aż nas już nie będzie.

Ale Nana nie mogła się powstrzymać. W miłosnym uniesieniu rumieniła się jak dziewica, śmiała się i spoglądała na Fontana czule, zasypując go pieszczotliwymi słowami: „mój piesku, wilczku, kotku". A gdy jej podawał wodę albo sól, pochylała się, całowała go w oczy, w nos, w ucho. Zgromiona, zaczynała swoje pieszczoty od nowa, stosując wymyślne, pokorne i przymilne sposoby zbitej kotki: podstępnie brała jego rękę, przetrzymywała ją i całowała. Musiała koniecznie go dotykać. A Fontan puszył się i z odcieniem pobłażliwości pozwalał się adorować. Nozdrza jego wielkiego nosa rozchylały się namiętnie. Uwielbienie tej wspaniałej, białej i pulchnej dziewczyny podkreślało jeszcze jego pysk capa i brzydotę zabawnego potwora. Chwilami odwzajemniał pocałunek, jak mężczyzna, który rzeczywiście odczuwa przyjemność i chce się okazać miłym.

— Doprawdy mnie drażnicie! — krzyknął Prullière. — Wynoś się stąd! Wyrzucił Fontana i zmienił nakrycie, by zająć jego miejsce obok Nany. Wybuchły okrzyki, oklaski, rzucano pieprzne słowa. Fontan robił zrozpaczone miny, śmiesznie udając Wulkana opłakującego Wenus. Natychmiast Prullière zaczął jej nadskakiwać. Lecz Nana kopnęła go, żeby się uspokoił, gdyż szukał jej nogi pod stołem. Nie, z nim na pewno by nie spała. Kiedyś nawet zaczęła się w nim podkochiwać, zachwycona jego ładną głową. Ale teraz go nie cierpiała. A gdyby ją znowu uszczypnął pod pozorem, że podnosi serwetkę, rzuciłaby mu szklankę w twarz.

Tymczasem wieczór mijał w przyjemnym nastroju. Naturalnie rozmowa zeszła na teatr „Varietes". Czy ta kanalia Bordenave nie zamierza zdechnąć? Ciągle ma nawroty wstrętnych chorób, które wywołują takie bóle, że nie można go dotknąć. Poprzedniego dnia podczas próby cały czas pyskował na Simonę. Gdyby umarł, artyści na pewno by nie płakali! Nana powiedziała, że gdyby jej zaproponował jakąś rolę, posłałaby go po prostu do diabła. Zresztą mówiła, że nie będzie już grata, bo teatr nie jest wart jej domowego ogniska. Fontan, który nie występował w nowej sztuce ani w tej, która była w próbach, również z przesadą mówił o szczęściu, jakie daje zupełna swoboda i możność spędzania wieczorów przy kominku ze swoją kotką. Inni głośno przytakiwali, nazywając ich wybrańcami losu i udając, że zazdroszczą im szczęścia.

Losowano placek Trzech Króli. Migdał przypadł pani Lerat, która go włożyła do kieliszka Bosca. Zaczęto krzyczeć: „Król pije! Król pije!" Nana skorzystała z tego wybuchu wesołości i podeszła objąć znowu Fontana za szyję, całując go i mówiąc mu do ucha czułe słowa. Lecz Prullière, podrażniony, śmiał się i krzyczał, że to nie należy do gry. Ludwiś spał na dwóch krzesłach. Towarzystwo rozeszło się wreszcie około godziny pierwszej. Idąc po schodach wykrzykiwano „do widzenia".

Przez trzy tygodnie życie dwojga zakochanych upływało rzeczywiście przyjemnie. Nanie zdawało się, że wróciła do początkowego okresu swej kariery, gdy pierwsza suknia jedwabna sprawiła jej tak wielką radość. Mało wychodziła udając, że polubiła samotność i prostotę. Pewnego ranka, gdy wcześnie zeszła kupić ryby na targu La Rochefoucauld, aż się wzdrygnęła spotkawszy nos w nos swego dawnego fryzjera Francisa. Jak zwykle, miał na sobie cienką koszulę i nienagannie skrojony surdut. Wstydziła się, że ją zobaczył na ulicy rozczochraną, w szlafroku i rannych pantoflach. On jednak okazał dużo taktu i był dla niej przesadnie grzeczny. Nie pozwolił sobie na żadne pytanie i udawał, że w jego przekonaniu była w podróży.

— Ach! Decydując się na podróżowanie, unieszczęśliwiła pani wielu ludzi! To dla wszystkich dotkliwa strata!

Tymczasem młoda kobieta zaczęła go w końcu wypytywać z takim zaciekawieniem, że zapomniała o początkowym zakłopotaniu. Ponieważ tłum ich potrącał, pchnęła go pod bramę, gdzie stała przed nim z koszyczkiem w ręku. Co mówią o jej ucieczce? Mój Boże! Panie, do których on chodzi, mówią to i owo. W sumie zdobyła ogromny rozgłos, prawdziwy sukces.

— A Steiner?

— Pan Steiner stoczył się na dno. Jego sprawy mogą się skończyć bardzo źle, jeżeli nie trafi się jakaś nowa operacja finansowa.

— A Daguenet?

— Och! Ten czuje się doskonale. Pan Daguenet potrafi się urządzić. Nana, którą podniecały te wspomnienia, już otwierała usta, by go dalej wypytywać. Krępowała się jednak wymówić nazwisko Muffata. Ale Francis, uśmiechając się, zaczął mówić pierwszy.

— Jeśli chodzi o pana hrabiego, to doprawdy był godny litości, tak bardzo cierpiał po zniknięciu pani: snuł się niby pokutująca dusza, widywano go wszędzie, gdzie tylko mógłby panią znaleźć. Wreszcie pan Mignon, spotkawszy hrabiego, zabrał go do siebie.

Tę wiadomość Nana przyjęła głośnym śmiechem, ale był to śmiech wymuszony.

— Ach! On żyje teraz z Różą — rzekła. — Niech tam! Wie pan, gwiżdżę na to!... Patrzcie go, co za obłudnik! Jakich to nabrało przyzwyczajeń, nie może pościć nawet przez tydzień! A przysięgał mi, że po mnie nie będzie miał już żadnej kobiety! — W głębi duszy wściekała się. A po chwili powiedziała: — To resztki po mnie. Róża zafundowała sobie ładnego gagatka! No tak, rozumiem, chciała się zemścić za to, że zabrałam jej tego bydlaka Steinera... Jakie to podłe, przyciągać do siebie mężczyznę, którego ja wyrzuciłam za drzwi!

— Pan Mignon nie opowiada tych rzeczy w taki sposób — rzekł fryzjer. — Według niego hrabia panią wyrzucił... Tak. I w dodatku w sposób obrzydliwy, z kopniakiem w tyłek.

Nana zbladła nagle jak ściana.

— Jak to? Co? — krzyknęła — kopnął mnie w tytek?... Ach! On sobie za wiele pozwala!... Ależ, mój mały, to ja zrzuciłam ze schodów tego rogacza; hrabina zdradza go z wszystkimi, nawet z tym łotrem Faucherym... A Mignon napędza klientów temu koczkodanowi, swojej żonie, która jest tak chuda, że nikt jej nie chce!... Co za brudy! Co za brudy! — Dusiła się, ale znowu nabrała tchu. — Ach! To takie rzeczy mówią... Dobrze więc, mój Francis, pójdę ich sama odszukać. Czy chcesz, żebyśmy tam poszli zaraz?... Tak, pójdę i zobaczymy, czy będą mieli tupet mówić jeszcze o kopniakach w tyłek... Kopniaki! Ależ ja ich nigdy od nikogo nie dostałam. I widzisz, nigdy nikt mnie nie będzie bił, bo pożarłabym mężczyznę, który by mnie tknął.

W końcu jednak się uspokoiła. Ostatecznie, niech sobie gadają, co chcą, tyle ją obchodzą co błoto na jej butach. Mogłaby się zbrukać zajmując się nimi. Ma swój własny pogląd na te sprawy. Francis, ośmielony tym, że Nana w swym gospodarskim szlafroku tak mu się zwierza, na pożegnanie pozwolił sobie udzielić jej rady: niesłusznie tak wszystko poświęca dla jakiegoś kaprysu miłosnego. Takie kaprysy mogą człowiekowi po prostu złamać życie. Słuchała opuściwszy głowę. A fryzjer mówił z żalem, jak znawca, który cierpi widząc, że taka piękna dziewczyna tak się marnuje.

— To już moja sprawa — rzekła wreszcie. — W każdym razie dziękuję, mój drogi.

Uścisnęła mu rękę, zawsze trochę zatłuszczoną, mimo że wyglądał bardzo schludnie, i zeszła w dół, by kupić ryby. Przez cały dzień myślała o tym kopnięciu w tyłek. Powiedziała o tym nawet Fontanowi, znowu przyjmując postawę kobiety silnej, która nie zniosłaby prztyczka w nos. Fontan oświadczył wyniośle, że wszyscy mężczyźni z towarzystwa są chamami, którymi trzeba pomiatać. Od tej chwili Nana nabrała do nich prawdziwej pogardy.

Właśnie tego wieczoru poszli do teatru „Bouffes" zobaczyć, jak pewna znajoma Fontana debiutuje w maleńkiej rólce. Dochodziła już godzina pierwsza, gdy wdrapali się na Montmartre. Na ulicy Chaussee-d'Antin kupili ciastka mokka. Jedli je w łóżku, ponieważ w mieszkaniu było chłodno, a nie warto było rozpalać ognia. Siedząc przytuleni, z kołdrą na brzuchu, z poduszkami spiętrzonymi z tyłu, jedli kolację i rozmawiali o tej kobietce. Zdaniem Nany, jest brzydka i nieszykowna. Fontan, leżąc z brzegu, podawał kawałki ciastka, zostawione na nocnym stoliku, pomiędzy świecą i zapałkami. Ale w końcu doszło do sprzeczki.

— Och! Co ty mówisz! — krzyknęła Nana. — Ona ma takie świdrujące oczy, a włosy jak kłaki.

— Dajże spokój! — powtarzał Fontan. — Ma wspaniałe włosy i ogniste spojrzenie... Jakie to śmieszne, że wy, kobiety, tak się ze sobą żrecie! — Był wyraźnie podrażniony. — Tego już za wiele! — rzekł wreszcie brutalnym głosem. — Wiesz co, nie lubię, jak mi ktoś zawraca głowę... Śpijmy lepiej, bo to może się źle skończyć.

I zdmuchnął świecę. Ale Nana, wściekła, ciągnęła dalej: nie chce, żeby mówił do niej takim tonem, przywykła do tego, że ją wszyscy szanują. Ponieważ jednak Fontan nie odpowiadał, musiała umilknąć, lecz nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok.

— Psiakrew! Kiedy wreszcie przestaniesz się kręcić? — mruknął nagle, rzucając się gwałtownie.

— To nie moja wina, że w łóżku są okruchy — rzekła oschle. Rzeczywiście było pełno okruchów. Czuła je aż pod udami, dokuczały jej wszędzie. Jedna kruszyna ją paliła, musiała się drapać do krwi. Zresztą, czy nie wytrząsa się okruchów, jedząc w łóżku ciastko? Fontan wściekły zapalił świecę. Oboje wstali i boso, w koszulach, odchyliwszy kołdrę, zmiatali rękami okruchy z prześcieradła. On, drżąc z zimna, położył się znowu, posyłając ją do diabla, ponieważ kazała mu dobrze wytrzeć nogi. Wreszcie i ona wróciła do łóżka. Ale zaledwie się wyciągnęła, znowu skoczyła, bo jeszcze były okruchy.

— Do licha ciężkiego! Wiedziałam, że tak będzie — powtarzała. — Zgarnąłeś je znowu z podłogi nogami... Nie wytrzymam! Mówię ci, że nie wytrzymam!

Chciała przez niego przeleźć, żeby skoczyć na podłogę. Lecz Fontan, doprowadzony do ostateczności, chcąc spać, wymierzył jej policzek z całych sił. Policzek był tak mocny, że Nana nagle opadła na poduszkę. Była ogłuszona.

— Och! — jęknęła, głęboko wzdychając, jak dziecko.

Przez chwilę groził jej, że znowu oberwie, pytając, czy jeszcze ma zamiar się wiercić. Potem, zdmuchnąwszy świecę, wygodnie rozwalił się na plecach i natychmiast zaczął chrapać. Ona płakała cichutko, wetknąwszy nos w poduszkę. Jakie to nikczemne nadużywać swej siły. Naprawdę się bała, tak straszliwie zmieniła się pocieszna maska Fontana. Ale powoli udobruchała się, jakby policzek ją uspokoił. Czuła przed nim respekt, przyciskała się do ściany, żeby zostawić mu jak najwięcej miejsca. W końcu nawet usnęła z rozpaloną twarzą, z oczyma pełnymi łez, w rozkosznym znużeniu i takiej obezwładniającej uległości, że nie czuła już okruszyn. Gdy obudziła się rano, trzymała Fontana w nagich ramionach, przyciśniętego bardzo mocno do jej piersi. I mówiła czule: prawda, że nigdy już tego nie powtórzy? Zresztą ona go tak kocha, że nawet policzek z jego ręki sprawia jej rozkosz.

Od owego dnia rozpoczęło się nowe życie. Fontan bił ją o byle co. Ona przyzwyczaiła się do tych cięgów, choć niekiedy krzyczała i wygrażała mu. Wtedy przypierał ją do ściany i mówił, że ją udusi, co od razu skutkowało. Najczęściej padała na krzesło i łkała przez pięć minut. Potem o wszystkim zapominała i była wesoła, śpiewała, śmiała się i biegała po mieszkaniu furkocząc spódnicami. Gorzej było, że Fontan znikał teraz na całe dni i nigdy nie wracał przed północą. Odwiedzał kawiarnie, gdzie spotykał kolegów. Nana wszystko znosiła drżąca i czuła, nie robiąc mu żadnej wymówki, w obawie, że mógłby nie wrócić. Ale w niektóre dni. gdy nie było ani pani Maloir, ani ciotki z Ludwisiem, nudziła się śmiertelnie. Dlatego też w którąś niedzielę, kupując na targu La Rochefoucauld gołębie, ku swej radości spotkała Satin, która kupowała pęczek rzodkiewek. Od owego wieczoru, gdy książę pił szampana zafundowanego przez Fontana, obie straciły się z oczu.

— Jak to! Ty mieszkasz w tej dzielnicy? — rzekła Satin zdziwiona, że widzi ją o tej godzinie, w pantoflach, na ulicy. — Ach! Biedaczko, znalazłaś się więc w nędzy!

Nana zmarszczyła brwi dając jej znak, żeby umilkła, gdyż były tam jeszcze inne kobiety w szlafrokach włożonych na gołe ciało, z włosami rozpuszczonymi i białymi od pierza. Od rana wszystkie loretki z tej dzielnicy, skoro tylko odprawiły klientów, przychodziły załatwiać sprawunki. Oczy miały nabrzmiałe od snu, były w złym humorze i, zmęczone po odrażającej nocy, powłóczyły rannymi pantoflami. Schodziły ku targowi wszystkimi ulicami, które krzy-

żowały się w tym punkcie; były wśród nich kobiety blade, jeszcze młode i pełne uroku pomimo swego zaniedbania, tudzież straszne, otyłe, rozmamłane staruchy, które gwizdały sobie na to, że poza godzinami pracy ludzie widzą je w takim stanie. Gdy na trotuarze przechodnie oglądali się za nimi, żadna nie raczyła się nawet uśmiechnąć, tak wszystkie były zaaferowane i miały obojętne miny gospodyń, dla których mężczyźni już nie istnieją. W chwili gdy Satin płaciła za pęczek rzodkiewek, jakiś młody człowiek wyglądający na urzędnika, który spóźnił się do biura, rzucił jej w przejściu: „Dobry wieczór, kochanie." Natychmiast wyprostowała się i z pełną godności miną obrażonej królowej rzekła:

— Co tej świni strzeliło do głowy?

Ale potem miała wrażenie, że go poznaje. Trzy dni temu, gdy około północy szła w górę bulwaru, prawie przez pół godziny przemawiała do niego na rogu ulicy Labruyere, chcąc go skaptować. Ale to przypomnienie jeszcze bardziej ją wzburzyło.

— Cóż to za durnie! W biały dzień wykrzykują do człowieka takie rzeczy — zaczęła znowu. — Skoro jestem zajęta załatwianiem własnych spraw, mogę chyba żądać respektu.

Nana kupiła wreszcie gołębie, choć były wątpliwej świeżości. Satin chciała jej pokazać swoją bramę. Mieszkała obok, przy ulicy La Rochefoucauld. Skoro zostały same, Nana zaczęła opowiadać o swej miłości do Fontana. A ta mała jak wryta stała z rzodkiewkami w ręku, tak ją rozpaliły szczegóły opowiadania Nany; teraz ona z kolei zaczęła kłamać i przysięgać, że to ona wyrzuciła hrabiego Muffat za drzwi, dając mu porządnego kopniaka w tyłek.

— Och! Jak pysznie! Dałaś mu kopniaka! A on nic nie powiedział, prawda? Jakie to nikczemne! Szkoda, że tam nie byłam i nie widziałam jego gęby... Masz rację, kochanie. A pieniądze to furda. Ja, gdy się zakocham, to wszystko mi jedno, mogę nawet zdychać z głodu... No, przyjdź mnie odwiedzić, przyrzekasz? Drzwi na lewo. Zapukaj trzy razy, bo tu pełno natrętów.

Odtąd, ilekroć Nana za bardzo się nudziła, schodziła do Satin. Była zawsze pewna, że ją zastanie, gdyż przyjaciółka nigdy nie wychodziła z domu przed dziesiątą. Satin zajmowała dwa pokoje, które umeblował jej pewien aptekarz, chcąc ją uchronić przed policją. Lecz w ciągu niecałych trzynastu miesięcy połamała meble, podziurawiła siedzenia, zabrudziła firanki. Mieszkanie było tak wściekle zanieczyszczone i rozgrzebane, jakby w nim żyło stado oszalałych kocic. Gdy jej to wszystko już obrzydło i zabierała się od rana do sprzątania, zostawały jej w rękach pręty krzeseł i strzępy tapet rezultat — walki z brudem. W takie dni było jeszcze brudniej i nie można było wejść do mieszkania, ponieważ rozrzucone rzeczy zagradzały drzwi. Rzucała więc wszystko i przestawała zajmować się gospodarstwem. W świetle lampy szafa z lustrem, zegar i resztki firanek dawały jeszcze mężczyznom złudzenie, że mieszkanie jest urządzone. Zresztą, od sześciu miesięcy właściciel groził, że ją wyrzuci, dla kogo więc miała dbać o te meble? Może dla niego? Niedoczekanie! Gdy wstawała w dobrym humorze, krzyczała: „Wio, wio!", uderzając nogą mocno w boki szafy i komody, które trzeszczały.

Nana prawie zawsze zastawała ją leżącą. Nawet w te dni, kiedy schodziła załatwiać sprawunki, Satin była tak zmęczona wracając na górę, że zasypiała na brzegu łóżka. W ciągu dnia powłóczyła nogami, drzemała na krzesłach otrząsając się z tego omdlenia dopiero pod wieczór, gdy zapalano lampy gazowe. Nana czuła się u niej bardzo dobrze, siedząc bezczynnie w pokoju, gdzie łóżko było rozgrzebane, miednice rozstawione na podłodze, a spódnice, zabłocone poprzedniego wieczoru, brudziły fotele. Bez końca gadała i zwierzała się, a Satin w koszuli, zabłocona, podniósłszy nogi powyżej głowy, słuchała paląc papierosy. Niekiedy pozwalały sobie na absynt w te popołudnia, gdy miały zmartwienia, o których chciały zapomnieć. Nie schodząc na dół i nie wkładając nawet halki, Satin przechylała się przez poręcz schodów i wykrzykiwała zamówienie do córeczki konsjerżki, dziesięcioletniej dziewczynki, która przynosząc absynt w szklance rzucała spojrzenie na gołe nogi pani. Wszystkie rozmowy kończyły się stwierdzeniem, że mężczyźni to świnie. Nana była śmiertelnie nudna ze swoim Fontanem. Nie mogła powiedzieć dziesięciu stów nie zaczynając niepotrzebnie wałkować

tego, co on mówił i robił. Lecz Satin była dobrą dziewczyną, więc chętnie wysłuchiwała nie kończących się historii na temat czekania przy oknie, kłótni o przypaloną potrawkę czy też pojednania w łóżku po długich godzinach niemych dąsów. Czując potrzebę opowiadania o tych rzeczach, Nana doszła do tego, że mówiła jej o wszystkich cięgach, jakie obrywała. W ubiegłym tygodniu zrobił jej sińca pod okiem; wczoraj, ponieważ nie mógł znaleźć pantofli, pchnął ją na nocny stolik, tak że rozbiła sobie głowę. A Satin wcale się nie dziwiła, wydmuchując dym z papierosa i przerywając sobie tylko po to, by powiedzieć, że ona zawsze się schyla, dzięki czemu policzek trafia w próżnię. Obie pogrążały się w tych historiach o biciu, oszołomione głupimi faktami powtarzanymi po sto razy, jakby upojone niecnymi cięgami, o których mówiły. Nanę sprowadzała tu codziennie przyjemność powtarzania w kółko, jak Fontan ją bije, i opowiadania nawet o jego sposobie zdejmowania butów, zwłaszcza że Satin zaczęła w końcu żywo uczestniczyć w tych przeżyciach: przytaczała fakty jeszcze drastyczniejsze, jak na przykład, gdy opowiadała o cukierniku, który zostawiał ją na podłodze prawie martwą i którego mimo wszystko kochała. Ale potem nadchodziły dni, gdy Nana płakała oświadczając, że tak dalej być nie może. Satin odprowadzała ją aż do bramy i zostawała jeszcze godzinę na ulicy, żeby zobaczyć, czy on jej nie zamorduje. A nazajutrz obie kobiety przez całe popołudnie cieszyły się z pojednania, chociaż w głębi duszy wolały dni, w których brała cięgi, gdyż to je bardziej pasjonowało.

Stały się nierozłączne. Jednakże Satin nigdy nie chodziła do Nany, ponieważ Fontan oświadczył, że nie chce w swym domu oglądać ladacznicy. Wszędzie chodziły razem. Satin zaprowadziła któregoś dnia swoją przyjaciółkę do pewnej kobiety, właśnie tej pani Robert, która interesowała Nanę i która wzbudzała w niej pewien respekt od czasu, gdy odmówiła przyjścia do niej na kolację. Pani Robert mieszkała przy ulicy Mosnier; była to nowa i spokojna ulica w dzielnicy Europy, gdzie nie ma żadnego sklepu, a w pięknych domach z małymi mieszkaniami jest pełno kokot. Była godzina piąta. Wzdłuż opustoszałych trotuarów, w arystokratycznej ciszy wysokich, białych domów stały powozy giełdziarzy i kupców, a mężczyźni szybko się przemykali, kierując oczy w górę, ku oknom, gdzie zdawały się czekać kobiety w peniuarach. Nana najpierw nie chciała wejść na górę, mówiąc z miną skrzywioną, że nie zna tej damy. Lecz Satin nalegała i twierdziła, że zawsze przecież można przyprowadzić do domu przyjaciółkę. Chciała tylko złożyć wizytę grzecznościową. Pani Robert, którą Satin poprzedniego dnia spotkała w restauracji, okazała się bardzo miła i kazała jej przysiąc, że ją odwiedzi. Nana wreszcie ustąpiła. Na górze zaspana służąca powiedziała im, że pani jeszcze nie wróciła. Jednakże wprowadziła je do salonu, gdzie je zostawiła.

— Do kaduka! Jak tu elegancko! — szepnęła Satin.

Było to solidne mieszczańskie mieszkanie obite ciemnymi tkaninami, jakby urządzone według gustu paryskiego sklepikarza, który się wycofał z interesów dorobiwszy się majątku. Nana chciała żartować, ale Satin gniewało to — ręczyła za cnotliwość pani Robert, którą można zawsze spotkać w towarzystwie starszych i poważnych mężczyzn, podających jej swe ramię. Obecnie pani Robert ma dawnego czekoladnika, człowieka poważnego. Gdy do niej przychodzi, oczarowany wysokim poziomem jej domu, każe się anonsować i mówi do niej „moje dziecko".

— Popatrz, to ona! — podjęła Satin pokazując fotografię ustawioną przed zegarem.

Nana przez chwilę przyglądała się portretowi. Przedstawiał on bardzo ciemną brunetkę o wydłużonej twarzy i wargach ściągniętych dyskretnym uśmiechem. Gdyby w niej było trochę więcej powściągliwości, wyglądałaby zupełnie jak dama z towarzystwa.

— To zabawne — szepnęła w końcu — na pewno widziałam gdzieś tę twarz. Ale nie wiem już gdzie. W każdym razie to nie było w miejscu przyzwoitym... O nie, na pewno nie w przyzwoitym miejscu. — I zwracając się do przyjaciółki, dodała: — Więc musiałaś jej obiecać, że ją odwiedzisz. Czegóż ona chce od ciebie?

— Czego chce ode mnie? Dalibóg! Na pewno chce porozmawiać, spędzić ze mną chwilę... Tak z grzeczności.

Nana uważnie spoglądała na Satin, potem lekko mlasnęła językiem. Ostatecznie to było jej obojętne. Lecz ponieważ ta dama kazała im na siebie czekać, oświadczyła, że dłużej czekać nie będzie, i obie wyszły.

Nazajutrz Fontan uprzedził Nanę, że nie wróci na obiad. Zeszła więc wcześnie po Satin, by fundnąć jej ucztę w restauracji. Wybór lokalu był trudną sprawą. Satin proponowała piwiarnie, które, zdaniem Nany, były wstrętne. W końcu namówiła ją na jedzenie u Laury przy ulicy des Martyrs, gdzie była kuchnia domowa, a obiad kosztował trzy franki.

Znudzone czekaniem na ulicy i nie wiedząc, co robić, weszły na górę do Laury o dwadzieścia minut za wcześnie. Trzy salony były jeszcze puste. Ulokowały się przy stole w tym salonie, w którym Laura Piedefer królowała na wysokiej ławce przy ladzie. Była to pięćdziesięcioletnia dama o kształtach obfitych, ściągniętych paskami i gorsetami. Kobiety przychodziły jedna za drugą, wspinały się nad talerzami i z czułą poufałością całowały Laurę w usta. A ten potwór o wilgotnych oczach starał się nie wzbudzać zazdrości, udzielając się jednakowo wszystkim. Za to służąca, która obsługiwała te damy, była wysoka, chuda i zniszczona. Miała czarne powieki i ponure, ogniste spojrzenie. Trzy salony szybko się zapełniły. Było około setki klientek, które obsiadły stoły na chybił trafił. Większość z nich zbliżała się do czterdziestki. Były ogromne, otyłe, z podejrzanymi obrzękami dokoła zwiędłych ust. Wśród tych wydętych piersi i brzuchów widać było kilka ładnych, szczupłych dziewczyn, które miały jeszcze naiwny wygląd pomimo wyzywających gestów. Były to debiutantki zabrane z jakiejś knajpy i przyprowadzone przez którąś klientkę do Laury, gdzie grube kobiety, oczarowane ich młodością, tłoczyły się zabiegając o względy i fundując im smakołyki, jak podnieceni starzy kawalerowie. Mężczyzn było tu niewielu, najwyżej dziesięciu do piętnastu. Zachowywali się skromnie wśród zaborczego falowania spódnic. Jedynie czterech ciekawskich zuchów pokpiwało bardzo swobodnie.

— Dobra ta ich potrawka, prawda? — mówiła Satin.

Nana zadowolona potakiwała głową. Jadły solidny obiad, jaki z dawien dawna podawano w prowincjonalnym domu: *vol-au-vent* z wykwintnym sosem, kura z ryżem, fasolka w sosie, mrożony krem waniliowy z karmelem. Damy rzucały się szczególnie na kurę z ryżem, aż im staniki pękaty, i delikatnie wycierały usta rękami. Z początku Nana bała się spotkań z dawnymi przyjaciółkami, które mogłyby jej stawiać głupie pytania. Lecz uspokoiła się, gdyż nie spostrzegła żadnej twarzy znajomej w tym nader mieszanym tłumie, gdzie wyblakłe suknie i marne kapelusze sąsiadowały z bogatymi toaletami; skłonność do tej samej perwersji bratała tu wszystkie kobiety. W pewnej chwili zainteresował ją młody człowiek z krótkimi, kędzierzawymi włosami i bezczelnym wyrazem twarzy; trzymał w napięciu cały stół tłustych dziewek, ulegających jego najmniejszemu kaprysowi. Młody człowiek śmiał się, a jego pierś falowała.

— Popatrz, to kobieta! — krzyknęła. Satin, która opychała się kurą, podniosła głowę i szepnęła:

— Ach tak! Znam ją... Bardzo tajna! Jest rozrywana.

Nana skrzywiła się z obrzydzeniem. Tego jeszcze nie rozumiała. Mówiła jednak rozsądnie, że nie trzeba spierać się o gusty i kolory, gdyż nigdy nie wiadomo, co pewnego dnia można jeszcze polubić. Dlatego z filozoficzną miną jadła krem, widząc wyraźnie, że wielkie, dziewicze niebieskie oczy Satin wywołują poruszenie przy sąsiednich stołach. Obok Satin siedziała bardzo uprzejma, tęga blondyna. Paliła się do niej i tak napierała, że Nana chciała się już w to wmieszać.

Lecz uwagę jej odwróciła kobieta, która właśnie wchodziła. Poznała w niej panią Robert, która z uroczą minką burej myszy skinęła poufale głową w kierunku wysokiej, szczupłej blondyny, a potem oparta się o kontuar Laury. Zamieniły długi pocałunek. Nana stwierdziła, że ta pieszczota jest bardzo śmieszna u kobiety tak dystyngowanej, tym bardziej że pani Robert nie miała już właściwego sobie skromnego wzięcia, wręcz przeciwnie; rozmawiając po

cichu, rzucała spojrzenia na salon. Laura znowu usiadła pełna godności jak stare bóstwo występku o twarzy zniszczonej i wylakierowanej pocałunkami wiernych. Siedząc tak nad pełnymi talerzami, królowała swej klienteli złożonej z grubych kobiet, sama monstrualna wśród najtęższych, rozparta jakby na tronie majętnej właścicielki restauracji, który był wynagrodzeniem za czterdzieści lat praktyki.

Lecz pani Robert zauważyła Satin. Zostawiła więc Laurę, przybiegła i starała się być czarująca mówiąc, jak bardzo żałuje, że nie było jej poprzedniego dnia w domu. A gdy Satin, zachwycona, chciała koniecznie zrobić jej trochę wolnego miejsca, przysięgała, że jest już po obiedzie. Przyszła tu tylko zajrzeć. Mówiąc tak i stojąc za swą nową przyjaciółką, opierała się o jej ramiona i z przymilnym uśmiechem powtarzała:

— No więc, kiedy panią zobaczę? Gdyba pani była wolna... Nana niestety, nie mogła więcej usłyszeć. Ta rozmowa ją irytowała, koniecznie chciała powiedzieć tej przyzwoitej damie parę słów prawdy. Lecz sparaliżował ją widok nadchodzącej paczki kobiet eleganckich, wystrojonych i w diamentach. Do Laury, z którą wszystkie były na ty, przychodziły z przewrotności, prezentując na sobie kosztowne kamienie wartości stu tysięcy franków, by zjeść u niej obiad po trzy franki od osoby i wywoływać zazdrosne zdziwienie biednych, zabłoconych dziewczyn. Gdy weszły mówiąc głośno, śmiejąc się wesoło i wnosząc z sobą jakby promień słońca, Nana żywo odwróciła głowę zakłopotana tym, że poznała wśród nich Lucy Stewart i Marię Blond. Prawie przez pięć minut, gdy te damy rozmawiały z Laurą, zanim przeszły do sąsiedniego salonu, miała nos opuszczony i minę osoby bardzo zajętej ugniataniem okruchów chleba na obrusie. A gdy wreszcie mogła się odwrócić, osłupiała: krzesło obok niej było puste, Satin zniknęła.

— Gdzież ona jest? — spytała głośno.

Tęga blondyna, która okazywała szczególne względy Satin, zaśmiała się złośliwie; a ponieważ Nana, podrażniona tym śmiechem, patrzała na nią groźnie, powiedziała miękkim, dźwięcznym głosem:

— To, ma się rozumieć, nie ja, ale tamta pani ją odbiła.

Rozumiejąc, że mogą się z niej natrząsać, Nana nic już na to nie powiedziała. Siedziała jeszcze przez chwilę, by nie okazać gniewu. W sąsiednim salonie słyszała wybuchy śmiechu Lucy Stewart, która raczyła poczęstunkiem cały stół dziewczynek przybyłych tu z balu na Montmartre i w Chapelle. Było bardzo gorąco, służąca sprzątała stosy brudnych talerzy, rozchodził się silny zapach kury z ryżem. Czterej panowie zaczęli w końcu nalewać wykwintne wino sześciu usługującym, marząc o tym, by spoić dziewczyny i usłyszeć ordynarne wyrazy. Nana wściekała się, że musi zapłacić za obiad Satin. A to dopiero dziewucha! Każe sobie fundować libacje, a potem zwiewa z pierwszym lepszym, nie racząc nawet powiedzieć dziękuję! Chociaż chodziło tylko o trzy franki, było jej przykro, gdyż sposób załatwienia sprawy był po prostu obrzydliwy. Jednakże zapłaciła, rzucając sześć franków Laurze, którą wówczas gardziła bardziej niż błotem z rynsztoka.

Znalazłszy się na ulicy des Martyrs, Nana poczuła, że jej wściekłość jeszcze się potęguje. Oczywiście, nie miała zamiaru biegać za Satin, nie chcąc wtykać nosa w takie paskudztwo. Ale wieczór miała już zepsuty i poszła wolno w kierunku Montmartre'u, pieniąc się szczególnie na panią Robert. Ta doprawdy ma wyjątkowy tupet i jeszcze śmie udawać kobietę dystyngowaną. Rzeczywiście, jest może dystyngowana, ale chyba w garkuchni! Teraz już była pewna, że spotkała ją w „Motylu", podejrzanej knajpie przy ulicy des Poissoniers, gdzie mężczyźni brali ją za trzydzieści su. Jak to umiało skromnymi minkami nabierać naczelników ministerialnych, jak to odmawiało przyjmowania zaproszeń na kolacje, by udawać cnotę! Doprawdy, ona i cnotliwa! Przecież właśnie takie skromnisie puszczają się na całego w podłych dziurach, których nikt nie zna.

Wałkując te rzeczy Nana doszła do swego mieszkania przy ulicy Veron. Osłupiała na widok światła w mieszkaniu. Fontan wrócił ponury, gdyż jego także porzucił przyjaciel, który mu

zafundował obiad. Ozięble słuchał wyjaśnień Nany, która obawiała się bicia, przerażona, że zastała go już w domu, a przecież nie oczekiwała jego powrotu przed godziną pierwszą w nocy. Kłamała mówiąc, że wydała sześć franków w towarzystwie pani Maloir. Był nadal pełen godności i podał Nanie list do niej zaadresowany, który spokojnie otworzył. Był to list od Jerzego, który ciągle jeszcze siedział zamknięty w Fondettes i chcąc ulżyć swej tęsknocie pisał co tydzień płomienne kartki. Nana uwielbiała takie listy miłosne pełne przysiąg i odczytywała je wszystkim. Fontan znał i cenił styl Jerzego, lecz owego wieczoru Nana tak bardzo obawiała się sceny zazdrości, że udała obojętność. Z posępną miną szybko przeczytała list i natychmiast go odrzuciła. Fontan zaczął bębnić w szybę, znudzony, że tak wcześnie ma się kłaść do łóżka, i nie wiedząc, czym wypełnić wieczór. Nagle odwrócił się i rzekł:

— A może byśmy zaraz napisali odpowiedź do tego chłopaka. Zazwyczaj on pisał te listy, stylizując je z trudem. Ale potem był uszczęśliwiony, gdy Nana, rozentuzjazmowana głośnym czytaniem jego listu, całowała go krzycząc, że tylko on mógł wymyślić takie rzeczy. Wszystko to rozpalało ich uczucia i uwielbiali się wzajemnie.

— Jak chcesz — odrzekła. — Zrobię herbatę, a potem pójdziemy do łóżka.

Fontan rozłożył się na stole z piórem, atramentem i papierem. Okrągłym gestem zgiął rękę, wysunął podbródek.

— „Serce moje” — zaczął głośno.

Ślęczał nad tym ponad godzinę, rozmyślając długo nad jednym zdaniem, podtrzymując rękami głowę. Wygładzał styl i uśmiechał się do siebie, gdy znalazł jakieś czułe wyrażenie. Nana w milczeniu wypiła już dwie filiżanki herbaty. Wreszcie przeczytał list tak, jak się czyta w teatrze, bezbarwnym głosem i gestykulując. Na pięciu stronach rozpisał się o „rozkosznych godzinach spędzonych w Mignotte, godzinach, których wspomnienie ma urok subtelnych perfum”, przysięgał „wieczystą wierność tej wiośnie miłości” i kończył list oświadczeniem, że jedynym jego pragnieniem jest „na nowo przeżyć to szczęście, jeśli można szczęście przeżyć po raz drugi”.

— Wiesz co — wyjaśnił — robię to wszystko przez grzeczność. Z chwilą gdy to dla żartu... Jednak myślę, że moja mata jest wzruszona!

Triumfował. Lecz Nana, nieufna, zachowała się niezręcznie zamiast rzucić się mu na szyję z okrzykiem zachwytu. Uważała, że list jest dobry, i tyle. To zirytowało Fontana: jeśli list jej się nie podoba, może sobie sama napisać inny. W rezultacie nie pocałowali się jak zwykle po wymianie wyznań miłosnych, lecz stali ozięble po obu stronach stołu. Nalała mu jednak filiżankę herbaty.

— A to dopiero świństwo! — krzyknął, skoro tylko umaczał wargi. — Nasypałaś mi soli!

Na nieszczęście Nana wzruszyła ramionami. Fontan wpadł we wściekłość.

— Ach! Tego już za wiele!

I zaczęła się kłótnia na dobre. Zegar wskazywał dopiero dziesiątą, musieli więc czymś zabić czas. Miotał się, w powodzi obelg rzucał Nanie w twarz różnego rodzaju oskarżenia, nie pozwalając jej się bronić. Jest brudna, głupia, łajdaczy się na każdym kroku. Potem przyczepił się do pieniędzy. Czy on, jedząc obiad na mieście, pozwala sobie wydać sześć franków? Jemu inni fundują obiady, w przeciwnym wypadku zjadłby tylko rosół i sztukę mięsa. I w dodatku wyrzucać pieniądze na tę rajfurę Maloir, na tę szkapę, którą od razu wypchnąłby za drzwi! O! daleko by zaszli, gdyby oboje codziennie tak wyrzucali za okno po sześć franków!

— Przede wszystkim musimy się rozliczyć! — krzyczał. — Dawaj no pieniądze. Jak to wszystko wygląda?

Wyłaziło z niego całe wstrętne skąpstwo. Nana, opanowana, choć przerażona, spiesznie wyjęła z sekretery resztę pieniędzy i podała mu. Do tej pory kasa była wspólna, czerpali z niej swobodnie.

— Jak to! — rzekł przeliczywszy pieniądze. — Z siedemnastu tysięcy pozostało zaledwie siedem tysięcy franków, a żyjemy razem dopiero trzy miesiące... To niemożliwe.

Zerwał się, pchnął sekreterę i wyjął szufladę, by przejrzeć ją w świetle lampy. Lecz istotnie było zaledwie sześć tysięcy osiemset parę franków. Rozpętała się burza.

— Dziesięć tysięcy franków w trzy miesiące! — pyskował. — Na miłość boską, coś ty z nimi zrobiła? No, mówże!... Dajesz pewnie wszystko tej szczapie ciotce albo opłacasz chłopów, to jasne... Odpowiesz wreszcie?

— Ach, po co się tak złościć — rzekła Nana. — Rachunek jest przecież bardzo prosty... Nie liczysz mebli, musiałam też sprawić bieliznę. Gdy człowiek się urządza, pieniądze szybko topnieją.

Ale Fontan, choć sam żądał wyjaśnień, nie chciał ich słuchać.

— O tak, za szybko topnieją — podjął już spokojniej. — Widzisz, moja mała, mam dość tej wspólnej kuchni. Sama wiesz, że te siedem tysięcy franków należy do mnie. Wobec tego zatrzymuję je, bo nie chcę zrujnować się do reszty. Każde z nas dostało swoją część.

I ostentacyjnie schował pieniądze do kieszeni. Nana patrzała na niego przerażona, a on uprzejmie ciągnął dalej:

— Rozumiesz chyba, że nie jestem tak głupi, by utrzymywać cudze ciotki i dzieci... Jeśli ci się podobało wydać swoje pieniądze, to twoja sprawa. Ale wara od moich!... Skoro każesz zrobić dobry obiad, zapłacę połowę. Po prostu wieczorem załatwimy rachunki. Raptem Nana się zbuntowała. Nie mogła powstrzymać okrzyku:

— Słuchaj, a ty czy nie przejadałeś moich dziesięciu tysięcy franków... Cóż to za świństwo!

Ale Fontan nie wdawał się w dalsze dyskusje. Wymierzył jej przez stół siarczysty policzek mówiąc:

— Spróbuj tylko powtórzyć!

Nana jednak powtórzyła. Rzucił się więc na nią, zaczął ją kopać i bić pięściami. Doprowadził ją niebawem do takiego stanu, że, jak zwykle, z płaczem się rozbierała, by położyć się do łóżka. On sapał i też zabierał się do spania, gdy spostrzegł na stole list, który napisał do Jerzego. Złożył go starannie, stojąc przed łóżkiem i mówiąc z groźną miną:

— Ten list jest bardzo dobrze napisany, sam go wrzucę do skrzynki, nie lubię kaprysów... Nie jęcz już, bo mnie drażnisz.

Nana, która jeszcze popłakiwała, wstrzymała oddech. A gdy on położył się do łóżka, z łkaniem rzuciła mu się na pierś. Ich bijatyki zawsze się tak kończyły. Drżała z obawy, że go straci, mimo wszystko chciała wiedzieć, że należy do niej. Dwa razy odepchnął ją wyniosłym gestem. Lecz ciepły uścisk tej skomlącej kobiety, z wielkimi, wilgotnymi oczami wiernego zwierzęcia rozpalił w nim pożądanie. Grał rolę łaskawcy, nie zniżając się jednak do zrobienia pierwszego kroku w kierunku pojednania. Pozwalał się pieścić i brać siłą jak mężczyzna, którego przebaczenie jest warte zdobywania. Potem ogarnął go niepokój. Obawiał się, że Nana gra może komedię, chcąc odzyskać klucz od kasy. Świeca już zgasła, gdy poczuł nieodpartą chęć utwierdzenia swych postanowień.

— Wiesz co, moja droga, ja zupełnie serio zatrzymuję pieniądze. Nana, która już zasypiała oparta o jego szyję, znalazła wspaniałomyślną odpowiedź.

— Tak, nie bój się... Będę pracowała.

Lecz od owego wieczoru ich współżycie stawało się coraz trudniejsze. Przez cały tydzień słychać było odgłosy bicia po twarzy, jakby tykanie zegara regulujące ich dni. Nana, w miarę obrywania cięgów, subtelniała; skórę miała coraz delikatniejszą, białoróżową, jasną i miękką w dotyku. Była teraz jeszcze ładniejsza. Toteż Prullière szalał za nią i gdy tylko nie było w domu Fontana, przychodził, by całować ją po kątach. Lecz ona się broniła z oburzeniem i rumieńcami wstydu. Przejmowało ją wstrętem, że chce oszukiwać przyjaciela. A Prullière, rozdrażniony, szydził: doprawdy stawała się bardzo głupia! Jak też mogła przywiązać się do podobnej małpy? Bo przecież Fontan to istna małpa ze swym wielkim, ciągle ruszającym się nosem. Obrzydliwiec! I w dodatku ją zadręczał.

— Być może, ale ja go takiego kocham — odrzekła któregoś dnia ze spokojną miną kobiety przyznającej się do szkaradnego gustu.

Boscowi wystarczało, że możliwie często przychodził na obiady. Wzruszał ramionami za plecami Prullière'a, uważając go za chłopca ładnego, ale niepoważnego. Bosc kilka razy był świadkiem scen małżeńskich, a gdy podczas deseru Fontan policzkował Nanę, żuł dalej spokojnie, uważając, że wszystko to jest normalne. W zapłatę za obiad rozpływał się zawsze nad ich szczęściem. Mówił, że jest filozofem i zrezygnował z wszystkiego, nawet ze sławy. Prullière i Fontan, rozparci w krzesłach, siedzieli nieraz długo przy sprzątniętym stole, opowiadając sobie do godziny drugiej w nocy o swych sukcesach, gestykulując przy tym i mówiąc teatralnym głosem. A tymczasem Bosc, pogrążony w myślach, tylko od czasu do czasu pogardliwie wzdychał i w milczeniu kończył butelkę koniaku. Cóż pozostało po wielkim aktorze Talmie? Nic. Niech mu więc dadzą spokój, bo wszystko jest zbyt głupie.

Pewnego wieczoru zastał Nanę w łzach. Zdjęła kaftanik, by pokazać plecy i ramiona, czarne od bicia. Obejrzał jej skórę, jakby to zrobił ten głupi Prullière, i rzekł sentencjonalnie:

— Moja droga, gdzie są kobiety, tam nie może się obejść bez bicia. Zdaje mi się, że to powiedział Napoleon... Umyj się w wodzie z solą. Na takie bóle — to świetne. Pociesz się, dostaniesz jeszcze więcej sińców i nie skarż się, dopóki niczego ci nie połamie... A teraz zapraszam się do stołu, bo widziałem pieczeń baranią.

Ale pani Lerat nie hołdowała tej filozofii. Ile razy Nana pokazywała jej nowy siniec na swej białej skórze, głośno krzyczała, że jej mordują siostrzenicę, i dalej tak być nie może. Prawdę mówiąc, Fontan wyrzucił panią Lerat za drzwi, oświadczając, że nie chce jej już widzieć w swym domu. Od owego dnia, jeżeli była u Nany, a on wracał, musiała wychodzić przez kuchnię, co ją straszliwie upokarzało. Dlatego też ciągle coś knuła przeciwko temu gburowi. Zarzucała mu przede wszystkim, że jest źle wychowany, robiła przy tym miny damy z towarzystwa, której nikt nie może robić uwag na temat dobrego wychowania.

— Och! To widać od razu — powiedziała do Nany. — On nie ma najmniejszego wyczucia form towarzyskich. Jego matka musiała być prostaczką. Tylko nie zaprzeczaj, bo to się czuje od razu!... Nie mówię już o sobie, choć osoba w moim wieku ma prawo do pewnych względów... Ale jak ty możesz znieść jego złe maniery? Bo, nie schlebiając sobie, muszę stwierdzić, że zawsze cię uczyłam odpowiedniego zachowania się i w domu udzielano ci najlepszych rad. Przecież w naszej rodzinie wszyscy byli bardzo dobrze wychowani. Nana nie przeczyła, tylko słuchała z opuszczoną głową.

— Zresztą — ciągnęła dalej ciotka — ty znałaś tylko osoby dystyngowane... Właśnie wczoraj rozmawiałyśmy o tym u mnie z Zoè. Ona też nie może tego pojąć. „Jak to — mówiła — pani, która wodziła za nos pana hrabiego, człowieka tak doskonałego w każdym calu (bo, między nami mówiąc, robiłaś z niego osła), jakżeż pani może pozwolić, by ją masakrował ten pajac?” Ja zaś dodałam, że bicie można by jeszcze znieść, ale nigdy nie ścierpiałabym chamstwa... Ostatecznie nic nie przemawia na jego korzyść. Nie chciałabym go w swej sypialni, choćby tylko na obrazie. A ty się rujnujesz dla takiego ptaszka. Tak, rujnujesz się, kochanie, i chodzisz już z wywieszonym językiem, a tymczasem mogłabyś mieć tylu bogatszych i spośród osobistości rządowych... No, dość już tego! To nie ja powinnam mówić te rzeczy. Lecz swoją drogą, przy pierwszym grubiaństwie osadziłabym go pytaniem: „Za kogóż mnie pan uważa?”, i powiedziałabym to z tą twoją wyniosłą miną, która by go ścięła z nóg.

Ale Nana wybuchła szlochem, bełkocąc:

— Och, ciociu, ja go kocham.

Prawdę mówiąc, pani Lerat była zaniepokojona, że siostrzenica z trudem jej daje od czasu do czasu dwadzieścia su na utrzymanie Ludwisia. Bez wątpienia chętnie by się poświęcała i trzymała dalej dziecko, czekając na lepsze czasy, lecz myśl, że Fontan przeszkadza jej, dziecku i Nanie pławić się w złocie, wściekała ją i kazała potępiać miłość. Dlatego kończyła swe przemówienie słowami:

— Słuchaj, gdy pewnego dnia on cię już doszczętnie zrujnuje, przyjdziesz zapukać do moich drzwi, a ja ci otworzę.

Niebawem pieniądze stały się wielką troską Nany. Fontan zabrał tych siedem tysięcy franków; oczywiście, były one w bezpiecznym miejscu i nigdy nie odważyłaby się o nie pytać, gdyż postępowała nieśmiało z tym ptaszkiem, jak go nazywała pani Lerat. Bała się, by nie przypuszczał, że zależy jej na nim ze względu na tych parę groszy. Obiecał solennie, że będzie dawał na dom. Z początku dawał codziennie rano trzy franki. Lecz miał wymagania mężczyzny, który płaci. Za te trzy franki chciał mieć wszystko: masło, mięso, nowalijki. A jeśli odważyła się robić jakieś uwagi, dając do zrozumienia, że za trzy franki nie można wykupić całych Hal, unosił się i uważał ją za niedorajdę, partaczkę, gapę, którą kupcy okradają. Zresztą, ciągle jej wygrażał, że znajdzie sobie gdzie indziej mieszkanie i utrzymanie. Po miesiącu zdarzało się, że w niektóre dni rano zapominał położyć na komodzie trzy franki. Nana pozwoliła sobie prosić o nie nieśmiało, w sposób wykrętny. Z tego wynikały takie kłótnie, tak jej z najmniejszego powodu uprzykrzał życie, że wolała już na niego nie liczyć. Natomiast w te dni, gdy nie zostawiał jej pieniędzy, a mimo to dostawał jedzenie, był wesoły jak ptaszek, nadskakiwał Nanie, całował ją i tańczył z krzesłami. A ona, szczęśliwa z tego powodu, nie chciała już oglądać pieniędzy na komodzie, choć z trudem wiązała koniec z końcem. Pewnego dnia nawet mu oddała jego trzy franki, zmyślając jakąś historię, że ma jeszcze pieniądze z poprzedniego dnia. Ponieważ jednak poprzedniego dnia nie zostawił pieniędzy, zawahał się, w obawie, że Nana mu da nauczkę. Lecz ona patrzała na niego z miłością i całowała go w bezwzględnym oddaniu. Schował więc monety do kieszeni, drżąc konwulsyjnie jak skąpiec, który odzyskał straconą sumę. Odtąd już się o nic nie troszczył i nigdy nie pytał, skąd się biorą pieniądze. Był tylko chmurny, gdy mu podano kartofle, a śmiał się całą gębą, gdy była indyczka albo pieczeń barania, nie szczędząc wszakże paru klapsów, które wymierzał Nanie nawet w chwilach szczęścia, nie chcąc wyjść z wprawy.

Nana znalazła więc sposób, by na wszystko starczyło. W niektóre dni mieli żywności po dziurki od nosa. Dwa razy tygodniowo Bosc nabawiał się niestrawności z przejedzenia. Pewnego wieczoru, gdy pani Lerat wychodziła od nich, wściekła na widok przygotowanego sutego obiadu, którego nie miała jeść, nie mogła się powstrzymać, by nie spytać brutalnie, kto za to płaci. Nana, zaskoczona, zgłupiała i zaczęła płakać. ─ A to ładna historia ─ rzekła ciotka, która wszystko zrozumiała. Nana musiała ulec, by odzyskać spokój w domu. Zawiniła też Tricona, którą pewnego dnia spotkała na ulicy Laval, gdy Fontan wyszedł wściekły, bo dostał danie z wątłusza. Zgodziła się wtedy na propozycję Tricony, która właśnie znalazła się w kłopotach. Ponieważ Fontan nie wracał nigdy przed godziną szóstą, mogła dysponować popołudniem. Zarabiała cztedzieści, sześćdziesiąt franków, a nieraz i więcej. Mogła była żądać po dziesięć i piętnaście ludwików, gdyby zachowała swą dawną pozycję; ale była i tak bardzo zadowolona, że dzięki temu miała co włożyć do garnka. Wieczorem zapominała o wszystkim, gdy Bosc pękał z obżarstwa, a Fontan, wsparty na łokciach, pozwalał się całować w oczy z wyniosłą miną mężczyzny, który jest wart kochania.

Tak więc uwielbiając swego najdroższego, swego pieska ukochanego, zaślepiona miłością, Nana wpadła znowu w dawne brudy. W pogoni za paru groszami łajdaczyła się i szlifowała bruki starymi trepami flejtucha. W którąś niedzielę na targu La Rochefoucauld pojednała się z Satin, na którą najpierw się rzuciła, wymawiając jej z wściekłością panią Robert. Lecz Satin odpowiedziała jej tylko, że skoro ktoś czegoś nie lubi, nie musi zaraz obrzydzać tego innym. Nana wspaniałomyślnie wybaczyła, ulegając filozoficznej zasadzie, że nigdy nie wiadomo, jak się człowiekowi życie ułoży. I, rozciekawiona, zaczęła ją nawet wypytywać o szczegóły występnego związku; dziwiła się, że w swoim wieku i przy swoim doświadczeniu dowiaduje się jeszcze nowych rzeczy. Śmiała się i wykrzykiwała. Wszystko to wydawało się jej zabawne, choć budziło pewien wstręt, gdyż w gruncie rzeczy jak mieszczka oceniała, co tylko wykraczało poza zakres jej własnych przyzwyczajeń. Wróciła więc do Laury i jadała tam, gdy Fontan zostawał na obiedzie poza domem. Bawiły ją różne historyjki, opowieści o miłościach i zazdrościach, które pasjonowały klientki, ale nie odrywały ich od jedzenia. Nie dała się jed-

nak jeszcze wciągnąć w to życie. Gruba Laura z macierzyńską czułością zapraszała ją często, by spędziła kilka dni w jej willi w Asnieres, wiejskim domu, gdzie były pokoje dla siedmiu pań. Lecz Nana bała się i odmawiała. Dopiero pod wpływem Satin, która jej opowiedziała, że panowie z Paryża tam je bujają na huśtawkach i grają w beczkę[2], obiecała pojechać później, gdy będzie mogła oddalić się z domu.

W tym czasie Nanie, zatroskanej brakiem pieniędzy, nie były w głowie zabawy. Gdy Tricona jej nie potrzebowała, co, niestety, zdarzało się często, nie wiedziała, gdzie sprzedawać swe ciało. Wychodziła więc z Satin włócząc się wytrwale po bruku paryskim, po zabłoconych, zbrukanych występkiem uliczkach, w mętnym świetle lamp gazowych. Nana wróciła do spelunek, gdzie kiedyś unoszono jej pierwsze brudne halki. Ujrzała znowu ciemne kąty bulwarów i odboje u bram, gdzie mężczyźni ją całowali, gdy miała piętnaście lat, a ojciec jej szukał, by sprać córce tyłek. Biegały we dwie po całej dzielnicy, po balach i kawiarniach, wspinając się po schodach wilgotnych od plwocin i rozlanego piwa. Albo też szły wolno ulicami w górę i przystawały w bramach. Satin, która debiutowała w Dzielnicy Łacińskiej, zaprowadziła Nanę do Bulliera i do piwiarni przy bulwarze Saint-Michel. Lecz zbliżały się wakacje i w tej dzielnicy nazbyt już cuchnęło nędzą. Wróciły więc znowu na wielkie bulwary, gdyż tam jeszcze miały większe szanse. Od wyżyn Montmartre'u aż do dzielnicy Obserwatorium przemierzały tak całe miasto. Godzinami wystawały lub tłukły się po ulicach wśród potrąceń, kłótni i brutalnych uwag jakiegoś przechodnia, który dał się zaprowadzić do podejrzanej nory, a potem, klnąc, wracał brudnymi schodami. Tak powtarzało się zarówno w wieczory deszczowe, gdy wykręcały trzewiki, jak i w wieczory ciepłe, gdy bluzki przylepiały się im do skóry.

Kończyło się lato, obfitujące w burze i gorące noce. Wychodziły razem po obiedzie około godziny dziewiątej. Trotuarem ulicy Notre-Dame de Lorette sunęły spiesznie w kierunku bulwarów dwa rzędy kobiet, przemykających się obok sklepów, z podkasanymi spódnicami, z opuszczonymi nosami i minami zaaferowanymi, nie patrząc wcale na wystawy. To loretki z dzielnicy Breda wychodziły na łowy, skoro tylko zapalono latarnie gazowe. Nana i Satin szły wzdłuż kościoła, a dalej, jak zawsze, ulicą Le Peletier. Potem sto metrów przed kawiarnią „Riche". gdy przybyły na swój teren działania, opuszczały ogony sukien trzymane dotychczas w ręku. Nie bacząc już na pył, zamiatały trotuary, kołysały się w talii idąc drobnymi kroczkami, a gdy znalazły się w kręgu jaskrawego światła wielkiej kawiarni, zwalniały kroku. Pusząc się i śmiejąc głośno, rzucały spojrzenia na mężczyzn, którzy się odwracali. Czuły się tu jak w domu. Ich ubielone twarze z czerwonymi plamami warg i czarnymi plamami powiek miały w cieniu niepokojący czar wschodniej egzotyki z taniego bazaru ulicznego. Do godziny jedenastej wśród poszturchiwań tłumu były wesołe, wykrzykując tylko od czasu do czasu: „ty durniu", za plecami niezręcznych przechodniów, którzy obcasami obrywali im falbany. Wymieniały poufałe powitania z kelnerami, zatrzymując się na rozmowy przy stoliku, przyjmowały poczęstunki, które wypijały powoli, szczęśliwe, że mogę usiąść, czekając na wyjście mężczyzn z teatrów. Lecz im później w noc, jeśli nie zrobiły jednego lub dwóch nawrotów na ulicę La Rochefoucauld, stawały się ordynarnymi ladacznicami i polowały z większą zażartością. Pod drzewami, wzdłuż ciemnych i pustoszejących bulwarów, odbywały się dzikie targi z biciem i wyzwiskami. A tymczasem szacowne rodziny, złożone z ojca, matki i córek przechodziły spokojnie, przywykłe do tych spotkań. Nana i Satin, przemierzywszy dziesięć razy drogę od Opery do teatru „Gymnase", przenosiły się na trotuary ulicy Faubourg - Montmarte, gdy mężczyźni wyraźnie się wymykali i szybciej uciekali w gęstniejących ciemnościach. Tam do godziny drugiej w nocy jarzyły się restauracje, piwiarnie i wędliniarnie, a w drzwiach kawiarń wystawał cały rój kobiet. Był to ostatni oświetlony i ożywiony kąt nocnego Paryża, ostatni otwarty targ pod osłoną nocy. Załatwiano tu sprawy bez ogródek, wykrzykując z jed-

[2] Gra zręcznościowa polegająca na rzucaniu metalowego krążka do wydrążonych w skrzyni otworów.

nego końca ulicy na drugi, jakby w korytarzu domu publicznego. A w te wieczory, gdy wracały z niczym, żarły się między sobą. Ulica Notre-Dame de Lorette była ciemna i opustoszała, snuły się tam jedynie cienie kobiet wracających późno do swej dzielnicy, biedne loretki, rozdrażnione zmarnowaną nocą, uparcie dyskutowały jeszcze ochrypłym głosem z jakimś zabłąkanymi pijakiem, którego zatrzymywały na rogu ulicy Breda lub ulicy Fontaine.

Zdarzały się jednak niespodziane gratki, ludwiki zarobione na panach z towarzystwa, którzy szli do dziewek, chowając do kieszeni swoje ordery. Satin miała szczególnego nosa. W wilgotne wieczory, gdy zmoczony Paryż parował mdłą wonią wielkiej, źle utrzymanej alkowy, wiedziała, że ta pogoda i smród podejrzanych kątów doprowadzają mężczyzn do obłędu. Poznawała to po ich bladych oczach i czatowała na tych, którzy byli lepiej ubrani. Jakby szał zmysłów ogarnął miasto. Trochę się bała, gdyż ci najbardziej wytworni byli najwstrętniejsi. Znikał cały polor, wyłaziło na wierzch zwierzę nienasycone, o potwornych chuciach, wyrafinowane w perwersji. Toteż ladacznica Satin nie miała dla nich żadnego szacunku, pomstowała na ludzi jeżdżących powozami mówiąc, że woli ich stangretów, gdyż poważają kobiety i nie deprawują ich pojęciami z innego świata. Staczanie się wytwornych panów na dno rozpusty zdumiewało Nanę, która miała jeszcze złudzenia; dopiero Satin otwierała jej oczy. „Więc nie ma już cnoty na świecie?" ─ pytała w poważnej rozmowie. Od góry do dołu wszyscy się łajdaczą. Cóż to się dzieje w tym Paryżu od godziny dziewiątej wieczorem do trzeciej nad ranem! Żartowała wykrzykując, że gdyby ktoś zajrzał do wszystkich sypialni, byłby świadkiem rzeczy pociesznych, gdyż całe pospólstwo pogrąża się po uszy w rozpuście, ale tu i ówdzie także sporo wielkich osobistości uprawia jeszcze gorsze świństwa. Tak więc Nana uzupełniała swoją edukację.

Pewnego wieczoru, gdy przyszła do Satin, rozpoznała na schodach markiza de Chouard. Był blady i szedł chwiejnym krokiem, trzymając się poręczy. Udała, że wyciera nos. Na górze zastała Satin w potwornym brudzie. Mieszkanie było nie sprzątnięte od tygodnia, łóżko śmierdzące, naczynia porozstawiane w nieładzie. Zdziwiła się, że Satin zna markiza. Ach tak! Zna go. Gdy jeszcze żyła ze swym cukiernikiem, markiz nawet ich mocno zanudzał. Teraz przychodzi od czasu do czasu, ale zamęczają i wścibia nos wszędzie, do wszystkich brudów, zaglądając nawet do pantofli.

─ Tak, moja droga, do moich pantofli... Och! Cóż to za stary, obrzydliwiec! Ciągle żąda takich rzeczy...

Nanę niepokoiła przede wszystkim szczerość w przyznawaniu się do tej podlej rozpusty. Przypominała sobie, jakie ona grała komedie udając, że te rzeczy sprawiają jej przyjemność, gdy miała duże powodzenie. A teraz widziała dokoła, jak dziewki się tym mordują. Satin potwornie ją straszyła policją, opowiadając na ten temat mnóstwo historii. Kiedyś przespała się z policjantem obyczajowym, żeby ją zostawiono w spokoju. Dwa razy obronił ją przed zarejestrowaniem. Ale teraz drży ze strachu, bo nie mogłaby się wykpić, gdyby ją jeszcze złapano. Warto było słuchać, co mówi. Policjanci aresztują jak najwięcej kobiet, żeby otrzymać gratyfikacje. Zmiatają, co się da, a jeśli która krzyczy, zamykają jej usta biciem po twarzy, pewni, że nawet gdyby złapali wśród innych jakąś uczciwą kobietę, znajdą poparcie i nagrodę. Latem w dwunastu lub piętnastu urządzają na bulwarze łapanki. Obstawiają trotuar i wyławiają do trzydziestu kobiet jednego wieczoru. Ale Satin znała bezpieczne miejsca. Skoro tylko dostrzegła policjantów, zwiewała w szalonym popłochu wśród długich sukien, przemykając wśród tłumu. Przedstawiciele prawa i prefektury siali tak wielkie przerażenie i terror, że niektóre loretki przystawały sparaliżowane na progach kawiarń, gdy akcja bojowa wymiatała ulicę. Lecz Satin bardziej jeszcze obawiała się donosów. Jej cukiernik okazał się chamem. Gdy go rzuciła, wygrażał, że ją sprzeda. Wiedziała, że mężczyźni robią tego rodzaju macherki kosztem swych kochanek; nie mówiąc już o nikczemnicach, które bardzo chętnie robią donosy, jeśli która jest od nich ładniejsza. Nana słuchała tych rzeczy z rosnącym przerażeniem. Zawsze drżała przed prawem. Było ono dla niej nie znaną potęgą, zemstą mężczyzn, którzy mogli ją zniweczyć, a

nikt na świecie by jej nie bronił. Dom poprawczy Saint-Lazare wydawał się jej dołem, czarną otchłanią, w której żywcem grzebano kobiety po uprzednim obcięciu im włosów. Wprawdzie mówiła sobie, że wystarczyłoby rzucić Fontana, by znaleźć protektorów, a Satin opowiadała jej wiele o tym, że istnieją spisy kobiet opatrzone fotografiami, że policjanci są obowiązani liczyć się z nimi i nigdy nie tknąć wymienionych tam osób; lecz Nana ciągle była pełna obaw i wyobrażała sobie, jak ją popychają, wloką i nazajutrz zmuszają do badań lekarskich.

Fotel do badań przejmował ją niepokojem i wstydem, choć przecież nie raz zadzierała koszulę powyżej pępka.

Pewnego wieczoru pod koniec września, gdy spacerowała z Satin po bulwarze Poissonniere, przyjaciółka nagle puściła się galopem. Na jej pytanie szepnęła:

— Policja. Zwiewajmy! Zwiewajmy!

Rozpoczął się szalony wyścig w tłoku. Spódnice czmychały, darty się w strzępy. Wśród bicia i krzyków jakaś kobieta upadła. Tłum przyglądał się ze śmiechem brutalnej napaści policjantów, którzy szybko zaciskali krąg. Tymczasem Nana straciła z oczu Satin. Nogi jej zdrętwiały i na pewno zostałaby zatrzymana, gdyby jakiś mężczyzna nie chwycił jej pod ramię i nie uprowadził ku wściekłości policjantów. Był to Prullière, który ją właśnie rozpoznał. Nie mówiąc słowa skręcił z nią w opustoszałą ulicę Rougemont, gdzie wreszcie mogła odetchnąć, tak osłabiona, że musiał ją podtrzymać. Ale ona mu nie dziękowała.

— No, teraz już musisz się poddać... Chodź do mnie.

Mieszkał w pobliżu przy ulicy Bergere. Wyprężyła się dumnie.

— Nie, nie chcę.

Prullière stał się grubiański.

— Czy dlatego, że wszystkie do mnie przychodzą... Co? Dlaczego nie chcesz?

— Bo nie.

W jej pojęciu wyrażało to wszystko. Nana za bardzo kochała Fontana, żeby go zdradzać z jego przyjacielem. Inni nie liczyli się, skoro stosunki z nimi nie sprawiały jej przyjemności i tylko z musu zgadzała się na nie. Wobec jej głupiego uporu Prullière popełnił nikczemność, do jakiej jest zdolny przystojny mężczyzna podrażniony w swej miłości własnej.

— Więc rób, jak chcesz — oświadczył. — Ale w takim razie nie będę ci towarzyszył... Daj sobie radę sama.

— I zostawił ją. Ogarnęło ją znowu przerażenie; musiała nadrobić spory kawał, by wrócić na Montmartre okrężną drogą, umykając wzdłuż sklepów i blednąc, skoro tyko zbliżał się do niej jakiś mężczyzna.

Nazajutrz Nana, wstrząśnięta jeszcze przerażeniem poprzedniego dnia, idąc do swej ciotki spotkała się twarzą w twarz z Labordette'em w malej, opustoszałej uliczce dzielnicy Batignolles. Z początku oboje wydawali się skrępowani. On, jak zawsze uprzejmy, coś ukrywał. Jednakże pierwszy odzyskał swobodę i wyraził radość z powodu miłego spotkania. Naprawdę wszyscy byli jeszcze zdumieni zupełnym zniknięciem Nany. Dopytywano się o nią, a dawni przyjaciele usychali z tęsknoty. Wpadając w ton ojcowski zaczął jej wreszcie prawić morały.

— Moja droga, otwarcie mówiąc, wszystko to zaczyna już być głupie... Można zrozumieć kaprys miłosny, ale słyszał to kto, żeby się tak pozwolić wyzyskiwać i dać się prać po gębie!... Czy ty chcesz zdobywać nagrody za cnotę?

Słuchała go zaambarasowana. Ale skoro zaczął mówić, że Róża triumfuje zdobywszy hrabiego Muffat, oczy jej rozbłysły i szepnęła:

— Och! Gdybym tylko chciała...

Jako uczynny przyjaciel natychmiast zaproponował swe pośrednictwo, ale odmówiła. Wobec tego zaatakował ją z innej pozycji. Powiedział, że Bordenave wystawia sztukę Fauchery'ego, w której jest dla niej wspaniała rola.

— Jak to? Sztuka, w której jest dobra rola! — krzyknęła zdumiona. — On jest w teatrze i nic mi nie powiedział!

Nie wymieniła nazwiska Fontana. Zresztą natychmiast się uspokoiła; nie! nigdy nie wróci do teatru. Lecz Labordette'a to nie przekonało i dalej nalegał z uśmiechem.

— Wiesz dobrze, że gdy ja się tym zajmę, nie potrzebujesz się niczego obawiać. Przygotuję twego Muffata, przyjdziesz do teatru i przyprowadzę ci go za rączkę.

— Nie! — rzekła stanowczo.

I odeszła rozczulając się swoim bohaterstwem. Taki cham nie potrafiłby się tak poświęcać, nie trąbiąc o tym wszystkim. Ale uderzyło ją, że Labordette dawał jej przed chwilą takie same rady jak Francis. Wieczorem, gdy wrócił Fontan, zaczęła go wypytywać o sztukę Faucher-y'ego. Jak to? Więc od dwóch miesięcy jest znowu w teatrze „Varietes" i nie wspominał o tej roli?

— O jakiej roli? — rzekł gniewnym głosem. — Chyba nie myślisz o roli wielkiej damy?... No tak, wydaje ci się, że masz talent! Ależ, dziewczyno, ta rola by cię położyła... doprawdy, jesteś komiczna!

To ją straszliwie dotknęło. Kpił z niej przez cały wieczór nazywając ją panną Mars[3]. Im bardziej jej dokuczał, tym lepiej to wszystko znosiła, z gorzką rozkoszą przeżywając swój bliski heroizmu kaprys miłosny, który ją we własnych oczach uszlachetniał. Od czasu gdy się łajdaczyła, żeby go wyżywić, jeszcze bardziej go kochała pomimo całego zmęczenia i obrzydzenia, z jakim wracała z tych wypraw. Fontan stawał się jej występkiem, który opłacała i bez którego nie mogła się obyć, a wymierzane jej policzki podniecały ją jeszcze bardziej. Widząc, jak jest uległa, zaczął ją wreszcie wyzyskiwać. Działała mu na nerwy i wpadał w dziką nienawiść do tego stopnia, że zaczynał postępować wbrew swoim interesom. Gdy Bosc robił mu uwagi, krzyczał rozdrażniony nie wiadomo dlaczego, że ma gdzieś jej obiady, że ją wyrzuci za drzwi tylko dlatego, by innej kobiecie podarować swoje siedem tysięcy franków. Ich związek rozpadał się już ostatecznie.

Pewnego wieczoru Nana wracając około godziny jedenastej znalazła drzwi zaryglowane. Zastukała raz, nie było żadnej odpowiedzi, drugi raz to samo. Przez szparę widziała jednak światło, a Fontan nie krępował się i chodził po mieszkaniu. Niestrudzona zastukała jeszcze raz wołając go i pomstując. Wreszcie odezwał się powolny, tubalny głos Fontana, który rzucił tylko jedno słowo:

— Gówno!

Walnęła w drzwi pięściami.

— Gówno!

Uderzyła silniej, jakby chciała rozłupać drzewo.

— Gówno!

Przez kwadrans to samo obelżywe słowo jakby ją policzkowało, odpowiadając jak szydercze echo na każdy z ciosów, które wstrząsały drzwiami. Fontan widząc, że jest niezmordowana, otwarł nagle, stanął na progu z rozkrzyżowanymi ramionami i powiedział tym samym brutalnym, oziębłym głosem:

— Na Boga! Czy pani wreszcie skończy... Czego pani tu chce?... Czy da nam pani spać? Przecież pani widzi, że mam gościa.

Istotnie nie był sam. Nana zauważyła, że kobietka z teatru „Bouffes", w koszuli, z szopą rozczochranych włosów i o świdrujących okrągłych oczkach używa sobie wśród tych mebli, za które ona płaciła. Fontan z groźną miną wyszedł do sieni, wysuwając swe grube palce jak szczypce.

— Zwiewaj albo cię uduszę!

Nana wybuchnęła nerwowym szlochem. Przeraziła się i uciekła. Tym razem ją wyrzucono za drzwi. Rozwścieczona, pomyślała o Muffacie. Ale przecież to nie Fontan powinien jej odpłacać pięknym za nadobne.

[3] Buttet Anna Mars, zwana Mlle Mars (1779-1847) – wielka aktorka francuska.

Gdy znalazła się na ulicy, od razu postanowiła pójść spać z Satin, gdyby u niej nie było nikogo. Spotkała ją przed jej domem. Właściciel wyrzucił ją także na bruk i zamknął drzwi mieszkania na kłódkę bezprawnie, ponieważ miała własne meble. Klęła i mówiła, że zawlecze go na komisariat. Ponieważ jednak była już północ, musiały myśleć o znalezieniu jakiegoś łóżka. Uważając, że roztropniej będzie nie mieszać do swoich spraw policji, Satin zaprowadziła Nanę na ulicę Laval do pewnej damy, która miała hotelik. Na pierwszym piętrze dano im wąski pokój, którego okna wychodziły na podwórze. Satin powtarzała:

— Byłabym chętnie poszła do pani Robert. Zawsze tam jest kąt dla mnie... Ale z tobą niemożliwe... Ona robi się śmiesznie zazdrosna. Któregoś dnia mnie wybiła.

Gdy się zamknęły, Nana, która musiała sobie ulżyć, zalała się łzami i dwadzieścia razy opowiadała o podłości Fontana. Satin słuchała ze współczuciem, pocieszała ją i grzmiąc na mężczyzn oburzała się bardziej niż Nana.

— Och! Co za świnie, och, co za świnie!... Mówię ci, że nie trzeba się już zadawać z tymi świniami. — Potem pomagała Nanie rozebrać się i otoczyła ją serdecznością kobietki miłej i uległej. Powtórzyła pieszczotliwie: — Połóżmy się szybko, kotku. Będzie nam lepiej. Ach! Jakaś ty głupia, że się zamartwiasz! Mówię ci, że to są dranie. Nie myśl już o nich... Ja cię bardzo kocham. Nie płacz, zrób to dla swej kochanej dziewczynki.

W łóżku wzięła od razu Nanę w ramiona, pragnąc ją uspokoić. Nie chciała już słyszeć nazwiska Fontana. Ilekroć wracało na wargi przyjaciółki, tłumiła je pocałunkiem, robiąc przy tym wdzięczną minkę zagniewanej osóbki, której rozpuszczone włosy podkreślały dziecinną urodę kobiety skłonnej do wzruszeń. Powoli, pod działaniem słodkiego uścisku Nana otarła łzy. Była wzruszona i odwzajemniała pieszczoty Satin. Gdy wybiła druga, świeca jeszcze się paliła. Śmiały się cichutko, wymawiając miłosne słowa.

Lecz nagle na odgłos wrzawy, która wzmagała się w hotelu, Satin na pół naga wstała, nadsłuchując.

— Policja! — rzekła bardzo blada. — Ach, psiakrew, nie mamy szczęścia!... Jesteśmy zgubione.

Wiele razy opowiadała o najazdach policji na hotele. Ale właśnie tej nocy, chroniąc się na ulicę Laval, żadna z nich nie miała się na baczności. Słysząc o policji Nana straciła głowę. Wyskoczyła z łóżka, przebiegła pokój, otwarła okno z obłąkaną miną wariatki, która chce wyskoczyć. Lecz na szczęście podwórko było oszklone; na jednym poziomie z oknem znajdowała się druciana krata. Więc bez namysłu przelazła przez parapet i zniknęła w ciemnościach z fruwającą koszulą i gołymi udami.

— Zostań tu — powtarzała przerażona Satin — zabijesz się. Gdy po chwili zastukano do drzwi, była już opanowana. Zamknęła okno i rzuciła rzeczy przyjaciółki w głąb szafy. Była przygotowana na wszystko — ostatecznie, jeżeli ją wpiszą na listę, nie będzie się już bała. Udawała kobietę zaspaną, ziewała, targowała się i wreszcie otwarła drzwi wysokiemu drabowi z ciemną brodą, który powiedział:

— Proszę pokazać ręce... Nie są pokłute, to znaczy, że pani nie pracuje. Dalej więc, ubierać się.

— Ja nie jestem krawcową, jestem szlifierką — oświadczyła bezczelnie Satin. Ubierała się zresztą potulnie wiedząc, że wszelka dyskusja jest wykluczona. W hotelu słychać było krzyki, jakaś loretka czepiała się drzwi, nie chcąc iść. Inna, która spała ze swym kochankiem odpowiedzialnym za nią, udawała obrażoną przyzwoitą kobietę i mówiła, że wytoczy proces prefektowi policji. Przez blisko godzinę rozlegał się na schodach odgłos butów, drzwi wstrząsanych uderzeniami pięści, ostrych sprzeczek gasnących w łkaniu, szum spódnic muskających ściany; słowem, nastąpiło gwałtowne przebudzenie, przerażenie i odprawa stada kobiet brutalnie zabranych przez policjantów pod przewodem niskiego, bardzo grzecznego, jasnowłosego komisarza. Potem hotel pogrążył się znowu w ciszy.

Nana była ocalona, nikt jej nie wydał. Po omacku wróciła do pokoju, drżąc z zimna i na pół żywa ze strachu. Jej bose nogi krwawiły pokaleczone przez kratę. Ciągle nasłuchując siedziała jeszcze długo na brzegu łóżka. Nad ranem jednak zasnęła. Lecz o godzinie ósmej, skoro się obudziła, uciekła z hotelu i pobiegła do ciotki. Gdy pani Lerat, która właśnie piła razem z Zoè kawę z mlekiem, zobaczyła ją o tej porze w okropnym stanie, z przerażoną twarzą, natychmiast wszystko zrozumiała.

— A więc stało się — krzyknęła. — A nie mówiłam, że on cię obedrze ze skóry... No wejdź, ja zawsze serdecznie cię przyjmę.

Zoè wstała szepcząc z pełną szacunku poufałością: — Nareszcie odzyskałyśmy panią... Czekałam na panią.

Lecz pani Lerat chciała, by Nana ucałowała natychmiast Ludwisia, gdyż — jak mówiła — szczęście tego dziecka to roztropność jego matki. Ludwiś, chorowity i anemiczny, jeszcze spał. Nana pochyliła się nad jego białą i skrofuliczną twarzyczką — wszystkie przykrości ostatnich miesięcy ścisnęły ją za gardło i zdławiły.

— Och! Biedny mój mały, biedny mój mały — jąkała wybuchając szlochem.

IX

W teatrze „Varietes” odbywały się próby *Małej diuszessy*. Uporano się właśnie z pierwszym aktem i miano rozpocząć pracę nad drugim. W starych fotelach proscenium dyskutowali Fauchery i Bordenave, a garbusek sufler, ojciec Cossard, siedząc w wyplatanym krześle, z ołówkiem w ustach kartkował rękopis.

— Na co czekamy? — krzyknął nagle Bordenave uderzając wściekle w deski końcem grubej laski. — Barillot, dlaczego nie zaczynamy?

— Pan Bosc zniknął — odrzekł Barillot, który pełnił funkcję pomocnika reżysera.

Rozpętała się burza. Wszyscy wołali Bosca, Bordenave klął.

— Na Boga! Ciągle to samo. Choćby nie wiem jak dzwonić, zawsze są tam, gdzie nie trzeba... A potem narzekają, że się ich zatrzymuje po czwartej.

Tymczasem Bosc nadchodził z rozbrajającym spokojem.

— No co? O co chodzi? Ach, o mnie! Trzeba było powiedzieć... Dobrze już! Simona mówi: „Oto przychodzą goście”, a ja wchodzę... Którędy mam wejść?

— Oczywiście przez drzwi — oświadczył Fauchery rozdrażniony.

— Tak, ale gdzie są drzwi?

Tym razem Bordenave wpadł na Barillota, zaczynając znowu kląć i walić laską w podłogę.

— Na miłość Boską! Powiedziałem przecież, żeby tam postawić krzesło dla zaznaczenia drzwi. Codziennie na nowo trzeba rozpoczynać ustawianie... Barillot! Gdzie jest Barillot?! Jeszcze jeden! Wszyscy uciekają.

Jednakże Barillot sam przyszedł ustawić krzesło, milczący i przygarbiony pod wrażeniem tej burzy. Rozpoczęta się próba. Simona w kapeluszu i futrze zachowywała się jak służąca, która ustawia meble. Lecz w pewnej chwili przerwała grę, by powiedzieć:

— Wiecie co, nie bardzo tu ciepło, więc nie wyjmuję rąk z mufki. Potem zmieniwszy głos przyjęła Bosca okrzykiem: — „O proszę, pan hrabia. Pan przyszedł pierwszy, panie hrabio, pani będzie bardzo rada.”

Bosc miał spodnie zabłocone, wielki żółty płaszcz i ogromny szal zawinięty dokoła szyi. Z rękami w kieszeniach i w starym kapeluszu na głowie powiedział głuchym głosem, markując:

— „Proszę nie przeszkadzać swej pani, Izabelo. Chcę zrobić jej niespodziankę.”

Próba trwała dalej. Bordenave, ponury, zagłębiony w fotelu, słuchał z miną znużoną. Fauchery nerwowo zmieniał pozycję, co minutę miał nieprzepartą chęć przerwać, ale się hamował. Z tyłu, w ciemnej i pustej sali, usłyszał szept.

— Czy ona już jest? — spytał pochylając się do Bordenave'a, który odpowiedział twierdząco ruchem głowy.

Nana chciała zobaczyć sztukę, zanim przyjmie rolę Geraldyny, którą jej zaproponowano. Wahała się, czy grać jeszcze rolę kokoty, marzyła o roli przyzwoitej kobiety. Siedziała ukryta w cieniu loży parterowej z Labordette'em, który wstawiał się za nią u Bordenave'a. Fauchery poszukał jej wzrokiem i znowu zaczął śledzić próbę.

Jedynie proscenium było oświetlone. Stał tam stoliczek, a płomień gazowy z odgałęzienia rampy jaskrawo oświetlał przód sceny, jak wielkie, żółte, otwarte w półmroku oko, które błyszczało smutno i podejrzanie. Cossard, chcąc lepiej widzieć, opierał rękopis o cienką nóżkę stolika. Jaskrawe światło uwypuklało linię jego garbu. A dalej Bordenave i Fauchery tonęli już w ciemnościach. Podobnie jak na ogromnym statku świecił tu jedynie na przestrzeni paru metrów płomień latarni przyczepionej do słupa. W tym oświetleniu aktorzy, za którymi tańczyły cienie. wyglądali jak barokowe zjawy. Reszta sceny wypełniona była pyłem, jak przy odgruzowaniu albo na rozbitym statku pełnym drabin, ram, dekoracji, których wyblakłe malowidła tworzyły niby rumowiska. Zwisające płótna robiły wrażenie łachmanów porozwie-

szanych na belkach dużego magazynu szmat. W górze promień słońca, padający z okna, złotą smugą przecinał ciemności sklepienia.

Tymczasem w głębi sceny aktorzy rozmawiali czekając na swoją kolej. Mówili coraz głośniej.

— Milczeć! — zawył Bordenave, który z wściekłością skoczył na fotelu. — Nie słyszę ani słowa... Jeżeli chcecie rozmawiać, wyjdźcie z teatru. My tu pracujemy... Barillot, jeśli jeszcze usłyszę jedno słowo, wszystkim nałożę grzywnę!

Na chwilę umilkli. Siedzieli grupką w kącie ogrodu na wiejskiej ławie i krzesłach. Była to pierwsza dekoracja gotowa już do ustawienia. Fontan i Prullière słuchali tego, co mówiła Róża Mignon, której dyrektor teatru „Folies-Dramatiques" zrobił właśnie wspaniałą propozycję. Nagle ktoś krzyknął:

— Księżna!... Saint-Firmin!... Księżna i Saint — Firmin na scenę! Dopiero za drugim wołaniem Prullière przypomniał sobie, że jest Firminem. Róża, która grała księżnę Helenę, czekała już na niego, by wejść na scenę. Stary Bosc wracał powoli, powłócząc nogami po pustych i skrzypiących deskach. Klarysa zrobiła mu miejsce na ławce.

— Po co on tak wrzeszczy? — mówiła o Bordenave'ie. — Jeszcze chwila, a będzie tu rozkosznie... Teraz już na każdej próbie popisuje się swymi nerwami.

Bosc wzruszył ramionami, gdyż wcale go nie obchodziły te awantury. Fontan szeptał:

— On już węszy klapę. Ta sztuka wydaje mi się idiotyczna. — A zwracając się do Klarysy, wrócił znowu do sprawy Róży: — Czy i ty wierzysz w propozycje „Folies"?... Trzysta franków za wieczór i to przez sto przedstawień. A może jeszcze do tego dom na wsi!... Mignon niechybnie rzuciłby Bordenave'a, gdyby ktoś dawał jego żonie trzysta franków!

Klarysa wierzyła w te trzysta franków. Ten Fontan zawsze musiał psy wieszać na kolegach! Rozmowę przerwała Simona, która drżała z zimna. Szczelnie pozapinani i z szalikami na szyjach, patrzeli w górę na połyskujący promień słońca, który nie docierał do ponurej, zimnej sceny. Był jasny, mroźny dzień listopadowy.

— W naszym foyer nie napalono! — rzekła Simona. — On staje się obrzydliwym skąpcem!... Mam ochotę już sobie iść, nie chcę się rozchorować.

— Cicho tam! — krzyknął znowu Bordenave grzmiącym głosem. Przez kilka minut słychać było tylko dość bladą recytację aktorów. Nie chcąc się zmęczyć mówili głosem bezbarwnym i ledwie markowali gesty. Gdy akcentowali dobitniej, rzucali spojrzenia na salę. Mieli przed sobą rozwartą dziurę, w której migotał niewyraźny cień, jak pył unoszący się na strychu pozbawionym okna. Sala, oświetlona tylko od strony sceny, była uśpiona, zamazywała się melancholijnie i niepokojąco. Z prawej i lewej strony opadały od góry do dołu na loże proscenio wielkie zasłony z szarego płótna, chroniące tapety. Wszędzie pozakładano pokrowce. Długie, wyblakłe płótna, rzucone na aksamitne oparcia, zakrywały galerie jak udrapowane całuny, rozjaśniające mrok. W ogólnej szarzyźnie odcinały się tylko ciemniejsze zagłębienia lóż. Kreśliły one zarys pięter z plamami foteli, których czerwony aksamit wydawał się teraz czarny. Świecznik, opuszczony w dół, wypełniał parter swymi wisiorkami i nasuwał myśl o przeprowadzce, o wyjeździe publiczności w podróż, z której już nie wróci.

Właśnie w tej chwili Róża, jako mała diuszessa zabłąkana u kokoty, posuwała się ku rampie. Podniosła ręce i zrobiła uroczą minkę do pustej, ciemnej sali, z której wiał smutek domu w żałobie.

— „Mój Boże! Jakie zabawne towarzystwo!" — rzekła podkreślając to zdanie, przekonana, że wywołuje efekt.

Ukryta w głębi loży parterowej, Nana, owinięta wielkim szalem, słuchała sztuki pożerając Różę wzrokiem. Zwróciła się do Labordette'a i spytała go po cichu:

— Jesteś pewny, że on przyjdzie?

— Zupełnie pewny. Niechybnie przyjdzie z Mignonem dla pretekstu... Skoro tylko się zjawi, pójdziesz do garderoby Matyldy, dokąd ci go przyprowadzę.

Rozmawiali o hrabim Muffat. Było to spotkanie zaaranżowane na terenie neutralnym przez Labordette'a. Odbył poważną rozmowę z Bordenave'em, którego interesy zostały ostatnio poważnie zachwiane przez dwie kolejne klapy. Bordenave chciał na gwałt ratować teatr i zaproponował rolę Nanie, gdyż marząc o pożyczce pragnął zjednać sobie hrabiego.

— A co myślisz o roli Geraldyny? — zaczął znowu Labordette. Nana siedziała bez ruchu i nic nie odpowiedziała. Po pierwszym akcie, w którym autor przedstawiał, jak książę de Beaurivage zdradza swoją żonę z gwiazdą operetkową, jasnowłosą Geraldyną, w akcie drugim księżna Helena przyszła na bal maskowy do aktorki, by się dowiedzieć, jaką to magiczną siłą takie kobiety zdobywają i zatrzymują ich mężów. Wprowadził ją tam jej kuzyn, piękny Oskar de Saint-Firmin, który spodziewał się wciągnąć ją w rozpustne życie. Ku swemu wielkiemu zdumieniu zaraz na wstępie usłyszała, że Geraldyna wymyśla jak furman księciu, który jest tym oczarowany. Wtedy księżna krzyknęła: „Ach, to tak trzeba mówić do mężczyzn!" Geraldyna miała w drugim akcie odegrać tylko tę jedną scenę. Natomiast księżna miała wkrótce zostać ukarana za swoją ciekawość: stary elegant baron de Tardiveau, wziął ją za kokotę i był w stosunku do niej bardzo natarczywy, a z drugiej strony Beaurivage grat na szezlongu scenę pojednania, całując Geraldynę. Ponieważ ta rola nie była jeszcze obsadzona, ojciec Cossard wstał, żeby ją przeczytać, i robił, co mógł, statystując w ramionach Bosca. Grano właśnie tę scenę i próba wlokła się ospale, gdy nagle Fauchery skoczył ze swego fotela. Do tej chwili wstrzymywał się, lecz nerwy go poniosły.

— Tak nie jest dobrze! — krzyknął.

Aktorzy przerwali próbę wymachując rękami. Fontan skrzywił nos i spytał z miną człowieka, który gwiżdże na wszystko:

— Co? Kto nie gra dobrze?

— Wszyscy! Zupełnie źle, zupełnie źle! — podjął Fauchery, który, gestykulując i chodząc wielkimi krokami, mimiką próbował oddać tę scenę.

— Panie Fontan, niechże pan zrozumie uniesienie barona Tardiveau; trzeba się schylić, o, takim gestem, by objąć księżnę... A ty, Różo, właśnie w tej chwili musisz zagrać swój epizod żywo, o tak. Ale nie za wcześnie, dopiero wtedy, gdy usłyszysz pocałunek... — W ferworze wyjaśnień przerwał i krzyknął do Cossarda: — Geraldyno, całuj... Mocno, żeby było słychać!

Ojciec Cossard, zwracając się do Bosca, mlasnął głośno wargami.

— No dobrze! To jest pocałunek — rzekł Fauchery triumfując. — Jeszcze raz... Widzisz, Różo, zdążyłem przejść i potem zaraz krzyknąć: „Ach, ona go pocałowała." Ale dlatego Tardiveau musi wejść jeszcze raz... Słyszycie? Fontan, pan wchodzi... Spróbujcie zrobić to zespołowo.

Aktorzy znowu rozpoczęli tę scenę. Lecz Fontan robił to tak niechętnie, że nic się nie udawało. Fauchery musiał dwa razy powtarzać swoje wskazówki, uzupełniając je mimiką z coraz większą werwą. Wszyscy słuchali go ponuro, patrząc na siebie, jakby im kazał chodzić głową na dół, potem nieudolnie próbowali, lecz zaraz przerywali, sztywni jak marionetki, którym pozrywano sznurki.

— Nie, to jest dla mnie za trudne, ja tego nie rozumiem — powiedział wreszcie Fontan bezczelnym głosem.

Bordenave nawet nie drgnął. Siedział zagłębiony w fotelu, ukazując w ukośnym oświetleniu tylko czubek kapelusza opuszczonego na oczy; laskę miał położoną niedbale na brzuchu. Można było przypuszczać, że śpi. Lecz nagle zerwał się i oświadczył dziennikarzowi:

— To jest idiotyczne, kochaneczku.

— Jak to! Idiotyczne! — krzyknął autor, blady jak ściana. — Pan sam jesteś idiotą!

Bordenave rozsierdził się. Powtarzał słowo „idiota" i szukając czegoś mocniejszego dodał: „głupiec i kretyn". To przecież wygwizdają, nie dadzą aktu wygrać do końca. A ponieważ rozdrażniony Fauchery traktował go bez ogródek jak chama, nie przejmując się zresztą ordy-

narnymi epitetami, które między nimi padały podczas pracy nad każdą nową sztuką, Bordenave przebrał już wszelką miarę. Kręcił laską młynka i sapał jak zwierzę, krzycząc:

— Na miłość boską! Dajcie mi święty spokój... Cały kwadrans stracony na te głupstwa... Tak, na głupstwa. To nie ma żadnego sensu... A scena jest przecież tak prosta! Ty, Fontan, nie ruszasz się. Ty, Różo, robisz jeden maleńki gest, popatrz, nic więcej, i wychodzisz... No dalej, zaczynamy. Cossard, pocałunek.

Nastąpiło zamieszanie. Scena jednak nie udawała się lepiej. Bordenave grał z wdziękiem słonia, a tymczasem Fauchery śmiał się szyderczo, wzruszając z politowaniem ramionami. Potem Fontan chciał wtrącić swoje trzy grosze, nawet Bosc pozwolił sobie na dawanie rad. Róża, zmordowana, usiadła wreszcie na krześle, które oznaczało drzwi. Wszystko się pokręciło. Na domiar złego Simona sądząc, że słyszy swoją replikę, w ogólnym rozgardiaszu za wcześnie weszła na scenę, co tak rozwścieklilo Bordenave'a, że zrobiwszy laską straszliwego młyńca uderzył ją mocno w tyłek. Często bił podczas prób kobiety, z którymi się przedtem przespał. Simona uciekła, a on krzyczał za nią rozwścieczony:

— Wypchaj się i idź do diabła! Zamknę budę, jeżeli będziecie mi jeszcze zawracać głowę!

Fauchery wcisnął właśnie kapelusz na głowę, jakby chciał opuścić teatr, i zszedł z powrotem na widownię, gdy zobaczył, że Bordenave znowu siada, zlany potem. Usiadł więc w drugim fotelu. Przez chwilę siedzieli tak nieruchomo obok siebie, a w ciemnej sali panowało głuche milczenie. Aktorzy czekali prawie dwie minuty, przygnębieni, jakby wykonali jakąś przytłaczającą pracę.

— No więc, do roboty — rzekł w końcu Bordenave normalnym, zupełnie spokojnym głosem.

— Tak, do roboty — powtórzył Fauchery. — Jutro dopracujemy tę scenę.

Ustawili się rozpoczynając na nowo próbę w nastroju nudy i obojętności. Podczas kłótni dyrektora z autorem Fontan i pozostali aktorzy mieli satysfakcję, siedząc w głębi na wiejskiej ławie i krzesłach. Podśmiewali się, mruczeli, rzucali zaczepne słowa. Ale gdy wróciła Simona, kopnięta w tyłek i mówiąca przez łzy, zrobili z tego dramat i powiedzieli, że na jej miejscu byliby udusili tę świnię. Ocierała łzy i ruchem głowy przyznawała im rację. Dość już tego, rzuci Bordenave'a, tym bardziej że Steiner wczoraj wyraził chęć lansowania jej. Klarysa była tym zdumiona, gdyż bankier nie miał już ani grosza. Lecz Prullière zaczął się śmiać i przypomniał fortel tego przeklętego Żyda w okresie, gdy afiszował się z Różą, a na giełdzie rozgrywał sprawę kopalni soli w Landes. Teraz snuł nowy projekt, tunel pod Bosforem. Simona słuchała bardzo tym zainteresowana. Natomiast Klarysa od tygodnia nie przestawała się wściekać. Czy przypadkiem to bydlę la Faloise, którego odprawiła, rzucając go w czcigodne ramiona Gagi, nie odziedziczy majątku po wuju bogaczu? Ona już zawsze musiała być wystawiona do wiatru. A ten podlec Bordenave znowu jej daje jakąś marną rólkę, pięćdziesiąt wierszy tekstu, jakby nie mogła grać Geraldyny! Marzyła o tej roli i spodziewała się, że Nana odmówi.

— No dobrze, a ja? — rzekł Prullière nadąsany. — Nie mam nawet dwustu wierszy. Chciałem zrezygnować z tej roli... Jakie to niegodziwe kazać mi grać Saint-Firmina; prawdziwy ogon! I co za styl w tej sztuce! Wiecie, to z trzaskiem padnie.

Lecz Simona, która rozmawiała z ojcem Barillot, zadyszana przyszła powiedzieć:

— Słuchajcie. Nana jest na sali.

— Gdzie? — spytała żywo Klarysa wstając, żeby zobaczyć. Natychmiast rozeszła się ta wiadomość. Wszyscy się wychylali i przez chwilę próba była jakby przerwana. Lecz Bordenave rozruszał się krzycząc:

— Cóż to? Co się dzieje? Kończcie akt... Cisza tam, to już nie do wytrzymania!

Nana, siedząc w loży parterowej, przez cały czas śledziła sztukę. Labordette dwa razy chciał nawiązać rozmowę, lecz ona się niecierpliwiła i trącała go łokciem, by go uciszyć. Kończył się drugi akt, gdy w głębi sali ukazały się dwa cienie i sunęły na palcach, by nie robić hałasu; Nana poznała Mignona i hrabiego Muffat, którzy powitali milcząco Bordenave'a.

— Ach! Przyszli — szepnęła wzdychając z ulgą.

Róża Mignon wypowiedziała ostatnią replikę. Bordenave stwierdził, że należy drugi akt rozpocząć na nowo, zanim przejdą do trzeciego. I przerywając próbę przyjął hrabiego z przesadną grzecznością, podczas gdy Fauchery udawał, że jest bardzo zajęty skupionymi przy nim aktorami.

Mignon pogwizdywał splatając ręce na plecach i obserwując swoją żonę, która robiła wrażenie zdenerwowanej.

— Pójdziemy na górę? — spytał Labordette Nanę. — Ulokuję cię w garderobie i zejdę po niego.

Nana natychmiast wyszła z loży. Musiała po omacku iść między fotelami parterowymi. Lecz Bordenave domyślił się, że to ona przemyka się w ciemnościach i przyłapał ją na końcu korytarza za sceną, w wąskiej kiszce, gdzie gaz palił się we dnie i w nocy. Chcąc szybko załatwić sprawę zaczął się zachwycać rolą kokoty.

— Prawda? To jest rola! Istna gratka! W sam raz dla ciebie... Przyjdź jutro na próbę. Nana przyjęła propozycję ozięble. Chciała poznać jeszcze trzeci akt.

— Och, trzeci jest wspaniały!... Księżna gra w swoim domu kokotę, co wywołuje w Beaurivage'u obrzydzenie i sprowadza go na drogę cnoty. Przy tym zdarza się bardzo zabawne nieporozumienie, gdy Tardiveau przychodzi, przekonany, że jest u tancerki... — A rola Geraldyny? — przerwała Nana.

— Geraldyny? — powtórzył Bordenave trochę zmieszany. — Ona ma jedną scenę niezbyt długą, lecz nader udaną... Mówię ci, że to w sam raz dla ciebie. Podpisujesz?

Patrzała na niego uważnie i w końcu odpowiedziała:

— Za chwilę, jeszcze zobaczymy.

Wróciła do Labordette'a, który czekał na nią na schodach. Cały teatr ją rozpoznał. Szeptano po kątach; Prullière był oburzony na jej powrót, Klarysa niepokoiła się o rolę. Natomiast Fontan udawał obojętność, gdyż nie miał zwyczaju obgadywać kobiety, którą kiedyś kochał. Lecz w gruncie rzeczy, gdy dawna miłość przeszła w nienawiść, ten potwór o przewrotnych skłonnościach miał jeszcze do niej głęboką urazę za jej poświęcenie, urodę i wspólne życie, z którego przecież sam zrezygnował.

Tymczasem skoro zjawił się znowu Labordette i podszedł do hrabiego, Róża Mignon, w której obecność Nany obudziła czujność, od razu się połapała. Muffat wprawdzie ją zanudzał, ale wytrąciła ją z równowagi myśl, że miałby ją porzucić. Choć zwykle nie rozmawiała z mężem o tych sprawach, teraz powiedziała bez ogródek:

— Widzisz, co się dzieje?... Słowo daję, że jeżeli ona znowu zacznie wyprawiać to samo co ze Steinerem, oczy jej wydrapię!

Mignon, spokojny i wyniosły, wzruszył ramionami jak człowiek, który wszystko widzi.

— Przestań gadać, dobrze? — szepnął. — Zrób mi tę przyjemność! On wiedział już, czego się trzymać. Na wylot przejrzał swego Muffata i czuł, że na skinienie Nany hrabia jest gotów paść plackiem na ziemię i stać się jej podnóżkiem. Z takimi namiętnościami walczyć nie można. Znając dobrze mężczyzn, myślał już tylko o tym, by jak najwięcej korzyści wyciągnąć z sytuacji. Czekał więc uważnie na dalszy rozwój sprawy.

— Róża na scenę! — krzyknął Bordenave. — Rozpoczynamy dwa akty na nowo.

— No idź! — rzekł Mignon. — Już ja będę działał.

Ale jako urodzony kpiarz, postanowił zabawić się prawieniem Fauchery'emu komplementów na temat jego sztuki. Kapitalna rzecz, tylko dlaczego ta jego dama jest taka uczciwa? To nie jest zgodne z życiową prawdą. I śmiał się szyderczo, pytając, kto pozował do portretu Beaurivage'a, ramola Geraldyny. Fauchery uśmiechnął się bynajmniej nie rozgniewany. Lecz Bordenave, rzucając spojrzenie w stronę Muffata, wydawał się zakłopotany. Mignon to zauważył, więc spoważniał.

— Na miłość Boską! Czy wreszcie zaczynamy? — pyskował dyrektor. — Dalejże, Barillot!... Jak to? Nie ma Bosca? Czy on sobie kpi ze mnie?

Bosc zbliżał się z całym spokojem. Próba rozpoczęła się na nowo w chwili, gdy Labordette wyprowadzał hrabiego, który drżał z przejęcia na myśl, że zobaczy Nanę. Po zerwaniu odczuł wielką pustkę, więc pozwolił się zaprowadzić do Róży w obawie przed samotnością i zmianą trybu życia. Był zresztą oszołomiony, nie chciał wiedzieć o niczym, bronił się przed szukaniem Nany i unikał Wyjaśnień z hrabiną. Zdawało mu się, że dla ocalenia swej godności musi zapomnieć o Nanie. Ale w głębi serca, skrycie, zdobywała go ciągle na nowo, budząc w nim lubieżne wspomnienia i gorące, tkliwe, prawie ojcowskie uczucia. Zamazywała się w jego pamięci obrzydliwa scena rozstania. Nie widział już Fontana, nie słyszał, jak Nana wyrzuca go za drzwi policzkując cudzołóstwem jego żony. Wszystko to były tylko przelotne słowa, a pozostał mu na sercu przykry, boleśnie dokuczliwy, duszący ciężar. Naiwnie oskarżał siebie przypuszczając, że nie byłaby go zdradziła, gdyby ją rzeczywiście kochał. Trudno mu było znieść ten niepokój, który go dręczył dokuczając jak ból po dawnej ranie; nie było to już ślepe i niecierpliwe pożądanie, które łatwo zaspokoić, lecz zazdrosna miłość do tej kobiety, chęć posiadania jej samej, jej włosów, ust, ciała. Gdy przypomniał sobie dźwięk jej głosu, przejmował go dreszcz. Pożądał jej z pasją skąpca i z bezgraniczną tkliwością. Miłość zawładnęła nim tak boleśnie, że skoro tylko usłyszał pierwsze słowa Labordette'a, który już aranżował spotkanie, padł mu bezwładnie w ramiona; wstydził się później, zdając sobie sprawę, że taki brak opanowania ośmiesza mężczyznę jego pokroju. Lecz Labordette potrafił wszystko wyrozumieć. Dał jeszcze jeden dowód taktu, zostawiając hrabiego przy schodach i mówiąc po prostu, jakby od niechcenia:

— Drugie piętro, korytarz po prawej stronie, wystarczy pchnąć drzwi. Muffat został sam w cichym zakątku gmachu. Przechodząc obok foyer artystów, zauważył przez otwarte drzwi, że obszerny pokój jest w opłakanym stanie, pełen plam i zniszczeń widocznych w świetle dziennym. Lecz w porównaniu z mrokiem i zgiełkiem, jaki panował na scenie, zaskoczyła go jasność i cisza w tej klatce schodowej. Widział ją już któregoś wieczoru zasnutą oparami gazu i rozbrzmiewającą tupotem nóg kobiecych, które galopowały po piętrach. Czuło się, że garderoby i korytarze są opustoszałe. Nie było żywej duszy, żadnego odgłosu. Przez kwadratowe okna, umieszczone na równym poziomie ze schodami, wpadało blade słońce listopadowe, rzucając żółte smugi, w których tańczyły tumany kurzu. Czuł się szczęśliwy w tym spokoju i ciszy, szedł wolno po schodach, starając się odzyskać normalny oddech. Serce waliło mu jak młotem, ogarniało go przerażenie na myśl, że zachowuje się jak dziecko wzdychając i roniąc łzy. Na podeście pierwszego piętra oparł się plecami o ścianę, pewny, że nikt go nie widzi. Przyciskając chusteczkę do warg, patrzał na szpetne schody, na żelazną poręcz wygładzoną od rąk, na poodbijany tynk, na całą tę nędzę domu publicznego, ukazaną tu bez ogródek w sennej porze popołudniowej, gdy loretki śpią. Na drugim piętrze musiał przeleźć przez grubego, rudego kota, zwiniętego w kłębek na jednym ze stopni. Kot z przymkniętymi oczami sam pilnował domu, uśpiony ostrymi zapachami, które kobiety zostawiały tu co wieczór po sobie.

Istotnie, w korytarzu po prawej stronie drzwi garderoby były tylko przymknięte. Nana czekała. Matylda, brudas grający role naiwnych, miała garderobę niechlujną, z wyszczerbionymi dzbankami, zatłuszczoną gotowalnią, krzesłem splamionym szminką, jakby krew wyciekła na słomę. Papier, którym oblepiono ściany i sufit, był do samej góry obryzgany wodą z mydłem. Tak mocno śmierdziało lawendową perfumą skisłą na ocet, że Nana otwarła okno i, podparta łokciami, przez chwilę wdychała świeże powietrze, przechylając się, by zobaczyć na dole panią Bron, która z zapałem zamiatała pozieleniałe płyty kamienne na wąskim, ciemnym podwórzu. Czyżyk w klatce zawieszonej przy żaluzji wyśpiewywał przejmujące trele. Nie było słychać turkotu wozów z bulwaru ani z sąsiednich ulic. Prowincjonalny spokój panował na szerokiej przestrzeni, gdzie słońce zdawało się spać. Podnosząc wzrok w górę, widziała budyneczki i lśniące witraże galerii pasażu, a dalej wysokie domy ulicy Vivienne, których tylne

fasady stały nieme i jakby puste. Spiętrzały się tarasy, jakieś fotograf umieścił na dachu wielką klatkę z niebieskiego szkła. To było bardzo zabawne. Nana zamyśliła się, gdy nagle wydało się jej, że ktoś zapukał. Odwróciła się i krzyknęła:

— Proszę!

Zobaczywszy hrabiego zamknęła okno. Nie było zbyt ciepło, a zresztą ta ciekawska pani Bron nie musiała przecież słyszeć rozmowy. Spojrzeli na siebie poważnie. Ponieważ hrabia był bardzo sztywny i przygaszony, zaczęła się śmiać i powiedziała:

— No więc jesteś, zwierzaku!

Był tak bardzo wzruszony, że wydawał się zimny jak głaz. Mówił do niej „pani"; czuł się uszczęśliwiony widząc ją znowu. A Nana, żeby go szybciej rozkrochmalić, stała się jeszcze bardziej poufała.

— Nie rób się taki dostojny. Skoro chciałeś mnie zobaczyć, to chyba nie po to, żebyśmy na siebie patrzeli jak dwa fajansowe pieski... Oboje nie mieliśmy racji. Och, ja ci wybaczam.

Zgodzili się, że nie będą już o tym mówili. On przyzwalał ruchem głowy. Taka burza słów cisnęła mu się na wargi, że nie mógł nic powiedzieć i powoli się uspokajał. Zaskoczona jego chłodem zaryzykowała.

— Jesteś przecież rozsądny — powiedziała z bladym uśmiechem. — Teraz, kiedy już zawarliśmy pokój, podajmy sobie ręce i bądźmy dobrymi przyjaciółmi.

— Jak to, dobrymi przyjaciółmi? — szepnął nagle zaniepokojony.

— Tak, to jest może idiotyczne, ale zależało mi na twoim szacunku... Teraz już wyjaśniliśmy wszystko i gdy się spotkamy, nie będziemy mieli głupich min... — Gestem chciał jej przerwać. — Pozwól mi dokończyć... Słuchaj, żaden mężczyzna nie może mi zarzucić świństwa. Dlatego też mierziło mnie, że z tobą... Każdy ma swój honor, mój drogi.

— Ależ nie o to chodzi! — krzyknął gwałtownie. — Siadaj i słuchaj. Jakby się bał, że mu ucieknie, pchnął ją na jedyne krzesło. On sam chodził w rosnącym wzburzeniu. W małej, zamkniętej, pełnej słońca garderobie, ciepłej i przytulnej, panował spokój, którego nie mącił żaden odgłos z zewnątrz. W ciszy słychać było tylko wysokie trele czyżyka, podobne do dźwięków dalekiego fletu.

— Słuchaj — rzekł stając przed nią — przyszedłem, żeby cię zabrać... Tak, chcę się znowu z tobą związać. Dobrze o tym wiesz, dlaczego więc mówisz do mnie w taki sposób?... Odpowiadaj. Zgadzasz się?

Opuściła głowę, skrobała paznokciem czerwoną słomę, która pod nią tworzyła krwawą plamę. Widząc, że hrabia jest zatrwożony, nie spieszyła się. Wreszcie podniosła poważną twarz i piękne oczy, którym udało jej się nadać wyraz smutku.

— Och! To niemożliwe, kochanie. Nigdy do ciebie nie wrócę.

— Dlaczego? — wyjąkał, a jego twarz wykrzywiło niewymowne cierpienie.

— Dlaczego? No cóż! Ponieważ... To jest po prostu niemożliwe. Nie chcę. — Patrzał na nią namiętnie jeszcze przez kilka sekund, a potem nogi się pod nim ugięły i zwalił się na podłogę. Nana z miną znudzoną dorzuciła tylko: — Ach, nie zachowuj się jak dziecko!

Ale on już nie panował nad sobą. Upadłszy jej do nóg, chwycił ją w talii, ściskał mocno i z twarzą wciśniętą między jej kolana przytulał się do jej ciała. Gdy ją poczuł, gdy pod cienką tkaniną sukni odnalazł jej aksamitną skórę, wstrząsnął nim dreszcz. Rozgorączkowany, drżał i nieprzytomnie przyciskał się jeszcze mocniej do jej nóg, jakby chciał w nią wejść. Stare krzesło trzeszczało. Niski strop garderoby tłumił namiętne szlochy, które rozlegały się w powietrzu przesyconym wonią zepsutych pachnideł.

— No dobrze, a potem? — mówiła Nana pozwalając mu na wszystko. — To jeszcze nie uprawnia cię do niczego. Skoro to nie jest możliwe... Mój Boże! Jakiś ty młody! Uspokoił się. Lecz leżał dalej na podłodze i nie puszczał jej mówiąc urywanym głosem:

— Słuchaj przynajmniej, co ci przyszedłem ofiarować... Oglądałem już pałac w pobliżu parku Monceau. Spełnię wszystkie twoje pragnienia. Oddałbym swój majątek, żeby cię mieć

wyłącznie dla siebie... Tak, to byłby jedyny warunek: wyłącznie dla siebie, słyszysz? Ach! Gdybyś się zgodziła należeć wyłącznie do mnie ─ chciałbym, żebyś była najpiękniejsza, najbogatsza, żebyś miała powozy, klejnoty, toalety...

Na każdą ofertę Nana odpowiadała wyniośle ruchem głowy „nie". A gdy on nie ustawał, proponując, że będzie na nią łożył pieniądze, nie wiedząc już, co rzucić jej do stóp, Nana zdawała się tracić cierpliwość.

─ Czy skończysz nareszcie z tym krętactwem? Dobrą jestem dziewczyną, więc zgodziłam się na tę chwilkę, skoro już czujesz się tak źle. Ale dosyć tego, prawda? Pozwól mi wstać, bo mnie męczysz. ─ Wyrwała się i powiedziała: ─ Nie, nie, nie... Nie chcę.

Wówczas podniósł się z trudem, bez sił opadł na krzesło i oparł się o poręcz, kryjąc twarz w rękach. Z kolei Nana zaczęła chodzić po pokoju. Przez chwilę patrzała na poplamiony papier, na tłustą gotowalnię, na całą tę brudną norę skąpaną w bladym słońcu. I stanąwszy przed hrabią powiedziała spokojnie:

─ To śmieszne, jak bogaci ludzie sobie wyobrażają, że mogą mieć wszystko za swoje pieniądze... A jeżeli ja nie chcę?... Gwiżdżę na twoje prezenty. Choćbyś mi dawał cały Paryż, mówiłabym nie, zawsze nie... Popatrz, tu wcale nie jest czysto. A jednak nawet tu byłoby milutko, gdyby mi się spodobało żyć z tobą... A tymczasem w twoich pałacach można umrzeć z nudów bez odrobiny serca... Ach, pieniądze! Mój biedny piesku, mam je gdzieś! Widzisz, ja depcę pieniądze i pluję na nie. ─ Zrobiła minę pełną obrzydzenia. Potem nagle stała się uczuciowa i dorzuciła melancholijnym tonem: ─ Znam coś, co jest warte więcej niż pieniądze... Ach! Gdyby mi dano to, czego pragnę...

Powoli podniósł głowę, a w jego oczach błysnęła nadzieja.

─ Och! Ty mi tego dać nie możesz, to nie zależy od ciebie, i właśnie dlatego ci o tym mówię... Przecież tak sobie rozmawiamy... Chciałabym w tej ich sztuce dostać rolę uczciwej kobiety.

─ Jakiej uczciwej kobiety? ─ szepnął zdziwiony.

─ Ależ księżnej Heleny!... Niech nie myślą, że będę kiedykolwiek grała Geraldynę! Jeszcze czego! Taką mamą rólkę, i to w jednej scenie! Zresztą nie tylko o to chodzi. Mam już dość kokot. Wiecznie mam grać kokoty, jeszcze powiedzą, że cała jestem nimi wypchana. Doprawdy, irytujące jest to, że uważają mnie za źle wychowaną... A tymczasem nie mają zielonego pojęcia, że skoro chcę być dystyngowana, potrafię zrobić to świetnie!... Popatrz tylko.

Cofnęła się do okna, potem wróciła, pusząc się i odmierzając kroki z miną wielkiej kury, która stąpa ostrożnie, gdyż boi się zabrudzić sobie łapy. Hrabia patrzał na nią oczami jeszcze pełnymi łez i był oszołomiony tą jakby wyrwaną z farsy sceną, która łagodziła jego cierpienie. Przez chwilę spacerowała, żeby pokazać się w tej swojej nowej roli, uśmiechając się subtelnie, mrugając powiekami i kołysząc spódnicą. Stanąwszy znowu przed nim rzekła:

─ Co? Dobrze, prawda?

─ Och! Bardzo dobrze ─ wyszeptał jeszcze przygaszony, rzucając niespokojne spojrzenia.

─ Mówię ci, że dobrze gram kobietę uczciwą! Próbowałam w domu i ręczę, że żadna nie potrafi tak jak ja zagrać księżnej, która sobie kpi z mężczyzn. Czy to zauważyłeś, gdy przechodziłam, patrząc na ciebie przez lorgnon? To się ma we krwi... A zresztą, chcę grać rolę uczciwej kobiety. Marzę o tym i jestem z tego powodu nieszczęśliwa. Muszę dostać tę rolę, słyszysz? ─ Spoważniała. Mówiła cierpkim głosem i była przejęta, gdyż rzeczywiście cierpiała nie mogąc zaspokoić głupiej zachcianki. Muffat, jeszcze przygnębiony jej odmową, czekał nic nie rozumiejąc. Zapanowało milczenie. Nawet brzęczenie muchy nie mąciło ciszy pustego domu. ─ Rób, co chcesz ─ rzekła bez ogródek ─ ale zmuś ich, żeby mi dali tę rolę.

Muffat osłupiał. A potem, robiąc gest pełen rezygnacji, powiedział:

─ Ależ to niemożliwe! Sama mówiłaś, że to nie ode mnie zależy.

Przerwała mu wzruszając ramionami.

— Zejdziesz! powiesz Bordenave'owi, że żądasz tej roli... Nie bądźże taki naiwny! Bordenave potrzebuje pieniędzy, więc mu pożyczysz, skoro masz ich dosyć, żeby wyrzucać za okno. — A ponieważ jeszcze się bronił, rozgniewała się: — No tak, rozumiem, boisz się gniewu Róży... Nie mówiłam ci o niej, gdy płakałeś leżąc na podłodze. Długo mogłabym o tym mówić... Tak, skoro przysięgało się kobiecie dozgonną miłość, nie bierze się nazajutrz pierwszej lepszej. Och! To mnie dotknęło, dobrze pamiętam!... Dziwię ci się zresztą, mój drogi, bo resztki po Mignonie to nic zaszczytnego! Czy nie powinieneś był zerwać z tym podłym towarzystwem, zanim przyszedłeś łasić się u moich kolan?

Hrabia protestował, nareszcie mógł wtrącić parę słów.

— Przecież ja sobie kpię z Róży, natychmiast z nią zerwę. Zdawało się, że to sprawiło Nanie pewną satysfakcję.

— Cóż cię zatem krępuje — ciągnęła. — Tu rządzi Bordenave. Ale może mi powiesz, że oprócz niego jest Fauchery... — Mówiła teraz wolniej, gdyż doszli do drażliwego punktu sprawy. Muffat milczał spuściwszy wzrok. Nie chciał nic wiedzieć na temat zalecania się Fauchery'ego do hrabiny; uspokajał się powoli nadzieją, że się pomylił w ową straszliwą noc, spędzoną pod bramą na ulicy Taitbout. Ale ten człowiek wywoływał w nim gniew i głęboką odrazę. — Przecież Fauchery to nie żaden diabeł! — rzekła Nana badając grunt i chcąc wiedzieć, jak daleko zaszły sprawy pomiędzy mężem i kochankiem. — Z Faucherym można się dogadać. Zapewniam cię, że to w gruncie rzeczy dobry chłopak... No, więc załatwione, co? Powiesz mu, że to dla mnie.

Myśl o podobnych zabiegach wzburzyła hrabiego. — Nie, nie, nigdy! — krzyknął.

Nana chwilę poczekała. Na wargi cisnęło się jej zdanie: „Fauchery nie może ci odmówić. „Lecz czuła, że byłby to argument nieco zjadliwy. Więc uśmiechnęła się tylko i wyraziła to samo dziwnym uśmieszkiem. Muffat, zażenowany i pobladły, podniósł na nią wzrok i opuścił go znowu.

— Ach! Nie jesteś dla mnie uprzejmy — szepnęła w końcu.

— Nie mogę! — rzekł zaniepokojony. — Wszystko, czego tylko chcesz, ale nie to, moja kochana. Och, proszę cię!

Nana nie traciła czasu na dyskusje. Swymi pełnymi dłońmi chwyciła jego głowę i w długim pocałunku przykleiła swoje usta do jego ust. Wstrząsnął nim dreszcz, zadrżał nieprzytomnie, zamknąwszy oczy. Podniosła go i rzekła po prostu:

— Idź!

Poszedł, kierując się ku drzwiom. Lecz gdy wychodził, wzięła go znowu w ramiona, zrobiła się pokorna i przymilna. Wyciągnęła głowę i kocim ruchem pocierała swoją brodę o jego kamizelkę.

— Gdzie jest pałac? — spytała cichutko, zmieszana i uśmiechnięta, jak dziewczynka pytająca o dobre rzeczy, których przedtem nie chciała.

— Przy alei Villiers.

— I są powozy?

— Tak.

— Koronki? Klejnoty?

— Tak.

— Och, jakiś ty dobry, kotku! Wiesz, przed chwilą odmawiałam ci przez zazdrość... Ale przysięgam, że tym razem nie będzie już tak jak wtedy, bo ty rozumiesz teraz, czego potrzeba kobiecie. Dajesz mi wszystko, prawda? Więc nie potrzebuję nikogo... Patrz! Wszystko dla ciebie. To i to, i jeszcze to!

Gdy go wypchnęła obsypawszy mu ręce i twarz gradem pocałunków, na chwilę odetchnęła. Boże mój! Jak tu cuchnie w garderobie tej niechlujnej Matyldy! Wprawdzie było przytulnie ciepło jak w pokojach Prowansji ogrzanych zimowym słońcem, lecz czuło się zbyt silny za-

pach zepsutej lawendy pomieszany z innymi brudami. Otwarła okno. Chcąc skrócić czas Oczekiwania, znowu podparła się łokciami i patrzała na witraże pasażu.

Muffat szedł po schodach chwiejnym krokiem, a w głowie mu szumiało. Co powie? W jaki sposób zabierze się do tej sprawy, która nie należy do niego? Wchodził właśnie na scenę, gdy usłyszał kłótnię. Kończono drugi akt, Prullière unosił się gniewem, gdyż Fauchery chciał skreślić jedną z jego replik.

— Wobec tego niech pan wszystko skreśli, tak będzie najlepiej!... Jak to, nie mam nawet dwustu wierszy i jeszcze mi skreślają! Dość tego, rezygnuję z roli. — Wyjął z kieszeni pognieciony zeszycik, gorączkowo obracał go w rękach, udając, że chce go rzucić do nóg Cossarda. Zraniona próżność wykrzywiała grymasem jego bladą twarz, zwężone wargi, rozpalone oczy. Nie mógł ukryć wzburzenia. On, Prullière, bożyszcze publiczności, miałby grać rolę ograniczoną do dwustu wierszy! — Dlaczego jeszcze nie każą mi podawać listów na tacy? — podjął z goryczą.

— Ależ, Prullière, niech się pan uspokoi — rzekł Bordenave, który postępował z nim oględnie ze względu na jego powodzenie u publiczności bywającej w lożach. — Niech pan znowu nie wyprawia swoich historii... Znajdą się i dla pana efektowne sceny... Prawda? Panie Fauchery, pan coś doda... W trzecim akcie można by nawet przedłużyć jedną scenę.

—W takim razie dajcie mi ostatnie słowo przed opadnięciem kurtyny... — oświadczył aktor. — To mi się należy.

Wydawało się, że Fauchery przystaje na to w milczeniu, a Prullière wsadził rolę z powrotem do kieszeni, choć był jeszcze wzburzony i mimo wszystko niezadowolony. Podczas tych wyjaśnień Bosc i Fontan mieli miny zupełnie obojętne: każdy myślał tylko o sobie; ta sprawa ich nie dotyczyła, więc nie zdradzali żadnego zainteresowania. Wszyscy aktorzy otoczyli Fauchery'ego, wypytując go i oczekując pochwał, a tymczasem Mignon słuchał ostatnich skarg Prullière'a, nie tracąc z oczu hrabiego Muffat, na którego powrót czatował.

Hrabia stanął w zaciemnionej części sceny, bojąc się wpaść w kłótnię. Lecz Bordenave zauważył go i rzucił się ku niemu.

— No proszę, co za towarzystwo! — szepnął. — Pan hrabia nie wyobraża sobie, co ja tu mam z nimi. Próżni jak nie wiem co, a przy tym nabieracze i złośliwcy, ciągle zaplątani w paskudne sprawy; byliby zachwyceni, gdybym sobie kark skręcił... Przepraszam, uniosłem się.

Umilkł. Zapanowała cisza. Muffat szukał sposobu, żeby jakoś zręcznie zmienić temat, ale ponieważ nic mu się nie nasuwało, wypalił w końcu prosto z mostu, byleby jak najprędzej:

— Nana chce grać rolę księżnej. Bordenave aż podskoczył i krzyknął:

— Ależ to szaleństwo! — Gdy jednak zobaczył, że hrabia jest blady i wzburzony, natychmiast się uspokoił i rzekł po prostu: — Do diabła!

Znowu zapanowało milczenie. W gruncie rzeczy kpił sobie z tego, ale pomyślał, że może jednak ta pulchna Nana w roli księżnej byłaby zabawna. Zresztą w ten sposób zawojowałaby Muffata. Dlatego też szybko powziął decyzję. Odwrócił się i zawołał:

— Fauchery!

Hrabia zrobił gest, żeby go zatrzymać. Ale Fauchery i tak nie słyszał. Przyparty przez Fontana do ściany musiał wysłuchiwać wyjaśnień na temat koncepcji postaci Tardiveau. Fontan wyobraził sobie Tardiveau jako marsylczyka mówiącego akcentem południowym, który też zaczął naśladować. Przytaczał całe repliki pytając, czy tak jest dobrze, jakby przedstawiał pomysły, o których sam powątpiewał. Ale ponieważ Fauchery z chłodną obojętnością wysuwał zastrzeżenia, aktor zirytował się i powiedział rozdrażniony, że skoro nie może uchwycić istotnego sensu roli, lepiej będzie dla wszystkich, jeżeli z niej zrezygnuje.

— Fauchery! — krzyknął znowu Bordenave. Młody człowiek wymknął się, szczęśliwy, że może tak szybko uciec od aktora, którego tym uraził.

— Nie tu — powiedział Bordenave. — Chodźcie, panowie. Nie chcąc, żeby ktokolwiek mógł podsłuchiwać, zaprowadził ich za scenę, do składu rekwizytów. Mignon zaskoczony patrzał,

jak znikali. Zeszli parę stopni i znaleźli się w kwadratowym pokoju, którego dwa okna wychodziły na podwórze. Blade, piwniczne światło sączyło się przez brudne szyby do nisko sklepionego wnętrza. Na półkach, które zastawiały pokój, pełno było wszelkiego rodzaju rupieci rzuconych bezładnie jak w likwidowanym sklepie przekupnia z ulicy Lappe; okropna mieszanina talerzy, kielichów ze złoconej tektury, starych, czerwonych parasoli, włoskich dzbanów, zegarów ściennych w najróżniejszych stylach, tac i kałamarzy, broni palnej i strzykawek. Wszystko to spoczywało pod warstwą kurzu grubą na palec i było nie do poznania, poszczerbione, połamane, stłoczone. Z tych stosów, na których od pięćdziesięciu lat gromadzono resztki po wystawianych sztukach, unosił się nieznośny smród żelastwa, szmat i wilgotnych kartonów.

— Wejdźcie — powtarzał Bordenave — tu przynajmniej będziemy sami. Hrabia, bardzo zażenowany, zrobił kilka kroków, żeby dyrektor mógł sam wystąpić z propozycją. Fauchery zdziwiony spytał:

— O co chodzi?

— Otóż właśnie — rzekł wreszcie Bordenave — wpadliśmy na myśl. Niech się pan tylko nie rzuca, bo to poważna sprawa... Co by pan powiedział, gdyby tak rolę księżnej dać Nanie?

Autor przeraził się, a po chwili wybuchnął:

— Ależ to chyba żart... prawda?... To byłoby zbyt śmieszne.

— Toż to nie jest źle, kiedy publiczność się śmieje!... Niech pan rozważy, mój drogi... Ten pomysł bardzo się podoba panu hrabiemu.

Hrabia dla dodania sobie animuszu wziął właśnie z zakurzonej deski jakiś przedmiot, którego zdawał się nie rozpoznawać. Był to kieliszek do jaj z dorobioną gipsową nóżką. Zatrzymał go bezwiednie w ręku i zbliżył się do dziennikarza szepcząc:

— Tak, tak, to byłoby bardzo dobre.

Fauchery zwrócił się do niego z gestem wyrażającym duże zniecierpliwienie — wszak hrabia nie miał nic do gadania — i powiedział dobitnie:

— Nigdy!... Nana w roli kokoty, owszem, ale w roli pani z towarzystwa, co za pomysł!

— Zapewniam pana, że pan się myli — podjął Muffat nabierając odwagi. — Właśnie przed chwilą zagrała w mojej obecności rolę uczciwej kobiety...

— Gdzież to? — spytał Fauchery coraz bardziej zdumiony.

— Na górze, w garderobie... Rzeczywiście bardzo dobrze. Co za dystynkcja! I to spojrzenie!... jakby od niechcenia, rozumie pan, takie...

Trzymając w ręku kieliszek do jaj usiłował naśladować Nanę. Zapomniał się, gdyż chciał koniecznie przekonać tych panów. Fauchery patrzał na niego osłupiały: zrozumiał wszystko i już się nie gniewał. Hrabia, który wyczuł jego drwiące i pełne politowania spojrzenie, zatrzymał się, lekko zarumieniony.

— Mój Boże! Wszystko możliwe! — szepnął autor uprzejmie. — Może byłaby świetna w tej roli... Niestety jednak rola jest już obsadzona i nie możemy jej odebrać Róży.

— Och! Jeśli tylko o to chodzi — rzekł Bordenave — podejmuję się załatwić sprawę.

Ale widząc, że obaj są przeciwko niemu, i pojmując, że Bordenave ma w tym jakiś ukryty interes, młody człowiek chciał postawić na swoim i buntował się ze zdwojoną gwałtownością, która groziła przerwaniem rozmowy.

— Nie! Nie! Gdyby nawet rola nie była obsadzona, nigdy bym jej nie dał Nanie... Jasne? Dajcie mi spokój... Nie mam zamiaru kłaść swojej sztuki.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Bordenave widząc, że jest zbyteczny, usunął się na bok. Hrabia stał z opuszczoną głową. Podniósł się z wysiłkiem i rzekł zmienionym głosem:

— Mój drogi, a gdybym prosił pana o tę przysługę?

— Nie mogę, nie mogę — powtarzał Fauchery walcząc ze sobą. Głos Muffata stał się bardziej natarczywy.

— Proszę pana o to... Ja tego chcę!

Patrzał na niego uparcie. Młody człowiek ustąpił od razu przed tym ponurym spojrzeniem, w którym wyczytał groźbę, i wybełkotał niewyraźnie:

— Niech już będzie. W gruncie rzeczy gwiżdżę na to... Ach! Pan postępuje niewłaściwie. Zobaczy pan, zobaczy pan...

Sytuacja stała się jeszcze bardziej kłopotliwa. Fauchery oparł się plecami o półkę, tupiąc nerwowo nogą. Muffat zdawał się badać uważnie kieliszek do jaj, ciągle go obracając w dłoni.

— To jest kieliszek do jaj — powiedział uprzejmie Bordenave.

— No tak, kieliszek do jaj — powtórzył hrabia.

— Przepraszam bardzo, pan się zakurzył — ciągnął dyrektor umieszczając z powrotem ten przedmiot na półce. — Chyba pan rozumie, że nie dalibyśmy rady odkurzać codziennie... Dlatego też nie jest tu zbyt czysto. Straszny nieład, prawda?... A jednak, może pan nie uwierzy, że są tu jeszcze rzeczy wartościowe. Proszę, niech pan to wszystko obejrzy.

Prowadził Muffata wzdłuż półek i w zielonkawym świetle dochodzącym z podwórza zwracał uwagę na różnego rodzaju graty, chcąc go zainteresować swym inwentarzem łachmaniarza, jak sam siebie żartobliwie nazywał. A gdy wrócili do Fauchery'ego, rzekł swobodnym tonem:

— Słuchajcie, ponieważ wszyscy się zgadzamy, zakończmy tę sprawę... Oto Mignon.

Mignon dobrą chwilę wałęsał się po korytarzu. Uniósł się gniewem, gdy usłyszał, że Bordenave mówi o zmianie ich umowy; to nikczemne tak rujnować przyszłość jego żony, on gotów jest wytoczyć proces. Tymczasem Bordenave z całym spokojem przytaczał argumenty: rola nie jest godna Róży. Woli ją zachować do operetki, która ma iść po *Małej diuszessie*. Lecz ponieważ małżonek ciągle krzyczał, Bordenave nagle zaproponował unieważnienie umowy, powołując się na to, co zaproponowano śpiewaczce w „Folies-Dramatiques". Mignon przez chwilę zbity z tropu, nie przecząc, że były tego rodzaju oferty, zaczął udawać wielką pogardę dla pieniędzy. Skoro jego żonę zaangażowano do roli księżnej Heleny, będzie ją grała, choćby nawet on, Mignon, miał stracić swój majątek. To sprawa godności i honoru. Dyskusja na ten temat ciągnęła się bez końca. Dyrektor wracał ciągle do następującego rozumowania: skoro teatr „Folies" daje Róży w ciągu stu przedstawień trzysta franków za wieczór, a u niego zarabia tylko sto pięćdziesiąt, zarobi o piętnaście tysięcy franków więcej od chwili, gdy on pozwoli jej odejść. Ale tu wchodziły jeszcze w grę względy artystyczne: co ludzie powiedzą, gdy zobaczą, że odbiera się rolę jego żonie? Powiedzą, że się nie nadawała, że trzeba ją było zastąpić. To dla artystki wielki cios i wielka krzywda. Nie, nie, nigdy! Sława jest ważniejsza od bogactwa! Lecz oto nagle zaproponował transakcję: zgodnie z umową, gdyby Róża chciała się wycofać, musiałaby zapłacić dziesięć tysięcy franków tytułem niedotrzymania kontraktu. Wobec tego niech jej dadzą dziesięć tysięcy franków, a ona przejdzie do „Folies — Dramatiques". Bordenave osłupiał, a Mignon spokojnie czekał, nie spuszczając hrabiego z oka.

— No więc wszystko się dobrze układa — szepnął Muffat z ulgą — dochodzimy do porozumienia.

— O nie! To byłaby dopiero ładna historia! — krzyknął Bordenave, w którym odezwały się instynkty człowieka interesu. — Dziesięć tysięcy franków za odprawienie Róży! Naraziłbym się na kpiny.

Lecz hrabia kazał mu się zgodzić, dając wielokrotnie znaki głową. Bordenave wahał się jeszcze przez chwilę. Wreszcie pomrukując i żałując tych dziesięciu tysięcy franków, choć nie miał ich wyłożyć z własnej kieszeni, powiedział brutalnie:

— Ostatecznie, zgoda. Przynajmniej się was pozbędę. Fontan od kwadransa przysłuchiwał się tej scenie z podwórza. Mocno zaintrygowany, zszedł, by stamtąd podsłuchiwać. Gdy zrozumiał, o co chodzi, wrócił na górę i z rozkoszą zawiadomił o tym Różę. Ach tak! Robią ploty na jej temat, została wystrychnięta na dudka. Natychmiast pobiegła do składu rekwizytów. Wszyscy umilkli. Spojrzała na czterech mężczyzn. Muffat opuścił głowę, Fauchery od-

powiedział wzruszeniem ramion, zbity z tropu przez jej pytające spojrzenia. Natomiast Mignon rzeczowo omawiał z Bordenave'em terminy umowy.

— Co się dzieje? — spytała.

— Nic — rzekł jej mąż. — Bordenave daje dziesięć tysięcy franków za odebranie ci roli.

Była bardzo blada i drżała zaciskając piąstki. Przez chwilę przeszywała go wzrokiem, oburzona do głębi, choć zwykle potulnie zdawała się na niego w sprawach pieniężnych, powierzając mu zawieranie umów ze swymi dyrektorami i kochankami. I zdobyła się tylko na jeden okrzyk, którym smagnęła go po twarzy jak uderzeniem bicza:

— Och! Jakiś ty podły!

I uciekła. Osłupiały Mignon pobiegł za nią. Jak to? Czyżby oszalała? Półgłosem wyjaśniał jej, że dziesięć tysięcy franków z jednej strony, a piętnaście tysięcy franków z drugiej, to razem dwadzieścia pięć tysięcy. Co za wspaniały interes! Muffat i tak ją rzuca, więc to nie lada sztuka wyrwać mu ze skrzydła to ostatnie pióro. Lecz Róża, wściekła, nie odpowiadała. Więc Mignon z miną pełną pogardy zostawił ją na pastwę babskich humorów i zwrócił się do Bordenave'a, który wracał na scenę z Faucherym i Muffatem.

— Jutro rano podpiszemy. Niech pan przygotuje pieniądze. W tym momencie Nana, powiadomiona przez Labordette'a o przebiegu rozmowy, schodziła w triumfie. Upozowała się na panią z towarzystwa, robiąc miny dystyngowane, żeby olśnić obecnych i udowodnić tym idiotom, że skoro tylko chce, potrafi zakasować wszystkie kobiety. Ale o mały włos byłaby się skompromitowała. Róża zobaczywszy ją rzuciła się na nią i w złości wyjąkała:

— Już ja cię odnajdę... Porachujemy się, słyszysz?

Zapominając się wobec tego nagłego wybuchu Nana chciała już podeprzeć się w biodrach i nazwać ją flądrą. Lecz powstrzymała się i z gestem markizy, która ma stąpnąć na skórkę z pomarańczy, zapytała przesadnie słodkim głosem:

— Co takiego? Pani oszalała, moja droga!

Potem wdzięczyła się dalej, a Róża odeszła z Mignonem, który jej nie poznawał, tak była zmieniona. Zachwycona Klarysa otrzymała właśnie od Bordenave'a rolę Geraldyny. Fauchery ponury, dreptał nie mogąc się zdecydować na opuszczenie teatru. Sztukę jego pogrzebano, szukał jeszcze jakiejś deski ratunku. Nana podeszła, chwyciła go za przeguby rąk, przyciągnęła do siebie i spytała, czy on uważa, że jest aż tak okropna. Nie zje mu przecież jego sztuki. Pobudziła go do śmiechu i dała mu do zrozumienia, że byłoby głupotą gniewać się na nią wobec jego sytuacji w domu Muffatów. Jeśli jej pamięć nie dopisze, najwyżej weźmie suflera. Na pewno oczarują salę. Zresztą, on nie docenia jej możliwości, sam zobaczy, z jaką werwą będzie grała. W rezultacie uzgodniono, że autor trochę zmieni rolę księżnej i da więcej tekstu Prullière'owi, którego to wprawiło w zachwyt. Jedynie Fontan zachowywał się obojętnie w tym radosnym nastroju, jaki Nana od razu z sobą wniosła do teatru. W żółtym oświetleniu, podkreślającym zarys jego koźlego profilu, przybrał pozę nonszalancką. Nana spokojnie podeszła i uścisnęła mu rękę.

— Jak się czujesz?

— Nieźle. A ty?

— Dziękuję, świetnie.

To wszystko, jakby rozstali się wczoraj u wejścia do teatru. A tymczasem aktorzy czekali; lecz Bordenave oświadczył, że nie będą próbować trzeciego aktu. Stary Bosc, który przypadkiem przyszedł punktualnie, odszedł mrucząc: „Niepotrzebnie nas zatrzymują i każą tracić całe popołudnia.” Za chwilę wszyscy wyszli z teatru. Na ulicy, oślepieni światłem dziennym, mrugali powiekami, oszołomieni jak ludzie, którzy spędzili trzy godziny w głębi piwnicy na kłótniach i w ciągłym napięciu nerwowym. Hrabia, zmordowany i z pustką w głowie, wsiadł do powozu z Nana, a Labordette zabrał Fauchery'ego, by go pocieszać.

W miesiąc później premiera *Małej diuszessy* była dla Nany straszną porażką. Okazała się w tej roli fatalna, ze swymi pretensjami do stworzenia postaci z klasycznej komedii, co rozśmie-

szyło publiczność. Bawiono się tak dobrze, że nawet jej nie wygwizdano. Róża Mignon, w loży prosceniowej, przyjmowała każde wejście swej rywalki tak gwałtownym śmiechem, ze zarażała nim całą salę. Była to jej pierwsza zemsta. Gdy Nana wieczorem znalazła się znowu sama z bardzo zmartwionym Muffatem, powiedziała do niego z wściekłością:

— A to dopiero intryga! Wszystko przez zazdrość... Ach, gdyby wiedzieli, jak ja sobie na to gwiżdżę! Teraz mam ich gdzieś!... Mogę się założyć o sto ludwików: wszystkich, którzy tak ze mnie kpili, doprowadzę do tego, że będą przede mną ziemię lizać!... Pokażę ja wielką damę twojemu Paryżowi!

X

Odtąd Nana stała się kobietą elegancką, żyjącą z głupoty i zepsucia mężczyzn, markizą wytwornej prostytucji. Raptem weszła naprawdę w świat, robiła konkietę pośród lowelasów, słynąć z szalonej rozrzutności i wyzywającej urody. Od razu została królową wśród najkosztowniejszych ladacznic. Jej fotografie wystawiano w witrynach, pisano o niej w dziennikach. Gdy jechała powozem przez bulwary, tłum się odwracał i wymawiał jej imię z przejęciem, jak lud witający swoją władczynię. Miła i ujmująca, w powiewnych toaletach, uśmiechała się wesoło spod jasnych loków spadających na podkrążone oczy i czerwone, wymalowane usta. Cudownym sposobem ta dziewczyna, tak niezaradna na scenie, tak śmieszna, gdy chciała udawać damę z towarzystwa, w życiu bez żadnego wysiłku grała rolę uwodzicielki. Giętka jak żmija, w sposób wyrafinowany obnażająca swe wdzięki, niby od niechcenia, wykwintnie elegancka, miała nerwową dystynkcję rasowej kotki. Ta wspaniała, nieokiełznana ladacznica ujarzmiała Paryż jak wszechpotężna pani. Nadawała ton, a wielkie damy ją naśladowały.

Pałac Nany był położony przy alei Villiers na rogu ulicy Cardinet, w tej luksusowej dzielnicy, która właśnie wyrastała na rozległych terenach dawnej równiny Monceau. Wzniesiony przez młodego, odurzonego pierwszym sukcesem malarza, który musiał go sprzedać zaraz po ukończeniu budowy, pałac ten był w stylu renesansowym. Wnętrze rozplanowano z fantazją, dbając o nowoczesne wygody przy zamierzonej oryginalności projektu. Hrabia Muffat kupił ten pałac umeblowany, z mnóstwem drobiazgów, bardzo pięknych obić wschodnich, starych kredensów i wielkich foteli w stylu Ludwika XIII. Nana weszła więc do domu urządzonego artystycznie i w sposób wyszukany, choć była to mieszanina różnych epok. Lecz ponieważ atelier malarskie, zajmujące środek domu, nie mogło się jej na nic przydać, poprzewracała piętra do góry nogami. Na parterze zostawiła cieplarnię, wielki salon i jadalnię, a na pierwszym piętrze obok sypialni i buduaru urządziła salonik. Zdumiewała architekta swymi pomysłami. W tej córce paryskiego bruku, mającej instynktowny zmysł elegancji, obudziło się nagle zamiłowanie do wyrafinowanego luksusu. W rezultacie nie zepsuła zbytnio pałacu, uzupełniała nawet umeblowanie, choć tu i ówdzie po śladach bezsensownego i jaskrawego przepychu można było poznać dawną kwiaciarkę, która snuła kiedyś marzenia przed witrynami sklepów.

Przed wejściem, pod wielką markizą, schody były wyścielone dywanem.

Już w westybulu czuło się zapach fiołków w ciepłym powietrzu wytapetowanego wnętrza. Szerokie schody były oświetlone witrażem o żółtych i różowych szybkach w pastelowym odcieniu. Na dole Murzyn wyrzeźbiony z drzewa trzymał srebrną tacę pełną biletów wizytowych. Cztery kobiety z białego marmuru, nagie do pasa, dźwigały wysoko w dłoniach kandelabry. Przedmioty z brązu i chińskie wazony pełne kwiatów, tapczany pokryte starymi dywanami perskimi, fotele obite starymi tkaninami stanowiły umeblowanie westybulu, zdobiły podesty, tworzyły na pierwszym piętrze jakby przedpokój, w którym zawsze poniewierały się męskie płaszcze i kapelusze. Tkaniny tłumiły hałas, panowało tu skupienie jak w kaplicy, gdzie ludzi przejmuje nabożny dreszcz i gdzie cisza za zamkniętymi drzwiami kryje jakąś tajemnicę.

Przebogaty salon w stylu Ludwika XVI Nana otwierała tylko w galowe wieczory, gdy przyjmowała towarzystwo z Tuilerii lub osobistości zagraniczne. Zazwyczaj schodziła w porze posiłków do jadalni, gdzie czuła się trochę zagubiona w te dni, gdy sama spożywała obiad. Jadalnia była bardzo wysoka, ozdobiona gobelinami; stare fajanse i piękne przedmioty ze starego srebra rozjaśniały monumentalny kredens. Lecz Nana zawsze spiesznie wracała na górę. Spędzała czas na pierwszym piętrze w swych trzech pokojach, w sypialni, buduarze i saloniku. Już dwa razy przerabiała sypialnię. Najpierw kazała ją obić fioletowym atłasem, a

potem aplikacją koronki na niebieskim jedwabiu. Ale jeszcze nie była zadowolona. Uważała, że te kolory są mdłe i ciągle czegoś bezskutecznie szukała. Wyścielane, niskie jak sofa łóżko było ozdobione wenecką koronką wartości dwudziestu tysięcy franków. Meble z białej i niebieskiej laki były inkrustowane srebrną siateczką. Na całej podłodze porozkładano tak wiele białych skór niedźwiedzich, że zakrywały dywan. Był to wymyślny kaprys Nany, która nie mogła się odzwyczaić od siadania na podłodze, gdy zdejmowała pończochy. W saloniku obok sypialni zgromadzono zabawną mieszaninę wyszukanych dzieł sztuki. Mnóstwo przedmiotów reprezentujących wszystkie kraje i style odcinało się na tle jedwabnych, bladoróżowych, przetkanych złotem obić. Były tam włoskie kredensiki, hiszpańskie i portugalskie skrzynie, chińskie pagody, parawan japoński z cennym wykończeniem, fajanse, brązy, haftowane jedwabie, delikatne tkaniny. Fotele szerokie jak łoża i kanapy głębokie jak alkowy stwarzały nastrój lenistwa i sennego życia seraju. Pokój był utrzymany w tonie starego złota z dodatkiem zieleni i czerwieni. Oprócz rozkosznej miękkości foteli i kanap nic nie zdradzało, że mieszka tu kokota. Tylko dwie porcelanowe figurki wprowadzały do salonu akcent swoistej głupoty: jedna z nich przedstawiała kobietę w koszuli, iskającą pchły, a druga kobietę zupełnie nagą, stojącą na rękach, z zadartymi do góry nogami. Przez prawie zawsze otwarte drzwi było widać łazienkę całą z marmuru i szkła, z białą wanną, srebrnymi dzbankami i miednicami, drobiazgami z kryształu i kości słoniowej. Zasłonięta firanka przyćmiewała tam światło dzienne. W sennym nastroju rozchodził się zapach fiołkowy, ów oszołamiający zapach Nany, który przenikał cały pałac aż do dziedzińca.

Zorganizowanie domu nie było sprawą błahą. Na szczęście Nana miała Zoè, oddaną dziewczynę, która od miesięcy spokojnie czekała na tę nagłą zmianę, ufając swemu nosowi. Teraz triumfowała. Zarządzała pałacem i ciułała grosze służąc przy tym pani jak najuczciwiej. Lecz pokojówka już nie wystarczała. Trzeba było zaangażować *maitre d'hótel,* stangreta, konsjerża, kucharkę. Poza tym trzeba było urządzić stajnie. W tej sprawie okazał się nader użyteczny Labordette. Podjął się załatwienia zakupów, które nudziły hrabiego. Robił kombinacje z kupnem koni, biegał do fabrykantów powozów, pomagał w zakupach młodej kobiecie, którą spotykano u dostawców wspartą na jego ramieniu. Labordette sprowadził nawet służbę: wysokiego draba Karola, stangreta od księcia de Corbreuse, Juliana, małego, ufryzowanego i uśmiechniętego *maitre d'hótel,* oraz małżeństwo złożone z kucharki Wiktorii i Franciszka, którego zaangażowano w charakterze konsjerża i lokaja. Franciszek, upudrowany, ubrany w krótkie spodnie i w jasnoniebieską ze srebrnymi galonami liberię Nany, przyjmował gości w westybulu. Było to na poziomie dworu książęcego.

W drugim miesiącu dom był już zorganizowany. Pochłonął on sumy przekraczające trzysta tysięcy franków. W stajniach stało osiem koni, a w remizach pięć powozów, między innymi zdobione srebrem lando, którym przez jakiś czas interesował się cały Paryż. Nana świetnie się czuła wśród tego bogactwa. Po trzecim przedstawieniu *Małej diuszessy* porzuciła teatr, narażając Bordenave'a na groźbę bankructwa pomimo pieniędzy, które mu pożyczył hrabia. Była jednak rozgoryczona niepowodzeniem. A ponadto nie mogła zapomnieć podłości Fontana, za którą czyniła odpowiedzialnymi wszystkich mężczyzn. Czuła się też obecnie bardzo odporna na wszelkie miłostki. Ale myśl o zemście nie trzymała się wcale jej ptasiego mózgu. Skoro tylko mijał gniew, uparcie wracało wiecznie nienasycone pragnienie rozrzutności oraz pogarda dla mężczyzny, który opłacał ciągłe kaprysy zachłannej i zepsutej kobiety, dumnej z tego, że rujnuje swych kochanków.

Z początku Nana traktowała hrabiego z szacunkiem. Jasno określiła program ich wzajemnych stosunków. On miał dawać miesięcznie dwanaście tysięcy franków, nie licząc prezentów. W zamian za to żądał tylko bezwzględnej wierności. Przysięgła, że będzie mu wierna. Lecz postawiła warunki, wymagając zupełnej swobody w swym domu i pełnego poszanowania jej woli. Oświadczyła, że będzie codziennie przyjmowała swych przyjaciół, a on będzie przychodził tylko w określonych godzinach. Powinien jej we wszystkim ślepo ufać. A gdy

hrabia, niespokojny i zazdrosny, wahał się, udawała, że jest urażona w swej godności, i groziła, że mu wszystko zwróci, albo też przysięgała na głowę Ludwisia. To mu powinno wystarczyć, bo nie ma miłości, jeśli nie ma szacunku. Przez miesiąc Muffat istotnie ją poważał.

Ale Nana chciała jeszcze więcej i wkrótce zdobyła, co chciała, ujmując go miłym postępowaniem. Gdy przychodził ponury, rozweselała go, skłaniała do wyznań i udzielała rad. Powoli zajęła się kłopotami związanymi z jego domem, żoną, córką, jego sprawami sercowymi i pieniężnymi. Była bardzo rozsądna, sprawiedliwa i uczciwa. Tylko raz się uniosła, gdy hrabia zwierzył się, że Daguenet zapewne poprosi o rękę jego córki Stelli. Od czasu gdy hrabia afiszował się z Naną, Daguenet uważał, że zręczniej będzie zerwać i traktować ją jak łajdaczkę, przysięgając, że wyrwie swego przyszłego teścia ze szponów tej kreatury. Toteż ładnie obsmarowała swego dawnego Mimi: taki dziewkarz, co przejadł swój majątek z kobietami lekkich obyczajów. Człowiek ten nie ma kośćca moralnego. Wprawdzie nie każe sobie dawać pieniędzy, ale z cudzych pieniędzy korzysta, rewanżując się tylko od czasu do czasu bukietem lub obiadem. A ponieważ zdawało się jej, że hrabia wybacza mu te słabostki, powiedziała bez ogródek, że żyła z Daguenetem, i przytoczyła obrzydliwe szczegóły. Muffat zbladł jak ściana i więcej już nie było mowy o tym młodym człowieku. Będzie miał nauczkę.

Tymczasem pałac nie był jeszcze całkowicie umeblowany, gdy Nana, choć złożyła Muffatowi najgorętsze przysięgi wierności, zatrzymała na noc hrabiego Ksawerego de Vandeuvres, który od dwóch tygodni składał wizyty i obsypywał ją kwiatami, zabiegając ojej względy. Uległa mu nie dlatego, by się zakochała, lecz raczej chcąc dowieść sobie samej, że jest wolna. Myśl o korzyści materialnej zrodziła się później, gdy Vandeuvres nazajutrz pomógł jej w zapłaceniu jakiegoś rachunku, o którym nie chciała mówić Muffatowi. Wyciągała od niego osiem do dziesięciu tysięcy franków miesięcznie, jako nader przydatne kieszonkowe. Oszalały Vandeuvres rujnował właśnie do reszty swój majątek. Konie i Lucy pochłonęły trzy folwarki. Nana miała od razu połknąć jego ostatni zamek w pobliżu Amiens. A on postępował tak, jakby się spieszył, by wszystko znieść, nawet zwaliska starej wieży zbudowanej przez jednego z Vandeuvres'ów za czasów Filipa Augusta. Opanowany wściekłą pasją niszczenia, rujnował wszystko, uważając, że pięknie będzie, gdy w rękach tej kokoty, pożądanej przez cały Paryż, pozostawi ostatnie złote krążki ze swej tarczy herbowej. On także zgodził się na warunki Nany, na jej pełną swobodę i czułości w oznaczonych dniach, nie wymagając naiwnie przysiąg. Muffat nie domyślał się niczego. A Ksawery Vandeuvres na pewno o wszystkim wiedział, lecz nigdy nie robił najmniejszej aluzji i udawał, ze nie wie, mając na twarzy subtelny uśmiech sceptycznego hulaki, który nie żąda rzeczy niemożliwych, byleby tylko miał u Nany swoje wyznaczone godziny i byle Paryż o tym wiedział.

Od tej pory Nana miała rzeczywiście dom urządzony. Dość już było służby: w stajni, kredensie i sypialni pani. Zoè organizowała wszystko. Potrafiła wybrnąć z najbardziej skomplikowanych i nieprzewidzianych sytuacji. Wszystko było wyreżyserowane jak w teatrze, uregulowane jak w wielkiej administracji i funkcjonowało z taką precyzją, że w ciągu pierwszych miesięcy nie było niepożądanych starć czy awantur. Pani martwiła jednak Zoè brakiem roztropności, szaleństwami i brawurą. Toteż pokojówka powoli się rozpuszczała, zauważywszy zresztą, że najwięcej korzyści wyciąga w chwilach zamieszania, gdy pani popełniała jakieś głupstwo, które należało naprawić. Wtedy bowiem podarunki spadały jak deszcz i w mętnej wodzie łowiła ludwiki.

Pewnego dnia rano, gdy Muffat nie wyszedł jeszcze z sypialni, Zoè wprowadziła jakiegoś pana, drżącego, do buduaru, gdzie Nana zmieniała bieliznę.

— Patrzcie! Luluś! — rzekła młoda kobieta osłupiała. Był to istotnie Jerzy. Widząc ją w koszuli, ze złotymi włosami na gołych ramionach, rzucił się jej na szyję, objął i całował wszędzie. Nana, przerażona, wyrywała się tłumiąc głos i szepcząc:

— Dajże spokój, on tu jest! To nie ma sensu... A ty, Zoè, oszalałaś? Proszę go wyprowadzić! Niech czeka na dole, będę się starała zejść.

Zoè musiała go wypchnąć przed sobą. W jadalni, gdy Nana mogła już zejść, skarciła ich oboje. Zoè przygryzła wargi i wyszła stropiona mówiąc, że chciała tylko sprawić pani przyjemność. Jerzy patrzał na Nanę szczęśliwy, że ją znowu widzi; jego piękne oczy były pełne łez. Teraz już minęły niedobre dni, gdyż matka sądząc, że zmądrzał, pozwoliła mu opuścić Fondettes. Przybywszy na dworzec paryski wsiadł do dorożki, by prędzej ucałować ukochaną. Mówił, że chce odtąd żyć przy niej, jak wtedy, gdy boso czekał na nią w sypialni w Mignotte. Opowiadając o swych przeżyciach wyciągał palce, jakby czuł potrzebę dotykania jej po tym okrutnym roku rozłąki. Chwytał jej ręce, szperał w szerokich rękawach peniuaru, sięgał do jej ramion.

— Kochasz jeszcze swoje bobo? — spytał dziecinnym głosem.

— Oczywiście, że kocham! — odrzekła Nana wyrywając się gwałtownym ruchem. — Ale wpadasz tak bez uprzedzenia... Wiesz przecież, mój mały, że nie jestem wolna. Trzeba być rozsądnym.

Ponieważ Jerzy wysiadł z dorożki oszołomiony myślą, że nareszcie zaspokoi swe pożądanie, nie zauważył wcale, gdzie wchodził. Teraz dopiero zdał sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w jej otoczeniu. Uważnie obejrzał bogatą jadalnię z wysokim zdobionym plafonem, gobelinami i kredensem lśniącym od srebrnych naczyń.

— Ach, tak — rzekł smutno.

Powiedziała mu, że nie powinien nigdy przychodzić rano. Jeżeli chce, może przyjść po południu pomiędzy czwartą a szóstą. W tych godzinach ona przyjmuje przyjaciół. A ponieważ patrzał na nią z błagalną miną, niczego nie żądając, pocałowała go w czoło z dużą serdecznością.

— Bądź rozsądny, zrobię, co tylko będę mogła — szepnęła. Ale naprawdę te słowa nic nie znaczyły. Uważała, że Jerzy jest bardzo miły, chciałaby mieć w nim towarzysza, i nic więcej. Gdy jednak przychodził codziennie o czwartej, wydawał się jej tak nieszczęśliwy, że często jeszcze ulegała. Przechowywała go w szafach pozwalając mu ciągle zbierać okruchy swej urody. Nie wychodził już z pałacu, zadomowiony jak piesek Bijou, jak on zaplątany w spódnice pani, korzystając nawet wtedy, gdy żyła z innym: w godzinach samotnej nudy piesek dostawał kawałki cukru, Jerzy — pieszczoty.

Widocznie pani Hugon dowiedziała się, że jej synek dostał się znowu w ramiona tej przewrotnej kobiety, gdyż przyjechała do Paryża i wezwała na pomoc swego drugiego syna, porucznika Filipa, który był wówczas w garnizonie w Vincennes. Jerzy krył się przed starszym bratem, wpadł więc w rozpacz obawiając się, że zrobią na niego jakiś zamach. A ponieważ w nerwowej wylewności uczuć nie potrafił zachować żadnej tajemnicy, zaczął niebawem opowiadać Nanie bez końca o swoim starszym bracie, śmiałku, który odważyłby się na wszystko.

— Chyba rozumiesz — wyjaśniał — że mama nie przyjdzie do ciebie, skoro może przysłać mojego brata... Na pewno przyśle po mnie Filipa.

Za pierwszym razem Nanę bardzo to ubodło, więc powiedziała oschle:

— A to dobre! Chciałabym to zobaczyć! Nic mnie nie obchodzi, że on jest porucznikiem, Franciszek i tak wyrzuci go za drzwi bez żadnych ceregieli.

Ale ponieważ mały ciągle opowiadał o bracie, zaczęła się w końcu interesować Filipem. Po tygodniu znała go od stóp do głów. Wiedziała już, że jest bardzo wysoki, bardzo silny, wesoły, trochę brutalny. Poznała też pewne szczegóły intymne: że ma owłosione ramiona, a na plecach znamię. I oto pewnego dnia, zaciekawiona portretem tego mężczyzny, którego miała wyrzucić za drzwi, krzyknęła:

— No i co, Lulusiu, twój brat jakoś nie przychodzi... Czyżby był blagierem?

Nazajutrz, gdy Jerzy był sam z Naną, Franciszek wszedł na górę, by zapytać, czy pani przyjmie porucznika Filipa Hugon. Chłopak zbladł jak ściana i szepnął:

— Domyślałem się, mama mówiła mi o tym dziś rano. Błagał młodą kobietę, by kazała odpowiedzieć, że nie może go przyjąć. Lecz Nana, podniecona, już wstawała mówiąc:

— Ależ dlaczego? Myślałby, że się boję. Przynajmniej się uśmiejemy. Franciszku, proszę zatrzymać tego pana przez kwadrans w salonie. Potem Franciszek mi go przyprowadzi. — Nie usiadła już, lecz chodziła nerwowo od lustra nad kominkiem do weneckiego zwierciadła, zawieszonego nad włoskim kuferkiem. Za każdym razem rzucała spojrzenie, sprawdzała uśmiech, a tymczasem Jerzy, siedząc bez sił na kanapie, drżał na myśl o scenie, która się zbliżała. Nana spacerując rzucała krótkie zdania: — Chłopak się uspokoi, jeśli kwadrans poczeka... Zresztą, skoro sądzi, że przyszedł do loretki, salon zrobi na nim silne wrażenie... Tak, tak, dobrze się rozglądaj, kochaneczku. Nie ma tu nic fałszywego, nauczysz się szanować mieszczaństwo. Jedyny sposób na mężczyzn to żądać szacunku... Co? Czy minął już kwadrans? Nie, zaledwie dziesięć minut. Och, mamy jeszcze czas!

Nie mogła usiedzieć na miejscu. Gdy minął kwadrans, odprawiła Jerzego. Kazała mu przysiąc, że nie będzie podsłuchiwał, bo byłoby to niestosowne wobec służby. Przechodząc do sypialni Luluś zdławionym głosem odważył się powiedzieć:

— Pamiętaj, że to jest mój brat...

— Nie bój się — rzekła z godnością. — Jeżeli będzie grzeczny, ja go też grzecznie potraktuję.

Franciszek wprowadził Filipa Hugon, który był w tużurku. Jerzy najpierw przeszedł przez sypialnię na palcach, bo chciał być posłuszny. Ale zatrzymały go odgłosy rozmowy. Wahał się i był tak zalękniony, że nogi uginały się pod nim. Wyobrażał sobie awantury, policzki, coś okropnego, co go na zawsze poróżni z Naną. Dlatego nie mógł oprzeć się chęci przyłożenia ucha do drzwi. Słyszał bardzo słabo, gdyż grube portiery tłumiły odgłosy. Złapał wszakże kilka słów powiedzianych przez Filipa. W tych twardych zdaniach była mowa o dzieciach, o rodzinie i honorze. W obawie przed tym, co odpowie jego ukochana, serce mu biło odurzając go niewyraźnym szmerem. Z całą pewnością rzuci mu w twarz: „Bałwan", albo też: „Idź pan do diabła, to mój dom!" Ale nie dochodziło nic, nie słyszał nawet oddechu. Nana jakby umarła. Niebawem głos jego brata złagodniał. Niczego nie rozumiał, gdy raptem dziwny szmer wprawił go w osłupienie. Nana tkała. Przez chwilę miotały nim sprzeczne uczucia. Nie wiedział, czy ma uciekać, czy rzucić się na Filipa. Lecz właśnie w tej minucie do sypialni weszła Zoè. Odszedł więc od drzwi zawstydzony, że go przyłapano. Spokojnie układała bieliznę w szafie, a on, dręczony niepewnością, stał nieruchomo, oniemiały, opierając czoło o szybę. Po chwili milczenia Zoè spytała:

— To pański brat jest u pani?

— Tak — odrzekł chłopiec zdławionym głosem. Znowu zapanowało milczenie.

— Jest pan niespokojny, prawda, panie Jerzy?

— Tak — powtórzył z tym samym wyrazem cierpienia w głosie. Zoè nie spieszyła się. Złożyła koronki i powiedziała powoli:

— Niepotrzebnie się pan niepokoi... Pani to załatwi. Na tym skończyła się ich rozmowa. Lecz Zoè nie wychodziła z sypialni. Kręciła się jeszcze przez dobry kwadrans nie widząc, jak rośnie rozdrażnienie chłopca, który pobladł z tremy i niepokoju. Rzucał w stronę salonu ukośne spojrzenia. Cóż oni mogą tam robić tak długo? Może Nana jeszcze płacze. Ten brutal pewnie ją bije po głowie. Skoro więc Zoè w końcu wyszła, pobiegł do drzwi i przyłożył znowu ucho. Ale osłupiał i zupełnie stracił głowę, gdyż usłyszał nagły wybuch wesołości, czułe szepty, stłumiony śmiech kobiety, którą ktoś łaskoce. Zresztą Nana prawie natychmiast odprowadziła Filipa do schodów, gdzie wymienili serdeczne i poufałe słowa.

Gdy Jerzy odważył się wejść do salonu, młoda kobieta przeglądała się w lustrze.

— No więc? — spytał osłupiały.

— No więc co? — rzekła nie odwracając się. A potem dodała niedbale: — Cóż ty opowiadałeś? Twój brat jest bardzo miły.

— Więc wszystko załatwione?

— Oczywiście, załatwione... Ach, co ci przychodzi do głowy? Może mieliśmy się bić? Jerzy ciągle jeszcze nie rozumiejąc wyjąkał:

— Zdawało mi się, że słyszałem... Czy nie płakałaś?

— Ja miałabym płakać! — krzyknęła patrząc na niego uparcie. — Chyba ci się śniło! Dlaczego chciałbyś, żebym płakała?

W rezultacie chłopiec się zmieszał, gdy zrobiła mu scenę o to, że nie był posłuszny i stanął za drzwiami, by szpiclować. A ponieważ dąsała się na niego, stał się pieszczotliwy i uległy, chcąc dowiedzieć się prawdy.

— Więc mój brat?...

— Twój brat natychmiast zorientował się, gdzie jest... Chyba rozumiesz, że gdybym była loretką, jego interwencja byłaby zrozumiała ze względu na twój wiek i honor waszej rodziny. Och, pojmuję te uczucia... Lecz wystarczył mu jeden rzut oka, by zrozumieć, że musi zachowywać się przyzwoicie. Nie potrzebujesz się więc już niepokoić, wszystko załatwione, on udobrucha twoją mamę. — I ciągnęła dalej ze śmiechem; — Zresztą zobaczysz tu swego brata... Przyjdzie znowu, bo go zaprosiłam.

— Ach, przyjdzie — rzekł mały blednąc.

Nic więcej nie dodał i już nie rozmawiali o Filipie. Ubierała się, by wyjść, a on patrzał na nią swymi wielkimi, smutnymi oczami. Oczywiście był bardzo zadowolony, że sprawy się ułożyły, gdyż wolałby śmierć niż zerwanie. Lecz w głębi serca dręczył go nieokreślony lęk, dotkliwy ból, którego dotychczas nie znał i o którym nie śmiał mówić. Nigdy się nie dowiedział, w jaki sposób Filip uspokoił ich matkę, która w trzy dni później wracała do Fondettes z zadowoloną miną. Tego samego wieczoru u Nany Jerzy drgnął, gdy Franciszek zaanonsował porucznika. Filip żartował z wesołą miną, traktując go jak łobuziaka i aprobując jego wybryk, który nie ma większego znaczenia. Jerzy, z sercem ściśniętym, nie śmiał już się ruszyć i przy każdym słowie rumienił się jak dziewczyna. Nie był bardzo zżyty z Filipem, starszym od niego o dziesięć lat. Bał się go tak samo jak ojca, przed którym się ukrywa swoje miłostki. Dlatego odczuwał wstyd i skrępowanie widząc, że brat zachowuje się tak swobodnie w towarzystwie Nany, że śmieje się głośno i uczestniczy w ogólnej zabawie olśniewając wszystkich swym tryskającym zdrowiem. Ponieważ jednak brat zaczął wkrótce bywać codziennie, Jerzy w końcu trochę się przyzwyczaił. Nana promieniała. W tym największym nasileniu rozpustnego życia potrafiła wszystko świetnie zorganizować, uwić bezczelnie gniazdko w pałacu pękającym od mężczyzn i mebli.

Pewnego dnia, gdy obaj Hugonowie byli u Nany, hrabia Muffat przyszedł niespodzianie poza ustalonymi godzinami. Lecz ponieważ Zoè powiedziała mu, że pani jest w towarzystwie przyjaciół, cofnął się nie chcąc wejść i udając dyskrecję wytwornego mężczyzny. Gdy wrócił wieczorem, Nana przyjęła go ozięble i gniewnie, jak kobieta znieważona.

— Proszę pana — rzekła — nie dałam panu żadnego powodu do obrażania mnie... Niech pan pamięta, że gdy jestem w domu, proszę, żeby pan wchodził do mnie tak jak wszyscy.

Hrabia osłupiał.

— Ależ, moja droga — próbował wyjaśniać.

— Może dlatego, że miałam gości?! Tak, byli u mnie mężczyźni. Więc jak pan myśli, co mam z nimi począć?... Takie pozy dyskretnego kochanka kompromitują kobietę, a ja nie chcę być kompromitowana!

Z trudem uzyskał jej przebaczenie, lecz w gruncie rzeczy był zachwycony. Takie sceny utwierdzały jego zaufanie. Już od dawna wymusiła jego zgodę na bywanie u niej Jerzego, mówiąc, że ten malec ją bawi. Zaprosiła go na obiad razem z Filipem, a hrabia był bardzo uprzejmy. Wstając od stołu wziął młodego człowieka na bok i spytał go o nowiny o matce. Odtąd Hugonowie, Vandeuvres i Muffat stali się bywalcami w domu Nany i ściskali sobie ręce jako bliscy znajomi. Tak było wygodniej. Jedynie Muffat dyskretnie ukrywał swą zbyt częstą obecność, zachowując się ceremonialnie jak gość na wizycie. W nocy, gdy Nana zdejmowała pończochy siedząc na swych niedźwiedzich skórach, mówił po przyjacielsku o tych panach, zwłaszcza o Filipie, który jest uosobieniem prawości.

— To prawda, oni są mili — odpowiadała Nana siedząc na podłodze i zmieniając koszulę. — Muszę ci jednak powiedzieć, że za bardzo zdają sobie sprawę, kim ja jestem... Wystarczy jedno słowo, a wyrzucę ich za drzwi!

Wiodąc zbytkowny tryb życia, otoczona całym dworem, Nana nudziła się jednak śmiertelnie. Miała mężczyzn na zawołanie i mnóstwo pieniędzy, które poniewierały się nawet po szufladach gotowalni, wśród grzebieni i szczotek. Lecz wszystko to już jej nie dawało zadowolenia; odczuwała bezdenną pustkę i ciągle ziewała. Bezczynne życie wlokło się monotonnie. Dzień jutrzejszy nie istniał dla niej, żyła jak ptak, pewna, że zawsze będzie miała co zjeść, gotowa usnąć na pierwszej z brzegu gałęzi. Spokojna o swój byt wylegiwała się całymi dniami, nie zdobywając się na żaden wysiłek, ospała na skutek bezczynnego życia i klasztornej wprost uległości, jakby zawód kokoty uwięził ją w swych trybach. Jeżdżąc tylko powozem, odzwyczaiła się od chodzenia. Odzyskiwała dziewczęce upodobania, od rana do wieczora całowała Bijou, zabijała czas głupimi rozrywkami, czekając jedynie na mężczyznę, którego przyjmowała znużona, choć uprzejma. Pochłonięta całkowicie sobą samą, troszczyła się tylko o swoją urodę. Ciągle oglądała, myła, perfumowała całe ciało, dumna z tego, że w każdej chwili może rozebrać się do naga, obojętne przed kim, nie potrzebując się rumienić.

Rano Nana wstawała o godzinie dziesiątej. Szkocki pinczer Bijou budził ją liżąc po twarzy. Zaczynała się pięciominutowa zabawa, skakanie psa po jej ramionach i udach, co raziło hrabiego. Bijou był pierwszym samczykiem, o którego był zazdrosny. Mówił, że to się nie godzi, żeby zwierzę tak zaglądało pod kołdrę. Potem Nana przechodziła do łazienki, gdzie brała kąpiel. Około godziny jedenastej Francis przychodził upinać jej włosy, gdyż właściwą fryzurę robił po południu. Ponieważ nie lubiła jeść sama, siadała najczęściej do śniadania w towarzystwie pani Maloir; przychodziła ona rano nie wiadomo skąd, w dziwacznych kapeluszach, i wracała wieczorem do swego tajemniczego życia, które zresztą nikogo nie obchodziło. Lecz najbardziej uciążliwym okresem dnia były dwie czy trzy godziny pomiędzy śniadaniem a toaletą. Zwykle proponowała starej przyjaciółce partyjkę bezika. Niekiedy czytała „Figaro", gdzie ją interesowały echa życia teatralnego i nowiny towarzyskie. Zdarzało się nawet, że otwierała książkę, gdyż wmawiała sobie zainteresowania literackie. Toaleta wypełniała jej czas prawie do godziny piątej. Dopiero o tej porze budziła się z długiego uśpienia, wyjeżdżając powozem lub przyjmując u siebie tłum mężczyzn. Często jadła obiad na mieście; wtedy bardzo późno kładła się spać, by nazajutrz wstawać równie zmęczona i rozpoczynać dni zawsze do siebie podobne.

Wielką rozrywką były dla niej wyprawy do dzielnicy Batignolles, gdzie odwiedzała Ludwisia u swej ciotki. W ciągu dwóch tygodni zapominała o nim. A potem wpadała w szał, pędziła do niego pieszo, skromna i czuła jak dobra matka. Przynosiła też podarki, tytoń dla ciotki, pomarańcze i biszkopty dla dziecka. Albo zajeżdżała przed dom ciotki swym landem, wracając z Lasku Bulońskiego, w okazałych toaletach, które zbytnio zwracały uwagę na tej odludnej ulicy. Pani Lerat była próżna i nadęta od czasu, gdy jej siostrzenica weszła w wielki świat. Rzadko pokazywała się przy alei Villiers mówiąc, że to nie jest miejsce dla niej. Ale za to triumfowała na swojej ulicy, szczęśliwa, gdy młoda kobieta zjawiała się w sukniach za cztery i pięć tysięcy franków. Nazajutrz przez cały dzień pokazywała prezenty i wymieniała cyfry, które wprawiały w osłupienie jej sąsiadki. Nana najczęściej rezerwowała dla swej rodziny niedziele. Gdy Muffat zapraszał ją na te dni, odmawiała z drobnomieszczańskim uśmiechem: żałuje, ale idzie na obiad do ciotki, bo chce się zobaczyć ze swoim dzieckiem. Niestety, biedaczek Ludwiś ciągle chorował. Miał blisko trzy lata, był już przecież sporym chłopakiem. Lecz dostał egzemy na karku, a teraz tworzyły mu się w uszach ropnie, co groziło próchnicą kości czaszki. Nana poważniała widząc, że jest blady, że ma zepsutą krew, a na wiotkim ciele żółte plamy. I bardzo się dziwiła. Dlaczego jej ukochany synek jest tak schorowany? Ona, jego matka, przecież taka zdrowa!

W dni, gdy nie była zajęta dzieckiem, Nana wpadała znowu w jednostajnie hałaśliwe życie, na które składały się spacery w Lasku, premiery, obiady i kolacje w „Maison-d'Or" lub w „Cafe-Anglais", bywanie w tłumnie uczęszczanych lokalach, na tłocznych spektaklach, balach u Mabille'a, rewiach, wyścigach. A jednak nuda dręczyła ją aż do mdłości. Choć ciągle miała jakieś miłostki, skoro tylko znalazła się sama, wyciągała ramiona gestem wyrażającym potworne zmęczenie. Samotność natychmiast pogrążała ją w smutku, gdyż w pełni uświadamiała jej pustkę i nudę.

Bardzo wesoła z natury i z racji swego zawodu, w samotności stawała się ponura, streszczając swój nastrój w okrzyku, który powtarzała pomiędzy dwoma ziewnięciami:

— Och! Jak mężczyźni mnie nudzą!

Pewnego dnia po południu, gdy wracała z koncertu, zauważyła na trotuarze ulicy Montmartre kobietę, która szła szybko w wykrzywionych trzewikach, brudnych spódnicach i w kapeluszu zniszczonym przez deszcze. Od razu ją poznała.

— Karolu, proszę stanąć! — krzyknęła do stangreta i zawołała: — Satin! Satin!

Przechodnie odwrócili głowy, cała ulica patrzała. Satin podeszła i jeszcze bardziej się powalała o koła powozu.

— Wejdź, moja droga — rzekła Nana spokojnie, mało sobie robiąc ze zbiegowiska.

Chwyciła ją i — chociaż miała tak odrażający wygląd — wciągnęła do swego jasnoniebieskiego landa, sadzając obok swej perłowoszarej, jedwabnej sukni ozdobionej koronką. A tymczasem przechodnie śmiali się z wyniosłej godności stangreta.

Odtąd Nanę pochłonęła jedna pasja: występny związek z Satin. Ulokowana w pałacu przy alei Villiers, umyta, wyelegantowana, przez trzy dni opowiadała o zakładzie Saint-Lazare i przykrościach z zakonnicami oraz tymi podłymi policjantami, którzy ją zarejestrowali... Nana oburzała się, pocieszała ją i przysięgała, że ją z tego wyciągnie, choćby nawet musiała iść do samego ministra. Na razie nie ma gwałtu, nikt oczywiście nie przyjdzie szukać Satin u niej. I obie kobiety zaczęły spędzać czułe popołudnia pełne pieszczotliwych słów i pocałunków przerywanych śmiechem. Niby na żarty podjęła na nowo zabawę, którą im przerwało przybycie policji przy ulicy Laval. Aż pewnego wieczoru skończyły się żarty: Nana, która u Laury miała wstręt do tych rzeczy, teraz nabrała do nich gustu. Wpadła w istny szał, zwłaszcza że czwartego dnia rano Satin znikła. Nikt nie widział, jak wychodziła. W swej nowej sukni uciekła, czując potrzebę szerszego oddechu i tęskniąc za ulicą.

Tego dnia w pałacu rozpętała się taka burza, że cała służba spuściła nos na kwintę nie śmiąc odezwać się słowem. Nana o mało co byłaby obiła Franciszka, gdyż miała do niego pretensję, że nie zagrodził Satin drzwi. Usiłowała jednak się opanować. Wyrażała się o Satin jak o wstrętnej prostytutce mówiąc, że teraz już ma nauczkę i nie będzie zbierała w rynsztokach takiego paskudztwa. Gdy po południu pani się zamknęła, Zoè słyszała jej łkanie. Wieczorem nagle zażądała powozu i kazała się zawieźć do Laury. Przyszło jej na myśl, że znajdzie Satin przy stole w spelunce przy ulicy des Martyrs. Nie chodziło o to, żeby ją zobaczyć, lecz żeby dać jej po prostu po gębie. Rzeczywiście, Satin jadła obiad przy stoliku z panią Robert. Gdy spostrzegła Nanę, zaczęła się śmiać. Ale Nana, choć ugodzona w serce, nie zrobiła jej sceny. Przeciwnie, była bardzo łagodna i potulna. Fundowała szampana, spoiła pięć czy sześć stolików i uprowadziła Satin, gdy pani Robert na chwilę wyszła. Dopiero w powozie gryzła ją i wygrażała, że następnym razem ją zabije.

Odtąd powtarzało się ciągle to samo. Nana, tragiczna w swej pasji zdradzanej kobiety, dwadzieścia razy biegała w pościgu za tą żebraczką, która kierując się kaprysem uciekała, znudzona dobrobytem pałacu. Nana odgrażała się, że spoliczkuje panią Robert. Pewnego dnia marzyła nawet o pojedynku: jedna z nich musi zginąć. Gdy teraz szła na obiad do Laury, wkładała klejnoty zabierając nieraz Ludwikę Violaine, Marię Blond, Tanię Nene, wszystkie olśniewające. W trzech salach przesyconych wonią spalonego tłuszczu, w żółtawym świetle gazowym, kokoty pyszniły się swymi luksusowymi strojami, szczęśliwe, że wprawiają w po-

dziw loretki z tej dzielnicy, które wstawały, gdy tamte odchodziły od stołu. A Laura, wysznurowana i tłusta, całowała wszystkie z macierzyńską miną. Satin jednak, ze swoimi niebieskimi oczami i niewinną twarzyczką Madonny, zachowywała spokój. Bita, gryziona, tarmoszona przez dwie kobiety, mówiła im, że cała ta historia była śmieszna i że byłoby lepiej, gdyby się pogodziły. Bicie jej po gębie nic tu nie poradzi, bo przecież ona nie może się rozdwoić, choć bardzo by chciała wszystkim dogodzić. W końcu Nana zwyciężyła, obsypując Satin czułościami i prezentami. Pani Robert przez zemstę napisała do kochanków swej rywalki obrzydliwe anonimy.

Od jakiegoś czasu hrabia Muffat wydawał się zatroskany. Pewnego ranka pokazał Nanie anonimowy list, w którym już w pierwszych wierszach wyczytała, że jest oskarżona o zdradzanie hrabiego z Vandeuvres'em i braćmi Hugon.

— To fałsz! To fałsz! — krzyknęła dobitnie z akcentem niezwykłej szczerości.

— Przysięgasz? — spytał już u ulgą Muffat.

— Och! Na co tylko chcesz... Choćby na głowę mego dziecka! — Lecz list był długi. Przedstawiono tam jej stosunki z Satin, opisując je w sposób niegodziwie drastyczny. Gdy skończyła, uśmiechnęła się. — Teraz wiem, skąd to pochodzi — rzekła po prostu. A gdy Muffat chciał, by temu zadała kłam, powiedziała spokojnie: — To, mój piesku, wcale ciebie nie dotyczy... Cóż ci to szkodzi?

Ponieważ Nana bynajmniej się nie zapierała, ostro zaprotestował. Wzruszyła ramionami. Czyżby z księżyca spadł? To przecież uprawia się wszędzie. Wymieniała nazwiska swoich przyjaciółek i przysięgała, że damy z towarzystwa także to robią. Słuchając jej gadania można było przypuszczać, że nie ma na świecie nic bardziej powszechnego i naturalnego. Ale w tych plotach o mężczyznach nie było krzty prawdy; dopiero co widział, jak się oburzała z powodu Vandeuvres'a i braci Hugon. Oczywiście, gdyby robiła takie rzeczy, miałby prawo ją udusić, ale po cóż miałaby go okłamywać w sprawach, które są zupełnie bez znaczenia. I w kółko powtarzała:

— Doprawdy, cóż ci to może szkodzić? — A ponieważ scena się przeciągała, przerwała ją ostrym tonem: — Zresztą, mój drogi, jeśli ci to nie dogadza, sprawa jest prosta... Drzwi stoją otworem... Musisz brać mnie taką, jaką jestem.

Muffat pochylił głowę, lecz w głębi duszy był uszczęśliwiony przysięgami młodej kobiety. A Nana, zdając sobie sprawę ze swej przewagi, już go więcej nie oszczędzała. Odtąd Satin otwarcie zamieszkała w pałacu na tych samych prawach co ci panowie. Vandeuvres nie potrzebował listów anonimowych, żeby wszystko zrozumieć. Żartował i sprzeczał się z Naną, zazdrosny o Satin. Natomiast Filip i Jerzy traktowali ją po koleżeńsku, ściskając jej mocno rękę i opowiadając pieprzne dowcipy.

Pewnego wieczoru Nana miała przygodę; porzucona przez tę nędznicę poszła na ulicę des Martyrs, gdzie jednak nie udało się jej przyłapać Satin. Gdy jadła sama, zjawił się Daguenet. Jakkolwiek już się ustatkował, przychodził tu jeszcze raz po raz z tęsknoty za rozpustą, spodziewając się, że nikt go nie spotka w tych ciemnych, plugawych kątach paryskich. Dlatego też zdawało się, że w pierwszej chwili obecność Nany go krępuje. Ale nie należał do ludzi, którzy się cofają. Podszedł uśmiechnięty i spytał, czy pani pozwoli mu zjeść obiad przy jej stoliku. Widząc, że Daguenet żartuje, Nana zrobiła wyniosłą, oziębłą minę i odparła oschle:

— Niech pan usiądzie, gdzie się panu podoba. Jesteśmy przecież w miejscu publicznym.

Rozpoczęta w tym tonie rozmowa była dziwna. Lecz po deserze Nana, znudzona, pałając chęcią triumfu, położyła łokcie na stole i przechodząc na „ty" spytała:

— A co tam słychać z twoim małżeństwem, mój mały?

— Nieszczególnie — wyznał Daguenet.

Istotnie, w chwili gdy się odważył prosić Muffatów o rękę ich córki, wyczuł ze strony hrabiego taką oziębłość, że przezornie się wycofał. Wydało mu się, że to sprawa przegrana. Nana patrzała na niego uparcie swymi jasnymi oczami; podparła ręką podbródek, a na wargach miała ironiczny grymas.

— Ach, jestem łajdaczką — mówiła wolno — ach, trzeba będzie wyrwać z moich szponów przyszłego teścia... Doprawdy, jak na inteligentnego chłopca jesteś bardzo głupi! Śmiesz plotkować na mnie wobec mężczyzny, który mnie uwielbia i wszystko mi powtarza!... Słuchaj, chłopcze, ożenisz się, ale jeżeli ja tego zechcę.

Już od chwili to wyczuwał i dlatego postanowił być uległy. Ciągle jednak żartował nie chcąc rozmawiać o tej sprawie w tonie poważnym. Włożywszy rękawiczki, zgodnie z dobrymi formami, poprosił ją o rękę panny Stelli de Beuville. Nana przyjęła to śmiechem, jakby połechtana w swej próżności. Och, ten Mimi! W żaden sposób nie można mieć do niego urazy. Wielkie sukcesy u kobiet zawdzięczał Daguenet słodyczy swego głosu, dźwięcznego i urzekającego: dziewki nazywały go Aksamitną Buzią. Ów pieszczotliwy głos skłaniał wszystkie do uległości. Daguenet wiedział o tym, więc usypiał Nanę nie kończącą się kołysanką słów, opowiadając jej bzdurne historie. Gdy odeszli od stołu, była zaróżowiona, drżała u jego ramienia, na nowo zdobyta. Ponieważ pogoda była bardzo piękna, odesłała swój powóz, odprowadziła go i jak gdyby nigdy nic poszła z nim na górę. Po dwóch godzinach, ubierając się, spytała:

— No więc, Mimi, zależy ci na tym małżeństwie?

— Psiakrew! — szepnął — to chyba najlepsze, co mogę zrobić... Wiesz przecie, że jestem goły.

Przywołała go, żeby jej zapiął trzewiki. A po chwili milczenia rzekła:

— Boże mój! Ja też bym tego chciała... Zaproteguję cię... Ta mała jest sucha jak tyka. Ale skoro was to wszystkich urządza... Och! Ja jestem uczynna, więc ci to załatwię. — A potem, z obnażoną jeszcze piersią, zaczęła się śmiać i spytała: — Ale co mi dasz za to?

Chwycił ją i całował jej ramiona w przypływie wdzięczności. Ona, bardzo wesoła i drżąca, wyrywała się i przeginała.

— Ach, już wiem! — krzyknęła podniecona tą zabawą. — Słuchaj, co sobie zamawiam... W dniu ślubu zrobisz mi prezent ze swej niewinności... Jeszcze zanim ze swoją żoną... Słyszysz?

— Dobrze! Dobrze! — rzekł śmiejąc się jeszcze mocniej niż ona. Bawiły ich te targi. Uważali, że to pyszna historia.

Następnego dnia był właśnie obiad u Nany. Był to zresztą zwykły obiad czwartkowy, na którym bywali Muffat, Vandeuvres, bracia Hugon i Satin. Hrabia przyszedł wcześnie. Potrzebował osiemdziesięciu tysięcy franków, by uwolnić młodą kobietę od jakichś dwóch czy trzech długów i ofiarować jej garnitur z szafirów, który koniecznie chciała mieć. Ponieważ ostatnio już poważnie naruszył swój majątek, szukał pożyczki, nie mając jeszcze odwagi sprzedać którejś posiadłości. Za radą Nany zwrócił się do Labordette'a. Uważając, że sprawa jest zbyt trudna, Labordette powiedział o tym fryzjerowi Francisowi, który chętnie podejmował się załatwiania takich spraw, by się przysłużyć swym klientkom. Hrabia oddawał się w ręce tych ludzi pragnąc, żeby jego nazwisko formalnie nigdzie nie figurowało. Obaj podejmowali się zatrzymać w portfelu podpisany przez niego weksel na sto tysięcy franków. Przepraszali za owe dwadzieścia tysięcy prowizji, wygadując na łajdaków lichwiarzy, do których — jak mówili — musieli się zwrócić. Gdy Muffat kazał się zaanonsować, Francis kończył fryzurę Nany. Labordette był także w sypialni, zachowując się z poufałością przyjaciela, którego obecność się nie liczy. Widząc hrabiego, położył dyskretnie pomiędzy pudry i pomady grubą paczkę banknotów. Weksel został podpisany na marmurowej płycie gotowalni. Nana chciała zatrzymać Labordette'a na obiedzie. Odmówił, gdyż musiał towarzyszyć jakiemuś bogaczowi nie znającemu Paryża. Ale chętnie ofiarował się załatwić polecenie, gdy Muffat wziął go na bok i błagał, żeby pobiegł do jubilera Beckera i przyniósł mu garnitur z szafirów, który miał być tego wieczoru niespodzianką dla młodej kobiety. W pół godziny później Julian dyskretnie wręczał hrabiemu puzderko.

Podczas obiadu Nana była zdenerwowana. Podniecił ją widok osiemdziesięciu tysięcy franków. I pomyśleć, że wszystkie te pieniądze przejdą w ręce dostawców. To było dla niej

okropne. Już przy zupie zaczęła się rozczulać i w tej wspaniałej jadalni oświetlonej refleksami srebrnych naczyń i kryształów ─ wychwalać radości, jakie daje ubóstwo. Panowie byli we frakach, ona w sukni z białego, haftowanego jedwabiu. Satin była ubrana skromniej, w czarnej jedwabnej sukni, a na szyi miała tylko złote serduszko, które otrzymała w prezencie od swej dobrej przyjaciółki. Biesiadnikom usługiwali Julian i Franciszek, korzystając z pomocy Zoè. Wszyscy troje byli pełni godności.

─ Ma się rozumieć, że lepiej się bawiłam, gdy nie miałam ani grosza ─ powtarzała Nana.

Umieściła Muffata po swojej prawej, a Vandeuvres'a po lewej stronie. Ale wcale na nich nie patrzała, zajęta Satin, która królowała naprzeciwko niej pomiędzy Filipem i Jerzym.

─ Prawda, kotku ─ mówiła po każdym zdaniu ─ aleśmy się wtedy uśmiały, kiedy chodziłyśmy na pensję matki Josse przy ulicy Polonceau!

Podawano pieczyste. Obie kobiety pogrążyły się we wspomnieniach, co zdarzało im się nieraz w przystępie gadatliwości. Nagle odczuwały potrzebę babrania się w tym bagnie, w którym przeżyły młodość. Wracały do tego zawsze w obecności mężczyzn, jakby chciały oblewać ich błotem, w którym wyrosły. Panowie, zażenowani, bledli. Bracia Hugon próbowali się śmiać. Natomiast Vandeuvres nerwowo kręcił brodą, a Muffat stawał się śmiertelnie poważny.

─ Pamiętasz Wiktora? ─ rzekła Nana. ─ To dopiero był paskudnik, zaciągał małe dziewczynki do piwnicy!

─ Świetnie pamiętam ─ odparła Satin. ─ Przypominam sobie bardzo dobrze wielkie podwórko w twoim domu. Była tam konsjerżka z miotłą...

─ Matka Boche; ona umarła.

─ Widzę jeszcze wasz sklep... Twoja matka była tęga. Pewnego wieczoru, gdy bawiliśmy się, twój ojciec wszedł zalany, ale to jak!

W tej chwili Vandeuvres spróbował odwrócić uwagę i przeciąć wspomnienia tych dam.

─ Proszę cię, moja droga, chętnie zjadłbym jeszcze trufli... Są wyśmienite. Jadłem je wczoraj u księcia de Corbreuse, ale się nie umywały.

─ Julianie, trufle! ─ rzekła ostro Nana, a potem podjęła przerwany wątek:

─ Ach, do diaska! Ojciec nie był rozsądny... Dlatego też doszło do takiej ruiny. Gdybyś to była widziała! Co za klęska, co za bryndza!... Mogę powiedzieć, że najadłam się jej do syta i tylko cudem wyszłam z niej cało, nie tak jak tatuś i mama.

Tym razem Muffat, który ─ zdenerwowany ─ bawił się nożem, pozwolił sobie wtrącić:

─ To, co opowiadasz, nie jest wesołe.

─ Co? Niewesołe! ─ krzyknęła piorunując go spojrzeniem. ─ Myślę, że to nie jest wesołe! Trzeba było przynieść nam chleba, mój drogi... Och!

Wiecie, ja jestem uczciwa dziewczyna i mówię, jak było. Mama była praczką, ojciec się upijał i z tego umarł. Proszę! Jeśli to wam nie odpowiada, jeśli wstydzicie się mojej rodziny... ─ Wszyscy zaprotestowali. Cóż znowu! Jej rodzina jest poważana. Lecz Nana ciągnęła dalej: ─ Jeśli wstydzicie się mojej rodziny, możecie mnie zostawić, boja nie należę do tych kobiet, które wypierają się rodziców... Trzeba mnie brać razem z nimi, rozumiecie?

Potakiwali przyjmując tatusia, mamę, całą przeszłość, co by tylko zechciała. Z oczami utkwionymi w stół, wszyscy czterej teraz się kulili, gdy ona deptała ich swymi starymi, zabłoconymi trepami z ulicy Goutte-d'Or, unosząc się gniewem w poczuciu swej nad nimi przewagi. Nie złożyła jeszcze broni. Choćby jej dawano majątki i budowano pałace, zawsze będzie żałowała tych czasów, gdy na ulicy chrupała jabłka. Pieniądze to blaga! Służą tylko do opłacania dostawców. Wreszcie ten napad szału skończył się sentymentalnym pragnieniem życia prostego, z sercem na dłoni, wśród dobrych ludzi.

Lecz w tej chwili zauważyła, że Julian czeka z opuszczonymi rękami.

─ No, cóż znowu? Podajcie szampana ─ rzekła. ─ Czemu patrzysz na mnie jak gęś?

Podczas tej sceny nikt ze służby się nie uśmiechnął. Jakby niczego nie słyszeli, robili się coraz bardziej majestatyczni, w miarę jak pani pozwalała sobie coraz więcej. Julian nawet nie drgnął, tylko zaczął nalewać szampana. Na nieszczęście, Franciszek, który podawał owoce, zbytnio przechylił paterę i jabłka, gruszki, winogrona spadły na stół.

— A to niezdara! — krzyknęła Nana.

Lokaj próbował wyjaśniać, że owoce nie były ułożone jak się należy, że Zoè je poruszyła, biorąc pomarańcze.

— A więc to Zoè gęś — rzekła Nana.

— Ależ proszę pani... — szepnęła pokojówka urażona.

Raptem pani wstała i z gestem królewskim powiedziała krótko:

— Dość tego... Wynoście się wszyscy!... Już nie jesteście potrzebni. To ją uspokoiło. Zrobiła się bardzo łagodna i uprzejma. Przy deserze nastrój był czarujący, panów bawiło to, że sami sobie usługiwali. Satin, która obrała gruszkę, przyszła ją jeść za plecami swej ukochanej. Oparta o plecy Nany mówiła jej do ucha różne rzeczy, z których się bardzo śmiały. Potem chciała podzielić się z nią ostatnim kawałkiem gruszki, więc podała go jej w zębach. Przygryzały sobie wargi i pocałunkiem zakończyły jedzenie owocu. To wywołało komiczny protest ze strony panów. Filip krzyknął, żeby się nie krępowały, a Vandeuvres zapytał, czy trzeba wyjść. Jerzy chwycił Satin w talii i zaprowadził ją na jej miejsce.

— Jacyście wy głupi! — rzekła Nana. — Przez was to biedactwo musi się rumienić... Niech sobie drwią, moja droga, to są nasze sprawy. — A zwracając się do Muffata, który patrzał robiąc poważną minę, rzekła: — Prawda, kochanie?

— Tak, oczywiście — szepnął wyrażając zgodę powolnym ruchem głowy.

Nikt już nie protestował. W towarzystwie tych panów o wielkich, starych i poważanych nazwiskach, dwie kobiety siedząc naprzeciwko siebie zamieniały czułe spojrzenia i królowały przy stole, nie kryjąc się ze swym wyuzdaniem ani otwartą pogardą dla mężczyzn. A panowie im przyklaskiwali.

Na kawę towarzystwo przeszło do saloniku. Dwie lampy przytulnie oświetlały różowe tapety, bibeloty w tonie laki i starego złota. W dyskretnej grze nocnego światła, wśród skrzyń, brązów i fajansów połyskiwały inkrustacje ze srebra i kości słoniowej, tu i ówdzie błysnęła rzeźbiona pałeczka, na lśniącej płycie zapalał się wzorzysty, jedwabisty refleks. Popołudniowy ogień przechodził w żar, rozgrzewając aż do omdlenia ten pokój zamknięty firankami i portierami. W tym wnętrzu przepojonym intymnym życiem Nany, gdzie poniewierały się jej rękawiczki, chusteczka, otwarta książka, można ją było zastać w negliżu, pachnącą fiołkami, nonszalancką w swoim zachowaniu się kokoty, co dawało czarujący efekt na tle bogatego wnętrza. Fotele szerokie jak łoża i kanapy głębokie jak alkowy zapraszały do beztroskiej drzemki, do czułych pieszczot szeptanych w przytulnych kątach.

Satin wyciągnęła się na kanapie przy kominku i zapaliła papierosa. Vandeuvres zabawiał się urządzaniem jej okropnej sceny zazdrości. Wygrażał, że przyśle jej świadków, jeżeli będzie jeszcze dłużej odciągała Nani; od jej obowiązków. Filip i Jerzy przyłączyli się do tej zabawy, drażnili ją i tak mocno szczypali, że w końcu zaczęła krzyczeć:

— Kochanie! Kochanie! Każ im się uspokoić! Nie przestają mi dokuczać.

— Dajcież jej spokój — rzekła Nana poważnie. — Nie chcę, żebyście ją męczyli, dobrze o tym wiecie... A ty, kotku, dlaczego się ciągle z nimi zadajesz, skoro są tak nierozsądni?

Satin, zaczerwieniona, pokazała im język i poszła do łazienki. Otwarte drzwi ukazywały blade marmury w mlecznym świetle matowej kuli, w której palii się płomień gazowy. Nana rozmawiała z czterema mężczyznami jak czarująca pani domu. Czytała tego dnia głośną powieść, historię jakiejś dziewki. Buntowała się mówiąc, że wszystko to jest fałszywe. Oburzała się na tę wstrętną literaturę, która ma pretensję do kopiowania natury, jakby można było piórem wszystko oddać; jakby powieść nie miała służyć do przyjemnego spędzania czasu! Na temat książek i dramatów Nana miała poglądy ustalone: pragnęła dzieł tkliwych i szlachet-

nych, skłaniających do marzeń i budujących duszę. Potem uniosła się gniewem na republikanów, ponieważ rozmawiano o rozruchach w Paryżu, o podburzających artykułach i o buncie, który wybuchł z powodu wezwania do broni, rzuconego podczas zgromadzeń publicznych. Czego chcą ci brudni ludzie, którzy się nigdy nie myją? Czy naród nie jest szczęśliwy? Czyż cesarz nie zrobi dla niego wszystkiego, co tylko możliwe? Jak plugawy jest lud! Ona zna go dobrze i może o nim mówić. I zapominając, że przy stole żądała szacunku dla swego światka z ulicy Goutte-d'0r, obgadywała go z odrazą i lękiem kobiety, która wdarła się do wyższych sfer. Właśnie po południu czytała w „Figaro" sprawozdanie z jakiegoś publicznego zebrania, doprawdy komicznego; śmiała się jeszcze z gwarowych wyrażeń obrzydliwego pijaka, którego wyrzucono z sali.

— Och, ci pijacy — rzekła z odrazą — jestem przekonana, że ich republika byłaby dla wszystkich nieszczęściem... Ach, oby Bóg zachował nam jak najdłużej cesarza!

— Bóg cię wysłucha, moja droga — odpowiedział poważnie Muffat. — Bądź spokojna, cesarz ma mocną pozycję.

Lubił te jej sympatie. Mieli zgodne poglądy polityczne. Vandeuvres i kapitan Hugon także bez przerwy żartowali z „łobuzów" i krzykaczy, którzy uciekają, skoro tylko zobaczą bagnet. Jerzy był tego wieczoru blady i ponury.

— Co się stało naszemu bobo? — spytała Nana widząc, że go coś dręczy.

— Nic... tylko słucham — szepnął.

Ale Jerzy cierpiał. Gdy wstawali od stołu, słyszał, jak Filip żartował z Naną, a teraz znowu nie on, lecz Filip był przy niej. Pierś mu wzbierała i pękała od goryczy, a on sam nie wiedział dlaczego. Nie mógł ścierpieć widoku brata w towarzystwie Nany; opadały go tak wstrętne myśli, że, zaniepokojony, odczuwał wstyd. Śmiał się z Satin, godził się na Steinera, potem na Muffata i wszystkich innych, ale buntował się i w głowie mu się kręciło na myśl, że Filip mógłby któregoś dnia dotknąć tej kobiety.

— Masz, weź Bijou — rzekła chcąc go pocieszyć. Podała mu pieska, który spał na jej spódnicy.

Jerzy znowu się rozpogodził, gdy wziął zwierzątko rozgrzane na jej kolanach.

Zaczęto mówić o znacznej stracie, którą Vandeuvres poniósł poprzedniego dnia w Klubie Cesarskim. Muffat nie był graczem, więc dziwił się temu. Lecz Vandeuvres, uśmiechając się, zrobił aluzję do swego bliskiego bankructwa, o którym w Paryżu już mówiono: wszystko jedno, jak się umiera, grunt to umrzeć. Od jakiegoś czasu Nana zauważyła, że jest nerwowy, że ma grymas na ustach, a w jasnych oczach migotliwe błyski. Zachował swą arystokratyczną wyniosłość i wytworną elegancję zubożałej rasy. Chwilami tylko pod jego czaszką, wyjałowioną przez karty i kobiety, rodził się przelotnie szalony pomysł. Którejś nocy, leżąc przy Nanie, przeraził ją opowiadając okropną historię: przyśniło mu się, że w momencie gdy wszystko już straci, zamknie się w swej stajni i spłonie razem z końmi. Jedyną jego nadzieją był w danej chwili koń Lusignan, którego przygotowywał do wyścigów o Grand Prix de Paris. Żył na konto tego konia, który podtrzymywał jego zachwiany kredyt. Spełnienie żądań Nany odkładał do czerwca, do zwycięstwa Lusignana.

— Ba! — rzekła żartując — niech sobie przegra, skoro ma wszystkich ograbić na wyścigach.

Odpowiedział tylko tajemniczym, bladym uśmiechem. Potem rzekł swobodnie:

— Ale, ale, pozwoliłem sobie dać twoje imię swemu *outsiderowi*[4], młodej klaczy... Nana, Nana, to dobrze brzmi. Nie gniewasz się?

— Dlaczego miałabym się gniewać? — rzekła, w gruncie rzeczy zachwycona.

Rozmowa ciągnęła się dalej; mówiono o mającej wkrótce nastąpić egzekucji jakiegoś człowieka skazanego na śmierć. Młoda kobieta koniecznie chciała to zobaczyć. W tej chwili Satin ukazała się w drzwiach buduaru, wzywając ją proszącym tonem. Wstała natychmiast i zosta-

[4] Koń wyścigowy nie należący do faworytow, mający słabe szanse zwycięstwa.

wiła panów samych. Siedzieli wygodnie rozparci, kończyli cygara i poważnie dyskutowali na temat odpowiedzialności mordercy, który jest chronicznym alkoholikiem. W buduarze Zoè padłszy na krzesło zanosiła się od płaczu, a Satin na próżno starała się ją pocieszyć.

— Co się stało? — spytała Nana, zaskoczona.

— Och! Porozmawiaj z nią, kochanie. Już od dwudziestu minut usiłuję przemówić jej do rozumu... Płacze, bo nazwałaś ją gęsią.

— Tak, proszę pani... to okropne... okropne... — wyjąkała Zoè dławiąc się nowym atakiem płaczu.

Wzruszyła tym Nanę, która znalazła dla niej parę czułych słów. A ponieważ pokojówka nie mogła się uspokoić, przyklękła przed nią i gestem serdecznej zażyłości objęła ją w talii.

— Ależ, głuptasie, powiedziałam „gęś" tak sobie. Bo ja wiem? Uniosłam się gniewem... Uspokój się, postąpiłam niewłaściwie.

— A ja tak panią kocham... — bełkotała Zoè. — Po tym wszystkim, co zrobiłam dla pani.

Nana ucałowała pokojówkę. A chcąc jej dowieść, że się nie gniewa, podarowała jej suknię, którą tylko trzy razy miała na sobie. Ich sprzeczki kończyły się zawsze prezentami. Zoè przykładała sobie chusteczkę do oczu. Przewiesiła suknię przez ramię i powiedziała jeszcze, że w kuchni wszyscy są smutni, że Julian i Franciszek nie mogą jeść, bo gniew pani odebrał im apetyt. Pani posłała im ludwika jako dowód pojednania, gdyż bardzo jej było przykro, gdy ktoś z jej otoczenia miał zmartwienie.

Nana wracała do salonu szczęśliwa, że załagodziła to nieporozumienie, które ją niepokoiło, bo nie wiedziała, co jeszcze może z tego wyniknąć, gdy nagle Satin zaczęła jej coś mówić z ożywieniem do ucha. Skarżyła się i groziła, że sobie pójdzie, jeżeli ci mężczyźnie będą jej jeszcze dokuczać. Żądała, żeby jej najdroższa z miejsca wyrzuciła ich wszystkich za drzwi. Mieliby przynajmniej nauczkę. A zresztą byłoby miło zostać tak we dwie! Nana, zakłopotana, przysięgała, że to jest niemożliwe. Ale Satin ofuknęła ją jak rozkapryszone dziecko, narzucając swą wolę.

— Ja tak chcę, słyszysz?... Odpraw ich albo uciekam. Wróciła do salonu i rozciągnęła się na tapczanie przy oknie. Czekała milcząca i jakby nieżywa, wpatrując się w Nanę szeroko rozwartymi oczami.

Panowie opowiadali się przeciwko nowym teoriom w kryminalistyce. Ponieważ w pewnych przypadkach patologicznych zwalnia się zbrodniarza od odpowiedzialności, nie ma już kryminalistów, lecz są tylko chorzy. Młoda kobieta, przytakując głową, zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby odprawić hrabiego. Tamci sobie pójdą, ale on z pewnością będzie się upierał. Istotnie, skoro Filip wstał, by odejść, natychmiast poszedł za nim Jerzy, którego niepokoiła jedynie obawa, że Filip tu zostanie. Vandeuvres zatrzymał się jeszcze na parę minut. Badał sytuację i czekał chcąc sprawdzić, czy przypadkiem jakaś ważna sprawa nie zmusi Muffata do ustąpienia mu miejsca. Ale gdy zobaczył, że hrabia bez żenady szykuje się na noc, już nie nalegał i jako mężczyzna taktowny wyszedł. Kierując się w stronę drzwi zauważył Satin, która przeszywała go wzrokiem. Zorientowawszy się w sytuacji podszedł, by uścisnąć jej rękę.

— No co? Nie gniewamy się? — szepnął. — Wybacz mi, słowo daję, że jesteś bajeczna.

Satin nie raczyła odpowiedzieć. Nie spuszczała oczu z Nany i hrabiego, gdy zostali sami. Muffat usiadł obok młodej kobiety i zaczął całować jej palce, nie krępując się już wcale, Nana nie wiedząc, od czego zacząć, spytała, czyjego córka Stella czuje się lepiej. Poprzedniego dnia skarżył się, że dziewczyna jest smutna. Nie miał już szczęśliwego życia rodzinnego, odkąd żona była ciągle poza domem, a córka zacinała się w lodowatym milczeniu. Nana dawała mu zawsze dobre rady w jego sprawach rodzinnych. A ponieważ Muffat, zatroskany i rozstrojony w chwili słabości, zaczął znowu utyskiwać, przypomniała sobie daną obietnicę i rzekła:

— A może byś ją wydał za mąż?

I bez ogródek zaczęła mówić o Daguenecie. Słysząc to nazwisko hrabia obruszył się. Nigdy nie dopuści do tego małżeństwa po tym wszystkim, co mu o nim powiedziała.

Nana udała zdziwienie, a potem buchnęła śmiechem. Obejmując go za szyję rzekła:

— Och! Jakiś ty zazdrosny!... Zastanów się trochę. Wtedy opowiedziano ci o mnie tyle złych rzeczy, więc byłam wściekła... Dziś byłabym zrozpaczona... — Lecz ponad ramieniem Muffata spotkała spojrzenie Satin. Zaniepokojona, uwolniła go od uścisku i ciągnęła dalej: — Mój drogi, to małżeństwo powinno dojść do skutku, nie chcę przeszkadzać w szczęściu twej córki. Ten młody człowiek jest bez zarzutu, nie znajdziesz lepszego.

I zaczęła wychwalać Dagueneta pod niebiosa. Hrabia znowu chwycił ją za ręce. Już nie przeczył, mówił, że jeszcze zobaczy, porozmawia. Ale gdy potem zaczął mówić o spaniu, zniżyła głos tłumacząc, że to niemożliwe, gdyż ma się niedobrze. Jeśli ją choć trochę kocha, nie powinien nalegać. On jednak się upierał i nie chciał odejść, a Nana była już skłonna ulec, gdy znowu spotkała spojrzenie Satin. Stała się więc nieugięta. Nie, to jest niemożliwe. Wobec czego hrabia z żalem i bolesną miną wstał i poszukał swego kapelusza. Gdy już był przy drzwiach, przypomniał sobie garnitur z szafirów, bo poczuł w kieszeni puzderko. Chciał je schować do łóżka, tak żeby znalazła je w nogach, gdyby się pierwsza położyła. Od samego obiadu obmyślał tę niespodziankę godną dużego dziecka. A teraz, rozdrażniony, że go tak odprawiono, podał jej szorstko puzderko.

— Cóż to takiego? — spytała. — Patrzcie tylko! Szafiry... Ach, ten garnitur. Jakiś ty miły!... Powiedz, kochanie, czy sądzisz, że to ten sam? W witrynie był bardziej efektowny.

To było całe jej podziękowanie, po którym pozwoliła mu odejść. Zauważył właśnie Satin wyciągniętą i czekającą w milczeniu. Spojrzał na obie kobiety. Nie nalegając dłużej poddał się i wyszedł. Nie zamknęły się jeszcze drzwi westybulu, gdy Satin objęła Nanę w talii i zaczęła z nią tańczyć, śpiewać. Potem pobiegła do okna i krzyknęła:

— Warto zobaczyć jego głupią minę na trotuarze!

W cieniu firanek oparły się łokciami o parapet z kutego żelaza. Biła godzina pierwsza. W tę wilgotną, wietrzną i dżdżystą noc marcową opustoszała aleja Villiers znaczyła się dwoma rzędami palników gazowych. Miejsca nie oświetlone tonęły w ciemnościach. Rusztowania budowanych pałaców zarysowywały się na tle ciemnego nieba. Szalony śmiech ogarnął kobiety na widok zaokrąglonych pieców Muffata, który szedł wilgotnym trotuarem, ze swym żałosnym cieniem, przez lodowaty i pusty obszar nocnego Paryża. Lecz nagle Nana kazała Satin zamilknąć.

— Uważaj, policjanci!

Stłumiły śmiech i patrzały przerażone na drugą stronę alei, gdzie dwie czarne postacie szły miarowym krokiem. Choć Nana żyła teraz w zbytkach niczym królowa, nie wyzbyła się strachu przed policją i — podobnie jak o śmierci — nie lubiła słuchać o niej opowiadań. Gdy policjant podnosił wzrok na pałac, odczuwała niepokój. Nigdy nie wiadomo, czego można się po tych ludziach spodziewać. Mogliby je przecież wziąć za loretki, gdyby usłyszeli, że śmieją się tak późno w nocy. Satin, drżąca, przytuliła się do Nany. Po chwili zainteresowały się jakąś kobieciną, która nadchodziła chwiejnym krokiem wśród ulicznych kałuż. Była to stara łachmaniarka przeglądająca rynsztoki. Satin ją poznała.

— Patrzcie — rzekła — to królowa Pomare w swoim słynnym szalu. Wiatr chłostał im twarze kroplami wody, a Satin opowiadała ukochanej historię królowej Pomare. Och! Była to kiedyś wspaniała dziewczyna, cały Paryż czarowała swą urodą; dziewka z szykiem i tupetem, potrafiła wodzić mężczyzn za nos, wielkie osobistości płakały u niej na schodach! Teraz się zapija. Kobiety z jej dzielnicy dają jej absynt, gdy chcą się trochę pośmiać.

A na trotuarach ulicznicy rzucają w nią kamieniami. Słowem, zupełny upadek, z królowej stała się nędzarką! Nana słuchała zmrożona.

— Zaraz zobaczysz — dorzuciła Satin.

Gwizdnęła jak mężczyzna. Łachmaniarka, która stała pod oknem, podniosła głowę i pokazała się w żółtym świetle latami. Z kupy łachmanów, spod podartej chustki wyłoniła się zsiniała, pokiereszowana twarz z bezzębną dziurą ust i rozgorączkowanymi ranami zamiast

oczu. Na widok tej potwornej starości dziewki ─ pijaczki Nana zobaczyła nagle w zakamarkach pamięci wizję Chamont, gdzie Irma d'Anglars, dawna ladacznica, wiekowa i czcigodna, wchodzi do swego zamku, gdy cała wieś przed nią klęka. A że Satin jeszcze gwizdała śmiejąc się ze starej, która jej nie zauważyła, Nana szepnęła zmienionym głosem:

─ Daj spokój, policja! Chowajmy się szybko, kotku! Znowu odezwały się miarowe kroki. Zamknęły okno. Nana, ze zmoczonymi włosami, drżąca stała przez chwilę, zwrócona w stronę salonu, tak przejęta, że o wszystkim zapomniała, jakby wróciła do nieznanego miejsca. Ciepłe i pachnące powietrze było teraz dla niej przyjemną niespodzianką. W różowym świetle lamp drzemały nagromadzone bogactwa, stare meble, złote jedwabne tkaniny, przedmioty z kości słoniowej i brązu. Ten milczący pałac robił wrażenie wielkiego luksusu: uroczyste salony, rozległa, wygodna jadalnia, obszerne i zaciszne schody, miękkie dywany i fotele. Nagle poczuła w sobie przypływ żądzy panowania i użycia. Zapragnęła zawładnąć wszystkim, żeby wszystko zniszczyć. Nigdy tak mocno nie odczuwała potęgi swej płci. Wodząc powoli wzrokiem, rzekła z poważną, filozoficzną miną:

─ Tak, tak! Myślę, że trzeba korzystać z życia, dopóki człowiek jest młody!

Lecz Satin już się tarzała w sypialni na niedźwiedzich skórach i wzywała Nanę.

─ No chodźże, chodźże już.

Nana rozebrała się w łazience. Spiesznie wzięła w ręce swe gęste, jasne włosy i potrząsała nimi nad srebrną miednicą; grad długich szpilek z głośnym dźwiękiem spadał na jasny metal.

XI

Tej niedzieli odbywały się w Lasku Bulońskim wyścigi o Grand Prix de Paris. Rozpoczęły się właśnie pierwsze upały czerwcowe i w powietrzu wisiała burza. Rano słońce wzeszło za rudym obłokiem. Lecz około godziny jedenastej, gdy na tor wyścigowy w Longchamp nadjeżdżały powozy, południowy wiatr wymiótł chmury. Znikały szare, porozdzierane opary, na całej długości horyzontu wyzierały coraz to większe otwory silnie nasycone błękitem. Promienie słoneczne, które przedarły się pomiędzy chmurami, rozjaśniły nagle wszystko: trawnik wypełniający się powoli pojazdami, jeźdźcami i pieszymi, pusty tor wyścigowy z budką sędziego, celownik, maszty tablic orientacyjnych, a naprzeciwko, przy wadze, pięć symetrycznych trybun, które spiętrzały swe galerie z cegły i desek. Po drugiej stronie rozległa równina, obrzeżona drzewkami, rozpłaszczała się i tonęła w południowym słońcu. Od strony zachodniej zamykały ją lesiste wzgórza Saint-Cloud i Suresnes, nad którymi górował surowy profil Mont-Valerien.

Nana przejęta, jakby Grand Prix miało zadecydować o jej losie, chciała się ulokować przy barierze obok celownika. Przybyła tu bardzo wcześnie, jedna z pierwszych, w landzie zdobionym srebrem i zaprzężonym a la Daumont w cztery wspaniałe siwki, które otrzymała w prezencie od hrabiego Muffat. Gdy powóz wjechał na murawę, z dwoma forysiami kłusującymi, którzy siedzieli nieruchomo w tyle, tłum zaczął się popychać, jakby przejeżdżała królowa. Miała na sobie niezwykłą toaletę w białoniebieskich barwach stajni Vandeuvres'ów: obcisły stanik i przylegającą do ciała tunikę z niebieskiego jedwabiu, zakończone z tyłu wysokim pufem, co w owej epoce sukien bufiastych śmiało podkreślało linię ud. Na tym miała z białego atłasu luźną narzutę z rękawami i skrzyżowanym szalem. Całość była ozdobiona srebrną koronką lśniącą w słońcu. Chcąc się bardziej upodobnić do dżokeja, włożyła zawadiacko niebieski toczek z białym piórem na kok, z którego jasne pasma opadały na plecy jak ogromny, rudy ogon.

Biła godzina dwunasta. Na gonitwę o Grand Prix trzeba było czekać jeszcze trzy godziny. Kiedy lando ustawiło się przy barierze, Nana rozgościła się jak u siebie w domu. Strzeliło jej do głowy, żeby zabrać z sobą Bijou i Ludwisia. Pies, leżąc na jej spódnicy drżał z zimna pomimo upału. A dziecko, wystrojone we wstążki i koronki, miało mizerną, woskową i pobladłą od świeżego powietrza twarzyczkę. Młoda kobieta, nie przejmując się sąsiadami, bardzo głośno rozmawiała z Jerzym i Filipem Hugon, którzy siedzieli przed nią na drugiej ławeczce wśród tak wielkiej ilości bukietów z białych róż i błękitnych niezapominajek, że tonęli w nich aż po ramiona.

— Więc ponieważ mnie zanudzał — mówiła — pokazałam mu drzwi. A teraz dąsa się już drugi dzień. — Opowiadała o Muffacie, lecz nie zdradzała młodym ludziom prawdziwej przyczyny tej pierwszej sprzeczki. Pewnego wieczoru hrabia znalazł w jej pokoju męski kapelusz. Taka sobie przygoda, jakiś przechodzień, którego przyprowadziła z nudów. — Nie macie pojęcia, jaki on jest śmieszny — ciągnęła dalej, bawiąc się szczegółami swego opowiadania. — W gruncie rzeczy jest to skończony obłudnik... Wyobraźcie sobie, że on modli się co wieczór. Naprawdę. I myśli, że ja niczego nie widzę, bo kładę się do łóżka pierwsza, nie chcąc go krępować. Ale zerkam na niego ukradkiem. Widzę, jak mamrocze i robi znak krzyża, odwracając się, by mnie objąć i...

— Patrzcie! Jaki filut — szepnął Filip. — Robi znak krzyża przedtem i potem. Nana wybuchnęła śmiechem.

— Tak, to prawda, przedtem i potem. Gdy zasypiam, słyszę, jak znowu mamrocze... Doprawdy, to już zaczyna być nudne, bo skoro tylko się posprzeczamy, od razu wpada na tematy religijne. Ja zawsze byłam religijna. Możecie sobie kpić, jeśli chcecie, to nie przeszkodzi mi

wierzyć w to, w co wierzę... Ale on jest taki nudny, szlocha i mówi o wyrzutach sumienia. Tak było przedwczoraj po naszej sprzeczce. Miał istny atak, a ja nie mogłam się uspokoić... ─ Lecz przerwała ten potok słów, by powiedzieć: ─ Patrzcie, przyszli Mignonowie i nawet przyprowadzili dzieci!... jak szkaradnie są ubrani ci malcy!

Mignonowie przyjechali w ciemnym landzie, otoczeni kosztownym zbytkiem wzbogaconych mieszczan. Róża w szarej jedwabnej sukni z czerwonymi bufami i kokardami uśmiechała się, szczęśliwa radością Henryka i Karola, którzy siedzieli na przedniej ławce przygarbieni, w zbyt obszernych uczniowskich bluzach. Lecz gdy lando zbliżyło się do bariery i gdy zauważyła Nanę triumfującą wśród bukietów, z czwórką koni i liberią, zagryzła wargi i sztywno odwróciła głowę. Mignon, przeciwnie, ze swobodną miną i jasnym spojrzeniem przesłał jej ręką powitanie. Z zasady nie mieszał się do kobiecych sprzeczek.

─ Ale, ale, czy znacie może tego starucha z zepsutymi zębami?... Niejaki pan Venot... Dziś rano był u mnie.

─ Pan Venot! ─ rzekł Jerzy osłupiały. ─ Niemożliwe! Toż to jezuita.

─ Właśnie to zwęszyłam. Och! Nie możesz sobie wyobrazić naszej rozmowy! Jakie to było śmieszne!... Mówił mi o Muffacie i jego rozbitym małżeństwie; błagał mnie, żebym zwróciła szczęście tej rodzinie... Był zresztą bardzo grzeczny i uśmiechnięty... Wobec tego mu odpowiedziałam, że niczego bardziej nie pragnę, i zobowiązałam się połączyć na nowo hrabiego z żoną... Mówię wam, że to nie jest żadna blaga, byłabym zachwycona, gdybym zobaczyła tych ludzi szczęśliwych! Zresztą, to by mi ulżyło, bo on naprawdę już od dawna mnie zamęcza.

W tym okrzyku z serca wyrwanym wyraziło się jej znużenie z ostatnich miesięcy. Poza tym miała wrażenie, że hrabia ma poważne kłopoty pieniężne. Martwił się w obawie, że nie będzie mógł spłacić weksla, który podpisał Labordette'owi.

─ Patrzcie, tam jest właśnie hrabina ─ rzekł Jerzy, który przebiegał spojrzeniem trybuny. ─ Gdzie? ─ krzyknęła Nana. ─ Jakie to bobo ma oczy!... Filipie, weź moją parasolkę.

Lecz Jerzy nagłym ruchem ubiegł brata, zachwycony, że może trzymać jedwabną niebieską parasolkę ze srebrnymi frędzlami. Nana patrzała przez ogromną lornetkę.

─ Ach, tak! już ją widzę ─ rzekła wreszcie. ─ Na trybunie z prawej strony przy słupie, prawda? Jest w sukni koloru fioletowoniebieskawego, a obok niej córka na biało... O proszę, Daguenet zaraz się z nimi przywita.

Filip zaczął mówić o zbliżającym się ślubie Dagueneta z tą tyką Stellą. Sprawa była już załatwiona, dano na zapowiedzi. Hrabina z początku opierała się, ale hrabia podobno narzucił swoją wolę. Nana się uśmiechała.

─ Wiem, wiem ─ szepnęła. ─ Tym lepiej dla Pawła. To miły chłopak i zasługuje na to. ─ A pochylając się do Ludwisia rzekła: ─ No co, bawisz się?... Co za poważna mina!

Dziecko patrzało na to całe towarzystwo bez uśmiechu. Wyglądało staro, jakby pełne smutnych myśli o tym, co widzi. Bijou, przegnany ze spódnicy młodej kobiety, która ciągle była w ruchu, drżąc przytulił się do małego.

Tymczasem trawnik się zapełnił. Powozy ciągle nadjeżdżały przez bramę Kaskady zwartym, nie kończącym się szeregiem. Były wśród nich wielkie omnibusy, jak na przykład „Paulina" z bulwaru des Italiens, która ustawiła się po prawej stronie trybun ze swymi pięćdziesięcioma pasażerami; dalej dokarty, Wiktorie, okazałe landa tudzież marne, rozklekotane dorożki, zaprzężone w szkapy; pojazdy z czterokonnym zaprzęgiem i kocze, w których panowie jechali na górnych siedzeniach, a służba z koszami szampana niżej; luksusowe „pająki", których olbrzymie koła rzucały olśniewający, metaliczny blask, wreszcie lekkie kabriolety, delikatne jak wyroby jubilerskie, przesuwały się przy odgłosie dzwonków. Chwilami galopował jakiś jeździec lub w poprzek pojazdów przebiegała przerażona fala pieszych. Turkot, który dochodził z alei Lasku przechodził nagle na trawie w głuchy łoskot. Teraz słyszało się już tylko wrzawę rosnącego tłumu, krzyki, nawoływania, strzelanie z batów. Gdy w podmuchach

wiatru ukazywało się na skraju chmury słońce, w złotej smudze połyskiwały uprzęże i lakierowane pojazdy, blask bił od toalet, a stangreci, na kozłach, z wielkimi batami, jakby płonęli w tym świetlistym pyle.

Labordette wyszedł z karety, w której Gaga, Klarysa i Blanka de Sivry zarezerwowały mu miejsce. Gdy spieszył się, by przejść przez tor wyścigowy i wejść na teren miejsc członkowskich, Nana kazała Jerzemu go przywołać. A skoro się zbliżył, spytała ze śmiechem:

— Jak jestem typowana?

Mówiła o Nanie, klaczy, która poniosła haniebną porażkę w wyścigach o nagrodę Diany i która w ubiegłym kwietniu i maju nie została nawet dopuszczona do wyścigów o nagrodę „Cars" i Nagrodę Przychówku. Obie te nagrody zdobył Lusignan, inny koń ze stajni Vandeuvres'a. Raptem Lusignan stał się wielkim faworytem. Od wczoraj stawiano przeważnie na niego dwa do jednego.

— Ciągle jeszcze pięćdziesiąt — odrzekł Labordette.

— Do diabła! Niewiele jestem warta — podjęła Nana, którą bawił ten żart. — Wobec tego nie stawiam na siebie... Nie, do licha! Nie stawiam na siebie nawet jednego ludwika.

Labordette już odchodził bardzo się spiesząc, lecz Nana go przywołała, gdyż chciała zasięgnąć rady. Mając stosunki w świecie trenerów i dżokejów, był świetnie poinformowany o możliwościach stajni. Jego przewidywania sprawdziły się już dwadzieścia razy. Nazywano go królem typsterów.

— Więc na które konie mam stawiać? — powtarzała młoda kobieta. — Jak jest typowany Anglik?

— Spirit? Trzy za jeden... Valerio II tak samo trzy... Potem wszystkie inne, Cosinus dwadzieścia pięć, Hasard czterdzieści, Boum trzydzieści, Pichenette trzydzieści pięć, Frangipane dziesięć...

— Nie, ja nie stawiam na Anglika. Jestem patriotką... No, może Valerio II; książę de Corbreuse przed chwilą promieniał... A zresztą nie. Pięćdziesiąt ludwików na Lusignana, co ty na to?

Labordette patrzał na nią ze szczególną miną. Pochyliła się i zaczęła go pytać po cichu, gdyż wiedziała, że Vandeuvres kazał mu stawiać za siebie u *bookmakerów,* by móc grać swobodniej. Jeżeli się czegoś dowiedział, może przecież powiedzieć. Lecz Labordette, nie tłumacząc się bliżej, poradził jej zdać się na jego węch. Nie będzie żałowała, jeśli on ulokuje jej pięćdziesiąt ludwików wedle swego uznania.

— Możesz stawiać na wszystkie konie! — krzyknęła wesoło, pozwalając mu odejść — ale nie na Nanę; to podła szkapa.

Cały powóz buchnął szalonym śmiechem. Młodzi ludzie uważali, że gra stów jest bardzo zabawna. A tymczasem Ludwiś, niczego nie rozumiejąc, podniósł blade oczy w stronę matki, gdyż zdumiewały go jej głośne krzyki. Labordette nie mógł się jakoś wymknąć. Róża Mignon przywołała go, dawała polecenia, a on wpisywał cyfry do notesika. Potem znowu Klarysa i Gaga wezwały go, by zmienić swoje zakłady. W tłumie posłyszały plotki, więc nie chciały już Valeria II, stawiały na Lusignana. Labordette zapisywał to obojętnie. Wreszcie ulotnił się znikając pomiędzy dwiema trybunami po drugiej stronie toru wyścigowego.

Powozy ciągle nadjeżdżały. Teraz ustawiały się w piątym rzędzie, który tworzył wzdłuż bariery szeroką masę, upstrzoną jasnymi plamami siwych koni. A po drugiej stronie stały w nieładzie inne powozy osiadłe na trawie jakby na mieliźnie. Była to gmatwanina kół, zaprzęgów rzuconych we wszystkich kierunkach, jedne przy drugich, na ukos, w poprzek, głowa przy głowie. Na pustych kawałkach trawnika kłusowali jeźdźcy, a piesi tworzyli ruchliwe, ciemne grupy. Ponad tym jarmarcznym polem, wśród migotliwego kłębowiska tłumu, widać było szare płótna bufetów, które jaśniały w promieniach słońca. Lecz największy ścisk, tłok i falujące morze kapeluszy można było zaobserwować dokoła *bookmakerów.* Stojąc w otwartych powozach gestykulowali jak dentyści, trzymając przed sobą cyfry nalepione na wysokich deskach.

— To jednak głupio nie wiedzieć, na którego konia stawiam — mówiła Nana. — Muszę sama zaryzykować kilka ludwików.

Stanęła, żeby wybrać *bookmakera,* który by wzbudzał zaufanie. Zapomniała jednak o tym, gdy spostrzegła cały tłum znajomych. Oprócz Mignonów, Gagi, Klarysy i Blanki z prawej i z lewej strony, z tyłu i w środku zwartego skupiska powozów, które więziło teraz jej lando, pojawiły się: Tania Nene w towarzystwie Marii Blond w Wiktorii; Karolina Hèquet z matką i dwoma panami w karecie; Ludwika Violaine, która sama powoziła koszyczkiem przybranym wstążkami w pomarańczowo-zielonych barwach stajni Mechaina; Lea de Horn na wysokiej ławeczce kocza, z bandą hałaśliwych młodych ludzi. Dalej Lucy Stewart w ośmioresorowej arystokratycznej karecie robiła dystyngowaną minę, siedząc w skromniutkiej sukni z czarnego jedwabiu obok bardzo wysokiego młodego człowieka w mundurze aspiranta marynarki. Lecz Nanę najbardziej zdumiało przybycie Simony w kabriolecie powożonym przez Steinera, z lokajem siedzącym nieruchomo z tyłu ze skrzyżowanymi ramionami. Simona była olśniewająca w sukni z białego atłasu w żółte pasy, cała w diamentach od talii po kapelusz. A bankier olbrzymim batem podcinał dwa konie zaprzężone w szpic. Jeden był mały, złotogniady i szedł drobnym kłusem, drugi rysak, wielki gniadosz, w kłusie wysoko podnosił nogi.

— Do diabła! — rzekła Nana. — Więc ten złodziej Steiner znowu ograbił giełdę!... Co? Z szykiem przyjechała! Ale tego już za wiele, na pewno go capną.

Jednak z daleka wymieniła z nimi ukłony. Wymachując ręką uśmiechała się, wierciła, o nikim nie zapominała, chcąc się wszystkim pokazać. A jednocześnie prowadziła rozmowę.

— Patrzcie, Lucy przywiozła swego syna! Chłopak przyjemnie wygląda w mundurze... Dlatego też Lucy tak się puszy! Wiecie przecież, że ona się go boi i wobec niego udaje, że jest aktorką... Swoją drogą, biedny chłopak! Prawdopodobnie niczego się nie domyśla.

— Ba! — szepnął Filip śmiejąc się — jak Lucy zechce, znajdzie mu bogatą pannę na prowincji.

Nana milczała. W tłoku pojazdów zauważyła właśnie Triconę. Przybywszy dorożką, z której nic nie widziała, Tricona wlazła po prostu na kozioł. Górowała nad tłumem, prężąc swoją wysoką figurę i szlachetną twarz w oprawie długich loków, jakby królowała swoim kokotom. Wszystkie uśmiechały się do niej dyskretnie, a ona wyniośle udawała, że ich nie poznaje. Nie przyjechała tu przecież po to, żeby pracować, lecz dla przyjemności; przyglądała się wyścigom jako zaciekły gracz, namiętnie lubiący konie.

— Popatrz! Ten idiota la Faloise! — rzeki nagle Jerzy. Wszyscy się zdziwili. Nana wcale nie poznała swego la Faloise'a. Od czasu gdy odziedziczył majątek, stał się nadzwyczaj elegancki. W kołnierzyku z zagiętymi końcami, w jasnym ubraniu przylegającym do jego szczupłych ramion, uczesany w drobne pukle, idąc kołysał się jakby ciągle znużony. Nonszalanckim tonem bąkał jakieś zdanie, nie zadając sobie trudu, żeby je dokończyć, i wtrącając gwarowe wyrażenia.

— Ależ on wygląda bajecznie! — oświadczyła Nana zachwycona. Gaga i Klarysa przywołały la Faloise'a i rzuciły się na niego, próbując go na nowo złapać. Ale on się natychmiast ulotnił z miną cyniczną i pełną pogardy. Nana go olśniła. Podbiegł, stanął na stopniu powozu, a ponieważ kpiła z niego w związku z Gagą, szepnął:

— Ach, nie! Skończone. To stara gwardia, nic mnie już nie obchodzi! A zresztą, sama pani wie, że to pani jest teraz moją Julią...

Położył rękę na sercu. Nana bardzo się śmiała z tych nagłych oświadczyn w plenerze. Lecz podjęła: — No dobrze, ale to nie jest najważniejsze. Przez pana zapominam, że chcę grać... Jerzy, czy widzisz tego *bookmakera,* tego czerwonego grubasa z kędzierzawymi włosami? Ma wygląd obrzydliwca, ale to mi się podoba... Idź i stawiaj u niego... Jak myślisz, na którego konia najlepiej postawić?

—Ja nie jestem patriotą, och, nie! — wybąkał la Faloise. — Ja stawiam na Anglika... Będzie bardzo szykownie, jak wygra Anglik! W Chaillot niech sobie wygrywają Francuzi!

Nana była zgorszona. Zaczęto dyskutować zalety koni. La Faloise chcąc udawać, że się świetnie orientuje, uważał, że to same szkapy. Frangipane ze stajni barona Verdier został

przecież pobity przez The Truth i Leonore: ten wysoki gniadosz miałby szanse, lecz go ochwacono podczas treningu. Co do Valeria II ze stajni Corbreuse'ów, ten nie nadawał się, gdyż w kwietniu miał kolkę. Wprawdzie to ukrywano, lecz on wiedział na pewno, pod słowem! W końcu doradzał Hasarda, konia ze stajni Mechainów, który miał najwięcej wad i którego nikt nie chciał. Do diaska! Hasard ma wspaniałą formę i jak świetnie się rusza! Ten koń zadziwi wszystkich.

— Nie — rzekła Nana. — Postawię dziesięć ludwików na Lusignana i pięć na Bouma. Nagle la Faloise wybuchnął.

— Ależ, moja droga, Boum się w ogóle nie liczy. Nie stawiaj na niego! Sam Gasc nie bierze go pod uwagę... A na twego Lusignana nigdy! To kpiny! Pomyśl tylko, został pobity przez Lamba i Princess. Nie, stanowczo nie stawiaj, był pobity przez Lamba i Princess! Wszystkie mają za krótkie nogi!

Zatkało go. Filip zauważył, że jednak Lusignan zdobył nagrodę „Cars" i Nagrodę Przychówku. Lecz tamten zaczął na nowo. Czegóż to dowodzi? Niczego. Przeciwnie, trzeba się mieć na baczności. A zresztą, na Lusignanie pojedzie Gresham. Więc dajcie spokój! Gresham ma pecha, nigdy nie wygrywa.

Dyskusja, która rozpoczęła się w landzie Nany, zdawała się rozciągać na całą długość trawnika. Podnosiły się piskliwe głosy, potęgowała się namiętność graczy, rozpalając twarze i rozprzęgając gesty. A *bookmakerzy*, stercząc w swych powozach, z wściekłością wykrzykiwali numery, wpisywali cyfry. Byli tu tylko pomniejsi gracze, drobne rybki, gdyż wielkie zakłady robiono na terenie zarezerwowanym dla uprzywilejowanych. Ludzie niezamożni, ryzykujący drobne sumy, stawali się tu drapieżni, ujawniając wszystkie swe żądze wobec możliwości zarobienia paru groszy. W gruncie rzeczy toczyła się tu wielka bitwa pomiędzy Spiritem i Lusignanem. Anglicy, których można było łatwo rozpoznać, spacerowali pomiędzy grupami ludzi, czując się jak u siebie w domu; mieli rozpalone twarze i już triumfowali. Koń lorda Reading, Bramah, zdobył w ubiegłym roku Grand Prix; po tej porażce Francji wiele serc jeszcze krwawiło. Gdyby Francja została znowu pokonana, byłaby to klęska. Dlatego wszystkie kokoty pasjonowały się, przejęte narodową dumą. Stajnia Vandeuvres'a stawała się szańcem narodowego honoru, ponaglano Lusignana, broniono go i oklaskiwano. Gaga, Blanka, Karolina i inne stawiały na Lusignana. Lucy Stewart wstrzymywała się ze względu na swego syna. Lecz krążyła pogłoska, że Róża Mignon dała Labordette'owi polecenie na dwieście ludwików. Jedynie Tricona, siedząc przy swoim dorożkarzu, czekała do ostatniej minuty. Zupełnie opanowana, pośród tych kłótni górowała nad rosnącym zgiełkiem. W ożywionej gadaninie paryżan powtarzały się ciągle nazwy koni na przemian z gardłowymi okrzykami Anglików. Tricona przysłuchiwała się i notowała z dostojną miną.

— A Nana? — spytał Jerzy. — Czy nikt o nią nie pyta? Istotnie nikt o nią nie pytał, nawet jej nie wspominano *Outsidera* stajni

Vandeuvres'a przyćmiła popularność Lusignana. Lecz la Faloise podniósł ramię w górę i rzekł:

— Mam natchnienie... Stawiam ludwika na Nanę.

— Brawo, ja stawiam dwa ludwiki — rzekł Jerzy.

— Ja trzy ludwiki — dorzucił Filip.

I podbijali stawki, prześcigali się w zalotach, rzucając cyfry, jakby sobie wyrywali Nanę na licytacji. La Faloise mówił, że ją obsypie złotem. Zresztą uważali, że wszyscy powinni stawiać, i zabierali się do werbowania graczy. Lecz gdy trzej młodzi ludzie oddalali się, by robić reklamę, Nana krzyknęła:

— Wiecie co, ja tego nie chcę! Za nic na świecie!...Jerzy, stawiam dziesięć ludwików na Lusignana i pięć na Valeria II.

Tymczasem oni już się rozpalili. Nana, ubawiona, patrzała, jak się przemykali, pomiędzy pojazdami, schylali pod końskimi łbami, przebiegali cały trawnik. Ledwie tylko rozpoznawali

kogoś w powozie, nadbiegali i zachwalali Nanę. Gwałtowne wybuchy śmiechu wstrząsały tłumem, gdy raz po raz odwracali się i w triumfie pokazywali palcami liczby, a młoda kobieta stojąc powiewała parasolką. Robili jednak dość mamę interesy. Kilku mężczyzn dało się przekonać ─ na przykład Steiner, którego poruszył widok Nany, zaryzykował trzy ludwiki. Lecz kobiety stanowczo odmawiały. Nie chciały narażać się na pewną stratę! A zresztą żadna się nie kwapiła, by przyczyniać się do sukcesu wstrętnej dziewki, która je wszystkie miażdżyła swoją czwórką koni, swymi forysiami i taką miną, jakby cały świat do niej należał. Gaga i Klarysa, bardzo urażone, spytały la Faloise'a, czy sobie z nich kpi. Gdy Jerzy stanął śmiało przed landem Mignonów, Róża, oburzona, odwróciła głowę bez słowa. Trzeba doprawdy być śmieciem, żeby pozwolić nazwać konia swym imieniem! Natomiast Mignon, ubawiony, poszedł za młodym człowiekiem mówiąc, że kobiety zawsze przynoszą szczęście.

─ No więc? ─ spytała Nana, gdy młodzi ludzie wrócili po długiej wizycie u *bookmakerów*.

─ Jesteś warta czterdzieści ─ rzekł la Faloise.

─ Jak to, czterdzieści?! ─ krzyknęła osłupiała. ─ Byłam warta pięćdziesiąt... Co się dzieje?

Właśnie pojawił się znowu Labordette. Zamykano tor wyścigowy, dzwonek zapowiadał pierwszy bieg. W zgiełku oczekiwania Nana spytała go o tę nagłą zniżkę wartości konia. Lecz on odpowiedział wymijająco. Niewątpliwie zwiększyły się stawki. Musiała zadowolić się tym wyjaśnieniem. Zresztą Labordette, z miną człowieka bardzo zajętego, oznajmił jej, że Vandeuvres przyjdzie, jeżeli będzie mógł się wymknąć.

Gonitwa kończyła się jakby niepostrzeżenie w oczekiwaniu Grand Prix, gdy nagle chmura oberwała się nad hipodromem. Przed chwilą słońce znikło i tłum pogrążył się w sinym mroku. Zerwał się wiatr, zrobił się nagle potop, padały ogromne krople, a potem istne potoki deszczu. W zamieszaniu słychać było krzyki, żarty, przekleństwa. Kto mógł, gnał, by schronić się pod płótnem bufetów. W powozach kobiety próbowały się ukryć, trzymały oburącz parasolki, a przerażeni lokaje spiesznie podnosili budy. Lecz po chwili ulewa już ustawała i słońce promieniało w unoszącym się jeszcze pyle deszczowym. Błękitna szczelina otwierała się za chmurą ulatującą ponad Laskiem. Kobiety już się śmiały, jakby rozbawione wesołym, pogodnym niebem. Słychać było parskanie koni w kotłującym się z ożywieniem, zmoczonym tłumie. Złote promienie skrzyły się na murawie pokrytej kryształowymi kroplami.

─ Ach, biedny Ludwiś! ─ rzekła Nana. ─ Czy bardzo zmokłeś, kochanie?

Mały nic nie mówiąc pozwolił wytrzeć sobie rączki. Młoda kobieta użyła do tego swojej chusteczki. Potem wytarła Bijou, który drżał jeszcze mocniej. Na białym jedwabiu sukni miała tylko parę plam. Ale nic sobie z tego nie robiła. Odświeżone bukiety nabrały śnieżnej białości. Wąchała kwiaty, zanurzając wargi jakby w rosie.

Ulewa wypędziła publiczność nagle na trybuny. Nana patrzała przez lornetkę. Z tej odległości można było odróżnić jedynie zbitą i pogmatwaną masę na ustawionych amfiteatralnie ławkach, rozjaśnioną tylko plamami twarzy. Słońce wślizgiwało się przez kliny dachu i smugami promieni przecinało tłum. W jaskrawym świetle zdawało się, że wyblakły barwy toalet. Lecz Nana bawiła się przede wszystkim kosztem dam wypędzonych przez ulewę z rzędów krzeseł, które ustawiono na piasku u stóp trybun. Ponieważ wstęp na miejsca członkowskie był absolutnie wzbroniony kobietom lekkich obyczajów, Nana robiła złośliwe uwagi na temat wszystkich kobiet z towarzystwa, mówiąc, że są okropnie ubrane i wyglądają jak czupiradła.

Zrobiło się poruszenie, gdyż cesarzowa wchodziła na małą, środkową trybunę, do pawilonu w formie szałasu, którego szeroki balkon był wypełniony czerwonymi fotelami.

─ Ależ to on! ─ rzekł Jerzy. ─ Nie myślałem, że ma w tym tygodniu służbę.

─ Patrzcie! Karol! ─ krzyknęła Nana. Za cesarzową ukazała się sztywna i uroczysta twarz hrabiego Muffat.

Młodzi ludzie zaczęli żartować żałując, że nie ma Satin, bo mogłaby podejść i poklepać go po brzuchu. Lecz Nana zauważyła przez lornetkę na trybunie cesarskiej głowę księcia Szkocji.

Stwierdziła, że przytył. Zrobił się szerszy przez tych osiemnaście miesięcy. Opisywała go szczegółowo; och, to chłopak solidnie zbudowany.

Dokoła mej w powozach kokot szeptano, że hrabia ją rzucił. Opowiadano całą historię. W Tuileriach konduita szambelana wywoływała zgorszenie, od czasu gdy afiszował się z Naną. Wobec tego, chcąc zachować swoją pozycję na dworze cesarskim, zerwał z nią niedawno. La Faloise bez ogródek opowiedział tę historię młodej kobiecie, ofiarowując na nowo swoje usługi i nazywając ją „swoją Julią". Lecz ona roześmiała się i rzekła:

— Ależ to głupiec... Pan go nie zna. Wystarczy, że na niego kiwnę, a rzuci wszystko.

Już od dłuższej chwili obserwowała hrabinę i Stellę. Daguenet był jeszcze przy tych damach. Fauchery właśnie nadchodził i przepychał się, żeby je przywitać. On także został przy nich, uśmiechnięty. Nana mówiła dalej pokazując trybuny gestem pełnym pogardy:

— Muszę wam powiedzieć, że ci ludzie już mi nie imponują... Za dobrze ich znam, i to w negliżu!... Nie mam dla nich krzty szacunku! Brudy od góry do dołu, ciągle tylko brudy i nierząd... Dlatego też nie chcę, żeby mi zawracali głowę.

Szerokim gestem pokazywała stajennych. Właśnie wprowadzili konie na tor przed samą cesarzową, która rozmawiała z Karolem, księciem wprawdzie, lecz mimo to łajdakiem.

— Brawo, Nana!... Nana bajeczna! — krzyknął rozentuzjazmowany la Faloise.

Wiatr tłumił odgłosy dzwonka, wyścigi trwały. Przed chwilą odbyła się gonitwa o nagrodę Ispahana, którą zdobył Berlingot, koń ze stajni Mechainów. Nana zawołała Labordette'a, by dowiedzieć się czegoś o swoich stu ludwikach. Zaczął się śmiać i nie chciał wyjawić swoich koni, by — jak mówił — nie płoszyć szczęścia. Niebawem przekona się, że jej pieniądze zostały dobrze ulokowane. A gdy mu wyznała, że postawiła dziesięć ludwików na Lusignana i pięć na Valeria II, wzruszył ramionami z taką miną, jakby chciał powiedzieć, że kobiety jednak popełniają głupstwa. To ją zdziwiło, niczego już nie rozumiała.

W tym momencie murawa jeszcze bardziej się ożywiła. Urządzano śniadanie na świeżym powietrzu, czekając na wyścig o Grand Prix. Towarzystwo jadło, a jeszcze więcej piło, gdzie się dało: na trawie, na ławeczkach powynoszonych z pojazdów, w powozach, bryczkach i landach. Była to istna wystawa zimnych mięs i koszów szampana, które służba wyciągała ze skrzynek. Wiatr tłumił słabe odgłosy wylatujących korków. Krzyżowały się dowcipy, brzęk tłuczonych kieliszków był zgrzytem wśród tej nerwowej wesołości. Gaga i Klarysa urządziły z Blanką solidny posiłek, jedząc kanapki na obrusie rozłożonym na kolanach. Ludwika Violaine, która wysiadła ze swego pojazdu, poszła do Karoliny Hèquet; u ich stóp na trawniku panowie instalowali bufecik, do którego przyszły pić Tania, Maria, Simona i inne. A w pobliżu wypróżniano butelki w koczu Lei de Horn. Cala banda upijała się w słońcu, swawoląc i wyrabiając błazeństwa ponad tłumem. Lecz niebawem zaczęto się tłoczyć, szczególnie przed landem Nany. Stojąc nalewała szampana do kieliszków i rozdawała go mężczyznom, którzy się jej kłaniali. Franciszek, jeden ze służących, podawał butelki, a la Faloise siląc się na łobuzerski głos wrzaskliwie reklamował.

— Bardzo proszę... panowie... Rozdajemy darmo... Wystarczy dla wszystkich.

— Dość tego, mój drogi — rzekła wreszcie Nana. — Wyglądamy jak kuglarze.

Uważała, że la Faloise jest doprawdy śmieszny, i bardzo ją to bawiło. W pewnej chwili wpadła na pomysł, by przez Jerzego posłać kieliszek szampana Róży Mignon, lecz ona udawała, że nie pije. Henryk i Karol nudzili się śmiertelnie; obaj malcy chętnie by się napili szampana, lecz Jerzy wypił ten kieliszek, obawiając się sprzeczki. Nana przypomniała sobie o Ludwisiu. Może ma pragnienie? I zmusiła go do wypicia kilku kropel wina, co wywołało straszliwy kaszel.

— Bardzo panów proszę — powtarzał la Faloise. — Ani za dwa, ani za jeden grosz... Tu się rozdaje... Lecz Nana przerwała mu z okrzykiem:

— O, proszę! Jest Bordenave!... Zawołajcie go, och, łapcie go koniecznie!

Był to istotnie Bordenave. Założywszy ręce do tyłu spacerował w kapeluszu zaczerwienionym od słonecznego blasku i w zatłuszczonym surducie wytartym już w szwach; Bordenave zubożały na skutek bankructwa, lecz mimo wszystko pełen fantazji, prezentował swoją nędzę w eleganckim świecie, przyjmując postawę człowieka zawsze gotowego do przeciwstawienia się losowi.

— Do diaska! Co za elegancja! — rzekł, gdy Nana przymilnie wyciągnęła do niego rękę. A wychyliwszy kieliszek szampana powiedział z głębokim żalem: — Ach! Gdybym ja był kobietą!... Ale do licha, to nic nie szkodzi! Chcesz wrócić do teatru? Mam pomysł, wynajmuję „Gaite" i we dwoje podbijemy Paryż... No co? Powinnaś to dla mnie zrobić.

I tak pomrukiwał, szczęśliwy, że ją znowu zobaczył. Bo — jak mówił — wystarczyło mu już to, że ta przeklęta Nana była w pobliżu, od razu czuł balsam w sercu. Była to jego córka, naprawdę jego krew.

Krąg się powiększał. Teraz la Faloise nalewał, a Filip i Jerzy werbowali przyjaciół. Powoli przysuwał się do niej cały trawnik. Nana każdemu rzucała uśmiech lub zabawne słowo. Zbliżały się grupy pijących, jakby zewsząd płynęła ku niej fala szampana. Niebawem dokoła jej landa powstał już tylko zwarty tłum i zgiełk. Królowała wśród wyciągniętych kieliszków, ze swoimi rozpuszczonymi jasnymi włosami i śnieżnobiałą twarzą skąpaną w słońcu. I wreszcie chcąc, żeby inne kobiety, rozwścieczone jej triumfem, pękały z zazdrości, uniosła w górę pełny kielich w swej dawnej pozie zwycięskiej Wenus.

Lecz w tej chwili ktoś ją dotknął z tyłu. Odwróciwszy się, zdumiała się widząc na ławeczce Mignona. Usiadła obok niego, gdyż miał jej coś ważnego do zakomunikowania. Mignon wszędzie opowiadał, że jego żona jest śmieszna ze swą urazą do Nany. On uważa to za głupie i bezsensowne.

— Moja droga — szepnął — miej się na baczności i nie doprowadzaj Róży do szału... Rozumiesz, wolę cię uprzedzić... Tak, ona ma broń w ręku, a ponieważ nigdy ci nie wybaczyła sprawy *Małej diuszessy*...

— Broń? — rzekła Nana. — Gwiżdżę na to!

— Słuchaj no, chodzi o list, który musiała znaleźć w kieszeni Fauchery'ego, list napisany do tego dziennikarzyny przez hrabinę Muffat. Tam wszystko jest jasne jak na dłoni... Otóż Róża chce posłać ten list hrabiemu, żeby się zemścić na Faucherym i na tobie.

— A ja gwiżdżę na to! — powtórzyła Nana. — Zabawne... Ach, więc to tak, chodzi o Fauchery'ego. Muszę powiedzieć, że jestem z tego rada, bo hrabina mnie drażniła. Przynajmniej się uśmiejemy.

— Ależ nie, ja tego nie chcę — podjął żywo Mignon. — Byłby ładny skandal! A poza tym, co nam z tego przyjdzie...

Zatrzymał się w obawie, że powie za dużo. Ona wykrzykiwała, że oczywiście nie ma zamiaru ratować osoby z towarzystwa. Lecz gdy nalegał, przeszyła go wzrokiem. Na pewno się bał, że gdyby Fauchery zerwał z hrabiną, wmieszałby się znowu w ich małżeństwo. A Róża z zemsty właśnie tego chciała dopiąć, knując swoją intrygę, gdyż ciągle jeszcze miała feblika do dziennikarza. Nana wpadła w rozmarzenie. Myślała o wizycie pana Venot i już w niej kiełkował pewien plan, gdy tymczasem Mignon starał się ją przekonać swoimi argumentami.

— Przypuśćmy, że Róża wysłała list, prawda? Wybucha skandal. Ty jesteś w to wmieszana, mówią, że jesteś przyczyną wszystkiego... Najpierw hrabia rozchodzi się ze swoją żoną...

— Niby dlaczego? — rzekła. — Wprost przeciwnie...

Ale z kolei ona sobie przerwała: lepiej głośno nie myśleć. W końcu zaczęła udawać, że zgadza się z Mignonem, by się go pozbyć. A kiedy radził jej, żeby okazała trochę uległości w stosunku do Róży i, dajmy na to, złożyła jej wizytę na polu wyścigowym, na oczach wszystkich, odrzekła, że zobaczy, że o tym pomyśli.

Wstała słysząc nagły zgiełk. Torem w szalonym pędzie nadbiegały konie. Cornemuse zdobywał nagrodę miasta Paryża. Teraz miała się zacząć gonitwa o Grand Prix, wzrastała go-

rączka, tłum się niepokoił tupiąc nogami, falując, jakby chciał popędzać minuty. W ostatniej chwili przerażała graczy niespodziana, ciągle rosnąca szansa Nany, *outsidera* stajni Vandeuvres'a. Co chwilę panowie Wracali z nową cyfrą: trzydzieści, dwadzieścia pięć, dwadzieścia, piętnaście. Nikt tego nie pojmował. Klacz pobita na wszystkich torach, której rano żaden gracz nie dawał nawet pięćdziesięciu! Co znaczył ten nagły szał? Jedni się wyśmiewali mówiąc, że głupcy, którzy się dadzą nabrać na tę farsę, wpadną na całego. Inni, poważnie zaniepokojeni, węszyli w tym coś podejrzanego. Może to jakiś podstęp. Robiono aluzje do różnych historii, do tolerowanych matactw na polach wyścigowych. Lecz tym razem znane nazwisko Vandeuvres'a hamowało zarzuty i w sumie sceptycy brali górę przepowiadając, że Nana z całą pewnością przyjdzie do mety ostatnia.

— Kto jedzie na Nanie? — spytał la Faloise. Właśnie ukazała się znowu prawdziwa Nana i panowie w niesmaczny sposób nadali inny sens pytaniu, wybuchając przesadnym śmiechem. Nana kłaniając się odpowiedziała:

— Price.

Więc znowu zaczęto dyskutować. Price był sławą angielską nie znaną we Francji. Dlaczego Vandeuvres sprowadził tego dżokeja, skoro zwykle Gresham dosiadał Nany? Zresztą dziwiono się, że Lusignan został powierzony temu Greshamowi, który — zdaniem la Faloise'a — nigdy nie miał szczęścia. Lecz wszystkie te uwagi rozpływały się w żartach, protestach i w niebywałym zgiełku bezładnych opinii. Dla zabicia czasu zabrano się do opróżniania butelek szampana. Za chwilę przez tłum przebiegł szmer, grupy się rozstąpiły. Przyszedł Vandeuvres, a Nana udała rozgniewaną.

— Ładne rzeczy, dopiero teraz pan przychodzi!... A ja tu się palę, żeby zobaczyć trybuny właścicieli stajni.

— No więc proszę — rzekł — jeszcze jest czas. Może pani pospacerować, mam właśnie przy sobie bilet dla damy.

I wziął ją pod ramię. Była szczęśliwa, bo odprowadzały ją zazdrosne spojrzenia Lucy, Karoliny i innych kobiet. Bracia Hugon i la Faloise zostali w landzie i dalej częstowali towarzystwo jej szampanem. Krzyknęła do nich, że natychmiast wraca.

Właśnie Vandeuvres zobaczył Labordette'a i zawołał go. Wymienili parę słów.

— Wszystko zebrałeś?

— Tak.

— Ile?

— Tysiąc pięćset ludwików, gdzie tylko się dało.

Umilkli, ponieważ Nana, zaciekawiona, nadstawiała ucha. W jasnych oczach podnieconego Vandeuvres'a skrzyły się płomyki. Te oczy przerażały ją, gdy w nocy opowiadał, że podpali się razem ze swymi końmi. Przechodząc przez tor wyścigowy zniżyła głos i zaczęła mówić do niego „ty".

— No więc powiedz, wytłumacz mi... Dlaczego tak rośnie szansa twojej klaczy? To wywołuje tyle gadania! Drgnął i rzucił:

— Ach, wiem, że gadają... Cóż to za ludzie ci gracze! Gdy mam faworyta, wszyscy rzucają się na niego i już nic nie zostaje dla mnie. A skoro potem jakiś *outsider* zdobywa rozgłos, szczekają i krzyczą, jakby ich kto ze skóry obdzierał.

— Swoją drogą, trzeba było mnie uprzedzić, przecież stawiałam — podjęła Nana. — Czy ona ma szanse?

Vandeuvres uniósł się nagle gniewem. — Co? Daj mi święty spokój... Wszystkie konie mają szanse. Do diaska! Zakłady rosną, bo na konia postawiono. Kto? Nie wiem... Wolę sobie iść, jeśli chcesz mnie zanudzać swymi idiotycznymi pytaniami.

Nie miał zwyczaju mówić takim tonem, nie leżało to w jego naturze. Bardziej ją zdziwił, niż uraził. Zresztą Vandeuvres zawstydził się i przeprosił ją, ponieważ oschle zażądała, żeby był grzeczny. Od jakiegoś czasu miewał takie nagłe zmiany humoru. W towarzyskich kołach Pa-

ryża wszyscy wiedzieli, że tego dnia postawił na swoją ostatnią kartę. Gdyby konie nie wygrały, gdyby jeszcze stracił znaczne sumy, które na nie postawił, oznaczałoby to klęskę i zupełną ruinę. Z trzaskiem padałoby rusztowanie jego kredytu i wszelkie pozory, które jeszcze istniały w jego podminowanej egzystencji, jakby wydrążonej przez rozpustne życie i długi. Dla nikogo nie było już tajemnicą, że do ostatecznej ruiny doprowadziła go rozwydrzona Nana, która zjadła do szczętu tę zachwianą fortunę. Opowiadano o obłąkanych kaprysach, o złocie rzucanym garściami, o zabawie w Baden, gdzie nie pozostawiła mu nawet grosza na zapłacenie hotelu, rzuciwszy po pijanemu w ogień garść diamentów, chcąc sprawdzić, czy to się pali jak węgiel. Swym tłustym ciałem i łobuzerskim śmiechem dziewczyny z przedmieścia owładnęła powoli tym zubożałym i wykwintnym synem starego rodu. Teraz postawił wszystko na jedną kartę, tak pochłonięty jej głupimi i wstrętnymi zachciankami, że nie był już zdolny nawet do sceptycyzmu. Przed tygodniem wymusiła na nim obietnicę, że kupi jej zamek na wybrzeżu normandzkim pomiędzy Havrem i Trouville. A on angażował resztki swego honoru, chcąc dotrzymać słowa. Ale w gruncie rzeczy drażniła go i chętnie by ją zbił za jej głupotę.

Woźny wpuścił ich na teren miejsc członkowskich, nie mając śmiałości zatrzymać tej kobiety wspartej na ramieniu hrabiego. Nana pyszniąc się, że nareszcie stanęła na tej zakazanej ziemi, wdzięczyła się i szła wolno przed damami siedzącymi u stóp trybun. Toalety pań w dziesięciu rzędach krzeseł wnosiły barwne akcenty do wesołego pleneru. Odsuwano krzesła, z przypadkowych spotkań tworzyły się zażyłe kółka jak w parku, gdzie w zadrzewionych alejach dzieci swobodnie biegają od jednej grupy do drugiej. A wyżej piętrzyły się amfiteatralnie trybuny z ławkami pełnymi ludzi. Jasne tkaniny roztapiały się tu w delikatnym cieniu oszalowań. Nana przyglądała się uważnie tym damom. Ze szczególnym upodobaniem utkwiła wzrok w hrabinie Muffat. A kiedy przechodziła przed trybuną cesarską, rozweselił ją widok Muffata, który stał przed cesarzową sztywny i oficjalny.

— Och, jaką on ma głupią minę! — powiedziała bardzo głośno do Vandeuvres'a.

Chciała wszystko zwiedzić. Ta część parku z trawnikami i masywami drzew nie wydawała się jej tak zabawna. W pobliżu ogrodzenia jakiś lodziarz ustawił wielki bufet. Pod wiejskim, słomianym daszkiem w kształcie grzyba stłoczeni ludzie gestykulowali i krzyczeli. To był ring.

Obok znajdowały się puste boksy. Rozczarowana, znalazła tam jedynie konia jakiegoś żandarma. Dalej był *paddock,* bieżnia o stu metrach obwodu, gdzie chłopak stajenny oprowadzał zakapturzonego Valeria II. Na żwirze alei przechadzało się wielu mężczyzn z pomarańczową plamą karty w butonierce, a w odkrytych galeriach trybun ludzie spacerowali bez przerwy. Wszystko to interesowało ją przez minutę, lecz naprawdę nie warto było się złościć, że komuś zabroniono tam wstępu.

Daguenet i Fauchery przechodząc ukłonili się Nanie. Skinęła na nich, więc musieli podejść. Zaczęła wykpiwać miejsca członkowskie, a potem przerywając sobie rzekła:

— Jak ten markiz de Chouard się postarzał! To dopiero stary się zdziera! Czy zawsze jeszcze z niego taki pies na kobiety?

Daguenet opowiedział o ostatnim szaleństwie starego. Ta historia zdarzyła się wczoraj, więc nikt jej jeszcze nie znał. Po długich zabiegach około tej sprawy kupił właśnie od Gagi jej córkę Amelię za trzydzieści tysięcy franków, jak mówiono.

— A to dopiero historia! — krzyknęła Nana wzburzona. — I miej tu córki!... Ale patrzcie! To chyba jest Lili w powozie z jakąś damą, tam na trawniku. Gdzieś już widziałam tę twarz... Stary dziewczynę wprowadzi w świat.

Vandeuvres, zniecierpliwiony, nie słuchał, pragnąc się jej pozbyć. Lecz ponieważ Fauchery odchodząc powiedział, że jeśli nie widziała *bookmakerów,* to niczego nie widziała, hrabia musiał ją oprowadzić pomimo widocznej niechęci. Przyglądała się zadowolona, bo rzeczywiście to było ciekawe.

Pomiędzy trawnikami obsadzonymi młodymi kasztanami otwierała się rotunda. Tam *bookmakerzy,* tworząc duży, ścieśniony krąg w cieniu jasnozielonych liści, czekali na graczy. Było tu jak na targowisku. Chcąc górować nad tłumem, stawali na drewnianych ławkach. Wywieszali numery na drzewach. Czatując uważnie, wypisywali zakłady za lada czyimś gestem czy mrugnięciem tak szybko, że ciekawscy patrzeli na nich z rozdziawioną gębą, niczego nie rozumiejąc. Panowało tu zamieszanie, wykrzykiwano cyfry i w tumulcie nieoczekiwanie zmieniano numery. Chwilami krzykacze wpadali biegiem, zatrzymywali się u wejścia do rotundy i spiesznie informowali o jakimś starcie czy też finiszu, wywołując w tej gorączce gry głośny zgiełk.

— Jacy oni są śmieszni! — szepnęła Nana bardzo ubawiona. — Mają jakieś powykręcane twarze... Popatrz na tamtego wysokiego. Nie chciałabym go spotkać sama w lesie. — Vandeuvres pokazał jej *bookmakera,* obrotnego agenta, który wygrał w ciągu dwóch lat trzy miliony. Ten wątły, delikatny blondyn był otoczony szacunkiem, zwracano się do niego z uśmiechem, ludzie zatrzymywali się, żeby go zobaczyć.

Wreszcie już opuszczali rotundę, gdy Vandeuvres lekko skinął głową na innego *bookmakera,* który w tej chwili pozwolił sobie go przywołać. Był to jeden z jego dawnych stangretów, olbrzym z plecami jak u byka i czerwoną twarzą. Teraz, gdy próbował szczęścia na wyścigach pieniędzmi podejrzanego pochodzenia, hrabia starał mu się pomagać; powierzał mu pokątne zakłady, lecz traktował go zawsze jak służącego, którym się nie trzeba krępować. Pomimo tak świetnej protekcji człowiek ten tracił raz za razem bardzo poważne sumy; i on także stawiał tego dnia na ostatnią kartę, z oczami nabiegłymi krwią i bliski apopleksji.

— No, Marechal — spytał zupełnie po cichu Vandeuvres — ile postawiłeś?

— Pięć tysięcy ludwików, panie hrabio — odrzekł *bookmaker* zniżając również głos. — Ładna sumka, co?... Muszę panu wyznać, że obniżyłem stawkę i określiłem ją na trzy.

Vandeuvres wyglądał na zmartwionego.

— Nie, nie, ja nie chcę, zmień natychmiast na dwa... Nic więcej ci nie powiem, Marechal.

— Och, cóż teraz może to panu hrabiemu szkodzić? — powiedział tamten z pokornym uśmiechem współwinowajcy. — Musiałem przyciągnąć sporo ludzi, żeby postawić pana dwa tysiące ludwików.

Vandeuvres kazał mu milczeć. Lecz kiedy się oddalał, Marechal coś sobie przypomniał i pożałował, że nie zadał pytania na temat zwyżki wartości jego klaczy. A to dopiero wpadł, jeżeli klacz miała szansę, a on właśnie dał na nią za dwieście ludwików po pięćdziesiąt.

Nana, która nic nie rozumiała ze słów szeptanych przez hrabiego, nie śmiała jednak pytać o nowe wyjaśnienia. Wydawał się bardziej zdenerwowany i nagle brutalnie przekazał ją Labordette'owi, którego spotkali przed salą, gdzie była waga.

— Niech ją pan odprowadzi — powiedział — bo ja jestem zajęty... Do widzenia.

I wszedł do wąskiej, niskiej sali zastawionej wielką wagą. Była to jakby hala bagażowa stacji kolejowej na przedmieściu. Nana rozczarowała się, bo wyobrażała sobie, że to będzie coś ogromnego, jakaś monumentalna maszyna do ważenia koni. A tymczasem ważono tylko dżokejów. Więc nie warto było robić tyle ambarasu z tym ważeniem. Na wadze dżokej, trzymając siodło na kolanach, z idiotyczną miną czekał aż gruby mężczyzna w tużurku sprawdzi jego ciężar. Przy drzwiach chłopak stajenny trzymał konia, Cosinusa, dokoła którego gromadzili się ludzie milczący i zaaferowani.

Za chwilę miano zamknąć tor. Labordette ponaglał Nanę, lecz cofnął się jeszcze, by pokazać jej niskiego mężczyznę, który na uboczu rozmawiał z Vandeuvres'em.

— Popatrz, to jest Price — powiedział.

— Ach, to on mnie dosiada — szepnęła śmiejąc się.

Stwierdziła, że jest okropnie brzydki. W jej mniemaniu wszyscy dżokeje wyglądali na kretynów. Prawdopodobnie dlatego — mówiła — że nie pozwala się im urosnąć. Price, czterdziestoletni mężczyzna ze swą długą, chudą twarzą, twardą, martwą i pooraną zmarszczkami wy-

glądał jak zasuszone dziecko. Ciało miał tak sękate i wychudzone, że niebieska kurtka z białymi rękawami wisiała na nim jak na kołku.

— Wiesz co — powiedziała odchodząc — on nie przyniósłby mi szczęścia.

Na torze było jeszcze tłoczno. Trawa, zmoczona i podeptana, zrobiła się czarna. Przed dwiema tablicami umieszczonymi wysoko na metalowej kolumnie tłoczyli się ludzie, podnosząc głowy w górę i przyjmując wrzawą każdy numer konia, przekazywany za pomocą prądu elektrycznego z sali wagowej. Panowie robili notatki na programach. Zgiełk podniósł się na wiadomość, że Pichenette została wycofana przez swego właściciela. Zresztą, zaledwie Nana przeszła na drugą stronę, zawieszona u ramienia Labordette'a, dzwon zawieszony na maszcie z chorągwią zaczął wzywać do opróżnienia toru.

— Ach, moi kochani — rzekła wsiadając znowu do swego landa — to bzdura całe te ich miejsca członkowskie!

Oklaskiwano ją z wszystkich stron. „Brawo, Nana!... Odzyskaliśmy Nanę!...” Jacy oni są głupi. Czyżby podejrzewali ją o zdradę? Wróciła w samą porę. Uwaga! Już się zaczyna. Od razu zapomniano o szampanie i przestano pić.

Nanę zdumiała obecność Gagi w jej powozie; trzymała na kolanach Bijou i Ludwisia. Gaga przyszła tu, by zbliżyć się do la Faloise'a, a opowiadała, że chciała ucałować bobo, gdyż uwielbia dzieci.

— A propos, a Lili? — spytała Nana. — To przecież ona jest tam w karecie tego starca?... Przed chwilą dowiedziałam się ładnych rzeczy.

Gaga zrobiła minę osoby zakłopotanej.

— Moja droga, przez to właśnie jestem chora — rzekła z bólem. — Wczoraj tak płakałam, że musiałam zostać w łóżku, a dziś myślałam, że nie będę mogła przyjść... Chyba wiesz, jakie były moje zamiary? Chciałam ją przed tym ustrzec, kazałam ją wychowywać w klasztorze, by dobrze wydać za mąż. Była trzymana krótko i ciągle pilnowana... Ale widzisz, moja droga, ona tego chciała. Och, nie obyło się bez gwałtownych scen, łez i przykrych słów, a nawet dostała ode mnie po głowie. Za bardzo się nudziła, no i chciała wejść w to życie... Skoro więc zaczęła mówić: „Ostatecznie, ty nie masz najmniejszego prawa mi w tym przeszkadzać”, powiedziałam jej: „Jesteś podła, hańbisz nas, idź sobie!” i tak stało się. Co miałam robić? musiałam po prostu wszystko zaaranżować... Widzisz, ostatnia moja nadzieja stracona. A marzyłam przecież o tak pięknej przyszłości!

Wstały słysząc odgłosy jakiejś kłótni. To Jerzy bronił Vandeuvres'a przeciwko zarzutom, które wysuwano w różnych grupach.

— Po co tu gadać, że nie liczy na swego konia? — krzyczał młody człowiek. — Wczoraj w salonie wyścigowym stawiał na Lusignana tysiąc ludwików.

— Tak, byłem przy tym — zapewnił Filip. — Nie postawił nawet jednego ludwika na Nanę... Jeżeli Nana jest warta dziesięć, on w tym nic nie ma. To śmieszne plątać ludzi w takie machinacje. Jaki on miałby w tym interes?

Labordette słuchał spokojnie i wzruszając ramionami powiedział:

— Ależ pozwólcie mi wyjaśnić... Hrabia jeszcze przed chwilą postawił co najmniej pięćset ludwików na Lusignana, a jeśli domagał się stawki około stu ludwików na Nanę, to tylko dlatego że właściciel zawsze powinien robić wrażenie człowieka mającego zaufanie do swych koni.

— Wszystko to bzdura! — krzyknął la Faloise wymachując rękami. — Przecież Spirit wygra... Francja pobita! Brawo Anglia!

Dreszcz przebiegł przez tłum, gdy dzwon oznajmił znowu wejście koni na tor. Żeby lepiej widzieć, Nana stanęła na ławeczce swego landa, depcząc bukiety niezapominajek i róż. Rozglądała się dokoła obejmując ogromny horyzont. W tej ostatniej, gorączkowej chwili tor był pusty, zamknięty szarymi barierami. Przy słupkach stali szeregiem policjanci. A pas trawy, błotnisty przy torze, zielenił się w dali przechodząc w delikatny, aksamitny kobierzec. W

środku trawnika widziała rój ludzi stojących na palcach, przyczepionych do powozów, rój falujący, roznamiętniony. Konie rżały, płótna namiotów trzepotały, jeźdźcy, którzy wprowadzali swe konie pomiędzy pieszych, opierali się łokciami o bariery. A tymczasem z drugiej strony, gdy zwracała się ku trybunom, twarze malały, ogromne masy głów tworzyły już tylko pstrokaciznę wypełniającą aleję, stopnie, tarasy, gdzie mnóstwo czarnych profilów odcinało się na tle nieba. Obejmowała wzrokiem równinę dalej jeszcze dokoła hipodromu. Na prawo, za młynem porośniętym bluszczem, był płat łąk poprzecinanych grupami cienistych drzew. Na wprost, aż do Sekwany płynącej u stóp wzgórza, krzyżowały się aleje parku, na których czekały nieruchomo szeregi pojazdów. Na lewo, w kierunku Boulogne, otwierał się szeroki widok na dalekie, niebieskawe obszary Meudon. W poprzek biegła aleja paulonii, których różowe kule bez jednego listka tworzyły powierzchnię podobną do barwnej laki. Z tamtej strony ciągle przybywali ludzie, jakby sznur mrówek posuwał się po cienkiej wstążce drogi przez pola. A w dali, od strony Paryża, publiczność nie płacąca wstępu rozłożyła się pod drzewami Lasku, obozując jak stado bydła wśród zagajników. Z daleka ludzie ci tworzyli ruchomą linię ciemnych punktów.

Lecz nagle wesołość ogarnęła sto tysięcy osób, które na tym kawałku pola wierciły się jak ruchliwe owady, rojące się gorączkowo. Słońce, ukryte od kwadransa, wyszło zza chmur i rzuciło potok światła. Wszystko znowu zapłonęło. Niezliczone parasolki kobiece jak złote tarcze unosiły się nad tłumem. Oklaskiwano słońce, witano je śmiechem, wyciągano ramiona, by rozsunąć chmury.

Środkiem opustoszałego toru szedł funkcjonariusz służby porządkowej. Wyżej, z lewej strony, zjawił się jakiś mężczyzna z czerwoną chorągwią w ręku. ─ To jest starter, baron de Mauriac ─ odpowiedział Labordette na pytanie Nany.

Dokoła młodej kobiety, wśród ludzi cisnących się aż do stopni jej powozu, słychać było krzyki, bez przerwy toczyła się rozmowa, gdyż wszyscy dzielili się bezpośrednio swymi wrażeniami. Filip i Jerzy, Bordenave, la Faloise gadali bez przerwy.

─ Nie popychajcie tak!... Pozwólcie mi patrzeć... Ach! Sędzia wchodzi do swej budki... Mówicie, że to jest pan de Suvigny?... Trzeba mieć doprawdy dobre oczy, żeby w całej tej rozgrywce wyśledzić odchylenia na długość nosa. No, uciszcie się, wciągają chorągiew... Uwaga, zaczyna się!... Cosinus jest pierwszy.

Trzepotała już chorągiew żółto-czerwona wysoko na maszcie. Konie podchodziły jeden za drugim, prowadzone przez chłopaków stajennych, z dżokejami w siodłach. Siedzieli równo, tworząc w słońcu jasne plamy. Po Cosinusie zjawił się Hasard i Boum. Potem szmerem powitano Spirita, wielkiego, wspaniałego gniadosza, którego cytrynowo-czarne barwy miały w sobie coś z brytyjskiego smutku. Valerio II odniósł sukces w chwili wejścia na tor. Mały, bardzo żywy, w barwach jasnozielonych z różowym. Dwa konie Vandeuvres'a kazały na siebie czekać. Wreszcie za Frangipane'em pojawiły się barwy niebiesko-białe. Lecz wobec niespodzianki, jaką zrobiła Nana. prawie zapomniano o Lusignanie. bardzo ciemnym gniadoszu o nieskazitelnym pokroju. Tak piękna nigdy jeszcze nie była. W blaskach słońca ta kasztanka miała złocisty odcień rudej dziewczyny. Lśniła jak złota moneta. Pierś miała szeroką, dobrze wysklepioną, szyję długą, o szlachetnym rysunku, głowę suchą, nerwowa.

─ No proszę! Ona ma moje włosy! ─ krzyknęła Nana zachwycona. ─ Muszę wam powiedzieć, że jestem z tego dumna!

Wtargnięto do landa, Bordenave o mało co byłby nadepnął Ludwisia, o którym matka zapomniała. Wziął go, zrzędząc po ojcowsku, i postawił na swoim ramieniu mrucząc:

─ Biedny dzieciak, trzeba go stąd zabrać... Poczekaj, pokażę ci mamę... Co? Patrz, tam jest konik.

A ponieważ Bijou drapał go po nogach, zajął się nim także. Tymczasem Nana uszczęśliwiona, że to zwierzę nosi jej imię, rzucała spojrzenia na inne kobiety, by widzieć ich miny. Wszystkie były wściekłe. W tej chwili Tricona, która dotychczas siedziała nieruchomo w

swej dorożce, zaczęła wymachiwać rękami i ponad tłumem dawać polecenia *bookmakerowi*. Kierując się węchem stawiała na Nanę.

Tymczasem la Faloise nieznośnie hałasował zachwycając się Frangipane'em.

— Mam wyczucie — powtarzał. — Patrzcie na Frangipane'a. Co? To dopiero ruchy!... Stawiam osiem na Frangipane'a. Kto jeszcze?

— Niech się pan uspokoi — rzekł w końcu Labordette. — Będzie pan potem żałował.

— Frangipane to szkapa — stwierdził Filip. — Już cały jest mokry... Zobaczy pan w próbnym galopie. Konie znowu skręciły w prawo i rozpoczął się galop próbny. Przebiegły luzem przed trybunami. Wszyscy byli roznamiętnieni i mówili naraz.

— Lusignan ma za długą szyję, ale jest w dobrej formie... Wie pan co, nie warto stawiać nawet grosza na Valeria II; nerwowy i galopuje z podniesioną głową, co jest złym znakiem. Popatrz, to Bume dosiada Spirita... Mówię ci, że temu koniowi brakuje łopatki. Dobrze zbudowana łopatka to wszystko... Nie, stanowczo Spirit jest za spokojny... Słuchajcie, widziałem Nanę po gonitwie o Nagrodę Przychówku. Była spocona, sierść miała matową, robiła bokami. Mogę się założyć o dwadzieścia ludwików, że nie weźmie dobrego miejsca!... Dość już tego! Jak on nas zanudza swoim Frangipane'em! Nie ma już czasu, gonitwa się zaczyna.

La Faloise prawie płacząc dobijał się o *bookmakera*. Trzeba było przemówić mu do rozsądku. Wszyscy wyciągali szyje, lecz pierwszy start nie był udany i starter, widoczny w dali jak cienka czarna kreska, nie opuścił swej czerwonej chorągiewki. Po krótkim galopie konie wróciły na miejsca. Potem były jeszcze dwa falstarty. Wreszcie starter, zebrawszy konie, wypuścił je tak zręcznie, że wywołał okrzyki.

— Wspaniale!... Nie, to przypadek!... Mniejsza z tym, ale udane! Niepokój ściskający serca stłumił wrzawę. Teraz ustały zakłady, zaczęła się rozgrywka na ogromnym torze. Najpierw zapanowała cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Podnosiły się blade twarze, przejęte dreszczem. Hasard i Cosinus dobrze wystartowały, wysuwając się na czoło. Valerio II szedł tuż za nimi, a inne konie nadbiegały w skłębionej gromadzie. Gdy przebiegały przed trybunami, ziemia pod ich kopytami drżała, cała stawka wydłużyła się już na przestrzeni jakichś czterdziestu metrów. Frangipane był ostatni, a Nana znajdowała się trochę za Lusignanem i Spiritem.

— Do licha! — szepnął Labordette. — Jak ten Anglik daje sobie radę! Całe lando gadało i wykrzykiwało. Wyciągano szyje, śledzono jaskrawe plamy dżokejów, którzy mknęli w promieniach słońca. Przy podejściu wzniesienia toru Valerio II wysunął się do przodu, Cosinus i Hasard pozostawały w tyle, a Lusignan i Spirit szły w jednej linii, mając Nanę ciągle za sobą.

— Do diabła! Anglik wygrał, to jasne — rzekł Bordenave. — Lusignan męczy się, a Valerio II nie wytrzymuje tępa.

— A to dopiero będzie, jeżeli Anglik wygra! — krzyknął Filip w patriotycznym uniesieniu.

Niepokój zaczynał dręczyć całe to stłoczone towarzystwo. Jeszcze jedna klęska! Lusignanowi towarzyszyły niezwykle żarliwe, prawie nabożne życzenia. Przeklinano natomiast Spirita i jego dżokeja w karawaniarskim humorze. Wśród tłumu rozsypanego na trawie unosiły się grupy ludzi podskakujących w górę. Jeźdźcy mknęli po torze w szalonym galopie. A Nana, obracając się powoli na wszystkie strony, widziała u swych nóg ocean głów i ludzi, morze głów smagane i jakby unoszone wokół toru przez zawrotny pęd biegu, który przecinał horyzont jaskrawą błyskawicą dżokejskich barw. Obserwowała uciekające końskie zady i wydłużone rącze nogi, które znikały, cieniutkie jak włoski. Teraz w dali widać je było z profilu małe, delikatne na zielonawym tle Lasku. Potem nagle zniknęły za wielką kępą drzew rosnących w środku hipodromu.

— Dajcie spokój! — krzyknął Jerzy, ciągle jeszcze pełen nadziei. — Zobaczymy, co będzie dalej. Anglik jest skończony.

Lecz la Faloise, z pogardą dla spraw narodowych, skandalicznie oklaskiwał Spirita. Brawo! Dobrze się stało! To jest Francji potrzebne! Spirit pierwszy, a Frangipane drugi! Niech się ojczyzna gryzie. Rozdrażniony Labordette zagroził mu poważnie, że rzuci go na dno powozu.

— Zobaczymy, ile minut to potrwa — rzekł spokojnie Bordenave, który wyciągnął zegarek, podtrzymując przy tym Ludwisia.

Zza kępy drzew konie wyłaniały się jeden po drugim. Ludzie osłupieli, szmer przeszedł przez tłum. Valerio II był jeszcze na czele. Lecz Spirit go dopędzał, a za nim Lusignan ustępował, podczas gdy jakiś inny koń wchodził na jego miejsce. Nie od razu zrozumiano, gdyż pomylono kurtki dżokejów. Zerwały się okrzyki.

— Ależ to Nana!... Dalejże, Nana! Mówię ci, że Lusignan pozostał w miejscu... No tak! To Nana. Można ją dobrze rozpoznać po jej złotej maści... Popatrz teraz! Cała jest w ogniu... Brawo, Nana! A to szelma!... Ba! Wszystko jedno. Wchodzi na miejsce Lusignana.

Przez kilka sekund taka była ogólna opinia. Lecz stopniowo klacz ciągle przesuwała się do przodu. Wszyscy przeżywali wielką emocję. Nikt już się nie interesował końmi biegnącymi z tyłu. Zaczynała się zaciekła walka pomiędzy Spiritem, Naną, Lusignanem i Valerio II. Wymieniano ich, stwierdzano sukcesy lub potknięcia w zdaniach bełkotanych bez żadnego związku. A Nana, która przed chwilą weszła na kozioł swego powozu, była blada, drżąca i tak wzruszona, że nie mogła wymówić słowa. Lecz Labordette stanął obok niej uśmiechnięty.

— Co? Anglik się męczy — rzekł wesoło Filip. — Nie jest z nim dobrze.

— W każdym razie z Lusignanem koniec — krzyknął la Faloise. — Teraz nadchodzi Valerio II... Patrzcie! Wszystkie cztery się skłębiły. Z wielu ust wyrwały się te same słowa:

— Co za tempo! Moi drodzy!... Ależ to tempo, do diaska! Skłębione konie nadbiegały w piorunującym tempie. Czuło się ich zbliżanie i niby oddech, dalekie sapanie, głośniejsze z sekundy na sekundę. Tłum rzucił się gwałtownie do barier. Zanim jeszcze konie nadbiegły, z piersi wyrwał się głęboki okrzyk, który coraz bardziej się zbliżał, podobny do ryku rozbijających się fal morskich. Był to ostatni, brutalny moment wielkiej rozgrywki. Sto tysięcy widzów, opętanych maniacko i rozpalonych żądzą hazardu, śledziło gorączkowo ruch tych zwierząt, których galop decydował o losie milionowych fortun. Popychano się. miażdżono z zaciśniętymi pięściami i ustami otwartymi. Każdy myślał o sobie, każdy popędzał swojego konia głosem i gestem. Coraz wyraźniej grzmiał krzyk całego tego tłumu, krzyk dzikiej bestii, która wyłaziła spod surdutów.

— Już są! Już są!... Już są!

Nana jeszcze się wysunęła: Valerio II został przez nią zdystansowany, dotrzymywała kroku Spiritowi o dwie lub trzy długości szyi. Grzmot przybierał na sile. Konie nadbiegały, w landzie przyjmowała je burza przekleństw.

— Dalejże, Lusignan, ty tchórzu, wstrętna szkapo!... Anglik jest znakomity! Jeszcze, jeszcze troszeczkę, mój stary!... A ten Valerio jest obrzydliwy!... Ach! Ścierwo! Przepadło moich dziesięć ludwików!... Już tylko Nana! Brawo, Nana! Brawo, szelma!

Siedząc wysoko. Nana zaczęła bezwiednie kołysać udami i biodrami, jak gdyby sama biegła. Klepała się po brzuchu sądząc, że to pomaga klaczy. Za każdym razem wzdychała ze zmęczenia, mówiąc matowym i niskim głosem:

— No... no... no...

Ujrzano wówczas rzecz wspaniałą. Price, stojąc w strzemionach ze szpicrutą podniesioną w górę, smagał Nanę z wściekłą siłą. To stare zasuszone dziecko o długiej, twardej i martwej twarzy miotało płomienie. W porywie szalonej odwagi i triumfującej woli dodawał klaczy animuszu, podtrzymywał ją i niósł. Była zmydlona pianą, oczy miała przekrwione. Wszystkie konie przebiegły jak pioruny, zapierając ludziom oddech i zmiatając powietrze. A tymczasem sędzia z zimną krwią czekał skupiony. Zabrzmiały potężne oklaski. Ostatnim wysiłkiem Price rzucił Nanę do celownika bijąc Spirita o długość głowy.

Rozległ się wrzask potężniejszy jak odgłos przypływu morza: „Nana! Nana!" Okrzyk toczył się, wzrastał z gwałtownością burzy, wypełniając powoli horyzont od środka Lasku po Mont Valerien, od łąk Longchamp do równiny Boulogne. Na murawie wybuchł szalony entuzjazm. „Niech żyje Nana! Niech żyje Francja! Precz z Anglią!" Kobiety wymachiwały parasolkami; mężczyźni skakali i obracali się wrzeszcząc; inni podrzucali kapelusze, śmiejąc się nerwowo. A z drugiej strony toru odpowiadały trybuny członkowskie, publiczność się rozgrzewała. Widać było wyraźnie tylko drganie powietrza, jakby niewidzialny płomień ponad tym żywym stosem skłębionych drobnych postaci z powykręcanymi ramionami, z czarnymi punkcikami oczu i otwartymi ustami. Szał nie ustawał, lecz wzbierał i potężniał w głębi dalekich alei, wśród tłumu obozującego pod drzewami, i podniecał nawet cesarską trybunę, gdzie cesarzowa też biła brawo. „Nana! Nana! Nana!" Krzyk wzbijał się ku słońcu, które złotym potokiem światła zalewało szalejący tłum.

Nana stojąc wysoko na swym landzie sądziła, że to ją oklaskują. Przez chwilę stała nieruchomo, osłupiała na widok swego triumfu, i patrzała na tor zapchany tłumem tak gęstym, że nie było już widać trawy pokrytej morzem czarnych kapeluszy. Ale gdy utworzono długi szpaler, by jeszcze raz pozdrowić i pozwolić przejść zwycięskiej klaczy niosącej na grzbiecie złamanego wysiłkiem, zupełnie już bezwładnego Price'a, Nana klapnęła się mocno po udach i zapominając o wszystkim krzyknęła triumfalnie:

— Do licha! Przecież to ja wygrałam... Do licha ciężkiego! Co za szczęście! l nie wiedząc już, jak wyrazić radość, która ją rozpierała, uścisnęła i ucałowała Ludwisia, którego złapała w górze, na ramieniu Bordenave'a.

—Trzy minuty i czternaście sekund — rzekł Bordenave wkładając zegarek z powrotem do kieszeni.

Nana ciągle słyszała swoje imię, którego echo rozlegało się po całej równinie. Stała w słońcu, wyprostowana i władcza, ze swymi ognistymi włosami i w sukni biało-błękitnej koloru nieba, a jej lud ją oklaskiwał. Labordette, ulatniając się, oznajmił jej, że wygrała dwa tysiące ludwików, gdyż postawił na Nanę jej pięćdziesiąt ludwików. Lecz pieniądze mniej ją wzruszały niż to nieoczekiwane zwycięstwo, którego blask robił z niej królową Paryża. Wszystkie kokoty z jej otoczenia przegrały. Róża Mignon w przystępie wściekłości złamała parasolkę, Karolina Hèquet, Klarysa, Simona, a nawet Lucy Stewart, nie zważając na syna, głucho przeklinały, rozdrażnione szczęściem tej grubej dziewki, natomiast Tricona, która się przeżegnała w chwili startu i finiszu koni, teraz, zachwycona, że miała nosa, prostowała wysoką figurę i jako doświadczona matrona błogosławiła Nanę. Tymczasem dokoła landa wzrastał jeszcze napór tłumu. Rozlegały się dzikie krzyki. Jerzy, zgnieciony, krzyczał dalej załamującym się głosem. Ponieważ zabrakło szampana, Filip pobiegł do bufetów zabierając z sobą lokajów. Dwór Nany ciągle się powiększał, jej triumf przyciągał nawet opornych do powozu, który stał się centralnym punktem trawnika. Nana królowała jak bogini Wenus uwielbiana przez ogarniętych szałem poddanych. Bordenaye stojąc za nią rzucał przekleństwa z ojcowskim rozczuleniem. Nawet Steiner, na nowo zdobyty, rzucił Simonę i wspinał się na jeden ze stopni powozu. Gdy przyniesiono szampana i gdy Nana podniosła w górę pełny kielich, zerwały się takie oklaski, tak głośno powtarzano:

„Nana! Nana! Nana!", że zdumiony tłum szukał klaczy; już nie wiedziano, czy to zwierzę, czy kobieta rozpierała ich serca.

Tymczasem nadszedł Mignon pomimo groźnych spojrzeń Róży. Rozbrajała go ta przeklęta dziewczyna, chciał ją ucałować. A gdy wycałował ją w oba policzki, rzekł po ojcowsku:

— Przykro mi, że teraz na pewno Róża wyśle list... Zanadto się wścieka.

— Tym lepiej! To mi jest na rękę! — klapnęła Nana. Lecz widząc, że osłupiał, dodała spiesznie: — Ależ nie! Co ja mówię?... Naprawdę nie wiem już, co gadam!...Jestem pijana. — I rzeczywiście upojona radością, słońcem i ciągle wychylanym kielichem sama zaczęła siebie podziwiać. — Wszyscy do Nany! — krzyczała w rosnącym zgiełku, wśród śmiechów i braw,

które powoli ogarnęły cały hipodrom. Wyścigi się kończyły, odbywała się teraz gonitwa o nagrodę Vaublanc. Powozy odjeżdżały jeden za drugim. Wśród kłótni wracało ciągle nazwisko Vandeuvres'a. Teraz już wszystko stało się jasne: Vandeuvres przygotowywał swoje uderzenie od dwóch lat, każąc Greshamowi powstrzymywać Nanę. Wychował Lusignana tylko dlatego, żeby rozegrać partię klaczy. Ci, co stracili, byli źli, a ci, co wygrali, wzruszali ramionami. Ostatecznie, czy nie było mu wolno? Właściciel ma przecież prawo prowadzić swoją stajnię, jak uważa za stosowne. Zdarzały się już takie rzeczy! Większość osób była zdania, że Vandeuvres jest bardzo zręczny, bo za pośrednictwem przyjaciół zebrał wszystko, co mógł uzyskać za Nanę. To tłumaczyło zresztą nagłą zwyżkę stawki. Mówiono o dwóch tysiącach ludwików; licząc średnio po trzydzieści, dawało to milion dwieście tysięcy zysku. Tak wysoka cyfra budziła szacunek i wszystko usprawiedliwiała.

Lecz z miejsc członkowskich dochodziły inne, bardzo poważne pogłoski, wypowiadane szeptem. Mężczyźni, którzy stamtąd wracali, podawali szczegóły. Coraz głośniej mówiono o strasznym skandalu. Biedny Vandeuvres był skończony: swoją wspaniałą rozgrywkę zepsuł podłym głupstwem, idiotyczną kradzieżą, każąc Marechalowi, *bookmakerowi* o podejrzanej opinii, postawić na swoje konto dwa tysiące ludwików przeciwko Lusignanowi, żeby odbić sobie głupie tysiąc ludwików, postawionych jawnie: Co świadczyło o lekkim obłędzie w chwili ostatecznego krachu. *Bookmaker* uprzedzony, że faworyt nie wygra, zarobił na tym koniu około sześćdziesięciu tysięcy franków. Labordette w braku dokładnych i szczegółowych instrukcji poszedł właśnie postawić dwieście ludwików na Nanę, a tamten, nie znając mechanizmu uderzenia, realizował jeszcze stawki po pięćdziesiąt. Ograbiony na sto tysięcy franków z powodu klaczy i przegrawszy na niej czterdzieści tysięcy, Marechal poczuł, że traci grunt pod nogami. Nagle wszystko zrozumiał widząc, jak Labordette i hrabia rozmawiają po wyścigu w sali wagowej. Gdy stwierdził, że został okradziony. wylazła z niego brutalna wściekłość dawnego stangreta. Zrobił publicznie straszną scenę opowiadając o całej historii okropnymi słowami i podburzając ludzi. Twierdzono, że ma się zebrać jury wyścigowe.

Nana, której Filip i Jerzy po cichu o tym opowiadali, wtrącała swoje uwagi, śmiejąc się ciągle i pijąc. Ostatecznie to było możliwe; przypominała sobie różne rzeczy, a zresztą ten Marechal wyglądał paskudnie. Ale jednak jeszcze miała wątpliwości, gdy raptem zjawił się Labordtte. Był bardzo blady.

— No co? — spytała półgłosem.

— Przepadł — odrzekł po prostu i wzruszył ramionami. Ten Vandeuvres postąpił jak dziecko! Gestem dała do zrozumienia, że wszystko to ją nudzi. Wieczorem na balu u Mabille'a Nana odniosła kolosalny sukces. Skoro się zjawiła około godziny dziesiątej, panował już straszny zgiełk. To szaleństwo wieczorne zgromadziło całą elegancką młodzież; panowie z towarzystwa bawili się tu brutalnie i bezmyślnie jak lokaje. Ścisk był niebywały w sali przystrojonej i oświetlonej gazowymi lampami. Wśród szaleńczej pijatyki towarzystwo kręciło się i wrzeszczało, w czarnych frakach i przesadnych toaletach, w sukniach dekoltowanych i starych kieckach, których nie żal było zabrudzić. Z odległości trzydziestu kroków nie było już słychać blaszanych instrumentów dętych orkiestry. Nikt nie tańczył. Krążyły bezsensowne słowa powtarzane nie wiadomo dlaczego. Daremnie wysilano się na dowcipy. Siedem kobiet zamkniętych w szatni płakało błagając o uwolnienie. Znaleziona cebulka, wystawiona na licytycję, przyniosła dwa ludwiki. Właśnie przybyła Nana, jeszcze w swojej niebiesko-białej toalecie z wyścigów. Wręczono jej cebulkę przy grzmocie braw. Schwytano ją wbrew jej woli i trzech panów obnosiło w triumfie po ogrodzie. przez podeptane trawniki i potratowaną zieleń. A ponieważ orkiestra znajdowała się w przejściu, utorowano drogę szturmem, łamiąc krzesła i pulpity. Samorzutne próby opanowania sytuacji powiększały jeszcze nieład.

Dopiero we wtorek Nana wróciła do równowagi po emocjach zwycięstwa. Rano rozmawiała z panią Lerat. Ciotka przyszła z wiadomościami o Ludwisiu, który rozchorował się przebywając na świeżym powietrzu. Pasjonowała ją historia, którą zajmował się cały Paryż. Van-

deuvres, wykluczony przez zarząd wyścigów, a jednocześnie usunięty z Klubu Cesarskiego, spalił się nazajutrz w stajni razem ze swymi końmi.

— Ależ on mi o tym mówił — powtarzała młoda kobieta. — To istny wariat!... Kiedy mi to opowiadano wczoraj wieczorem, miałam porządnego stracha! Pomyśl, że bardzo łatwo mógł mnie którejś nocy zamordować... A poza tym, czy nie powinien był mnie uprzedzić o szansach swego konia? Byłabym przynajmniej zrobiła majątek!... Powiedział Labordette'owi, że gdybym była zorientowana w tej sprawie, powiadomiłabym natychmiast swego fryzjera i masę osób. Bardzo to ładnie z jego strony!... Ach, doprawdy nie mogę go żałować.

Po chwili namysłu wpadła we wściekłość. Właśnie wszedł Labordette, by wypłacić jej wygraną; przyniósł około czterdziestu tysięcy franków. To tylko pogorszyło jej humor, gdyż powinna była wygrać milion. Labordette, który w całej tej awanturze udawał niewinnego, ostentacyjnie odwrócił się od Vandeuvres'a. Mówił, że te stare rodziny już są wyjałowione i że kończą się w głupi sposób.

— Ależ nie! — rzekła Nana — to wcale nie jest głupie tak się podpalić w stajni. Ja uważam, że skończył z życiem śmiało. Och! Wcale nie bronię jego sprawy z Marechalem. To była głupota. A tymczasem Blanka miała tupet powiedzieć, że ja jestem wszystkiemu winna! Na to odparłam: „Czy kazałam mu kraść?" Prawda? Można żądać pieniędzy od mężczyzny nie popychając go do zbrodni... Gdyby mi był powiedział: „Już nic nie mam", byłabym mu rzekła: „No to rozejdźmy się." I na tym by się skończyło.

— Bez wątpienia — rzekła poważnie ciotka. — Skoro mężczyźni się upierają, tym gorzej dla nich!

— Ale jeśli chodzi o scenę końcową, och, była nadzwyczajna! — podjęła Nana. — To chyba musiało być straszne, aż ciarki przechodzą. Wyrzucił wszystkich i zamknął się tam zabrawszy z sobą naftę... Warto było widzieć, jak się to paliło! Pomyślcie tylko, taka wielka buda, prawie cała z drzewa, pełna słomy i siana!... Płomienie strzelały wysokie jak wieże... Najpiękniejszy był widok koni, które nie chciały się upiec. Słychać było, jak wierzgały, jak się rzucały do bram i wydawały jakby ludzkie głosy... Tak, ci ludzie, którzy to słyszeli, umierali ze strachu.

Labordette westchnął nieufnie. Nie wierzył w śmierć Vandeuvres'a. Ktoś przysięgał, że widział go uciekającego przez okno. W rozstroju nerwowym podpalił swoją stajnię, ale z chwilą gdy zaczęło mocno grzać, na pewno oprzytomniał. Mężczyzna, tak głupio postępujący z kobietami i taki pusty, nie mógł umrzeć tak odważnie.

Nana słuchała go rozczarowana. I zdobyła się tylko na jedno zdanie:

— Och! Nieszczęsny! A to było takie piękne!

XII

Nana i hrabia nie spali jeszcze około godziny pierwszej w nocy, leżąc w wielkim łożu przybranym wenecką koronką. Wrócił do niej wieczorem po trzydniowych dąsach. W pokoju słabo oświetlonym lampą, panował nastrój senny; było ciepło i rozkosznie wśród mebli z białej laki inkrustowanej srebrem. Opuszczona zasłona otulała łóżko cieniem. Ktoś westchnął, potem odgłos pocałunku przerwał ciszę. Nana odsunąwszy kołdrę siadła bosa na brzegu łóżka. Hrabia opadł głową na poduszkę i leżał w ciemnościach.

— Kochanie, czy ty wierzysz w Boga? — spytała po chwili namysłu, poważna i przejęta nabożnym lękiem, gdy tylko uwolniła się z ramion kochanka.

Od rana skarżyła się, że coś jej dolega. Dręczyły ją głupie myśli — jak mówiła — myśli o śmierci i piekle. Zdarzało się jej niekiedy, że w nocy ogarniał ją dziecinny lek i leżąc z otwartymi oczami przeżywała w wyobraźni koszmarne rzeczy. Odezwała się znowu:

— No co? Czy myślisz, że pójdę do nieba?

Dreszcz przebiegł jej ciało. Hrabia, zaskoczony tymi pytaniami, niezwykłymi w takiej chwili, poczuł wyrzuty swego katolickiego sumienia. Nana w koszuli zsuniętej z ramion i z rozwianymi włosami przylgnęła do niego.

— Boję się śmierci... Boję się śmierci...

Z wielkim trudem uwolnił się od niej. On sam bał się zarazić obłędem tej kobiety przylepionej do jego ciała, jej udzielającym mu się strachem przed niewidzialnym. Perswadował jej, że przecież jest zupełnie zdrowa, że powinna tylko prowadzić się dobrze, by kiedyś zasłużyć na odpuszczenie grzechów. Lecz ona potrząsała głową. Oczywiście, nie robiła nikomu nic złego, a nawet nosiła zawsze na piersiach medalik z Matką Boską, który mu pokazała zawieszony na czerwonym sznureczku. Ale przecież to już było z góry postanowione, że wszystkie kobiety niezamężne, żyjące z mężczyznami, mają iść do piekła. Przypominała sobie strzępy katechizmu. Ach! Gdyby tak można było wiedzieć naprawdę. Ale przecież nic nie wiadomo, nikt jeszcze stamtąd nie wrócił i nie opowiedział. Doprawdy, jeżeli księża mówią głupstwa, byłoby bez sensu się krępować. Jednak nabożnie całowała rozgrzany jej ciałem medalik, odżegnując się od śmierci, gdyż myśl o niej przerażała ją potwornie.

Muffat musiał jej towarzyszyć do łazienki, bo drżała na myśl, że znajdzie się tam sama, choć drzwi do pokoju były otwarte. Kiedy położył się znowu do łóżka, wałęsała się jeszcze po sypialni, chodząc po kątach i drżąc przy najmniejszym szmerze. Zatrzymała się przed lustrem i zapomniała się jak kiedyś, oglądając swe nagie ciało. Lecz widok piersi, bioder i ud podwajał jeszcze jej przerażenie. Wreszcie zaczęła dotykać rękami kości twarzy.

— Po śmierci człowiek Jest brzydki — powiedziała powoli. Ściskała swe policzki, rozszerzała oczy, wciskała szczękę, by zobaczyć, jak będzie wyglądała. Tak zdeformowana zwróciła się do hrabiego i rzekła: — Popatrz, będę miała zupełnie małą głowę.

Hrabia rozgniewał się.

— Jesteś szalona, chodź do łóżka.

Widział ją w grobie odartą z ciała, w sto lat po śmierci: złożył ręce i mamrotał modlitwę. Od jakiegoś czasu stał się znowu religijny. Codziennie powtarzały się męczące i gwałtowne jak uderzenie krwi do głowy ataki wiary. Trzeszczały mu palce u rąk i powtarzał w kółko: „Mój Boże... mój Boże... mój Boże.” Tym krzykiem wyrażał swoją słabość i grzech, wobec którego był bezsilny, choć miał pewność, że zostanie potępiony. Gdy wróciła do łóżka, leżał pod kołdrą dziwnie zmieniony, z paznokciami wbitymi w pierś i wzrokiem podniesionym w górę, jakby wzywał pomocy nieba. Zaczęła znowu płakać i ucałowali się. Nie wiedząc dlaczego, szczękali zębami i poddawali się tej samej niedorzecznej obsesji. Kiedyś już przeżyli podobną noc. Ale tym razem było to zupełnie idiotyczne, jak stwierdziła Nana, gdy już przestała się

bać. Podejrzewając intrygę, spytała hrabiego przezornie, czy może Róża Mignon wysłała ów list. Lecz okazało się, że nie; wchodził tu w grę jedynie strach, bo hrabia jeszcze nie wiedział, że jest rogaczem.

W dwa dni później, zniknąwszy znowu na jakiś czas, Muffat zjawił się rano, choć o tej porze nigdy nie przychodził. Był zsiniały, wstrząśnięty jakąś walką wewnętrzną, z zaczerwienionymi oczami. Ale Zoè, sama przerażona, nie zauważyła jego zmieszania. Wybiegła mu na spotkanie i krzyknęła:

— Och, proszę pana, niechże pan przyjdzie! Wczoraj wieczorem pani o mało co byłaby umarła. — A ponieważ pytał o szczegóły, powiedziała: — Nie do wiary... Poronienie, proszę pana!

Od trzech miesięcy Nana była w ciąży. Przez dłuższy czas sądziła, że to po prostu niedyspozycja. Sam doktor Boutarel miał wątpliwości. Potem, gdy wydał orzeczenie, było to dla niej tak kłopotliwe, że robiła wszystko, co możliwe, by ukryć ciążę. Jej nerwowe lęki i złe humory wynikały częściowo z tej historii, którą trzymała w tajemnicy, zawstydzona jak nieślubna matka zmuszona do ukrywania swego stanu. Wydawało się jej to czymś ośmieszającym, co ją poniżało i wystawiało na drwiny. Co za pech! Nie miała szczęścia i wpadła doprawdy niespodziewanie. Była zaskoczona i wytrącona z równowagi. Więc przydarzają się dzieci nawet wtedy, gdy się ich nie chce i gdy używa się tego do innych celów? Przerażały ją prawa przyrody: macierzyństwo rodzące się z rozkoszy, życie kiełkujące pośród śmierci. Czy człowiek nie powinien swobodnie rozporządzać sobą bez tych wszystkich historii? Skąd się wziął ten malec? Nie mogła tego powiedzieć. Ach, Boże! Ten, który go spłodził, źle zrobił, bo przecież nikt tego dziecka nie pragnął, było istotą nader krępującą i na pewno nie miałoby szczęścia w życiu.

Tymczasem Zoè opowiadała o katastrofie.

— Około godziny czwartej pani dostała kolek. Ponieważ długo nie wracała z łazienki, poszłam tam i znalazłam ją zemdloną na podłodze. Tak, proszę pana, leżała na podłodze w kałuży krwi, jakby ją kto zamordował... Wtedy dopiero zrozumiałam, o co chodzi. Byłam wściekła, bo przecież pani mogła była zwierzyć mi się ze swego nieszczęścia... Był właśnie pan Jerzy, więc pomógł mi ją podnieść i skoro tylko usłyszał, że to poronienie, jemu z kolei zrobiło się niedobrze... Naprawdę, od wczoraj mam ciężkie zmartwienie!

Istotnie, pałac był poruszony. Cała służba uganiała po schodach i pokojach. Jerzy spędził noc w salonie, siedząc w fotelu. To on oznajmił nowinę przyjaciołom pani wieczorem, gdy zwykle przyjmowała gości. Był blady. Opowiadał tę historię osłupiały i wzruszony. Zjawili się Steiner, la Faloise, Filip i jeszcze inni. Wykrzykiwali, że to niemożliwe, że to chyba jakiś figiel! Potem poważnieli i patrzeli na drzwi sypialni, zatroskani, potrząsając głowami i uważając, że to wcale nie jest zabawne. Aż do północy około dwunastu panów rozmawiało po cichu przy kominku; wszyscy byli jej przyjaciółmi jednakowo zaprzątniętymi myślą o ojcostwie. Zdawało się, że jeden przed drugim się usprawiedliwia, jakby zmieszany swoją niezręcznością. Potem pochylając się stwierdzali, że to wszystko ich nie dotyczy, bo to przecież jej sprawa. Ale swoją drogą, Nana jest zadziwiająca. Nikt by nie przypuszczał, że zrobi taki kawał! I wychodzili jeden po drugim na palcach, zachowując się jak w pokoju umarłego, gdzie nie wolno się śmiać.

— Niech pan jednak wejdzie — rzekła Zoè do Muffata. — Pani czuje się znacznie lepiej i pana przyjmie... Czekamy na doktora, obiecał przyjść znowu dziś rano. Pokojówka nakłoniła Jerzego, by poszedł do domu przespać się. Na górze w salonie została tylko Satin wyciągnięta na kanapie. Paliła papierosa patrząc w przestrzeń. Od czasu tego wypadku, w atmosferze przerażenia, jakie zapanowało w pałacu, ona jedna zachowała kamienny spokój i wzruszając ramionami ciskała okrutne słowa. Gdy Zoè przechodziła obok niej i opowiadała hrabiemu, jak bardzo biedna pani się nacierpiała, Satin rzuciła krótko:

— Dobrze jej tak, przynajmniej będzie miała nauczkę! Odwrócili się zaskoczeni. Satin nawet nie drgnęła, leżąc z oczami utkwionymi w sufit i zaciskając nerwowo papierosa w wargach.

— Z pani to ładny gagatek! — rzekła Zoè.

Satin podniosła się na kanapie i spojrzała na hrabiego z wściekłością, rzucając mu znowu w twarz słowa:

— Dobrze jej tak, będzie miała nauczkę! I znowu się położyła wypuszczając cienką smugę dymu, jakby zupełnie obojętna i zdecydowana nie mieszać się do niczego. Wszystko to było dla niej za głupie! Tymczasem Zoè wprowadziła właśnie hrabiego do sypialni. Rozchodził się tam zapach eteru wśród niemej ciszy, którą mąciło jedynie dudnienie powozów rzadko przejeżdżających aleją Villiers. Nana leżała na poduszce bardzo blada i nie spała. Jej szeroko rozwarte oczy były zamyślone. Zobaczywszy hrabiego uśmiechnęła się.

— Ach, kotku — szepnęła powoli — myślałam, że cię już nigdy nie ujrzę. — Gdy się pochylił, by ucałować jej włosy, wzruszyła się i zaczęła mówić mu o dziecku w taki sposób, jakby on był jego ojcem. — Nie śmiałam ci mówić... Czułam się tak szczęśliwa! Och! Snułam marzenia i pragnęłam, żeby był godny ciebie. No i już nic nie ma... Ostatecznie, może to i lepiej.

Nie chciałabym komplikować ci życia.

Hrabia coś bełkotał, zdumiony tym ojcostwem. Wziął krzesło i usiadł przy łóżku, kładąc ramię na kołdrze. Młoda kobieta zauważyła jego wzburzoną twarz, nabiegłe krwią oczy i gorączkę, od której drżały mu wargi.

— Co ci jest? — spytała. — Czy i ty jesteś chory?

— Nie — wyrzekł z trudem.

Spojrzała na niego wnikliwie. Potem gestem odprawiła Zoè, która grzebała się z ustawianiem buteleczek. A gdy zostali sami, przyciągnęła go powtarzając:

— Co ci jest, kochanie?... Widzę, że masz oczy pełne łez... No mów, przecież chyba po to przyszedłeś, żeby mi coś powiedzieć.

— Nie, nie, przysięgam ci — wyjąkał.

Lecz zgnębiony cierpieniem i przejęty ponadto tym pokojem chorej, do którego wpadł o niczym nie wiedząc, zaczął szlochać i ukrył twarz w pościeli, by stłumić wybuch bólu. Nana zrozumiała. Na pewno Róża Mignon zdecydowała się wysłać do niego list. Pozwoliła mu przez chwilę płakać. Wstrząsały nim tak silne drgawki, że ruszał całym jej łóżkiem. W końcu Nana z wyrazem macierzyńskiego współczucia powiedziała:

— Miałeś w domu przykrości?

Przytaknął głową. Znowu zapadło milczenie, ciężkie milczenie, nabrzmiałe bólem, jakim przepojony był pokój. Poprzedniego dnia, gdy wrócił z wieczornego przyjęcia u cesarzowej, otrzymał list pisany przez Sabinę do jej kochanka. Po strasznej nocy strawionej na marzeniu o zemście, wyszedł rano z domu, by oprzeć się chęci zabicia żony. W nastroju pięknego czerwcowego poranka poniechał tych myśli i poszedł do Nany, gdyż chodził tam we wszystkich przykrych chwilach swego życia. U niej jedynie zapominał o strapieniu, przeżywając radość pocieszenia.

— Uspokój się — prosiła młoda kobieta wysilając się na dobroć. — Wiem o tym już od dawna. Lecz ja, oczywiście, nie otwierałabym ci oczu. Chyba sobie przypominasz, że już w ubiegłym roku miałeś wątpliwości. Potem dzięki mojej przezorności wszystko się ułożyło. Zresztą brakowało ci dowodów... Do licha! Gdy dziś masz dowód, oczywiście jest ci ciężko, dobrze to rozumiem. Ale przecież trzeba sprawę brać rozsądnie. Toć to nikogo nie hańbi.

Już nie płakał. Ogarnął go wstyd, choć już dawno stoczył się do najbardziej intymnych zwierzeń na temat swego małżeństwa. Ale ona zapewniała, że musi wszystko z nim dzielić i jako kobieta może wszystkiego wysłuchać. A gdy powiedział głucho:

— Jesteś chora. Po co cię męczyć!... Głupio zrobiłem, że przyszedłem. Już idę.

Odparła żywo:

— Ależ nie, zostań. Może ci dam dobrą radę. Nie każ mi tylko za wiele mówić, bo lekarz mi zabronił. — W końcu wstał i zaczął chodzić po pokoju, a ona zadawała pytania: — Co teraz zrobisz?

— Dalibóg! Spoliczkuję tego człowieka. Skrzywiła się z dezaprobatą.

— To nie jest zbyt mądre... A co zrobisz z żoną?

— Będę się procesował, mam dowód.

— Mój drogi, to też nie jest bynajmniej mądre, raczej głupie... Żebyś wiedział, że nigdy na to nie pozwolę.

I z wolna słabym jeszcze głosem dowodziła, że zarówno pojedynek, jak proces wywołałyby niepotrzebny skandal. Przez tydzień byłby wystawiony na pośmiewisko w dziennikach. Naraziłby na szwank całą swoją egzystencję, swój spokój, wysokie stanowisko na dworze, honor swego nazwiska. I po co? Po to, żeby narazić się na kpiny.

— Wszystko jedno! — krzyknął. — Przynajmniej się zemszczę.

— Mój kotku, w takich wypadkach, jeśli ktoś nie mści się natychmiast, nie robi tego nigdy.

Zastanowił się bełkocąc. Wprawdzie nie był tchórzem, czuł jednak, że ona miała rację. Ogarniał go coraz większy niepokój, a jednocześnie przykre uczucie wstydu łagodziło jego gniew. Zresztą Nana zadała mu nowy cios, zdecydowana powiedzieć mu wszystko otwarcie.

— Czy chcesz wiedzieć, kochanie, co ciebie gnębi?... Chyba to, że ty sam zdradzasz swoją żonę. Co? Przecież nie sypiasz poza domem po to, żeby czas marnować. Na pewno twoja żona domyśla się tego. Więc cóż możesz mieć jej do zarzucenia? Odpowie ci, że sam dałeś jej przykład, i w ten sposób zamknie ci usta... Dlatego też, kochanie, drepcesz tu w kółko zamiast pójść tam i zmasakrować ich oboje. — Muffat upadł na krzesło przytłoczony tymi brutalnymi słowami. Nana umilkła, by złapać oddech, a potem powiedziała półgłosem: — Och, cała jestem połamana. Pomóż mi podnieść się trochę. Ciągle się zsuwam, za nisko mam głowę.

Gdy pomógł jej, westchnęła z ulgą: poczuła się lepiej. I znowu zaczęła mówić o tym, jak pięknym widowiskiem byłby proces o separację. Można sobie wyobrazić, jak adwokat hrabiny będzie zabawiał Paryż opowiadaniem o Nanie!... Przewinie się tam wszystko: klapa w teatrze „Varietes", pałac, całe jej życie. Ale przecież jej naprawdę nie zależy do tego stopnia na reklamie! Podłe kobiety może by zachęcały do rozwodu, żeby jak najwięcej zagarnąć dla siebie. Lecz ona przede wszystkim pragnie jego szczęścia.

Przyciągnęła go do siebie. Trzymała teraz jego głowę tuż przy swojej na skraju poduszki, objąwszy go ramieniem za szyję, i szepnęła cichutko:

— Słuchaj, kotku, pogodzisz się z żoną. — Hrabia oburzył się. Nigdy! Serce mu pękało, dość się już najadł wstydu. Ale ona czule nalegała: — Pogodzisz się ze swoją żoną... Chyba nie chcesz, mój drogi, by wszyscy mówili, że odciągnęłam cię od żony? To by mi zbytnio zepsuło reputację, cóż by o mnie pomyślano?... Przysięgnij mi tylko, że będziesz mnie zawsze kochał, bo z chwilą gdy zainteresujesz się inną... Dławiły ją łzy. Przerwał jej pocałunkami, powtarzając:

— Oszalałaś, to niemożliwe!

— Tak, tak — podjęła — tak trzeba zrobić... Tak będzie właściwie. Ostatecznie ona jest twoją żoną. To jest zupełnie inna sprawa, niż gdybyś mnie zdradzał z pierwszą lepszą.

I w ten sposób ciągnęła dalej, dając mu najlepsze rady. Mówiła nawet o Bogu. Zdawało mu się, że słyszy, jak stary pan Venot prawi mu kazanie, chcąc go wyrwać z grzesznego życia. Ale ona nie mówiła o zerwaniu, tylko życzliwie doradzała, że powinien dzielić się pomiędzy żonę i kochankę, prowadzić spokojne życie, nie sprawiając nikomu przykrości: byłoby to czymś w rodzaju szczęśliwego snu wśród nieuniknionych brudów życia. Ich wzajemny stosunek nie uległby przez to zmianie, hrabia pozostałby jej najmilszym kotkiem, tylko przychodziłby mniej często, spędzając z hrabiną wolne noce. Ponieważ była już u kresu sił, na zakończenie westchnęła:

— Przynajmniej będę pewna, że zrobiłam coś dobrego... A ty będziesz mnie hardziej kochał. — Zapanowało milczenie. Nana zamknęła oczy i jeszcze bardziej pobladła. Muffat słuchał jej pod pozorem, że nie chce jej męczyć. Po długiej chwili otwarła znowu oczy i szepnęła: — A zresztą, chodzi też o pieniądze. Skąd je weźmiesz, jeżeli się pogniewasz?... Labordette przyszedł wczoraj w sprawie weksla... Mnie brak wszystkiego, nie mam już co na siebie włożyć.

Potem zamknęła oczy i leżała jak martwa. Przez twarz Munata przemknął cień niepokoju. Wobec ciosu, który go dotknął, zapominał o kłopotach pieniężnych, z których nie widział wyjścia. Pomimo formalnych obietnic weksel na sto tysięcy franków, odnowiony po raz pierwszy, został puszczony w obieg; Labordette, udając zrozpaczonego, zwalał wszystko na Francisa i mówił, że już nigdy więcej nie będzie się kompromitował załatwianiem jakiejś sprawy z człowiekiem źle wychowanym. Ale trzeba było zapłacić, gdyż hrabia nigdy nie pozwoliłby oddać weksla ze swoim podpisem do protestu. Poza tym oprócz nowych wymagań Nany miał mnóstwo nadzwyczajnych wydatków: po powrocie z Fondettes hrabina nabrała nagle upodobania do zbytku, do światowych rozrywek, które zżerały ich majątek. Zaczynano mówić o jej rujnujących kaprysach, o wielkiej ilości służby i pięciuset tysiącach franków wyrzuconych na przebudowę pałacu przy ulicy Miromesnil, nie mówiąc już ojej ekstrawanckich toaletach i znacznych sumach, które gdzieś topniały, ulatniały się albo które, być może, rozdawała, nie troszcząc się o rozrachunek. Dwa razy Muffat pozwolił sobie na uwagę, bo chciał się dowiedzieć prawdy; ale ona, uśmiechnięta, spojrzała na niego w sposób tak szczególny, że już nie śmiał więcej pytać w obawie, że otrzyma zbyt wyraźną odpowiedź. Przyjmując Dagueneta jako zięcia z poręki Nany, myślał przede wszystkim o tym, że będzie mógł zmniejszyć posag Stelli do dwustu tysięcy franków, a co do reszty zrobić swobodnie układ z młodym człowiekiem, który będzie i tak uszczęśliwiony tym niespodziewanym małżeństwem.

Tymczasem, od tygodnia zmuszony do znalezienia natychmiast stu tysięcy franków na zapłacenie weksla Labordette'a, Muffat wymyślił sposób, przed którym dotąd się wzdrygał. Postanowił mianowicie sprzedać les Bordes wspaniałą posiadłość ocenianą na pół miliona, którą niedawno wuj zostawił hrabinie w spadku. Potrzebny był jednak jej podpis. Natomiast ona sama nie mogła sprzedać posiadłości bez zgody hrabiego. Wreszcie wczoraj postanowił porozmawiać z żoną na ten temat. Gdyby nie to, że groziła mu katastrofa, nigdy w tej chwili nie byłby się zgodził na podobny kompromis. W tej sytuacji zdrada żony wydała mu się jeszcze straszniejsza. Dobrze rozumiał, czego Nana żądała, ponieważ czując się coraz bardziej opuszczonym dzielił się z nią wszystkimi zmartwieniami i skarżył się na swoją sytuację. Powiedział jej też o kłopocie w związku z podpisem hrabiny.

Nana jednak zdawała się nie nalegać. Już nie otwierała oczu. Przeraził się widząc, że jest tak blada, więc dał jej do powąchania trochę eteru. Westchnęła i zaczęła go wypytywać, nie wymieniając Dagueneta.

— A kiedy ślub?

— Kontrakt zostanie podpisany za pięć dni — odpowiedział. A ona, leżąc z zamkniętymi powiekami, jakby po ciemku zwierzała się ze swych myśli, rzekła:

— Ostatecznie, kotku, sam zastanów się, co masz zrobić... Ja chciałabym, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Uspokoił ją chwytając jej rękę. No tak, zobaczy jeszcze, najważniejsze żeby odpoczęła. Już się nie buntował. W tym ciepłym, zacisznym pokoju chorej, przepojonym zapachem eteru, znalazł nareszcie ukojenie i błogi spokój. Jego męska duma, urażona zniewagą, stopniała w cieple tego łóżka, u boku tej cierpiącej kobiety, którą pielęgnował, wspominając w gorączkowym podnieceniu przeżyte z nią rozkosze. Pochylał się nad nią i ściskał czule. Jej skamieniałą twarz rozjaśniał subtelny, zwycięski uśmiech. Właśnie zjawił się doktor Boutarel.

— Ładne rzeczy, to tak się dba o nasze kochane dziecko? — rzekł poufale do Muffata, którego traktował jak jej męża. — Do licha! Przecież nie powinna rozmawiać.

Doktor był pięknym, jeszcze młodym mężczyzną. Miał wspaniałą klientelę w eleganckim świecie. Był bardzo wesoły i śmiał się po koleżeńsku z tymi damami, ale nigdy z nimi nie sypiał. Kazał sobie natomiast drogo płacić i zawsze z największą punktualnością. Trzeba zresztą przyznać, że fatygował się na każde zawołanie. Nana posyłała po niego dwa do trzech razy tygodniowo, trzęsąc się ciągle ze strachu na myśl o śmierci i opowiadając mu z niepokojem o swych niegroźnych bólach, które leczył zabawiając ją plotkami i niebywałymi historiami. Wszystkie kokoty go uwielbiały. Lecz tym razem choroba była poważna.

Muffat opuszczał ją bardzo wzruszony. Widząc, że jego biedna Nana jest tak słaba, rozczulił się. Zanim wyszedł, dała mu znak, żeby się zbliżył, nadstawiła mu czoło do pocałunku i powiedziała po cichu z żartobliwą groźbą:

― Chyba wiesz, co masz zrobić... Wracaj do żony albo pogniewam się i wszystko między nami skończone!

Hrabina Muffat chciała, żeby kontrakt ślubny jej córki został zawarty we wtorek; pragnęła bowiem urządzić uroczyste otwarcie odrestaurowanego pałacu, którego świeżo pomalowane ściany ledwie wyschły. Rozesłano pięćset zaproszeń do ludzi z różnych środowisk. Jeszcze od rana tapicerzy naklejali tapety. Około godziny dziewiątej, w chwili gdy zapalano żyrandole, architekt wydawał ostatnie polecenia w towarzystwie hrabiny, którą to wszystko pasjonowało.

Było to wyjątkowo czarujące przyjęcie wiosenne. W ciepły wieczór czerwcowy można było otworzyć drzwi wielkiego salonu i przedłużyć salę balową aż do ogrodu. Pierwsi goście, powitani przy wejściu przez gospodarzy, byli olśnieni. Nie do poznania zmienił się dawny salon, w którym żyło mrożące wspomnienie starej hrabiny, ów staroświecki pokój pełen nabożnej surowości, z masywnym, empirowym umeblowaniem mahoniowym, obiciami z żółtego weluru i zielonawym plafonem nasyconym wilgocią. Teraz już u wejścia do westybulu, w świetle wysokich kandelabrów mieniły się mozaiki upiększone złotem, a wzdłuż marmurowych schodów biegła delikatnie rzeźbiona poręcz. Dalej jaśniał salon obity genueńskim aksamitem, z plafonem ozdobionym wielkim malowidłem Bouchera, które architekt kupił za sto tysięcy franków na wyprzedaży w zamku Dampierre. Świeczniki i kryształowe kinkiety potęgowały blask luksusowych luster i cennych mebli. Można by powiedzieć, że zwielokrotnił się i powiększył fotel Sabiny, ten jedyny fotel pokryty czerwonym jedwabiem, który dawniej raził swoją miękkością; teraz cały pałac był przesiąknięty nastrojem rozkosznego lenistwa i późno rozbudzonych zmysłów.

Już tańczono. Orkiestra, umieszczona w ogrodzie przed jednym z otwartych okien, grała walca, którego melodyjny rytm dochodził do salonu złagodniały, rozproszony w plenerze. W przejrzystym cieniu rozszerzał się ogród oświetlony lampionami; na brzegu trawnika umieszczono purpurowy namiot, w którym zainstalowano bufet. Rozbrzmiewał właśnie ten szatański walc z *Jasnowłosej Wenus*, który miał w sobie coś z łobuzerskiego śmiechu. Przenikał do starego pałacu dźwięczną falą, rozgrzewając jego mury. Jakby wdarł się z ulicy zmysłowy powiew i wymiatał wiekowe tradycje zastygłe w tym wyniosłym domostwie, niwecząc przeszłość Muffatów: drzemiące pod plafonami stulecie, w którym zdobyli niemało zaszczytów strzegąc wiary przodków.

Tymczasem przy kominku skupili się na swym dawnym miejscu starzy przyjaciele matki hrabiego. Byli oszołomieni i olśnieni. Tworzyli matą grupkę wśród rosnącego tłumu. Pani Du Joncquoy, nie poznając wcale pokojów, przeszła przez jadalnię. Pani Chantereau patrzała w osłupieniu na ogród, który wydawał się jej olbrzymi. Niebawem zaczęto w tym kącie robić po cichu przeróżne gorzkie uwagi. ― No, niech pani powie ― szeptała pani Chantereau ― gdyby tak hrabina wróciła... Co? Proszę sobie wyobrazić, że wchodzi między tych ludzi. W cały ten błyskotliwy harmider... To jest doprawdy skandaliczne!

― Sabina oszalała ― rzekła pani Du Joncquoy. ― Czy widziała ją pani przy drzwiach? O, proszę, widać ją stąd... Ma na sobie wszystkie swoje diamenty.

Wstały na chwilę, by z daleka obserwować hrabiostwo. Sabina, w białej toalecie przybranej cudownym haftem angielskim, olśniewała urodą, młoda, wesoła i ciągle uśmiechnięta w lekkim podnieceniu. Przy niej Muffat, postarzały i blady nieco, także się uśmiechał, wyglądając spokojnie i godnie.

— I pomyśleć, że on tu był panem — podjęła pani Chantereau — że bez jego pozwolenia nawet ławeczki nie można było tu wstawić!... No, a teraz ona wszystko zmieniła i on jest obecnie jakby w jej domu... Czy pamięta pani, jak to nie chciała przerabiać swego salonu? A tymczasem przerobiła cały pałac.

Umilkły, gdyż wchodziła pani de Chezelles, a za nią grupa młodych ludzi. Wyrażała zachwyt nad odnowionym wnętrzem, wykrzykując:

— Och! Cudne!... wykwintne!... ile w tym gustu! — I rzuciła z daleka: — A nie mówiłam! Nie ma to jak te stare rudery, gdy się je urządzi... Nabierają elegancji, prawda? Zupełnie w stylu Ludwika XIV... Nareszcie hrabina może urządzać przyjęcia.

Dwie stare damy usiadły, znowu zniżając głosy i rozmawiając o tym ślubie, który zdumiewał wiele osób. Właśnie przeszła koło nich Stella w różowej jedwabnej sukni, jak zawsze chuda i płaska, ze swą niemą twarzą Madonny. Spokojnie zgodziła się na małżeństwo z Daguenetem, nie okazując ani radości, ani smutku. Była tak samo oziębła i blada jak w zimowe wieczory, gdy dokładała polan do ognia. Nie wzruszała się całym tym przyjęciem wydanym dla niej ani światłem, kwiatami i muzyką.

— Jakiś awanturnik — mówiła pani Du Joncquoy. — Nigdy go nie widziałam.

— Niech pani uważa — szepnęła pani Chantereau — on tu jest. Daguenet spostrzegłszy panią Hugon z synami spiesznie podał jej ramię; śmiał się i okazywał jej wylewną czułość, jakby i ona przyczyniała się częściowo do jego szczęścia.

— Dziękuję panu — rzekła siadając przy kominku. — Widzi pan, to jest mój dawny kąt.

— Czy pani go zna? — spytała pani Du Joncquoy, skoro Daguenet się oddalił.

— Oczywiście, to czarujący młody człowiek. Jerzy bardzo go lubi... Och! Pochodzi z nader zacnej rodziny.

Szlachetna dama broniła Dagueneta, gdyż wyczuwała wokół niego wrogą atmosferę. Jego ojciec był prefektem, do końca swego życia bardzo cenionym przez Ludwika Filipa. On może trochę zanadto hulał, mówiono o nim, że jest bankrutem; ale jeden z jego wujów, właściciel dużej posiadłości, miał mu zapisać majątek. Damy potrząsały głowami, lecz pani Hugon, zażenowana, ciągle mówiła o zacności tej rodziny. Była bardzo zmęczona i skarżyła się na bóle w nogach. Od miesiąca mieszkała w swym domu przy ulicy Richelieu, bo — jak mówiła — miała do załatwienia w Paryżu mnóstwo spraw. Cień smutku zasnuwał jej macierzyński uśmiech.

— Wszystko jedno — stwierdziła pani Chantereau-Stella miałaby prawo do czegoś znacznie lepszego.

Zabrzmiała fanfara. Rozpoczynał się kadryl, więc wszyscy skupiali się pod ścianami, by zostawić w środku wolne miejsce. Wśród jasnych sukien czerniły się fraki. W jaskrawym świetle lśniły klejnoty, falowały białe pióra, rozkwitały bzy i róże. Było już ciepło. Przenikliwy zapach unosił się z lekkich tiulów, z jedwabnych szatek otulających nagie, białe ramiona. Rozlegały się już tony orkiestry. Przez otwarte drzwi widać było w głębi sąsiednich pokojów szeregi siedzących kobiet. Twarze ich rozjaśniał dyskretny uśmiech, błysk oczu, wyraz ust muskanych powiewem wachlarzy. Ciągle przybywali goście. Lokaj anonsował, a tymczasem panowie starali się znaleźć miejsca dla dam, które wprowadzali, zaambarasowane, pod ramię; z lekka wspinali się na palce, rozglądając się za wolnym fotelem. Pałac zapełniał się. Stłoczone spódnice chrzęściły, tu i ówdzie zagradzała przejście fala koronek, kokard, pufów i sprawiała kłopot paniom, które zachowywały się z wdziękiem i obojętnością osób obytych z tak olśniewającymi przyjęciami. Tymczasem w głębi ogrodu w różowym świetle lampionów tu-

liły się pary, które uciekły z dusznego salonu; brzegiem trawnika przemykały cienie sukien, jakby w rytm kadryla, który pod drzewami, przytłumiony oddaleniem, nabierał łagodnych tonów.

Steiner właśnie przed chwilą spotkał tam Foucarmonta i la Faloise'a, którzy pili przy bufecie szampana.

— Bajeczne — mówił la Faloise, przypatrując się z zainteresowaniem purpurowemu namiotowi, podpartemu złoconymi drzewcami. — Jak na świątecznym kiermaszu... Co? Istny kiermasz!

Ciągle się zgrywał i udawał zblazowanego, pozując na młodego człowieka, który wszystkiego doświadczył ponad miarę i nie potrafi już niczego brać na serio.

— A Vandeuvres dopiero byłby zaskoczony, gdyby tu dziś przyszedł — szepnął Foucarmont. — Przypomina pan sobie, jak śmiertelnie się nudził tam przy kominku. Do licha! Tak marnie skończył.

— Daj pan spokój, Vandeuvres był wykolejeńcem! — powiedział pogardliwie la Faloise. — Grubo się omylił, jeśli sądził, że nam zaimponuje, skoro się upiecze! Teraz już nikt o tym nie mówi. Vandeuvres jest przegrany, skończony, pogrzebany! Teraz kolej na innego! — A gdy Steiner ściskał mu rękę, dodał: — Wie pan co, przed chwilą przyszła Nana... Och! Powiadam wam, jak ona weszła! Coś kapitalnego!... Najpierw ucałowała hrabinę, a potem, gdy podeszli młodzi, pobłogosławiła ich mówiąc do Dagueneta:

„Słuchaj, Pawle, jeśli ją zdradzisz, ze mną będziesz miał sprawę..." Jak to! Pan tego nie widział? Och, to bajeczne, znakomite!

Panowie słuchali go z szeroko otwartymi ustami, ale w końcu zaczęli się śmiać. A on, oczarowany, uważał, że jest bardzo dowcipny.

— Co? Chyba wierzycie, że to się zdarzyło... Do licha! Przecież Nana skojarzyła to małżeństwo. Zresztą ona już należy do rodziny.

Właśnie przechodzili Hugonowie i Filip zmusił la Faloise'a do milczenia. W męskim kółku zaczęto rozmawiać o tym małżeństwie. Jerzy także był zły na la Faloise'a, że opowiada taką historię. Wprawdzie Nana wpakowała Muffatowi na zięcia jednego ze swych dawnych kochanków, lecz nie było prawdą, że spała z Daguenetem jeszcze poprzedniego dnia. Foucarmont pozwolił sobie wzruszyć ramionami: czy kto w ogóle wie, kiedy Nana z kimś śpi? Na co Jerzy odpowiedział unosząc się: „Ja, proszę pana, wiem", co wszystkich ubawiło. Bo rzeczywiście — jak mówił Steiner — cała ta historia była nad wyraz śmieszna.

Z wolna towarzystwo nacierało na bufet. Ustąpili więc miejsca innym, trzymając się jednak w grupie. La Faloise patrzał na kobiety bezczelnie, jakby się znalazł na balu u Mabille'a. W głębi alei spotkała ich niespodzianka, gdyż natknęli się na pana Venot prawiącego wielkie kazanie Daguenetowi; bawili się tanimi dowcipami mówiąc, że Venot spowiada pana młodego i daje mu rady na noc poślubną. Potem wrócili przed drzwi salonu, gdzie pary tańczyły polkę, kołysząc się i tworząc jakby ścieżkę w masie stojących mężczyzn. Przy podmuchach wiatru świece paliły się wysokim płomieniem. Fruwające z szelestem suknie wywoływały powiew i łagodziły żar, który promieniował z żyrandoli.

— Do diaska! Zimno im tam nie jest na pewno — szepnął la Faloise. Mrużyli oczy wracając z tajemniczych ciemności ogrodu. Zwrócili uwagę na markiza de Chouard. Samotnie górował swą wysoką figurą nad obnażonymi ramionami, które go otaczały. Twarz miał bladą, bardzo surową i wyglądał na człowieka wyniosłego, pełnego godności w swej koronie rzadkich, siwych włosów. Zgorszony prowadzeniem się hrabiego Muffat, niedawno zerwał z nim publicznie i zamierzał nie przestąpić już więcej progów tego pałacu. Przystał na to wyjątkowo tego wieczoru na skutek nalegań wnuczki, lecz krytykował jej małżeństwo, mówiąc z oburzeniem o rozprzężeniu klas panujących, skłonnych do haniebnych kompromisów i pogrążonych w nowoczesnej rozpuście.

— Ach! Świat się kończy — mówiła przy kominku pani Du Joncquoy do ucha pani Chantereau. — Ta dziewka zaczarowała nieszczęsnego hrabiego... Był przecież dawniej taki wierzący i szlachetny!

— Mówią, że hrabia się rujnuje — ciągnęła pani Chantereau. — Mój mąż miał w ręku pewien weksel... On mieszka teraz w tym pałacyku przy alei Villiers. Cały Paryż o tym mówi... Mój Boże, nie usprawiedliwiam Sabiny; trzeba jednak przyznać, że on jej daje wiele powodów do narzekania i nie można się dziwić, że ona równie lekkomyślnie wyrzuca pieniądze...

— Ona wyrzuca nie tylko pieniądze — przerwała druga dama. — Tak we dwoje szybciej dojdą do ruiny... Utoną w błocie, moja droga.

Przerwał im rozmowę łagodny głos pana Venot. Przyszedł usiąść za nimi, jakby pragnął się schować. Pochylając się szeptał:

— Po co rozpaczać? Bóg się objawia, gdy już wszystko wydaje się stracone.

Venot spokojnie patrzał na upadek tego domu, którym kiedyś rządził.

Od czasu swego pobytu w Fondettes pozwalał szaleństwu wzrastać, zdając sobie jasno sprawę, że nie może mu przeciwdziałać. Pogodził się z szaloną pasją hrabiego do Nany, z obecnością Fauchery'ego u boku hrabiny, nawet z małżeństwem Stelli z Daguenetem. Czyż te rzeczy miały jakiekolwiek znaczenie? Venot przystosowywał się do sytuacji, tajemniczo snując myśl, że potem zajmie się młodym małżeństwem, gdy będą rozwiedzeni; wiedział bowiem, że wielkie rozterki prowadzą ludzi do wielkiej pobożności, a godzina Opatrzności na pewno wybije.

— Nasz przyjaciel — ciągnął dalej po cichu — jest zawsze przepojony najlepszymi uczuciami religijnymi... Dał mi tego wzruszające dowody.

— A zatem — rzekła pani Du Joncquoy — powinien przede wszystkim wrócić do swej żony.

— Niewątpliwie... Właśnie mam nadzieję, że to pogodzenie wkrótce nastąpi.

Obie starsze panie zaczęły go wypytywać. Lecz on mówił pokornie, że trzeba się zdać na wolę niebios. Bardzo pragnął uniknąć publicznego skandalu i doprowadzić do pogodzenia hrabiego z hrabiną. Religia toleruje wiele słabości, byleby tylko odpowiednie formy były zachowane.

— Ostatecznie — powiedziała pani Du Joncquoy — pan powinien był przeszkodzić małżeństwu z tym awanturnikiem...

Staruszek zrobił minę bardzo zdumioną.

— Pani się myli, pan Daguenet jest młodym człowiekiem w pełni godnym zaufania... Znam jego poglądy. On chce przekreślić błędy młodości. Może pani być pewna, że Stella nim pokieruje.

— Och, Stella! — szepnęła z pogardą pani Chantereau. — Moim zdaniem ta mała jest zupełnie bezwolna, i takie zero!

Na to pan Venot uśmiechnął się, lecz nie wyraził swego zdania o młodej mężatce. Zamknął oczy, jakby to przestało go interesować, i zaszył się znowu w kącie za spódnicami. Lecz pani Hugon, pomimo swego znużenia i roztargnienia, chwyciła jednak parę stów z tej rozmowy. Zwracając się do markiza de Chouard, który się jej kłaniał, próbowała zabrać głos i stwierdziła z tolerancyjną miną:

— Te damy są bardzo srogie. Życie jest takie ciężkie... Czyż nie powinniśmy, mój przyjacielu, wielu rzeczy wybaczać bliźnim, skoro chcemy być godni odpuszczenia grzechów?

Markiz był przez kilka sekund zażenowany, obawiając się jakiejś aluzji.

Lecz poczciwa dama uśmiechała się tak smutno, że natychmiast odzyskał równowagę i powiedział:

— Nie, za pewne grzechy nie ma odpuszczenia. Właśnie przez takie pobłażanie społeczeństwo stacza się w przepaść.

Bal był ciągle jeszcze w pełni ożywienia. Podłoga salonu kołysała się lekko podczas kolejnego kadryla, jakby stare domostwo uginało się pod naporem zabawy. Chwilami z tłumu

głów wyłaniała się twarz kobiety podniecona tańcem, z oczami błyszczącymi, otwartymi ustami i odblaskiem świecznika na białej skórze. Pani Du Joncquoy oświadczyła, że wszystko to nie ma sensu. Przecież szaleństwem jest stłoczyć pięćset osób w mieszkaniu mogącym pomieścić zaledwie dwieście. Czy nie byłoby lepiej wynająć na ten cel plac du Carrousel?

— Wszystko to jest skutkiem nowych obyczajów — mówiła pani Chantereau. — Kiedyś podobne uroczystości odbywały się w gronie rodzinnym; dziś natomiast trzeba robić taki zamęt, przychodzi byle kto i powstaje tłok, bez którego przyjęcie wydałoby się sztywne. Ludzie popisują się zbytkiem i wprowadzają do swych domów szumowiny paryskie; czyż można się potem dziwić, że te męty powodują rozkład domowego ogniska?

Matrony skarżyły się, że rozpoznają zaledwie pięćdziesiąt osób. Skąd się to wszystko wzięło? Wydekoltowane dziewczyny pokazywały swoje ramiona. Jakaś kobieta miała złoty sztylet wetknięty w kok, a odziana była w kolczugę haftowaną dżetami. Z uśmiechem patrzały na inną, ubraną w nieprzyzwoicie obcisłe spódnice. Przybył na to przyjęcie cały pławiący się w zbytkach, rozbawiony i nader tolerancyjny Paryż, towarzystwo zebrane przez panią domu spośród przygodnych znajomości; ocierały się tu o siebie wybitne osobistości i osoby skompromitowane, rozpalone jednakową żądzą użycia. Robiło się coraz goręcej, w przepełnionych salonach rozkwitały miarowym rytmem symetryczne figury kadryla.

— Hrabina jest pierwszorzędna! — powiedział la Faloise w drzwiach prowadzących do ogrodu. — Ona jest o dziesięć lat młodsza od swojej córki... Ale, ale, Foucarmont, może nam pan wyjaśni następującą sprawę: Vandeuvres zakładał się, że ona nie ma pośladków.

Jego cyniczna poza nudziła tych panów. Foucarmont odpowiedział krótko:

— Niech pan spyta swego kuzyna, właśnie tu idzie.

— Rzeczywiście, to dobry pomysł — krzyknął la Faloise. — Zakładam się o dziesięć ludwików, że ona ma pośladki.

Fauchery istotnie nadchodził. Będąc tu zadomowiony, wszedł naokoło przez jadalnię, by uniknąć tłoku w drzwiach. Wróciwszy do Róży na początku zimy, dzielił się pomiędzy śpiewaczkę i hrabinę; był tym już bardzo znużony, nie wiedząc, w jaki sposób pozbyć się jednej z nich. Sabina schlebiała jego próżności, lecz Róża bardziej go bawiła. Zresztą Róża zapałała do niego prawdziwą miłością i była tkliwa jak wierna małżonka, co gnębiło Mignona.

— Słuchaj, chcę cię poprosić o pewną informację — powtarzał la Faloise ściskając ramię swego kuzyna. — Widzisz tę damę w białej sukni?

Od czasu gdy odziedziczony spadek dał mu bezczelną pewność siebie, udawał, że kpi z Fauchery'ego, odgrywając się za dawną urazę i chcąc się zemścić za szyderstwa, które go spotykały po przyjeździe z prowincji.

— Tak, chodzi o tę damę w koronkach. Dziennikarz wyciągnął szyję, nie wiedząc jeszcze, o co chodzi, i wreszcie powiedział:

— O hrabinę.

— No właśnie, kochasiu... Założyłem się o dziesięć ludwików. Czy ona ma pośladki?

I zaczął się śmiać zachwycony, że jednak utarł nosa bubkowi, który mu kiedyś tak zaimponował, gdy go spytał, czy hrabina z nikim nie sypia. Lecz Fauchery, wcale nie zdziwiony, patrzał na niego uważnie i w końcu, wzruszając ramionami, rzucił:

— Ale z ciebie idiota!

Po czym zaczął ściskać ręce panom, a la Faloise, zmieszany, nie był już pewny, czy powiedział coś zabawnego. Rozmawiano z ożywieniem. Od czasu wyścigów bankier i Foucarmont przyłączyli się do grona stałych bywalców pałacu przy alei Villiers. Nana czuła się już znacznie lepiej i hrabia co wieczór przychodził dowiadywać się o nią. Tymczasem Fauchery, który przysłuchiwał się rozmowie, wydawał się czymś zaabsorbowany. Rano podczas sprzeczki Róża wyznała mu bez ogródek, że wysłała ten list, i powiedziała, że teraz może się pokazać u swojej wielkiej damy, gdzie pięknie zostanie przyjęty. Po długich wahaniach odważył się jednak przyjść. Lecz pomimo pozornego opanowania głupi żart la Faloise'a bardzo go dotknął.

— Co panu jest? — spytał go Filip. — Robi pan wrażenie chorego.

— Nie, nic mi nie jest... Pracowałem, i dlatego przyszedłem tak późno. — Potem z iście heroiczną obojętnością, która często potrafi rozwiązać pospolite tragedie życiowe, powiedział: — Nie przywitałem się jeszcze z gospodarzami... Grzeczność tego wymaga. — Odważył się nawet dowcipkować i powiedział zwracając się do la Faloise'a: — Prawda, idioto?

Potem utorował sobie przejście w tłumie. Lokaj nie zapowiadał już śpiesznie nazwisk swym donośnym głosem. Hrabiostwo rozmawiali jednak jeszcze przy drzwiach, zatrzymywani przez wchodzące damy. Wreszcie dotarł do nich. Panowie, którzy stali na tarasie, wspinali się na palcach, by zobaczyć scenę powitania. Widocznie Nana już naplotkowała.

— Hrabia go nie zauważył — szepnął Jerzy. — Uwaga! Odwraca się... No już.

Przed chwilą orkiestra zaczęła znowu grać walca z *Jasnowłosej Wenus.* Najpierw Fauchery przywitał się z hrabiną, która ciągle się uśmiechała, zachwycona i rozpromieniona. Potem przez chwilę stał nieruchomo, czekając spokojnie za plecami hrabiego. Tego wieczoru hrabia zachowywał dostojną powagę w oficjalnej postawie wielkiego dygnitarza. Gdy wreszcie raczył dostrzec dziennikarza, był przesadnie majestatyczny. Obaj mężczyźni patrzeli na siebie przez kilka sekund. Pierwszy wyciągnął rękę Fauchery, na co Muffat podał mu z kolei swoją. Gdy stali tak z dłonią w dłoni, a hrabina uśmiechała się opuszczając rzęsy, rozbrzmiewały tony owego walca o łobuzerskim i szyderczym rytmie.

— Ależ wszystko poszło jak z płatka! — rzekł Steiner.

— Czyżby im się ręce zlepiły? — spytał Foucarmont, zaskoczony długim uściskiem.

Nieodparte wspomnienie zaróżowiło blade policzki Fauchery'ego.

Przypomniał mu się skład rekwizytów w zielonawym świetle, rupiecie pokryte kurzem i dręczony niepewnością Muffat trzymający kieliszek do jaj. Teraz Muffat już nie wątpił; waliły się resztki jego godności. Fauchery poczuł ulgę, a gdy zobaczył rozpromienioną hrabinę, zachciało mu się okropnie śmiać. Wszystko to wydawało mu się komiczne.

— Ach, tym razem to ona! — krzyknął la Faloise, który nie rezygnował z żadnego żartu, skoro wydawał mu się dobry. — O! Nana, patrzcie tam, widzicie, kto wchodzi?

— Milcz, idioto! — szepnął Filip.

— Ależ mówię wam! Grają jej walca, do diaska, to ona!... Jak to! Nie widzicie? Przyciska ich troje do serca, mego kuzyna, moją kuzynkę i jej małżonka, nazywając ich swymi kotkami. Ach, wzruszają mnie takie sceny rodzinne. Zbliżyła się do nich Stella. Fauchery prawił jej komplementy, a ona, sztywna w swej różowej sukni, patrzała na niego ze zdziwioną miną milczącego dziecka, rzucając spojrzenia to na ojca, to na matkę. Daguenet także serdecznie uścisnął rękę dziennikarzowi. Tworzyli uśmiechniętą grupę, a za nimi wśliznął się pan Venot, obejmując ich słodkim spojrzeniem świętoszka, szczęśliwy, że te ostatnie przejawy rozprzężenia przyspieszą zwrot ku drogom zgodnym z wolą Opatrzności.

Tymczasem w zawrotnym walcu ciągle brzmiały kaskady śmiechu i zmysłowego upojenia. Jak przypływ morza wzbierał w starym pałacu nastrój zabawy. Orkiestra wydobywała trele fleciков i stłumione westchnienia skrzypiec. Olśniewający blask niczym pyt słoneczny padał ze świeczników na genueńskie aksamity, złocenia i malowidła. Tłum gości zwielokrotniony w lustrach zdawał się powiększać w rosnącym gwarze. Wśród uśmiechów dam siedzących pod ścianami spacerowały dokoła salonu pary objęte wpół, a podłoga jeszcze bardziej uginała się pod nimi. W ogrodzie blask padający z lampionów oświetlał dalekim refleksem pożaru czarne cienie przechadzających się, którzy w głębi alei szukali świeżego powietrza. Chwiejące się mury pałacu i ten ognisty blask nad ogrodem wyglądały jak stos, na którym płonął starożytny honor hrabiowskiego domu. Nieśmiała wesołość, której pierwsze odgłosy Fauchery usłyszał pewnego kwietniowego wieczoru w dźwięku jakby tłukącego się kryształu, zaczęła powoli nabierać śmiałości i przechodzić w szaleństwo, by w pełni wybuchnąć podczas tej zabawy. Szczeliny w murach domu rysowały się coraz wyraźniej, zapowiadając jego bliskie runięcie. Zdeprawowane rodziny pijaków z przedmieść kończą się przez potworną nędzę, brak chleba i

alkoholowe szaleństwo, które ludzi wyniszcza. Tu, gdy wobec nadchodzącej ruiny nagromadzonych i naraz podpalonych bogactw walc grat podzwonne starego rodu, Nana, niewidzialna, rozpościerała nad tym balem swe giętkie ciało, rozkładała to środowisko fermentem swego zapachu, który nasycał ciepłe powietrze w rytm szelmowskiej muzyki.

W dniu ślubu kościelnego wieczorem hrabia Muffat wszedł do sypialni żony, gdzie nie zaglądał od dwóch lat. Hrabina, bardzo zaskoczona, najpierw się cofnęła, lecz uśmiechnęła się swoim czarującym uśmiechem, który ciągle miała na twarzy. On coś bełkotał bardzo zażenowany. Wówczas ona zaczęła mu prawić morały. Zresztą żadne z nich nie odważyło się na szczerą rozmowę. Stwierdzili tylko, że religia żąda od nich wzajemnego przebaczenia; zawarli cichą umowę, że oboje zachowają pełną swobodę. Ponieważ hrabina przed wejściem do łóżka jakby się wahała, zaczęli rozmawiać o interesach. Hrabia zaproponował sprzedaż Bordes, a ona zgodziła się natychmiast. Mieli przecież wielkie potrzeby, więc postanowili podzielić się pieniędzmi. To ostatecznie ich pojednało. Muffat poczuł naprawdę ulgę w swych wyrzutach sumienia.

Tegoż dnia, gdy Nana drzemała około godziny drugiej, Zoè pozwoliła sobie zapukać do drzwi sypialni. Zasłony były rozsunięte i w cichym półmroku dmuchał przez okno ciepły powiew. Zresztą młoda kobieta już wstawała, choć była jeszcze osłabiona. Otwarła oczy i spytała:

— Kto tam?

Zoè chciała odpowiedzieć, lecz Daguenet wtargnął do pokoju i sam się zaanonsował. Nana podparła się łokciami o poduszkę i odprawiając pokojówkę rzekła:

— Jakże, to ty! W dniu ślubu!... Co się stało?

On, zaskoczony ciemnością, stał na środku pokoju, lecz powoli oswajał się z mrokiem. Zbliżał się we fraku, białym krawacie i białych rękawiczkach powtarzając:

— No tak, to ja... Czy sobie nie przypominasz?

Nie, niczego sobie nie przypominała. Musiał wyjaśnić, bez ogródek, ze swoją kpiarską miną.

— To przecież twoja prowizja... Tobie pierwszej składam w darze swoją niewinność.

Ponieważ siedział na brzegu łóżka, objęła go nagimi ramionami, zaśmiewając się przy tym do łez, tak jej się to wydawało miłe.

— Ach, jakiż ten Mimi jest zabawny!... Jednak o tym pomyślał! A ja już o wszystkim zapomniałam! Więc uciekłeś prosto z kościoła. Rzeczywiście pachniesz jeszcze kadzidłem... No to pocałuj mnie! Mocniej, mój Mimi!

Przecież to może już ostatni raz. Za chwilę w ciemnym pokoju przesyconym jeszcze lekkim zapachem eteru zgasł ich rozkoszny śmiech. Gorące powietrze nadymało zasłony w oknach, z alei dochodziły głosy dzieci. Potem jeszcze figlowali popędzani przez ulatujący czas. Daguenet wyjeżdżał ze swoją żoną zaraz po lunchu.

XIII

Pod koniec września hrabia Muffat, który miał być wieczorem na obiedzie u Nany, przyszedł o zmierzchu ją zawiadomić, że został nagle wezwany do Tuilerii. Pałac nie był jeszcze oświetlony, służba śmiała się głośno w kredensie. Wszedł wolnym krokiem po schodach, gdzie witraże połyskiwały w przytulnym cieniu. Na górze drzwi salonu otwarły się bezszelestnie. Różowe światło rozpływało się pod sufitem pokoju. Czerwone tapety, szerokie tapczany, meble z laki, haftowane tkaniny, brązy i fajanse drzemały już w zapadającym powoli mroku, który spowijał kąty; nie było widać żadnego połysku kości słoniowej ani odblasku złota. W tych ciemnościach spostrzegł jedynie biel wielkiej szeroko rozpostartej spódnicy i Nanę leżącą w objęciach Jerzego. Wszelkie wypieranie się było wykluczone. Hrabia wydał przytłumiony okrzyk i patrzał na tę scenę z szeroko rozwartymi ustami.

Nana skoczyła na równe nogi i popchnęła go do sypialni, by chłopcu pozwolić się wymknąć.

— Chodź — szepnęła, straciwszy głowę — powiem ci. Zirytowała się tym zaskoczeniem. Nigdy w swoim domu nie oddawała się w ten sposób w salonie, przy otwartych drzwiach. Stało się tak na skutek sprzeczki z Jerzym, który wściekł się z zazdrości o Filipa. Tak bardzo szlochał obejmując ją za szyję, że zlitowała się nad nim i pozwoliła na wszystko nie wiedząc, jak go uspokoić. I oto gdy jedyny raz popełniła to głupstwo i zapomniała się ze smarkaczem, do tego stopnia przez matkę ograniczonym w wydatkach, że nie mógł jej przynieść nawet bukiecika fiołków, hrabia musiał właśnie nadejść i zastać ich razem. Rzeczywiście nie ma szczęścia! Doprawdy, nie warto być dobrą dziewczyną.

W sypialni, gdzie wepchnęła Muffata, panowały kompletne ciemności. Wściekła, zadzwoniła po omacku, żeby zażądać lampy. Zawinił także Julian. Gdyby w salonie paliła się lampa, wszystko to nie byłoby się przydarzyło. Ten głupi, zapadający mrok tak ją otumanił.

— Proszę cię, kotku, bądź rozsądny — rzekła, skoro Zoè przyniosła światło. Hrabia siedział trzymając ręce na kolanach i patrzał w ziemię ogłupiały tym, co zobaczył przed chwilą. Nawet nie krzyknął z gniewu. Drżał, jakby go zmroziło przerażenie. To milczące cierpienie wzruszyło młodą kobietę, więc próbowała go pocieszyć.

— No tak, źle zrobiłam. Widzisz, żałuję swego błędu. Bardzo jestem zmartwiona, bo tobie sprawia to przykrość... Więc bądź też mity i przebacz mi. — Przykucnęła u jego nóg, szukając jego spojrzenia, z miną uległą i tkliwą; chciała się dowiedzieć, czy jest na nią bardzo zły, a ponieważ hrabia wracał do równowagi głęboko wzdychając, stała się bardziej pieszczotliwa i wysunęła ostatni argument z miną pełną dobroci i powagi. — Widzisz, kochanie, trzeba mnie zrozumieć... Nie mogę tego odmawiać moim biednym przyjaciołom.

Hrabia dał się ugłaskać, zażądał tylko odprawienia Jerzego. Lecz wyzbył się już wszelkich złudzeń, przestał wierzyć w jej przysięgi na wierność. Był przekonany, że nazajutrz Nana znowu go zdradzi. Nie chciał jednak się wyzwolić z miłosnej udręki, bo nie mógł już zdecydować się na życie bez tej kobiety. W tym okresie Nana olśniewała Paryż spotęgowanym blaskiem swego występnego życia; zawładnęła miastem roztaczając bezczelnie uroki zbytku, imponując pogardą dla pieniędzy, która jej pozwalała doprowadzać do ruiny wielkie fortuny. W jej pałacu skrzyło się jak w kuźni. Rozpalały się ciągle nowe pragnienia, jednym chuchnięciem zmieniała złoto w delikatny popiół, rozmiatany przez wiatr o każdej porze. Nigdy nie widziano tak wściekłej rozrzutności. Zdawało się, że ten pałac został zbudowany nad otchłanią, w której przepadali mężczyźni razem ze swymi majątkami, ciałami, a także nazwiskami, nie pozostawiając po sobie nawet odrobiny pyłku. Ta dziewczyna o gustach papugi, chrupiąca rzodkiewki i praliny, jedząca mięso półgębkiem, płaciła co miesiąc za utrzymanie rachunki po pięć tysięcy franków. Rozpasana służba uprawiała szalone marnotrawstwo wypróżniając ba-

ryłki wina i fałszując rachunki, które rosły, przechodząc trzy lub cztery razy z ręki do ręki. Wiktoria i Franciszek królowali w kuchni; zapraszali sobie gości, nie licząc niewielkiego grona kuzynów karmionych w domu zimnym mięsiwem i tłustym rosołem. Julian żądał prowizji od dostawców. Wstawiając choćby szybkę za trzydzieści su, szklarze musieli dobijać dla niego dwadzieścia; Karol trwonił owies kupowany dla koni: żądał dostarczania podwójnej ilości, a potem tylną bramą sprzedawał to, co wchodziło bramą główną. Wśród ogólnej rozrzutności, która przypominała plądrowanie miasta zdobytego szturmem, Zoè potrafiła wymyślnymi sposobami zachować pozory, pokrywając kradzieże wszystkich, by osłonić także swoje. Lecz marnotrawstwo powodowało jeszcze większe szkody: wczorajsze jedzenie, stosy żywności, którą służba się brzydziła, wyrzucano za bramę; cukier obrastał szklanki, gaz palił się pełnym płomieniem omal nie rozsadzając ścian. Na każdym kroku mnożyły się zaniedbania, złośliwości, wypadki, wszystko, co może przyspieszyć ruinę domu objadanego przez tyle gęb. Na górze, u pani, jeszcze mocniej wyczuwało się bliską ruinę. Zoè sprzedawała suknie kupowane po dziesięć tysięcy franków i włożone przez Nanę zaledwie dwa razy; klejnoty znikały, jakby się kruszyły w głębi szuflad; kupowano bezmyślnie coraz to nowe drobiazgi, a nazajutrz rozrzucano je po kątach i wymiatano na śmietnik. Skoro tylko zobaczyła coś bardzo drogiego, od razu chciała to posiąść. Obsypywano ją ustawicznie kwiatami i cennymi drobiazgami, a ona była tym szczęśliwsza, im więcej kosztował chwilowy kaprys. Wszystko przeciekało jej przez palce, więdło i brudziło się w jej białych rączkach. Wlokła za sobą stosy dziwacznych, nie wiadomo jakich strzępów, poskręcane szmaty, zabłocone łachmany. Ale za to wszystko trzeba było płacić grube sumy. Gdy tak trwoniła pieniądze na drobiazgi, nagle spadały do uregulowania ogromne rachunki: dwadzieścia tysięcy franków u modystki, trzydzieści tysięcy u bieliźniarki, dwanaście tysięcy u szewca; stajnia zjadała pięćdziesiąt tysięcy. W ciągu sześciu miesięcy narósł u krawca rachunek do stu dwudziestu tysięcy franków. Choć nie zmieniła sposobu prowadzenia domu, którego koszt Labordette oceniał średnio na czterysta tysięcy franków, owego roku doszła do miliona; sama zdumiona tą cyfrą nie umiała powiedzieć, gdzie mogła się podziać podobna suma. Dla zapełnienia jamy, która się ciągle pogłębiała pod pałacem, podminowując jego luksus, nie wystarczało już wyzyskiwanie całych zastępów mężczyzn ani złoto wyrzucane taczkami.

Tymczasem Nanę opętał nowy kaprys. Rozmyślając znowu nad przerobieniem swego pokoju, wpadła na pomysł obicia sypialni aksamitem koloru róży herbacianej, pikowanym srebrem. Aksamit miał być udrapowany aż pod sufit w kształcie namiotu ozdobionego sznurami i złotą koronką. Sądziła, że to będzie bogate, przytulne i stanowić będzie wspaniałe tło dla jej różowej cery rudej kobiety. Cała sypialnia miała być zresztą urządzona bardzo prosto jako oprawa dla cudownie olśniewającego łóżka. Nana wymarzyła sobie łóżko, jedyne w swoim rodzaju: tron czy ołtarz, na którym Paryż mógłby uwielbiać jej królewską nagość. Miało to być łoże z wytłaczanego złota i srebra, podobne do wielkiego klejnotu, ze złotymi różami rzuconymi na srebrną siatkę. U wezgłowia wymyśliła wśród kwiatów grupę amorków pochylających się ze śmiechem i czatujących na rozkosze w cieniu zasłon. Zwróciła się do Labordette'a, który jej przyprowadził dwóch złotników. Opracowywano już rysunki. Pięćdziesiąt tysięcy franków miało kosztować to łoże, które Muffat zobowiązał się jej ofiarować jako prezent noworoczny.

Młodą kobietę zdumiewało to, że choć rzeka złota przepływała przez jej palce, ciągle była w pogoni za pieniędzmi. Niekiedy z wywieszonym językiem biegała za śmieszną sumą paru ludwików. Musiała pożyczać od Zoè albo też sama wydostawała pieniądze, jak mogła. Lecz zanim uciekała się do środków ostatecznych, badała przyjaciół, wyciągając z żartobliwą miną od mężczyzn, co tylko mieli przy sobie, nawet grosze. Od trzech miesięcy wypróżniała w ten sposób szczególnie kieszenie Filipa. Ile razy przychodził w krytycznych momentach, zawsze zostawiał swoją portmonetkę. Rozzuchwalona, zaczęła niebawem żądać od niego pożyczek na zapłacenie weksli i pilnych długów. Gdy Filip został w lipcu mianowany kapitanem płat-

nikiem, przyniósł nazajutrz pieniądze, tłumacząc się, że nie jest bogaty, bo zacna pani Hugon trzymała teraz synów szczególnie surowo. Po upływie trzech miesięcy te drobne pożyczki, często powtarzane, urosły do sumy około dziesięciu tysięcy franków. Kapitan ciągle jeszcze czarował swym pięknym, dźwięcznym śmiechem. Jednak schudł, niekiedy bywał roztargniony i miał na twarzy wyraz cierpienia. Lecz odmieniało go jedno spojrzenie Nany. wprowadzając w zmysłową ekstazę. Postępowała z nim chytrze jak kotka, odurzała pocałunkami i opętała swą lubieżnością; tkwił więc przy niej, skoro tylko mógł się wymknąć ze służby, Nana powiedziała pewnego wieczoru, że ponieważ na drugie imię ma Teresa, obchodzi imieniny 15 października. Wszyscy panowie posłali jej prezenty. Kapitan Filip ofiarował jej starą bombonierkę z saskiej porcelany, oprawną w złoto. Zastał ją samą w buduarze, gdyż właśnie wyszła z kąpieli. Miała na sobie tylko obszerny peniuar z biało-czerwonej flaneli i była bardzo zajęta oglądaniem prezentów rozłożonych na stole. Zbiła już flakon z najszlachetniejszego kryształu, chcąc go odkorkować. ─ Och! Jakiś ty miły! ─ rzekła. ─ Co to jest? pokaż... Jak możesz tak dziecinnie wydawać pieniądze na podobne drobiazgi! Łajała go, bo nie był bogaty, ale w gruncie rzeczy z zadowoleniem stwierdziła, że wydaje wszystko na nią. Był to jedyny dowód miłości, który mógł ją wzruszyć. Tymczasem bawiła się bombonierką, otwierała ją i zamykała, gdyż chciała wiedzieć, jak jest zrobiona.

─ Uważaj ─ szepnął ─ to jest kruche.

Lecz ona wzruszyła ramionami. Myśli może, że ona ma ręce jak jakiś tragarz! Nagle zawiasa została jej w palcach, a wieczko spadło i zbiło się. Nana osłupiała i patrząc na skorupy rzekła:

─ Och, zbiło się! ─ I zaczęła się śmiać. Kawałki rozrzucone na podłodze wydawały się jej zabawne. Ogarnęła ją nerwowa wesołość, śmiała się głupio i złośliwie, jak dziecko rozbawione niszczeniem. Filip oburzył się. Niewdzięcznica! Nie wie, ile kłopotów kosztowało go to cacko. Gdy zobaczyła, jak jest wstrząśnięty, próbowała się pohamować.

─ Cóż znowu, ja nie jestem winna... To było przecież pęknięte. Bardzo słabe są te stare graty... Tak samo było z wieczkiem! Czy widziałeś, jak wyskoczyło? ─ I buchnęła szalonym śmiechem. Lecz ponieważ młodemu człowiekowi zwilgotniały oczy, choć opanowywał się z wysiłkiem, objęła go czule za szyję. ─ Jakiś ty głupi! Ja cię przecież i tak kocham. Gdyby się nic nie tłukło, kupcy nie mieliby co sprzedawać. Wszystko jest na to, żeby się tłukło... Ot, na przykład zobaczymy, czy ten wachlarz jest dobrze sklejony!

Chwyciła jakiś wachlarz, który zaczęła tak rozciągać, że porozdzierała jedwab. To ją podnieciło. Chcąc dowieść, że skoro zniszczyła podarunek otrzymany od niego, drwi sobie z innych prezentów, zaczęła się rozkoszować tą masakrą i deptać po różnych przedmiotach, pragnąc wykazać, że nie ma wśród nich nic trwałego, i dlatego je niszczy. W jej bezmyślnych oczach zapalały się błyski, a rozchylone wargi ukazywały białe zęby. Gdy wszystko już leżało w strzępach, spąsowiała, zaczęła się znowu śmiać, uderzyła w stół rozwartymi rękami i wysepleniła głosem małej dziewczynki:

─ Śkończone! Nić juś nie ma! Juś nić nie ma!

Filip rozbrojony tym szaleństwem, rozpogodził się i przeginając ją do tyłu, pocałował w pierś. Nana ulegała mu, wieszała mu się u ramion i była szczęśliwa mówiąc, że już dawno tak się nie ubawiła. Nie puszczając go powiedziała pieszczotliwym tonem:

─ Mój drogi, powinieneś mi przynieść jutro dziesięć ludwików... Chodzi o głupstwo, po prostu dręczy mnie nie zapłacony rachunek u piekarza.

Filip zbladł, a potem składając na jej czole ostatni pocałunek powiedział:

Będę się starał. ─ Zapanowało milczenie. Nana ubierała się, a on oparł czoło o szybę. Po chwili wrócił i powiedział powoli: ─ Nano, powinnaś wyjść za mnie. Ten pomysł tak rozweselił młodą kobietę, że nie mogła dokończyć zawiązywania swej halki.

— Ależ, biedny mój piesku, chyba jesteś chory!... Czy dlatego ofiarowujesz mi swoją rękę, że cię proszę o dziesięć ludwików? Nigdy się na to nie zgodzę, bo za bardzo cię lubię. To dopiero byłaby głupota!

Ponieważ Zoè weszła, żeby ją obuć, więcej już o tym nie mówili. Pokojówka od razu zaczęta zerkać na szczątki prezentów na stole. Spytała, czy trzeba schować te rzeczy. A kiedy pani kazała je wyrzucić, zgarnęła wszystko do spódnicy. W kuchni przejrzano te gruchoty i podzielono się nimi. Tego dnia Jerzy pomimo zakazu Nany wkręcił się do pałacu. Franciszek wprawdzie widział, jak przechodził, ale służba już śmiała się między sobą z kłopotów państwa. Przed chwilą wśliznął się do saloniku, gdy nagle zatrzymał go głos brata. Przylepiony do drzwi wysłuchał całą scenę: pocałunki i propozycję małżeństwa. Przejęty odrazą wyszedł ogłupiały z uczuciem wielkiej pustki pod czaszką. Dopiero na ulicy Richelieu, gdy znalazł się w swoim pokoju nad apartamentem matki, wybuchł gwałtownym szlochem. Tym razem nie mógł mieć wątpliwości. Obrzydliwy obraz stawał mu ciągle przed oczami, obraz Nany w ramionach Filipa. To mu się wydawało kazirodztwem. Kiedy już sądził, że się uspokoił, wracało znowu wspomnienie i nowy atak wściekłej zazdrości rzucał go na łóżko. Gryzł poduszkę wykrzykując obelżywe słowa, które doprowadzały go do szału. Tak minął mu cały dzień. Powiedział, że ma migrenę, by móc się zamknąć w swoim pokoju. Ale noc była jeszcze straszniejsza. Wśród ciągłych koszmarów wstrząsała nim gorączkowa myśl o zabójstwie. Gdyby jego brat mieszkał w tym domu, byłby go zabił jednym pchnięciem noża. O świcie zaczął rozważać i doszedł do wniosku, że to on powinien umrzeć. Może wyskoczyć przez okno, gdy będzie przejeżdżał omnibus? Wyszedł z domu około dziesiątej. Biegał po Paryżu, wałęsał się po mostach i w ostatniej chwili opanowała go nieprzezwyciężona chęć zobaczenia znowu Nany. Mogłaby go ocalić jednym słowem. Gdy wchodził do pałacu przy alei Villiers, zegar wybijał godzinę trzecią.

Około południa okropna wiadomość zmiażdżyła panią Hugon. Filip od poprzedniego wieczoru znajdował się w więzieniu, oskarżony o kradzież dwunastu tysięcy franków z kasy swego pułku. Od trzech miesięcy sprzeniewierzał małe sumy spodziewając się, że będzie je mógł zwrócić; na razie pokrywał niedobór fałszywymi monetami. Dzięki niedbalstwu administracji oszustwo jakoś się udawało. Stara dama, skamieniała z bólu, zgnębiona przestępstwem syna, w pierwszym porywie gniewu całą winę zwaliła na Nanę. Wiedziała o związku Filipa i głęboko ją zasmucało to nieszczęście, które zatrzymywało ją w Paryżu z obawy przed katastrofą; lecz nigdy nie spodziewała się takiej hańby, a teraz robiła sobie wyrzuty, że odmawiała synowi pieniędzy, i z tego powodu czuła się współwinna. Upadła na fotel, nogi miała jakby sparaliżowane i czuła się bezradna, niezdolna do podjęcia jakichś starań, śmiertelnie porażona. Ale pocieszyła ją nagle myśl o Jerzym. Jeszcze jej pozostał Jerzy, który mógłby działać, może nawet ich ocalić. Nie żądając od nikogo pomocy i pragnąc zachować te sprawy w tajemnicy, powlokła się na górę, z myślą, że ma jeszcze przy sobie kogoś bliskiego. Lecz zastała pokój pusty, a konsjerż powiedział, że pan Jerzy wyszedł wcześnie. W tym pokoju wyczuła drugie nieszczęście. Łóżko z poszarpaną zębami bielizną mówiło o wielkiej udręce; przewrócone wśród ubrań krzesło wydawało się martwe. Jerzy na pewno poszedł do tej kobiety. Pani Hugon zeszła. Oczy miała suche, w nogach czuła siłę. Chciała odzyskać swych synów, poszła się o nich upomnieć.

Nanę od samego rana spotykały przykrości. Najpierw już o godzinie dziewiątej zjawił się piekarz z rachunkiem za chleb, wynoszącym marne sto trzydzieści trzy franki, których jakoś nie mogła zapłacić, choć dom był prowadzony po królewsku. Piekarz przychodził wiele razy, zirytowany, bo od chwili gdy odmówił dalszego kredytu, przestano u niego kupować. Służba stanęła po jego stronie. Franciszek mówił, że pani nigdy nie zapłaci, jeżeli on nie zrobi awantury; Karol odgrażał się, że też pójdzie na górę po należność za słomę, a tymczasem Wiktoria radziła, żeby czekać, aż zjawi się jakiś gość, i wyciągnąć od niego pieniądze, wpadając do pokoju w trakcie rozmowy. Kuchnia była poruszona do żywego, wszyscy dostawcy

zostali poinformowani i plotkowano po trzy i cztery godziny; rozbierano. obskubywano i obgadywano panią z zaciekłością rozpróżniaczonej służby pękającej z dobrobytu. Jedynie Julian, *maitre d'hólel,* próbował bronić pani mówiąc, że mimo wszystko jest przecież fajna. A gdy inni go posądzali, że z nią sypia, śmiał się z miną zarozumialca, co kucharkę omalże do szału doprowadziło. Mówiła, że chciałaby być mężczyzną i napluć na tytek tym kobietom, tak się tym brzydziła. Franciszek złośliwie kazał piekarzowi czekać w przedsionku nie uprzedziwszy o tym pani. Schodząc na dół w porze śniadaniowej pani natknęła się na niego. Wzięła rachunek i powiedziała, żeby przyszedł około trzeciej. Odszedł ciskając ordynarne słowa, zaklinając się, że przyjdzie punktualnie i sam sobie zapłaci, wszystko jedno jak.

Nana, rozdrażniona tą sceną, nie miała apetytu przy śniadaniu. Należało się koniecznie pozbyć tego człowieka. Już dziesięć razy odkładała pieniądze, ale zawsze topniały; raz na kwiaty, innego znów dnia na składkę zorganizowaną na rzecz jakiegoś starego żandarma. Zresztą liczyła na Filipa i dziwiła się nawet, że jeszcze go nie widzi z owymi dwustu frankami. Naprawdę miała pecha, bo jeszcze onegdaj wyekwipowała Satin dając jej całą wyprawę, suknie i bieliznę prawie za tysiąc dwieście franków.

Nie miała teraz w domu nawet jednego ludwika.

Około godziny drugiej, gdy Nana zaczynała się niepokoić, zjawił się Labordette. Przyniósł szkice łóżka, co odwróciło jej uwagę. Wybuch radości pozwolił zapomnieć o wszystkim. Klaskała w dłonie i tańczyła, a potem, rozciekawiona i pochylona nad stołem w salonie, uważnie oglądała rysunki, które jej objaśniał Labordette.

— Widzisz, to jest statek; w środku pęk rozkwitłych róż, potem girlanda kwiatów i pączków, liście będą z zielonkawego, a róże z czerwonego złota... A tu jest wezgłowie, gdzie amorki tańczą na srebrnej siatce.

Nana przerwała mu zachwycona.

— Och, jaki on zabawny, ten mały w kącie, z podniesionym tyłeczkiem...

Co? I ten jego złośliwy uśmiech! Wszystkie one mają szelmowskie oczka!... Wiesz co, mój drogi, nigdy nie będę śmiała zrobić przy nich jakiegoś świństwa!

Czuła się nadzwyczajnie pochlebiona, gdyż złotnicy powiedzieli, że żadna królowa nie sypia w podobnym łożu. Jedno tylko komplikowało sprawę. Labordette pokazał jej dwa szkice nóg do łóżka. Jeden z nich przedstawiał motyw statku, natomiast drugi miał wymyślny temat: wyobrażał Noc spowitą zasłonami, a Faun odsłaniał jej olśniewającą nagość.

Labordette dodał, że gdyby wybrała ten motyw, złotnicy zrobiliby Noc na jej podobieństwo. Ten pomysł, świadczący o śmiałym guście, oczarował Nanę, która aż pobladła. Widziała siebie w kształcie srebrnej figurki jako symbol ciepłych, przytulnych rozkoszy.

— Oczywiście pozować będziesz tylko do głowy i ramion — rzekł Labordette.

Spojrzała na niego spokojnie. — Dlaczego?... Skoro chodzi o dzieło sztuki, gwiżdżę sobie na rzeźbiarza, który będzie mnie portretował!

Gdy sprawa została uzgodniona, Nana wybrała ten motyw. Lecz on ją powstrzymał mówiąc:

— Poczekaj... To kosztuje o sześć tysięcy franków drożej.

— No to co?! Przecież to nie gra roli! — krzyknęła wybuchając śmiechem. — Czy mój Mufcio nie ma worka z pieniędzmi?

W gronie najbliższych tak nazywała teraz hrabiego, a panowie nie pytali już o niego inaczej, jak: „Czy widziałaś wczoraj wieczorem swego Mufcia?", „Słowo daję. sądziłem, że spotkam tu Mufcia!" Na tę poufałość nie pozwalała sobie jednak jeszcze w jego obecności.

Labordette zwijał rysunki dając ostatnie wyjaśnienia: złotnicy zobowiązali się dostarczyć łóżko w ciągu dwóch miesięcy, około 25 grudnia: począwszy od przyszłego tygodnia rzeźbiarz zacznie przychodzić, by robić szkice do Nocy. Odprowadzając go Nana przypomniała sobie o piekarzu, i nagle spytała:

— Mój drogi, nie masz przypadkiem przy sobie dziesięciu ludwików? Zasadą Labordette'a — która mu wychodziła na dobre — było nie pożyczać nigdy pieniędzy kobietom. Zawsze dawał taką samą odpowiedź.

— Nie, moja kochana, jestem spłukany... Ale może chcesz, żebym poszedł do twego Mufcia?

Odmówiła, gdyż dwa dni temu wyciągnęła od hrabiego pięć tysięcy franków. Ale wkrótce pożałowała swej powściągliwości.

Choć było zaledwie wpół do trzeciej, skoro tylko wyszedł Labordette. zjawił się znowu piekarz; rozsiadł się brutalnie na ławeczce w westybulu i klął tak głośno, że młoda kobieta słyszała go z pierwszego piętra. Zbladła, sprawiało jej przykrość, że służba coraz głośniej daje wyraz swej radości. W kuchni wszyscy pękali ze śmiechu: stangret przyglądał się z głębi podwórza, Franciszek bez powodu przechodził przez westybul, a później spiesznie zanosił innym nowiny, porozumiewawczo rzuciwszy przedtem w stronę piekarza szyderczy uśmiech. Kpili z pani, ściany trzęsły się od śmiechu: czuła się osamotniona i wyczuwała pogardę służby, która ją śledziła i ordynarnie jej wymyślała. Wobec tego zrezygnowała z pożyczenia stu trzydziestu trzech franków od Zoè. Była jej już coś winna, a duma nie pozwalała narażać się na odmowę. Wzburzona wróciła do sypialni mówiąc głośno do siebie: „No cóż, dziewczyno, licz tylko na siebie... Twoje ciało należy do ciebie. Lepiej będzie je wykorzystać niż narażać się na afronty.” Nie przywołując nawet Zoè, ubierała się gorączkowo, żeby pobiec do Tricony. Była to jej ostatnia deska ratunku w chwilach szczególnie kłopotliwych. Mogła odmawiać albo też przyjmować propozycje, zależnie od swych potrzeb; rajfurka bowiem zawsze jej poszukiwała i molestowała ją. Gdy coraz częściej odczuwała braki przy swym królewskim trybie życia, mogła być pewna, że tam czeka na nią dwadzieścia pięć ludwików. Przyzwyczaiła się chodzić do Tricony tak samo, jak biedni ludzie udają się do lombardu.

Lecz wyszedłszy z sypialni natknęła się na Jerzego, który stał w środku salonu. Nie zauważyła, że był blady jak wosk, a w rozszerzonych oczach miał ponure błyski. Westchnęła z ulgą.

— Ach! Brat cię przystał!

— Nie — powiedział maty, jeszcze bardziej blednąc.

Zrobiła rozpaczliwy gest. Czego on chce? Dlaczego zagradza jej drogę?

Przecież ona bardzo się spieszy. Po chwili spytała:

— Nie masz pieniędzy?

— Nie.

— Doprawdy, jestem głupia! Przecież dobrze wiem, że nie przyniosą mi nawet rzodkiewki; nie mają choćby paru groszy na autobus... Bo mama nie daje. I to mają być mężczyźni!

Już wychodziła, a on ją zatrzymał, pragnął z nią porozmawiać. Podniecona powtarzała, że nie ma czasu, ale przystanęła, gdy usłyszała słowa:

— Słuchaj, wiem, że zamierzasz wyjść za mojego brata. — A to dopiero komedia! Nana upadła na krzesło i śmiała się do rozpuku. — Tak — ciągnął mały. — Ja tego nie chcę... Wyjdziesz za mnie... Właśnie dlatego przyszedłem.

— Co? Jak? Ty także! — krzyknęła. — To pewnie choroba rodzinna... Ale nigdy! Co za pomysł! Czyja od was żądałam takiego paskudztwa? Nigdy nie wyjdę za żadnego z was.

Twarz Jerzego rozjaśniła się. A może przypadkiem się pomylił? Więc mówił dalej.

— A zatem przysięgnij mi, że nie sypiasz z moim bratem.

— Ach! Jak ty mnie nudzisz! — rzekła Nana, która wstała zniecierpliwiona. — Wprawdzie minuta to głupstwo, ale skoro ci mówię, że się spieszę!... Sypiam z twoim bratem, jeśli mi to sprawia przyjemność. Czy ty mnie utrzymujesz, czy płacisz tu za coś, żeby móc żądać rozliczenia?... Tak, sypiam z twoim bratem...

Chwycił jej ramię, ścisnął je tak, że o mało co go nie złamał, i wyjąkał:

— Nie mów tego... nie mów tego...

Trzepnęła go i wyrwała się z jego uścisku.

— Jeszcze mnie bije! Widzieliście tego smarkacza!... Mój mały, wynoś się natychmiast... Trzymałam cię tylko z dobrego serca. No, ale skoro chcesz być taki zachłanny!... Chyba nie liczyłeś na to, że będę twoją mamą aż do śmierci. Mam inne rzeczy do roboty niż wychowywanie dzieciaków. — Słuchał jej kamieniejąc z udręki, lecz nie buntując się. Każde słowo raniło mu śmiertelnie serce. A ona nie dostrzegając nawet jego cierpienia ciągnęła dalej, szczęśliwa, że może sobie ulżyć po swych porannych przykrościach. — A twój brat to też ładny gagatek!... Obiecał mi dwieście franków. Ale gdzie tam! Mogę na niego czekać... Nie myśl, że wiele sobie robię z jego pieniędzy! I tak ma za mało, żeby mnie wyciągnąć z bryndzy... Ale on mnie opuszcza w ambarasie!... Chcesz wiedzieć? Więc powiem ci, że przez twego brata muszę wyjść, żeby zarobić dwadzieścia pięć ludwików u innego mężczyzny.

Jerzy, oszalały, zagrodził jej drzwi. Płakał, błagał ją i składając ręce bełkotał:

— Och, nie! Och, nie!

— No dobrze — rzekła. — A masz pieniądze?

Nie, nie miał pieniędzy. Życie by oddał za pieniądze. Nigdy nie czuł się takim nędzarzem, tak bezużytecznym i tak małym chłopcem. Biedak trząsł się od płaczu i był tak zbolały, że wreszcie wzruszył Nanę, która odsunęła go delikatnie i powiedziała:

— Słuchaj, kotku, pozwól mi przejść, nie ma rady... Bądź rozsądny. Jesteś dzieckiem i to wszystko było miłe przez tydzień, ale dziś muszę myśleć o swoich sprawach. Zastanów się trochę... Twój brat jest przynajmniej dorosłym mężczyzną. Z nim to co innego... Ach, zrób mi tę przyjemność i nie powtarzaj mu tego wszystkiego. On nie potrzebuje wiedzieć dokąd ja idę Zawsze za wiele gadam, kiedy jestem zła. — Roześmiała się, a potem chwytając go i całując w czoło rzekła: — Do widzenia, kotku, skończone, zupełnie skończone, słyszysz... Zmykam.

I zostawiła go. Stał w środku salonu, a ostatnie słowa dźwięczały mu w uszach jakby podzwonne: „Skończone, zupełnie skończone.” Miał wrażenie, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami. W jego chorej wyobraźni rozwiał się mężczyzna czekający na Nanę; widział natomiast ciągle tylko Filipa w nagich ramionach tej młodej kobiety. Nie wypierała się bynajmniej. Ona go kocha, skoro mu chce oszczędzić zmartwienia z powodu niewierności. Wszystko było skończone, zupełnie skończone. Odetchnął głęboko i przygnieciony potwornym ciężarem rozejrzał się po pokoju.

Wracały teraz wspomnienia. Wesołe noce w Mignotte, godziny pieszczot, gdy czuł się jej dzieckiem, a potem rozkosze kradzione w tym pokoju. Nigdy już tego nie będzie! Był za mały, nie dojrzał w porę. Jego miejsce zajął Filip, bo miał już zarost. Musi więc skończyć z wszystkim, nie może tak dłużej żyć. Myślał o swoim grzechu z ogromną tkliwością i zmysłowym ubóstwieniem, które pochłaniało całą jego istotę. Jak mógłby o tym wszystkim zapomnieć, skoro jego brat przy niej zostanie? Jego brat — a więc jego krew, drugie ja — którego rozkosze wywoływały w nim wściekłą zazdrość. Znalazł się u kresu wytrzymałości i zapragnął umrzeć.

Wszystkie drzwi były otwarte pośród rwetesu i rozprzężenia służby, która widziała, jak pani wychodziła pieszo. Na dole piekarz śmiał się z Karolem i Franciszkiem na ławce w westybulu. Gdy Zoè przechodziła przez salon, zaskoczyła ją obecność Jerzego, więc spytała, czy czeka na panią. Tak, czeka na nią, bo zapomniał dać jej odpowiedź w jednej sprawie. A gdy został sam, zaczął czegoś szukać. Nie znajdując niczego innego, wziął z gotowalni bardzo ostro zakończone nożyczki, którymi Nana się posługiwała w ciągłej manii skubania czegoś na sobie, obcinania naskórków i włosów. Przez godzinę czekał cierpliwie z ręką w kieszeni, zacisnąwszy nerwowo palce na nożyczkach.

— Pani już idzie — rzekła wracając Zoè, która widocznie czatowała na nią w oknie sypialni.

Przez chwilę słychać było w pałacu bieganinę. Śmiechy ucichły, drzwi się pozamykały. Jerzy usłyszał, jak Nana płaciła piekarzowi, załatwiając sprawę szorstkim głosem. Potem poszła na górę.

— Jak to! Jeszcze tutaj! — powiedziała, gdy go zauważyła. — Ach, kochasiu, bo się pogniewamy!

Szedł za nią do sypialni.

— Nano, chcesz mnie poślubić?

Lecz ona wzruszyła ramionami. To było tak głupie, że już nie odpowiedziała. Zamierzała po prostu zatrzasnąć mu drzwi przed nosem.

— Nano, chcesz mnie poślubić? Pchnęła drzwi, które Jerzy natychmiast otwarł jedną ręką, a drugą wyciągnął z kieszeni nożyczki i gwałtownym ruchem wbił je sobie w pierś. Nana wyczuła, że stało się jakieś nieszczęście, więc odwróciła się. A gdy zobaczyła, że się zranił, krzyknęła oburzona:

— Jakiż on głupi! Ależ on głupi! l w dodatku moimi nożyczkami... Zostaw to, łobuzie!... Ach, Boże! Ach, Boże!

Była przerażona. Chłopiec, upadłszy na kolana, zgnął się jeszcze raz i osunął na dywan. Upadł zagradzając próg sypialni. Nana zupełnie straciła głowę krzycząc z całych sit i nie mając odwagi, by przestąpić to ciało, które ją odgrodziło i nie pozwalało biec po pomoc.

— Zoè! Zoè! Chodźże... Każ mu z tym skończyć. Jakiż głupi jest taki dzieciak!... Zabija się, i w dodatku u mnie! Widział to kto!

Bała się go. Był bardzo blady i miał zamknięte oczy. Rana prawie wcale nie krwawiła, widać było tylko cienką plamę krwi pod kamizelką. Już się zdecydowała przejść przez ciało, gdy nagle cofnęła się na widok dziwnej zjawy. Na wprost niej, przez szeroko otwarte drzwi salonu kroczyła stara dama. Z przerażeniem poznała w niej panią Hugon; nie mogła sobie wytłumaczyć jej obecności. Cofała się, ciągle jeszcze w rękawiczkach i kapeluszu. Tak bardzo się wystraszyła, że zaczęła się bronić wyjąkując:

— Proszę pani, to nie ja, przysięgam... On chciał mnie poślubić, powiedziałam, że nie, więc się zabił.

Pani Hugon, w czerni, zbliżała się powoli; twarz w aureoli siwych włosów miała bladą. W powozie nie myślała już o sprawie Jerzego, gdyż znowu pochłonęło ją całkowicie przestępstwo Filipa. Przyszło jej na myśl, że ta kobieta mogłaby złożyć wobec sędziów wyjaśnienia, które by ich poruszyły; i zamierzała ją błagać, by zeznawała na korzyść jej syna. Na dole drzwi pałacu były otwarte. Mając chore nogi, wahała się, czy wejść na schody, lecz słysząc przeraźliwy krzyk zdecydowała się jednak pójść na górę: jakiś mężczyzna leżał na podłodze z czerwoną plamą na koszuli. Był to Jerzy, jej drugie dziecko.

Nana powtarzała głupio:

— Chciał się ze mną ożenić, powiedziałam „nie", więc się zabił. Pani Hugon nawet nie krzyknęła, tylko się pochyliła. Tak, to był Jerzy. Jeden syn zniesławiony, drugi zamordowany. Zmartwiała wobec tak potwornej klęski. Zapominając, gdzie się znajduje, klęcząc na dywanie i nikogo nie widząc, wpatrywała się w twarz Jerzego. Nasłuchiwała z ręką na jego sercu. Wydała słabe westchnienie, gdyż poczuła, że serce bije. Podniosła więc głowę, obejrzała pokój i tę kobietę, jakby sobie coś przypominała. W jej wyblakłych oczach zapalał się płomień. Była tak wielka, tak straszliwie milcząca, że Nana drżała i usiłowała się jeszcze bronić, stojąc nad tym ciałem, które jej zagradzało drogę.

— Przysięgam pani... Gdyby tu był jego brat, mógłby pani wyjaśnić...

— Jego brat ukradł pieniądze i jest w więzieniu — rzekła matka twardo.

Nana struchlała. Dlaczego oni to zrobili? W dodatku jeszcze tamten ukradł! W tej rodzinie są chyba sami szaleńcy! Przestała się spierać. Zachowywała się tak, jakby nie była w swoim domu, i pozwalała pani Hugon rozkazywać. Wreszcie przybiegli służący. Stara dama koniecznie chciała, żeby zanieśli zemdlonego Jerzego do jej powozu. Wolała, żeby umarł, byle tylko dłużej nie przebywał w tym domu. Nana osłupiałym wzrokiem patrzała na służących, którzy trzymali biednego Lulusia za ramiona i nogi. Matka szła za nim, wyczerpana, opierając się ostatkiem sił o meble, zdruzgotana wobec zagłady wszystkiego, co kochała. Na podeście buchnęła szlochem, odwróciła się i powiedziała dwa razy:

— Ach! Pani nam zrobiła dużo złego!... Pani nam zrobiła dużo złego! I nic więcej. Nana usiadła osłupiała, jeszcze w rękawiczkach i kapeluszu na głowie. Pałac pogrążył się znowu w głuchym milczeniu, powóz przed chwilą odjechał. Siedziała nieruchomo i bezmyślnie, a w głowie jej szumiało. W kwadrans później hrabia Muffat znalazł ją jeszcze na tym samym miejscu. Teraz dopiero ulżyła sobie potokiem słów, opowiadając mu o nieszczęściu; wracała dwadzieścia razy do tych samych szczegółów, podnosiła splamione krwią nożyczki, by odtworzyć gest, z jakim Luluś zadawał sobie cios. Zależało jej przede wszystkim na tym, żeby udowodnić swoją niewinność.

— Powiedz, kochanie, czy to moja wina? Czy skazałbyś mnie, gdybyś był sędzią?... Nie kazałam przecież Filipowi okradać kasy; tak samo jak nie kazałam temu biedactwu, żeby się zarzynał... W tym wszystkim ja jestem najbardziej nieszczęśliwa. Przychodzą tu do mnie, popełniają głupstwa, robią mi kłopot, a potem jeszcze traktuje się mnie jak łajdaczkę... — I zaczęła płakać. W rozstroju nerwowym stała się wrażliwa i markotna, w swym wielkim bólu bardzo rozczulona. — Ty także wyglądasz, jakbyś był niezadowolony... Wypytaj Zoè, czyja tu jestem coś winna... Zoè, powiedz i wyjaśnij panu!... Już przez dobrą chwilę pokojówka, która wzięła z łazienki ręcznik i miednicę z wodą, wycierała dywan, by zetrzeć krwawą plamę, dopóki jeszcze była świeża.

— Och, proszę pana — stwierdziła — pani jest już dosyć zmartwiona!

Muffat był przejęty, zmrożony tym dramatem i pochłonięty myślą o matce opłakującej swych synów. Znał jej dobre serce i widział już, jak w swym wdowim stroju samotnie umiera w Fondettes. Lecz Nana coraz bardziej rozpaczała. Od zmysłów odchodziła wspominając obraz Lulusia, który upadł na podłogę z czerwoną plamą na koszuli.

— Taki był milutki, taki słodki i pieszczotliwy... Wiesz, kotku, przykro mi, jeśli to cię drażni, ale ja kochałam tego dzieciaka! Nie mogę się powstrzymać, to jest silniejsze ode mnie. A zresztą, powinno ci to być obojętne. Jego przecież już nie ma. Masz, czego chciałeś. Teraz możesz być pewny, że już mnie z nim nie zaskoczysz... — To przejęło go takim żalem, że zaczął ją wreszcie pocieszać. No cóż, powinna się okazać silna. Ona ma rację, to przecież nie jej wina. A Nana raptem powiedziała: — Słuchaj, pobiegniesz po wiadomości o nim... Natychmiast! Chcę tego!

Wziął kapelusz i poszedł po wiadomości o Jerzym. Gdy wrócił po trzech kwadransach, spostrzegł Nanę wychyloną niespokojnie przez okno; krzyknął do niej z trotuaru, że mały nie umarł i że jest nawet nadzieja uratowania go. Ogarnęła ją wielka radość. Śpiewała, tańczyła i mówiła, że życie jest piękne. Tymczasem Zoè nie była zadowolona ze swego zmywania. Ciągle patrzała na plamę i przechodząc mówiła za każdym razem:

— Proszę pani, jeszcze nie zeszło.

Istotnie na białej rozecie dywanu wyłaniała się znowu bladoczerwona plama. Na samym progu sypialni powstała jakby krwawa krecha przegradzająca drzwi.

— Ba! — rzekła Nana szczęśliwa. — To się wytrze pod nogami. Następnego dnia hrabia Muffat także zapomniał o całej awanturze. Przez chwilę, gdy jechał dorożką, która go wiozła na ulicę Richelieu, przysięgał sobie, że nie wróci do tej kobiety. Czyż to nie było dla niego ostrzeżeniem z nieba? Patrzał na nieszczęście Filipa i Jerzego jak na zapowiedź swej własnej zguby. Lecz ani obraz pani Hugon zalanej łzami, ani widok chłopca rozpalonego od gorączki nie zdołały skłonić go do dotrzymania przysięgi. Ten wstrząsający dramat wywołał w nim tylko głuchą radość, że pozbył się rywala, którego czarująca młodość zawsze go drażniła. Przeżywał teraz miłość jedyną, jaka zdarza się mężczyznom, którzy nie mieli młodości. Kochał Nanę i pragnął mieć pewność, że należy tylko do niego, pragnął słyszeć jej głos, czuć jej dotyk, jej oddech. Lecz ta jego tkliwość nie ograniczała się do zmysłów. Miał dla niej wiele serdecznej czułości i przywiązania; był zazdrosny ojej przeszłość, a nawet marzył o chwili, gdy uzyskają rozgrzeszenie i klękną razem przed obliczem Boga. Z każdym dniem stawał się bardziej religijny. Znowu praktykował, spowiadał się i komunikował przeżywając ciągle wal-

ki wewnętrzne i potęgując swymi wyrzutami sumienia uroki grzechu oraz pokuty. A ponieważ spowiednik pozwolił mu na tę namiętność, codzienny grzech, okupywany porywami wiary pełnymi nabożnej pokory, stał się już przyzwyczajeniem.

Z całą naiwnością ofiarowywał niebu jako pokutę swoją potworną udrękę. Dogłębnie przeżywał mękę człowieka wierzącego, który wpadł w szpony wściekle zmysłowej dziewki. Dobijała go przede wszystkim ciągła niewierność tej kobiety. Nie umiał pogodzić się z tym, że miałby się nią z kimś dzielić, i nie rozumiał jej głupich kaprysów. Pragnął miłości wiecznej i stałej. A ona przecież przysięgała, że będzie wierna i za to właśnie jej płaci. Czuł jednak, że Nana kłamie, że nie potrafi panować nad sobą i oddaje się przyjaciołom, przechodniom, po prostu jak zwierzę stworzone na to, by żyć bez koszuli. Pewnego ranka, gdy zobaczył, jak Foucarmont wychodzi od niej o dziwnej porze, zrobił jej scenę. Nana wybuchła, zmęczona jego zazdrością. Poprzednio kilkakrotnie już była dla niego miła. Na przykład owego wieczoru, gdy zastał ją niespodzianie z Jerzym, przyszła do niego pierwsza, wyznając swe błędy, obsypując go pieszczotami i czułymi słowami, by łatwiej mógł to przełknąć. Ale w gruncie rzeczy zadręczał ją ciągłym brakiem zrozumienia dla kobiet. Stała się więc brutalna.

— No tak, spałam z Foucarmontem. Więc co? Zawiodłeś się, mój Mufciu?

Po raz pierwszy rzuciła mu w twarz swoje „mój Mufciu". Oburzył go jej arogancki ton; a ponieważ zaciskał pięści i zbliżał się do niej, spojrzała mu w twarz.

— Może już dość tego, co?... Jeżeli ci się nie podoba, zrób mi przyjemność i wynoś się... Nie chcę, żebyś krzyczał w moim domu... Zakonotuj sobie w swojej łepetynie, że ja chcę być wolna. Gdy jakiś mężczyzna mi się podoba, kładę się z nim do łóżka. Tak, właśnie tak... Musisz się natychmiast zdecydować: tak albo — jeżeli nie — możesz sobie iść.

Już otwierała drzwi. Lecz on nie wyszedł. Odtąd Nana miała sposób, żeby go jeszcze bardziej do siebie przywiązać. Przy najmniejszej sprzeczce dawała mu do wyboru: albo tak, albo niech się wynosi, robiąc przy tym obrzydliwe uwagi. Mówiła, że ona może przecież zawsze znaleźć kogoś lepszego od niego, ma z czego wybierać. Mężczyzn jest, ilu się tylko chce, i w dodatku nie żadnych niedorajdów, ale ludzi z kipiącą krwią w żyłach. W takich chwilach hrabia opuszczał głowę i czekał na łaskawsze godziny, gdy Nana potrzebowała pieniędzy. Stawała się wtedy pieszczotliwa, a on zapominał o wszystkim, bo jedna tkliwa noc opłacała tortury całego tygodnia. Pogodzenie z żoną sprawiło, że dom był już dla niego nie do zniesienia. Hrabina, porzucona przez Fauchery'ego, który znowu dostał się pod wpływ Róży, pocieszała się. innymi miłostkami, przeżywając gorączkowy niepokój kobiety czterdziestoletniej. Była ciągle zdenerwowana, obłąkany wir jej życia źle wpływał na atmosferę pałacu. Stella od czasu ślubu nie widywała już ojca. Ta płaska i bezbarwna dziewczyna okazała się nagle kobietą o żelaznej sile woli i tak bezwzględną, że Daguenet drżał przed nią. Nawrócony, chodził teraz z nią na mszę i wściekły był na swego teścia, który rujnował ich dla tej kreatury. Jedynie pan Venot był nadal czuły dla hrabiego, czekając cierpliwie na odpowiednią porę działania. Doszło nawet do tego, że wkręcił się do Nany i bywał w obu domach, gdzie można go było spotkać zawsze uśmiechniętego. A Muffat, który czuł się nieszczęśliwy w swoim domu, uciekał przed nudą i hańbą i wolał żyć wśród obelg przy alei Villiers.

Niebawem już tylko jedna sprawa łączyła Nanę z hrabią: pieniądz. Pewnego dnia, przyrzekłszy jej formalnie dziesięć tysięcy franków, ośmielił się pokazać o umówionej godzinie z pustymi rękami. Od dwóch dni podniecała go pieszczotami. A gdy nie dotrzymał słowa i wszystkie jej czułe zabiegi okazały się daremne, wpadła w grubiańską wściekłość. Była blada jak ściana.

— Co? Nie masz pieniędzy... Wobec tego, mój Mufciu, wracaj, skąd przyszedłeś, i to jak najprędzej! To dopiero bałwan! Jeszcze chciał mnie całować!... Jak nie dasz pieniędzy, figę dostaniesz, słyszysz? — Próbował wyjaśniać mówiąc, że pojutrze będzie miał tę sumę. Lecz przerwała mu gwałtownie. — A co z moimi terminami płatności! Zrobią mi zajęcie, podczas gdy szanowny pan będzie tu przychodził za darmo... Ach, spójrz przynajmniej na siebie! Czy

ty sobie wyobrażasz, że ja cię kocham dla twoich pięknych oczu? Kiedy ktoś ma taki pysk, musi płacić kobietom, które raczą go tolerować. Na miłość boską! Jeżeli dziś wieczorem nie przyniesiesz mi tych dziesięciu tysięcy franków, nie pozwolę ci cmoknąć nawet końca mojego małego palca... Naprawdę, odeślę cię do żony!

Wieczorem przyniósł dziesięć tysięcy franków. Nana podała mu usta, a on złożył na nich długi pocałunek, który pocieszył go po całym dniu strapienia. Młodą kobietę nudziło jednak, że bez przerwy czepiał się jej spódnic. Skarżyła się panu Venot błagając, żeby zabrał jej Muffcia do hrabiny; czyżby ich pojednanie niczego nie zmieniło? Żałowała, że mieszała się w tę sprawę, skoro i tak spadł jej znowu na kark. Gdy w gniewie zapominała o swoich interesach, przysięgała, że zrobi mu takie świństwo, by nie mógł już przestąpić jej progu. Krzyczała na niego waląc się po udach, ale choćby nawet napluła mu w twarz, on zostałby przy niej i jeszcze by dziękował. Zaczęły się znowu ciągłe sceny o pieniądze. Żądała ich brutalnie, pyskowała z powodu marnych sum, wstrętnie, mu wymawiała każdą minutę i z okrucieństwem powtarzała, że sypia z nim tylko dla pieniędzy, że to wcale jej nie bawi, że kocha innego i jest bardzo nieszczęśliwa nie mogąc się obyć bez podobnego idioty. Przecież nawet na dworze cesarskim już go nie chciano i mówiono o jego dymisji. Cesarzowa powiedziała: „On jest zbyt odrażający." To rzeczywiście racja. Dlatego też Nana powtarzała na zakończenie każdej sprzeczki:

— Wiesz, ja się tobą brzydzę!

Teraz już się wcale nie krępowała, gdyż odzyskała zupełną swobodę. Codziennie urządzała spacer dokoła stawu w Lasku Bulońskim, nawiązując znajomości, które w innym miejscu rozwiązywała. Odbywały się tam wielkie łowy, ostentacyjna prezentacja w pełnym słońcu, pokaz słynnych ladacznic, które zaczepiały przechodniów, otoczone olśniewającym zbytkiem i pobłażliwym uśmiechem Paryża. Księżne pokazywały ją sobie spojrzeniem, wzbogacone mieszczki wzorowały się na jej kapeluszach. Niekiedy jej lando przejeżdżając zatrzymywało sznur wspaniałych pojazdów; siedzieli w nich finansiści trzymający całą Europę w garści i ministrowie, których grube palce ściskały Francję za gardło. Nana należała do tego towarzystwa z Lasku i zajmowała w nim poczesne miejsce; znana we wszystkich stolicach, pożądana przez wszystkich cudzoziemców, swoją szaloną rozpustą podnosiła splendor tego tłumu, jakby ucieleśniała sławę i rozkosz zmysłową narodu. Bywała w wielkich restauracjach, w pogodne dni często w „Madryckiej", gdyż otwierały jej tam drogę nocne przygody i przelotne miłostki, o których już rano zapominała. Poznawała personel ambasad, w towarzystwie panów kaleczących język francuski chodziła na obiady z Lucy Stewart, Karoliną Hèquet, Marią Blond; ci panowie zabierali je na wieczorną libację żądając tylko, żeby były zabawne; a byli tak zblazowani i znudzeni, że nawet ich nie dotykali. Nazywały to „wyprawą na niby" i uszczęśliwione, że ich nie chciano, wracały do domu, by resztę nocy spędzić w ramionach swych kochanków.

Hrabia Muffat udawał, że o niczym nie wie, skoro nie podsuwała mu mężczyzn pod nos. Cierpiał zresztą dotkliwie z powodu drobnych, codziennych upokorzeń. Pałac przy alei Villiers stawał się piekłem, domem wariatów, w którym o każdej porze działy się dzikie awantury. Dochodziło do tego, że Nana biła się ze służbą. Ni z tego, ni z owego zaczynała okazywać szczególną sympatię stangretowi Karolowi. Gdy zatrzymywała się w jakiejś restauracji, posyłała mu przez kelnera kufle piwa. Rozweselona gwarzyła z nim z wnętrza powozu; bawiło ją, gdy w natłoku pojazdów „wdawał się w pyskówki z dorożkarzami". Ale potem bez powodu traktowała go jak idiotę. Ciągle kłóciła się o słomę, otręby, owies. Choć lubiła zwierzęta, uważała, że jej konie jedzą za wiele. Gdy pewnego dnia przy obrachunku zarzuciła Karolowi, że ją okrada, uniósł się i nazwał ją bez ogródek kurwą; powiedział, że jego konie są więcej warte od niej, bo nie sypiają z każdym. Nana odpowiedziała w tym samym tonie, więc hrabia musiał ich rozdzielić i przepędzić stangreta. Lecz od tej chwili służba zaczęła się rozprzęgać. Wiktoria i Franciszek odeszli z powodu kradzieży klejnotów. Julian także zniknął; opowiada-

no, że to pan dał mu znaczną sumę błagając, by odszedł, służący sypiał bowiem z panią. Co tydzień pojawiały się w kredensie nowe twarze. Nigdy nie było takiego bezgotowia; dom stał się jakby pasażem, przez który przewijały się wybierki z biur pośrednictwa, przyspieszając jego ruinę. Zoè wprawdzie została, ale była zajęta jedynie myślą, by jakoś radzić sobie z tym nieładem, do czasu gdy zdobędzie środki pozwalające otworzyć interes na własny rachunek, bo taki plan dojrzewał w niej od dawna.

Ale wszystko to były jeszcze zmartwienia, do których można się było od biedy przyznać. Hrabia znosił głupotę pani Maloir, grając z nią w bezika, choć śmierdziała czymś zjełczałym; znosił panią Lerat i jej paplaninę, Ludwisia i jego żałosne skargi dziecka trawionego chorobą, jakby zgnilizną odziedziczoną po nieznanym ojcu. Ale zdarzały się jeszcze gorsze rzeczy. Któregoś wieczoru usłyszał przez drzwi, jak Nana z wściekłością opowiadała pokojówce, że ostatnio oszukał ją pewien domniemany bogacz; ten piękny mężczyzna mówił, że jest Amerykaninem, że ma w swoim kraju kopalnie złota, a okazał się łobuzem, który wyszedł od niej, gdy spała, i nie zostawił nawet grosza zabierając jeszcze bibułki do papierosów. Hrabia zbladł i zszedł po schodach na palcach, by udać, że o niczym nie wie. Lecz innym razem był zmuszony dowiedzieć się o wszystkim. Nana, zakochana w pewnym barytonie z szantanu i porzucona przez niego, w przystępie czarnej melancholii marzyła o samobójstwie; wypiła szklankę wody, w której namoczyła garść zapałek. To przyprawiło ją o ciężką chorobę, ale jej nie zabiło. Hrabia musiał ją pielęgnować i wysłuchiwać historii tej miłości opowiadanej wśród łez i przysiąg, że już nigdy nie będzie się przywiązywała do mężczyzn. Choć miała taką odrazę do tych świń, jak ich nazywała, nie mogła jednak żyć z pustym sercem. Zawsze musiała mieć przy sobie jakiegoś najdroższego kochanka; znużona fizycznie, zdradzała zresztą dziwne sympatie i przewrotne gusty. Od czasu gdy Zoè zaczęła się systematycznie zaniedbywać, administracja pałacu szwankowała do tego stopnia, że Muffat nie miał odwagi pchnąć drzwi, pociągnąć zasłony czy otworzyć szafy, gdyż wszystko to już się waliło. Wszędzie wałęsali się panowie, którzy co krok natykali się na siebie. Teraz Muffat zawsze kaszlał, zanim wchodził do pokoju, bo pewnego razu, gdy wyszedł na chwilkę z buduaru, by kazać zaprzęgać, a fryzjer wykańczał właśnie fryzurę pani, niewiele brakowało, a byłby zastał młodą kobietę zawieszoną u szyi Francisa. Ledwie się odwrócił, łajdaczyła się po kątach z pierwszym lepszym, obojętne, czy była w koszuli, czy w wielkiej toalecie. Zeszła do powozu rozpłomieniona i szczęśliwa, że znowu udało jej się ukraść chwilę rozkoszy. Życie z nim śmiertelnie ją nudziło, była to dla niej okropna pańszczyzna!

Dręczony zazdrością, nieszczęsny Muffat tak się poniżał, że był spokojny, gdy zostawiał Nanę z Satin. Najchętniej by ją nawet popychał do tego występku, żeby odsuwać od niej mężczyzn. Lecz i tu wszystko zawodziło, bo Nana zdradzała Satin tak samo, jak zdradzała hrabiego; ulegając potwornym kaprysom, łapała dziewki po bramach. Gdy wracała powozem, zadurzała się niekiedy w jakimś napotkanym flejtuchu, który podniecał jej zmysły i rozprzęgał wyobraźnię; zapraszała flejtucha do domu, płaciła, a potem go odprawiała. W męskim przebraniu urządzała w podejrzanych domach zabawy i rozpustne sceny, którymi rozpraszała nudę. A Satin zła, że Nana ją zaniedbuje, robiła w pałacu okropne awantury i w końcu zdobyła absolutną władzę nad Naną, która wobec niej znała mores. Muffat marzył nawet o tym, by zawrzeć z Satin przymierze. Gdy sam nie miał odwagi, podjudzał ją: dwukrotnie zmusiła swoją ukochaną, by wróciła do niego; a on ze swej strony wyrządzał jej przysługi, ostrzegał ją i znikał na jej skinienie. Przymierze to nie trwało jednak długo, bo Satin także była narwana. Nieraz ─ półprzytomna ─ tłukła, co się dało, ulegając wściekłym atakom gniewu i czułości, ale ładna była mimo wszystko. Zoè widocznie przewróciła jej w głowie, bo rozmawiała z nią po kątach, jakby ją chciała zwerbować dla swej wielkiej sprawy, planu, o którym jeszcze nikomu nie mówiła. Tymczasem hrabia Muffat przeżywał okresy osobliwego buntu. Choć od miesięcy tolerował Satin i pogodził się wreszcie z obecnością całego stada obcych mężczyzn, którzy w tempie galopu przesuwali się przez alkowę Nany, unosił się gniewem na myśl, że

jest zdradzany z kimś ze swego towarzystwa lub po prostu z kimś znajomym. Gdy mu się przyznała do swych stosunków z Foucarmontem, sprawiło mu to taki ból i zdrada młodego człowieka wydała mu się tak wstrętna, że chciał wyzwać go na pojedynek. Nie wiedząc, gdzie szukać świadków, zwrócił się do Labordette'a który osłupiał i nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Pojedynek o Nanę... Ależ, drogi panie, cały Paryż pana wyśmieje. Nikt się nie pojedynkuje o Nanę, to byłoby komiczne! Hrabia zbladł jak ściana, obruszył się gwałtownie i powiedział:

— Wobec tego spoliczkuję go na ulicy.

Labordette musiał przez godzinę przemawiać mu do rozsądku. Policzek odbiłby się w całym mieście brzydkim echem. Wieczorem wszyscy znaliby już prawdziwy powód spotkania, a hrabia stałby się pośmiewiskiem dzienników. Labordette kończył swój wywód tą samą konkluzją:

— Niemożliwe, to jest po prostu komiczne.

Za każdym razem te dobitne i stanowcze słowa cięły Muffata jak nożem. Więc nie może się nawet pojedynkować o kobietę, którą kocha, bo ludzie pękaliby ze śmiechu. Nigdy boleśniej nie odczuł nędzy swej miłości, głębokiego uczucia, które zostało sponiewierane przez kpiny i rozpustę. To był zresztą jego ostatni bunt. Dał się przekonać i odtąd znosił potulnie ciągłą defiladę przyjaciół i wszystkich mężczyzn, którzy byli zażyłymi bywalcami pałacu.

W ciągu kilku miesięcy Nana żarłocznie ich pochłaniała jednego po drugim. Apetyty jej stawały się szalone, w miarę jak rosły potrzeby zbytkownego życia. Ograbiała mężczyznę za jednym zamachem. Najpierw zajęła się Foucarmontem i zlikwidowała go w parę dni. Chłopak marzył o tym, by rzucić marynarkę, i w ciągu dziesięciu lat podróży morskich zgromadził około trzydziestu tysięcy franków, które chciał ulokować w Stanach Zjednoczonych. Lecz cały ten jego zmysł przezorności, skąpstwa niemal, diabli wzięli. Zaprzepaścił wszystko wraz z podpisami na wekslach grzecznościowych, przekreślając w ten sposób swoją przyszłość. Gdy wypchnęła go z domu, był zupełnie goły. Okazała się zresztą bardzo dobra, gdyż poradziła mu, żeby wrócił na swój statek. Po co się upierać? Wytłumaczyła mu, że ponieważ nie ma pieniędzy, nie ma już u niej co robić. Powinien to zrozumieć i okazać się rozsądnym. Mężczyzna zrujnowany wypadał z jej rąk jak dojrzały owoc, by samotnie gnić na ziemi.

Potem Nana zajęła się Steinerem, bez odrazy, ale i bez czułości. Traktowała go jak wstrętnego Żyda, wyładowując dawną nienawiść, z której on nie zdawał sobie dobrze sprawy. Był gruby i głupi, więc spieszyła się łykając podwójne kąski, żeby szybciej skończyć z tym Prusakiem. Porzucił Simonę, a jego interesy w Bosforze zaczynały się chwiać. Nana przyspieszyła krach przez swoje szalone wymagania. Jeszcze w ciągu miesiąca szamotał się robiąc cuda. Organizował w całej Europie kolosalną reklamę, afisze, ogłoszenia, prospekty i wyciągał pieniądze z najbardziej odległych krajów. Wszystkie te sumy — zarówno ludwiki ze spekulacji, jak i grosze biednych ludzi — przepadały przy alei Villiers. Z drugiej strony zawiązał spółkę z właścicielem huty żelaza w Alzacji. W tym prowincjonalnym kącie pracowali robotnicy czarni od węgla i zlani potem; ich muskuły prężyły się we dnie i w nocy, a kości trzeszczały, żeby starczyło pieniędzy na zachcianki Nany. Jak wielki ogień pochłaniała wszystko, zarówno złodziejstwa spekulacji, jak i zyski z pracy. Tym razem doprowadziła do ruiny Steinera i rzuciła go na bruk wyssanego aż do szpiku i tak wyciśniętego, że nie był już zdolny do wynalezienia jakiegoś nowego łajdactwa. W chwili bankructwa jego banku tylko bełkotał i drżał na myśl o policji. Gdy ogłoszono jego upadłość, samo słowo pieniądz wytrącało go z równowagi, wywoływało w nim dziecinne zakłopotanie, choć przedtem obracał milionami. Pewnego wieczoru zaczął u niej płakać i poprosił o pożyczenie stu franków na zapłacenie służącej. A Nana, wzruszona i ubawiona tym żałosnym losem człowieka, który od dwudziestu lat dzięki swym matactwom zarabiał w Paryżu kolosalne sumy, przyniosła mu te franki mówiąc:

— Wiesz co, daję ci je, bo to mnie bawi... Ale słuchaj, mój mały, nie jesteś już w tym wieku, żebym cię miała utrzymywać. Musisz sobie poszukać innego zajęcia. Z kolei Nana zabrała się do la Faloise'a, który już od dawna zabiegał o ten zaszczyt, by za jej sprawą stać się bankrutem, bo to należało do szyku. Brakowało mu jeszcze tego, by jakaś kobieta wprowadziła go w świat. Myślał, że w ciągu dwóch miesięcy stanie się znany w całym Paryżu i zobaczy swoje nazwisko w dziennikach. A tymczasem wystarczyło na to sześć tygodni. W szybkim tempie musiał sprzedawać majątek, który odziedziczył w ziemiach, łąkach, lasach, folwarkach. Za każdym kęsem Nana pożerała jedną morgę. Liście połyskujące w słońcu, łany dojrzałego zboża, winnice złocące się we wrześniu, wysokie trawy, w których krowy zanurzały się aż po brzuchy, wszystko to przepadało jakby w otchłani. Stracił nawet rzekę, kopalnię gipsu i trzy młyny. Nana niszczyła wszystko jak najazd czy chmara szarańczy, której przelot rujnuje całą prowincję. Spalała ziemię, na którą stąpnęła swą nóżką. Folwark za folwarkiem, łąkę za łąką — schrupała z wdziękiem całe dziedzictwo, nie zdając sobie z tego sprawy, jakby w przerwie pomiędzy posiłkami chrupała leżącą na jej kolanach torebkę pralinek. Tylko że chrupanie cukierków nie pociągało za sobą żadnych skutków, a z majątku pozostał jedynie mały lasek. Pochłonęła go z wzgardliwą miną, bo z tego powodu nie warto było nawet ręką machnąć. La Faloise śmiał się idiotycznie, ssąc gałkę laski. Przytłoczony długami, nie miał już nawet stu franków renty, był więc zmuszony wrócić na prowincję i zamieszkać u swego wuja maniaka. Ale wcale się tym nie przejął uważając, że to należy do szyku, i czuł się szczęśliwy, gdyż w „Figaro" dwa razy wydrukowano jego nazwisko. Z chudą szyją wystającą spomiędzy zagiętych rogów sztywnego kołnierzyka, cały przygarbiony w za krótkiej marynarce, kiwał się krzycząc jak papuga i przybierając sztuczne pozy marionetki, która nigdy nie przeżyła żadnego wzruszenia. Nana zaczęła go w końcu bić, tak ją drażnił.

Tymczasem wrócił do Nany Fauchery przyprowadzony przez kuzyna. Nieszczęśliwiec żył teraz jakby w związku małżeńskim. Po zerwaniu, z hrabiną dostał się w ręce Róży, która go traktowała jak prawdziwego męża. Mignon był tylko majordomem. Dziennikarz, zainstalowawszy się u Mignonów, okłamywał Różę i zdradzając ją zachowywał wszelkie środki ostrożności: miał mnóstwo skrupułów jak dobry mąż pragnący się wreszcie ustatkować. Nana triumfowała, że go dostała w swoje ręce i że zjada jego dziennik założony za pieniądze przyjaciela. Nie afiszowała się z nim, lecz odczuwała nawet przyjemność w tym, że jest człowiekiem, który musi się ukrywać. O Róży mówiła: „ta biedna Róża". Dziennik wystarczył dla niej na kwiaty w okresie dwóch miesięcy. Wyciskała, co się tylko dało. Gdy już zrujnowała redakcję i rozbiła administrację, dla kaprysu urządziła w swym pałacu ogród zimowy, co pochłonęło drukarnię. Wszystko to robiła zresztą z pustoty. Gdy Mignon uszczęśliwiony całą tą historią przybiegł do Nany, by zobaczyć, czy nie mógłby jej na dobre wpakować Fauchery-'ego, powiedziała, że chyba z niej kpi: jeszcze czego, potrzebny jej taki drab bez grosza, żyjący tylko z artykułów i sztuk! To może dobre dla kobiety utalentowanej jak biedna Róża. Toteż z obawy, że Mignon mógłby ją zdradzić i donieść o wszystkim swej żonie, odprawiła Fauchery'ego, który zresztą płacił jej już tylko w postaci reklamy.

Lecz zostało jej po nim dobre wspomnienie, bo świetnie się razem ubawili kosztem tego idioty la Faloise'a. Nigdy może nie przyszłaby im ochota znowu się zobaczyć, gdyby ich nie podniecała przyjemność wyszydzenia tego kretyna. Jak w farsie całowali się w jego obecności, urządzali hulanki za jego pieniądze, a gdy chcieli zostać sami, posyłali go niczym gońca na drugi kraniec Paryża. Kiedy wracał, drwili i robili aluzje, których nie mógł zrozumieć. Pewnego dnia Nana, podjudzona przez dziennikarza, założyła się, że spoliczkuje la Faloise'a. Tegoż wieczoru sprała go po twarzy i odtąd stale go tłukła; wydało jej się to śmieszne i czuła się szczęśliwa, że może pokazać, jacy podli są mężczyźni. Nazywała go „swoją szufladą na klapsy", kazała mu podejść bliżej, żeby móc mu wymierzyć policzek, a raczej policzki, od których ręka jej robiła się czerwona, gdyż nie nabrała jeszcze wprawy. La Faloise śmiał się ze łzami w oczach, robiąc głupią minę. Ta poufałość go zachwycała, uważał, że Nana jest zdumiewająca.

— Wiesz co — rzekł pewnego wieczoru bardzo podniecony, otrzymawszy od niej porcję szturchańców — powinnaś zostać moją żoną... Co? Oboje świetnie byśmy się bawili!

Nie rzucał słów na wiatr. W głębi serca projektował to małżeństwo pragnąc zadziwić Paryż. Mąż Nany — to dopiero fason! Choć może porywa się na rzecz trochę zuchwałą! Ale Nana porządnie utarła mu nosa.

— Ja bym ciebie miała poślubić!... Ach! Co za pomysł! Gdybym chciała, już dawno byłabym znalazła męża! I w dodatku mężczyznę, który byłby dwadzieścia razy więcej wart niż ty, mój mały... Miałam mnóstwo propozycji. No, liczmy: Filip, Jerzy, Foucarmont, Steiner to już czterech, a byli jeszcze inni, których nie znasz... Wszyscy powtarzali ten sam refren. Nie mogę być dla nikogo miła, bo natychmiast zaczynają śpiewać: „Czy chcesz mnie poślubić, czy chcesz mnie poślubić..." — uniosła się gniewem, a potem rzuciła ze świętym oburzeniem: — Ech, nie, nie chcę!... Czyja do tego pasuję? Popatrz na mnie! przecież nie byłabym już Naną, gdybym sobie wzięła mężczyznę na kark... A zresztą to jest wstrętne...

Pluła i dostała czkawki z obrzydzenia, jakby nagle zobaczyła podłość całego świata. Pewnego wieczoru la Faloise zniknął. W tydzień później dowiedziano się, że jest na prowincji u swego wuja, który miał manię zbierania roślin. Naklejał mu rośliny w zielnikach i starał się o rękę swej bardzo brzydkiej i bardzo pobożnej kuzynki. Nana nie płakała za nim, tylko powiedziała do hrabiego:

— No co, mój Mufciu, znowu o jednego rywala mniej. Chyba się cieszysz... Wyobraź sobie, że ten zaczynał brać sprawę poważnie! Chciał się ze mną ożenić. — Widząc, że hrabia zbladł, uwiesiła mu się na szyi. Śmiała się i osładzając swoje szyderstwa pieszczotami mówiła: — Wiem, że to cię dręczy, bo sam nie możesz ożenić się z Naną... Gdy wszyscy oni zanudzają mnie propozycjami małżeństwa, ty wściekasz się skrycie... Na razie to jest niemożliwe, trzeba czekać, aż twoja żona kipnie... Ach, gdyby ona umarła, jakbyś tu szybko przyleciał Jakbyś się rzucił na ziemię i ofiarował mi swoją rękę, odgrywając wspaniałą scenę pełną westchnień, łez, przysiąg. Co, kochanie! Jak to byłoby dobrze!

Mówiła głosem łagodnym, drwiącym z niego, lecz udając namiętną czułość. Hrabia wzruszony poczerwieniał i całował ją tkliwie. Ale Nana wybuchła:

— Na miłość boską! I pomyśleć, że zgadłam! On rzeczywiście o tym myślał, po prostu czeka, aż jego żona zdechnie... Ach, doprawdy, to już szczyt wszystkiego! Toż to większy z ciebie łajdak niż inni!

Muffat godził się na innych. Ratował już tylko resztki godności, by pozostać „panem" wobec służących i domowników, człowiekiem, który dając najwięcej był oficjalnym kochankiem. Roznamiętniał się coraz bardziej. Tkwił przy niej, bo płacił i drogo od niej kupował nawet uśmiechy, ale w gruncie rzeczy był okradany, bo nie odpłacała mu nigdy jego pieniędzy; w żaden sposób nie mógł się jednak wyleczyć z tej trawiącej go choroby. Gdy wchodził do sypialni Nany, otwierał na chwilę okna, by wywietrzyć zapachy po innych mężczyznach, odory po blondynach i brunetach, a także dym z papierosów, którym się dusił. Ta sypialnia stała się jakby rozdrożem, ciągle ktoś wycierał buty na jej progu. Nikogo nie zatrzymywała krwawa plama zagradzająca wejście. Zoè ciągle zajmowała się tą plamą, która ją drażniła; uważnie się jej przyglądała i wchodząc do pani mówiła:

— Dziwne, że to nie znika... A przecież przychodzi tu sporo osób. Nana, która otrzymywała jak najlepsze wiadomości od Jerzego przebywającego wówczas ze swą matką w Fondettes na rekonwalescencji, za każdym razem odpowiadała to samo:

— Ach, co zrobić, na to trzeba czasu... Ale przecież plama blednie pod nogami.

Istotnie każdy z panów bywających u Nany, Foucarmont. Steiner, la Faloise, Fauchery, zabierał odrobinę tej plamy na swoich podeszwach. A Muffat, którego krwawa krecha interesowała tak samo jak pokojówkę, bezwiednie ją studiował; chciał bowiem odczytać liczbę przechodzących tędy mężczyzn na podstawie blednącej coraz bardziej plamy, która stawała się już

różowa. Dziwnie się jej bat, zawsze starał się na nią nie stąpnąć, jakby nie chciał nadepnąć na coś żywego, na jakieś żywe ciało rozłożone na podłodze.

A potem w sypialni dostawał zawrotu głowy. Zapominał o wszystkim, o tłumie samców, którzy tędy przechodzili, i o żałobie, która przegradzała drzwi. Nieraz owiany chłodem ulicy płakał zawstydzony i zbuntowany przysięgając, że już nigdy do Nany nie wróci. Ale skoro tylko opadała portiera w drzwiach, na nowo poddawał się jej urokowi, czuł, że w tym przytulnym pokoju zupełnie się rozpływa. Ciało jego przenikał rozkoszny zapach, ogarniała go lubieżna chęć zatracenia się. Jako dewot, przywykły do przeżywania ekstaz religijnych, odnajdywał tu wrażenia podobne do upojenia muzyką organową i dymem kadzideł, gdy w zasobnej kaplicy klęczał pod witrażem. Kobieta wzięła go w posiadanie równie zachłannie i despotycznie jak Bóg karzący i dawała mu sekundy spazmatycznej radości okupione godzinami potwornych udręk, wizji piekła i mąk wiecznych. Tu i tam powtarzały się te same bełkoty, modlitwy i rozpacze, a także upokorzenia istoty przeklętej i napiętnowanej przez grzechy przodków. Trudno było odróżnić męskie żądze od wzlotów duchowych, tak się w nim pomieszały tworząc jakby jeden wspólny pień życia. Poddawał się oddziaływaniu miłości i wiary, dwóch sił stanowiących dźwignię świata. Choć odzywał się w nim głos rozsądku, w sypialni Nany ogarniał go zawsze szał zmysłowy, któremu z drżeniem ulegał, podobnie jak omdlewał na myśl o Niewiadomym, ukrytym w rozległych przestrzeniach nieba.

Gdy Nana wyczuła, że hrabia jest taki pokorny, zaczęła go tyranizować i z pasją poniżać. Nie wystarczało jej niszczyć, musiała także brukać to, czego dotknęła. Jej delikatne ręce pozostawiały obrzydliwe ślady i doprowadzały wszystko do rozkładu. A on, głupiec, zgadzał się na tę zabawę, myśląc przy tym o świętych pożeranych przez wszy i zjadających swoje własne odchody. Gdy był z nią w sypialni przy drzwiach zamkniętych, upodlała go z satysfakcją. Najpierw żartowali: dawała mu klapsy i narzucała swe dzikie kaprysy. Musiał seplenić jak dziecko i powtarzać tylko końcówki zdań.

— Powiedz jak ja: „...pal sześć! Kotuś gwiżdże na to!”

Potulnie powtórzył, naśladując nawet jej akcent.

— „...pal sześć! Kotuś gwiżdże na to!”

Albo też udawała niedźwiedzia, skacząc w koszuli na czworakach po puszystych skórach i odwracając się z pomrukiem, jakby go chciała pożreć; dla żartu gryzła go nawet w łydki. Potem wstawała i mówiła:

— Teraz twoja kolej, spróbuj trochę... Założę się, że nie potrafisz udawać niedźwiedzia tak jak ja. To było jeszcze urocze. Bawiła go w roli niedźwiedzia ze swoją białą skórą i rudą grzywą. Śmiał się, chodził także na czworakach, mruczał, gryzł ją w łydki, a ona uciekała robiąc przerażone miny i wreszcie powiedziała:

— Ależ z nas głuptasy, co? Nie masz pojęcia, jak ty jesteś brzydki, kotku! Gdyby cię tak zobaczyli w Tuileriach!

Wkrótce jednak te igraszki stały się przykre. Nie była wprawdzie okrutna, bo w gruncie rzeczy nie była złą dziewczyną, lecz w tym zamkniętym pokoju ogarniał ich powoli istny szał. Nabożne lęki, które ich kiedyś dręczyły podczas bezsennej nocy, zmieniały się teraz w potworne zezwierzęcenie, w obłąkaną chęć chodzenia na czterech łapach, mruczenia i gryzienia. Pewnego dnia, gdy hrabia udawał niedźwiedzia, pchnęła go tak mocno, że zawadził o jakiś mebel. Widząc, że nabił sobie guza na czole, bezwiednie wybuchła śmiechem. Od tego czasu, stosując sposób wypróbowany już z la Faloise'em, zaczęła go traktować jak zwierzę, chłostała i kopała.

— Wio! Wio!... Jesteś przecież koniem... Wiśta! Wio, wstrętna szkapo! Innym razem był psem. Rzucała mu na koniec pokoju uperfumowaną chusteczkę, a on musiał biegać i podnosić ją zębami, łażąc na rękach i kolanach.

— Aport, Cezar!... Czekaj, sprawię ci lanie, jak będziesz się ociągał!... Bardzo dobrze, Cezar! Posłuszny, grzeczny!... Służyć!

A on lubił to upodlenie, odczuwając jakąś zmysłową rozkosz w tym, że jest bydlęciem. Chciał nawet przedłużać zabawę i krzyczał:

— Bij mocniej... Arrr! arrr! Wściekłem się, no, bij!

Któregoś dnia ubzdurała sobie, żeby przyszedł wieczorem w swym paradnym stroju szambelańskim. Śmiała się i kpiła, gdy zobaczyła go w pełnej gali z mieczem, w kapeluszu, w białych spodniach, we fraku z czerwonego sukna szamerowanym złotem, z symbolicznym kluczem zawieszonym pod lewą połą. Bawił ją zwłaszcza ten klucz pobudzając do szalonych i sprośnych uwag. Śmiejąc się ciągle i szydząc z utytułowanych wielkości, chciała go poniżyć właśnie w tym okazałym i oficjalnym stroju. Potrząsała nim i szczypała go krzycząc: „No, dalejże, szambelanie", dając mu przy tym tęgie kopniaki w tyłek. Te kopniaki posyłała przez niego do Tuilerii, do samego dworu cesarskiego, który panował, trzymając wszystkich w strachu i uległości. Taki był jej pogląd na społeczeństwo. Brała teraz odwet, wywołany podświadomą urazą odziedziczoną we krwi. Potem, gdy szambelan się rozebrał i rozłożył frak na podłodze, huknęła na niego, żeby skoczył — skoczył; huknęła, żeby napluł — napluł; huknęła, żeby podeptał złoto, orły i ordery — podeptał. Bęc! I wszystko się zawaliło. Zgniotła szambelana, jak zgniotła flakon lub porcelanowe cacko; zdeptała go jak robactwo, zmieszała z błotem.

Tymczasem złotnicy nie dotrzymali słowa i łóżko dostarczono dopiero około połowy stycznia. Muffat przebywał właśnie w Normandii, dokąd pojechał, by sprzedać resztki majątku, gdyż Nana żądała natychmiast czterech tysięcy franków. Miał wrócić dopiero trzeciego dnia, lecz załatwiwszy sprawę przyspieszył powrót i nie wstępując nawet na ulicę Miromesnil udał się na avenue Villiers. Wybiła godzina dziesiąta. Ponieważ miał klucz od bocznej bramy wychodzącej na ulicę Cardinet, wszedł swobodnie. Na górze, w salonie, wprawił w zakłopotanie Zoè, która wycierała właśnie brązy. Nie wiedząc, jak go zatrzymać, zaczęła długo i szeroko opowiadać, że pan Venot, bardzo wzburzony, szukał go od wczoraj i już dwa razy przychodził błagać ją, Zoè, żeby przysłała pana hrabiego do niego, gdyby najpierw przyszedł do pani. Muffat słuchał niczego nie rozumiejąc, ale gdy zauważył jej zmieszanie, nagle targnęła nim wściekła zazdrość, do jakiej — jak mu się zdawało — nie czuł się już zdolny, i rzucił się na drzwi sypialni, skąd dochodziły śmiechy. Drzwi otwarły się na rozcież. Zoè odeszła wzruszając ramionami: niech się dzieje, co chce! skoro jej pani oszalała, niech sama sobie daje radę.

A Muffat, stojąc w progu, na widok tego, co zastał, krzyknął:

— Mój Boże!... Mój Boże!

Nowa sypialnia jaśniała w swym królewskim przepychu. Różowy aksamit obicia, usiany pęczkami srebrnych nitek jak gwiazdami, miał ów cielistoróżowy odcień, jaki w pogodne wieczory widać na niebie, gdy na horyzoncie rozbłyska Wenus w blasku zorzy wieczornej; natomiast złote sznury zwisające w rogach pokoju i złote koronki obramowujące malowidła wyglądały jak zwiewne płomienie lub rozpuszczone rude włosy zasnuwające częściowo nagość pokoju i uwydatniające jego lubieżną bladość. Na wprost drzwi olśniewało świeżym blaskiem misternie cyzelowane łoże ze złota i srebra. Był to szeroki tron, na którym Nana mogła roztaczać uroki swego królewskiego ciała; bogaty ołtarz bizantyjski, godny jej wszechmocnych wdzięków, które właśnie wystawiła na pokaz niby bezwstydne ubóstwo siejące postrach dokoła. A obok niej, w świeżym blasku jej piersi triumfującej bogini, tarzała się hańba i zgrzybiałość, komiczna i żałosna ruina — markiz de Chouard w koszuli.

Hrabia załamał ręce. Wstrząsany dreszczem powtarzał:

— Mój Boże!... Mój Boże!

To dla markiza de Chouard rozkwitały na tym statku złote róże, pęki złotych róż rozwiniętych wśród złotych liści; dla niego pochylały się amorki, pląsając na srebrnej siatce, śmiejąc się i wyprawiając miłosne igraszki; u jego nóg faun pokazywał uśpioną nimfę, znużoną zmysłowymi rozkoszami; była to owa Noc, wierna kopia słynnego już aktu Nany, z jej nazbyt

wydatnymi udami, po których można ją było rozpoznać. Leżąc tam jak łachman ludzki, zepsuty i skażony przez sześćdziesiąt lat rozpusty, markiz był podobny do trupa w zestawieniu z olśniewającym ciałem tej kobiety. Gdy zobaczył, że otwierają się drzwi, zerwał się ogarnięty przerażeniem niedołężnego starca. Ta ostatnia noc miłosna ogłupiła go, zrobił się zdziecinniały. Na pół sparaliżowany, nie mógł wymówić słowa, jąkał się i trząsł, szykując się do ucieczki w koszuli podkasanej na chudym jak szkielet ciele, z wyciągniętą spod kołdry nędzną, siną nogą, pokrytą siwymi włosami. Nana nie mogła powstrzymać się od śmiechu, choć cała ta sytuacja była dla niej nad wyraz przykra.

— Kładź się, właźże do łóżka — rzekła przewracając go i pakując pod prześcieradło, jak jakieś paskudztwo, którego nie można pokazywać. I skoczyła, żeby zamknąć drzwi. Doprawdy nie miała szczęścia ze swym Mufciem! Zawsze zjawiał się nie w porę. Bo też dlaczego jechał do Normandii po pieniądze? Stary przyniósł jej cztery tysiące franków, więc zezwoliła mu na wszystko. Trzasnęła drzwiami i krzyknęła: — Dobrze ci tak! To twoja wina. Czy widział kto wchodzić tak obcesowo? Mam już dość tego, szczęśliwej drogi!

Muffat stał przed zamkniętymi drzwiami spiorunowany tym, co zobaczył. Wstrząsał nim coraz większy dreszcz, który szedł od nóg do piersi i do czaszki. Potem jak drzewo smagane silnym wiatrem zachwiał się i z trzaskiem padł na kolana. Wyciągając rozpaczliwie ręce wybełkotał:

— Tego już za wiele, Boże mój, tego za wiele!

Na wszystko się zgadzał, ale więcej już nie mógł. Czuł, że jest u kresu sił, że się pogrąża w zamroczeniu, które odbiera mu rozum. Ostatnim wysiłkiem podnosił coraz wyżej dłonie, szukał nieba i wzywał Boga.

— Och, nie, nie chcę już tego!... Och, przybądź do mnie, Boże mój! Wspomóż mnie i spraw, żebym wnet umarł!... Och, wybaw mnie, Boże, od tego człowieka! Wszystko skończone, weź mnie, zabierz, niech już nie widzę i nie czuję... Och, do ciebie należę, Boże, Ojcze nasz, który jesteś w niebie... Modlił się rozpalony wiarą. Z jego ust płynęły żarliwe słowa. Nagle ktoś dotknął jego ramienia. Podniósł wzrok i zobaczył pana Venot, który stanął jak wryty na widok Muffata przed zamkniętymi drzwiami, pogrążonego w modlitwie. Hrabia rzucił się staruszkowi na szyję, jakby sam Bóg zjawił się na jego wezwanie. Nareszcie mógł płakać, więc szlochając powtarzał:

— Bracie mój, bracie mój!... — Ten krzyk przynosił mu ulgę w cierpieniu. Oblewał łzami twarz pana Venot i całował go mówiąc urywane słowa: — Och, bracie, jak ja cierpię!... Ty jeden mi zostałeś... Zabierz mnie na zawsze, och, zmiłuj się i zabierz...

Pan Venot przycisnął go do piersi, nazywając go także swoim bratem. Ale miał mu zadać nowy cios; od wczoraj szukał sposobu, by go zawiadomić, że hrabina, zepsuta do ostatecznych granic, uciekła ostatnio z kierownikiem działu wielkiego magazynu i że cały Paryż mówi o tym potwornym skandalu. Widząc hrabiego w nastroju egzaltacji religijnej, wyczuł, że chwila jest odpowiednia, i opowiedział mu od razu o tym awanturniczym wybryku, który dopełniał tragicznej ruiny hrabiowskiego domu. Lecz to wcale nie wzruszyło hrabiego, ucieczka żony nie dotknęła go zbytnio, o tym pomyśli później. Przejęty trwogą, z przerażeniem patrzał na drzwi, na ściany, na sufit i błagał tylko:

— Niech mnie pan zabierze... Już dłużej tu nie wytrzymam, niech mnie pan zabierze! Pan Venot zabrał go jak dziecko. Od tej chwili Muffat całkowicie poddał się jego władzy i uciekł się na nowo do surowych praktyk religijnych. Życie jego było złamane. Złożył urząd szambelana, gdyż w Tuileriach dawano głośno wyraz oburzeniu. Własna córka Stella wytoczyła mu proces o sześćdziesiąt tysięcy franków, spadek po ciotce, który powinna była podjąć w chwili swego ślubu. Zrujnowany, żyjąc skromnie ze szczątków wielkiej fortuny, pozwalał, by hrabina doprowadzała go do ostatecznej ruiny i zjadała resztki, którymi Nana wzgardziła. Sabina, zarażona zepsuciem tej dziewki, stoczyła się ostatecznie na dno upadku, powodując zupełny rozkład domowego ogniska. Po wielu przygodach wróciła do męża, a on ją przyjął,

jako dobry chrześcijanin, odpuszczając jej winy. Żyła przy nim jak wcielenie jego hańby. Lecz on, coraz bardziej obojętny, przestawał się przejmować tymi sprawami. Niebiosa wyrwały go z rąk kobiety, by go rzucić w ramiona Boga. Religijne uniesienia były dlań jakby dalszym ciągiem zmysłowych rozkoszy, którymi darzyła go Nana. Bełkotał modlitwy, rozpaczał, znosił upokorzenia istoty przeklętej, napiętnowanej grzechem przodków. Klęcząc w kościele na zdrętwiałych od zimnej posadzki kolanach odnajdywał dawne uciechy: dreszcze wstrząsające gwałtownie jego ciałem i cudowne błyski inteligencji, które jednakowo zaspokajały jego najtajniejsze pragnienia.

W wieczór ów, gdy nastąpiło zerwanie. Mignon zjawił się przy alei Villiers. Przyzwyczaił się już do Fauchery'ego, dopatrując się wielu korzyści w fakcie, że jego żona znalazła sobie męża. Kazał mu się troszczyć o drobne sprawy gospodarskie, zdawał się na jego inicjatywę, pieniądze wpływające z jego sukcesów teatralnych zużywał na codzienne wydatki domowe; a ponieważ Fauchery okazał się rozsądny, nie był przesadnie zazdrosny i równie ochoczo jak Mignon korzystał z zarobkowych okazji, wynajdywanych przez Różę, obaj mężczyźni rozumieli się coraz lepiej, szczęśliwi ze swego związku przynoszącego wszelkiego rodzaju korzyści; każdy z nich stworzył sobie własną pozycję w tym wspólnym małżeństwie, w którym nikt się już nie krępował. Wszystko funkcjonowało składnie z regularnością zegarka i sprzyjało wspólnemu szczęściu. Mignon za radą Fauchery'ego przyszedł właśnie zobaczyć, czy nie mógłby zabrać Nanie jej pokojówki, której niepospolitą inteligencję należycie kiedyś ocenił; Róża była zmartwiona, gdyż od miesiąca trafiała na dziewczyny niedoświadczone, które ciągle ją narażały na kłopotliwe sytuacje. Ponieważ to Zoè otworzyła mu drzwi, wepchnęła go od razu do jadalni. Po wymianie paru słów uśmiechnęła się: nie, to niemożliwe, bo właśnie ma zamiar odejść od swej pani i prowadzić interesy na własną rękę. Z wyrazem dyskretnej próżności dodała, że codziennie otrzymuje propozycje, gdyż te panie ją sobie wyrywają, a pani Blanka obiecywała jej po prostu złote góry, żeby tylko ją odzyskać. Zoè miała przejąć zakład Tricony. Ten stary projekt, który długo dojrzewał, zrodził się z ambicji zrobienia majątku. Zamierzała włożyć w to wszystkie swe oszczędności. Z głową pełną pomysłów marzyła o rozszerzeniu przedsiębiorstwa, o wynajęciu pałacu i urządzeniu go w ten sposób, by nadawał się na wszelkiego rodzaju przyjemności. W tym też celu próbowała zwerbować Satin, głuptaskę, która tak sobie dogodziła, że teraz dogorywała w szpitalu.

A kiedy Mignon nalegał, żeby przyszła do nich, i mówił o ryzyku, jakie istnieje zawsze w handlu, Zoè, nie precyzując bliżej charakteru swego przedsiębiorstwa, zauważyła tylko, cmokając przy tym figlarnie, jakby miała w ustach coś słodkiego:

— Och, na rzeczy luksusowe zawsze jest zbyt... Widzi pan, ja już dosyć długo służę u innych, więc teraz chcę, żeby inni służyli u mnie. Zagryzała drapieżnie wargi mówiąc, że wreszcie będzie „panią", że za parę ludwików będzie miała u swych nóg te kobiety, którym od piętnastu lat płukała miednice.

Mignon chciał, żeby go zaanonsowała, ale Zoè kazała mu chwilę poczekać: pani miała bardzo przykry dzień. Mignon był tu tylko jeden raz i nie znał pałacu. Zdumiała go jadalnia z gobelinami, kredensem i srebrnymi naczyniami. Najswobodniej w świecie otworzył drzwi, obejrzał salon, ogród zimowy i wrócił do westybulu; powoli ten przytłaczający zbytek, złocone meble, jedwabie i aksamity zaczęły go napełniać podziwem. Serce mu biło z wrażenia. Gdy Zoè zeszła po niego, zaproponowała, że mu pokaże jeszcze inne pokoje: buduar, sypialnię. W sypialni aż dech mu zaparło, był wniebowzięty, wpadł w entuzjazm. Ta przeklęta Nana wprawiała go w osłupienie, jego, który przecież niejedno już widział. Choć dom się walił, niszczony strasznym marnotrawstwem, choć rozprzęgała się służba, było tu jeszcze takie nagromadzenie bogactw, że mimo wszystko starczyło na zatkanie dziur i zatuszowanie ruiny. Patrząc na mistrzowskie dzieło Nany, Mignon przypomniał sobie wielkie budowle. W pobliżu Marsylii pokazywano mu akwedukt, którego kamienne łuki były rozpięte nad przepaścią; to cyklopowe dzieło kosztowało miliony i dziesięć lat wysiłków. W Cherbourgu widział nowy

port, olbrzymi plac budowy, gdzie setki ludzi trudziły się w pocie czoła, a maszyny rzucały do morza bloki skalne, wznosząc mur, na którym robotnicy ginęli nieraz niby krwawiąca masa. Lecz to wszystko wydawało mu się teraz znikome. Nana bowiem jeszcze bardziej rozpalała jego wyobraźnię; jej osiągnięcia budziły w nim taki szacunek, jaki odczuwał któregoś wieczoru podczas zabawy urządzonej w zamku, który kazał sobie zbudować pewien właściciel rafinerii cukru. Królewski przepych tego zamku opłacił jeden tylko produkt: cukier. A Nana zdobyła bogactwo innymi środkami: bagatelką, którą wyśmiewano, odrobiną delikatnej nagości, błahostką wstydliwą, a tak potężną, że zdolną świat udźwignąć. Sama, bez robotników i maszyn wynalezionych przez inżynierów, wstrząsnęła Paryżem i zbudowała tę fortunę idąc do niej po trupach. ─ Ach, do licha! Co za narzędzie! ─ wyrwało się Mignonowi w zachwycie, jakby wyrażał Nanie osobistą wdzięczność.

Nanę nękały teraz poważne zmartwienia. Zrazu spotkanie markiza z hrabią wywołało w niej nerwowe podniecenie, graniczące niemal z wesołością. Ale później myśl o tym starcu, który na pół żywy odjechał dorożką, i o biednym Mufciu, którego już chyba nie zobaczy, skoro doprowadziła go do takiej wściekłości, przyprawiła ją o melancholię. Następnie zirytowała ją wiadomość o chorobie Satin, która znikła przed dwoma tygodniami i dogorywała w Laribosiere; do takiego stanu doprowadziła ją pani Robert. Na domiar złego, gdy właśnie kazała zaprzęgać, żeby po raz ostatni zobaczyć to małe ladaco, Zoè z całym spokojem wypowiedziała jej służbę. Nana wpadła w rozpacz, jakby traciła kogoś z rodziny. Mój Boże, co teraz pocznie sama! Błagała Zoè, która, pochlebiona, że sprawiła pani takie zmartwienie, zaczęła ją całować, by dowieść, że nie odchodzi od niej w gniewie. Ale, niestety, musi to zrobić, bo serce winno milczeć wobec interesów. Doprawdy, dzień ten był wypełniony samymi przykrościami. Nana, zniechęcona, nie myślała już o tym, żeby wyjść, i wałęsała się po saloniku, gdy naraz Labordette, który przyszedł, by jej zaproponować okazyjne kupno jakichś wspaniałych koronek, wspomniał mimochodem, że Jerzy umarł. Nana, osłupiała, krzyknęła:

─ Luluś umarł!

Bezwiednie spojrzała na dywan, szukając czerwonej plamy, która jednak w końcu zniknęła wytarta butami. Tymczasem Labordette opowiadał szczegóły: nikt dokładnie nie wiedział, jedni mówili, że otwarła się rana, inni opowiadali, że mały popełnił samobójstwo wskakując do basenu w Fondettes.

Nana powtarzała:

─ Umarł! Umarł! ─ A ponieważ od samego rana dławiło ją w gardle, buchnęła szlochem, który przyniósł jej ulgę. Pogrążoną w bezbrzeżnym smutku, zmiażdżoną tym ciosem, Labordette starał się pocieszyć, lecz ona zamknęła mu ręką usta i powiedziała dusząc się od łez: ─ To nie tylko o niego chodzi, ale o wszystko, o wszystko... Bardzo jestem nieszczęśliwa... Och, wyobrażam sobie, będą jeszcze mówić, że jestem łajdaczką... Tam matka pogrążona w ciężkim zmartwieniu, a tu ten biedny człowiek, który dziś rano jęczał pod moimi drzwiami; i jeszcze inni, zrujnowani, gdyż przejedli ze mną swój majątek... No tak, bijcie Nanę, bijcie to bydlę! Wszystkiemu ja winna. Już słyszę, jak mówią: „Ta wstrętna dziewka sypia z wszystkimi, jednych rujnuje, innych morduje, i tylu ludziom sprawia przykrości..."

Nie mogła więcej mówić, gdyż dusiła się łzami. Zbolała rzuciła się na tapczan, wciskając głowę w poduszkę. Nieszczęścia, które czuła dokoła i których była przyczyną, przejmowały ją rzewną tkliwością; słychać było w jej głosie głuchą skargę dziewczynki.

─ Och! Jak mnie to boli, jak mnie to boli... Dłużej tak nie mogę, duszę się... Jak to ciężko nie być zrozumianą, widzieć, jak mnie potępiają, bo są silniejsi... A tymczasem, gdy człowiek nie ma sobie nic do wyrzucenia, ma czyste sumienie. Jakiż ten świat jest niesprawiedliwy!... ─ Bunt wzbierał w jej gniewie. Wstała, otarła łzy i zaczęła gorączkowo chodzić tam i z powrotem. ─ Niech sobie gadają, co chcą, a ja nie jestem winna! Czy jestem zła? Oddaję wszystko, co mam, i nie zabiłabym nawet muchy... To oni sami są winni... Chciałam tylko być dla nich miła. Czepiali się moich spódnic, a teraz zdychają, żebrzą i wszyscy udają zroz-

paczonych. ─ Stanęła przed Labordette'em i klepiąc go po plecach rzekła: ─ No, powiedz, ty przecież byłeś świadkiem, powiedz prawdę... Czy to ja do tego zachęcałam? Czy nie pętał się zawsze przy mnie z tuzin mężczyzn silących się na największe świństwa? Ja się nimi brzydziłam. Za żadne skarby nie chciałam tego, bo się bałam. Na przykład wszyscy chcieli się ze mną żenić. Niezły pomysł, co? Tak, mój drogi, gdybym się zgodziła, mogłabym być dwadzieścia razy hrabiną albo baronową. Ale z rozsądku odmówiłam... Ach, uchroniłam ich od tylu świństw i zbrodni!... Byli gotowi kraść, mordować, zabijać rodziców. Wystarczyło, żebym rzekła jedno słowo, a jednak nie powiedziałam... A teraz widzisz, jaką mam za to nagrodę... Choćby taki Daguenet, którego ożeniłam; przez długie tygodnie utrzymywałam tego głodomora, a potem stworzyłam mu pozycję. Wczoraj spotykam go, odwrócił głowę. Ach, ty świnio! Wstrętniejszy jesteś ode mnie! ─ Znowu zaczęła chodzić po pokoju i gwałtownie uderzyła pięścią w stoliczek. ─ Do licha! Nie ma sprawiedliwości! Nie ma porządku w społeczeństwie. Całą winę zwala się na kobiety, a tymczasem to przecież mężczyźni wymagają tych rzeczy... Słuchaj, teraz mogę ci to powiedzieć: kiedy się z nimi łajdaczyłam, nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Daję słowo, że mnie to nudziło!... Powiedz więc, czyja tu coś zawiniłam?... To oni mnie zamęczali! Gdyby nie oni, mój drogi, gdyby tak ze mną nie postępowali, byłabym w jakimś klasztorze i modliłabym się do Boga, bo zawsze byłam religijna... E tam! Ostatecznie, jeśli nawet postradali pieniądze i życie, nie moja w tym rzecz. Sami zbłądzili, nie ja temu winna!

─ Bez wątpienia ─ rzekł Labordette z całym przekonaniem.

Zoè wprowadziła Mignona, a Nana przyjęta go z uśmiechem; dosyć się już napłakała, trzeba było z tym skończyć. Mignon, jeszcze olśniony, chwalił urządzenie jej domu. Lecz dala do zrozumienia, że ma już dosyć swego pałacu, teraz marzy o czymś innym i niedługo chciałaby to wszystko przehandlować. Mignon przyszedł pod pretekstem, że chciał ją zawiadomić o przedstawieniu na rzecz starego Bosca, którego paraliż przykuł do fotela. Nanie zrobiło się go żal i kupiła dwie loże. W tej chwili Zoè oznajmiła, że powóz na panią czeka, więc kazała sobie podać kapelusz; zawiązując troczki opowiedziała o losach biednej Satin i dorzuciła:

─ Jadę do szpitala... Nikt nie kochał mnie tak jak ona. Ach, słusznie oskarża się mężczyzn, że są bez serca!... Kto wie? Może już jej nie zastanę przy życiu. Wszystko jedno, postaram się ją zobaczyć, chcę ją ucałować.

Labordette i Mignon uśmiechnęli się. Nana nie była już smutna i także się uśmiechała, gdyż ci dwaj u niej nie wchodzili w rachubę, mogli więc ją należycie zrozumieć. Gdy zapinała rękawiczki, obaj patrzeli na nią z podziwem, milczący i skupieni. Stała sama wśród bogactw nagromadzonych w tym pałacu, mając u nóg tłum powalonych mężczyzn. Jak owe antyczne potwory, które żyły wśród szkieletów, deptała po czaszkach. Dokoła niej mnożyły się katastrofy: straszliwa śmierć Vandeuvres'a w płomieniach, melancholia Foucarmonta zagubionego na chińskich morzach, ruina Steinera, który został zmuszony do uczciwego życia, zaspokojona głupia ambicja la Faloise'a, tragiczny upadek Muffatów i blady trup Jerzego, przy którym czuwał Filip wypuszczony poprzedniego dnia z więzienia. Zostawiała za sobą tylko ruinę i śmierć. Mucha z podmiejskiego śmietnika zarażała fermentem społecznego rozkładu mężczyzn, na których siadała. Była to sprawiedliwa zemsta za krzywdy jej świata, świata żebraków i bezdomnych. W blaskach osiągniętej sławy roztaczała swe kobiece wdzięki nad powalonymi ofiarami, podobnie jak słońce, które wschodzi nad polem zasłanym trupami; w nieświadomości zwierzęcia, które nie zdaje sobie sprawy ze swych czynów, czuła się mimo wszystko dobrą dziewczyną. Miała nadal pełne kształty, tryskała zdrowiem i humorem. Wszystko, co minęło nie liczyło się: pałac wydał się jej idiotyczny, zbyt mały i pełen mebli, które jej zawadzały. Nędzny dobytek, wart zaledwie tyle, żeby móc rozpocząć nowe życie. Marzyła więc o czymś lepszym. Ubrana w paradną toaletę szła ucałować po raz ostatni Satin, mocna i pewna siebie, jakby niczego nie przeżyła.

XIV

Raptem Nana zniknęła. Znowu dała nura, uciekła, zwiała w nieznanym kierunku. Przed odjazdem przeżyła emocję wyprzedaży, pozbywając się wszystkiego: pałacu, mebli, biżuterii, a nawet sukien i bielizny. Mówiono, że pięciokrotne transakcje przyniosły jej ponad sześćset tysięcy franków. Po raz ostatni Paryż oglądał ją w feerii zatytułowanej *Meluzyna,* na scenie teatru „Gaite", którą właśnie Bordenave objął lekkomyślnie, bez jednego grosza; spotkała się tam z Prullière'em i Fontanem. Miała wprawdzie tylko niemą rolę, ale był to doprawdy „gwóźdź"; stanowiły go trzy plastyczne pozy wszechmocnej i milczącej czarodziejki. W pełni wielkiego sukcesu, gdy Bordenave organizując wściekłą reklamę oszałamiał Paryż kolosalnymi afiszami, pewnego pięknego poranka gruchnęła wieść, że podobno poprzedniego dnia Nana jakoby wyjechała do Kairu. Wystarczyła jakaś błaha rozmowa z dyrektorem; coś się jej nie spodobało, więc uległa kaprysowi kobiety zbyt bogatej na to, by dać sobie skakać po głowie. Od dawna zresztą ubzdurała sobie podróż do Turcji.

Minęły miesiące i zaczęto już o niej zapominać. Gdy w gronie znajomych ktoś wspomniał jej imię, krążyły najdziwniejsze historie, każdy przynosił sprzeczne i niezwykłe wiadomości. Rzekomo oczarowała wicekróla i panowała w pałacu nad dwustu niewolnikami, którym dla zabawy obcinała głowy. Ktoś inny znów twierdził, że było inaczej: Nana rzekomo zrujnowała się żyjąc z jakimś Murzynem; ta obrzydliwa namiętność wpędziła ją w biedę i zmusiła do łajdaczenia się w Kairze. W dwa tygodnie później ─ ku ogólnemu zdziwieniu ─ ktoś przysięgał, że spotkał ją w Rosji. Powstała legenda, że została kochanką jakiegoś księcia, mówiono o jej klejnotach. Niebawem wszystkie kobiety znały je na podstawie krążących opisów, choć nikt nie mógł dokładnie wymienić źródła informacji; opowiadano o pierścionkach, kolczykach, bransoletach, o naszyjniku szerokim na dwa palce, o królewskim diademie ozdobionym brylantem grubym jak wielki palec. Z tych odległych krajów Nana promieniowała tajemniczym blaskiem bóstwa obwieszonego drogimi kamieniami. Teraz mówiono o niej z namaszczeniem, z religijną niemal czcią dla tej fortuny zdobytej u „barbarzyńców".

Pewnego lipcowego wieczoru o godzinie ósmej Lucy, która jechała powozem ulicą Faubourg-Saint-Honore, spostrzegła Karolinę Hèquet, która wyszła, by zamówić coś u pobliskiego dostawcy. Przywołała ją i powiedziała:

─ Jadłaś już obiad, masz trochę czasu?... Och, to jedź ze mną, moja droga... Nana wróciła. ─ Karolina bez namysłu wsiadła do powozu. A Lucy ciągnęła: ─ Wiesz, kochanie, my tu gadamy, a ona może tymczasem umarła.

─ Umarła! Co za pomysł! ─ krzyknęła Karolina osłupiała. ─ Gdzież to i na co?

─ W „Grand-Hótelu"... na ospę... och, to straszna historia! Lucy kazała stangretowi jechać prędko. Jadąc wzdłuż ulicy Royale i bulwarów, przy tętencie kopyt końskich zagłuszających jej słowa, opowiedziała jednym tchem przygodę Nany.

─ Nie możesz sobie wyobrazić... Nana przyjeżdża z Rosji, nie wiem już dlaczego, zdaje mi się, że na skutek jakieś awantury ze swoim księciem... Zostawi a bagaże na dworcu i ląduje u swej ciotki, pamiętasz, u tej starej... I oto zastaje swoje dziecko chore na ospę. Dziecko umiera nazajutrz, a ona bije się z ciotką z powodu pieniędzy, które podobno przysyłała, a z których ciotka nie widziała ani grosza... Dziecko prawdopodobnie z tego powodu umarło. Zapuszczone i zaniedbane... No, więc Nana ucieka, idzie do jakiegoś hotelu i nadziewa się na Mignona właśnie w chwili, gdy myślała o swych bagażach... Robi się jej niedobrze, ma dreszcze, zbiera się jej na wymioty, więc Mignon ją odprowadza, obiecując zająć się jej sprawami... Co? Czy to nie dziwne? Zupełnie jak w powieści! Ale mało tego: Róża dowiaduje się o chorobie Nany, oburza się, że leży samotna w wynajętym pokoju i przybiega z płaczem, chcąc ją pielęgnować... Chyba sobie przypominasz, jak one się nienawidziły, istne furie! A tymczasem Róża

kazała przenieść Nanę do „Grand-Hótelu", żeby umarła przynajmniej w wytwornym miejscu, i spędziła już przy niej trzy noce nie zważając na to, że przecież może od tego zdechnąć... O tym wszystkim opowiedział mi Labordette. Chciałam więc zobaczyć...

— Tak, tak — przerwała Karolina bardzo podniecona. — Pójdziemy na górę.

Przybyły na miejsce. Na bulwarze stangret musiał zatrzymać konie w natłoku powozów i pieszych. W ciągu tego dnia Ciało Ustawodawcze głosowało właśnie za wojną. Z wszystkich ulic spływał tłum, przelewał się wzdłuż trotuarów i zajmował jezdnię. Nad kościołem Św. Magdaleny zaszło słońce za krwawą chmurą, której refleks zapalał szyby okienne jak pożar. Zapadał zmierzch. W tej melancholijnej porze aleje, nie oświetlone jeszcze gazowymi latarniami, pogrążały się w mroku. Z daleka dochodziły coraz wyraźniejsze głosy; w bladych twarzach przechodniów skrzyły się spojrzenia, jakiś powiew lęku i trwogi owładnął tłumem.

— Oto Mignon — rzekła Lucy. — Dowiemy się czegoś od niego. Mignon zdenerwowany stał pod obszernym portykiem „Grand-Hótelu", patrząc na tłum. Na pierwsze pytania Lucy uniósł się krzycząc:

— A czy ja wiem?! Od dwóch dni nie mogę Róży wyrwać stamtąd... Prawdę mówiąc, to głupota tak się narażać! Ślicznie będzie wyglądała, jeżeli wyjdzie z tego z twarzą podziurawioną! To dopiero nas urządzi.

Z rozpaczą myślał o tym, że Róża mogłaby stracić urodę. On już postawił krzyżyk na Nanie, nie pojmował tych głupich babskich poświęceń. Właśnie Fauchery przechodził przez bulwar i gdy się zbliżył, pełen niepokoju, aby zapytać o nowiny, natknęli się na siebie. Byli teraz z sobą po imieniu.

— Ciągle to samo — oświadczył Mignon. — Powinieneś tam pójść, może byś ją zmusił, żeby z tobą wyszła.

— A to dobre! — rzekł dziennikarz. — Dlaczego ty nie idziesz? Ponieważ Lucy pytała o numer pokoju, błagali ją, by kazała Róży zejść; bo inaczej się na nią pogniewają. Jednakże Lucy i Karolina nie poszły od razu. Zauważyły Fontana wałęsającego się z rękami w kieszeniach. Był bardzo rozbawiony podnieceniem tłumu. Gdy się dowiedział, że Nana leży chora na górze, powiedział udając wzruszenie:

— Biedaczka!... Idę uścisnąć jej dłoń... Cóż jej jest?

— Ospa — odrzekł Mignon.

Aktor zrobił już krok w kierunku dziedzińca, lecz z miejsca zawrócił szepcząc tylko z drżeniem:

— Tam! Do licha!

Z ospą nie ma żartów. Fontan o mało co byłby ją dostał w piątym roku życia. Mignon opowiadał o jednej ze swych siostrzenic, która na to umarła. Natomiast Fauchery miał pełne prawo mówić o tej chorobie, gdyż pozostały mu po niej ślady na nosie; a gdy Mignon wypychał go pod pretekstem, że przecież nigdy nie dostaje się ospy dwa razy, protestował gwałtownie, przytaczając przykłady i nazywając lekarzy głupcami. Lecz Lucy i Karolina przerwały im, zaskoczone rosnącym zgiełkiem.

— Patrzcie, patrzcie, tyle ludzi!

Było coraz ciemniej; w dali jedna po drugiej zapalały się latarnie gazowe. W oknach można było rozróżnić ciekawskich, a pod drzewami fala ludzka wzbierała z minuty na minutę, przelewając się szerokim nurtem od Św. Magdaleny do placu Bastylii. Powozy posuwały się wolno. Pomruk szedł od tej zwartej masy ludzkiej, która z początku milcząca — gdyż przyszła tylko z potrzeby gromadzenia się — dreptała i rozpalała się gorączką. Lecz nagle wielkie poruszenie sprawiło, że tłum się cofnął. Rozpychani ludzie zrobili przejście, z którego wynurzała się gromada mężczyzn w kaszkietach i białych bluzach, krzycząc w rytm młotów bijących w kowadło:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Tłum patrzał ponuro i nieufnie, choć podniecił go ten bohaterski nastrój, jak to bywa, gdy przechodzi ulicą orkiestra wojskowa.

— Tak, tak, dajcie sobie sprać pyski! — szepnął Mignon filozoficznie. Lecz Fontan uważał, że to jest bardzo piękne. Mówił, że się zgłosi do wojska. Gdy wróg zagraża granicom, wszyscy obywatele powinni bronić ojczyzny; i przyjął pozę Bonapartego pod Austerlitz.

— No więc, idziecie z nami? — spytała Lucy.

— Ach, nie! — rzekł. — Moglibyśmy się zarazić!

Na ławce przed „Grand-Hótelem" siedział jakiś mężczyzna, zakrywszy twarz chusteczką. Fauchery nadchodząc mrugnięciem wskazał go Mignonowi. A więc ciągle jeszcze siedzi, ciągle tu siedzi. Dziennikarz zatrzymał obie kobiety, żeby go im pokazać. Gdy podniósł głowę, poznały go i krzyknęły. Był to hrabia Muffat; wzrok miał wlepiony w okno na górze.

— Wiecie co, on siedzi tu od rana — opowiadał Mignon. — Widziałem go już o godzinie szóstej; ani drgnął... Skoro tylko dowiedział się od Labordette'a, przyszedł i usiadł z chusteczką na twarzy... Co pół godziny podchodzi tu, aby zapytać, czy ta osoba na górze ma się lepiej, i wraca na swoje miejsce... Co chcecie, ten pokój jest niebezpieczny, a przecież mimo najgorętszych uczuć nikt nie ma ochoty zdychać.

Hrabia, z podniesionym w górę wzrokiem, zdawał się nie wiedzieć, co dzieje się dokoła niego. Niewątpliwie nie wiedział o wypowiedzeniu wojny, nie czuł i nie słyszał tłumu.

— No proszę — rzekł Fauchery — znowu idzie, zobaczcie.

Istotnie hrabia opuścił ławkę i wchodził w główne drzwi. Lecz portier, który go wreszcie poznał, nie pozwolił mu nawet zadać pytania i powiedział szorstko:

— Proszę pana, przed chwilą umarła.

Nana umarła! To zaskoczyło wszystkich. Muffat bez słowa wrócił na ławkę, zakrywając twarz chusteczką. Inni wydali okrzyk, lecz nadchodząca banda zagłuszyła ich wyjąc:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Nana umarła! A to dopiero, taka piękna dziewczyna! Mignon odetchnął z ulgą; nareszcie Róża zejdzie na dół. Zrobiło mu się naraz zimno. Fontan, który zawsze marzył o roli tragicznej, wyglądał na cierpiącego; końce ust miał ściągnięte, oczy w słup; a blagierski dziennikarzyna Fauchery był rzeczywiście przejęty i nerwowo żuł cygaro. Kobiety jednak dalej wykrzykiwały. Lucy widziała Nanę po raz ostatni w teatrze „Gaite". Blanka tak samo, w *Meluzynie*. Och, kochanie, była porywająca, gdy ukazywała się w głębi kryształowej groty! Panowie przypominali ją sobie bardzo dobrze. Fontan grał rolę księcia Cocorico. Bez końca opowiadały sobie szczegóły, przywołując wspomnienia. Prawda? W kryształowej grocie była wspaniała! Nie mówiła ani słowa, nawet autorzy skreślili jej replikę, bo to raziło. Naprawdę, grając bez słów Nana osiągała lepszy efekt, bo podbijała publiczność samym swoim wyglądem. Miała przecież ciało, jakiego się już nie znajdzie: co za ramiona, nogi, figura! Jakie to dziwne, że ona nie żyje! Wiecie, ona miała po prostu na trykocie złoty pas, który zakrywał jej zaledwie tyłek i łono. Wokół niej lśniła grota, cała zrobiona z luster; kaskady diamentów, sznury białych pereł połyskiwały wśród stalaktytów sklepienia. Na tym przeźroczystym tle, w tej źródlanej wodzie, przez którą przechodził szeroki snop światła elektrycznego, Nana wyglądała jak słońce ze swą skórą i płomiennymi włosami. Paryż będzie ją zawsze taką widział, płonącą w środku kryształu, zawieszoną w powietrzu jak jakieś dobre bóstwo. Ach, to nader głupia historia umierać w podobnej sytuacji! Na pewno teraz pięknie wygląda tam na górze!

— A przy tym ile zmarnowanych przyjemności! — rzekł Mignon melancholijnym głosem jak człowiek, który nie lubi, żeby się marnowały rzeczy pożyteczne i dobre.

Wypytywał Lucy i Karolinę, czy one mimo wszystko pójdą na górę; ma się rozumieć; były jeszcze bardziej zaciekawione. Właśnie przyszła Blanka zadyszana i zła na tłum, który tarasował trotuary. A gdy jej powiedziano, co się stało, na nowo zaczęły się okrzyki — i damy skierowały się ku schodom, szeleszcząc głośno spódnicami. Mignon szedł za nimi i krzyczał:

— Powiedzcie Róży, że czekam na nią... Zaraz, dobrze?

— Nie wiadomo dokładnie, czy zarażenie jest groźniejsze na początku, czy raczej pod koniec choroby — wyjaśniał Fontan Fauchery'emu. — Pewien internista, który jest moim przyjacie-

lem, zapewniał mnie nawet, że godziny bezpośrednio po śmierci są szczególnie niebezpieczne... Emanują bowiem miazmaty... Ach, jak mi żal, że to się stało tak nagle; byłbym szczęśliwy, gdybym jej mógł po raz ostatni uścisnąć rękę.

— Ależ po co? — rzekł dziennikarz.

— No właśnie, po co? — powtórzyli Mignon i Labordette. Tłum ciągle się wzmagał. W świetle padającym ze sklepów, pod snopem migających płomieni gazowych można było odróżnić dwie fale kapeluszy przepływające trotuarem. Potęgowało się rozgorączkowanie, ludzie szli za grupami w bluzach, ustawiczny tłok trwał na jezdni; i ciągle wracał wydobywający się z wszystkich piersi, urywany, uparty krzyk:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Pokój na czwartym piętrze kosztował dwanaście franków dziennie. Róża chciała znaleźć coś wygodnego, choć nie zbytkownego, bo w chorobie luksus jest zbyteczny. Obity kretonem w wielkie kwiaty, w stylu Ludwika XIII, pokój miał umeblowanie mahoniowe jak we wszystkich hotelach, z czerwonym dywanem w czarne liście. Panowała tam zupełna cisza, przerywana tylko szeptami, gdy w korytarzu odezwały się głosy:

— Zapewniam cię, żeśmy zbłądziły. Portier mówił, że trzeba skręcić w prawo... To ci dopiero koszary!

— Poczekaj, trzeba zobaczyć... Pokój 401, pokój 401...

— Ach, to tu... 405, 403... Chyba już jesteśmy... No, nareszcie 401!... Chodźcie! Cicho! Cicho!

Głosy umilkły. Ktoś zakaszlał, przez chwilę wszyscy stali w skupieniu. Potem, gdy drzwi się powoli otwarły, weszła Lucy, a za nią Karolina i Blanka. Ale zatrzymały się, gdyż w pokoju było już pięć kobiet. Gaga siedziała wyciągnięta w jedynym fotelu, wolterowskim fotelu obitym czerwonym pluszem. Przy kominku Simona i Klarysa stojąc rozmawiały z Leą de Horn, która siedziała na krześle; a przed łóżkiem, na lewo od drzwi, Róża Mignon, ulokowana na brzegu drewnianego kufra, wpatrywała się w ciało otulone cieniem zasłon. Wszystkie kobiety były w kapeluszach i rękawiczkach, jak damy, które przyszły z wizytą. Tylko Róża, z gołymi rękami, rozczochrana, blada i zmęczona po trzech nocach czuwania, była ogłupiała i smutna w obliczu tej nagłej śmierci. Lampa z abażurem stojąca na komodzie oświetlała Gagę jaskrawym blaskiem.

— Prawda? Co za nieszczęście — szepnęła Lucy ściskając rękę Róży. — Chciałyśmy ją pożegnać.

I odwróciła głowę, żeby spróbować ją zobaczyć, lecz lampa była za daleko, a ona nie miała odwagi jej przysunąć. Na łóżku leżała wydłużona szara masa. Można było odróżnić jedynie rudy kok i bladawą plamę. Była to zapewne twarz. Lucy dodała:

— Nie widziałam jej od czasu „Gaite", w głębi groty... A Róża, otrząsając się z osłupienia, uśmiechnęła się i zaczęła powtarzać:

— Ach, jaka ona jest zmieniona, jaka zmieniona...

Potem znowu pogrążyła się w zadumie, bez jednego gestu, bez słowa. Może za chwilę będzie można ją zobaczyć; trzy kobiety podeszły do grupy skupionej przy kominku. Simona i Klarysa gwarzyły po cichu na temat klejnotów zmarłej. Czy w ogóle istniały te klejnoty? Nikt ich nie widział, to była chyba plotka. Lecz Lea Horn znała kogoś, kto je znał. Och, były to monstrualnie wielkie kamienie! Zresztą to nie było wszystko, gdyż przywiozła z Rosji wiele innych bogactw; haftowane tkaniny, drogocenne drobiazgi, złoty serwis, a nawet meble; tak, moja droga, pięćdziesiąt dwie paki, ogromne skrzynie, którymi można by wypełnić trzy wagony. Wszystko to zostało na dworcu. Nie miała szczęścia, prawda? Umarła, zanim zdołała rozpakować swoje rzeczy, a trzeba dodać, że oprócz tego miała jeszcze gotówkę — coś około miliona. Lucy spytała, kto to odziedziczy. Dalecy krewni, zapewne ciotka. Ładna niespodzianka dla tej starej. O niczym jeszcze nie wiedziała, chora uparła się, żeby jej nie zawiadamiać, gdyż miała do niej urazę od śmierci dziecka. Wszystkie zaczęły się rozczulać nad ma-

łym, przypominając sobie, że go widziały na wyścigach: dziecko chorowite, wątłe i smutne, jedno z tych maleństw, co to nie prosiły się o przyjście na świat.

— On jest szczęśliwszy w ziemi — rzekła Blanka.

— Ba! Ona też — dorzuciła Karolina. — Życie nie jest przecież zabawą. W tym ponurym pokoju opadły je czarne myśli. Bały się, było przecież głupotą rozmawiać tam tak długo. Lecz chęć zobaczenia Nany przygważdżała je do dywanu. Było bardzo gorąco, w wilgotnym cieniu otulającym pokój szkło lampy rzucało na sufit świetlny krąg w kształcie księżyca. Pod łóżkiem stał głęboki talerz wypełniony fenolem, którego mdły zapach unosił się w powietrzu. Chwilami podmuchy wiatru wydymały zasłony w oknie otwartym na bulwar, skąd dochodził głuchy szum.

— Czy bardzo cierpiała? — spytała Lucy, której uwagę przykuły ozdoby na zegarze, trzy nagie gracje, uśmiechnięte w tańcu. Gaga jakby się ocknęła.

— Ach tak, cierpiała... Byłam przy niej, gdy dogorywała. Mówię wam, że to nic przyjemnego... Okropnie nią trzęsło...

Lecz nie mogła dokończyć, gdyż podniósł się krzyk:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Lucy, której było duszno, otworzyła szeroko okno i podparła się na łokciach. Zrobiło się przyjemnie, ochłodziło się pod wygwieżdżonym niebem. Naprzeciwko okna były oświetlone, odblaski płomyków gazowych tańczyły po złotych literach szyldów. W dole było bardzo zabawnie. Fale tłumu przepływały jak potok po trotuarach i jezdni w natłoku powozów i wielkich, ruchliwych cieni, w których migotały latarnie i palniki gazowe. Ale zbliżająca się z wrzaskiem grupa miała pochodnie. Od strony kościoła Św. Magdaleny buchał czerwony płomień, przecinał tłum smugą ognia i rozlewał się w dali nad głowami jak łuna pożaru. Lucy zawołała Blankę i Karolinę. Zapominając się krzyczała:

— Chodźcie, z tego okna dobrze widać!

Wszystkie trzy wychyliły się z dużym zainteresowaniem. Drzewa im przeszkadzały, chwilami pochodnie znikały pod liśćmi. Usiłowały zobaczyć panów stojących na dole. Lecz balkon zasłaniał bramę. Dostrzegały tylko hrabiego Muffat, który opadł na ławkę jak martwa bryła, zakrywając twarz chusteczką. Zatrzymał się jakiś powóz i Lucy rozpoznała Marię Blond. Jeszcze jedna przygnała. Nie była sama, za nią wysiadł z powozu gruby mężczyzna.

— To ten złodziej Steiner — rzekła Karolina. — Jak to! Nie odesłano go jeszcze do Kolonii!... Chciałabym widzieć jego minę, gdy tu wejdzie.

Odwróciły się. Ale po dziesięciu minutach zjawiła się Maria Blond, która, dwukrotnie zbłądziwszy na schodach, przyszła sama. A gdy Lucy, zdumiona, spytała o Steinera, rzekła:

— On! Ach, też coś kochanie! Myślicie, że on tu przyjdzie!... To i tak wiele, że odprowadził mnie do drzwi... Jest ich tam już z tuzin. Palą cygara.

Istotnie spotkali się tu wszyscy ci panowie. Przyszedłszy spacerkiem, by rzucić okiem na bulwary, nawoływali się i wykrzykiwali coś o śmierci tej biednej dziewczyny; potem zaczęli rozmawiać o polityce i strategii. Bordenave, Daguenet, Labordette, Prullière i jeszcze inni powiększyli grono. Słuchali Fontana, który przedstawiał swój plan zdobycia Berlina w ciągu pięciu dni. Tymczasem Maria Blond przy łóżku zmarłej szeptała, rozczulona jak inne:

— Biedactwo!... Ostatni raz widziałam ją w „Gaite", w grocie...

— Ach, jaka ona zmieniona, jaka zmieniona — powtarzała Róża Mignon, uśmiechając się ponuro.

Przyszły jeszcze dwie kobiety: Tania Nene i Ludwika Violaine. Od dwudziestu minut biegały po hotelu odsyłane od jednego służącego do drugiego. Zrobiły ponad trzydzieści pięter wśród rozgardiaszu wywołanego przez podróżnych, którzy spiesznie opuszczali Paryż wobec paniki wojennej i ruchawki na bulwarach. Toteż gdy weszły do pokoju, padły na krzesła, zbyt zmęczone, by zainteresować się zmarłą. Z sąsiedniego pokoju dochodziła jakaś wrzawa. Przesuwano walizy, popychano meble, a przy tym słychać było ordynarne słowa. Mieszkało tam

młode małżeństwo austriackie. Gaga opowiadała, że gdy Nana była w agonii, sąsiedzi bawili się w chowanego. A ponieważ oba pokoje były przedzielone tylko drzwiami zastawionymi meblami, słychać było, jak młodzi wpadając na siebie śmiali się i całowali.

— No tak, trzeba już iść — rzekła Klarysa. — Przecież jej nie wskrzesimy...

Idziesz, Simono? Wszystkie, nie ruszając się, patrzały ukradkiem na łóżko. Szykowały się jednak do wyjścia, lekkim trzepnięciem poprawiając spódnice. W oknie Lucy znowu podparła się łokciami. Powoli smutek ściskał ją za gardło, jakby ten wyjący tłum napawał ją melancholią. Pochodnie sypały iskierki, w dali kłębiły się grupy ludzi rozciągnięte w ciemnościach, podobne do stada bydła prowadzonego w nocy na rzeź. Cały ten zamęt i bezładne masy przepływające falą budziły przerażenie i litość na myśl o przyszłej rzezi. Ogłuszeni krzykami i podnieceni gorączką walili nieprzytomnie w nieznane, hen, za czarną ścianę horyzontu.

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Lucy odwróciła się i oparta plecami o okno powiedziała blada jak ściana:

— Mój Boże! Co się z nami stanie?

Loretki potrząsały głowami. Były poważne i bardzo zaniepokojone tym, co się dzieje. Karolina Hèquet, jak zawsze afektowana, powiedziała:

— Ja wyjeżdżam pojutrze do Londynu... Mama już tam jest i przygotowała mi pokój w hotelu... Oczywiście nie pozwolę się zarżnąć w Paryżu.

Jej matka, jako przezorna kobieta, kazała jej ulokować cały majątek za granicą, nigdy bowiem nie wiadomo, jak wojna może się zakończyć. Lecz Marię Blond to rozgniewało; była patriotką i mówiła, że pójdzie za armią.

— A to ci dopiero tchórz!... Gdyby mnie tylko przyjęli, włożyłabym mundur, żeby strzelać do tych świń Prusaków!... Choćbyśmy miały wszystkie potem zginąć! Czy tyle warte jest nasze ciało?

Blanka Sivry uniosła się.

— Nie mów nic złego o Prusakach!... To są tacy sami mężczyźni jak inni, a przy tym nie siedzą ciągle kobietom na karku jak twoi Francuzi... Właśnie wyrzucono z Francji Prusaczka, z którym żyłam, chłopca bardzo bogatego i tak łagodnego, że nie był zdolny zrobić komukolwiek krzywdy. To niegodziwość. Jestem przez to zrujnowana... Wiesz co, jak mi dopieką, pojadę odnaleźć go w Niemczech!

Gdy tak sobie przygadywały, Gaga szepnęła żałośnie:

— Wszystko skończone, nie mam szczęścia. Nie minął jeszcze tydzień, jak zapłaciłam ostatnią ratę za swój domek w Juvisy, ach. Bóg jeden wie, z jakim trudem! Lili musiała mi pomóc... A tu wojna wypowiedziana, przyjdą Prusacy i wszystko spalą... W moim wieku miałabym zaczynać na nowo?

— Ba! — rzekła Klarysa — gwiżdżę na to! Zawsze jeszcze dam sobie radę.

— Oczywiście — dorzuciła Simona. — To będzie zabawne... Może właśnie interes dobrze pójdzie.

I dokończyła swoją myśl uśmiechem. Tania Nene i Ludwika Violaine były tego samego zdania. Tania opowiadała, jak hucznie bawiła się z wojskowymi. Och, ci chłopcy byli gotowi nie wiem co zrobić dla kobiet. Ale ponieważ mówiły zbyt głośno, Róża Mignon, która ciągle siedziała na kufrze przy łóżku, prosiła gestem, żeby umilkły. Z przejęciem rzucały ukośne spojrzenia w stronę zmarłej, jakby ta prośba dochodziła zza kotary. Śmiertelna cisza zalegała pokój, w którym czuły martwotę leżącego przed nimi trupa. Na ulicy zerwały się znowu krzyki:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Lecz niebawem o wszystkim zapomniały. Lea de Horn, która miała u siebie salon polityczny i przyjmowała dawnych ministrów Ludwika Filipa, pozwalających sobie na cięte epigramy, wzruszyła ramionami i powiedziała szeptem:

— Cóż to za okropna rzecz ta wojna! Co za krwawy obłęd!

Na co Lucy od razu zaczęła bronić Cesarstwa. Swego czasu sypiała z pewnym księciem z domu cesarskiego, było to więc dla niej sprawą rodzinną.

— Daj spokój, moja droga, nie mogliśmy już dłużej pozwolić się znieważać. Ta wojna to dla Francji sprawa honoru... Och, wierzcie mi, nie mówię tego ze względu na księcia. Cóż to był za sknera! Wyobraźcie sobie, że wieczorem, kładąc się do łóżka, chował swoje ludwiki do butów, a gdy graliśmy w bezika, stawiał fasolę, ponieważ pewnego dnia zażartowałam sobie i zagarnęłam stawkę... Ale to mi nie przeszkadza w sprawiedliwej ocenie. Cesarz ma rację. Lea potrząsała głową z miną autorytatywną jak kobieta, która powtarza zdanie ważnych osobistości. Podnosząc glos rzekła:

— Ta wojna będzie kresem Cesarstwa. W Tuileriach poszaleli. Wiecie co, Francja powinna była raczej ich przepędzić...

Wszystkie przerwały jej gwałtownie. Czegóż ta wściekła baba chce od cesarza? Czy wszyscy nie są szczęśliwi? Czy interesy nie idą dobrze? Nigdy już Paryż nie będzie się tak świetnie bawił!

Gaga także uniosła się oburzona:

— Niech pani milczy! To jest idiotyczne, sama pani nie wie, co mówi!...

Ja, moja droga, pamiętam Ludwika Filipa, epokę golców i skner. A potem przyszedł rok czterdziesty ósmy. Ach, śliczna rzecz ta ich Republika, coś odrażającego!... Powiadam wam, że po rewolucji lutowej zdychałam z głodu!... Gdybyście to wszystko znały, padłybyście na kolana przed cesarzem, bo on był naszym ojcem, tak, naszym ojcem. — Trzeba było ją uspokajać. W religijnym uniesieniu powiedziała: — O Boże, spraw, żeby cesarz zwyciężył: Zachowaj nam Cesarstwo! Wszystkie powtórzyły to życzenie. Blanka wyznała, że pali świece na intencję cesarza. Karolina, zakochana w nim, przez dwa miesiące spacerowała po trasie, którą przejeżdżał, nie mogąc zwrócić jego uwagi. Inne ciskały gniewne słowa na republikanów i mówiły, że należałoby ich przepędzić za granicę, by Napoleon III po zwycięstwie nad wrogiem mógł panować spokojnie wśród ogólnej radości. — Ten wstrętny Bismarck to dopiero kanalia! — zauważyła Maria Blond.

— I pomyśleć, że go znałam! — krzyknęła Simona. — Gdybym wiedziała, byłabym mu włożyła jakąś pigułkę do szklanki.

Lecz Blanka, mając ciągle na sercu wypędzenie jej Prusaka, ośmieliła się bronić Bismarcka. Być może nie jest wcale taki zły. Każdy robi, co do niego należy. Dodała tylko:

— Wiecie co, on uwielbia kobiety.

— Co nas to obchodzi! — rzekła Klarysa. — Nie mamy chyba chęci kłaść się z nim do łóżka!

— Takich mężczyzn zawsze jest za wielu — oświadczyła poważnie Ludwika Violaine. — Lepiej byłoby obejść się bez nich niż mieć do czynienia z takimi potworami.

Dyskusja ciągnęła się dalej. Nie zostawiały na Bismarcku suchej nitki, w zapale bonapartystowskim każda mu dawała kopniaka, a Tania Nene powtarzała:

— Bismarck! Przez niego doprowadzili mnie do szału!... Och, ja go popamiętam!... Nie znałam przedtem tego ich Bismarcka! Ale przecież nie można znać wszystkich.

— Obojętne — rzekła w końcu Lea de Horn. — Bismarck sprawi nam porządne lanie...

Nie mogła mówić dalej, gdyż wszystkie rzuciły się na nią. Jak to? Co? Lanie! To właśnie Bismarck zostanie przepędzony i oberwie, co się zowie. Może by już ta podła Francuzica skończyła ze swymi bujdami.

— Spokój! — szepnęła Róża Mignon, urażona hałasem. Przeniknęło je zimno wiejące od trupa. Wszystkie od razu opamiętały się i zamilkły w obliczu śmierci. Panicznie się bały tej zarazy. A tymczasem na bulwarze brzmiał ochrypły, rozdzierający krzyk:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!

Gdy już decydowały się odejść, ktoś zawołał z korytarza:

— Różo! Różo!

Gaga zdumiona otwarła drzwi i zniknęła na chwilę. A gdy wróciła, rzekła:

— Moja droga, to Fauchery jest tam w głębi... Nie chce wejść i złości się, że siedzisz tu przy zmarłej.

Okazało się, że Mignon wypchnął wreszcie dziennikarza. Lucy, która ciągle jeszcze siedziała w oknie, wychyliła się i zauważyła grupę panów na trotuarze. Patrząc w górę, dawali jej gwałtowne znaki. Mignon zirytowany wyciągał pięści. Steiner, Fontan, Bordenave i inni rozkładali ramiona z wyrazem niepokoju i wyrzutu; Daguenet zaś, nie chcąc się kompromitować, ćmił sobie cygaro, z rękami założonymi do tyłu.

— Ach, rzeczywiście, moja droga — rzekła Lucy zostawiając okno otwarte — obiecałam, że każę wam zejść... Oni wszyscy nas przywołują. Róża z trudem podnosząc się z drewnianego kufra szepnęła:

— Idę już, idę... Nana z pewnością już mnie nie potrzebuje... Muszę tu przysłać zakonnicę... — Kręciła się nie mogąc znaleźć kapelusza i szala. Machinalnie nalała wody do miednicy. Myta ręce i twarz mówiąc: — Nie wiem, dlaczego tak się tym przejęłam... Przecież nie lubiłyśmy się wzajemnie. A teraz widzicie, jak mnie to powaliło... Och, różne myśli przychodzą mi do głowy, nawet o samobójstwie, o końcu świata... Duszno mi. Trup zaczynał zatruwać pokój. Po długim, bezmyślnym przebywaniu w towarzystwie nieboszczki wpadły w panikę.

— Zmykajmy, zmykajmy, moje kotki — powtarzała Gaga. — To nie jest zdrowe. Wychodziły w popłochu, rzucając spojrzenia na łóżko. Kiedy Lucy, Blanka i Karolina były jeszcze obecne, Róża rozejrzała się po raz ostatni, by zostawić pokój w porządku. Zaciągnęła zasłonę w oknie, a potem pomyślała, że lampa tu jest nie na miejscu i trzeba zapalić świecę. Zapaliwszy jeden z miedzianych świeczników na kominku, postawiła go na nocnym stoliku obok ciała. Jaskrawy blask oświetlił nagle twarz zmarłej. Wyglądała okropnie. Wszystkie zadrżały i uciekły.

— Ach, jaka ona zmieniona, jaka zmieniona — szeptała Róża Mignon, która wychodziła ostatnia. Wyszła i zamknęła drzwi. Nana została sama, spoczywając na wznak w blasku świecy. Na pościeli leżała potworna masa ludzkich soków, krwi i gnijącego ciała. Cała twarz była gęsto pokryta krostami. Pomarszczone i wklęśnięte, podobne do szarawego błota, wydawały się ziemistą pleśnią na tej bezkształtnej papce, w której już nie można było rozróżnić rysów. Lewe oko zupełnie utonęło w rozlewającej się mazi; drugie, na wpół otwarte, zapadło się jak czarna i gnijąca dziura. Z nosa jeszcze sączyła się ropa. Na jednym policzku utworzył się czerwonawy strup, który sięgał aż do ust wykrzywionych ohydnym uśmiechem. Po tej potwornej, groteskowej masce trupiej spływały złotym potokiem włosy, piękne włosy, które zachowały swój słoneczny blask. Wenus się rozkładała. Jakby jad z cuchnących padliną rynsztoków, ferment, którym zatruła cały naród, spowodował teraz gnicie jej twarzy.

Pokój był pusty. W silnym podmuchu wiatru wydymającego zasłonę dochodziły z bulwaru rozpaczliwe głosy:

— Na Berlin! Na Berlin! Na Berlin!